

ELISABETH HERRMANN

WIOSKA MORDERCÓW



Prószyński i S-ka

Dla Shirin

To o krew woła: krew, mówią, krwi żąda.
Słyszano drzewa mówiące, widziano
Podnoszące się głązy, augurowie
Tajemniczymi sposoby umieli
Za pośrednictwem wron, kruków i kawek
Odkryć przelewcę krwi. Która godzina?¹

¹ William Szekspir, *Makbet*, akt 3, scena 4, w: *Dzieła dramatyczne*, przeł. Józef Paszkowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1963, t. 5, s. 872.

Pomocy.

Pies uniósł łeb i zaczął węszyć, ale wyglądało na to, że oprócz niego nikt inny niczego nie słyszał. W wielkim domu panowała cisza. Mlecznobiały księżyc rozświetlał noc i rzucał dokoła chłodny cień. Znad rzeczki nadciągnęła mgła, która szczelnie zasnuła całą kotlinę. Drzewa przypominały w jej oparach sterczące kikuty. Z ich gołych konarów zwisały jemioly.

Pies położył głowę na przednich łapach, zamknął oczy i zapadł w sen. Śniło mu się, że goni za kolorowymi piłkami i młodymi wiewiórkami. Łapy drgały mu we śnie, zamiatał ogonem po podłodze. Być może przeskakiwał właśnie przez jakiś rów albo przestraszył go wiejski kot. W pewnej chwili zerwał się gwałtownie z ziemi, jak gdyby w trakcie zabawy znalazł się niespodziewanie na skraju przepaści. Otworzył oczy i stanął na wyprostowanych łapach. Wołania, które go obudziło, nikt inny nie słyszał, bo słyszały je tylko jego uszy i uszy innych psów. Ale one spały, ogłuchły albo nie umiały tego wołania z niczym skojarzyć. W jego zachowaniu było coś odwiecznego, pierwotnego, jak w historiach, które ludzie opowiadali o swoich wiernych i dzielnych towarzyszach.

Pomocy!

Pies pobiegł przez pokój, szukając źródła głosu. Był podenerwowany i niespokojny, czegoś szukał. Przepisnął się przez szparę w drzwiach prowadzących do sieni i podbiegł do drzwi wejściowych. Nastawił uszu, a potem zaczął węszyć i drapać w podłogę. Z jego gardła wydobywało się ciche skomlenie, które po chwili przeszło w krótkie warczenie. Na próżno. Wszyscy spali, a on przecież słyszał, że ktoś wypowiada szeptem jego imię. Czuł, że coś się wydarzyło, że ktoś go potrzebuje. I to bardzo.

Pies był jeszcze młody. Mierząc jego wiek ludzką miarą, można by powiedzieć, że był w wieku, w którym świat ciągle jeszcze przypomina książkę z kolorowymi obrazkami, a wszystkie żyjące w nim istoty zasługują na zaufanie. Wiedział, że woła go dziewczyna. W jej cichym błaganiu o pomoc słyszał było jeszcze coś, jakby drugi głos – słaby, cichy, bezradny.

Znowu nastawił uszu i chwilę potem, targany niepokojem, podbiegł do drzwi prowadzących do ogrodu. Szybko się nauczył, jak można je łatwo otworzyć. Mimo to pierwsze próby naciśnięcia klamki skończyły się niepowodzeniem. Chociaż w domu przebywało kilkoro ludzi, w żadnym z pomieszczeń nie paliło się światło. Wszyscy spali w swoich łóżkach i głośno chrapali. Dlatego nawet nie starał się zachowywać cicho. Całą swoją uwagę skupił na tamtym przerażonym głosie i żalonym jęku, które dobiegały jego uszu od strony wąskiej ścieżki prowadzącej przez oszronione chwasty na ulicę.

W końcu wypadł na dwór i ruszył pędem przed siebie. Biegł ze wzrokiem wpatrzonym w cel, szybki jak strzała. Gdyby ktoś go teraz zawołał, nawet by się nie zatrzymał. Opanowało go i gnało przed siebie coś innego niż zwykły instynkt myśliwski. Słabe światło rzucone przez uliczne latarnie do niczego nie było mu potrzebne. I tak wszystko widział, choć nie wszystko zauważał. Na przykład opuszczonych żaluzji albo zaparkowanych na ulicy małych samochodów. Nie zwracał uwagi na żółtawy blask latarni, który sprawiał, że w panujących ciemnościach świat wydawał się jeszcze bardziej ponury, na szare domy ani pozbawione liści krzaki, popękane płyty chodnikowe czy przekrzywione płoty. Sadził susy przez wieś, jak gdyby ścigało go całe stado prychających wiejskich kotów. Kiedy w końcu zostawił za sobą ostatnie domy i znalazł się pod murami gospodarstwa należącego do przesiedleńców, trochę zwolnił. Tak jak jeszcze niedawno słyszał przyzywający go głos, tak teraz usłyszał inny, który dochodził z wnętrza domu. Coś mu podpowiadało, że grozi mu niebezpieczeństwo. Nieznane, przerażające. Skulił się w ulicznym

rowie i leżał przyczajony.

Od razu rozpoznał postać, która stanęła w drzwiach i ostrożnie się rozglądała. Trzymała w ręce wiadro i dlatego jedno jej ramię było pochylone bardziej od drugiego. Postać miała twarz owiniętą szalem. Może chciała ukryć przed innymi, kim jest? Ale nie z nim takie sztuczki. Od razu przypomniał sobie zapach tej postaci, jak również to, że często przybiegał do niej, machając ogonem. Teraz jednak zwietrzył coś, co go przed tym powstrzymało. To coś sprawiało, że jego ciekawość osiągnęła błyskawicznie poziom szaleństwa, choć z drugiej strony odczuwał strach. Ten zapach w magiczny sposób go do siebie przyciągał. Czuł go, gdy przechodził obok domu rzeźnika, gdy napotykał rozerwanego na strzępy ptaka albo rozjechane zwłoki lisa leżące na pustej drodze. Ale przecież stojąca przed nim postać nie padła ofiarą rzeźnickiego noża, nie przejechał jej samochód ani nie została zaszczuta na śmierć. Ta postać żyła. Przemykała w ciemnościach, niosąc tajemniczy ładunek, i pachniała tak, jak gdyby skąpała go we krwi.

Strach...

Znowu usłyszał tamten szept. Postać odwróciła się i ruszyła ulicą w stronę wsi. Pies dał susa i pobiegł w stronę niedomkniętej bramy, w której zauważył szeroką szczelinę. Był jeszcze młody i nie wiedział, że w nocnej ciszy wyraźnie słycać szuranie jego pazurów. Nie zauważył też, jak postać nagle się zatrzymała, rozejrzała wokół siebie, a potem się zachwiała i prawie straciła równowagę. Słyszał za to, że woła coś zagniewanym, ale cichym głosem, żeby nikogo nie obudzić. Wiedział jednak, że jeśli ktoś zachowuje się cicho, jest w tym momencie bezsilny. Dlatego nie oglądając się więcej, pobiegł dalej.

Oba psy podwórzowe dobrze go znały i dlatego, warcząc, stanęły mu na drodze. Postanowił posłużyć się sprytem i ruszył w stronę stodół. Stare psiska okazały się w porównaniu z nim zbyt wolne. Przez pewien czas kluczył i w końcu im uciekł. Psy były zbyt zmęczone i zbyt często bite, dlatego ich protest ograniczył się jedynie do złowrogiego warczenia. Drzwi prowadzące do domu stały uchylone. Pies wpadł do środka z taką prędkością, że poślizgnął się na kaflach, którymi była wyłożona podłoga.

Na pierwszym piętrze paliło się światło. Pobiegł schodami na górę, ale kobietę ujrzał zbyt późno. Prawie na niego wpadła. Właśnie wychodziła z pokoju wyłożonego żółtymi kaflami. Miała zły głos. Pachniała płynem, który ludzie piją często z innymi ludźmi, a potem mówią podniesionymi głosami i stają się brutalni. Nienawidził tej cieczy i tego zapachu. Kobieta zawołała coś do niego, ale on już ją minął, a ona zareagowała zbyt późno i nie zdążyła zastawić przed nim drzwi. Ona też pachniała krwią, podobnie jak schody prowadzące na górę. Kobieta trzymała w dłoni szczotkę do szorowania. Zapach, który do niego docierał, sprawiał mu ból i wywoływał w nim strach.

Psy na podwórzu ciągle ujadały. Może też się czegoś bały? Może wyczuwały coś, czego nie rozumiały? Na chwilę ucichły, a potem zaczęły węszyć i szukać tropów. Usłyszał, że wbiegły do budynku. W uszach nadal mu rozbrzmiewał zły głos kobiety.

Pobiegł na górę, w stronę poddasza, i skomląc ze strachu, stanął przed wąskimi drzwiami. Skowyczał, piszcząc i skrobał pazurami o drewno. Chciał z siebie wydać nieśmiałe warczenie, ale usłyszał, że na górę wchodzi kobieta z uniesioną groźnie szczotką. Odwrócił się w nadziei, że znajdzie jakąś drogę ucieczki. Wydawał przy tym z siebie żałosne warczenie, chociaż wiedział, że jeśli będzie chciała, to i tak kopnie go w brzuch. Gorączkowo wiercił się przed drzwiami na wszystkie strony, ale kobieta była coraz bliżej.

W końcu drzwi się otworzyły. Kiedy zdyszany pies wślizgnął się do środka, w jego stronę rzuciła się dziewczyna.

– Ciiii... Uspokój się! – szepnęła.

Kroki na schodach stawały się coraz głośniejsze. W końcu jednak kobieta odwróciła się i zaczęła schodzić. Dziewczyna klękła i ukryła twarz w sierści psa.

– Bruno – szepnęła.

Czy takie było jego imię? Pomachał ogonem i polizał jej mokrą od łez twarz. Cały drżał. Psy podwórzowe zawróciły, były niezadowolone i podenerwowane. I nagle stało się coś niezwykłego, czego nigdy wcześniej nie doświadczył: we wsi zaczęły wyc psy. Najpierw te na podwórzu, potem pozostałe. Tutaj prawie w każdym obejściu był pies, a teraz jakby wszystkie obudziły się w tej samej chwili.

Pies wyrwał się z objęć dziewczyny, podbiegł do okna i stanął na wyprostowanych łapach. Przednimi sięgał do parapetu. Nic nie widział, więc nie wiedział, co się stało. Mógł za to słyszeć.

Rozpisane na wiele głosów ujadanie i wycie rosło z każdą chwilą. Obejmowało stopniowo całą wieś jak pożar. Przypominało wiadomość, którą jeden pies przekazuje drugiemu, prastarą pieśń o strachu i trwodze. Musiało się stać coś, co nigdy nie powinno się wydarzyć.

Pies spojrzał na dziewczynę i podkulił ogon. Ona też odczuwała ten nieokreślony rodzaj strachu jak tamte stworzenia, które zbudziły się w obliczu nadciągającego kataklizmu, jaki miał unicestwić całą wieś. Dziewczyna wróciła do wąskiego łóżka stojącego pod skośnym dachem i wsunęła się pod kołdrę. Pies poszedł za nią. Położył się obok niej i poczuł, że cała drży. Nie pachniała krwią, tylko mydłem. Miała długie ciemne włosy i delikatne dłonie, którymi drapała go między uszami. Miało go to uspokoić, chociaż tak naprawdę chciała uspokoić samą siebie.

Wściekłe ujadanie psów w końcu ustało. We wsi zapadła śmiertelna cisza. Dokonało się. Tak jak zawsze.

Dwadzieścia lat później

Rozdział 1

To był ciepły majowy dzień, zwiastun lata pachnący dziką różą i niebem jak roztopione lody waniliowe. Po dwóch godzinach patrolowania Frankfurter Allee posterunkowa Sanela Beara marzyła tylko o szklance chłodnego napoju i zmrożonych lodach. Z bocznej kieszeni drzwi radiowozu wyjęła butelkę wody i chciała ją otworzyć, ale nagle zawołała:

– Tam! Przed nami!

Starszy posterunkowy Sven Rösner – zwany Ofermą Tygodnia, o czym Beara bardzo dobrze wiedziała, bo tak nazywali go koledzy, którzy jeździli z nią na patrole – nacisnął na hamulec. Beara poleciała do przodu, pas bezpieczeństwa momentalnie się naprężył, z butelki wylało się trochę wody.

– Co? Gdzie? – spytał Rösner poirytowany, bo przed maską nie zauważył ani człowieka, ani dziury w jezdni.

Beara otarła twarz z wody i popatrzyła na swój mundur. Ciemne plamy od wody robiły się coraz większe. Nigdy nie umiała określić, czy Rösner robi takie rzeczy celowo, czy z głupoty. Nie brakuje przecież policjantów, którzy sami prowokują takie incydenty, żeby potem w jednym zdaniu skojarzyć słowa „Sanela” i „wilgotna”. Ale Sven był inny. W jego przypadku skłaniała się raczej ku tej drugiej tezie.

– Po prawej. Całkowity zakaz postoju.

Częściowo na jezdni, a częściowo na poboczu stała zaparkowana toyota, jakiś lepszy model. Rösner westchnął i włączył kierunkowskaz.

– Kierowca poszedł pewnie po pieczywo – powiedział, wskazując głową w stronę niewielkiego pawilonu, w którym sprzedawano gazety, kawę, bułki i suche jak pieprz strucle. – Zaraz wróci i odjedzie.

– Czy za każdym razem musimy o tym dyskutować?

Rösner zjechał na pobocze. Beara odpięła pas, zakręciła butelkę i wysiadła z wozu. Sprawdziła kaburę z bronią i wzięła z sobą przenośny terminal do wystawiania mandatów.

Powietrze pachniało ciężkimi metalami i wódką, spalinami i kurzem. W pewnej chwili minęła ich z hukiem ciężarówka, która na pewno jechała z większą prędkością niż dopuszczalne pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Zanim Beara doszła do zaparkowanego w niedozwolonym miejscu auta, usłyszała trzaski w krótkofalówce. Miała nadzieję, że zaraz zjawi się jednostka specjalna i w końcu coś zacznie się dziać. Jeśli dalej będzie tylko wlepiąta mandaty, nieprędko zasłużą na awans. Wolałyby ratować dzieci z płonącego domu, pacyfikować chuliganów w metrze, odzyskiwać torebki i portfele zrabowane starszym paniom, łagodzić domowe kłótnie, doprowadzać na posterunek mężów bijących swoje żony... Innymi słowy, robić to, dzięki czemu zdoła się przebić do pierwszego szeregu, bo tylko wtedy zasłużą na awans i dalsze szkolenia.

Obserwowała, jak Rösner rozmawia z centrum dowodzenia. Niezłe to wyglądało, zapowiadała się chyba jakaś poważniejsza akcja. Im bardziej poważna, tym lepiej. Przez chwilę ogarnęła ją pokusa, żeby dać sobie spokój z mandatem i wrócić do Svena, ale w tym samym momencie z pawilonu wyszedł właściciel samochodu. W jednej ręce trzymał reklamówkę z bułkami, w drugiej – kluczyki. Typowy elegancik. Na widok policjantów zrobił minę mówiącą: „I tak mi nic nie zrobicie”.

– Przepraszam!

W tym jednym słowie zawarte było oburzenie szanującego prawo, płacącego podatki obywatela, który wpadł w łapy chciwej instytucji państwowej. Beara zrozumiała, że jeśli się teraz odwróci i odejdzie, da swoim zachowaniem fałszywy sygnał. Dokładnie obejrzała niebieską naklejkę propagującą ochronę środowiska i dwie plakietki od TÜV i ASU. Żeby to zrobić, musiała obejść samochód z drugiej strony.

– W sklepie byłem tylko dwie minuty. Dwie! Tu nie ma gdzie zaparkować! – usprawiedliwiał się mężczyzna, idąc za nią.

Beara wpisała numer rejestracyjny do terminalu i czekała, aż wydrukuje się blankiet mandatu.

– Przecież już tu jestem. Na miłość boską, stoję przed panią! Bardzo mi się spieszy. Może tym razem przymknie pani oko?

Typowy kontratak w stylu czarusia. Mężczyzna był od niej starszy zaledwie o parę lat. Pewnie studiował na jakiejś uczelni albo zajmował stanowisko na średnim szczeblu zarządzania. Jego oczy przybrały prostoduszny, naiwny wyraz, który pewnie studiował nocami przed lustrem.

– W tym miejscu obowiązuje całkowity zakaz parkowania. Powinam kazać odholować pański wóz.

– Oczywiście – mruknął mężczyzna.

Patrzył na nią z góry i nadal próbował ją oczarować spojrzeniem. Beara miała niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Kiedy starała się o pracę w policji, zabrakło jej zaledwie pół centymetra, ale ponieważ była tak zwaną imigrantką kwotową, lekarz przymknął oko ze względu na jej kwalifikacje, dzięki czemu została przyjęta. Zazwyczaj stosowała oszczędny makijaż, a związane w zwykły koński ogon włosy ukrywała pod policyjną czapkę. Ponieważ zaś zawsze dbała o swój wygląd, wiedziała, że w musztardowożółtej koszuli służbowej wydaje się jeszcze bardziej blada niż w rzeczywistości. Zresztą cały policyjny mundur stanowił wyzwanie nie tylko dla kobiet, ale także dla mężczyzn.

– Chyba nie ma pani innego wyboru – zauważył mężczyzna.

– Co pan ma na myśli? – spytała Beara. Wszystkie dowcipy o holowaniu samochodów znała już na pamięć. A może usłyszysz jakiś nowy? – W czasie gdy będzie się pan zastanawiał nad odpowiedzią, proszę mi pokazać swój dowód osobisty i dokumenty wozu.

Mówiąc to, oderwała blankiet mandatu. Mężczyzna pokręcił głową, a potem zmiął go i rzucił u jej stóp na chodnik.

– Proszę bardzo – odparł, wyjmując portfel.

Beara zerknęła szybko na Rösnera, który przed chwilą skończył rozmawiać i wysiadł z samochodu.

– Musimy jechać! – krzyknął w jej stronę. – Interwencja w zoo!

– Chwileczkę!

Beara obejrzała dowód osobisty mężczyzny. Bardzo dokładnie sprawdziła jego imię i nazwisko, nazwę urzędu, który wystawił dokument, a potem porównała numer wpisany w dowodzie rejestracyjnym z numerami na tablicach. Dopiero wtedy oddała dokumenty mężczyźnie, który włożył je z powrotem do portfela i ruszył w kierunku samochodu.

– Chwileczkę, ja jeszcze nie skończyłam!

– Co znowu? – spytał niecierpliwym tonem mężczyzna.

Z terminalu wysunął się blankiet kolejnego mandatu.

– Paragraf sześćdziesiąty pierwszy, ustęp drugi – wyjaśniła Beara.

Mężczyzna spojrzał zaskoczonym wzrokiem na drugi mandat.

– Mam zapłacić dodatkowo dwadzieścia pięć euro? – spytał.

Beara wskazała na pierwszy mandat, który leżał zmięty na ziemi.

– Tak, na podstawie paragrafu mówiącego o śmieceniu w miejscu publicznym – wyjaśniła.

Miała rację. Rzeczywiście istniał taki przepis. Trzeba z niego tylko było chcieć skorzystać.

Rozdział 2

Samiec pekari to zbita masa mięśni, wąska głowa i małe ciemne oczka. Zwierzę drapało pazurami jakiś przedmiot, toczyło go przed sobą, obwąchiwało, a potem przewróciło na drugą stronę i zaczęło wdeptywać w ziemię. Przedmiot, który tak bardzo absorbował jego uwagę, był jasnego koloru, poplamiony krwią i miał pięć palców.

Kobieta, która zadzwoniła na numer alarmowy, nazywała się Katharina Spengler i pracowała jako wychowawczyni w przedszkolu. Właśnie przed chwilą straciła kontrolę nad grupą dzieci. Beara zauważyła ją, gdy pani Spengler próbowała rozpaczliwie zebrać swoich podopiecznych i odprowadzić ich jak najdalej od tego miejsca.

– Proszę nie blokować przejścia! – zawołała Beara, ale zareagowały tylko dwie osoby, bo reszta jeszcze bardziej napierała na ogrodzenie. Kilka osób wyjęło telefony komórkowe, żeby zrobić zdjęcia. Po co? Dla kogo? Beara wiedziała, że za kilka sekund fotki trafią do internetu.

Podeszła do jednego z gapiów – otyłego chłopaka ze sflaczałą twarzą, który o tej porze dnia powinien być w szkole albo na jakiejś innej uczelni – i wyrwała mu telefon z ręki.

– Co pani robi?! – zawołał.

Ubrany był w typowy dla wschodniobrzeńskiego prekariatu strój: bejsbolówkę, sportowe obuwie z brudnymi sznurowadłami i marmurkowe džinsy. *Moonwashed*. Na Zachodzie znowu nastała na nie moda.

– Odbierze pan swój telefon na posterunku, ale najpierw go sprawdzimy.

– Uważaj, stara...

– Uważaj, młody – przerwała mu Beara. – Możemy to załatwić inaczej. Poproszę o dokumenty...

Beara nie zdążyła dokończyć zdania, gdy chłopak zniknął w tłumie. Kilka innych osób, które obserwowały całą scenę, natychmiast schowało telefony do kieszeni i odeszło. Zaskoczona Beara została z aparatem chłopaka w ręce. Był to najnowszy model iPhone'a dostępny na rynku dopiero od kilku tygodni. Najprawdopodobniej zabrał go jakiemuś nastolatkowi w metrze.

W pewnej chwili zauważyła w tłumie Svena.

– Proszę się rozejść! – wołał. – Tu nie ma nic do oglądania!

Beara schowała telefon do kieszeni i odwróciła się w stronę pani Spengler, wysokiej, mocno zbudowanej kobiety. Tak ją przynajmniej postrzegła Beara, bo Spengler była od niej wyższa o głowę.

– Proszę iść ze mną. Znajdziemy jakieś miejsce, żeby spokojnie porozmawiać, zanim zjawią się tu moi koledzy – powiedziała.

Szybkie zeznanie, równie szybkie sprawdzenie dowodu osobistego i pani Spengler będzie mogła się zająć swoją niesforną trzódką, odprowadzając ją z powrotem w bezpieczne miejsce.

– Widziałam, widziałam! – usłyszała Beara.

W tej samej chwili przecisnęła się do nich dziewczynka w wieku pięciu, sześciu lat. Wyglądała jak orientalna księżniczka z bajki. Gwałtownie rzuciła się swojej opiekunce w ramiona. Spengler przytuliła ją i pocałowała w głowę.

– Nie, Dilshad, ty nic nie widziałaś. Gdzie jest pani Kramer? Przecież miała tu przyjść z drugą grupą!

Pani Kramer pracuje razem ze mną, jesteśmy tu we dwie – rzuciła w stronę Beary. – Czy są z nią Peer i Luise?

– Luise jest jeszcze przy świnkach.

– O mój Boże!

– Niech pani idzie – powiedziała Beara. – Ja zostanę z dziećmi.

Kątem oka zauważyła, że przyjechał drugi radiowóz. Policjanci zaczęli zabezpieczać plac przed wybiegiem dla zwierząt. Pani Spengler biegała dokoła i wywoływała po nazwiskach zagubionych chłopców. Beara trzymała dziewczynkę za spoconą rączkę.

W ten piękny dzień dwie opiekunki wybrały się z grupą siedemnaściorga dzieci na spacer do ogrodu zoologicznego. Pogoda nie mogła być chyba lepsza. Rześki, chłodny poranek zamienił się szybko w na tyle ciepły dzień, że można się było zatrzymać przy budce z lodami. Dziewczynka o imieniu Dilshad nadal miała na wargach ślady czekolady. Beara chciała jej wytrzeć twarz chusteczką, ale przypomniało jej się, że zostawiła ją w domu.

– Co takiego widziałaś? – spytała.

– Świnki pożarły rękę – odparła Dilshad.

Beara stała z dziewczynką na lewo od prowizorycznej blokady policyjnej. Zaraz za nią ciągnął się rów z wodą. Był na tyle głęboki, że zwierzęta nie mogły się przedostać na przeciwny brzeg. Dwa metry dalej, nad kanałem, znajdował się niewielki mostek zasłonięty częściowo krzakami. Ciągłe przybywało gapiów i ciekawskich, którzy obserwowali stadko zwierząt. Beara szukała wzrokiem Svena, ale nigdzie go nie widziała. Jego głos ginął w ogólnym zgiełku.

– Kim on był? – spytała dziewczynka.

– Kto?

– Ten pan, którego pożarły.

Beara spojrzała z góry na małą, która nagle obdarzyła ją wielkim zaufaniem i zadała tak dziwne pytanie.

– A skąd ty wiesz, że to był pan?

Dilshad wzruszyła niepewnie chudymi ramionami.

– Nie wiem. Tak myślę. Czy świnki pożerają też małe dzieci?

– Ależ skąd, one nie jedzą ani dzieci, ani żadnych innych ludzi. Musiałaś widzieć coś innego. Może jakąś zabawkę?

Dopiero w tym momencie zapaliła jej się w głowie czerwona lampka. Przecież nie wolno manipulować pamięcią świadków, nawet jeśli są to przedszkolaki. Pochyliła się, żeby mieć twarz dziewczynki na wysokości swojej twarzy.

– Za chwilę przyjdzie tu ktoś, kto cię o to zapyta. Powiesz, co widziałaś, dobrze?

– Rękę, a świnki ją obgryzały. Był też klaun.

– Klaun?

Ludzie napierali coraz bardziej na policyjną taśmę. Beara z trudem chroniła dziewczynkę przed naporem tłumu. Gapiów ciągle przybywało, aż w końcu zebrało się ich już tylu, że nie mogła ich objąć wzrokiem. Grupa przedszkolaków zebrała się po drugiej stronie. Gdzie, do diabła, jest ekipa od zabezpieczenia śladów? Gdzie jest policja?

– Tam dalej! – usłyszała czyjś krzyk i w tym samym momencie wszystkie głowy skierowały się w tamtą stronę.

Beara zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Na miłość boską, co oni tam znaleźli? Ludzki tułów? Nogę? Zakrzepłą krew na bladej skórze, kawałek ciała oblepiony trawą i ziemią? Tłum zamarł z przerażenia. Gdyby mogła, oddałaby teraz ostrzegawczy strzał.

– Proszę się cofnąć! – krzyknęła.

– Widziałam! – zawołała Dilshad głosem, który przypominał pocieranie kredą o tablicę. – Wiem, kto to był!

Wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę. Tłum znowu zafalował. Beara podjęła rozpaczliwą próbę ochrony dziewczynki. Panie, dopomóż mi, pomyślała. Gdzie jest wychowawczyni, która zostawiła ją samą z rozhisteryzowanym dzieckiem? Co tu robią wszyscy ci ludzie? Dlaczego tak krzyczą? Czy to oznaka paniki?

– Policja! Proszę nas przepuścić! Proszę nie blokować przejścia!

W końcu przyjechali. Wprawdzie jeszcze nie widziała żadnego z policjantów, ale napór wyraźnie zelżał. Dopiero gdy dwóm umundurowanym funkcjonariuszom i opiekunowi zwierząt, którego poznała po zielonych gumowcach i wodoszczelnych spodniach, udało się przedrzeć przez tłum, odetchnęła z ulgą. Opiekun był cały mokry, prawdopodobnie przed chwilą czyścił zbiornik dla pingwinów.

– Chodźmy – powiedziała Beara, odrywając dłoń, którą Dilshad zacisnęła na barierze.

– Ale ja widziałam! – krzyknęła dziewczynka. – Leżała na taczce, a świnka ją strąciła na ziemię i zjadła, a klaun...

Beara dotarła w końcu do szerokiej alejki z ławkami. Zdecydowanymi ruchami rozpychała się w tłumie. Po pewnym czasie ujrzała inne dzieci, które stały bezradnie w miejscu. Dopiero kiedy Dilshad je zawołała, pobiegły szybko w ich kierunku.

– Tam jest Luise! – powiedziała Dilshad, wskazując na jasnowłosą dziewczynkę z drobną twarzą. – Ona też wszystko widziała.

W tym momencie zjawiała się wreszcie pani Spengler. Włosy miała rozwiane, przy bluzce brakowało jej guzika. Prowadziła z sobą dwóch chłopców, którzy mieli taką minę, jak gdyby po tym, co tu się wydarzyło, ich radość z przedpołudniowej wycieczki do ogrodu zoologicznego znacznie wzrosła. Zrozpaczona pani Spengler policzyła dzieci i z westchnieniem ulgi usiadła na ławce. Luise podbiegła do niej, przytuliła swoją jasną główkę i się rozplakała.

– Czy są z panią wszystkie dzieci? – spytała Beara.

Kobieta skinęła na potwierdzenie głową i pogłaskała dziewczynkę uspokajającym ruchem. Sprawiała wrażenie kompletnie zagubionej.

– Proszę jeszcze zostać. Poprosimy panią o złożenie zeznań w tej sprawie.

– Przecież macie już wszystko, czego potrzeba – odparła Spengler. Wstała z ławki i zaczęła poprawiać swoim podopiecznym ubrania i plecaczki. – Teraz muszę odprowadzić dzieci do przedszkola. To musiał być dla nich szok. Na dodatek wszyscy ci ludzie...

Dilshad usiadła obok swojej koleżanki.

– Wszystko widziałyśmy – powtórzyła kolejny raz. – Tam był klaun.

– Bzdura! – zaprotestowała Spengler. – Jesteście już gotowe? Lukas? Gdzie jest Lukas?

– Z tyłu! – odparły chórem dzieci.

– Czy ty zawsze potrzebujesz specjalnego zaproszenia?

Pani Spengler podbiegła do chłopca, który zmierzał w stronę policyjnej taśmy. Beara podeszła do ławki i usiadła obok obu dziewczynek.

– A dlaczego uważasz, że to był klaun? – spytała.

– Bo pchał taczkę i coś na niej leżało.

– A co to było?

Dziewczynka spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. Beara z trudem zdusiła przekleństwo. W takim momencie potrzebny jest psycholog i kompetentny śledczy. Tylko oni potrafiliby zaprowadzić porządek w tym chaosie, a przy okazji zebrać niezbędne informacje, zanim dzieci o wszystkim zapomną albo zanim policjanci z patrolu im wmówią, że to była tylko zabawa, bo będą chcieli je uchronić przed

koszmarami. Beara wyjęła notes i długopis.

– Co leżało na tacy? – spytała.

– To była...

W tym momencie wróciła pani Spengler. Jej wzrok nie zwiastował niczego dobrego.

– Ona nie będzie się wypowiadać. Jest w stanie szoku. Musimy już iść.

– O jakim szoku pani mówi?

Dziewczynka o imieniu Luise uniosła głowę. Przez chwilę zrobiło się luźniej, dzięki czemu widać było ogrodzenie, a za nim dziwne krwawe grudki.

– Kim pani w ogóle jest? – prychnęła Spengler.

– Nazywam się Sanella Beara i jestem policjantką. Byłam... byliśmy właśnie w okolicy... Zresztą nieważne. Wkrótce zjawią się tutaj moi koledzy z policji.

– Sanella? – spytała Luise. Spojrzenie, którym obrzuciła policjantkę, było mieszaniną ciekawości i rozbawienia. – Tak jak ta margaryna?

– Prawie. Czy chciałabyś stąd ze mną gdzieś pójść? Kupię ci lody, a ty mi o wszystkim opowiesz. Tobie też kupię lody, Dilshad.

– Jakie lody? – spytała Luise.

Dilshad wprost zaniemówiła.

– Lody smerfki.

– Chwileczkę! – zaprotestowała pani Spengler.

Reszta dzieci stała przed nią w dwuszeręgu jak ołowiane żołnierzyki. Wszystkie miały taką minę, jak gdyby też miały ochotę na lody.

– To ja ponoszę odpowiedzialność za dzieci i nie chcę, żeby pani z nimi rozmawiała.

Beara zlekceważyła tę całkiem słuszną uwagę.

– Powiedz mi jeszcze raz, ile masz lat – zwróciła się do Luise.

– Pięć lat i jednaście miesięcy. Po wakacjach pójdę do szkoły.

– No proszę. To znaczy, że jesteś już dużą dziewczynką. Opowiedz mi jeszcze raz, co widziałaś.

– Czy pani wolno to robić? – wtrąciła się pani Spengler. – Zamierzam odprowadzić dzieci do przedszkola. Jeśli pani albo pani koledzy z policji potrzebujecie informacji od nich, zwróćcie się w tej sprawie do ich rodziców.

Jeśli w ogóle dojdzie do takich przesłuchań, zostaną przeprowadzone w utrudnionych okolicznościach. Beara obserwowała, jak Rösner rozmawia z opiekunem zwierząt, a policjanci z drugiego radiowozu wypychają ludzi za taśmę. Ani śladu policji kryminalnej czy ekipy od zabezpieczania śladów.

– Muszę panią poprosić o przygotowanie dokumentów do kontroli. Nikomu nie wolno się stąd oddalić. Wydzielimy specjalne miejsce, w którym pani, dzieci i inni świadkowie będą musieli poczekać.

– To niemożliwe!

Beara nabrała powietrza. Czowała się szczególnie w roli osoby sprawującej władzę nad innymi. Przecież takiej władzy nie posiadała.

– Owszem, to jak najbardziej możliwe.

Rozdział 3

Beara przywitała się krótko z dwoma policjantami z drugiego radiowozu, którzy wcześniej byli zajęci niegroźnym wypadkiem, jaki wydarzył się w okolicy, i uzgodniła z nimi, że wydziela tylną część kawiarni, aby można w niej było przesłuchiwać świadków. Upewniła się też, że zostaną tam doprowadzeni wszyscy, którzy twierdzili, że coś widzieli. A takich osób było wiele. Najpierw jednak dopilnowała, aby od grupy przedszkolaków oddzielono obie dziewczynki. Potem chciała „skonfiskować” dwie porcje lodów smurfków z witryny stojącej obok kasy i została pouczona, że a) tak nie wypada i że b) akurat smurfki się skończyły. Są za to równie smaczne zęby wampira o smaku waniliowo-malinowym. Beara zapłaciła i zaniósła lody obu dziewczynkom. Pani Spengler stała obok i nieufnie obserwowała całą scenę.

– Może w końcu usiądziemy? – spytała Beara, wskazując na jeden ze stolików w głębi kawiarni.

Pani Spengler ruszyła się niechętnie i zajęła miejsce. Dziewczynki też się do nich przysiadły. Obie były ważne dla sprawy, stały w jej centrum i być może dlatego zachowywały się niespokojnie. Beara zdjęła czapkę, wyjęła notes i długopis, położyła je przed sobą na stoliku, po czym zaczęła spisywać dane osobowe całej trójki. Odpowiadały mniej lub bardziej chętnie.

– Luise, opowiedz mi dokładnie, co widziałaś.

– Dużą świnię – szepnęła dziewczynka. – Pożerała rękę.

– Nie – wtrąciła Dilshad. Na dworze zrobiło się tak gorąco, że czerwona masa ściekała jej po palcach.

– Ona ją tylko przeżuwała, a potem wypluła. A inne świnki bawiły się piłką.

– To była głowa – stwierdziła Luise, zlizując z warg malinowy sok.

– To wstrętne! – zawołała pani Spengler. – Nie sądzi pani, że już wystarczy tych pytań?

Dziewczynki nie przejmowały się jej uwagami, tylko dalej zajadały lody. Miały pięć i sześć lat i słyszały już w życiu różne bajki: o odciętych mówiących końskich głowach i o złych macochach, które tak długo musiały tańczyć w rozżarzonych żelaznych trzewiczkach, aż padły martwe.

– Już kończę – odparła Beara i odwróciła się do Luise. – Powiedziałaś, że wiesz, co się stało. Podobno wszystko widziałaś. A co takiego właściwie widziałaś?

Luise otworzyła szeroko oczy.

– Klauna.

– Gdzie to było?

– Na dole, przy skrzyżowaniu – wtrąciła znowu pani Spengler.

Beara najchętniej wyprosiłaby ją z sali.

– Co ten klaun robił? – spytała.

– Wjechał na mnie – odparła Luise. Zsunęła skarpetkę i pokazała niewielkie zaczerwienienie na nodze.

– To bolało! A ten klaun wcale nie był taki śmieszny. Miał roztopioną twarz i patrzył na mnie złym wzrokiem. Dał mi balonik i poszedł sobie.

– To był ten drugi.

– Nie! Ten zły. Zrobił mi krzywdę.

Pani Spengler wyjęła papierową chusteczkę i otarła Luise usta.

– To otarcie masz z placu zabaw.

– Nie! To było tutaj! – broniła się dziewczynka.

Mało brakowało, a pani Spengler wcisnęłaby jej chusteczkę w usta.

– Przecież upadłaś. Już nie pamiętasz?

Beara osunęła się bezsilnie na krzesło. Te dzieci... Dilshad uniosła palec jak w szkole, gdy ktoś się zgłasza do odpowiedzi.

– To prawda, co pani mówi – powiedziała. – Ale potem poszliśmy do świnek, a one tak głośno kwiczały i krzyczały, pchały się na siebie i jadły.

– A potem jedna pobiegła przodem – wpadła jej w słowo Luise. – Miała rękę w pysku. Druga biegła za nią i chciała jej tę rękę odebrać.

– Zadowolona? – spytała pani Spengler, patrząc nerwowo w stronę wyjścia.

Lokal był nadal nieczynny, ale zjawili się już pierwsi rodzice, którzy wdali się w nerwową dyskusję z policjantami stojącymi przy taśmie. Dziewczynki były zajęte jedzeniem lodów, które się topiły i kapały na ich krótkie kolorowe sukienki.

– Czy to była prawdziwa ręka?

Dilshad zadała to pytanie cichym głosem. Miała tak bladą twarz, że jej czerwone wargi wyglądały na jej tle jak dwie rozżarzone kreski.

– Nie wiem – odparła Beara. – Musimy to dokładnie sprawdzić. Może doszło do jakiegoś wypadku? Takie rzeczy się zdarzają. Tak czy inaczej, byłyście wspaniałe. Gdyby wszyscy ludzie reagowali tak szybko jak wy, cały świat wyglądałby lepiej.

– Naprawdę? – spytała Luise. Zlizwała resztę lodów z patyka, odłożyła go na stolik i wytarła dłonie o sukienkę.

– Naprawdę. Muszę wam powiedzieć, że wiele razy mnie denerwowało, że ludzie przechodzą koło takich spraw obojętnie. Powinni brać z was przykład.

– Dziękuję – odparła Dilshad cicho.

– Okej – powiedziała Beara, wstając z krzesła. – A gdzie jest tamten balon?

Luise spuściła wzrok na podłogę.

– Wypuściłam go. To było takie... uuuch.

Pani Spengler objęła ją ramieniem i spojrzała z wyrzutem na policjantkę.

– Skończyła pani?

– Bardzo dziękuję – zapewniła ją Beara. Sięgnęła po czapkę i włożyła ją. – Dzieci, macie wspaniałą wychowawczynię. Świetnie do was pasuje. Szkoda, że ja takiej nie miałam. Bądźcie dzielne i nie utrudniajcie sobie życia. Do widzenia.

– Do widzenia – odparła pani Spengler zdziwiona jej opinią.

Rozdział 4

Po wyjściu z kawiarni Beara zaczęła się zastanawiać, dlaczego na dworze panuje większy zaduch niż w lokalu. Rodzice ruszyli w jej stronę, ale nie chciała odpowiadać na ich pytania. Tłumaczyła im, że w każdej chwili mogą się zjawić policjanci z sekcji kryminalnej. Zaczęto też w końcu zabezpieczać niektóre ślady. Jakiś chudy mężczyzna wydał opiekunowi zwierząt polecenie, aby ten wypompował wodę z rowu. Obok stał podenerwowany inspektor z zoo, którego opiekun poinformował chwilę wcześniej o zaistniałym zdarzeniu. W ręku trzymał telefon komórkowy, który co chwilę przykładał do ucha, żeby krótko zameldować komuś o tym, co się właśnie dzieje. Prawdopodobnie rozmawiał ze swoim przełożonym. Co jakiś czas dawał chudemu mężczyźnie jakiś znak, jak gdyby chciał mu powiedzieć: „Może pan już odejść”. Ten potwierdził skinieniem głowy, że rozumie. Ubrani w białe kombinezony mężczyźni zaczęli centymetr po centymetrze sprawdzać miękkie podłoże. Beara zatrzymała się przed ogrodzeniem. Chudy zauważył ją, podszedł bliżej i wyciągnął do niej rękę, żeby się przywitać.

– Co znaleźliście? – spytała Beara.

– Ludzką dłoń, połowę podudzia i coś, co przypomina...

Mężczyzna zrobił przerwę. Był od niej wyższy o dwie głowy i miał tak zmęczony wyraz twarzy, jak gdyby przed chwilą opróżnił zbiornik pełen ludzkiej biedy i nędzy. Rozpiął górny guzik koszuli i zaczął się wachlować kołnierzykiem, żeby wpuścić pod nią trochę powietrza. Miał wąską twarz pokrytą licznymi zmarszczkami, które zbiegały mu się pod podbródkiem. Przez chwilę spoglądał spod ciężkich powiek na swoją rozmówczynię mądrymi oczami. Być może chciał ocenić, czego może się po niej spodziewać.

– W podwórzu jest klinika dla zwierząt – dodał. – Każę tam zanieść skrzynki. Profesor Hausmann jest już w drodze.

No proszę. Szara eminencja medycyny sądowej.

– Jedzie prosto z imprezy charytatywnej, powinien tu wkrótce być. Sam zadeklarował pomoc. Ciekawa historia. Nie co dzień można coś takiego przeżyć.

Mężczyzna spojrział jej przez ramię w stronę pustego wybiegu, który rozciągał się na łagodnym wzgórzu od rowu wypełnionego wodą. W środku znajdował się płaski teren, na którym stał paśnik dla zwierząt zrobiony z ciemnego nieheblowanego drewna. Bearze wydawało się, że wśród resztek jedzenia widzi obierki i marchewki.

– Gdzie są pekari? – spytała.

– Musieliśmy je zapędzić do pomieszczenia, ale długo tam nie zostaną.

– Ile ich jest?

– Tuzin.

Mężczyzna zamilkł i obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem. Trwało to tak długo, aż Beara w końcu zrozumiała, co miał na myśli.

– Wygląda na to, że będę musiała poinformować weterynarza – powiedziała. – Mam nadzieję, że obrońcy praw zwierząt nie będą z tego powodu protestować.

– A ja mam nadzieję, że wkrótce zjawi się inspektor. Na wszelkie dalsze działania potrzebna jest nam

jego zgoda.

Beara odwróciła się w stronę inspektora, który nadal rozmawiał przez telefon. Nie słyszała, o czym, ale w jego głosie wychwyciła nutkę rozpaczy. Cały czas rzucał niespokojne spojrzenia w stronę wybiegu.

– Kiedy przyjedzie Gehring? – spytał chudy.

Gehring – naczelnik wydziału kryminalnego. Młody, dynamiczny, arogancki. Wszyscy go znali, wiedzieli też, że nigdy się nikomu nie kłania.

– Powinien tu być lada moment – odparła Beara. – Od razu poinformowałam posterunek na Sedanstrasse. Zobaczmy, komu Gehring... – ...połamie kości, chciała powiedzieć, ale darowała sobie tę uwagę.

– Świetnie sobie pani radzi.

– Co pan ma na myśli?

– Udało wam się opanować sytuację. Chłopaki z sześćdziesiątki czwórki będą się cieszyć, że wykonaliście za nich tyle roboty.

– A konkretnie?

Czyżby zjawiała się tu zbyt prędko? Zabrała się do tego zbyt energicznie? Była zbyt samodzielna? Przecież tego się od niej oczekuje. Nie chodzi tylko o zwykłe wykonywanie obowiązków, tylko o zdolność do podejmowania decyzji i siłę działania.

Mężczyzna odwrócił się, żeby odejść.

– To, co powiedziałem. Jeśli to zwykły wypadek, wykonała pani świetną robotę.

– A jeśli nie?

– Wtedy sprawę przejmie Krajowa Policja Śledcza. W tej sytuacji dobrze by było, gdyby zwykła policja już się tą sprawą nie zajmowała.

Beara pomyślała o obu dziewczynkach, o balonie, który uleciał w powietrze, i o zdraśnięciu spowodowanym przez klauna, którego istnienie stało pod znakiem zapytania. Celem tego przesłuchania nie było zdobycie dowodów, tylko co najwyżej udzielenie pierwszej pomocy. Nikt nie będzie jej stawiał z tego powodu zarzutów.

– Co może mi pan powiedzieć? – spytała.

– Nic – odparł mężczyzna. – Na razie nic.

„Zwłoki w ogrodzie zoologicznym”, „Człowiek zagryziony przez brazylijskie pekari”, „Fragmenty ciała znalezione w korycie z karmą dla zwierząt” – całkiem możliwe, że właśnie o takich nagłówkach myślał fotograf, który wielokrotnie naciskał wyzwalacz swojej lustrzanki. Na miejscu zjawiała się prasa. Najpierw ekipa filmowa z RBB. Kiedy Beara szła w stronę policyjnej taśmy, wychwyciła urywki zdań wypowiedzianych przez jednego z fotoreporterów: „Młode tygrysiątka są nieważne... To pójdzie na początku materiału... Dyrektor jest w drodze, zaraz tu będzie, powiedzcie ze trzy zdania... Prawdopodobnie nieszczęśliwy wypadek... Agresywne zwierzęta... Nikt nie chciałby spotkać się z nimi sam na sam w ciemnym lesie”. Po chwili na miejsce przybyli kolejni dziennikarze. Zebrali się w grupie i zaczęli wypytywać o rzecznika prasowego policji. Opiekun zwierząt wskazał na Bearę, ale ta uniosła ręce w obronnym geście.

Słowa policyjnego technika zaniepokoiły ją. Nie powinna działać zbyt gorliwie. Do jej obowiązków należało zabezpieczenie terenu, gdzie odkryto znalezisko, i zatrzymanie świadków. Tylko tyle. Za każdym razem gdy któryś z dziennikarzy o coś ją pytał, wzruszała ramionami. Nie namówią jej do żadnych wypowiedzi, jest zwykłą policjantką, która patroluje ulice. Postawiono ją w tym miejscu, bo na tym polega jej praca. W tym momencie z kawiarni wyszedł Sven Rösner. W ręce trzymał papierowy kubek z colą.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Jak najbardziej.

– No to czemu to tak długo trwa?

– Roboty drogowe.

Rzeczywiście na skrzyżowaniu świetlnym przy Frankfurter Strasse trwały jakieś prace. Beara skinęła głową. Na miejscu zjawily się kolejne dwa radiowozy, które zabezpieczyły cały wybieg i drogę dojazdową. A ponieważ gapiów udało się odsunąć na większą odległość, od razu zrobiło się trochę spokojniej. Po pewnym czasie nadjechał samochód ze sprzętem elektrycznym. Chudy mężczyzna z ekipy zabezpieczającej ślady – ten sam, z którym Beara przed chwilą rozmawiała – załadował na przyczepę skrzynkę.

– Proszę pani! – zawołał, machając w jej stronę ręką. – Czy może pani ze mną pojechać i zerknąć na to? Nikt inny nie chce mi pomóc. Wiozę to do kliniki dla zwierząt. Niedawno została włączona w struktury zakładu medycyny sądowej.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. A więc profesor Hausmann nie tylko jest już na miejscu, ale także postanowił wydać pierwszą ekspertyzę. Pekari trafią pod jego nóż tak szybko, że nawet nie zauważą, co się stało.

– Co jest w środku? – spytała Beara, wskazując na skrzynkę.

– Głowa – odparł technik ściszone głosem.

Zabudowania gospodarcze zupełnie nie przypominały innych obiektów stojących na terenie ogrodu zoologicznego. Znajdowały się w miejscu, które wyglądało na zupełnie zapuszczone. Prowadziła do niego niedbale wybetonowana ścieżka. Kierowca wskazał ręką na halę, która swoje najlepsze lata miała już za sobą.

– W latach pięćdziesiątych przebywały tam słonie – wyjaśnił. – Magazyn, kotłownia, pomieszczenia dla zwierząt, silosy, chłodnie, kuchnia, w której przygotowywano karmę dla zwierząt, stodoła na siano, rzeźnia, a tuż obok lecznica dla największych zwierząt.

Beara uniosła brwi.

– Na przykład dla słoni. Ostatnio jeden z nich chodził tyłem i zerwał sobie więzadła.

Mężczyzna zatrzymał samochód przed niskimi zabudowaniami lecznicy. Stały tam zaparkowane dwa inne samochody: czarny mercedes i wóz dostawczy. Przed wejściem stali dwaj umundurowani policjanci. Wyglądało na to, że do ogrodu ściągnięto w pilnym trybie połowę funkcjonariuszy z Berlina. Dla wielu z nich musiała to być całkiem przyjemna odmiana, bo większość zbrodni nie jest popełniana w takich zielonych, urokliwych miejscach. Przy odrobinie szczęścia można tu było nawet spotkać pawie, które majestatycznym, królewskim krokiem przechadzały się po wybetonowanych alejkach, chwając się wspaniałymi, rozłożystymi, lśniącoimi ogonami.

Beara wysiadła z samochodu i poprosiła obu policjantów, aby pomogli jej zdjąć skrzynkę z wozu i wnieść ją do budynku. Nie zdradziła im jednak, co jest w środku.

Po chwili znalazła się w dużym, prawie zupełnie pustym pomieszczeniu. Na samym środku stał wielki stalowy stół. W nozdrza uderzył ją zapach świeżej krwi, moczu i zwierzęcej sierści. Pomieszczenie wyłożone było starymi kafelkami, które pamiętały czasy NRD. Okna były małe, rury szerokie, pokryte grubą warstwą kurzu, podłoga wilgotna, jak gdyby przed chwilą ktoś spryskał ją wodą. Pracownik ogrodu w ochronnych pokrowcach na butach przewoził coś do najbardziej oddalonego zakątka hali. Wyglądało to jak wypatroszony korpus antylopy. Beara przypomniała sobie artykuł o grupie przerażonych turystów zwiedzających zoo. W pewnej chwili ujrzeli lwy, które pożywiały się rzuconą im martwą zebrawą. Beara oderwała spojrzenie od zwłok antylopy i skupiła je na narzędziach, które ekipa zabezpieczająca

ślady rozłożyła na stalowym stole. Mężczyzna w białym fartuchu oglądał właśnie to, co zostało dotychczas znalezione: połowę goleni, dłoń i część czegoś, co mogło być fragmentem pleców.

Beara kazała policjantom postawić skrzynkę na stole. Mężczyzna uniósł pokrywę i szybko opuścił ją zrezygnowanym gestem.

– Dziękuję – powiedział. – Teraz uda nam się to skompletować prawie w połowie.

Beara przełknęła ślinę. Służbę rozpoczęła o szóstej i dość szybko zrobiła sobie przerwę na lunch. Friedrichsfelde leży daleko na wschodzie, więc skorzystała z okazji, aby sprawdzić, czy na daczce w Köpenick wszystko jest w porządku. Jej ojciec otworzył dla niej puszkę ravioli. Teraz czuła się tak, jak gdyby najadła się kamieni. Może weterynarz ma przy sobie jakiś środek na ból brzucha? Na przykład buscopan?

– Przepraszam, że panu przeszkadzam... – zaczęła Beara.

Mężczyzna w białym fartuchu odwrócił się tak powoli, że można było odnieść wrażenie, iż się w ogóle nie porusza.

– ...Posterunkowa Sanela Beara. To ja byłam pierwsza na miejscu zdarzenia.

– Jochen Haussmann – odparł mężczyzna z wymuszoną uprzejmością. Wiedział, że wszystko, co teraz powie, będzie musiał powtórzyć prowadzącemu śledztwo.

Beara podeszła do stołu i spojrzała na zestaw instrumentów. Zastanawiała się, czy pekari zostaną zabite, czy tylko zoperowane. Gdyby chodziło o sfore kundli, nikt by się nawet nie zastanawiał. Ale kilkanaście sztuk pekari?

– Czy to mężczyzna? – spytała z czystej ciekawości. Nie chciała, żeby zabrzmiało to jak przesłuchanie.

– Prawdopodobnie. Kościec szeroki, ciało owłosione. Oceniam, że miał od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat. Czeka nas ciężka praca.

– Czy to był nieszczęśliwy wypadek?

Haussmann stłumił westchnienie.

– Wprawdzie nie jestem Hanussenem², ale mogę powiedzieć, że ręka została odgryziona. Fragmenty ciała, które do tej pory odnaleziono, noszą ślady podobnych obrażeń.

– Czas śmierci?

– Proszę o trochę cierpliwości. Mam nadzieję, że to nie wszystko, co pozostało z ofiary.

Po tych słowach Haussmann spojrzał na nią z pewną życzliwością, a może nawet ze współczuciem. Beara miała nadzieję, że jednak wywarła na nim pozytywne wrażenie. Przecież to ona znalazła fragmenty ciała na miejscu zdarzenia. Ale Haussmann nie wiedział, że niedawno złożyła wniosek o przeniesienie na wyższe stanowisko i o zgodę na naukę w Wyższej Szkole Handlowo-Prawnej. Na komendzie na Sedanstrasse nikt o tym jeszcze nie wie, z wyjątkiem jej bezpośredniego przełożonego, który musiał zaakceptować jej wniosek. Oboje wiedzieli, że nie zrobił tego ze względu na jej szczególne zdolności. Na dodatek nie należała do jego faworytów. Była po prostu jedną z tych osób, które zaciskają zęby i nie tracą wiary w to, że gorliwa praca i gotowość do poświęceń nadal się liczą. Ważna jest też silna wola. Żelazna, a nawet stalowa. Komisarz Gehring z komendy na Sedanstrasse zaraz tu przybędzie. Poczuela, jak wilgotnieją jej dłonie. Przecież rzadko się zdarzało, że naczelnik wydziału kryminalnego spotyka się na miejscu zdarzenia ze zwykłą posterunkową, która jest jego podwładną. Musi więc wykorzystać tę szansę, bez względu na koszty.

– Czy do zdarzenia mogło dojść nocą? Może to jakiś pijany, który wspiął się na ogrodzenie i został zaatakowany przez zwierzęta?

Haussmann miał na pewno ze trzy tytuły doktorskie, kilka honorowych tytułów profesorskich i listę publikacji tak długą jak kartoteka przestępstw groźnego kryminalisty. Na pewno był też cierpliwy. Jego cierpliwość szła w parze z zainteresowaniem wobec drobnej policjantki. Beara poczytała mu to za zaletę.

– Na razie zdążyłem obejrzeć to znalezisko pobieżnie. Musimy poczekać, aż w żołądku znajdziemy coś więcej. Co to za zwierzę?

– Pekari.

– No właśnie. Brzegi ran podeszły w niektórych miejscach krwią. Krwiaki na brzegach ran skłaniają do wniosku, że mężczyzna jeszcze żył, gdy był rozczłonkowywany.

– Przecież przed chwilą pan powiedział, że...

Jej wzrok spoczął na piłce do kości i na toporkach wiszących na ścianie.

– Gdy był pożerany... – poprawił się Haussmann. – Przykro mi, ale muszę się przyznać, że nigdy się z czymś takim nie zetknąłem. Pod mój nóż trafiały już groźne psy, zwłaszcza takie, które zaatakowały dzieci, ale świnie...

Beara poczuła, jak robi jej się niedobrze. Zastanawiała się, czy właśnie to ją czeka, gdy skończy studia i awansuje.

– Niedługo zjawi się weterynarz. Przywiezie zwierzęta. Zobaczymy, co będzie dalej. Wszystko, co do tej pory znaleźliśmy, jest już w drodze do laboratorium. – Po tych słowach Haussmann ściągnął z dłoni gumowe rękawiczki. – Trawienie to najbardziej agresywne zjawisko, jakie wymyśliła natura. U zwierząt przebiega równie szybko jak u ludzi. À propos... dawno nie byłem w tym zoo. Czy jest tu gdzieś kawiarnia?

Ogród zoologiczny, nie zoo, sprostowała w ramach protestu Beara. Ale o tym wiedzą tylko ci ze Wschodu. Tymczasem Haussmann wyglądał na kogoś, kto studiował w Heidelbergu i tę całą absurdalną historię opowie znajomym podczas imprezy przy kominku.

– Przyniosę panu kawy – odparła. Uznała, że napój na pewno dobrze mu zrobi.

– Mnie też proszę przynieść.

Beara odwróciła się. Za nią stał ubrany w jasny garnitur mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat. Podeszedł do niej tak cicho, że go nie usłyszała, a teraz witał się z Haussmannem:

– Profesor Haussmann! Przepraszam, ale szybciej się nie dało. Co tu mamy?

Haussmann obrzucił swego rozmówcę zagadkowym spojrzeniem. Gehring był wysokim, barczystym, wysportowanym mężczyzną. Najwyraźniej uważał, że prezentuje się tak znakomicie, iż nikt mu się nie sprzeciwi. Włosy miał krótko ostrzyżone i widać było, że z lubością ubiera się w wąskie, cienkie swetry i koszule, które podkreślały linię jego barków i ramion. Z niezrozumiałych względów wkładał spodnie o jeden numer za małe. Głowę miał wąską, jak gdyby tuż po przyjściu na świat ktoś mu ją ścisnął prasą drukarską, a jej nieproporcjonalny wygląd podkreślały wąski nos i ostro ścięte usta.

– Sam pan widzi. Ale ostrzegam, to niezbyt przyjemny widok.

– Zdążyłem się przyzwyczaić.

Haussmann wykonał zachęcający ruch ręką. Obaj dobrze się znali, a Beara odniosła wrażenie, że na jedną tysięczną sekundy w oczach Haussmanna pojawiły się lekko złowieszcze błyski. Gehring z wyraźną ciekawością uniósł pokrywę pudełka, ale od razu ją opuścił. Wydał z siebie głośny jęk i wyjął z przedniej kieszeni spodni sfatygowany numer „Tempa”.

– O Boże. Chyba pozostanę przy zdjęciach.

– To nam znacznie ułatwi pracę.

– Co może mi pan już powiedzieć? – spytał Gehring. – Pani Bearo – powiedział.

Sanela drgnęła, bo nie spodziewała się, że Gehring zna jej nazwisko.

– Czarna, bez cukru. Świetna robota. Dziękuję. Nie wygląda pani najlepiej. Nos jakiś taki zielony. Radzę też napić się kawy. Proszę też znaleźć dyrektora zoo. Jak najszybciej.

– To nie jest zoo, tylko ogród zoologiczny – sprostowała Beara, ale Gehring już jej nie słuchał.

Wyszła z hali. Kierowcy i samochodu już nie było. Kilka kroków dalej zauważyła bele słomy, więc

siadła na jednej z nich, zanim nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zastanawiała się nad faktami i powoli ogarniał ją strach, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Do tej pory brała udział w zabezpieczaniu miejsc, w których doszło do nieszczęśliwych wypadków, odciągała mężczyzn od pobitych prawie na śmierć kobiet, raz musiała użyć broni, raz zatrzymała handlarza narkotyków. Była przygotowana na spotkanie z tym, co życie wylewało codziennie do rynsztoka. Widziała ludzkie zwłoki ze spokojnym, łagodnym wyrazem twarzy, ale zdarzały się też twarze wykrzywione strachem przed śmiercią. Wchodziła do mieszkań, w których czekało na nią bezgraniczne zło: okrucieństwo, pogarda, sadyzm. Miała dwadzieścia sześć lat, ale czasem czuła się jak sześćdziesięciolatka. Do policji kryminalnej wstąpiła nie tylko dlatego, że chciała znaleźć odpowiedź na pytanie „jak”, ale także „dlaczego”. Lecz to, co zastała tutaj, przekroczyło jej najgorsze wyobrażenia: człowiek został pożarty przez dzikie zwierzęta prawdopodobnie żywcem. Oby tylko się okazało, że to był nieszczęśliwy wypadek, pomyślała. Na przykład jakiś pijany przechodzień albo diabełek przewraca się w krzakach i budzi nocą. Nie może znaleźć wyjścia, myli drogę i staje twarzą w twarz z tymi złośliwymi bestiami, które składają się z samych mięśni. Zwierzęta nie są z gruntu złe, ale czasem wpadają we wściekłość.

Co je wprowadziło w taką złość?

Nabrała głęboko powietrza. W pewnej odległości od miejsca, gdzie siedziała, zauważyła wejście do pomieszczeń gospodarczych. Silos, garaże i inne budynki, w których mieściła się pewnie cała administracja. W jednym z nich stały taczki i traktor. W barakach za tymi zabudowaniami przechowywano pozostały sprzęt. I tylko pawie sprawiały, że nie był to obraz zwykłego letniego dnia w normalnym gospodarstwie. Cały teren liczył sto sześćdziesiąt hektarów. Beara nie wiedziała, ile zmieściłoby się tutaj boisk piłkarskich, ale kilka na pewno. Wyliczyła, że na drogę do kawiarni i z powrotem będzie potrzebowała przynajmniej pół godziny.

W pewnym momencie minął ją samochód osobowy, za którym unosiły się tumany kurzu. Kierowca jechał w stronę kliniki. Prawdopodobnie wiózł pekari. Kiedy kurz opadł, po drugiej stronie ulicy zauważyła kobietę. Choć na dworze panował upał, kobieta była ubrana w obszerny fartuch i gumowe buty. Stała z twarzą wystawioną do słońca i paliła papierosa. Niski budynek, przed którym się znajdowała, pokryty był szarym tynkiem. Z powodu gry świateł i cieni Beara nie umiała określić, co znajduje się w środku.

W tym momencie zadzwonił jej telefon komórkowy. Zgłosił się Sven, który poprosił ją o pomoc przy zabezpieczeniu terenu. Okazało się, że na miejscu zjawili się dyrektor parku, trzy ekipy telewizyjne, a także ponad dwudziestu fotoreporterów i dziennikarzy. Tego ranka byli umówieni na sesję z nowo narodzonymi tygrysiątkami. Nic więc dziwnego, że nie chcieli przepuścić takiej okazji. Beara poprosiła Rösnera, żeby dał jej dziesięć minut, tłumacząc to obecnością Gehringa i jego prośbą o przyniesienie kawy. Wyraziła nadzieję, że może uda jej się ją dostać od kogoś z pracowników. Rösner pracował już z Gehringiem wcześniej i tak jak wielu innych policjantów wiedział, jaką sławą cieszy się naczelnik, dlatego nie protestował. Beara ruszyła w stronę stojącej przed budynkiem kobiety, która na jej widok natychmiast rzuciła papierosa na ziemię i zrobiła kilka kroków w jej stronę.

– Dzień dobry, nazywam się Sanela Beara. Gdzie mogłabym dostać kawę? – Kobieta obrzuciła ją uważnym spojrzeniem. Beara stała pod światło.

– Może na stołówce? – odparła.

A więc jednak będę musiała tam pójść, pomyślała Beara. Chciała już podziękować i ruszyć w tamtym kierunku, gdy kobieta dodała:

– Być może znajdę trochę rozpuszczalnej u nas. Pasuje pani?

– Jasne – odparła Beara. Przecież Gehring nie wysłał jej po *soja latte*.

– Chwilę to potrwa. Proszę poczekać.

Kobieta miała ciepły głos, który kontrastował z jej mocną posturą i niemodnym ubraniem. Mogła mieć najwyżej trzydzieści kilka lat i wyglądała na osobę o silnej osobowości. Miała małe okrągłe oczy i zaciśnięte usta – Beara automatycznie zapisywała te szczegóły w pamięci. Środkowoeuropejski typ urody. Silna, z pewnością nawykła do pracy fizycznej.

Kobieta weszła do baraku, a Beara została na ulicy. Warkot silnika dobiegający zza kliniki w końcu ucichł. Wokół zapanowała cisza. Nagle Beara usłyszała jakieś dziwne dźwięki. Przypominały gryzienie, drapanie, szeleszczenie, syczenie... jak gdyby jakieś stworzenie grzebało w ziemi za pomocą stu tysięcy stóp. Dźwięki dobiegały zza krzaków za barakiem, z małego pomieszczenia wzniesionego obok budynku. Nie rzucało się w oczy, bo przypominało typową prowizorkę i było porośnięte grubą warstwą bluszczu, jak gdyby ktoś celowo zamierzał je ukryć pod roślinnością, jakby mu zależało, żeby nie zauważyły go czyjeś ciekawskie oczy, jak gdyby ten ktoś chciał się schronić wśród zarośli i dzikich pnączy. Całkiem możliwe, że pomieszczenie służyło kiedyś za klatkę, bo z przodu miało, widoczne tylko z bliska, pręty. Do środka prowadziły żelazne drzwi, które w tym momencie były uchylone. Beara zauważyła, że są w nich nowe zamki, które musiały sporo kosztować. Kontrastowało to z popękany tynkiem ściany baraku i rdzą pokrywającą drzwi i pręty. Zastanawiała się, co kryje się w tak dobrze strzeżonym budynku.

Pchnęła drzwi i usłyszała skrzypienie zardzewiałych zawiasów. Po lewej stronie od frontowej ściany, która chyba graniczyła z barakiem, stała żelazna szafka, podobna do tych, jakie znajdują się w przebieralniach. Między skrzynią a szafą wisiał wąż. W pewnym momencie dziwne odgłosy ucichły, słychać było tylko syczenie.

– Tu nie wolno wchodzić.

Beara się odwróciła. Za nią stała kobieta, która poszła po kawę. Odsunęła girlandę roślin i wskazała na wyblakłą emaliową tabliczkę z napisem „Wstęp wzbroniony”, wiszącą na drzwiach.

– Co tu jest? – spytała Beara.

– Nie powinno to pani interesować. Proszę stąd wyjść. Wstęp mają tu tylko osoby upoważnione. Chyba że pani tu czegoś szuka.

– A powinnam?

Nastąpiła krótka pauza, po której kobieta spytała:

– Czy przyszła tu pani z powodu pekari? Udało się ustalić coś nowego?

– A co pani wie o tej sprawie?

– Tylko tyle, co tu do mnie dociera. Słyszałam, że ktoś przedostał się nocą przez ogrodzenie.

– Kto tak twierdzi?

Kobieta weszła w końcu do środka. Beara uznała to za ciche przyzwolenie i poszła za nią. Ogarnął ją dziwny lęk. Ze stalowej skrzyni dobiegały jakieś odgłosy, ale były trochę cichsze niż przedtem.

– Dowiedziałam się o tym od opiekunów zwierząt. W zeszłym roku w Lipsku jakiś mężczyzna przeszedł nocą przez żelazne ogrodzenie i zginął.

– Czy ten teren nie znajduje się pod stałym nadzorem?

– Oczywiście. Tak jak w Lipsku.

Beara poczuła lekki powiew wiatru. Pod jego wpływem zaszeleściły liście na drzewach. Podeszła do stalowej skrzyni. Pokrywa była zablokowana rygłem.

– Co jest w środku? – spytała.

– Szczury.

– Czy mogłabym je zobaczyć?

– Nie.

Kobieta podeszła do stalowej szafy i otworzyła ją. W środku stała butla gazowa. Beara położyła dłoń na kaburze. Sytuacja nie wyglądała groźnie, ale wolała mieć broń pod ręką.

- Niech pani otworzy skrzynię – powtórzyła.
- Nie teraz – odparła kobieta, przekręcając kurek.
- Dlaczego?
- Bo jeszcze żyją.

Beara poczuła, jak włosy jeżą jej się na głowie, a pasek od kabury wrzyna się w ciało. Z trudem oddychała, być może z powodu smrodu panującego w pomieszczeniu. Wiatr zmienił kierunek i niósł z sobą zapach czegoś, co trudno było jednoznacznie określić: sfermentowanej karmy, wilgotnego siana, chleba, marchwi, gazu...

- Co to jest? – spytała Beara, wskazując na nieznane jej urządzenie.
- Komora gazowa.

Beara przestała na moment oddychać. Szok? Stres pourazowy? Większość ludzi nie ma pojęcia, ile potrafi znieść, dopóki ich ciało nie zostanie poddane testowi.

– Trafiała pani do miejsca, gdzie przygotowujemy karmę dla zwierząt. Dwadzieścia litrów dwutlenku węgla na minutę przez pięć minut. Jeśli otworzymy tę pokrywę wcześniej, przedłużymy zwierzętom męki albo nadzieję na życie. Takich rzeczy nie wypada robić.

„Takich rzeczy nie wypada robić...” Innymi słowy: bądźmy uprzejmi podczas gazowania.

Kobieta się uśmiechnęła, ale jej uśmiech nie był ani przyjacielski, ani ciepły. Przypominał raczej grymas.

- Pewnie pani myślała, że zwierzęta żyjące w ogrodzie zoologicznym są wegetarianami?
- Oczywiście, że nie.

Mimo wymiany zdań kobieta sprawdzała poziom dozowanego gazu i położenie kurka.

– Hodujemy tu myszy, świnki morskie, króliki i szczury. Karmimy nimi węże i drapieżne ptaki. Hodujemy też kurczęta dla dromaderów. Wszyscy myślą, że one jedzą tylko siano, ale to nieprawda. Na przykład na dzisiaj mam zamówienie na pięćdziesiąt myszy, które mają nie więcej niż trzy tygodnie. Muszę je jakoś sprawiedliwie podzielić.

– Czy przygotowuje pani także karmę dla pekari?

– Tak. Dwa razy po trzydzieści kurcząt tygodniowo. Poza tym dostają mieszankę karmy dla świń, a czasem skapnie im też coś z kubła na odpady pooperacyjne. Pekari lubią dostawać coś do obgryzania.

– Odpady pooperacyjne?

– To takie nasze żartobliwe określenie... Mięso dla zwierząt drapieżnych tniemy na kawałki, a to, co zostanie, trafia do kubłów na odpady. Opiekunowie zwierząt biorą z nich to, czego potrzebują. Resztę zabiera zakład oczyszczania miasta.

Beara odsunęła na bok długą wstęgę bluszczu i wyjrzała na zewnątrz. Kobieta stanęła obok niej i skinęła głową.

– Od lat powtarzam, że powinni to usuwać. Zwłaszcza latem. Kiedy wiatr zmienia kierunek, cały smród wpada do mieszkań. Nie da się wtedy otworzyć okien.

Ogród zoologiczny otaczały domy z wielkiej płyty, które przypominały potężny mur. To dzielnica Lichtenberg.

– Jestem prawie gotowa – powiedziała kobieta. – Za dziesięć minut wyjmę je ze środka. Czy chce pani przy tym być?

– Dziękuję, ale to nie jest konieczne.

Beara wyszła za kobietą na ulicę prowadzącą do budynku administracji. Droga dojazdowa była wyłożona wielkimi zwietrzalymi płytami betonowymi. Przez szczeliny przebiła się trawa. Kobieta zatrzymała się przy drzwiach baraku. Zanim weszła do środka, Beara spytała:

– Kim pani jest?

- Nazywam się Charlotte Rubin, ale wszyscy nazywają mnie Charlie. Jeśli chce się pani dowiedzieć czegoś więcej, proszę się zwrócić do rzecznika. Organizacyjnie podlegamy pod zoo dla dzieci.
- Dla... dzieci?
- Tak. A teraz pójde przygotować kawę. Ma pani jeszcze ochotę?

[2](#) Erik Jan Hanussen (1889–1933), austriacki iluzjonista i mentalista, uznawany za jasnowidza.

Rozdział 5

Beara weszła do baraku przez wąską sień. Po prawej stronie mieścił się pokój socjalny dla pracowników. Jej oczom ukazał się podobny widok jak w klinice dla zwierząt: chropowaty tynk na ścianach, łuszcząca się farba, niewykończona posadzka. Na stoliku cerata i ceramiczna wanienka do płukania. Ostatni remont przeprowadzono tu prawdopodobnie jeszcze za czasów NRD. Rubin przechodziła obok wiszących na ścianie półek, na których stały słoiki z marmoladą, leżały ołówki, opakowania herbaty i otwarte pudełka z ciastkami. W końcu udało jej się znaleźć kawę. Otworzyła puszkę i zaczęła rozdrabniać jej stwardniałą zawartość łyżeczką.

– Ja piję w zasadzie tylko herbatę – wyjaśniła. – To są resztki pozostawione przez pracowników, którzy przed rokiem byli tu na wakacyjnym zastępstwie. Nie wiem, czy można zaparzyć z tego kawę – stwierdziła, oddzielając od stwardniałej masy kilka grudek.

– Oczywiście – odparła Beara. – Dziękuję, że zadała pani sobie tyle trudu.

– Nie ma sprawy – powiedziała Rubin.

Wyjęła z otwartej szafki dwa kubki i włączyła elektryczny czajnik.

– Mleczko? Cukier?

– Dwa razy czarna bez cukru.

Beara nadal stała w drzwiach.

– Niech się pani spokojnie rozejrzy.

Po lewej stronie pokoju stały dwie skrzynie, w których roiło się od szczurów. Były ich tam dziesiątki albo nawet setki, od zupełnie małych aż po dorosłe osobniki. Beara podeszła do skrzyni z samicami, które niedawno urodziły młode. Drobnie różowe stworzenia przyciskały się do ich sutek, wspinały na siebie, spadały na dno skrzyni, przepychały się z innymi szczurami. Rubin wyjęła jedno z młodych i położyła na rozpostartej dłoni. Zwierzę skuliło się, ale nie umiało się jeszcze bronić. Kształtem przypominało stópki dziecka w łonie matki.

– Przyszły na świat dwa dni temu – wyjaśniła Rubin. – Oczy mają jeszcze zamknięte. Niech pani spojrzy – powiedziała, przewracając szczura na grzbiet.

Zwierzę skurczyło się, ale Rubin pogłaskała je prawie pieszczotliwie po małym brzuszku.

– To wątroba, a to serce. Widzi pani, jak bije? Skóra jest jeszcze przezroczysta.

– Widzę – odparła Beara, pochylając się nad różowym stworzeniem, nie większym niż połowa jej małego palca. – A ta biała plamka?

– To pokarm od matki, który przed chwilą wypilo. Proszę, niech go pani weźmie.

Mówiąc to, położyła ostrożnie szczurka na płasko rozłożonej dłoni policjantki. Beara czuła bijące od niego ciepło i ruchy wykonywane przez drobne, ślepe zwierzę. Biała plamka też się poruszała. Łapki i goła główka sprawiały, że szczur przypominał raczej wielkiego robaka.

Beara pochyliła się nad skrzynką. Szczury przestały grzebać w karmie i z ciekawością wyciągnęły w górę łepki.

– Młode oddzielamy od samic po tygodniu, kiedy osiągają taki rozmiar, że stanowią idealny łup dla kukawek. Opiekunowie węzów chcieliby je brać wcześniej.

Beara włożyła szczurka z powrotem do skrzyni. Zwierzę zanurkowało pośród wijących się w środku różowych braci i sióstr.

– Czy one wiedzą, czują, co je czeka? – spytała.

Rubin wyszła z pokoju, Beara za nią. W sieni skręciła w lewo, otworzyła kolejne drzwi i buchnął zza nich okropny smród. Przy ścianach stały klatki z białymi myszami, samicami, z których każda miała przy sobie miot liczący od dziesięciu do piętnastu młodych.

– Pytałam, czy one wiedzą – powtórzyła Beara.

Rubin zerknęła na pierwszą z klatek. Młode myszy – zupełnie nagie i ślepe – były jeszcze mniejsze niż nowo narodzone szczury.

– Nie tutaj – odparła Rubin.

Otworzyła klatkę, wyjęła z niej jedno z młodych i prawie z taką samą czułością jak przed chwilą położyła je na rozpostartej dłoni.

– W ich obecności nie rozmawiamy o śmierci. Zaczynają widzieć dopiero po dziesięciu dniach. W przeciwieństwie do nowo narodzonych szczurów młode myszy ssą też pokarm innych matek.

– A co miała pani na myśli, mówiąc: „Muszę je jakoś sprawiedliwie podzielić”?

Rubin odłożyła mysz do klatki, zamknęła pomieszczenie na klucz i przeszła do pokoju socjalnego. Zdjęła ze ściany kalendarz na ten tydzień i rozłożyła go na stoliku, na którym leżała cerata. Kalendarz był pokryty kolumnami cyfr.

– To nasza książka z zamówieniami z poszczególnych rewirów. Zapisujemy w niej to, co mamy dostarczyć. Pokarm dla ptaków łownych, drapieżników, wielbłądów, karmę do hodowli ptaków... Zawsze jest tego za mało, co podnosi cenę zamówienia. Pochodzę ze wsi, tam się zabija zwierzęta po chłopsku. Kiedy ludzie przychodzą do ogrodu zoologicznego, zachwycają się każdym stworzeniem. Śmierć pampasowca grzywiastego, do której doszło rok temu, była prawdziwą tragedią. Młode tygrysy są takie słodkie, a Knut – niedźwiedź polarny – wywołał któregoś dnia masową histerię.

W tym momencie Beara zauważyła kątem oka jakiś ruch. Jedna z myszek mignęła wzdłuż ściany i znikła pod zlewem.

– Kiedy umiera słoń, cały ogród pograża się w żałobie. Ale czy śmierć królika, który jutro zostanie poćwiartowany, żeby stać się pokarmem dla sępów królewskich, jest tak samo ważna? Raczej nie dla postronnych ludzi. My tu jesteśmy z dala od tego całego szaleństwa. Nie mamy zbyt wielu kontaktów z innymi rewirami. Ale prawda jest taka, że robimy dokładnie to samo, co rolnik ze swoim bydłem albo ogród zoologiczny z zebami.

– Ale one nie są przeznaczone na karmę?

– Tak pani uważa?

Beara przypomniła sobie wypatroszoną antylopę i krążące od dawna pogłoski, jakoby niektóre restauracje nie zawsze sprowadzały swoje smakołyki z zagranicy.

Mysz doszła chyba do wniosku, że kryjówka nie jest bezpieczna, bo pobiegła w stronę drzwi i się zatrzymała. Cała przy tym drżała. W lewo, pomyślała Beara i przez chwilę poczuła coś w rodzaju satysfakcji. W lewo i będziesz bezpieczna, powtórzyła w myślach. Tam czeka na ciebie wolność. Ale mysz pobiegła w prawo, z powrotem do pomieszczenia hodowlanego.

– Czy one wiedzą? – spytała po raz trzeci Beara.

Rubin odwiesiła kalendarz.

– Dowiadują się o tym w ostatniej chwili.

Beara ruszyła ścieżką z dwoma kubkami kawy. Kilka metrów dalej były już do połowy puste, a jej dłonie zalane ciemnym płynem. Jeszcze raz się odwróciła i zauważyła, jak Rubin znika za gęstym

bluszczem, aby przygotować kolejną partię zagazowanych szczurów.

Gehring i Hausmann nadal byli w klinice. Przy ścianie leżały w rzędzie cztery pekari, a opiekunowie wnosili kolejne. Zwierzęta jeszcze oddychały, co oznaczało, że zostały tylko uśpione. Bił od nich odurzający, ostry zapach.

Zaden z obu opiekunów nie zauważył policjantki. Rozmawiali po cichu z trzecim, który miał na sobie biały, sięgający do ziemi fartuch. Prawdopodobnie był jednym z weterynarzy, którzy szukali fragmentów kręgosłupa i kości goleniowych ofiary. Pekari odcięły je i zmiażdżyły ostrymi jak noże zębami. Weterynarz jednak uznał to za mało możliwe. Hausmann podszedł do jednej z loch, rozsunął wargi na jej pysku i przejechał po kłach zabezpieczonym ochronną rękawiczką palcem.

Wychodząc z pomieszczenia, Beara obeszła zwierzęta szerokim łukiem. Była zadowolona, że następne zadanie będzie wykonywać na znanym sobie gruncie, posługując się typowymi policyjnymi metodami.

Droga z zabudowań gospodarczo-administracyjnych do dostępnej dla zwiedzających części ogrodu prowadziła alejką, która biegła za kliniką mieszczącą się przy starym ośrodku dla słoni. Śmierdziało tam gnojówką i słomą, a tak naprawdę wszystkim, co tego dnia Beara już wyczuła. W końcu się zatrzymała.

Okropny, wstrętny zapach gnijącego mięsa.

Odpady pooperacyjne.

Przez chwilę nie mogła się zdecydować. Sven ciągle na nią czekał, a poza tym nie powinna sobie pozwolić na kolejną samowolę. Powinna wrócić i poinformować o wszystkim świętą trójcę od zabezpieczania śladów. A może lepiej wrócić na miejsce zabezpieczone taśmą, aby bronić tam dostępu spragnionym sensacji dzieciom i fotoreporterom?

Nie. Powinna wszystko dokładnie sprawdzić.

Odpady pooperacyjne. Niebieskie pojemniki ze sztucznego tworzywa stały przy tylnej, ceglanej ścianie kliniki. Wprawdzie były szczelnie pozamykane, ale im bliżej podchodziła, tym większy bił od nich smród. Zastanawiała się, co ryzykuje, decydując się na samowolne działanie. Ekipa od zabezpieczania śladów miała pełne ręce roboty zarówno w zagrodzie pekari, jak i w klinice. Kto wie, czego Gehring może jeszcze od niej zażądać w związku ze śledztwem. Może będzie chciał wyprosić odwiedzających z ogrodu, a przy okazji obszukać wszystkich? I wtedy zjawi się ona i zawoła: „Popatrzcie tylko! Znalazłam trzy pojemniki pełne kości i resztek mięsa. Może i w nich pogrzebiecie?”.

Brakowało im fragmentów ciała. Jeśli po sprawdzeniu zawartości żołądków pekari nie uda się ustalić tego, o czym mówił Hausmann, trzeba będzie zacząć szukać zabójcy.

Beara przystanąła, bo wydało jej się, że kątem oka zauważyła jakiś ruch. W tym samym momencie usłyszała jakieś odgłosy: szelest suchych liści na wietrze, szum samochodów dobiegający z czteropasmowej autostrady, trzaski. Może tak pękają gałęzie pod czyimś obuwie? Położyła dłoń na broni, gotowa w każdej chwili jej użyć. Powoli się odwróciła i odeszła od pojemników i ściany kliniki, kierując się w stronę dawnego ośrodka dla słoni. I nagle zobaczyła coś, czego się w tym miejscu nie spodziewała.

W cieniu stało kilka niskich bungalów. Wydawały się niezamieszkałe, jak opuszczone domy pomocy społecznej albo baraki dla uchodźców, z których wszyscy się wyprowadzili. Trzy albo cztery niewielkie parterowe budynki ze spadzistymi dachami i małymi oknami. W jednym z nich wisiała zasłona, która poruszała się na wietrze.

Beara opuściła dłoń i głęboko odetchnęła. Wyobraźnia, a może raczej nerwy, spletała jej figła. To muszą być mieszkania, o których wspomniała Charlie, bo domy z wielkiej płyty w Lichtenbergu są zbyt daleko.

Bungalowy stały na terenie należącym do ogrodu zoologicznego, w bliskiej odległości od odpadów pooperacyjnych. Okno było otwarte. Wydało się to Bearze niepojęte, bo smród utrzymujący się

w powietrzu kojarzył się z niewidzialnym całunem, w jaki owija się zwłoki.

Nagle coś przemknęło jej między nogami. Beara z trudem stłumiła krzyk. Biała mysz. Uznała, że to pewnie jedna z tych, które przed chwilą widziała u Charlie. Na jej twarzy pojawił się od razu iście diabelski uśmiezek. No proszę, śmierć wcale nie jest taka pewna.

Wzdrygnęła się, bo nagle usłyszała nad sobą doniosłe ochrypłe krakanie. Ze stojącego koło niej buka uniosło się stado wron. Pofrunęły w górę i zaczęły krążyć w poszukiwaniu łupu nad terenem rozciągającym się między kliniką a bungalowami. Mysz gdzieś znikła, ale w tych warunkach nie miała żadnych szans na przeżycie.

Beara podeszła do pojemników, wyjęła chusteczkę i zasłoniła nią nos. Pokrywa była tak ciężka, że nie zdołała jej poruszyć. Zebrała więc wszystkie siły i w końcu się udało, ale zanim zdążyła zajrzeć do środka, na ścianę domu padł cień. Beara zbyt późno sobie uświadomiła, że to zarys ludzkiej sylwetki z uniesionymi rękami. Zbyt późno zrozumiała, że ta postać trzyma w nich coś ciężkiego. Nie zdążyła odskoczyć, bo przeszkodziło jej w tym straszne uderzenie. Było tak mocne, że nawet nie poczuła bólu.

Rozdział 6

Gehring zjawił się następnego dnia, kiedy pielęgniarki podawały jej tabletki. Beara leżała w Evangelische Krankenhaus Herzberge z diagnozą: silne wstrząśnienie mózgu, złamany obojczyk, głębokie rany lewego ramienia. Ta część ciała, która doznała największych obrażeń, znajdowała się aż po szyję w gipsie, podczas gdy głowę miała obandażowaną. Wyglądała jak karykatura pechowego narciarza. W porannej toalecie musiały jej pomagać dwie pielęgniarki. Ruch, jaki wykonała tuż przed uderzeniem, uratował jej życie. Gdyby nie to, napastnik rozłupałby jej głowę. Tak przynajmniej stwierdził asystent lekarza w czasie porannego obchodu.

Mniej więcej w południe rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanął Gehring. Przez chwilę jakby się wahał, ale w końcu wyjął zza pleców bukiet polnych kwiatów. Mruknął przy tym: „Szybkiego powrotu do zdrowia” i „Na bukiet złożył się cały wydział”, żeby tylko nie pomyślała sobie czegoś niewłaściwego. Powściągliwość wobec policjantek niższej rangi przybiera, jak widać, czasem groteskowe formy.

– Niech pan siada – powiedziała Beara.

Próbowała się wyprostować, a przy okazji podciągnęła prawą ręką pod brodę swoją nocną koszulę. Lewa była prawie całkowicie bezwładna.

Gehring rozejrzał się po pokoju i zauważył krzesło stojące pod prysznicem. Wytarł je chusteczką, a Beara gorączkowo się zastanawiała, co go do niej sprowadza.

– Czy pani wie o zatrzymaniu? – spytał Gehring i postawił krzesło obok jej łóżka, po czym ostrożnie na nim usiadł.

– Nie – odparła Beara, która dopiero przed południem miała pierwsze przebłyski świadomego myślenia. Ojciec siedział przy jej łóżku do drugiej w nocy, aż w końcu kazała mu wrócić do domu, bo jego chrapanie doprowadzało ją prawie do szaleństwa. – Nie mam tu jeszcze telewizora. Kto został zatrzymany?

Gehring przesunął się po śliskiej powierzchni krzesła. Wskazał ręką na pomiętą gazetę, w którą owinięte były kwiaty.

– Kobieta, którą pani nakryła na gorącym uczynku. Charlotte Rubin. Pracuje w ogrodzie zoologicznym. Pewnie podkrađła się od tyłu i z tej pozycji zaatakowała. O zatrzymaniu piszą dziś wszystkie gazety. O pani na razie nie wspominają.

– Charlie?

Pytanie zawierało w sobie tak silną dawkę zdumienia, że Gehring przestał się wiercić i spojrzał na nią z uniesionymi brwiami. Beara chwyciła bukiet, rozwinięła papier i zaczęła czytać, co na pierwszej stronie opublikowała jedna z porannych bulwarówek. Tekst zajmował dwie strony. „Potwór z ogrodu zoologicznego”, a obok zniekształcone zdjęcie Charlie Rubin. „Tak zabija kobieta hodująca szczury” i wielkie zdjęcie Gehringa. „Ofiara nie została jeszcze zidentyfikowana” i obok zdjęcie pustego wybiegu dla pekari odgrodzonego policyjną taśmą. „Mężczyzna w wieku pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat. Moment śmierci: krótko po północy”. Beara próbowała przeczytać coś więcej niż tylko same nagłówki brzmiące jak treść telegramów, ale litery tańczyły jej przed oczami. Charlie, pomyślała. Wszystkiego by

się spodziewała, ale nie tego.

– Dobrze zdjęcie – mruknęła, bo pomyślała, że Gehring chciałby to usłyszeć.

Widząc, jak jej przełożony próbuje zamienić swój chełpliwy uśmiech w skromny, doszła do wniosku, że ma do tego prawo.

– To ważny dzień dla policji w Berlinie – powiedział Gehring. – Zatrzymanie sprawcy krótko po znalezieniu zwłok...

– Czy to rzeczywiście było zabójstwo?

– Haussmann znalazł na rękach ofiary ślady po sznurze, ale nic nie wskazuje na to, że ofiara się broniła. Ten mężczyzna został przed śmiercią odurzony, prawdopodobnie dostał zastrzyk, bo dostęp do takiej mieszanki dopaminy i ketaminy mają tylko osoby upoważnione.

– O Boże! – mruknęła Beara.

W oczach Gehringa pojawiło się wreszcie coś, co przypominało zainteresowanie.

– Czy pani się na tym zna? – spytał.

– Jeden z tych środków obojętnia, drugi paraliżuje, ale ofiara zachowuje pełną świadomość. Oznacza to, że ten człowiek czuł...

– Tak – przerwał jej szybko Gehring, jak gdyby tym jednym słowem chciał odpędzić skojarzenia. – Nie wiem, co się dzieje w mózgu człowieka, który taki czyn planuje, a potem go realizuje.

– Czy to było zaplanowane?

– Takie przyjęliśmy założenie – odparł Gehring lekko podenerwowany.

Beara oddała mu gazetę.

– Do takich środków mają dostęp weterynarze, kliniki dla zwierząt i ogrody zoologiczne. Mają tego mnóstwo na stanie.

– To prawda, ale stosowanie ich wymaga pewnej rozwagi. Zwłaszcza w sytuacji gdy nie ma się u boku anestezjologa, który kontroluje proces oddychania pacjenta. Rubin bardzo dobrze wiedziała, co robi, poza tym się na tym znała. Nawet bez jej zeznań poszlaki są bardziej niż obciążające. Powiedziałbym, że są przekonujące. Została też pani uderzona łopata, której numer inwentarzowy był przypisany do działu zajmującego się hodowlą zwierząt przeznaczonych na karmę dla innych zwierząt.

Beara dotknęła prawą ręką opatrunku na głowie. Próbowała sobie przypomnieć cokolwiek, co mogłoby podważyć jego słowa. Niestety, nic nie przychodziło jej na myśl. W pewnym momencie jednak coś sobie przypominała, ale próba zatrzymania ulotnego wspomnienia i ubrania go w konkretną formę się nie powiodła. Oczami wyobraźni widziała kanciastą, surową twarz Charlie, kobiety ze wsi, która zajmowała się hodowlą szczurów. Z początku nieobecna myślami, ale za to otwarta i szczerą, jak lustro, w którym odbijały się jej uczucia. Przez chwilę jednak wyglądała tak, jak gdyby chciała zaciągnąć zasłonę. Stało się to podczas króciutkiej pauzy, gdy przez moment walczyła z niepewnością... To była jej reakcja na pytanie Beary. Tylko które? Beara nie potrafiła sobie przypomnieć.

Gehring zignorował jej zmieszanie, jeśli w ogóle je zauważył.

– Rubin próbowała uciec, ale dotarła tylko do najbliższego przystanku tramwajowego. Tam została zatrzymana. Nie stawiała oporu.

– A dlaczego zaatakowała właśnie mnie?

– Stała pani przy pojemnikach na odpady. À propos, czego tam pani szukała?

– Zagnała mnie tam intuicja. Czy pan coś znalazł?

– Wszystko, czego szukaliśmy. Pekari pożarły tylko niewielkie fragmenty ciała. Te większe obgryzły z mięsa i zostawiły same kości. Czy to dla pani zbyt szczegółowy opis?

Gehring wbił w nią wzrok, ale Beara dzielnie się trzymała. Powoli, na tyle, na ile było to możliwe, pokręciła głową.

– Nie – odparła.

– Nasza teoria wygląda następująco: Rubin otumaniała swoją ofiarę jakimś środkiem, ale mężczyzna zachował pełną świadomość. Potem zawiozła go taczka na wybieg dla pekari. Jedna z samic urodziła właśnie młode. Rubin złapała warchlaka i rozpruła go, czym doprowadziła całe stado do białej gorączki. Zwierzęta rzuciły się na mężczyznę, który był całkowicie bezradny i z pełną świadomością przeżywał swoją tragedię.

Beara poczuła nagle silne dławienie w gardle. Było tak niespodziewane, że bała się, iż go nie opanuje.

– Rano poszła sprawdzić, co z niego jeszcze zostało – kontynuował Gehring. – Odpędziła duże zwierzęta i chyba nie zauważyła dłoni i goleni. A może te... jak one się nazywają?

– Pekari.

– ...no właśnie... może pekari nie dopuścili jej do nich? Pewnie się nie spodziewała, że tak szybko wpadniemy na jej trop. I nagle pojawia się zwykła policjantka, która zaczyna grzebać w odpadach. Rubin wpada w panikę, bo w takiej sytuacji każdy by się zdenerwował. Po południu zakład oczyszczania miasta miał opróżnić pojemniki z odpadami. To ja panią znalazłem – w krzakach, za kliniką.

– Pan?

– Pani partner z patrolu zaczął się niepokoić, bo nie pojawiła się pani na blokadzie... A teraz poproszę trochę mleczka do kawy.

Gehring uznał to za świetny żart, a Beara zdobyła się na lekki grymas. Komisarz wstał i podszedł do okna. Z miejsca, gdzie leżała, Beara widziała tylko niebo. Za to na dole musiały się rozgrywać ciekawe sceny, bo Gehring stał przez dłuższą chwilę przy oknie, jak gdyby coś pochłonęło jego całą uwagę.

– Kim jest ofiara? – spytała Beara.

– Mężczyzna nie był notowany przez policję, ale przypuszczamy, że pochodzi z Wismaru. Dziś rano miał się wymeldować z hotelu, ale zaginął bez śladu. Rysopis pasuje do naszej ofiary. Nasi ludzie to sprawdzają. Jesteśmy jeszcze na początku drogi.

– A co na to wszystko Rubin?

– Nic nie mówi. Milczy.

Gehring założył ręce do tyłu i zaczął się prawie niezauważalnie kołysać na stojąco.

– Nadal pracujemy nad sprawą, żeby ustalić chronologię wypadków – kontynuował. – Czekamy jeszcze na wyniki badań laboratoryjnych. Jesteśmy jednak prawie całkowicie pewni, że wszystko rozegrało się tak, jak to przed chwilą przedstawiłem. Oczywiście to tylko do pani wiadomości.

– Czy istnieją jeszcze jakieś inne poszlaki oprócz... hm... łopaty z numerem inwentarzowym?

Tym razem Gehring nie wyczuł w jej głosie żartobliwego tonu.

– Na butach Rubin zabezpieczyliśmy ziemię z wybiegu dla zwierząt. Znaleźliśmy przy niej skradziony przed kilkoma tygodniami uniwersalny klucz pasujący do wszystkich zamków. Na taczce, którą przewożono fragmenty zwłok, znaleźliśmy jej odciski palców. Nie mam jeszcze wyników badań laboratoryjnych, ale jestem pewien, że na jej kombinezonie znajdziemy ślady krwi ofiary. Rubin mieszka w ogrodzie i zna te pekari.

– Wychowywała się w gospodarstwie rolnym.

Gehring przestał się kołysać i odwrócił się do niej.

– Skąd pani wie? Zna ją pani?

– Krótko przedtem z nią rozmawiałam.

– Pani chyba straciła rozum... O czym?

– O jej pracy, o zwierzętach, o zabijaniu. Rubin hoduje szczury.

Gehring podszedł do łóżka, wziął z krzesła gazetę, zmiął ją i wrzucił do kosza na śmieci. Widać było, że jest wściekły. Rozmawiali w cztery oczy, więc nie musiał się z tym kryć.

– Skąd pani przyszło do głowy, żeby się w to mieszać? To przekroczenie obowiązków służbowych. Kto pani pozwolił mieszać się w nasze śledztwo?

– Chciał pan kawy.

– No i co z tego?

– To ona ją przygotowała.

Gehring opadł na krzesło. Prawdopodobnie przeszło mu przez myśl, że będzie musiał wyjaśnić, jak to się stało, że przekazał podwładnej takie polecenie.

– Niewykluczone, że zjawiając się tam, po prostu ją pani ostrzegła. Dzięki temu mogła w spokoju zatrzeć wszystkie ślady. Niech to szlag! Niech to szlag!

Gehring znowu zaczął chodzić po pokoju jak szalony. Beara zamknęła oczy, bo gdy nimi za nim wodziła, czuła ból.

– Będzie pani musiała sporządzić z tego protokół.

– O kawie też mam wspomnieć?

– Oczywiście, że nie. Proszę powołać się na pani policyjny instynkt do znajdowania tropów albo niezawodną kobiecą intuicję. Jest mi to obojętne. Chyba że zależy pani na tym, abym złożył na panią skargę z powodu niedopełnienia obowiązków służbowych? I proszę nie zrobić błędu. Raport chcę mieć na biurku dziś po południu. Zrozumiano?

– Tak.

– Kogoś tu przyślę, żeby spisał pani oświadczenie. Czy dowiedziała się pani czegoś, co może posunąć nasze śledztwo do przodu?

Beara próbowała sobie przypomnieć treść rozmowy.

– Nie – odparła w końcu. – Rubin nie sprawiła na mnie wrażenia osoby zdenerwowanej. Przeciwnie. Pokazała mi nawet swoją hodowlę.

– Jak miło – odparł Gehring i zrobił minę, jak gdyby chciał jej odpisać ten dzień od urlopu.

– Ktoś był w tych barakach – kontynuowała Beara. – W budynkach za kliniką.

– One stoją puste. Mieszka tam tylko Rubin. Domki są zajęte tylko wtedy, gdy odbywa się transport zwierząt albo gdy delegacja z zachodniej Mongolii ma ochotę obejrzeć gody węzów drzewnych z Australii.

– Wydawało mi się...

Gehring pochylił się nad łóżkiem i spojrzał na nią. Jego wąska twarz ze zbyt blisko osadzonymi oczami była teraz pozbawiona wyrazu.

– To, co się pani wydawało, zupełnie mnie nie interesuje – powiedział. – Potrzebne nam są fakty, a nie słabo opłacane krawężniki z przerostem ambicji, którym się wydaje, że są lepsi od swoich kolegów. Czy wyraziłem się jasno w tym temacie?

Beara spoglądała na niego w milczeniu.

– Jeśli nie zapanuje pani nad swoimi uczuciami, intuicją i impulsami, nigdy nie zda pani egzaminu wstępnego, skoro już o tym mowa. Pani szef jest moim dobrym przyjacielem. A co mówią lekarze? – spytał, wskazując na bandażę.

– Za cztery tygodnie wrócę do formy.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Gehring, kierując się w stronę drzwi. – Pytał o moją opinię na pani temat.

– I co mu pan powiedział?

– Może sobie pani sama odpowiedzieć na to pytanie. Proszę się zastanowić, czy pani nasze śledztwo hamuje, czy popycha do przodu.

– Popycham?

Gehring nie odpowiedział. Trzasnął drzwiami i wyszedł.

Beara upewniła się, że Gehring rzeczywiście sobie poszedł, a potem z trudem wstała z łóżka, podeszła do kosza na śmieci i wyjęła z niego gazetę.

Charlotte Rubin, 34 lata, zatrudniona w ogrodzie zoologicznym we Friedrichsfelde, została oskarżona o to, że najpierw odurzyła niezidentyfikowanego na razie mężczyznę, a potem zawiozła go taczka na wybieg dla pekari. Kobieta trafiła przed oblicze sędziego śledczego. Nie wiadomo, jakie motywy nią kierowały i jaki był przebieg zdarzenia. Koledzy z pracy opowiadają, że była zamknięta w sobie i chodziła własnymi drogami. Należy współczuć martwemu warchlakowi.

Beara przypomniała sobie, jak Rubin prawie z czułością głaskała szczurka po wypełnionym mlekiem brzuszku. Nie umiała tego zrozumieć i doszła do wniosku, że Rubin prawdopodobnie też nie zna odpowiedniego wyjaśnienia. W momencie popełniania przestępstwa była kobietą o dwóch twarzach.

Chyba że pani tu czegoś szuka.

A powinnam?

Znowu te wspomnienia.

Pierwszy kontakt, badanie przeciwnika. Czy może być dla mnie niebezpieczna? Czy domyśla się, co ukrywam? Raczej nie, to tylko zwykła naiwna i niepozorna policjantka z patrolu, która trafiła tu przez pomyłkę, bo chce dostać trochę kawy. Spróbuję więc zrobić ją w konia, zaszokować odrobiną uczucia dla skazanego na śmierć zwierzęcia. Opowiem jej, jak naprawdę wygląda życie na zapleczu ogrodu zoologicznego, położę nowo narodzonego szczurka na jej dłoni i niech trochę pofilozofuje, jak to jest, gdy ktoś kogoś pożera albo sam jest pożerany. Pobawię się z nią jak kot z myszą, którą wypuszczam na wolność, chociaż wiem, że nie przetrwa tam dłużej niż dziesięć minut. Sprawię jej radość i zrobię jej kawę, a potem zatłukę ją na śmierć...

Beara dotarła na chwiejnych nogach do łazienki i zwymiotowała.

Rozdział 7

Po czterech tygodniach Beara pozbyła się w końcu gipsu i rozpoczęła ostrożną rehabilitację. Chciała jak najszybciej wrócić do pełnej sprawności fizycznej, bo przy końcowej ocenie będą się liczyły wyniki i w tej dziedzinie. Egzamin kwalifikacyjny rozpoczyna się na jesieni, a ona najbardziej obawiała się testu Coopera. Jest to dwunastominutowa próba biegowa, określająca wytrzymałość na podstawie pokonanego w tym czasie dystansu. Ze względu na stan barku o wyciskaniu ciężarów na ławeczce nie miała nawet odwagi myśleć. Prognozy były więc nie najlepsze, ale postanowiła nie przekładać całego wysiłku i związanych z nim nadziei o kolejny rok. Po służbie wkładała słuchawki, brała odtwarzacz MP3 i trenowała w parku Plänterwald w takt muzyki takich wykonawców, jak Pink and Cage The Elephant, Smashing Pumpkins czy Foo Fighters.

Koledzy, którzy pytali ją o możliwość powrotu do służby, zachowywali w tej kwestii pewną rezerwę. W zasadzie tylko Sven szczerze się ucieszył, że znowu ma ją u swego boku. Dla innych była pyską babą, która w tej sprawie nadepnęła na odcisk niewłaściwej osobie. Gehring, który pracował na trzecim piętrze budynku stojącego po drugiej stronie Sedanstrasse, od jej powrotu nie dawał znaku życia.

Po pewnym czasie zrozumiała, co znaczyła jego aluzja: „Znam pani szefa”. Ku swemu przerażeniu dowiedziała się, że jej bezpośredni przełożony i Gehring uczestniczyli razem w szkoleniach dla kadry kierowniczej i że zrodziła się między nimi prawdziwa męska przyjaźń. Wystarczy więc jedno nieprzychylnie słowo z jego strony i będzie mogła pożegnać się z awansem. Dlatego bardzo się starała, żeby nie popełnić jakiegoś błędu. Z każdym witała się po przyjacielsku, pierwsza zgłaszała się na zniechęcające nocne dyżury, stosowała skromniejszy makijaż, przynosiła kolegom kawę, myła i odkurzała samochód służbowy, w dniu powrotu do pracy przyniosła ciasto i trzy paczki kawy i wszystkim opowiadała, jak to w poszukiwaniu tropu trafiła na miejsce składowania odpadów i tylko Gehringowi zawdzięcza, że znalazł ją na czas. Wprawdzie nie sądziła, że dzięki temu stanie się bardziej lubiana, ale częściej rozmawiała z kolegami z pracy i przestała się denerwować, gdy ktoś się do niej z czymś zwracał. A gdy na dodatek jej przełożony zamienił z nią na stołowie kilka słów zupełnie niezwiązanych ze sprawami służbowymi, po raz pierwszy poczuła, że z całej sprawy wyszła bez większego szwanku.

Dlatego przestała wypytywać o wynik śledztwa, bo oznaczałoby to dla niej natychmiastową śmierć zawodową. Ale śledziła postępy w dochodzeniu, jeśli w ogóle można mówić w tej sprawie o jakimkolwiek postępie. Wszystko wskazywało na to, że po zgromadzeniu i wzmocnieniu dowodów dochodzenie przeciw Rubin zostało zakończone.

Tymczasem media rzuciły się na inne tematy i Rubin stała się obiektem ich zainteresowania dopiero jesienią, tuż przed rozprawą sądową. Beara dalej wykonywała swoje codzienne obowiązki, kontrolowała prawa jazdy, karała za przekroczenie prędkości, godziła zwaśnione strony w lokalach gastronomicznych, a starszym paniom w Treptower Parku zwracała uwagę, że powinny zbierać odchody pozostawiane przez ich czworonożnych ulubieńców. Za to wieczorami, gdy ojciec oglądał w swoim pokoju chorwacką telewizję satelitarną, ona przygotowywała się do egzaminów wstępnych do Wyższej Szkoły Gospodarki i Prawa na kierunku zarządzanie w policji i w aparacie bezpieczeństwa. Nie miała matury, tylko

wykształcenie zawodowe i kilka lat doświadczenia w policyjnym fachu.

O wiele jednak częściej niż powinna myślała o Gehringu. Za każdym razem, gdy analizowała przebieg tamtej rozmowy, wpadała w złość. „To, co się pani wydaje, kompletnie mnie w tej sprawie nie interesuje”, powiedział. A więc uważał, że kierują nią emocje, a może nawet kompleks z powodu niskiego wzrostu. Ludzie, którzy nie są wysocy, rozwijają czasem w sobie pewien rodzaj nadgorliwości, żeby dorównać innym. Zupełnie niepotrzebnie. Beara dość szybko zrozumiała, że zło na stałe należy do jej świata i nie da się go wytępić. Przypominało Hydrę: kiedy ktoś odcinał mu jedną głowę, w jej miejsce odrastały dwie nowe. Była jednak na tyle naiwna, że wierzyła, iż pracując w policji, będzie mogła wystąpić przeciwko praprzyczynie zła. Ale najpierw chciała je zrozumieć.

Jej serce również kryło – tak jak serca innych ludzi – pewien mroczny zakątek. Ale nie można było tam dotrzeć, co w sumie było dobre. Niektórzy jednak potrafili to uczynić. Czasami przychodziło im to bez problemu, inni długo łamali sobie głowę nad właściwą kombinacją liczb. Szukali kodu zła, równania przestępstwa, zasad rządzących geometrią trójkąta, na który składa się motyw, wina i ukrycie. Beara wiedziała, że do zła należy podchodzić z dystansem. Wprawdzie nie umniejsza to jego działania, ale czyni go bardziej przewidywalnym.

Czekała więc do momentu, aż była pewna, że wszyscy wypowiedzieli swoje zdanie i wymienili się poglądami na jej temat. Ktoś taki jak Gehring niezbyt szybko wróci do jej sprawy. Ale ona miała czas. Ciągle nie mogła zapomnieć widoku wypatroszonego warchlaka i delikatności, jaką Rubin okazywała młodym i bezbronnym zwierzętom. Kiedy więc pewnego wieczoru pod koniec lipca po raz pierwszy udało jej się przebiec dwa tysiące metrów poniżej dwunastu minut, odważyła się pójść do Gehringa, który urzędował na trzecim piętrze.

Gdy stała na wewnętrznym dziedzińcu, zauważyła, że w jego pokoju nadal pali się światło, choć było już po ósmej. Zdenerwowana zapukała do drzwi i czekała, aż Gehring zawoła: „Proszę” – i dopiero wtedy weszła do środka.

Gehring siedział przy biurku zatopiony w lekturze jakiegoś dokumentu.

– Pani Beara. Co za niespodzianka.

Nie potrafiła stwierdzić, czy jego ton był pozytywny, czy negatywny.

Gehring zamknął teczkę z dokumentami.

– Proszę usiąść. Jak się pani czuje?

– Dziękuję, dobrze.

Zajęła miejsce i rozejrzała się po skromnie urządzonej sypialni. Na ścianie wisiał stary kalendarz z zeszłego roku przedstawiający galopujące konie. Całe wyposażenie stanowiły szafy na segregatory z aktami i komputery. Żadnych obrazków czy roślin. Obok drzwi umywalka. Że też się jeszcze uchowała!

– Co panią do mnie sprowadza?

– Od naszego ostatniego spotkania w ogóle o panu nie słyszałam. Czy to, co wtedy powiedziałam, do czegoś się przydało?

Gehring wyprostował się na krześle i przejechał czubkami palców po brzegu biurka. Beara nie zauważyła na jego palcu obrączki. A przecież słyszała, że podobno on, jej przełożony i ich żony spędzają coraz więcej wolnego czasu na żaglówkach. Przeprowadziła w tej kwestii dyskretny wywiad. Chciała wiedzieć, kim Gehring jest naprawdę. Abstrahując od trudnego do zaakceptowania obyczaju polegającego na eksponowaniu wysportowanego ciała, sprawiał wrażenie solidnej głowy rodziny. Domek na przedmieściach kupiony za pieniądze rodziców albo teściów, zwolennik CDU, ogólnie znośny jako przełożony. Swoim autorytetem posługiwał się w sposób wyważony i dobrze przemyślany. Innymi słowy: stanowił jej całkowite przeciwieństwo. Dlatego przez chwilę wydawało jej się, że przyłapała go w na wpół nieformalnej sytuacji. Gehring ubrany był w zwykły biały T-shirt. Na oparciu krzesła wisiała

Iniana marynarka.

– Z filozoficznego punktu widzenia jak najbardziej – odparł, unosząc brwi, przez co wyglądał na zarozumiałego. Chyba jednak nikt by się nie odważył zwrócić mu na to uwagi.

– To znaczy nie?

Gehring próbował się uśmiechnąć, ale mu to nie wyszło. Wielu mężczyzn tego nie potrafi.

– Proszę się tym nie przejmować – odparł. – Jakoś się pani wykręciła z tej wpadki. Zobaczmy, co będzie dalej.

– Czy Rubin złożyła jakieś zeznania?

– Na razie milczy.

– Czyli dalej nic nie mówi?

– Ani słowa. Prokurator zlecił wykonanie ekspertyzy. Marquardt, adwokat Rubin, poparł jego wniosek. Twierdzi, że jego klientka jest niepoczytalna. Trudne dzieciństwo, bicie, alkohol, nieukończona szkoła, upośledzenie umysłowe i tym podobne sprawy. Jak zwykle.

– Nie wiem...

– Wyniki naszego śledztwa przekazaliśmy prokuratorowi, Rubin przebywa w areszcie, co oznacza, że dla nas sprawa jest zakończona. Rubin się przyznała. Wprawdzie uczyniła to tylko w jednym zdaniu, ale nam to wystarczy.

Beara wsunęła kciuk za pasek z kaburą. Czasem, gdy pasek zbyt długo wrzynał jej się w ramię, ból wracał.

– A gdybym ja spróbowała? Ze mną już rozmawiała. Normalna inteligentna kobieta. Może trochę postrzelona, ale w żadnym wypadku nie wariatka.

Gehring odepchnął się palcami od biurka. Krzesło odjechało do tyłu, a on założył lewą nogę na prawą. Chciał pewnie przyjąć niedbałą pozę, ale mu to nie wyszło.

– To nie jest dobry pomysł. Mamy tu kompetentnych ludzi, którzy wiedzą, jak przesłuchiwać takie osoby.

Beara chciała coś powiedzieć, lecz Gehring nie dopuścił jej do głosu.

– Nie chciałbym pani zniechęcać, ale nie bardzo wiem, po co mielibyśmy to robić.

– Nie daje mi spokoju, że Rubin odnosiła się do życia z tak dużym szacunkiem. I to bez względu na to, czyje to było życie. Mysz była dla niej tak samo ważna jak słoń. I nagle miałyby żywcem wypatroszyć warchlaka? Rozmawiała ze mną o wszystkim: o życiu i śmierci, o kawie i gazie. Dała mi nawet pewną wskazówkę, bo wspomniała o odpadach. Przecież ktoś, kto dwie godziny wcześniej zakopał tam połówkę zwłok, czegoś takiego by nie zrobił.

– Ja też tak myślę. I dlatego się cieszę, że pani zeznanie na tym procesie nie będzie miało żadnego znaczenia. Pani jest po prostu uprzedzona i nie ocenia tej sprawy rzeczowo.

– Nie wiem, jak wygląda obecny stan rzeczy. Gdybym jednak mogła przejrzeć akta...

– To wykluczone.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że ta osoba była wobec mnie tak miła, a zaraz potem chciała mnie wyprawić na tamten świat.

– No właśnie – powiedział Gehring. Pochylił się w jej stronę i znowu spojrzał nią przenikliwie blisko osadzonymi oczami. – Pani tego nie rozumie. Jest wiele rzeczy, w których obliczu nawet zawodowcy zaczynają wątpić w moc swojej wyobraźni. Jeszcze nigdy nie miałem takiej sprawy jak ta. Ale cóż, trudno, musimy się z tym pogodzić. Zaczniemy więc od prostego stwierdzenia: tak, ta kobieta zamordowała w bestialski sposób. Wprawdzie nie wygląda jak potwór, ale tak właśnie postąpiła. Być może nigdy nie poznamy motywu jej działania, ale musimy się pogodzić z tym, że doszło do zbrodni, a my mamy sprawcę.

Beara jednak nie identyfikowała się z gronem osób określanych przez Gehringa jako my. Czuła klucie w piersi. Przypomniała sobie, że już go doświadczyła. Zaczęło się, kiedy przyjechała do kraju, w którym miało nie być wojny ani Serbów (to drugie okazało się później nieprawdą), w którym nie wybuchają miny ukryte w ziemi (prawda) i w którym małe dziewczynki na huk fajerwerków odpalanych w sylwestra nie kulą się ze strachu za podartą kanapą ośrodka dla uchodźców (było to największe, a przez to najtrudniejsze do wybaczenia kłamstwo, jakie kiedykolwiek usłyszała od ojca). Zresztą słowo „my” nadal kojarzyło się jej z ciasnymi pokojami i wspólnymi kuchniami ośrodków dla imigrantów. Wszystko się skończyło, dopiero gdy władze przyznały im niewielkie mieszkanie w dzielnicy Tempelhof, a ona poszła do szkoły. „Dzieci cię polubią” – usłyszała od ojca. Kolejne kłamstwo. „Kiedy tylko nauczysz się ich języka, znajdziesz sobie przyjaciółki. Ucz się, to cię zaakceptują”. (Nieprawda). I jeszcze to: „Margaryna nie jest przezwiskiem”. Kłamstwa, kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa.

– Nie jest pani jakimś wyjątkiem – stwierdził Gehring.

– Słucham? – zdziwiła się Beara. Czyżby coś jej umknęło?

– Rubin zachowywała się w czasie rozmowy z panią tak jak zwykle. Po prostu funkcjonowała. Mówiła, była naturalna, a swój czyn być może całkowicie wyparła z pamięci. Trwało to do momentu, gdy wpadliśmy na jej trop.

– Ja trafiłam.

– My.

– Czy mimo wszystko mogłabym się zapoznać z aktami śledztwa?

– Nie.

Beara wstała z krzesła. Rozmowa dobiegła końca. Była już przy drzwiach, gdy Gehring rzucił:

– Jestem pani winien kawę.

Odwróciła się do niego zmieszana.

– Czy kawiarnia jest jeszcze otwarta? – spytał.

– Chyba nie.

Podniósł się z biurka i zdjął marynarkę z oparcia.

– Wróć dosłownie za dwie minuty. Na dole na rogu jest sklep z kawą. Lubi pani czarną? A może *latte*?

Beara nadal nie rozumiała.

– I proszę tu nic nie ruszać, dopóki nie wrócę.

Po tych słowach Gehring wyszedł z pokoju. Beara zaczęła się zastanawiać, co to wszystko znaczy. Żeby zejść na dół do sklepu i wrócić, potrzeba przynajmniej piętnastu minut. Chyba nie sądził, że będąc po służbie, będzie na niego jeszcze przez kwadrans czekała? Poza tym był żonaty. O co mu chodziło?

Jej wzrok spoczął na szafie z aktami. Segregatory stały w porządku chronologicznym, według miesięcy i nazwisk. Wolno podeszła do mebla, przekrzywiła głowę i zaczęła masować lewy bark. Marzec, kwiecień, maj... Rubin. Charlotte Rubin.

Zaczęła nasłuchiwać. Wszędzie panowała cisza. Gehring jest jeszcze pewnie na klatce schodowej. Zdjęła segregator z półki i przerzuciła kilka stron. Łącznie było ich około stu. Za dużo jak na piętnaście minut. Wystarczy jednak, że je stąd zabierze do domu i zwróci następnego dnia. W tym momencie usłyszała, jak na podwórzu ktoś zapuszcza silnik samochodu. Podeszła do okna i ujrzała czarnego vana należącego do Gehringa. Samochód właśnie ruszał z parkingu w stronę bramy. Uśmiechnęła się. To niemożliwe, żeby Gehring jechał do odległego o dwadzieścia metrów sklepu. Wsunęła segregator pod pachę, wyszła na korytarz i skierowała się do wyjścia.

Rozdział 8

Profesora nie było jeszcze w biurze. Wcześniej też się to zdarzało, ale nigdy w tak ciepły dzień jak ten, na początku sierpnia.

Dochodziła jedenasta. Poprzednim razem profesor doktor Brock siedział o tej porze od godziny w swoim gabinecie z filiżanką herbaty earl grey i dokładnie studiował notatki z ostatniej sesji. Kiedy usłyszał, że nadchodzą, podszedł do drzwi, podał kobiecie rękę i serdecznie przywitał się z obu towarzyszącymi jej policjantami w cywilnych ubraniach. W drodze do garderoby rozmawiał o pogodzie, wchodząc do poczekalni, pytał ją o zdrowie i samopoczucie, a gdy kobieta weszła do jego gabinetu, zamknął za sobą drzwi, wykonując uprzejmy gest w stronę towarzyszących jej mężczyzn. Dopiero wtedy Jeremy mógł zająć się swoją pracą.

Dzisiaj profesora ciągle nie było. Jeremy usprawiedliwiał go na wszelkie sposoby, ale najchętniej zatrzasnąłby ludziom stojącym na klatce schodowej drzwi przed nosem. Kobieta wywoływała w nim takie obrzydzenie, że na jej widok przewracały mu się wnętrzności. Mimo to zachowywał się tak, jak przystało na dyplomowanego psychologa na praktyce, który musi zająć się gośćmi swojego szefa. Zaprosił ją do środka, rzucił kilka zdań na temat pogody i grzecznie spytał, czy wszystko u niej w porządku. Kobieta zareagowała tak, jak gdyby w ogóle nie dosłyszała jego pytania. Obaj policjanci weszli za nią do środka. Byli ubrani w szare garnitury, ale chyba nie czuli się w nich najlepiej, bo wkładając je, tracili część swojego autorytetu. Spojrzeli na Jeremy'ego, przy czym jeden wzruszył ramionami, a drugi skinął mu głową. Dębowy parkiet zaskrzypiał pod gumowymi podeszwami ich butów, ale dźwięk stłumiły chodniki i perskie dywany. Poczekalnia przypominała salon z lat dwudziestych poprzedniego stulecia. Drewniana boazeria, rozłożyste fotele i ciężkie aksamitne zasłony, od których nadal bił zapach tytoniu, chociaż w pomieszczeniu od lat obowiązywał zakaz palenia.

Kobieta podeszła do kompletu wypoczynkowego stojącego przy oknie, usiadła na jednym z krzeseł i popatrzyła przez okno na obsypane gęstym listowiem korony drzew. Jeremy wiedział, że jeden z mężczyzn miał trudne do zapamiętania polsko brzmiące nazwisko, Miesdrozny lub coś w tym stylu. Nazwiska drugiego nie mógł sobie przypomnieć. Obaj usiedli w dość niezgrabny sposób, co sugerowało, że w ciągu dnia rzadko mają okazję zrobić sobie przerwę. Przyszli tutaj tylko z tą kobietą, żeby poczytać gazetę i odprowadzić ją do aresztu śledczego w dzielnicy Lichtenberg. To, że profesor się spóźniał, należało tłumaczyć strajkiem kierowców autobusów, korkiem na autostradzie albo robotami drogowymi na którymś z odcinków kolejki miejskiej. Nigdy jednak nie wolno było mówić, że profesora nie ma i nikt nie wie, co się z nim dzieje. Nie wolno było tego robić nawet Kociaczkowi, wiernej asystentce profesora. Tak naprawdę nazywała się Katz, to znaczy Kot, a tego zdrobnienia mógł używać tylko profesor Brock. Robił to zazwyczaj wtedy, gdy musiał ją poprosić, żeby została po godzinach. Tego dnia pani Katz wzięła sobie wolne przedpołudnie, jak za pierwszym razem, gdy w gabinecie miała się zjawić ta kobieta. Nie chciała się spotkać z „potworem z ogrodu zoologicznego”. Jeremy jej zazdrościł. W taki dzień też by chętnie został w domu.

Policjant, którego nazwiska Jeremy nie mógł sobie przypomnieć, zerknął na zegarek.

– Herbaty? Kawy? Profesor zaraz będzie – powiedział. – Miejmy nadzieję, dodał w myślach.

Od dobrych trzydziestu minut próbował się skontaktować przez komórkę z promotorem swojej pracy doktorskiej, ale bezskutecznie. Dzwonił nawet na tajny numer, którego wolno było używać w skrajnych przypadkach, ale też bez efektu. Na automatycznej sekretarce zostawił dwie wiadomości, chociaż wiedział, że profesor nigdy się nie spóźnia na umówione spotkania. A jeśli nawet coś mu wypadnie, od razu dzwoni i uprzedza, że zjawi się później. Jeremy zaczął się więc powoli niepokoić. Co powinien zrobić, jeśli profesor nie przyjedzie? Odesłać całą trójkę tam, skąd przyszedli?

Miesdrosny poprosił o herbatę, podczas gdy drugi z mężczyzn – niewysoki, korpulentny, o astmatycznym oddechu i głosie cienkim jak pulower pod marynarką – zażyczył sobie kawy. Kobieta tak jak poprzednio nie chciała nic do picia. Na co patrzyła? Na odlatujące ptaki? Na ludzi idących tam, dokąd chcieli iść? Była niezdarna, silnie zbudowana, z twarzą przedwcześnie postarzałą od ciężkiej pracy. Skończyła trzydzieści cztery lata, ale wyglądała na czterdzieści kilka. Tak jak poprzednim razem miała na sobie tani pomięty granatowy kostium. Państwowy areszt śledczy stać było prawdopodobnie tylko na taki wydatek. Chodziło o to, żeby kobieta przynajmniej na te dwie godziny mogła zamienić więzienne ubranie na cywilne. A może po prostu innego nie miała?

Jeremy jeszcze przed jej pierwszą wizytą wiedział, z kim przyjdzie mu się spotkać, bo wszystkie gazety rozpisywały się o jej sprawie. Jedne zachowywały dystans, inne – w większości bulwarówki – roztrząsały każdy szczegół, opatrując swoje teksty nagłówkami w stylu: „Bestia”, „Zwierzę”, „Demon” czy „Diablica”. Pojawiło się też określenie „bardzo chora kobieta”.

Jeremy zauważył, że porusza się sztywno i niezgrabnie. Odnosiła się nieufnie do sytuacji, iż przez dwie godziny ktoś będzie studiował jej ludzką naturę. Trafiała tutaj, ponieważ prokurator chciał się dowiedzieć, czy popełniła swój czyn w stanie poczytalności, czy też wynikał on z jej chorej natury. Profesor Brock to jeden z najbardziej kompetentnych specjalistów w tej dziedzinie, co oznacza, że jego opinia mogła wpłynąć na orzeczenie sądu. Profesor zaplanował trzydniowe sesje. Dzisiaj miała się odbyć druga. Jeremy, który od pół roku zatrudniony był w kierowanym przez Brocka Instytucie Psychiatrii Sądowej, miał za zadanie przepisywać na czysto protokoły z tych spotkań. Pracy jednak miał niewiele, bo kobieta prawie w ogóle się nie odzywała.

Poszedł do kuchni, żeby przygotować zamówione napoje. Lubił Brocka i podobała mu się praktyka, którą u niego odbywał. Lubił ciemne przytulne pomieszczenia, zapach skóry i fajki, kurz na grzbietach książek, terpentynę i wosk, którymi były wypolerowane biurka i regały na książki. Czasem mu się wydawało, że urodził się w niewłaściwym stuleciu. Brock był specjalistą w dziedzinie prognozowania nawrotu chorób i badań nad schizofrenią. Właściwie to był w tym najlepszy. Dla ojca Jeremy’ego zaś liczył się zawsze tylko ten, kto był najlepszy. Jeremy ukończył studia psychologiczne, ale włożył w nie tylko tyle wysiłku, ile było konieczne. Niezbyt też zaprzętał sobie głowę dalszym kształceniem. Kiedy myślał o przyszłości, oczami wyobraźni widział elegancko urządzone gabinet i ludzi, którym pomoże się wydobyć z głębokiego egzystencjalnego kryzysu. Nigdy jednak nie miał do czynienia z prawdziwym złem. Poznał je, dopiero gdy zjawiła się ta kobieta. To ona je tu sprowadziła.

Jeremy wiedział, że początkujący psychoterapeuta nie powinien tak myśleć. Uznał jednak, że kobieta jest chora, a przynajmniej taką miał nadzieję, bo będzie to oznaczało, że już nigdy nie znajdzie się na wolności. Zostanie poddana terapii, żeby któregoś dnia mogła zrozumieć zło, którego się dopuściła.

W oczekiwaniu, aż woda w czajniku się zagotuje, zerknął przez otwarte drzwi na kobietę. Stała przy oknie i sprawiała wrażenie słabej. Podczas pobytu w areszcie chyba trochę schudła. Nafaszerowała narkotykami ważącego dziewięćdziesiąt kilogramów mężczyznę, zaciągnęła go na wybieg dla na wpół zdziczałych pekarzy z Ameryki Południowej i zostawiła go tam na pastwę okrutnego losu. Zrobiła to z takim samym spokojem, z jakim inni karmią swoje papużki, jak gdyby było to dla niej czymś oczywistym. I nawet nie próbowała zatrzeć śladów. Zebrała tylko kości, żeby je później usunąć. To

właśnie ten czyn, jak również napaść na policjantkę stały się podstawą do postawienia jej w stan oskarżenia.

Później, kiedy przyszła po nią policja, aby na podstawie zebranych poszlak odwieźć ją do aresztu, zachowywała się spokojnie, jakby jej nie było. Kiedy pytano ją o popełniony czyn, milczała. Niczego nie wyjaśniała i nie usprawiedliwiała się. Do winy przyznała się w jednym krótkim zdaniu. Potem zamilkła. Nie była nawet w stanie wyjaśnić, czy swoją ofiarę знаła, czy też po prostu wyboru dokonała pod wpływem impulsu.

Jeremy znał datę urodzenia Charlotte Rubin, wiedział, do jakiej chodziła szkoły, kiedy i dokąd się przeprowadzała i jakie były najważniejsze wydarzenia w jej życiu. Zawodu opiekunki zwierząt nauczyła się w Dessau. Niezameżna, bezdzietna. Pochodziła z niewielkiej wsi w powiecie Fläming, nie miała prawa jazdy, była niekarana, mieszkała w zwykłym robotniczym mieszkaniu, uważano ją za przyjacielską, skromną i spokojną. Brock powiedział, że to dopiero początek badań, że musi się wgryźć w duszę tej nieszczęsnej istoty, która w nagłym przypiływie emocji i bez żadnego powodu zabiła człowieka. To było jego powołaniem. Jeremy pomyślał, że któregoś dnia stanie się także jego.

Kiedy woda się zagotowała, włożył do jednej filiżanki torebkę herbaty, a do drugiej wsypał łyżeczkę kawy. Obie zalał wodą i starając się utrzymać równowagę, zaniósł na tacy do pokoju. Mężczyźni chrząknęli, pochylili się nad tacą, sięgnęli po mleko i cukier i zamieszali łyżeczkami napoje w filiżankach. Ten bez nazwiska miał zbiorek krzyżówek.

– Gdzie jest profesor Brock? – spytała nagle kobieta.

Jeremy się przestraszył. Miał jednak nadzieję, że policjanci tego nie zauważyli. Kobieta miała jasnoniebieskie łagodne oczy. Za każdym razem, gdy w nie spoglądał, zadawał sobie pytanie, czy w taki sam sposób patrzyła w oczy swojej ofierze. Tamten człowiek wiedział, co go czeka, i w ostatnich minutach swojego życia z całą świadomością okrutnego losu pocił się ze strachu. Trzask łamanych kości, pękające ścięgna, odrywanie mięsa od kości, smrodliwy oddech zwierząt bijący w twarz, kły zagłębiające się w szyję, kark i ramiona... Odgryziona ręka, dłoń, która trafiła do kanału z wodą, krew na piasku... wszędzie krew. Jeremy nie był w stanie wymazać z pamięci tych obrazów, podobnie jak suchych słów lekarza medycyny sądowej, który badał zęby i łapy pekari i przeprowadzał analizę treści ich żołądków. Znalezione w nich resztki zwłok ułożył na stalowym stoliku i dokładnie sfotografował. Protokół z opisem zbrodni i jej przebiegu świadczył, że sprawca jest człowiekiem chorym. Ale Jeremy nie czuł współczucia dla kobiety, tylko wstręt. W jej życiu, w jej oczach i twarzy szukał śladów szaleństwa, lecz znalazł jedynie błahostki graniczące z normalnością.

– Pan profesor jest w drodze – wyjaśnił. – Czy chciałaby pani poczekać na niego w gabinecie?

– Tak – odparła słabym głosem kobieta.

Siedziała z opuszczonymi ramionami. Jeremy próbował się uśmiechnąć, ale gdy Rubin musnęła go przypadkowo rękawem, wzdrygnął się.

– O trzynastej musimy wracać – powiedział Miesdrosny. – Jeśli więc profesor zaraz się nie zjawi...

– Na pewno przyjdzie – przerwał mu Jeremy. – Wie, że państwo tu jesteście.

Kobieta, której imienia i nazwiska Jeremy nie był w stanie wypowiedzieć, usiadła przy biurku na obitym skórą krześle. Na ciemną dębową podłogę padało światło tłumione przez jasne lniane zasłony. Każdego ranka sprzątaczką usuwała z niej najmniejszy pyłek. Ołówki układała na biurku według ich długości, ostrzyła je, ustawiała na środku aparat telefoniczny, sprawdzała położenie przyborów do pisania. Puste biurko było dla niej dowodem najwyższego profesjonalizmu. Jeremy rozmyślał właśnie o bałaganie panującym na jego biurku, o swojej pracy pod tytułem *Ocena ryzyka w czasie używania instrumentów prognozowych* i o godzinach otwarcia biblioteki uniwersyteckiej, gdy nagle w pokoju pani Katz zadzwonił telefon.

– To na pewno pan profesor – powiedział. – Wybaczą państwo.

Zadowolony z faktu, że nie musi przebywać w obecności kobiety, ruszył pospiesznie korytarzem, wszedł do sekretariatu i odebrał telefon.

– Gabinet profesora Gabriela Brocka, mówi Jeremy Saaler.

– Niech pan da spokój!

Jeremy poczuł tak wielką ulgę, że słuchawka prawie wypadła mu z ręki.

– Panie profesorze, gdzie pan jest?! Ma pan umówione spotkanie...

– Miałem wypadek – przerwał mu Brock. Mimo okoliczności głos miał jasny i spokojny. – Nic poważnego. Rowerzysta. Może pan jednak sobie łatwo wyobrazić, ile przy tym było zamieszania. Rowerzysta nie zauważył, że miałem pierwszeństwo, a teraz chce zrzucić winę na mnie. Zachowanie typowe dla małego dziecka z ograniczonym poczuciem winy. – Brock roześmiał się cicho. Wszystko potrafił wyjaśnić w kilku słowach – od walki cenowej supermocarstw aż po teorię darwinistyczną w odniesieniu do jamników. – Poza tym mój telefon wpadł pod siedzenie, co było o wiele bardziej nieprzyjemne – kontynuował Brock. – Domyślam się, że to pan do mnie ciągle dzwonił?

– Tak, to ja... przepraszam.

– Nie ma powodu, za dziesięć minut będę na miejscu. Mam jeszcze prośbę: niech pan nie spuszcza tej Rubin z oka. Gdzie ona teraz jest?

Jeremy cofnął się o krok i wyjrzał na korytarz. Drzwi poczekalni były otwarte. Mężczyzna bez nazwiska rozwiązywał krzyżówkę, Miesdrosny znalazł jakiś komiks i przerzucał kartki.

– Jest w pana gabinecie.

– Sama?

– Chyba tak – odparł niepewnie Jeremy.

Ton głosu Brocka zmienił się w jednej chwili, był teraz stanowczy i wymagający:

– Niech pan nie spuszcza jej z oczu. Nie wolno ani na moment zostawiać jej bez nadzoru.

Boże! Jeremy przełknął nerwowo ślinę. Przecież ta kobieta może uciec, biuro znajduje się na pierwszym piętrze, okna nie są zakratowane.

– Powtarzam: ani na moment. Rozumiem, że obaj panowie są razem z nią?

– Hm...

– Zaraz tam będę. Niech pan do niej idzie i zostanie przy niej.

Brock się rozłączył. Jeremy poszedł szybkim krokiem do poczekalni. Przez otwarte drzwi prowadzące do gabinetu profesora zauważył, że fotel za biurkiem stoi pusty. Obaj mężczyźni zrobili zdziwioną minę, gdy przebiegł obok nich.

– Co się dzieje? – spytał Miesdrosny i zerwał się z krzesła.

Drugi policjant położył długopis na otwartej stronie krzyżówki.

– Gdzie ona jest?! – zawołał, podbiegając do zamkniętego okna.

– Nie ma jej? – spytał Miesdrosny.

Wszedł do pokoju, rozejrzał się, podszedł do okna, rozsunał zasłony, wszedł za biurko, pochylił się, zajrzał pod blat i nagle zastygł w bezruchu. Drugi mężczyzna odłożył w końcu krzyżówkę i powoli wstał z krzesła. Miesdrosny się wyprostował.

Obaj policjanci prawie w tej samej chwili sięgnęli pod marynarki, żeby wyciągnąć broń z kabury. Miesdrosny spojrzał na drzwi prowadzące do biura. Były otwarte na taką szerokość, że mógł się za nimi ukryć dorosły człowiek. Drugi policjant wszedł szybkim krokiem do pokoju. Zrobił to tak cicho, że nawet parkiet nie zaskrzypiał. Miesdrosny uniósł broń i wycelował w ciemne drewno. Jego kolega chwycił za klamkę i powoli pociągnął drzwi w swoją stronę. Jeremy stał w takim miejscu, że nie widział, co się za nimi kryje. Oczy Miesdrosnego robiły się coraz większe. Intensywnie oddychał. W końcu opuścił pistolet

i zawołał:

– Niech to szlag!

Drugi pospieszył w jego stronę, zatrzasnął za sobą drzwi i wycelował w kobietę, która siedziała na taborecie oparta o ścianę. W szyję miała wbity ołówek, z rany sączyła się krew. Rubin wpatrywała się szklistym wzrokiem w niewidoczny punkt. Na jej białej bluzce robiła się coraz większa czerwona plama. Dłonie miała pobrudzone krwią. Żeby wbić sobie ołówek w szyję, musiała prawdopodobnie użyć wielkiej siły.

– Cholera! Niech to szlag!

Wyglądało na to, że Miesdrosny kompletnie się pogubił i nie wie, co zrobić. Pochylił się nad kobietą, jednym ruchem wyszarpnął jej ołówek z rany i przycisnął do niej swoją potężną dłoń. Ucisk jednak był tak silny, że kobieta zsunęła się ze stołka i spadła na podłogę.

– Karetka pogotowia!

Drugi mężczyzna zaczął szukać krótkofalówki i dopiero po chwili do niego dotarło, że wykonuje jedno z tych zadań, w których krótkofalówek się nie używa. Wyjął więc komórkę, wybrał numer pogotowia i w kilku słowach wyjaśnił, o co chodzi.

– Ręcznik! Macie tu ręcznik? Musimy zatamować krew. Szybko, bo inaczej nam tu wykituje!

Jeremy ocknął się w końcu z osłupienia. Pobiegł do kuchni i zaczął szukać ręczników. W końcu znalazł je pod zlewozmywakiem. Zabrał kilka i wrócił do gabinetu. Przez cały czas czuł, jak serce mocno mu bije. Powoli do niego docierało, że jest w stanie szoku. Nie zwracał jednak na to uwagi.

– Niech pan zrobi z tego opaskę uciskową.

– Jaką opaskę?

– Uciskową.

– Nie umiem.

– No to niech pan przyłoży palce prawej ręki do rany i przycisnie je lewą ręką.

– Co takiego?

– Przecież jest pan lekarzem?! – ryknął mężczyzna.

Tylko bez paniki, pomyślał Jeremy.

– Jestem psychologiem i nie studiowałem medycyny.

– Nie szkodzi – odparł mężczyzna.

Chwycił rękę Jeremy’ego i przyłożył ją kobiecie do szyi. Rubin charczała cicho, z ust ściekała jej strużka krwi. Niewykluczone, że uszkodziła sobie drogi oddechowe. Jeremy poczuł na twarzy jej metaliczny, wilgotny, kleisty oddech. Zrobiło mu się niedobrze.

– Mocniej!

Jeremy zwiększył ucisk. Zdziwił się, czując pod raną, którą uciskał palcami, twarde mięśnie kobiety. Rubin jęczała, traciła coraz więcej krwi. Miesdrosny skręcił jeden z ręczników w rulon.

– Do rany! Przycisnąć!

Potem próbowali owinać szyję kobiety pozostałymi ręcznikami. Było to trudne, bo Rubin leciała im z rąk. Jej krew pobrudziła Jeremy’emu twarz, koszulę, po prostu wszystko.

– Jeszcze raz! – wrzasnął Miesdrosny. – Głowa do góry! Dalej!

Jeremy chwycił kobietę za kark. Oczy miała przymknięte. Kiedy wracała jej świadomość, zachowywała się tak, jakby to, co robią mężczyźni, było jej najzupełniej obojętne.

– Mocniej! – krzyknął Miesdrosny. – Niech pan zamknie ranę!

Jeremy zaczął szukać palcami miejsca, z którego ciekła krew. Objął palcami szyję kobiety, jakby chciał ją udusić. Żeby tylko nie zwolnić ucisku, pomyślał błagalnie. Dopiero w tym momencie zrozumiał, co to znaczy, gdy ktoś umiera komuś na rękach.

Rubin otworzyła oczy i spojrzała na niego. Przez krótką chwilę wydawało się, że nawiązała się między nimi jakaś więź. Nie umieraj, kobieto, pomyślał. Nie wolno ci tak odejść. Wyjdiesz nie tylko z tego, ale ze wszystkiego, co z tego wyniknie.

W końcu Miesdrosnemu udało się zrobić coś w rodzaju opaski uciskowej. W tym momencie w korytarzu rozległ się odgłos szybkich kroków, a potem trzask segregatora rzuconego na biurko.

– Co tu się...?

W drzwiach stanął Brock. Przez chwilę stał jak wmurowany, potem podszedł bliżej i pochylił się nad kobietą. Zaczął szukać jej pulsu i po chwili go znalazł. Poklepał ją po policzku i uniósł drżącą powiekę. Jeremy i Miesdrosny odsunęli się od Rubin, żeby zrobić mu miejsce. Obaj byli spryskani krwią i sapali z wysiłku. Drugi policjant wyłonił się w końcu z niebytu i zaczął wszystkiemu się przyglądać przerażonym wzrokiem. Zauważył, że kobieta nadal żyje, bo Brock cicho z nią rozmawiał.

– Za trzy minuty – powiedział do Brocka. – Karetka przyjedzie za trzy minuty.

Brock spojrzał na Jeremy'ego obojętnym wzrokiem. Jeremy pochylił się, podniósł ołówek i położył go na jedynym czystym ręczniku, jaki im pozostał.

– Sprawy potoczyły się tak szybko...

– Przecież powiedziałem... – przerwał mu Brock, ale od razu się opanował.

Powoli ułożył głowę kobiety na podłodze. Na dywanie zrobiła się ciemna wilgotna plama.

Jeremy cenił w Brocku pewną rzecz, która nie miała nic wspólnego z jego wiedzą albo kompetencjami: instynkt, umiejętność przewodzenia innym. Takim jak on. Nie wiedział tylko, jak długo to potrwa. Od samego początku czuł, że nie trafił tu w optymalnych okolicznościach. Nie miał odpowiednich kwalifikacji, wiedzy, umiejętności ani kompetencji. Wiedział, że jest żalosnym produktem układów, protekcji i obietnic składanych w czasie gry w golfa. Jak zwykle chodziło o popieranie swoich. Oceny na studiach miał przeciętne, zaangażowanie utrzymywało się w granicach tego, co konieczne. Uczucia, jakie żywił wobec takich ludzi jak ta kobieta, nie miały nic wspólnego z profesjonalizmem. Mimo to Brock go przyjął. Szacunek Jeremy'ego dla profesora rósł więc w takim samym tempie jak pogarda dla własnego ojca, który pozbawił go szansy bycia kimś innym i zmusił do zaciągnięcia kłopotliwego długu wdzięczności.

Brock wyprostował się i zabrał ręcznik, z którego wypadł ołówek.

– Dzwoniłem i uprzedzałem, że się spóźnię. Przykro mi. Mam nadzieję, że przeżyje.

Rubin przestała charczeć. Na ulicy rozległa się syrena karetki pogotowia. Dla Jeremy'ego cała ta sytuacja była nierzeczywista. Przed chwilą przygotowywał kawę i herbatę, a w następnym momencie ta kobieta wbiła sobie ołówek w szyję, przez co o mało nie umarła. Dźwięk syreny rozbrzmiewał coraz głośniejsze, a jemu się wydawało, że tkwi pod jakąś szklaną kopułą. Kiedy sanitariusze przywiązali bezwładne ciało Rubin do noszy i wyszli z gabinetu, Miesdrosny i jego towarzysz pospieszyli za nimi. Jeremy wszedł do łazienki, spojrzał w lustro i po raz pierwszy do niego dotarło, że chyba jednak wybrał niewłaściwy zawód.

Rozdział 9

Dwa dni później Jeremy znowu ją zobaczył. Rubin miała na szyi sztywny gorset. Była strasznie blada, bo straciła wiele krwi. Jej ogólny stan pozwalał jednak na krótką wizytę w szpitalu. Poprosił go o to Brock, który myślami był już w drodze na międzynarodową konferencję w Chinach. Poleciał mu, żeby przekazał Rubin życzenia szybkiego powrotu do zdrowia, i zabronił rozmawiać z nią o tym, co się wydarzyło.

Teraz przyszedł psychoterapeuta stał przy jej łóżku z bukietem kwiatów w ręce. Przywitał się, wypowiedział kilka grzecznościowych formułek i nie wiedział, co zrobić dalej. Rubin leżała w łóżku nieświadoma tego, co się wokół niej dzieje. Patrzyła nieruchomym wzrokiem w okno. Być może myślała o tym, że w przyszłości świat będzie oglądać tylko przez kraty.

– Profesor Brock prosił przekazać, że gdy pani stan zdrowia się poprawi, będziemy mogli kontynuować nasze sesje – powiedział Jeremy, niezgrabnie poruszając bukietem. Może powinien poprosić o wazon?

– Piękne kwiaty – odparła Rubin.

Było to najdłuższe zdanie, jakie do tego momentu usłyszał z jej ust. Był tak zaskoczony, że o mało się do niej nie uśmiechnął. Polne kwiaty przypominały mu kwiaty z ogrodu rodziców. Wiejskie kobiety sprzedawały je z dużych wiader w pasażach handlowych. Często nie mógł się oprzeć pokusie i po prostu je kupował, chociaż potem nie wiedział, co z nimi zrobić. Najczęściej więc dawał je pani Katz.

Komplement wypowiedziany przez Rubin zaskoczył go i wzruszył. Dzięki niemu stała się w jego oczach bardziej ludzka. Jak widać, dwa równoległe wszechświaty mają pewien minimalny wspólny zbiór.

– Przypominają mi dzieciństwo – wyznał Jeremy.

– Mnie też.

Serce zabiło mu ze strachu. Brock godzinami próbował wyciągnąć z niej jakieś szczegóły na temat jej dzieciństwa, a tymczasem on dokonał tego za pomocą zwykłych kwiatów. Teraz żałował, że nie zabrał dyktafonu.

– Lato w Brandenburgii też? – spytał.

– Tak. To śmieszna sprawa. Człowiek zapomina o mokrej jesieni, długiej zimie albo że podczas wakacji często padał deszcz. Nagle pojawia się jakiś impuls, który coś mu przypomina. Dziękuję. To miłe.

Jeremy doszedł do wniosku, że kobieta nigdy wcześniej nie dostała od nikogo kwiatów.

– Jak się pani czuje?

Rubin wzruszyła niepewnie ramionami. Niezależnie od tego, co uczyniła – a jemu udało się zbudować w sobie pewien dystans dopiero w chwili, gdy ujrzał ją w łóżku – nie wydawała mu się już aż tak straszna, za jaką ją dotychczas uważał.

– Niech pan nie robi sobie wyrzutów – powiedziała Rubin. – Co się ma stać, to się stanie.

Ale on nie robił sobie żadnych wyrzutów. A może jednak? Nie powinien jej zostawiać bez nadzoru. Tylko kto mógłby przypuszczać, że zwykłym ołówkiem można sobie zrobić taką krzywdę?

– Prokurator nalega na wydanie opinii przez specjalistę – odparł Jeremy i od razu zauważył, że użył zbyt surowego tonu. Postanowił go więc złagodzić. – Pani proces zacznie się za niecałe dwa miesiące. Byłoby więc dobrze, gdybyśmy mogli szybko wznowić nasze sesje. Lekarze mówią, że być może

pod koniec tygodnia zostanie pani wypisana ze zwykłego szpitala i przeniesiona do szpitala przy areszcie w Plötzensee. Akurat wtedy profesor Brock wróci z podróży służbowej. Jeśli więc odpowiednio zaplanujemy terminy naszych spotkań, powinniśmy zdążyć sporządzić opinię na czas.

Rubin zachowywała się tak, jak gdyby to, o czym mówi Jeremy, w ogóle jej nie interesowało. Znowu spojrzała przez okno. Jeremy z trudem stłumił westchnienie. Po co ją o to pyta? Przecież i tak mogą dysponować jej czasem według własnego uznania.

– Byłoby dobrze, gdyby zaczęła pani współpracować.

Rubin znowu zareagowała tak, jak gdyby go nie usłyszała. Musi być bardzo o tępiąca, jeśli jej własny los jest jej tak obojętny.

Jeremy położył kwiaty na nocnej szafce i już chciał wyjść, gdy nagle coś spadło na podłogę z metalicznym trzaskiem. Jeremy pochylił się i podniósł srebrny łańcuszek z małym medalionem. Próbował sobie przypomnieć, czy osadzonym w aresztach przysługuje prawo do posiadania takich rzeczy. Medalion przedstawiał kobietę z połamanym kołem w tle. Zanim jednak zdążył się wyprostować, u jego boku jak spod ziemi wyrosła Rubin i jednym ruchem wyrwała mu łańcuszek z ręki.

– Przepraszam, ale nie zamierzałem go pani odbierać – usprawiedliwił się Jeremy.

Rubin przycisnęła medalion do piersi i po raz pierwszy popatrzyła na niego. Było to spojrzenie głęboko oburzonej istoty, która nie chce stracić ostatniej rzeczy, jaka jej jeszcze została.

– Ładny łańcuszek – stwierdził Jeremy. – Kim jest ta kobieta?

Rubin rozłożyła ostrożnie dłoń i popatrzyła na swój skarb.

– To święta Katarzyna.

– Rozumiem.

Jeremy nie wiedział nic o religii katolickiej. Wychowywał się w rodzinie protestanckiej, a do samej religii miał stosunek obojętny.

– Czy to pani patronka? Ja znam tylko świętego Krzysztofa, i to tylko dlatego, że wszyscy kierowcy taksówek mają jego wizerunek. Ale niech pani nie pomyśli, że często jeżdżę taksówkami. Robię to tylko od czasu do czasu.

Powinien już wracać, spełnił swój obowiązek. Jeszcze raz popatrzył na Rubin. Mimo silnej figury, z opatrunkiem i wenflonem w ręce sprawiała wrażenie delikatnej.

– Kogo chroni święta Katarzyna? – spytał uprzejmym tonem.

Rubin wysunęła szufladę nocnej szafki i włożyła do niej medalion. Potem przeszła na drugą stronę i odwróciła się do niego plecami.

– Święta Katarzyna jest jedną z czternastu świętych wspomóżycieli, którzy ratują w trudnych sytuacjach. Chroni kobiety, dziewczęta i zakonnice.

– Jest pani katoliczką?

Milczenie.

– Może chciałaby pani porozmawiać z księdzem?

Rubin rzuciła mu przez ramię zmęczone spojrzenie.

– A wyglądam na kogoś, kto takiej rozmowy potrzebuje?

– Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak powinna pani wyglądać. Nie mam zbyt wiele doświadczenia. Nadal jestem w trakcie nauki.

W jasnoniebieskich oczach Rubin rozbłysło coś w rodzaju uprzejmego zainteresowania.

– Żądam od pana zbyt wiele?

Oczywiście. Niepokoiło go, że Rubin tak łatwo domyśliła się, jaki ma problem. A przecież powinno być odwrotnie. To on powinien ją oceniać.

– U profesora Brocka jestem dopiero od pół roku – wyjaśnił, siadając na krześle stojącym przy łóżku.

Pamiętał jednak o tym, żeby zachować czujność. – Z opinią, którą profesor przygotowuje na pani temat, nie mam jednak nic wspólnego. To jego wyłączna domena. Mogę się za to wiele nauczyć.

– Na przykład czego?

– Na przykład jak obserwować człowieka, jak się zachowywać, jakich odpowiedzi udzielają ludzie, a jakich unikają.

Tylko ostrożnie, pomyślał. Stąpasz po cienkim lodzie. Okrążaj ją z daleka, nie odpuszczaj. Rozmawiasz z nią, chociaż ci nie wolno. Powinien tu być Brock. On by wiedział, co to znaczy. Po co ona w ogóle przemówiła? Prawdopodobnie chce go wy badać. Ale odczuwał wielką radość. Rubin mówi! Potwór pokazuje ludzką twarz. To o wiele więcej, niż do tej pory osiągnął Brock. Profesor już na pierwszym spotkaniu zaczął ją wy pytywać o czyn, którego dokonała.

– No to czego się pan do tej pory o mnie dowiedział?

Jeremy się uśmiechnął. Miał nadzieję, że Rubin uzna jego uśmiech za sympatyczny i wzbudzający zaufanie.

– Nie jest pani zbyt pewna siebie – odparł. – Dobrze to rozumiem. Znalazła się pani w sytuacji, w której nigdy wcześniej nie była. Każdy gest, każde wypowiedziane zdanie może panią zdradzić. Nie wie pani, czy to, co robi i mówi, działa na pani korzyść, czy na niekorzyść. Pani działanie w afekcie... –

Jeremy przerwał, żeby przełknąć ślinę, bo przypomniał sobie scenę, jaka rozegrała się w gabinecie Brocka. Jej szyję, próby zatamowania krwi tryskającej z tętnicy, panikę... Coś mu się w tym nie zgadzało. Stracił wątek, ale po chwili znowu mu się przypomniało, jak obejmował dłońmi jej szyję, jak gdyby chciał ją udusić. To jest w tym wszystkim najgorsze: silny uchwyt może zarówno uratować komuś życie, jak i go pozbawić. Pomyślał, że coś mu tu nie pasuje. – Skąd pani ma ten łańcuszek?

Ciekawość kobiety zgasła równie szybko, jak się pojawiła. Znowu zaczęła patrzeć w okno.

– Przecież przedtem go pani nie nosiła.

Bo to zabronione, pomyślał. Przypomniał sobie, że w areszcie śledczym wolno zachować własne ubranie, ale wszystkie inne przedmioty trzeba oddać do depozytu. Jeremy był prawie pewien, że ta zasada dotyczy także czternastu świętych wspomóżycieli.

– Czy ktoś u pani był? – spytał. – To ważne. Musimy o tym wiedzieć.

Ale kobieta nie zareagowała nawet wtedy, gdy się pożegnał i miał zamiar wyjść z pokoju. Na korytarzu siedział strażnik, który czytał jakąś bulwarówkę. Nagłówki w gazecie informowały, że zbliża się trudny okres dla rolników, którzy i tak już skarżyli się na długą suszę. Kiedy Jeremy stanął przed strażnikiem, ten uniósł głowę.

– W pokoju wszystko w porządku? – spytał.

Mężczyzna miał pod sześćdziesiątkę i wyglądał na sympatycznego człowieka. Na pewno był jednym z tych policjantów, którzy pomagają staruszkom przejść na drugą stronę ulicy i cierpliwie upominają rowerzystów, żeby nie przejeżdżali na czerwonym świetle. Jeremy zastanawiał się, jak policjant by zareagował, gdyby Rubin podjęła próbę ucieczki. Raczej nie popędziłby za nią szpitalnym korytarzem.

– Tak, dziękuję. Proszę mi powiedzieć, czy panią Rubin ktoś odwiedzał.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

– Tak. Wczoraj był u niej ksiądz. W końcu to szpital katolicki. Oprócz tego do jej pokoju wchodzi pielęgniarki.

Oczywiście. Jeremy przypomniał sobie, że gdzieś przy wejściu widział krzyż. To może wyjaśniać, skąd wzięła łańcuszek. Nie wolno go jej mieć, ale komu to przeszkadza? Być może Rubin niezręcznie byłoby mówić o spotkaniu z księdzem. Jeremy się rozejrzał.

– Gdzie jest drugi strażnik? Nie powinno być tu panów dwóch? To przecież najbardziej znany więzień w mieście.

– Jest na miejscu – odparł mężczyzna znacznie bardziej wstrzemięźliwym tonem. – Niech pan się nie martwi, pilnujemy jej. Nic nie ujdzie naszej uwagi!

Oprócz księży, pomyślał Jeremy. Chciał jeszcze spytać, czy ksiądz został przeszukany, ale dał sobie spokój. To przecież nie należy do jego obowiązków. Pożegnał się i opuścił szpital.

Idąc do samochodu, zastanawiał się, która godzina jest teraz w Chinach. Chyba wczesny wieczór. Wyjął telefon i wykręcił numer Brocka. Zgodnie z jego przewidywaniami włączyła się automatyczna sekretarka. Począł na koniec nagrania i powiedział do słuchawki:

– Przepraszam, że przeszkadzam... – Przerwał, zamknął drzwi swojej toyoty i zauważył kolejny blankiet mandatu za wycieraczką szyby. Znowu to samo. Cała ulica jest pełna dziur, transport publiczny jest niewydolny, ale straż miejska działa. No cóż, wolno im. Ciekawe, co się dzieje z pieniędzmi, które ściągają od kierowców? – Właśnie wracam od Charlotte Rubin. Proszę sobie wyobrazić, że rozmawiała ze mną.

Rozłączył się i poczuł, jak przepełniają go duma i radość.

Rozdział 10

Trzy dni później profesor Brock wrócił do Berlina. Jeremy z radością wybiegł mu na powitanie.

Brock musiał sobie zadać trochę trudu, żeby nie odwzajemnić uśmiechu. Lubił Jeremy'ego, ale polubienie go zabrało mu trochę czasu, bo na początku traktował przyjęcie go do pracy jako przysługę, której nie miał odwagi odmówić. Z czasem jednak poznał go bliżej. Jego uczeń chyba sam nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że właśnie odnalazł swoją prawdziwą namiętność.

Brock musiał zmierzyć się z problemem trudnych relacji między ojcem a synem – dwoma mężczyznami o nazwisku Saaler. Pierwszy z nich był typem dominującego patriarchy, który nie znosił sprzeciwu. Drugi dorastał ze świadomością, że będzie musiał podążać utartą ścieżką kariery, i być może dlatego nie traktował jej jako swojej. Brock zawsze wolał tych, którzy wątpią, potrafią się ze sobą zmierzyć i nie dają się zaślepić akademickim stopniom i profesorskim honorom. Cieszył się, że obaj z Jeremym otrzymali szansę. I pewnie właśnie o tym pomyślał, gdy na twarzy praktykanta dostrzegł z trudem tłumioną radość.

Jego telefon zadzwonił, gdy jechał do restauracji na spotkanie z kolegami z Filadelfii, Wiednia i Sydney. Z początku nie zrozumiał, o czym z tak wielkim przejęciem opowiada mu jego praktykant. „Rozmawiała ze mną”.

Brock otworzył drzwi do gabinetu i puścił go przodem. Jeremy wolał nie patrzeć w stronę miejsca, w którym Rubin prawie wykrwawiła się na śmierć. Kociaczek położyła tam jakiś brzydki chodnik. Latem trzeba będzie wymienić dywan na nowy.

– Niech pan siada – powiedział Brock, zajmując miejsce po drugiej stronie biurka.

– Jak przebiegła podróż? – spytał Jeremy.

– Dziękuję, dobrze – odparł Brock, przeciągając dłonią po oczach. – Różnica czasu, kiedy się wraca w tym kierunku, to okropna rzecz. Będę musiał się wcześniej położyć.

Sięgnął po gazety z ostatnich dni i szybko przejrzał nagłówki. W trakcie lektury zauważył, że Jeremy wierci się niespokojnie na krześle.

– Niechże pan to w końcu z siebie wydusi – powiedział.

– Odwiedziłem ją w szpitalu. Zrobiono jej kilka transfuzji krwi, ale najgorsze ma już za sobą. Właściwie chciałem ją tylko spytać, czy będziemy mogli kontynuować nasze sesje w przyszłym tygodniu. Rozmawialiśmy o polnych kwiatach. Przyniosłem jej bukiet takich kwiatów. Przypomniały jej lata dzieciństwa.

– To ciekawe – skomentował Brock i wreszcie się uśmiechnął. – A konkretnie co?

Domyślił się, że między początkującym psychoterapeutą a morderczynią, której udowodniono popełnienie zbrodni, musiało do czegoś dojść. Jak mówi Talmud: „Ten, kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat”. Antoine de Saint-Exupéry napisał w *Małym Księciu*: „Stajesz się odpowiedzialny na zawsze za to, co oswoiłeś”³. Najważniejsze jest to, że w chwili gdy Jeremy musiał przycisnąć ranę własną dłonią, pozbył się swoich lęków przed kontaktem fizycznym. Brockowi nie uszedł uwagi szczególny rodzaj strachu, z którym jego młody praktykant odnosił się do Rubin. Zrozumiał jednak, że po tamtym zdarzeniu nastąpiła jakaś zmiana. Miał tylko nadzieję, że Jeremy jest na tyle silny, aby zapanować nad emocjami.

Jeremy przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Lato, ładna pogoda. Kiedy o tym myślała, wyglądała na szczęśliwą. Zauważyłem, że miała łańcuszek, który przyniósł jej jakiś ksiądz. Na medalionie znajduje się wizerunek świętej Katarzyny, która jest patronką... yyy...

Widać było, że Jeremy zapomniał. Brock musiał mu pomóc:

– Patronką dziewcząt, dziewic, kobiet zamężnych i języka.

– Języka?

– Modlą się do niej ludzie, którzy cierpią na choroby języka, bez względu na to, co przez to pojęcie rozumiemy – wyjaśnił Brock. Otworzył boczne drzwi biurka i wysunął ze środka szufladę z aktami. –

Symbolika, hermeneutyka i alegoria – te formy wyrazu pojawiają się najczęściej wtedy, gdy sam język nam nie wystarcza. Warto się tym zainteresować. Wygląda na to, że tamten duchowny dobrze życzył naszej pacjentce.

– Jak to?

– Być może święta Katarzyna miała ulżyć pani Rubin. – Albo jej w czymś przeszkodzić, dodał w myślach Brock.

Zaczął szukać ołówka, żeby zanotować swoje przemyślenia, ale żadnego nie znalazł. Doszedł więc do wniosku, że wszystkie ołówki zabrała policja. Jeremy podał mu długopis.

– Dziękuję – powiedział Brock.

Sięgnął po teczkę ze sprawą Rubin i rozłożył ją na biurku.

– Czy ona jest jeszcze w szpitalu?

– Nie, wczoraj odesłali ją do aresztu śledczego w Lichtenbergu. Prokurator Rütter prosił, żeby go uprzedzić, jeśli nie zdążymy z naszą opinią na czas.

– Co mówią lekarze?

– W porządku. W przyszłym tygodniu będziemy mogli wznowić sesje.

– To dobrze – stwierdził Brock krótko, naciskając kilkakrotnie przycisk w długopisie.

Jeremy uznał to za znak, że powinien wyjść. Wstał z krzesła, ale w tym samym momencie usłyszał:

– Czy pańska niechęć wobec pani Rubin uległa relatywizacji?

– Moja niechęć? – odparł Jeremy, robiąc taką minę, jak gdyby ktoś go przyłapał na czymś niedorzecznym. – Ona jest chora bez względu na to, czy zostanie uznana za niepoczytalną, czy nie. Jeśli ktoś planuje taką zbrodnię, a potem jej dokonuje, to na pewno nie zasługuje na miano osoby normalnej. Nie nazwałbym tego niechęcią. Jest przecież pacjentką.

– Tego jeszcze nie wiemy. Stanie się nią dopiero, gdy wydamy ostateczną opinię, a do tego daleka droga. Cieszy mnie jednak, że pozbył się pan niechęci wobec niej. Dlatego postanowiłem zaprosić pana na następną sesję. Czy może ją pan przygotować?

– Oczywiście.

– Kiedy moglibyśmy zacząć? Pod warunkiem że lekarze dadzą nam zielone światło.

– W przyszłym tygodniu, w czwartek. Kociaczek... to znaczy pani Katz zapisała to już w swoim kalendarzu, na razie ze znakiem zapytania.

– To dobrze – mruknął Brock, pochylając się nad aktami.

Jeremy wyszedł z gabinetu. Dopiero gdy zamknął za sobą drzwi, profesor uniósł głowę, sięgnął po telefon i połączył się z panią Katz.

– Proszę się dowiedzieć, czy księża w katolickim szpitalu mają nieograniczony dostęp do więźniów przebywających w klinice.

Pani Katz zapewniła, że od razu zajmie się tą sprawą, a Brock zaczął przeglądać swoje notatki. Nadal nie potrafił zrozumieć, jakie motywy kierowały Charlotte Rubin. To dopiero początek. W ciągu trzech dni

– bo tyle czasu dano mu do dyspozycji – musi zrozumieć jej złożoną naturę i wydać na jej temat opinię.

Postanowił posłużyć się najprostszym schematem i zaczął od analizy czynu. Zabójstwo zostało dokonane według logicznego planu, w którym każdy kolejny krok wynikał z poprzedniego. Jej czyn posiadał określoną strukturę i jeśli nawet uwzględnić presję czasu, to i tak wszystko wskazuje na to, że był przemyślany. Rubin w żadnym wypadku nie działała w stanie psychozy. Do zaburzenia logiki rytmu doszło dopiero, gdy zjawiała się tamta policjantka, która działała chyba na własną rękę. Rubin doznała stresu i zaczęła popełniać jeden błąd za drugim.

Brock zaczął przeglądać papiery, żeby znaleźć w nich pewną notatkę sporządzoną przez Wydział Zabójstw. Komisarz Lutz Gehring jest chyba stosunkowo młodym człowiekiem, bo inaczej trudno byłoby wytłumaczyć ton jego głosu. Podczas rozmowy telefonicznej był stanowczy i pewny siebie. Nie miał żadnych wątpliwości, twierdził, że zdarzenie przebiegało w taki, a nie w inny sposób. Opisał, jak Rubin ciężko zraniła młodą posterunkową, a potem rzuciła się do ucieczki. Brock doszedł do wniosku, że teoria Gehringa jest słuszna. Najpierw ta zimna, nieludzka, ale precyzyjna zbrodnia. Potem uderzenie i ucieczka. Rubin nawet nie próbowała zatrzeć odcisków palców albo ukryć ciała ofiary. Po prostu pognęła przed siebie i całkiem przypadkowo została zatrzymana na przystanku tramwajowym. Oznacza to, że policjantka musiała ją czymś wyprowadzić z równowagi. Profesor zaczął szukać jej zeznania. Sanela Beara, Chorwatka z niemieckim obywatelstwem.

Tymczasem na dworze zanosilo się na burzę. Nad miastem zebrały się czarne chmury, które zasłoniły słońce. Upał stał się nie do zniesienia. Brock zapalił lampkę na biurku, żeby nie wkładać okularów. Od kiedy z ciężkim sercem pogodził się z faktem, że będzie musiał je nosić, niekorzystanie ze szkielec stało się dla niego wielkim wyzwaniem.

Zanim skupił się na krótkim zeznaniu złożonym przez Bearę, wrócił myślami do okresu, w którym sam odbywał praktykę. Był wtedy młodym psychologiem z głową pełną ideałów. Wspólnie z grupą adwokatów i psychiatrów próbował nie dopuścić do przymusowego wydalenia z kraju uchodźców z Bośni, którzy mieli za sobą wiele traumatycznych przeżyć. Los tych ludzi, którzy tyle przecierpieli, zrodził w nim rozpacz i poczucie bezradności. Uratowało go to, że poznał wtedy Mechthild, swoją przyszłą żonę. To ona nauczyła go, jak zamienić syndrom pomocnika w produktywną pracę naukową.

Terapia dla osób po traumatycznych przeżyciach. Czy Beara i jej rodzina też musieli się zmagać z takimi problemami? Złapał się na tym, że chętnie by ją zapytał, dlaczego wybrała ten właśnie zawód. Uznał jednak, że nie ma to nic wspólnego ze sprawą Rubin. Po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Każdemu może się to zdarzyć.

Czy aby na pewno?

Potrzebował dużo czasu, żeby zaakceptować tezę, iż zbrodnia mogła być dziełem zwykłego przypadku. Nadal był przekonany, że istnieją mechanizmy, które kierują działaniem samowolnym. Często bywa tak, że sprawca nie zdaje sobie z tego sprawy. Uważnie wczytywał się w treść zeznań policjantki. Bezblędny niemiecki, prawidłowa gramatyka. Jeśli zdołała to zapisać w takiej formie, to na pewno była dobrą, a nawet bardzo dobrą uczennicą w szkole. Niedoceniana w pracy, co może się skończyć tym, że prędzej czy później zacznie odczuwać brak satysfakcji. Dlatego zawsze chce być lepsza od innych.

W pewnej chwili przyłapał się na tym, że policjantka interesuje go bardziej niż Rubin. Skup się, człowieku, pomyślał. Zajmij się zabójczynią.

Pytanie nie brzmi więc, dlaczego Rubin zmieniła taktykę, tylko iloma taktykami się posługiwała i jaki to ma związek z jej osobowością. Poruszał się po omacku, ale w jego głowie zaczęła się rodzić pewna teoria. Zaburzenie dysocjacyjne tożsamości – ZDT. Osobowość graniczna. Być może również typ schizofrenii, do której pasuje święta Katarzyna.

Zaczął robić notatki. Pytanie: czy święta Katarzyna kontaktuje się z R.? Urojenia? Jeśli tak, to kiedy się

zaczęły? Po chwili przekreślił napisane zdania. Nie jest jeszcze gotów, żeby zrobić następny krok. Poprosi Jeremy'ego, niech on się tym zajmie.

[3](#) Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Księżę*, przeł. Jan Szwykowski, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1994, s. 65.

Rozdział 11

W jego życiu znowu pojawiła się Henny.

Kiedy rodzice Jeremy'ego się rozwiedli, Jasonem Saalerem interesowało się wiele kobiet. Miał wtedy sześćdziesiąt kilka lat, ale z pomocą kilku zaufanych lekarzy udało mu się poprawić swój wygląd na tyle, że oceniano jego wiek na „pod sześćdziesiątkę”. Niestety, z bliska ten efekt zniknął. Usunięto mu laserem starcze plamy, naciągnięto policzki, a przyprószone siwizną włosy, ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, szerokie barki i sprężysty chód sprawiały na pierwszy rzut oka pozytywne wrażenie. Oto mężczyzna, który najlepsze lata ma już za sobą, ale nadal jest pełen energii i pewności siebie i nie zamierza osiaść na laurach. Lecz wieku nie da się oszukać. Atakuje zawsze, gdy człowiek jest najbardziej bezbronny. Jason Saaler siedział w fotelu z lekko rozchyłonymi ustami i chrapał. Okulary zsunęły mu się na jego „rzymski” nos, ręka spoczywała na gazecie, z której kilka kartek zsunęło się na podłogę. Widać było, że jego ciało nie jest już tak jędrne jak kiedyś, że oczy nie patrzą na świat tak buńczucznie jak zwykle, a mocny głos nie wydaje stanowczych poleceń. Jason Saaler – drobny, szczupły mężczyzna w jesieni życia, który chciał jeszcze za wszelką cenę czegoś dokonać – wyglądał teraz tak, jakby się w sobie zapadł.

Jeremy zastanawiał się, co kobieta w wieku Henny widziała w kimś takim. Słyszał, jak krząta się w kuchni, szukając kieliszków do wina. W przeciwieństwie do innych kobiet nie wyprowadziła się już po kilku tygodniach ani nie została wymieniona przez Jasona na nową. Od dnia, w którym Jeremy ją poznał, działała mu na nerwy.

Jego matka wyprowadziła się kilka lat temu, zaraz po rozwodzie. Razem z nią znikły gdzieś wspomnienia z dzieciństwa, w których ojciec był wprawdzie obecny, ale w praktyce prawie niedostępny. Babette Saaler robiła coś, co w Dahlem nazywano zabezpieczaniem tyłów własnego męża. Całkiem możliwe, że chodziło jej głównie o to, aby pokazywać innym kobietom, gdzie jest ich miejsce. Jeremy o tym nie wiedział. Zapamiętał tylko, że matka nie była szczęśliwa, a otoczenie wstrzymywało oddech na myśl o jej zmiennych nastrojach, napadach hysterii i stanach depresyjnych. Od wczesnego dzieciństwa bał się, że któregoś dnia matka obróci swoje samobójcze zamiary w czyn. Dlatego miał nadzieję, że przedstawiciel firmy wyposażającej gabinety lekarskie, z którym matka wyjechała w końcu gdzieś w okolice Jeziora Bodeńskiego, poradzi sobie z tymi jej dolegliwościami lepiej niż ojciec.

– Chardonnay? – zapiszczała z kuchni Henny.

Jason Saaler wydał z siebie pomruk niezadowolenia. Gazeta całkiem zsunęła się na podłogę. Jeremy podniósł ją i położył na stoliku obok kominka.

Kiedy Babette wyprowadziła się z domu, ojciec wyremontował go według własnego uznania. Znikły na przykład układanki z jedwabnych kwiatów, ciężkie zasłony z adamaszku i komplet wypoczynkowy z obiciem w kolorze kości słoniowej. Zapanował surowy prosty wystrój. Przez ogromne panoramiczne okna widać było ogródek, w którym zaprzyjaźniony architekt dokonał radykalnych zmian. Jediną rzeczą, jaką Jeremy rozpoznał z dawnych czasów, było ogrodzenie wokół działki. Resztę stanowił japoński ogródek kwiatowy, który cechowała buddyjska surowość.

– Poproszę.

Jeremy nie zamierzał tu zbyt długo zostać. Kiedy rodzice się rozwiedli, przez krótki czas wydawało mu się, że zyska szansę na lepsze poznanie ojca. Częściej grywali w tenisa, dwa razy wybrali się do restauracji. Jeremy zaczął nawet brać lekcje golfa. Czasem dochodził do wniosku, że przyjemnie byłoby się spotkać z ojcem tak po prostu, bez konkretnego celu. Tak się bowiem składało, że wszystko, czego podejmował się Jason Saaler, jakiś cel miało. Sport, kultura i spożywanie posiłków wiązało się zawsze z nawiązywaniem nowych albo podtrzymywaniem starych kontaktów. Jednym ze znajomych ojca był Gabriel Brock. Jason tak bardzo wychwalał swojego syna, jakby chodziło o zareklamowanie skrzynki pomarszczonych jabłek. Jeremy tak to przynajmniej odbierał. Brock jest prawdziwym autorytetem, szarą eminencją. Jeździ wyłącznie takimi samochodami, z których może wyjść bez pomocy innych. Jest ubóstwiany przez swoich studentów, a zwłaszcza przez studentki. Mimo to z tą samą żoną przeżył ponad trzydzieści lat. Kiedy więc profesor poinformował Jeremy'ego, że to on przeprowadzi rozmowę z Rubin, najchętniej zadzwoniłby do ojca, żeby podzielić się z nim tą wiadomością. Ostatecznie jednak doszedł do wniosku, że lepiej będzie opowiedzieć mu o wszystkim w bezpośredniej rozmowie. Zapomniał, że jego dotychczasowe spotkania z ojcem w jego domu nigdy nie trwały dłużej niż pięć minut.

Henny miała właściwie na imię Henriette. Jeremy nie wiedział, gdzie Henny pracuje. Jason poznał ją na wernisażu w galerii sztuki, a ich związek trwał już od kilku miesięcy. Henny była ładną, wysportowaną kobietą pod trzydziestkę, z siecią drobnych zmarszczek wokół ust, które znamionowały upływający czas. Najwidoczniej postanowiła w końcu znaleźć bezpieczne miejsce na ziemi, gdzie przez następne lata będzie mogła prowadzić próżniaczy tryb życia. Potrwa to do momentu, aż się okaże, że rozwód już jej się opłaca.

Henny weszła do pokoju z dwoma kieliszkami wina. Po remoncie Jeremy nie wymyślił dla niego nowej nazwy. Kiedyś był to typowy salon, który zamienił się w swego rodzaju elegancką poczekalnię z kominkiem i widokiem na ogród. Wieczorami, kiedy oświetlenie stawało się trochę słabsze, a regały z książkami prezentowały się ładniej, pokój przypominał nowoczesną bibliotekę – jedną z tych, które można czasem zobaczyć w ekskluzywnych czasopiśmiech ze wzorcowym wyposażeniem eleganckich mieszkań. Henny miała na sobie skąpe bikini, które prześwitywało przez cienką tunikę.

– Jason? – powiedziała. Podeszła do niego i pocałowała go w czoło.

Jeremy uznał to za coś w rodzaju medycznego kontaktu między pielęgniarką a pacjentem. Z ojcem od lat nic go nie łączyło, ale ta krótka scena sprawiła mu ból.

Jason mruknął coś niechętnie. Otworzył oczy, zamrugał, zauważył Henny i silnym ruchem przyciągnął ją do siebie. Spodobało jej się to. Siadła mu na kolanach i zachichotała, rozlewając przy tym trochę wina. Zwróciła mu też uwagę, że nie są sami.

– Co za niespodzianka! – zawołał Jason, dając jej klapsa.

Henny wstała i pobiegła na bosaka na taras. Dawne skalniaki zastąpiło na nim drewno tekowe, gromadzące resztki ciepła kończącego się dnia.

Jason podniósł się z fotela. Widać było, że sprawiło mu to pewną trudność. Jeremy chciał mu w tym pomóc, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Jego ojcu nie spodobałoby się to ze względu na obecność młodej kochanki.

– To już prawie ósma – mruknął, zerkając na zegarek. – Wybieramy się coś zjeść do Rot-Weiss. Pójdiesz z nami? – spytał Jeremy'ego.

Rot-Weiss to klub tenisowy. Jason i Brock byli jego członkami. Wyglądało na to, że od pewnego czasu należała do niego także Henny.

– Nie, dziękuję. Mam już coś zaplanowane.

Oczywiście żadnych planów na ten wieczór nie miał. Nie chciał tylko przebywać w towarzystwie Henny.

– Co słyszeć u Brocka? Wszystko w porządku?

Jason nawet nie czekał, aż Jeremy mu odpowie. Napił się wina i obserwował Henny, która rozsiadała się właśnie na leżaku w ogrodzie.

– Marquardt wspominał, że proces wyznaczony jest na połowę albo na koniec września. To dość nietypowe jak na taką sprawę. Co na to Brock?

Marquardt był jednym z najlepiej ustawionych adwokatów. Podejrzenie chętnie podjął się roli obrońcy z urzędu. Proces Rubin zwróci na pewno uwagę mediów. Jeremy nie wiedział, że ustalono już jego termin. Wzruszył lekko ramionami.

– Czy to wam w czymś pomoże? – spytał ojciec.

To był ten moment. Tak – miał ochotę powiedzieć Jeremy – i to dzięki mnie dokonał się przełom. Rubin rozmawia ze mną, a dla Brocka jest to uzasadniony powód, żeby coraz bardziej włączać mnie w przygotowanie końcowej opinii. I właśnie mnie to zlecił. Nikt tego od niego nie żądał, sam podjął taką decyzję. Jestem z tego dumny i chciałbym ci o tym opowiedzieć.

– Rubin wygląda na religijną kobietę – powiedział, siadając obok ojca. – Wspomina swoje dzieciństwo. Dopiero w szpitalu zaczęła mówić. Przedtem cały czas milczała. Dzisiaj u niej byłem. Opowiedziała mi, że...

Jeremy spojrział na ojca. Jason Saaler obserwował Henny, która przeciągała się na leżaku z nadąsaną miną. Najwidoczniej czuła się zlekceważona.

– Świetnie – odparł Jason, nie odrywając od niej wzroku. – Pozdrów go ode mnie.

– Oczywiście.

Wychodząc od ojca, Jeremy zastanawiał się, kiedy to się skończy. Kiedy przestanie się tak podle czuć, widząc, że nie słucha go nawet on.

Rozdział 12

Przez kilka następných dni Charlotte Rubin wypoczywała, dzięki czemu nic nie stało na przeszkodzie, żeby kontynuować sesję. Pani Katz umówiła spotkanie na wtorek na godzinę dziewiątą. Jeremy zjawił się już godzinę wcześniej. Pozbierał wszystkie ołówki, posprawał kołeczki w klamkach u drzwi, upewnił się, czy szyby w oknach mocno się trzymają, a przy okazji obejrzał sznur do zaciągania zasłon. W podobny sposób rodzice zabezpieczają mieszkanie przed małymi dziećmi. Potem jeszcze raz przeczytał wydruk ostatniego protokołu. Nie było tego wiele, zaledwie pół strony krótkich odpowiedzi na temat stanu cywilnego i najważniejszych faktów z dotychczasowego życia. Potem Rubin zamilkła. Najwidoczniej postanowiła olać cały świat, a uczyniła to za pomocą zwykłego ołówka.

Jeremy zauważył, że jest podenerwowany. Za to Brock, który przyszedł o wpół do dziewiątej, emanował spokojem. Najpierw jednak, tak jak zwykło to czynić każdego ranka, wypił na stojąco kawę. Pani Katz nie było w pracy.

– Dzień dobry, panie profesorze.

Brock podniósł z podłogi pojedynczą zszywkę i położył ją obok innych na magnetycznym bakelitowym dozowniku stojącym na biurku obok podkładki.

– Dzień dobry – odparł. – Czy przejrzał pan jeszcze raz plan rozmowy?

Wcześniej postanowili, że jeśli rozmowa z Rubin będzie przebiegać zgodnie z ich oczekiwaniami, o zbrodni, której się dopuściła, porozmawiają dopiero na samym końcu. Najtrudniejszym zadaniem będzie nakłonienie jej do rozmowy. Obojętne, na jaki temat: o polnych kwiatkach, świętych albo o czymkolwiek innym.

– Tak. Coś panu przyniosłem. Jak pan sądzi, czy to dobry pomysł?

Mówiąc to, Jeremy wyjął z kieszeni płaszcz różaniec. Brock uniósł brwi i wziął go do ręki. W zamyśleniu przerzucił kilka drewnianých koralików między palcami.

– Zobaczmy, jak na to zareaguje. Nie jestem pewien, czy aspekt religijny rzeczywiście odgrywa aż tak ważną rolę. – Oddał Jeremy’emu różaniec i stwierdził: – Właściwie ani zakonnicom, ani księżom nie wolno odwiedzać więźniów bez specjalnego pozwolenia. Strażnik, który jej pilnował, chyba tego nie wiedział.

– Interesuje to pana?

– Interesuje mnie, kto kontaktuje się z Charlotte Rubin. Do tej pory nie zgłosił się żaden przyjaciel, znajomy ani ktokolwiek z rodziny. Wygląda na to, że jej krąg towarzyski ogranicza się wyłącznie do miejsca, w którym jest zatrudniona.

– Jej rodzice nie żyją, Rubin ma tylko siostrę, która w chwili gdy doszło do zabójstwa, brała udział w jakiejś konferencji. Innych krewných brak. Nie ma też bliskich przyjaciół, męża, faceta ani narzeczonego.

– Może powinniśmy spróbować skontaktować się z jej siostrą?

– Po co? Czy to jest aż tak bardzo niezwykła sprawa?

– Raczej nie. Interesuje mnie, czy wcześniej podejmowała próby samobójcze.

– Wcześniej, to znaczy przed zabójstwem w ogrodzie zoologicznym?

Profesor skinął głową.

– Samobójstwo rozszerzone? – drążył temat Jeremy.

– Nie. Zabójstwo w ogrodzie zoologicznym i próbę samobójczą Rubin dzieli duży odstęp czasowy. Jeśli jednak sami nie dowiemy się o niej czegoś więcej albo jeśli ona nam nie pomoże, to niewykluczone, że będziemy musieli zwrócić się o pomoc do kogoś bliskiego.

– Z akt śledztwa wynika, że siostra Rubin odmówiła składania zeznań. Nie przyszła ani do szpitala, ani do aresztu, żeby się z nią spotkać. Nie jestem więc pewien, czy można ją nazwać kimś bliskim.

– Czy spróbuje pan nawiązać kontakt z Rubin? – spytał profesor.

Rozmowę przerwał im melodyjny dźwięk dzwonka u drzwi.

– Czy jest pan na to gotów? – chciał wiedzieć Brock.

Jeremy skinął głową. Poczuł, że ma spocone dłonie.

Już chwilę później okazało się, że Rubin postanowiła ułatwić mu zadanie. Jeremy był tak szczęśliwy, że ledwo wierzył własnym uszom. Wprawdzie Rubin nadal była oszczędna w słowach, nieśmiała i ostrożna, ale chętnie odpowiadała na jego pytania.

– Od jak dawna mieszka pani w Berlinie?

– Od dwudziestu lat? – odparła Rubin takim tonem, jak gdyby oczekiwała od niego potwierdzenia własnych słów. – Nie, krócej. Od dziewiętnastu. Wychowywałam się na wsi i zawsze chciałam pracować ze zwierzętami.

– A dlaczego postanowiła pani przeprowadzić się akurat do Berlina?

Nie było to łatwe pytanie. Rubin splótła dłonie i spuściła wzrok, jakby szukała czegoś, co pomoże jej wyjaśnić decyzje, którymi kierowała się w swoim życiu.

– Miejskie powietrze?

I znowu zabrzmiało to jak pytanie. Jeremy uśmiechnął się i skinął głową. Uważnie pilnował, żeby dyktafon się nie zaciął. Zależało mu na wyraźnym nagraniu. Równolegle robił notatki na papierze. „Dlaczego do B.?” – napisał.

– Rozumiem, że było to dla pani niezwykle przeżycie?

– Tak.

Błąd. Nie powinien zadawać pytań, na które odpowiedź brzmi „tak” albo „nie”.

– Co najbardziej skłoniło panią do działania?

– Cisza.

– Bo nie było już tak cicho i spokojnie? Ma pani na myśli wielkomiejski hałas?

Rubin pokręciła nieznacznie głową.

– Cisza panująca w wieżowcu. Dlatego bardzo się ucieszyłam, gdy dwa lata temu zwolniło się mieszkanie w ogrodzie zoologicznym. Tam jest zupełnie inaczej. Zamieszkałam wśród zieleni, ze zwierzętami. Znowu zaczęłam słyszeć różne dźwięki. Oczywiście w wieżowcu też coś słychać, na przykład jadącą windę, uliczny ruch, pijaka, muzykę. Ale nic więcej. Ciągle mi czegoś brakowało.

– A dokładnie czego?

– Krów, ptaków, wiatru nad polami, burzy, szumu strumienia, psów... Nie, psów nie.

– Dlaczego akurat ich nie?

Jej dłonie zrobiły się nagle niespokojne, przesuwała nimi po tanim materiale, z którego uszyte było jej ubranie. Chyba to samo, które miała na sobie poprzednim razem. Jeremy złapał się na tym, że gapił się na jej kołnierz. Nie było na nim ani śladów krwi, ani innych plam. Nie, to nowe ubranie. Zresztą trudno to stwierdzić. Odzież była z poliestru, który zawsze wygląda na pognieciony.

Brock siedział po drugiej stronie pokoju z zamkniętymi oczami i zachowywał się tak, jak gdyby był

pogrążony we własnych myślach. Mimo to jego uwagi nie uszło ani jedno słowo, ani jeden gest.

– O co chodzi z tymi psami?

– Kiedy jeden zaczynał szczeekać, chwilę później przyłączały się do niego pozostałe. Nocą brzmiało to jak wycie wilków.

Rubin napiła się trochę wody. Jeremy odłożył ołówek. Miał nadzieję, że Rubin to zauważy i potraktuje jako zachętę, aby porozmawiać z nimi bardziej otwarcie.

– Lubi pani zwierzęta?

– Nie wiem. Czy lubię?

– Jakie są pani ulubione zwierzęta w ogrodzie zoologicznym?

– W ogrodzie? Wielbłądy i gibony. To takie złośliwe chochliki.

– A pekari?

Rubin nie odpowiedziała. W pokoju było tak cicho, że Jeremy słyszał tykanie zegarka na biurku. Uznał, że Rubin potrzebuje więcej czasu na odpowiedź.

– Czy po przyjeździe do Berlina nawiązała pani jakieś kontakty?

– Jakie kontakty?

– Z ludźmi. Mam na myśli przyjaciół, znajomych, kolegów.

– Próbowałam, ale to nie takie łatwe. Jak pan pewnie zauważył, rozmowa nie należy do moich silnych stron.

„Otwarcie rozmawiała ze mną o swojej pracy i pokazała mi wszystko, co dotyczy hodowli zwierząt przeznaczonych na karmę dla innych zwierząt”. Tak, to zdanie znajduje się w aktach sprawy. Jeśli Rubin będzie w swoim żywiole, być może uda się z niej coś wydobyć.

– Świetnie sobie pani radzi – pochwalił ją Jeremy.

– Człowiek uczy się z czasem. W moim rewirze nie mam zbyt wielu kontaktów z ludźmi.

„W moim rewirze”, zanotował Jeremy.

– Dla wielu z nich jestem dziwolągiem.

– Dlaczego?

Rubin spojrzała na niego ze zdziwieniem. Zrobiła to po raz pierwszy podczas tej rozmowy. Otworzyła oczy i spojrzała na niego takim wzrokiem, jak gdyby przyłapała go na czymś, za co należy się kara.

– Przecież pan wie, czym się zajmuję.

– Tak, hodowlą zwierząt, z których potem robi się karmę dla innych zwierząt.

– Hoduję je, żeby je potem zabić.

– Żeby inne zwierzęta mogły żyć.

– Tak, to prawda. Ale ludziom się to nie podoba. Być może dlatego, że nie rozumieją, co robię z tymi słodziutkimi króliczkami i świnkami morskimi. Ja je zabijam. – Rubin popatrzyła na ołówek i dodała: –

Tak, niech pan to spokojnie zanotuje. Gdybym była rolniczką albo pracowała w sklepie mięsnym, ludziom łatwiej byłoby mnie zaakceptować, nie byłiby uprzedzeni do mojej pracy. Niestety, ktoś to musi robić.

– Czy stanowi to dla pani jakieś obciążenie?

– Troszczyć się o to, żeby takie rzeczy nie obciążały zwierząt. Ich życie aż do samej śmierci powinno być pozbawione trosk. Nie dokonuję selekcji, nie jestem też panią życia i śmierci. Produkuję karmę, żeby zwierzęta przebywające na wybiegach miały co jeść. Nie czuję się obciążona, bo jestem częścią tego systemu. Beze mnie ten ogród wyglądałby smętnie. Nie byłoby w nim drapieżnych zwierząt, ptaków, węży ani krokodyli. Po co pan chodzi do zoo?

Jeremy się uśmiechnął.

– Z powodu pantery. Mam na myśli wiersz Rilkego o tym tytule:

*Jej wzrok znużony gonitwą wytrwałą
nie widzi nic, miganie tylko krat.
Jak gdyby przed nią tysiąc sztab istniało,
a za tysiącem sztab się kończył świat.*

Rubin kontynuowała:

*Jej miękki chód, wędrówka monotonna,
co wciąż zatacza najciaśniejszy krąg,
jest jak skupiony taniec wokół środka,
gdzie drzemie wola, by się wyrwać stąd⁴.*

Rubin przerwała i zrobiła taką minę, jak gdyby nie mogła sobie przypomnieć dalszego ciągu. Zaczęła jej drgać lewa powieka. Zakryła dłońmi twarz, jak gdyby chciała pozbyć się tego nerwowego tiku. A może nie spodobał jej się sposób, w jaki patrzyli na nią Jeremy i Brock? Przez krótką chwilę Jeremy odnosił wrażenie, że patrzy w oczy tonącego człowieka. „Kontrakcja motoryczna”, zanotował. „Ekstrapiramidalna hiperkineza”. Najczęściej występuje w okresie dziecięcym. Co za bzdura! Przecież jemu też czasem drżą powieki, chociaż nie ma to widocznego związku z jakąś aktywnością. „Dzieciństwo”, zanotował. „Siostra”.

Brock chrząknął głośno.

– Skąd pani wie, że ten wiersz napisał Rilke? – spytał.

– W dzieciństwie dużo czytałam – odparła Rubin, kierując te słowa do Jeremy’ego. – Co innego można robić na wsi? Uznałam, że pantera do mnie pasuje. Nauczyłam się tego wiersza na pamięć. Ja sama jestem taką panterą.

Brock skinął głową. Jego wzrok nie zdradzał, co myśli. Sceptycyzm? Akceptacja? Wątpliwości? Zdziwienie? Zachował to dla siebie.

– Osiem kilogramów mięsa co dwa dni – wyjaśniła Rubin, gdy odzyskała panowanie nad sobą. – Na każdego drapieżnika. Takie jedzenie nie rośnie na ulicy. Czy jest pan wegetarianinem?

– Nie – odparł zgodnie z prawdą Jeremy.

– No właśnie.

– Nie zamierzałem pani atakować. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy czuje się pani obciążona i dlaczego jest pani uważana za dziwoląga.

– Dzisiaj rano się pan golił. Rozumiem, że to pewien kłopot. Ale czy czuje się pan z tego powodu obciążony?

Brock popatrzył na nią z uwagą. Rozmowa zaczęła go powoli wciągać. Rubin w końcu się otworzyła, zaczęła się posługiwać innym słownictwem. Wyrażała się jasno i bez sentymentów, unikała pustosłowia. Cytowała Rilkego! Była jak czujny duch, którego kiedyś coś pogrzebało i któremu w rzadkich chwilach pozwala wyjrzeć na zewnątrz, a przy tym trochę zrozumięła, a trochę próżna. Dzięki temu stała się bardziej ludzka, prawie sympatyczna. Brock ponownie skinął głową, jak gdyby chciał dać Jeremy’emu do zrozumienia, że dobrze sobie radzi. Jeremy wyjął z kieszeni różaniec i położył go na stół.

– Ten człowiek, którego pani zabiła... – zaczął, chociaż nie był pewien, czy nie jest za wcześnie na poruszanie tego tematu. Nie chciał jednak dłużej krążyć wokół tej sprawy ani traktować jej tak, jakby to był gorący kartofel. – Czy pani go znała?

Twarz Rubin okryła się cieniem. Przez krótki moment Jeremy bał się, że jego rozmówczyni znowu

pogrąży się w milczeniu.

– Nie – odparła w końcu, spoglądając na drewniane koraliki. Jej twarz nie zdradzała, co myśli.

– Dlaczego go pani zabiła?

Milczenie. Wydawało się, że czas zatrzymał się w miejscu. Wcześniej mimo wielogodzinnych przesłuchań Rubin na to pytanie nie odpowiedziała. W końcu oderwała wzrok od różańca.

– Ktoś musiał to zrobić.

Po pewnym czasie Rubin zażądała przerwy. Brock otworzył drzwi poczekalni i poprosił dwóch mężczyzn, którzy jej towarzyszyli, aby na nią uważali. Razem z Jeremym poszli do kuchni.

– Świetnie panu idzie – powiedział profesor cicho.

Jeremy o mało nie pękł z dumy. Poszło mu lepiej, niż się spodziewał. Lepiej niż samemu Brockowi! Kto by przypuszczał!

– Co pan o niej sądzi? – spytał.

Na końcową opinię było jeszcze za wcześnie, a jemu zależało tak naprawdę na tym, aby trochę dłużej nacieszyć się swoim triumfem. Brock uśmiechnął się do niego.

– W tej chwili uważam ją za istotę samotną, która nie utrzymuje kontaktów z ludźmi, a przed przyjazdem do Berlina prawie umierała na wsi z nudów. Na pewno nie jest panterą, chociaż próbuje to sobie wmówić.

– A zabójstwo?

Profesor wzruszył ramionami.

– Uważam, że im bardziej jej relacja z nami będzie oparta na zaufaniu, tym szybciej odpowie nam na to pytanie. Rubin nie jest katem. Ma jasne poczucie sprawiedliwości. Nie wiem tylko, jak się to przekłada na wybór ofiary. A może wybrała tego człowieka na zasadzie przypadku...? – Brock przerwał na chwilę swój wywód. Nalał wody do czajnika i włączył go.

– Albo?

– Albo ten człowiek zasłużył w jej oczach na śmierć. Nasze zadanie polega na ustaleniu, czy obie te możliwości były produktem logicznych rozważań i wynikających z nich działań. Innymi słowy: czy chodzi tu o jakąś ukrytą złość, perfidię.

Jeremy spojrzał w stronę poczekalni. Policjant, którego imienia i nazwiska nadal nie znał, został z Rubin, podczas gdy Miesdrosny stał znudzony przy oknie i gryzł wykałaczkę.

– Na razie nie sprawiła na mnie wrażenia osoby podstępnej.

Brock wyjął z szafki ściennej torebkę herbaty. Jeremy był zdziwiony, że profesor tak dobrze orientuje się w kuchennych zakamarkach. Wiedział nawet, jak przygotować herbatę.

– Oby się pan nie mylił – odparł.

Przez całe przedpołudnie nie udało im się wyciągnąć z Rubin ani słowa o jej czynie. Opowiadała o swojej pracy, o niezbyt licznych zainteresowaniach, takich jak rysowanie zwierząt, filmy o zwierzętach czy pomysł na dom dla zwierząt. Kiedy Brock wychodził, żeby zdążyć na swój wieczorny wykład w Hamburgu, wiedzieli już wszystko na temat pozbawionego wielkich wydarzeń życia Rubin. Nie dowiedzieli się za to niczego o motywach, które pchnęły ją do zbrodni.

– Niech pan się tym nie przejmuje – powiedział Brock. – Jutro ja z nią porozmawiam.

Mina Jeremy'ego musiała jednak mu wiele zdradzić, bo poklepał go z uznaniem po ramieniu.

– To pan otworzył drzwi – stwierdził. – To i tak więcej, niż mogliśmy się spodziewać. Muszę ją jeszcze spytać o trzy ważne sprawy.

Brock sięgnął po płaszcz wiszący w garderobie. Wprawdzie przy takiej pogodzie nie był mu potrzebny,

ale razem z aktówką dawał mu pewność, że nie jedzie w podróż z pustymi rękami.

– Co to za sprawy? – spytał Jeremy, towarzysząc mu do drzwi.

– Psy, przewodniczka i wybór ofiary.

Jeremy skinął głową. Gdyby to od niego zależało, pytania dotyczące przewodniczki zamieniłby na Rilkego.

– A co z różańcem? – spytał. Rubin nie poświęciła temu przedmiotowi zbyt wiele uwagi.

Brock się uśmiechnął.

– Rubin zaczęła mówić, prawda? Tym samym różaniec wyświadczył nam ważną przysługę.

Po tych słowach Brock wyszedł z mieszkania. Rubin zjawiła się w towarzystwie swoich opiekunów.

– Do jutra – powiedziała.

Jeremy wpadł na pewien pomysł. Sesja dobiegła końca, więc może dowie się od niej czegoś na prywatnej stopie?

– Czy pani siostra nawiązała z panią jakiś kontakt? – spytał.

Rubin zapięła górny guzik bluzki. Było to trudne, bo na ranę miała założony gruby opatrunek. Na dworze na pewno się udusi z gorąca. Był okropny upał.

– Nie wiem, o kim pan mówi – odparła po chwili.

– O pani siostrze.

– Przykro mi, ale nie wiem, o kim pan mówi – powtórzyła Rubin.

Jej wzrok stał się nagle lodowaty. Jeremy poczuł, jak przez plecy przebiegł mu dreszcz. Rubin zachowywała się czasem w sposób, który napawał go strachem. W takich chwilach spodziewał się po niej wszystkiego. Oblał się potem. Znowu wkroczył na grząski grunt.

– Proszę mnie poprawić, jeśli jestem w błędzie – powiedział, nadając świadomie swojemu głosowi pełen dystansu ton – ale w aktach śledztwa znalazłem informację, że w momencie gdy została pani zatrzymana, pani siostra przebywała w Monachium. Od tamtej pory minęło już kilka tygodni, a przecież do Monachium nie jest stąd aż tak daleko.

– Ach, teraz już wiem, kogo pan ma na myśli – odparła Rubin takim tonem, jak gdyby zauważyła leżącą na ulicy zużytą gumę do żucia. – Nie, Cara nie kontaktowała się ze mną.

– Czy pani wie, gdzie można ją znaleźć?

– Chyba nie chce pan z nią rozmawiać?

Rubin zrobiła krok w jego stronę. Jeden z jej opiekunów stał przy oknie i w oczekiwaniu na samochód wyglądał na ulicę. Mieszkosny wyszedł do toalety.

– Profesor Brock jest zdania, że to dobry pomysł...

– To nie jest dobry pomysł – syknęła Rubin.

Policjant stojący przy oknie odwrócił się i ruszył w jej stronę. Jeremy zauważył, że wcale mu się nie spieszy. Na biurku pani Katz leżał terminarz Brocka. Gruba, oprawiona w skórę księga. W erze komputerów i smartfonów to prawdziwy anachronizm. Jeremy wziął go do ręki i otworzył. Zrobił przy tym taką minę, jakby uczynił to z roztargnieniem. W rzeczywistości notes miał mu posłużyć za tarczę ochronną, gdyby sytuacja stała się nagle groźna.

– Nic mnie z Carą nie łączy. Nie widziałyśmy się od lat i żadna z nas nie odczuwa potrzeby, żeby się spotkać. Ona nic nie wie o moich sprawach, a ja nie wiem nic o niej. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

– Może siostra jakoś pani pomoże?

– Pomoże? Mnie? – wycodziła Rubin z pogardą. – Niech pan przestanie opowiadać bajki. Dobrze wiem, dlaczego tu jestem. Grozi mi dożywocie albo pobyt w wariatkowie. Kto może mi pomóc?

Kiedy Rubin wypowiadała te słowa, stała się bardziej agresywna. Jeden z policjantów położył jej dłoń na ramieniu, a drugą na kaburze pistoletu. Jeremy stanął za biurkiem pani Katz i spojrzał na stojak

z ołówkami i nożyczkami do cięcia papieru. Modlił się, żeby znowu nie doszło do nieszczęścia.

– Nie chcę, żebyście z nią rozmawiali! Zabraniam wam tego! Nie wolno wam z nikim rozmawiać na mój temat!

– W czasie procesu i tak pani tego nie uniknie.

– Procesu? – powtórzyła Rubin. W tej samej chwili zauważyła nożyczki na biurku.

Jeremy zabrał stojak na ołówki i postawił go za sobą, na stosie papierów. Rubin prychnęła pogardliwie.

– Pod warunkiem że do niego w ogóle dojdzie.

– Nie będzie pani w stanie temu przeszkodzić. Wszyscy będą o pani mówić: sędziowie, prokurator, media, cały kraj. A jeśli tak, to czemu nie miałyby wypowiedzieć się zwykła osoba, która być może dobrze pani życzy?

– Cara?

Rubin strząsnęła z ramienia rękę policjanta i podeszła bliżej. Jeremy usłyszał, jak Miesdrosny spuszcza wodę w toalecie. Miał nadzieję, że szybko wróci do pokoju. Co zrobią, jeśli Rubin rzuci mu się do gardła? Użyją broni?

– Cara na pewno nie życzy mi dobrze. Ona mną gardzi. Jest po studiach i chodzi w białym fartuchu. Tak jak pan.

Wprawdzie Jeremy nie nosił białego fartucha, ale zrozumiał, co Rubin miała na myśli.

– Proszę się uspokoić – powiedział policjant. – Czas wracać.

Ale Rubin nie zwracała na niego uwagi. Gwałtownym ruchem uniosła wskazujący palec. Jeremy aż się wzdrygnął.

– Ja już nie mam sióstr! Zrozumiano? I żadnej siostry nie potrzebuję. Niech pan wykonuje tę swoją pieprzoną robotę, jeśli to konieczne, ale niech pan nie próbuje mnie podejść. Nic o mnie nie wiecie, nie znacie całej prawdy. Nikt jej nie zna. A na pewno nie Cara.

– W porządku, w porządku – odparł Jeremy i w geście usprawiedliwienia pokazał jej, że ma puste ręce. Jak gdyby chciał jej powiedzieć: „Popatrz, jestem nieuzbrojony i nie stanowią dla ciebie zagrożenia”. Mimo to nie spuszczał wzroku z nożyczek. Ktoś, kto wbija sobie w aortę szyjną ołówek i ćwiartuje ludzkie ciało, na pewno nie zawaha się, mając do czynienia z początkującym psychologiem. W Niemczech można dostać tylko jedno dożywocie. Jeremy poczuł, że ogarnia go strach.

– Postaramy się to uwzględnić – powiedział.

– Jeśli się dowiem, że z tego, o czym mówię na tych przymusowych sesjach, cokolwiek przedostało się do opinii publicznej albo że kontaktowaliście się za moimi plecami z innymi osobami, to was załatwię!

Rubin trochę się zapędziła. Celowo albo przypadkiem potrafiła przy tym magnes do spinaczy, który spadł z biurka na podłogę. Spinacze rozsypały się na wszystkie strony. Jeremy pochylił się, żeby je pozbierać. Rubin cofnęła się o krok i obserwowała go nieufnie. Obaj policjanci stracili w końcu cierpliwość.

– Musimy już iść!

Rubin odwróciła się do nich.

– Chętnie – odparła szyderczym tonem. – Proszę bardzo. Czekacie tylko na okazję, żeby mi pokazać, kto tu rządzi, prawda?

Mówiąc to, wyciągnęła w ich stronę skrzyżowane nadgarstki. Miesdrosny w końcu się zdenerwował:

– Możemy też zrobić coś innego, ale nie będzie to przyjemne. Zapewniam.

Rubin opuściła powoli ręce. Była załamana. Obaj policjanci wzięli ją między siebie i ruszyli w stronę wyjścia. Rubin jeszcze raz odwróciła się do Jeremy'ego.

– Bardzo mi przykro. Zazwyczaj taka nie jestem. Ale ja naprawdę nie mam siostry, a przynajmniej

takiej, która mogłaby panu pomóc.

Jeremy skinął głową. Dopiero gdy cała trójka znalazła się za drzwiami i usłyszał skrzypienie schodów, powoli się rozluźnił.

Co to było: przypadkowy incydent czy typowe agresywne zachowanie? Kusiło go, żeby zadzwonić do Brocka, ale rozmyślił się, bo nie chciał podgrzewać atmosfery. Zrobi to jutro, gdy będzie miał ku temu okazję. Odstawił na miejsce stojak na ołówki i nożyczki. Niczego nie brakowało. Poczł się tak, jak gdyby po raz drugi uszedł z życiem.

⁴ *Der Panther* z tomu [Neue Gedichte](#), przeł. Andrzej Lam, w: *Poezje nowe. Życie Maryi*, Warszawa 2010.

Rozdział 13

Następnego dnia Rubin znowu nie chciała nic mówić. Brock próbował wszystkiego: przyjaznym tonem wypytywał ją o różne sprawy i stosował metodę przedłużającego się milczenia. Jeremy czuł się nieswojo, widząc, jak profesor zupełnie sobie nie radzi. W końcu Brock poprosił go o poprowadzenie rozmowy, a sam zajął miejsce w fotelu przy oknie.

Jeremy był podenerwowany. Nie zdążył jeszcze opowiedzieć profesorowi o wczorajszej rozmowie z Rubin. Nie wiedział, czy Rubin nie ukreśliła mu w ten sposób sznura na szyję. Może przemyślała całą sprawę i uznała, że jej gwałtowny wybuch zrobił na nim negatywne wrażenie?

– Wszystko w porządku? – spytał Jeremy. – Może chciałaby pani zrobić sobie przerwę?

Rubin nie zareagowała na te pytania, tylko co jakiś czas zerknęła na czubki butów, jak gdyby chciała się upewnić, że nadal ma je na nogach i że nie rozplynęły się w powietrzu. Jeremy przejrzał listę tematów. Psy. Przeprowadzka. Wybór ofiary. W nawiasie Rilke.

– Czy zechce mi pani opowiedzieć coś o psach? – spytał.

– O jakich psach? – odparła Rubin bez cienia zainteresowania jego pytaniem.

– Wspomniała pani, że gdy jeden pies zaczynał ujadać, stopniowo przyłączały się do niego inne. I że przypominało to wycie wilków.

– Wilki to bardzo towarzyskie zwierzęta.

– A psy?

Rubin wzruszyła ramionami. Brock przysłuchiwał się jej wypowiedziom z uwagą.

– Psy robią to, co każą im ich właściciele. Są psy, które między sobą walczą, ale nie ma walk wilków.

Dlaczego?

– To znaczy, że szczekanie psów pani nie uspokaja?

– Nie rozumiem tego pytania.

– Czy ma pani psa?

– Nie. W mieście to niemożliwe. Blok to nie miejsce dla psa. A w ogrodach zoologicznych mają dla siebie niewiele przestrzeni. Tak, chciałabym mieć psa, ale to niemożliwe.

Jeremy zaczął szukać w swoich notatkach faktów z życia Rubin.

– Urodziła się pani we wsi Wendisch Bruch. Gdzie to jest?

– W powiecie Teltow-Fläming, niedaleko miasta Jüterbog.

Jeremy już wcześniej się domyślał, że to gdzieś na południu Brandenburgii.

– Czy tam miała pani psy?

– Tak. Wabiły się Akra i Kerl.

– Kerl? – spytał zdziwionym głosem Jeremy. – To znaczy Facet, Chłopak?

Rubin skinęła głową.

– Pani rodzice, Margot i Henning Rubin, pracowali na roli?

– W spółdzielni rolniczej Buschwiesen.

– Z dokumentów wynika, że mieliście gospodarstwo rolne...

– Dopiero później, po zmianie systemu. Wcześniej mieliśmy tylko dom, później postawiliśmy kilka

mniejszych budynków. Hodowaliśmy kury, sadziliśmy ziemniaki i trochę szparagów. Wszystko na czarno. Później niewiele nam przybyło. A jak przyszło do podziału, to się okazało, że najwięcej do powiedzenia mają ci sami, co rządzą przedtem w NRD. Jak zwykle.

– Z moich notatek wynika, że w wieku piętnastu lat rozpoczęła pani w Dessau naukę zawodu opiekunka zwierząt.

– Tak.

– Po trzech miesiącach przerwała ją pani i wyjechała do Berlina. Dlaczego?

– Dessau to mała miejscowość, a ja chciałam mieszkać w prawdziwym dużym mieście.

– Potem pracowała pani jako pomoc ogrodnicza w firmie Wilhelm, prowadzącej szkółkę drzewek w Johannistahl.

– Tak. I właśnie na tym polegał problem.

– Że pracowała pani przy roślinach zamiast ze zwierzętami?

Rubin ponownie popatrzyła na swoje dłonie.

– Bez matury i bez średniego wykształcenia trudno znaleźć dobrą pracę.

Jeremy przypomniał sobie, że Rubin przerwała naukę w dziewiątej klasie i nie ukończyła szkoły. Dziwne. Przecież jest odcytana.

– Mimo to w tak młodym wieku zaczęła pani nowe życie w wielkim mieście. Miała pani piętnaście lat.

Rubin odwróciła głowę, żeby spojrzeć przez okno. Brock zauważył, że jej twarz przyjęła zacięty wyraz. Uznał, że to dobry moment, aby ponownie włączyć się w rozmowę. Wstał z fotela i podszedł do stołu. Rubin założyła nogę na nogę. Uczyniła to w taki sposób, że świadomie lub nieświadomie odwróciła się do niego tyłem.

– A jak to się stało, że zaczęła się pani zajmować hodowlą zwierząt przeznaczonych na karmę? – spytał.

– Ubiegała się pani o tę pracę?

Rubin milczała. Jeremy był przekonany, że postanowiła zignorować Brocka. Minęła wieczność, zanim odpowiedziała na zadane pytanie. Jej słowa jednak zabrzmiały mechanicznie i sztywno.

– Do szkoły ogrodniczej i tak by mnie nie przyjęli, więc zaczęłam pracować w ogrodzie zoologicznym jako pomoc przy roznoszeniu karmy dla zwierząt. Potem zaczęłam pomagać opiekunom zwierząt. Nie nadawałam się do bezpośredniej obsługi ludzi odwiedzających ogród, więc dyrekcja postanowiła mnie przenieść do tej jego części, gdzie znajdowały się zabudowania gospodarcze.

– Co to znaczy, że nie nadawała się pani do bezpośredniej obsługi ludzi?

– Zwracałam im uwagę, że nie wolno karmić zwierząt ani robić z nich głupków.

Brock i Jeremy wymienili szybkie spojrzenie. Całą rozmowę nagrywali na dyktafon. Jeremy robił dodatkowo notatki.

– Czy to panią denerwowało?

Rubin skinęła głową.

– Jeśli ktoś szanuje zwierzęta, nie karmi ich ciastkami czekoladowymi i nie obrzuca kamieniami.

– To było dla pani oczywiste?

– Takie przepisy obowiązują.

Jeremy od razu się domyślił, że takie postępowanie Charlotte Rubin nie za bardzo przypadło do gustu dyrekcji ogrodu zoologicznego.

– Czy Werner Leyendecker też sobie żartował ze zwierząt?

Rubin spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

– Pytam o mężczyznę, którego pani zamordowała.

Sześćdziesiąt dwa lata, dwa razy rozwiedziony, dwójka dzieci. Wykwalifikowany tokarz, po 1989 roku przedstawiciel handlowy firmy sprzedającej maszyny rolnicze, szybko przeszedł na emeryturę.

Zamieszkały w Wismarze. Tamtego dnia przyjechał w celach turystycznych do Berlina. Po południu wysiadł na głównym dworcu, pojechał na Alexanderplatz, za kwadrans osiemnasta wynajął w Park Inn Hotel pokój na jedenastym piętrze, skąd rozciąga się widok na ośmiopasmową Mollstrasse. Wizyta w rewii Songbirds we Friedrichstadtpalast. Dwa drinki w hotelowym barze. Samotnie. Następnego dnia zakup czapki typu Prinz-Heinrich-Mütze w centrum handlowym KaDeWe. Spacer po mieście. Spotkanie na ulicy Unter den Linden z kobietą, którą poznał przez internet. Helga Grothe, dziesięć lat młodsza od niego agentka ubezpieczeniowa zatrudniona na pół etatu. Sama się zgłosiła na policję, gdy media zaczęły roztrząsać każdy aspekt życia i śmierci Leyendeckera. Zwierzyła się z randki z nim jednej ze swoich przyjaciółek, która ją przekonała, że powinna pójść na policję. Spotkanie szybko dobiegło końca ze względu na brak wzajemnego zainteresowania. On odjęła sobie kilka lat i kilogramów, on wysłał jej zdjęcie zrobione w czasach, gdy do prawa jazdy wklejano jeszcze zdjęcia paszportowe. Kobieta zeznała, że Leyendecker nie przywiązywał wagi do wartości duchowych.

Jeremy widział zdjęcie ofiary. Doszedł do wniosku, że aby nadrobić braki fizyczne, musiał się wykazać jakimiś niezwykłymi walorami duchowymi. Sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu, osiemdziesiąt osiem kilogramów wagi. Miał nabrzmiałą – prawdopodobnie od alkoholu – twarz o władczym spojrzeniu, wysunięty podbródek, miękkie, lekko obwisłe wargi i resztki włosów przyklejone pomadą do czoła. Krótko mówiąc: mężczyzna o niezbyt miłym wyglądzie dziadka. Z wyjątkiem recepcji hotelu nikt inny nie zauważył jego zaginięcia: ani jego żona, ani byłe żony.

W jego pokoju hotelowym znaleziono przedarty bilet do jednego z kin przy Alexanderplatz. Z wydruku płatności dokonanych kartą wynikało, że odwiedził pewien Table Dance Bar. W hotelu zarezerwował pokój dwuosobowy, prawdopodobnie w nadziei, że drugie łóżko może mu się przydać. Później zaprosił do niego prostytutkę. Nocny portier przypomniał sobie, że Leyendecker o nikogo nie pytał. W wieczór poprzedzający dzień śmierci wrócił do hotelu krótko przed północą. Był lekko pijany, ale nie aż tak bardzo, żeby inni goście zwrócili uwagę na jego niegrzeczne zachowanie. W drodze do pokoju zatrzymał się przy regale z folderami reklamującymi berlińskie atrakcje turystyczne. Policjyni technicy znaleźli w koszu na śmieci kolorową ulotkę zachęcającą do zwiedzenia galerii figur woskowych, ulotkę z reklamą niezwykle drogiej restauracji z kabaretem, folder o nazwie „Podziemny świat Berlina” i reklamówkę Muzeum Kennedy’ego przy placu Paryskim.

Leyendecker nie poszedł do żadnego z tych miejsc, tylko wybrał się do ogrodu zoologicznego. Prawdopodobnie poszedł tam krótko po śniadaniu, ale kelnerka z hotelowej restauracji, która przy wejściu na salę sprawdzała numery pokoi, nie mogła sobie tego przypomnieć. Ostatni znak życia ofiary pochodził z telefonu komórkowego, który przepadł bez śladu razem z jego ubraniem. Operator sieci, z której usług korzystał Leyendecker, potwierdził, że ostatni raz zalogował się on na terenie ogrodu zoologicznego około godziny piętnastej dwadzieścia dwie. Zadzwoił wtedy na informację kolejową, żeby sprawdzić rozkład jazdy.

Jeremy domyślił się, że Leyendecker chciał wrócić wcześniej do domu, bo wyjazd do Berlina nie spełnił jego oczekiwań. Pewnie nie wiedział, co zrobić z resztą czasu. Śmierć nastąpiła dopiero następnego dnia, mniej więcej między godziną drugą a trzecią w nocy. Policji udało się zrekonstruować okoliczności zabójstwa. Rubin czekała już na niego, gdy zjawił się w kawiarni (potwierdza to paragon za małe piwo i kiełbaskę wydrukowany o godzinie piętnastej czternaście). Szła za nim aż do wybiegu dla drapieżników i za Alfred-Brehm-Haus go pobiła. Potem zaciągnęła ciało w krzaki rosnące między wybiegiem dla pingwinów a wybiegiem dla piesków preriowych. W tym momencie Leyendecker był już prawdopodobnie pod wpływem środków odurzających. Rubin przewiozła go tam jednym z elektrycznych wózków, którymi transportuje się karmę i siano na wybiegi dla zwierząt. To właśnie na nim policja zabezpieczyła odciski palców wszystkich opiekunów zwierząt, w tym także jej. Czas bezpośrednio

poprzedzający swoją śmierć Leyendecker spędził w klinice dla zwierząt, związany i sparaliżowany. Klinika to płaski budynek z cegły klinkierowej wybudowany w latach pięćdziesiątych. Stoi w tylnej części zabudowań gospodarczych.

W środku nocy Rubin zawiozła swoją ofiarę na wybieg dla pekari. Kiedy zwierzęta pożarły jej koszmarny ładunek, około czwartej nad ranem wróciła na wybieg, żeby jeszcze przed wschodem słońca pozbiierać to, co zostało z Leyendeckera. Nie do końca jej się to udało. Może było zbyt ciemno? A może zwierzęta zachowywały się zbyt agresywnie? Tak czy inaczej, ludzkie szczątki wywiozła w kubłach przeznaczonych na odpady pooperacyjne. Przedtem dokładnie je opróżniła, a następnie cuchnącymi, na wpół zgniłymi resztkami karmy dla zwierząt, które do niczego się już nie nadawały, zasypała tułów i uda Leyendeckera. Wcześniej fragmenty ciała oddzieliła od siebie, prawdopodobnie po to, żeby resztki ofiary wcisnąć do kubła. DNA Leyendeckera znaleziono praktycznie na terenie całej kliniki. Najwięcej materiału zachowało się na piłce do cięcia kości.

Jeremy stopniowo wczytywał się w okoliczności zbrodni. Ciekawe było to, że w trakcie lektury nie odczuwał obrzydzenia. Nie potrafił jednak sobie wyobrazić przebiegu wydarzeń. Wolał nie myśleć o tym, jak Rubin jedzie o świcie alejkami, wioząc na wózku poćwiartowane zwłoki. Jego wyobrażenia zaczęła funkcjonować dopiero w momencie, gdy – jak to wynikało z opisu – Rubin weszła do niewielkiego domku na tyłach kliniki, niecałe sto metrów od miejsca, gdzie leżały resztki jej ofiary, wzięła prysznic (ślady DNA ofiary w łazience, ślady krwi na wypranym swetrze) i położyła się do łóżka, aby około ósmej rano udać się do pracy.

Park Inn Hotel zgłosił zaginięcie Leyendeckera dopiero koło południa, bo klient ani się nie wymeldował, ani nie zapłacił rachunku. Jeden z pracowników wszedł do jego pokoju i stwierdził, że Leyendeckera wprawdzie nie ma, ale został tam jego bagaż. Ustalił też, że łóżko było nienaruszone.

Jeremy uniósł wzrok. Rubin nadal zachowywała się tak, jak gdyby rozmawiali z nią po chińsku, a tłumacz wyszedł, nie mówiąc, kiedy wróci.

– Co pani poczuła, widząc Leyendeckera po raz pierwszy?

Brak odpowiedzi. Jeremy usłyszał, że Brock stanął za jego plecami. Poczł się tak, jak gdyby miał za sobą bezpieczną ścianę, o którą w razie potrzeby będzie się mógł oprzeć.

– Wróćmy do poprzedniego pytania. Spotkała się pani z nim przypadkowo, czy też wybrała go całkiem świadomie?

Znowu zero reakcji. Jeremy wyjął z teczki zdjęcie Leyendeckera. Była to zwykła kopia, gruboziarniste powiększenie, ale fotografia przypominała o człowieku, którego Rubin z niewyobrażalnym okrucieństwem pozbawiła życia.

Szklanka wody. Pić. Odstawić. Spojrzenie na dłonie.

– Czy pani go jeszcze pamięta? – spytał Jeremy.

Być może jej milczenie pomoże Brockowi ustalić prawdę o Charlotte Rubin. Dla profesora ważne było nie tylko to, w jaki sposób coś zostało powiedziane albo pomyślane. Język ciała i reakcja na konkretne pytania też dostarczają wiedzy o człowieku. Jeremy stłumił westchnienie.

– Nie chce pani odpowiadać na pytania z powodu tego, co stało się wczoraj? – spytał. Było już południe, a oni mieli do dyspozycji tylko trzy dni. Może uda się wywalczyć jeszcze jeden? Brock już nad tym pracował. – Czy popełniliśmy jakiś błąd?

Cisza. Jeremy usłyszał szelest spodni Rubin, gdy zakładała nogę na nogę.

– Jeśli to konieczne, mogę jeszcze raz przeprosić. Nie chciałem pani denerwować z powodu siostry.

W tym samym momencie Jeremy wyobraził sobie na twarzy Brocka wielki znak zapytania.

Rubin popatrzyła na Jeremy'ego, a on znowu poczuł się tak, jak gdyby otrzymał potężny cios w żołądek. Jej reakcje były nieprzewidywalne. W jednym momencie zachowywała się tak, jak gdyby za chwilę miała

zasnąć na krzesła, a w następnym ożywiła się, okazując zainteresowanie. Miał kłopot z ustaleniem jakiegoś wzorca. Jej reakcje nie pozwalały mu czegokolwiek zrozumieć albo przewidzieć. Już wiadomo, że będą potrzebowali o wiele więcej czasu. Musi dojść do przełomu, który pomoże im się przebić przez wyrosłą między nimi barierę.

– Na samym początku dokładnie pani wyjaśnialiśmy, że wszystko, o czym tu rozmawiamy, służy wyłącznie jednemu celowi: mamy wydać opinię na pani temat. Nic, czego się tutaj dowiemy, nie wydobędzie się poza ściany tego gabinetu ani nie zostanie użyte przeciwko pani w sądzie. Chcemy się tylko dowiedzieć, na jakich zasadach pani funkcjonuje. Czasem wystarczy jedno spojrzenie z zewnątrz.

– Czy mogę już wrócić?

– Jeszcze nie skończyliśmy.

– Przeciwnie. Nie mam panom nic więcej do powiedzenia. Wszystko znajdziecie w dokumentach – powiedziała Rubin, wskazując na stos akt od prokuratora. – Może pan o mnie napisać, co się panu spodoba. A teraz chcę wrócić do mojej celi. Natychmiast.

Po tych słowach Rubin wstała z krzesła. Zmieszany Jeremy zrobił to samo.

– Przecież taka rozmowa leży w pani interesie.

– W moim dotychczasowym życiu nic nie leżało w moim interesie. A teraz niech pan przestanie udawać samarytanina. Pan zresztą też!

Brock ściągnął usta, jak gdyby chciał pokazać, że jest mu z tego powodu przykro. Podeszedł do drzwi, żeby je otworzyć. Jeremy miał nadzieję, że Brock nie oceni go negatywnie. Rozmowę uznał za prawdziwą katastrofę. Jesteś zwykłym nieudacznikiem, pomyślał.

– Czy robię coś nie tak? – spytał Jeremy.

– Mnie pan pyta? Mnie? – odparła Rubin podniesionym głosem.

Jeremy odniósł wrażenie, że w tym samym momencie kontrolę nad nią przejęła jakaś inna osoba.

– Czy mogę w końcu wyjść? A może chcecie mnie tu zatrzymać wbrew mojej woli?

Do pokoju weszli obaj policjanci.

– Dziękuję – powiedziała Rubin z sarkazmem. – Wracamy na stare śmieci.

Mężczyźni wyprowadzili ją z gabinetu.

Jeremy wyłączył dyktafon i zaczął wkładać notatki do segregatora. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Powinien był powiedzieć o wszystkim profesorowi jeszcze przed dzisiejszą sesją...

– Co stało się wczoraj? – spytał Brock.

Właśnie wrócił do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Emanował spokojem. Ani śladu złości albo rozczarowania z powodu nieudanego przebiegu rozmowy z Rubin.

– Wspomniałem o jej siostrze – odparł Jeremy. – Stało się to zaraz po pana wyjściu z biura. Przykro mi. Jakoś tak wyszło, ale chciałem... Nie przypuszczałem, że tak ją to zdenerwuje.

– A zdenerwowało?

– I to jak. Chciała nam zabronić kontaktowania się z siostrą. O mało nie wyszła z siebie.

Brock założył w zamyśleniu ręce do tyłu.

– Powinien pan uzgadniać ze mną takie sprawy – powiedział. – Zauważyłem, że się pan stara, jest pan pracowity i szczerzy, ale przede wszystkim brak panu dystansu. Przecież na początku odczuwał pan do niej wyraźną niechęć.

Jeremy chciał zaprotestować, ale Brock powstrzymał go szybkim gestem.

– Powinien się pan nauczyć kontrolować swoje uczucia. Zarówno negatywne, jak i pozytywne. Przecież ja muszę wystawić opinię na jej temat. Kwestie rodzinne są w tym kontekście na tyle istotne, że nigdy nie pozostawiłbym ich panu bez nadzoru z mojej strony.

Jeremy przełknął ślinę i spuścił wzrok. Poczł się jak dziecko, które zasłużyło na karę.

– Po tym, jak uratował jej pan życie, zmienił się pański stosunek do niej – kontynuował Brock. – Ze zbrodniarki, która popełniła tak straszny czyn, stała się nagle w pana oczach człowiekiem. Życie Charlotte Rubin mierzy pan zupełnie innymi wartościami. Nie umie pan nad sobą zapanować ani w jedną, ani w drugą stronę. Powinien się pan tego oduczyć.

– Tak – odparł Jeremy cicho.

– Nie żądam, żeby oceniał pan ludzi gorzej, niż na to zasługują. Nie domagam się też, żeby ich pan traktował ze zbytnią ostrożnością. Muszę jednak poprosić – i proszę się tej zasady trzymać – żeby pan nie zadawał tego rodzaju pytań bez uzgodnienia tego z pacjentką. Musi się pan jeszcze sporo nauczyć.

Ostatnie zdanie zawisło w powietrzu. Jeremy miał ochotę spytać, czy kiedyś zdobędzie właściwą wiedzę, ale wiedział, że jeśli to zrobi, zachowa się jeszcze bardziej dziecinnie.

– Wyrzuci mnie pan?

Brock parsknął głośno. Pozbierał akta z biurka i zaczął je przeglądać. Niektóre kartki pomijał, inne wyjmował z segregatora. W końcu znalazł to, czego szukał: formularz z rubrykami dotyczącymi danych osobowych.

– Oczywiście, że nie – odparł. – Ale proszę w przyszłości pracować dla mnie, nie przeciwko mnie. Cara Spornitz, trzydzieści lat, weterynarz. No proszę. Wygląda na to, że miłość do zwierząt łączy, chociaż nie widziała siostry od ponad dziesięciu lat. Tak przynajmniej pani Spornitz zeznała.

Jeremy podszedł do biurka i spojrzał Brockowi przez ramię.

– Rubin twierdzi to samo, ale zdecydowanie zabrania nam kontaktowania się ze swoją siostrą.

– Moim zdaniem pani Rubin nie jest w stanie oceniać konsekwencji swoich działań.

– W każdym razie zabrzmiało to tak, jak gdyby kochały się jak pies z kotem.

Brock się uśmiechnął.

– Jak widać, mamy w tej sprawie sporo do czynienia ze światem zwierzęcym – powiedział. Włożył okulary i zaczął czegoś szukać w przeglądarce swojego laptopa. – Czy pan ją już namierzył w internecie?

Jeremy pokręcił głową. Profesor wpisał nazwisko do wyszukiwarki.

– W Niemczech mieszka tylko jedna Cara Spornitz – stwierdził po chwili. – Jest weterynarzem i prowadzi praktykę w Dessau. To zadziwiające. Dwie siostry o takich samych upodobaniach zawodowych.

Jeremy miał odmienny pogląd.

– Jedna hoduje zwierzęta, żeby z nich potem zrobić karmę dla innych zwierząt. Druga studiowała na wyższej uczelni i wygląda na to, że woli swoim pacjentom ratować życie. Jedna stanowi całkowite przeciwieństwo drugiej.

Brock podrapał się po policzku.

– A ja widzę więcej podobieństw niż pan. Proszę się z nią skontaktować. Niech pan ją odnajdzie, obojętnie jak.

Jeremy skinął głową.

– Mam pewne pytanie.

– Słucham.

– Jeśli obie siostry nie utrzymują ze sobą kontaktów, to w jaki sposób Cara Spornitz może nam pomóc?

– Tu nie chodzi tylko o nas – odparł Brock niepewnym głosem. – Tu chodzi o życie Charlotte Rubin.

Rozdział 14

Jeremy zobaczył Carę Spornitz dopiero w chwili, gdy stanęła przed nim z zagniewaną miną. Cała była spocona i poplamiona krwią. Twarz miała w kształcie serca, włosy związane z tyłu w prosty sposób, chociaż kilka kosmyków wymknęło się i spadało jej na oczy, które błyszcząły prawie nienaturalnym fioletem. Chciała wsunąć włosy pod opaskę, ale nie mogła, bo na dłoniach miała sięgające aż po łokcie gumowe rękawice. Otarła więc czoło ręką, pozostawiając na nim czerwoną wstęgę. Pod fartuchem nosiła zwykły T-shirt. Ubrana była w gumowce i wypłowiałe džinsy. Miała szczupłą, wysportowaną sylwetkę, a w jej oczach kryło się tyle złości, jak gdyby w każdej chwili miała wybuchnąć.

Z obory dobiegało ryczenie krowy.

– Jakaś pilna sprawa?

Spornitz odbierała właśnie poród cielaka, zabieg przebiegał z komplikacjami. Kobieta, która pod nieobecność Spornitz zastępowała ją w biurze, wysłała Jeremy'ego do niewielkiej wioski położonej za miejscowością Vöckerode. Jeremy zapomniał jej nazwy w chwili, gdy stanęła przed nim Spornitz.

– Czy pan zawsze wpada bez pukania?

– Przykro mi. Nie chciałem przeszkadzać.

Spornitz energicznym ruchem ściągnęła poplamione krwią rękawice i pokręciła głową. Jeremy nie zamierzał tłumaczyć, że już wcześniej próbował się z nią skontaktować. Z zabudowań wyszła starsza kobieta w chustce na głowie. Jej widok przypominał mu nie tak odległe czasy, gdy ubiór i nakrycie głowy były w Niemczech rzeczą ważną. Była to ta sama kobieta, która w odpowiedzi na jego pytanie skierowała go do obory. Po drodze minął passata, który wyglądał tak, jak gdyby trzymał się do kupy tylko dzięki błotowi zaschniętemu na karoserii. Spornitz podeszła do samochodu, otworzyła drzwi i wyjęła butelkę wody. Piła z zamkniętymi oczami. Jeremy obserwował ruch mięśni na jej wąskiej szyi. Oboje byli prawie w tym samym wieku, ale Spornitz wyglądała o wiele młodziej. Jej twarz przypominała twarz porcelanowej lalki: niezwykle blada cera, lekko zaczerwienione policzki i małe usta w kolorze różu. Kiedy w końcu odstawiła butelkę i znowu na niego spojrzała, wrażenie, które przed chwilą odniósł, momentalnie znikło. Nie, Spornitz nie miała w sobie nic z lalki. Po prostu zdrowo wyglądała, a jej zadarty nos kontrastował ze zmarszczonym ze złości czołem.

– Nazywam się Jeremy Saaler i od kilku dni próbuję się z panią skontaktować. Niestety, nie doczekałem się odzewu.

Jeremy zostawił wiadomość, że chodzi o jej siostrę. W takiej sytuacji każdy inny człowiek od razu by się odezwał, ale nie Cara Spornitz. Za każdym razem gdy dzwonił, kazała mówić, że jej nie ma, że jest w podróży albo na spotkaniu. Zdecydowanie ignorowała też jego prośby o oddzwonienie. W końcu doszli z Brockiem do wniosku, że powinien się z nią spotkać osobiście. Decyzja zapadła w piątkowe popołudnie. Jeremy miał w weekend do wyboru: partię golfa z ojcem i Henny, nudny weekend z literaturą fachową albo przekładane od dawna spotkanie z byłą żoną, która wyprowadziła się przed kilkoma miesiącami. Przy pożegnaniu stwierdziła, że życie u jego boku jest równie fascynujące jak życie ulicznej latarni. Mimo to za każdym razem chciała z nim rozmawiać o błędach i niepowodzeniach. Mógłby też iść na siłownię, co od pewnego czasu zaniedbywał, albo wybrać się z kolegą ze studiów do kina, a potem do

któregoś z zaproponowanych przez niego klubów lub barów, chociaż nie czuł się w nich zbyt komfortowo i nie stać go było na takie eskapady. Poza tym, kiedy nad ranem z nich wychodzili, alkohol szumiał mu w głowie, a on miał wrażenie, że i tak nic ważnego nie stracił.

Dlatego postanowił pojechać do Dessau. W mieście działała słynna uczelnia artystyczno-rzemieślnicza Bauhaus, jest trochę architektury przemysłowej i dużo zieleni. Jechał przez miasto, które z powodu wojny i późniejszej odbudowy zatraciło swój dawny charakter. Jest w nim główna ulica z ciągiem handlowym, typowe sklepy, kilka niezbyt ciekawych budynków z dawnych czasów i parę ogólnie znanych atrakcji turystycznych.

Spornitz rzuciła opróżnioną do połowy butelkę na siedzenie samochodu.

– No to w końcu się panu udało. O co chodzi? Niech zgadnę. Koń, którym jeździ pan na polowania, cierpi na kolkę?

Jeremy się uśmiechnął. Zrozumiał aluzję. Na spotkanie z nią przyjechał ubrany w obuwie marki Timberland, sztruksowe spodnie, bawełnianą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i marynarkę z angielskiego tweedu. Jego wygląd kojarzył się z wycieczką na wieś, sianem i małym miasteczkiem.

– Nie. Przyjechałem tutaj...

– A może chodzi o psa? Złotego retrievera. Czy to aż tak pilna sprawa, że nie może poczekać?

Spornitz odsunęła z czoła kosmyk. Jej ton nie był ani odpychający, ani pogardliwy. Widać było, że jest po prostu zdenerwowana. Położyła dłoń na drzwiach samochodu, żeby je zamknąć.

– Chodzi o sprawę rodzinną. Wspomniałem o tym przez telefon.

Ręka Spornitz opadła, wzrok i postawa natychmiast się zmieniły. Nie spuszczał z Jeremy'ego wzroku, zaczęła rozwiązywać tasemki fartucha.

– Chodzi o pańskiego psa?

– Nie. O Charlotte Rubin. Czy moglibyśmy porozmawiać o tym gdzie indziej?

– Przyjechał pan z Berlina?

Spornitz odwróciła się i rozejrzała po podwórzu. W powietrzu unosił się zapach dojrzałej kukurydzy i skoszonej trawy. Może chciała sprawdzić, gdzie stoi samochód Jeremy'ego? Zaparkował go na ulicy przed domem.

– Tak.

Kobieta wygładziła fartuch i dokładnie go złożyła. Potem obeszała auto i otworzyła bagażnik. Wrzuciła fartuch do środka, usiadła, zdjęła gumki i włożyła parę tenisówek. Krew na ramionach i na czole zdążyła już wyschnąć, ale za to na T-shircie widać było ciemne miejsca, które nie wyglądały jak plamy potu. Jeremy ją obserwował. Słońce wisiało już nisko i dlatego rzucał długi cień. Starał się jednak ustawić w taki sposób, żeby nie padał on na Spornitz.

– Jak pan mnie znalazł? – spytała, zawiązując sznurowadła.

– Przez internet.

– No tak. Tam można każdego znaleźć. Czego pan chce?

– Przysłała mnie profesor Brock, który ma wystawić opinię w sprawie pani siostry. Uważa, że byłoby dobrze, gdyby... – Jeremy przerwał, bo Spornitz skończyła sznurować buty i się wyprostowała.

Z obory wyszli dwaj mężczyźni. Jeden był wysoki i barczysty, drugi młody i szczupły. Obaj mieli na sobie niebieskie kombinezony i byli do siebie podobni. Jeremy domyślił się, że to ojciec i syn. Syn trzymał w ręce ciężką torbę lekarską. Spornitz podeszła do nich, wymieniła kilka słów, pożegnała się z nimi uściskiem dłoni i zabrała torbę do swojego samochodu. Jeremy odsunął się, żeby mogła ją włożyć do bagażnika. Panował w nim kompletny bałagan: kartonowe pudełka, buty, fartuchy lekarskie, przyrządy i inne rzeczy leżały w nieładzie.

– Chcielibyśmy z panią porozmawiać.

Jeremy się rozejrzał. Obaj mężczyźni weszli do budynku, gdzie czekała na nich kobieta w chustce na głowie. Stała w drzwiach i obserwowała wszystko z zaciekawieniem. Spornitz przesłała jej grzeczny uśmiech.

– Nie będę rozmawiać o mojej siostrze.

– Uważamy, że powinniśmy dowiedzieć się o niej czegoś więcej. To ważne. Rozmowy z nią nie są proste. Nas zaś bardzo interesuje jej dzieciństwo.

Spornitz popatrzyła na niego z zastygłą twarzą. Jeszcze zanim Jeremy zaczął się zastanawiać, gdzie popełnił błąd, podeszła do wozu od strony kierowcy.

– Nie umiem panu pomóc.

– Pani siostra też tak powiedziała. Ale ja w to nie wierzę.

– Charlie... – Spornitz oparła się o samochód i skrzyżowała ramiona. – Od lat jej nie widziałam. Co u niej słyhać? Czy radzi sobie w życiu?

– Przykro mi. Nie umiem odpowiedzieć na te pytania.

– Aha – stwierdziła Spornitz, grzebiąc czubkiem buta w ziemi. – Czyli chodzi o rozmowę w zaufaniu? Ja daję coś tobie, a ty dajesz coś mnie?

Jeremy trochę się zmieszał.

– Profesor Brock z pewnością udzieli pani dalszych wyjaśnień.

– A pan?

– Ja mogę tylko poprosić, aby przyjechała pani jak najszybciej do Berlina.

– Tak po prostu? Nic mi pan w zamian nie zaoferuje?

– Pani siostra podjęła w ostatnim tygodniu próbę samobójczą. Wiem, że mówiąc o tym, łamię zasady, ale jest pani jej rodziną. Czy ktoś panią o tym informował?

– Nie – odparła Spornitz, a grzeczny uśmieszek błyskawicznie znikł z jej twarzy. – O Boże! A więc znowu to zrobiła!

– Czy to znaczy, że wcześniej też podejmowała takie próby?

Spornitz wzruszyła bezradnie ramionami.

– Charlie jest ode mnie starsza o dwa lata. Kiedy była nastolatką, przechodziła trudny okres. Nie bardzo to wtedy rozumiałam, bo byłam jeszcze dzieckiem. Wiem jednak, że kiedyś zażyła tabletki. Kiedy to było? Nie pamiętam. Powstało ogromne zamieszanie. Raz nasz sąsiad przyniósł ją do domu, leciała mu z rąk. Próbowwała się wtedy rzucić pod auto. Nie sądzę jednak, że chciała to zrobić naprawdę. Parę dni później śmiała się z całego zdarzenia i zachowywała się tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło. A teraz znowu... Gdzie próbowała się zabić? W więzieniu?

– W naszym gabinecie.

Jeremy zamierzał powiedzieć coś więcej, ale Spornitz nie zwracała na niego uwagi. To, co przytrafiło się jej siostrze, nie miało dla niej znaczenia. Było tylko irytującym incydentem, bo sprawiała wrażenie całkiem normalnej, przebojowej, inteligentnej kobiety. Wskazała na swoją koszulkę.

– Muszę koniecznie wziąć prysznic i się przebrać. O piątej zaczynam dyżur w klinice dla zwierząt. Z doświadczenia wiem, że papugi i koty wtedy nie mówią. Robią to ich w przeważającej mierze starsze właścicielki. Nie mogę panu pomóc. Jest mi naprawdę przykro, że Charlie przytrafiła się taka historia, ale jesteśmy sobie tak samo bliskie jak pan i ja. Odwiedzę ją, kiedy tylko będę mogła. A teraz muszę już wracać.

Jeremy nie wiedział, czy Spornitz naprawdę jest pozbawiona serca, czy tylko udaje i w głębi duszy martwi się o siostrę. Sprytnie jej to idzie, dodał w myślach, widząc, jak siada za kierownicą i opuszcza osłonę przeciwsłoneczną. Niechętnie pokręcił głową i spojrzął na nią. Przecież to twoja siostra, pomyślał. Jedyne bliska osoba. Nie można jej tak po prostu zlekceważyć.

– W takim razie sprawię sobie papugę – powiedział.

Spornitz popatrzyła na niego bezradnym wzrokiem.

– Może wtedy zechce pani ze mną porozmawiać?

– Niech pan oszczędzi tego i sobie, i temu biednemu zwierzęciu.

– O której będzie pani wolna?

– Przecież już powiedziałam, że...

W jej samochodzie pachniało końmi, sianem, gnojówką i krwią, a także czymś świeżym, słodkim. Ten ostatni zapach wydobywał się chyba z jej spoconych włosów. Dziwne, bo przed chwilą nurzała się w oborze we krwi.

– Będę na panią czekał. Gdzie?

Spornitz westchnęła i włożyła kluczyk do stacyjki.

– Czy pan nigdy nie odpuszcza?

Jeremy oparł się dłońmi o dach wozu i czekał, aż Spornitz zatrzaśnie mu drzwi przed nosem. Nic takiego jednak się nie stało. Wprawdzie położyła dłoń na uchwycie, ale drzwi nie zamknęła.

– Słyszał pan o Wörlitz?

– Tylko z nazwy.

– W takim razie o ósmej przy gondolach w parku.

Jeremy lekko uderzył dłonią w dach i uśmiechnął się szeroko.

– O ósmej.

Przy gondolach. Gdyby nie to, że jej siostra zabiła człowieka, mógłby potraktować to spotkanie jako randkę.

Rozdział 15

Słowem „gondole” określa się tu łodzie wiosłowe, które można wypożyczyć, aby potem podziwiać z wody uroki miejscowego parku. Jeremy spędził resztę czasu na spacerze do świątyni Wenus. Im bliżej było do umówionego spotkania, tym bardziej żałował, że się na nie umówił.

Koszulę miał przepoconą, buty zakurzone. Tuż przed szóstą wyszedł z parku i przy rynku zauważył pensjonat. Pragnienie wzięcia prysznicza okazało się tak silne, że wszedł do środka i wynajął pokój. Cena mile go zaskoczyła, a gdy zajrzał do restauracji i przestudiował menu, poczuł, że oferta przekracza jego oczekiwania. Park w Wörlitz jest wpisany na listę UNESCO, więc przyciąga zagranicznych turystów o wysokich wymaganiach, którym wszyscy miejscowi starają się sprostać. Nawet kupienie świeżej koszuli nie było tu problemem.

Godzinę później – wykąpany, ogolony, w garniturze i wyczyszczonych butach – udał się na rynek i zasiadł przy stoliku pod drzewami. Pił zimną wodę mineralną, obserwował rowerzystów, pieszych i zakochane pary. Lokal zapełniał się powoli gośćmi. Kiedy jego sąsiedzi przy stoliku zamówili jedzenie, a do jego nozdrzy dotarł zapach sarniego udźca i kiszonej kapusty, jego żołądek zaczął się dopominać swoich praw. Jeremy dzielnie zapanował nad głodem. Ósma wieczorem to klasyczna pora, żeby wyjść z kobietą na spacer. Wyobraził sobie, jak płynie łodzią po jeziorze, a potem zawraca przy wyspie Stein, żeby zaprosić ją do któregoś z niewielkich lokali położonych wzdłuż historycznych murów miejskich.

Z pokoju zadzwonił do Brocka i zostawił mu wiadomość na automatycznej sekretarce. Poinformował go, że Rubin podjęła w młodości dwie próby samobójcze, że nawiązał kontakt ze Spornitz i zaraz wybiera się z nią na spotkanie. Rozłączył się i postanowił porobić notatki, ale zobaczył przez okno, jak na dworze zapada piękny wieczór. Słońce rzucało na wybrukowaną ulicę przed hotelem złotozielony blask. Słyszał śpiew ptaków i ciche głosy ludzi, którzy siedzieli na tarasie i rozkoszowali się tym widokiem. Uświadomił sobie, że nawet nie wie, kiedy ostatni raz tego doświadczył. Włożył więc notes z powrotem do torby z dokumentami i ruszył na dół. Popijając wodę, czekał na spotkanie ze Spornitz i cieszył się każdą wolną chwilą.

Z początku prawie jej nie poznał. Była ubrana w wąską żółto-złotą sukienkę, która rozszerzała się na dole i falowała luźno wokół kolan. Na nogach miała płaskie sandały. Strój roboczy, o czym teraz się przekonał, skrywał jędrne ciało. Sukienka była dowodem na to, że nie potraktowała Jeremy’ego lekceważąco. Szerokie rozcięcie pozwoliło mu dostrzec jej łydki, a dekolt – ponętne zwieńczenie jej piersi. Włosy były jaśniejsze niż rano, więc chyba je umyła i wymodelowała. Teraz miały kolor jasnoblonde, nie były farbowane ani nie miały rozdwojonych końcówek. Cara związała je w węzeł na karku, co jeszcze bardziej podkreśliło jej delikatne rysy. Pewnie sama wiedziała, że musi nadać swojej twarzy inny wyraz, żeby nie była taka milutka i lalkowata, bo będzie wyglądać zbyt słodko. Dlatego przyciemniła brwi, a wargi pociągnęła czerwoną matową szminką. Wyglądało to sztucznie, ale pasowało do jej typu urody. Na pewno należała do tych kobiet, za którymi mężczyźni oglądają się na ulicy.

Zręcznie weszła do łodzi, którą Jeremy wynajął na godzinę. Mężczyzna, który mu ją wypożyczał, przeprosił go, że na dłużej nie może, bo kiedy robi się ciemno, wszystkie łodzie muszą się znajdować na

brzegu. Jeremy przejął wiosła, Spornitz usiadła naprzeciwko niego i ułożyła sukienkę wokół nóg. Na dworze było jeszcze ciepło, ale nie gorąco. Czuć było powiew wieczornego powietrza; było wilgotne i ciężkie od rosy i zapachu kwiatów.

Przez chwilę milczeli. Do łódki podpłynęły kaczki, ale po chwili zawróciły, bo żadne z nich nie miało dla nich karmy. Promienie zachodzącego słońca tańczyły na wodzie. Jeremy obserwował fale, które tworzyły się na jeziorze od płynącej łodzi. Słychać było skrzypienie wiosł o wyłożone skórą dulki. Z przeciwnej strony płynęła inna łódź, w której siedziało małżeństwo z dwójką dzieci. Ich głośna paplanina towarzyszyła im do miejsca, gdzie na brzegu stał pałac.

– Tak tu pięknie – zauważyła w końcu Cara. – A przecież to wszystko stworzyła ludzka ręka.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– To prawda – zgodziła się Spornitz, wkładając palec do wody.

Jej sposób chodzenia przypominał mu ruchy baletnicy. Poruszała się płynnie, elegancko, lekko. Wydawało się, że pani weterynarz jeżdżąca zabłoconym samochodem nigdy nie istniała. Przyglądał się jej twarzy i szukał cech, które przypominały siostrę. Kolor włosów i oczu miały ten sam, podobnie jak kształt twarzy, okrągły i szeroki. Gdyby był rzeźbiarzem i kazano by mu wykonać rzeźby obu sióstr, posąg Charlie zrobiłby z ledwo oheblowanego drewna, a Cary – z doskonałego marmuru.

– Nie odpowiadam chyba pańskim oczekiwaniom? – spytała Spornitz, spoglądając na wodne lilie. Wyglądały tak, jak gdyby poruszały się na wodzie.

Jeremy uśmiechnął się i poczuł, że znowu zaczął się pocić.

– Przeciwnie – odparł. – Pani wprost przerosła moje oczekiwania. Pięknie pani wygląda w tym ubraniu.

– Ubranie... Ma już tyle lat... Miałam je jeszcze na swoim ślubie.

Jej słowa zmroziły mu serce. A więc była mężatką... Oczywiście. Niby jakim cudem miałyby nosić inne nazwisko niż siostra?

– Na rozwodzie miałam na sobie roboczy kombinezon. Przyjechałam prosto ze świnio bicia w jednym z gospodarstw i nie miałam czasu włożyć czegoś porządniejszego.

Jeremy poczuł, że serce mu natychmiast odtajało. Tempo, w jakim się to dokonało, zaparło mu dech w piersiach.

– W moim zawodzie przyroda szybko traci swoje romantyczne cechy. Za to w takie wieczory jak ten...

Nie umiał oderwać od niej wzroku. Od dawna nie spotkał kobiety, która by go aż tak fascynowała. Bez względu na to, czym pachniała: gnojówką czy różami.

– ...łatwo mogłabym w to uwierzyć. – Uśmiechnęła się szeroko.

– To znaczy w co? – spytał Jeremy niepewnym głosem.

– W romantyczność. W życiu człowieka nie ma na nią zbyt wiele miejsca. A może pan odbiera to inaczej?

– Nie.

– A czym się pan właściwie zajmuje?

– Jestem dyplomowanym psychologiem i odbywam praktykę u profesora Brocka.

– Dlaczego?

– Nie rozumiem.

– Dlaczego wybrał pan psychologię?

Bo tak chciał mój ojciec? Jeremy postanowił odpowiedzieć w inny sposób:

– Bo chcę zrozumieć ludzi. Nawet tych, którzy sprawiają nam kłopoty.

Błyskawicznie przeanalizował własne słowa i doszedł do wniosku, że to właściwa odpowiedź. Sprawilo mu to radość i wbiło w dumę. Poczul się o wiele raźniej, jak gdyby przed chwilą cień jego ojca

opuścił Łódź.

– Czy sprawa mojej siostry jest dla panów aż tak ważna?

– Raczej tak.

– Tak właśnie podejrzewałam. Gdyby było inaczej, nie przyjechałby pan tutaj.

– Profesor Brock jest zdania, że mogłaby nam pani coś opowiedzieć o dzieciństwie Rubin.

– Już panu wyjaśniłam, że tego nie zrobię. Zbyt wiele nas dzieli. Kiedy ja zaczynałam patrzeć na świat trochę bardziej dojrzałym wzrokiem, jej już nie było w domu. Zaczęła pracować w ogrodzie zoologicznym w Dessau, a później przeprowadziła się do Berlina, żeby podjąć naukę. Więcej już do nas nie wróciła. Zupełnie zerwała z nami kontakty.

– A jak potoczyło się pani życie?

Wzrok Spornitz sposepniał.

– Poczułam się zdradzona. Nasza matka wcześniej zmarła, a ojciec pił na umór. Chciałam się stamtąd wyrwać. I choć miałam pełne zrozumienie dla decyzji Rubin, poczułam się tak, jak gdyby zostawiła mnie na lodzie.

– Ile pani miała wtedy lat?

– Byłam prawie dzieckiem. Ojciec zmarł dwa lata później na marskość wątroby. Myślę, że przez cały tamten okres nie zamieniliśmy ze sobą więcej niż kilka słów. Prowadziłam dom, a po szkole zajmowałam się trochę inwentarzem. Przed 1989 rokiem wolno nam było trzymać zwierzęta na prywatny użytek. Kiedy umarł ojciec, nie miałam jeszcze szesnastu lat. Postanowiłam rzucić gospodarkę. Nigdy więcej tam nie wróciłam. Podejrzewam, że gospodarstwo podupadło. To Charlie je odziedziczyła, ale myślę, że wolałaby mieć wszystko inne niż taki ciężar na głowie. Potem przeprowadziłam się do miejscowości Waren an der Müritz, gdzie zdobyłam zawód koniuszego. To tam poznałam Jörga.

Cara uśmiechnęła się niepewnie. Jeremy domyślił się, że Jörg był pierwszym mężczyzną w jej życiu.

– Lepiej nie mogłam trafić – kontynuowała. – Byłam wtedy nikim. Nie potrafiłam skłecić składnie trzech słów. Miałam lepsze kontakty ze zwierzętami niż z ludźmi. Jörg umocnił mnie w przekonaniu, że praca ze zwierzętami to moje powołanie i że powinnam się dalej uczyć. Nie mam matury, uzyskałam jedynie świadectwo ukończenia szkoły średniej, ale za to z bardzo dobrym wynikiem. Po czterech latach mogłam się już ubiegać o przyjęcie na rok zerowy.

– A potem?

– Wyjechałam do Lipska, a Jörg został w Waren. On mi wskazał drogę, którą powinnam iść. Był ode mnie starszy, o wiele starszy. W Lipsku po raz pierwszy poczułam się młodo. Wiedział o tym, mimo to postanowił zostać. Musiał mnie naprawdę kochać.

– A pani?

– Jörg był dla mnie jak ojciec, którego nigdy nie miałam. Na sprawie rozwodowej oboje płakaliśmy. Na zawsze pozostanie w moim sercu, ale nie w życiu.

Jeremy skinął głową. Poruszyła go ta historia, ale był prawie szczęśliwy, że Cara ma już za sobą ten rozdział swojego życia. Kusiło go, żeby spytać, czy ma kogoś nowego, czy dała szansę komuś młodszemu. Uznał jednak, że takie zachowanie byłoby nie na miejscu, a on tylko by się ośmieszył. Dlatego cieszył się samym jej towarzystwem. Czuł, jak w czasie wiosłowania naprężają mu się mięśnie ramion. Patrzył na Carę, elfa z niewielkimi czerwonymi, kuszącymi ustami, i doszedł do wniosku, że chętnie poszedłby z nią do łóżka. Nie dawało mu to spokoju, na samą myśl o tym odczuwał podniecenie, nagły przypływ adrenaliny i pożądania.

– A teraz jestem weterynarzem – kontynuowała Spornitz. – Aspołecznym elementem z Wendisch Bruch – dodała z uśmiechem, jak gdyby własny sukces wywoływał w niej zarówno zdumienie, jak i poczucie triumfu.

– Pani siostra hoduje szczury?

– Czytałam o tym w gazetach. Każda z nas poszła swoją drogą, ale obie zdobyłyśmy podobny zawód. No może nie do końca. Nie chcę tu prawić morałów, bo jej praca jest równie ważna jak moja, ale to, co zrobili z nią dziennikarze, jest obrzydliwe. Charlie nie jest potworem. To nie ona zabiła tego mężczyznę.

– Została przesłuchana i sama się przyznała.

Spornitz pokręciła głową.

– Na pewno została do tego jakoś zmuszona. Nie chce mi się wierzyć w jej winę. Gazety napisały, że poćwiartowała zwłoki tego mężczyzny. To przecież niemożliwe. Nawet ja miałabym z tym problem... O Boże, co ja mówię! – Zasłoniła usta dłonią. – Zabrzmiało to tak, jakbym... Kiedy ktoś zarzyna zwierzę, czasem też przy tym jestem i pomagam. Czy ćwiartował pan kiedykolwiek świnie bez użycia piły łańcuchowej? To bardzo trudne.

Jeremy nie potrafił sobie nawet wyobrazić, z czym tak delikatna kobieta jak Cara musi się mierzyć na co dzień w trakcie wykonywania swoich obowiązków.

– Charlotte Rubin przyznała się do winy, a prokurator zebrał dowody w tej sprawie. Na ich podstawie można uznać, że pani siostra rzeczywiście zabiła tego człowieka. Nie wiemy tylko dlaczego, bo milczy na ten temat. Nic jej z nim nie wiąże. Wygląda na to, że swoją ofiarę rzeczywiście wybrała przypadkowo spośród ludzi odwiedzających ogród zoologiczny. Musimy zbadać, czy nie cierpi na chorobę psychiczną.

– Jeśli okaże się zdrowa, przy dobrym zachowaniu wyjdzie z więzienia po piętnastu latach.

– To nie jest jeszcze powiedziane. Ale nie można tego wykluczyć.

– Jeśli jednak stwierdzicie, że jest chora, na resztę życia trafi do zakładu psychiatrycznego. Mam rację?

Jeremy się odwrócił. Przed sobą zobaczył wyspę – sztuczny skrawek lądu zwieńczony ciemnoczerwoną willą.

– Ona nie jest chora – powiedziała Spornitz. Zabrzmiało to jak prośba, jak gdyby los jej siostry spoczywał w jego rękach.

– To proszę pomóc i nam, i jej. Niech pani przyjedzie do Berlina i porozmawia z profesorem Brockiem.

– Chętnie to zrobię, jeśli tylko istnieje cień szansy, że jej w ten sposób jakoś pomogę. Co mówi Charlie? Czy chce się ze mną widzieć?

Jeremy wykonał manewr zwrotny, ale zrobił to w tak skomplikowany sposób, żeby nie musieć odpowiedzieć na pytanie kobiety.

– Rozumiem – stwierdziła Cara.

Wyjęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i zakryła nią oczy. Jeremy nie wiedział, czy chce w ten sposób zatamować łzy, ale zauważył, że oczy jej błyszczą.

– A jak do panów trafić?

Jeremy skierował łódź w stronę brzegu. Nie chciał przypłynąć do przystani zbyt późno, żeby nie sprawić nikomu kłopotu. Resztę drogi odbyli w milczeniu. Kiedy przybili do brzegu, właściciel łodzi już na nich czekał. Jeremy podał Carze rękę, żeby pomóc jej przy wysiadaniu. Nagle łódź się zachwiała, kobieta straciła równowagę i kurczowo chwyciła jego ramię. Po chwili weszła schodkami na ląd.

Czekała na Jeremy'ego, który płacił za przejazdkę. Celebrował każdy ruch – mijaly bowiem sekundy i minuty, a każda z nich przybliżała moment rozstania. Żałował, że ten wieczór nie może trwać wiecznie. W końcu zapłacił i podszedł do Cary.

– Dokąd teraz? – spytała.

Jeremy wziął ją za rękę, a ona nie zaprotestowała. Na ulicy spotkali ostatnich przechodniów. Jezioro i okolice spowiły ciemności. Ruszyli wąską alejką wzdłuż mostków i tajemniczych pomników stojących w parku. Sztuczny gąszcz i rozkwitłe krzewy wydawały się stworzone dla zakochanych par, które chciałyby się skryć przed oczami ciekawskich. Spornitz szła lekko wysunięta przed Jeremy'ego, który

nadal trzymał ją za rękę, a dzieląca ich odległość była raz większa, raz mniejsza. Kiedy mijali popiersie kobiety o surowym spojrzeniu, Cara zatrzymała się i rozejrzała ostrożnie dokoła.

– Nikogo nie ma?

– Nikogo nie widzę – odparł Jeremy.

W chwili gdy zaczął się zastanawiać, o co jej chodzi, Cara wspięła się na palce, zamknęła oczy i pocałowała kamienną kobietę w usta. Pocałunek był długi, intensywny. Potem cofnęła się o krok i z zadowoleniem spojrzała na popiersie.

– Czy pani całuje tylko pomniki? – spytał Jeremy.

Cara odwróciła się do niego. Wydawało mu się, że jej oczy błyszczą jeszcze bardziej niż przedtem. Zbliżyła twarz do jego twarzy. Usta miała lekko otwarte. Jeremy pochylił się, żeby dotknąć jej warg swoimi.

– Tak – szepnęła Spornitz. – Z pewnymi wyjątkami.

Potem poszli do hotelu i kochali się w jego pokoju. Zbyt późno zauważyli, że okno wychodzące na ulicę jest otwarte. Jej zduszone krzyki i jego jęki musiały być słyszalne na całej ulicy. W końcu Jeremy ją pocałował, wstał nagi z łóżka, a gdy poczuł na skórze powiew chłodnego powietrza, zamknął okno.

– Myślę, że pół miasta bawiło się naszym kosztem – powiedział.

Cara owinęła się kołdrą i roześmiała głośno. Było jej z nim naprawdę dobrze. Ich pierwszy raz nie mógł być chyba bardziej czuły i namiętny. Żadnej nieśmiałości ani udawanego wstydu. Było to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

– Jutro rano, kiedy wejdiesz do sali restauracyjnej, wszystkim opadną szczęki – zachichotała. – Rzadko trafia im się tu taka rozrywka.

Jeremy zasunął firanki. Wyjął z minibaru małą butelkę musującego wina, otworzył ją i podał Carze dwie szklanki – jedyne, jakie znalazł w pokoju. Piła zachłannie, małymi łykami. Trochę alkoholu wylało jej się przy tym na szyję i poduszkę. Jeremy zlizął go jej z szyi.

– Mmm... – mruknęła. – Chodź do mnie.

Przyciągnęła go na siebie, a gdy poczuł jej szczupłe ciało, natychmiast zapragnął ją posiąść. Cara zauważyła to, uśmiechnęła się i zaczęła się z nim droczyć:

– Pozwól mi najpierw wypić – powiedziała.

Jeremy położył się obok niej i spojrzał na sufit. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuł się tak zaspokojony.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Popatrz, to sam zobaczysz – odparła Cara.

Pochyliła się nad nim i pocałowała go. Jej wargi smakowały winem i miłością.

– A jak ty się czujesz? Pewno sobie wyobrażasz, że na taką prowincję zapuszcza się tak niewielu seksownych facetów, że miejscowe kobiety przy każdej nadarżającej się okazji od razu zarzucają na nich sidła?

Jeremy uśmiechnął się szeroko.

– W takim razie będę tu częściej przyjeżdżał.

– Odważysz się? Uważaj, bo poderwie cię od razu jakaś inna.

Cara sięgnęła po jego szklankę stojącą na nocnej szafce i wypila połowę jej zawartości. Kołdra zsunęła jej się z ciała i Jeremy ujrzał jej drobne krągłe piersi. Ucieszył się, że po stosunku została z nim w łóżku, a nie poszła od razu pod prysznic i nie ubrała się.

– Jestem głodny – powiedział. – Może zejdziemy do restauracji i coś zjemy?

Wypila resztę wina ze szklanki, usiadła na łóżku i energicznym ruchem dłoni otarła wargi.

– Lepiej nie. Wszyscy mnie tutaj znają. Potem będą opowiadać, że to ja krzyczałam nocą „tak, tak, tak”.

Jak podczas porodu cielaka. – Odrzuciła głowę i parsknęła śmiechem: – Oczywiście nie mojego, przecież ja nie rodzę cielaków...

Jeremy też się roześmiał. Jej zachowanie mógł zrozumieć tylko ktoś, kto wychowywał się na wsi, gdzie inseminacja i krzyki zwierząt wydawane podczas parzenia się są takim samym naturalnym elementem codziennego życia jak kwitnące pola rzepaku. Cara mu się podobała. Nadal czuł na ciele jej delikatne ukąszenia i mocny uścisk, gdy objęła go udami i dopasowała się do jego rytmu. Znowu jej zapragnął i dlatego ściągnął z niej kołdrę. Obserwowała, jak pożera ją wzrokiem, i uśmiechnęła się na widok tak wielkiego pożądania.

– Połóż się na plecy – powiedziała i odstawiła szklanke.

Później zamówili do pokoju dwie kanapki. Cara zjadła z apetytem dużą część z nich, a potem zabrała się do jego frytek. Kiedy zjedli, napili się piwa z puszek.

– Czy teraz przyjedziesz do Berlina? – spytał Jeremy, sięgając w ostatniej chwili po resztki drugiej kanapki.

– Jeszcze nie wiem – odparła Cara z ustami pełnymi jedzenia. – To zależy, co możesz mi jeszcze zaoferować. Na razie powoli ulegam twojej sztuce przekonywania. – Mówiąc to, zamoczyła frytkę w jego keczupie.

– W takim razie idźmy dalej – odparł od niechcienia Jeremy.

Cara wzięła serwetkę i otarła sobie palce.

– Jak to: idźmy dalej? – spytała.

– To znaczy: róbmy dalej to, czego – mam nadzieję – jeszcze przez długi czas nie przerwiemy.

Jeremy pochylił się, żeby pocałować ją w brzuch, ale Cara odsunęła się od niego.

– Posłuchaj – zaczęła, a on od razu zrozumiał, co będzie chciała mu powiedzieć. Domyślał się, że tak się stanie, bo od samego początku wyglądało to zbyt pięknie i zbyt łatwo. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. Pewne sprawy muszą być trudne i skomplikowane, bo inaczej stają się bezwartościowe. Kobiety kierują się innymi zasadami niż mężczyźni. Na początku nie liczy się dla nich szczęście, tylko rozważa. – Było mi z tobą naprawdę cudownie, ale kontynuowanie tego to niezbyt dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Jesteś psychologiem... nie przerywaj mi – powiedziała Spornitz, widząc, że Jeremy otwiera usta, żeby zaprotestować. – Chcesz się dowiedzieć czegoś o mojej siostrze i tylko dlatego tu przyjechałeś.

– Ale to nie z tego powodu poszedłem z tobą do łóżka.

– Być może nie dzisiaj. Ale następnym razem? Przeszłość mojej siostry jest także moją przeszłością. Dlatego to, co przydarzyło się jej, będziesz odnosił do mnie. Nie chcę, żeby tak było. To, co zrobiliśmy, było spontaniczne. Sytuacja nas zaskoczyła. Niech tak zostanie.

– Potrafię oddzielić sferę zawodową od prywatnej.

Cara wstała z łóżka, ale nie poszła pod prysznic, tylko się ubrała. Jeremy odstawił talerz z resztą frytek na podłogę. Całkowicie stracił apetyt.

– Twoje wcześniejsze słowa brzmiały zupełnie inaczej – odparła Spornitz i wcisnęła się w sukienkę. – Mniej więcej tak, jakbyś dobrze wiedział, jak połączyć piękne z pożytecznym.

– To nieprawda – zaprotestował słabym głosem Jeremy.

Rozpuszczone włosy spadały jej luźno na ramiona. Twarz miała zaczerwienioną jak po długim spacerze. Na ustach nie było śladu szminki. Wyglądała kusząco młodo, a Jeremy zastanawiał się, jak skłonić tę nieziemską piękność, żeby znowu zdjęła sukienkę i wróciła do niego do łóżka.

Co w nią nagle wstąpiło? Czy zrobił coś nie tak?

– Przecież tobie też zależy, żebyśmy pomogli twojej siostrze.

– Dzięki pójściu z tobą do łóżka?

Włożyła rękę do kieszeni, wyjęła z niej szminkę i poszła do łazienki. Jeremy wstał. Nagle poczuł wstyd, stracił pewność siebie. Włożył spodnie i też poszedł do łazienki. Cara była zajęta malowaniem ust. Jeremy stanął za nią.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Jak bardzo jest dla ciebie ważna? – spytała, patrząc mu w lustro w oczy.

– Twoja siostra?

– Tak.

– Jest kimś, kto potrzebuje pomocy. Jest pacjentką profesora Brocka.

– W jaki sposób chciała popełnić samobójstwo?

– Wbiła sobie ołówek w tętnicę szyjną.

– A dlaczego nie umarła?

Jeremy stanął obok niej, odkręcił wodę i zaczął myć ręce.

– Kto uratował jej życie?

– Ja – odparł, przesuwając wilgotnymi dłońmi po twarzy.

Cara zakręciła szminkę i włożyła ją do oprawki.

– No właśnie, tak to z nią jest – powiedziała i wróciła do pokoju.

Jeremy, który nie zrozumiał ostatniego komentarza, wziął ręcznik i wytarł twarz. Poszedł za Carą do pokoju i ciągle nie mógł zrozumieć, co wywołało taką zmianę w jej zachowaniu. Przecież są do siebie podobne, pomyślał. Dwie dusze w jednej kobiecie.

– Co masz na myśli? – spytał.

Cara włożyła sandały. Rzemyki były zbyt wąskie, żeby mogła je zawiązać jedną ręką. Podeszła do stołka i spojrzała na Jeremy'ego.

– Jej zawsze ktoś ratuje życie.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś traktowała jej próby samobójcze niezbyt poważnie.

– Zawsze taka jestem. A teraz moja kolej – wyjaśniła Spornitz.

Zawiązała w końcu rzemyki sandałów i się wyprostowała.

– Twoja kolej?

– To ja ją zawsze znajdowałam. Za każdym razem. Była tak samo blisko jak ty. I to jest najgorsze. Kiedy coś takiego się działo, modliłam się do Boga i składałam mu szalone obietnice, żeby tylko przeżyła. Nie jadłam, nie spałam, czuwałam przy jej łóżku i wyłam z wściekłości. I nagle ona otwierała oczy i mówiła, że przy takim hałasie nie może zasnąć.

Cara chciała podejść do drzwi, ale Jeremy stanął jej na drodze.

– Rozumiem, że jesteś nie w humorze.

– Naprawdę? – odparła.

Jeremy wyczuł, że z trudem się przed nim hamuje, żeby nie wybuchnąć ze złości, a może nawet z bólu.

– Niczego nie rozumiesz! Jesteś najmarniejszym lekarzem dusz, jakiego w życiu spotkałam.

– W takim razie pomóż mi stać się lepszym.

– Daj spokój – odparła Cara.

Chciała go ominąć, ale Jeremy znowu zablokował jej drogę. To ją wprawiło w jeszcze większą złość.

– Nie chcę mieć z tą sprawą nic do czynienia. Charlie jest dla mnie martwa, rozumiesz? Umarła! Nie istnieje. Pewnego dnia znikła i zostawiła mnie na pastwę losu. Niech sama doświadczy, jak to jest, gdy człowiek musi się wydobyć z bagna na własną rękę.

– W przyszłym tygodniu mamy z nią ostatnią sesję. W środę.

– Czy mogę już iść do domu?

Dopiero teraz Jeremy ją przepuścił.

– Mamy do dyspozycji tylko ten jeden dzień. Osiem godzin, które Brock wyzbrał u prokuratora. To nasza ostatnia szansa, żeby jej pomóc. Porozmawiaj z Brockiem. Jeśli nie chcesz zrobić tego dla niej, zrób to dla siebie.

– Dla mnie? Jak to?

– Jeśli zostawisz ją na pastwę losu, nigdy sobie tego nie wybaczysz.

Spornitz była już przy drzwiach, ale po tych słowach odwróciła się i podeszła do Jeremy'ego. Zostań, błagał ją w myślach. Nie wychodź.

– Wydaje ci się, że możesz ze mną rozmawiać w taki sposób, jak gdybyś mnie znał – powiedziała. –

Ale ty o niczym nie wiesz. To, co dzisiaj zrobiliśmy, było dla mnie miłą odmianą, niczym więcej. A jeśli sobie coś wyobrażałeś, to powiem wprost: wybij to sobie z głowy. Tego nie ma. Charlie też nie istnieje. Obie jesteście tylko produktami twojego umysłu.

– A ja? Kim ja jestem w twoim umyśle?

Powieki jej drgnęły. Trwało to ułamek sekundy i było prawie niezauważalne. W następnej chwili Spornitz znówu była sobą.

– Jednym z wielu – odparła.

Jeremy poczuł się tak, jak gdyby ktoś wylał mu na głowę kubel zimnej wody. Cara wyszła z pokoju. Jej zapach unosił się w powietrzu długo po tym, jak Jeremy zgasił światło, położył się do łóżka i przewracając się niespokojnie z boku na bok, próbował zasnąć.

Rozdział 16

Lutz Gehring miał dość ograniczone możliwości rozwijania życia towarzyskiego. To, co najważniejsze, istniało w zachodniej części Berlina. Klub Tenisowy Czerwono-Biali, Stowarzyszenie Przyjaciół Galerii Narodowej, Klub Golfowy w Wannsee, Stowarzyszenie Miłośników Łodzi Wiosłowych – dla każdego, kto mieszkał w Wendenschloss w Köpenick, znajdowały się prawie na końcu świata. W centrum miasta działał klub sportowy z siedzibą przy placu Żandarmów. Była Opera Narodowa, Scena Narodowa, Berliner Ensemble i kluby, na które facet w jego wieku – miał już trzydzieści kilka lat – był za stary. Klub techno Das Berghein widział od środka tylko raz w życiu – podczas nalotu policji. Zdziwiło go wtedy, że ten ponury, znany z ekscesów i będący obiektem pożądania bunkier miał wydzieloną przestrzeń dla palaczy. Było to miejsce, w którym palono najmniej.

Później odkrył konny tor wyścigowy Hoppegarten. Na początku chodził tam po to, żeby Lea i Lukas mogli oglądać konie. On i Susanne zatrzymywali się nieopodal miejsca, gdzie dżokeje je siodłali. Obserwowali rasowe zwierzęta, aby potem zrobić zakład za dwa euro i całą rodziną popędzić z niecierpliwością na miejsce, w którym konie dobiegały do mety. Później chodził tam dlatego, że od czasu do czasu spotykał w loży dla gości rzecznika prasowego partii, na którą głosował. Jeszcze później, gdy dzieci podrosły, a Susanne zagroziła, że go zostawi, jeśli nie postara się o taki rodzaj pracy, w której będzie mógł poświęcać więcej czasu rodzinie, Hoppegarten stało się miejscem, w którym mógł się trochę odprężyć i spędzić nieliczne wolne chwile. Regularnie studiował gazetkę wyścigów, obserwował, jak koniuszy siodłali podenerwowane zwierzęta, a dżokeje je oprowadzali. Na końcu kupował zakład za dwa euro, bo wygranie albo przegranie takiej kwoty nie robiło na nim żadnego wrażenia.

Siedział na głównej trybunie i patrzył, jak zmieniają się kolejni komendanci policji, rzecznicy partyjni i przewodniczący policyjnych związków zawodowych. Niektórych znał, większość z nich stała mu się z czasem obca i dlatego przychodził tam coraz rzadziej. Dostał awans, który wiązał się z licznymi obowiązkami i większą odpowiedzialnością. Hoppegarten stało się sentymentalnym wspomnieniem, do którego coraz rzadziej wracał, jak do starego, znanego ze wszystkimi szczegółami pucharu sportowego.

Zdarzały się jednak dni, kiedy słońce szcodrze rozdzielało swój powabny wdzięk. Było to wtedy, gdy pod Mahlsdorf zaczynała dojrzewać kukurydza, oszałamiająco pachniały lipy, a jego budził śmiech rozbawionych dzieci i głośny warkot silników. Lipcowa niedziela. Wyjazd na wyścigi konne.

– To zły wybór.

Gehring się wzdrygnął. Ktoś stanął za nim w kolejce do okienka, w którym przyjmowano zakłady, i teraz zerkał na jego gazetę wyścigową, w której zakreślił konia o imieniu Bad Boy Blue. Odwrócił się i od razu opuścił wzrok, bo stojąca za nim kobieta była niewielkiego wzrostu.

– Dzień dobry – powiedziała, patrząc na niego z szerokim uśmiechem.

Sanela Beara. Czy to znaczy, że nawet w niedzielę nie zazna spokoju od tej wyszczekanej baby? Dobrze ją zapamiętał, bo ciągle mieszała się w śledztwo w sprawie zbrodni w ogrodzie zoologicznym. Bardziej z litości niż z uzasadnionych powodów pozwolił jej nawet raz zajrzeć w akta sprawy. Od tamtej pory wiele razy próbowała porozmawiać z nim na ten temat, ale zawsze odmawiał.

– Co pani tu robi? – spytał, nie odpowiadając na powitanie.

– Zakłady. Obejrzałam sobie bliżej Bad Boy Blue i uważam, że to fuks. Niech pan postawi na Nocny Cień. Ten koń coś w sobie ma.

On też sympatyzował kiedyś z tym koniem, ale za cholereę na niego nie postawi tylko dlatego, że rekomenduje mu to Beara.

– Zna się pani na tym?

– Nie – odparła Beara. – Tylko oglądam. Tak jak pan.

Wyglądała inaczej niż w mundurze. Dawna zaciętość zniknęła. Być może jakąś rolę odegrało w tym wszystkim słońce? Miała na sobie biały T-shirt ze słynnym nadrukiem przedstawiającym wyciągnięty język i słowa „Forty Licks”, walcowane džinsy i balerinki. Ciemne włosy związała w zwykły koński ogon, który podkreślał jej delikatne rysy i szczupłą szyję. W uszach miała niewielkie perełki, które nadawały jej twarzy wyraz czystości i niewinności. Przypominała Audrey Hepburn, co bardzo irytowało Gehringa. Całkiem możliwe, że jest nawet tego samego wzrostu co słynna aktorka. Pewnie nie ma nawet stu sześćdziesięciu centymetrów. Wolał jednak nie sprawdzać, jakim cudem udało jej się przebrnąć ostre kryteria decydujące o przyjęciu na służbę w policji.

Gehring zwinął ze złością gazetę i przesunął się razem z kolejką do przodu.

– Jeśli pani sądzi, że może tu na mnie czatować, żeby porozmawiać ze mną o śledztwie, to jest pani w błędzie. Domyślam się, że to nie przypadek. Skąd pani wiedziała, że tu będę?

– Widziałam w pańskim biurze stary kalendarz z Hoppegarten. W lipcu rozgrywany jest tylko jeden bieg o Wielką Nagrodę fundowaną przez Landesbank. Jeśli ktoś przez dwa kolejne lata wiesza na ścianie kalendarz z podkreśloną konkretną datą, to musi to coś znaczyć. Czy ostatnim razem wygrał pan w jackpota?

To był ostatni dzień, który spędził z całą rodziną. Cholera, powinien w końcu wyrzucić ten kalendarz do śmieci.

– Nie – mruknął ponuro. – Po co pani tu przyszła? Chodzi o awans? Przykro mi. Ode mnie niczego się pani nie dowie. Proszę się zwrócić w tej sprawie do swojego przełożonego.

– Lubię konie. Gdybym nie odczuwała wobec nich takiego respektu, już dawno byłabym w policji konnej. Ponieważ jednak nawiązał pan do tematu...

– Do niczego nie nawiązywałem.

– No dobrze. Przepraszam. Nie chciałam się narzucać.

– No to niech pani tego nie robi.

Gehring przesunął się dalej, z kieszeni spodni wyjął portfel.

– To lekkomyślne.

– Co?

– Noszenie gotówki przy sobie. Sam pan najlepiej wie – kieszonkowcy.

Gehring stłumił westchnienie. Najchętniej od razu by się jej pozbył, ale nie miał jak. Stali w tej samej kolejce, a zależność służbowa nie obowiązuje po godzinach pracy. Teoretycznie.

– Chciałabym panu jeszcze raz podziękować za tamto. To znaczy, że ja... że zechciał mi pan przynieść kawę.

– Nie ma za co – odparł Gehring, chociaż pomyślał o czymś zupełnie przeciwnym.

– Tak się jednak składa, że do dzisiaj jej jeszcze nie dostałam.

– Czy przyszła pani za mną do Hoppegarten tylko po to, żeby mi o tym przypomnieć?

Beara nie odpowiedziała. Ludzie w kolejce zaczęli szemrać, bo obydwójce nie przesunęli się do przodu. Gehring miał przed sobą dwie osoby. Jeszcze tylko przez kilka minut będzie musiał znosić tę przemądrzałą kobietę.

– Czy przypomina pan sobie klaunów? – spytała. – Coś mi się w tym nie podoba.

– Nie widzę tu ani jednego klauna. Tu biegają konie, to nie jest cyrk dla dzieci.

– Chodzi mi o ogród zoologiczny. Sprawę z pekari. W tym samym czasie, ale w dwóch miejscach widziano wtedy klauna.

No dobrze. Sama tego chciała. Chyba nie uda mu się tego uniknąć. Gehring zmusił się, żeby zachować resztki cierpliwości.

– Proszę mi wierzyć, ten szczegół śledztwa też dokładnie sprawdzaliśmy. Żaden klaun nie zjawił się tam dwa razy. Przesłuchaliśmy pewnego człowieka, który miał katarynkę i balony, ale stał zbyt daleko od wybiegu, żeby cokolwiek zauważyć. Przesłuchaliśmy go, bo niektórzy świadkowie poruszali się po ogrodzie w pobliżu miejsca, gdzie stał. Na pewno znalazła pani odpowiedni szkic.

– Oczywiście. Ale był też drugi klaun.

Gehring miał już dosyć tej rozmowy. Podał kasjerowi w okienku swoje typy, zapłacił dwa euro i odszedł na bok. Dobra okazja, żeby się uwolnić od Beary. Pod warunkiem że zostawi go w spokoju.

– Pojawił się tylko jeden raz, w zeznaniach dzieci. Tak, stawiam na Nocny Cień.

Beara położyła pięćdziesiąt euro na kontuarze. Gehring zauważył ze zdziwieniem, że kasjer nie wydał jej reszty.

– Postawiła pani pięćdziesiąt euro? Przecież Nocny Cień to fuks.

– I dlatego na niego stawiam.

Włożyła kupon do kieszeni i poszła za Gehringiem – żeby znaleźć się jak najdalej od kolejki do kasy i rozemocjonowanych grup, rodzin i ludzi stojących w innej kolejce – do stoiska z napojami, a on nie potrafił się jej pozbyć.

– Klauny – zaczęła, ale od razu jej przerwał:

– Żaden ze świadków nie wspomniał o drugim klaunie.

– Zgadza się, bo nikt nie przesłuchał dzieci.

– Dzieci?

– Alarm wszczęła opiekunka dzieci. Była wtedy z grupą przedszkolaków. Rozmawiałam z dwiema dziewczynkami.

– Co pani zrobiła? – spytał Gehring. Najchętniej złapałby ją za ramiona i potrząsnął w obecności wszystkich ludzi. – Dlaczego mi pani o tym nie powiedziała?

– Bo i tak miałam dosyć kłopotów? Bo każdemu i tak wychodziło na to, że zabójstwa dokonała Charlotte Rubin? Bo za każdym razem, gdy próbowałam z panem porozmawiać, unikał mnie pan? Przeczytałam akta śledztwa, każde słowo. Porównałam godziny i zeznania świadków. Nawet poszłam w tamte miejsca, żeby się rozejrzeć. Jakiś klaun prawie przewrócił dziecko. Stało się to na lewo od wybiegu, w miejscu, gdzie przez krzaki biegnie alejka prowadząca do karmników dla zwierząt. Jest tam ścieżka, którą bez problemu można pokonać taczka. Tamta osoba musiała posłużyć się właśnie takim pojazdem. Najlepiej w stroju klauna, żeby nie rzucać się w oczy.

Gehring pokręcił głową. Był już tak zły, że postanowił milczeć. Nowe fakty po zamknięciu śledztwa to ostatnia rzecz, o jakiej marzył.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Uważam, że... myślę... – zaczęła Beara, ale przerwała, żeby przełknąć ślinę.

Nagle opuściła ją odwaga. Najpierw snuła jakieś spekulacje, a teraz się okazało, że nie ma żadnych dowodów na ich potwierdzenie. Gehringowi przypomniały się konferencje prasowe w Platz der Luftbrücke. Chodziło o aktualny stan śledztwa, żeby prasa miała czym nakarmić opinię publiczną. Za każdym razem oprócz konkretnych, rzeczowych pytań pojawiały się też niemądre, na przykład dlaczego policja nie skierowała śledztwa w tę albo w inną stronę.

– Z tego co zrozumiałem, chciałyby pani zacząć szukać tego klauna...

– Przynajmniej tego, który tam był.

– Na podstawie wypowiedzi dwójki dzieci? W jakim wieku?

– Pięć lat – odparła Beara. I dopiero w tym momencie naszyły ją pierwsze wątpliwości. – Albo sześć.

– Czy pani zdaje sobie sprawę, jak trudne jest przesłuchiwanie dzieci? Czy pani wie, jakie znaczenie przykłada się w sądzie do takich zeznań?

– Myślę, że wiem, ale należałoby to sprawdzić. Nie sądzi pan?

W głośnikach rozległ się komunikat, aby przed kolejną gonitwą grający zajęli miejsca na trybunie.

– Nie – odparł Gehring, po czym odwrócił się i zostawił ją na miejscu.

Ale Beara nie odpuściła i poszła za nim. Gehring już sam nie wiedział, jak jej dać do zrozumienia w bardziej dobitny sposób, że bynajmniej nie życzy sobie jej towarzystwa. Mało brakowało, a już wtedy z powodu swojej nadmiernej gorliwości zostałaby oskarżona o przekroczenie obowiązków służbowych. Gehring wolał nie pamiętać, że to on uciszył sprawę, a jej spóźniony raport umieścić pośród innych bez komentarza. W tym momencie zaczął żałować, że nie postąpił wtedy bardziej zdecydowanie.

– Mam wątpliwości, czy wszystko przebiegło tak, jak to wynika ze śledztwa. Już wcześniej to panu mówiłam i podtrzymuję tę opinię. Uważam, że ponownie należy porozmawiać z dziećmi i przesłuchać pracowników ogrodu. Może wystarczy jeden telefon?

– I co dalej? – spytał Gehring, zatrzymując się w pół kroku. Beara o mało na niego nie wpadła. – I co nam taki telefon da? Niechże pani odpuści. Proszę tego nie robić. Ale... pani to już dawno temu zrobiła, prawda?

Beara spuściła wzrok.

– Mamy tylko jednego klauna.

– Ja tego nie pojmuję. Po prostu nie pojmuję!

Ludzie przyglądali się im z nieskrywaną ciekawością. Gehring wziął Bearę za rękę, wyciągnął ją z tłumu gapiów i znów poszedł do stoiska z napojami, które nie było już tak oblegane. Dopiero gdy młoda sprzedawczyni stojąca za ladą spytała, którego szampana chcą się napić, Gehring zrozumiał dlaczego.

– Żadnego – odparł. Sprzedawczyni chciała coś powiedzieć, ale Gehring ją uprzedził: – Poproszę jedną wodę! Pani tam zadzwoniła, prawda? Bez polecenia swoich przełożonych? Bez zabezpieczenia sobie tyłów?

– A kto niby miałyby to zrobić? – odparła Beara. – Przecież nikt nie chce mi pomóc! Pisałam do pana e-maile, raz nawet na pana czekałam i nic!

Gehring od razu sobie to przypomniał. Mało brakowało, a musiałyby skorzystać z tylnego wyjścia. Spotkania z Bearą udało mu się uniknąć tylko dlatego, że w drodze do samochodu rozmawiał z inną policjantką. E-maile wysłane przez nadawcę Sanela Beara przynosił bez czytania do kosza. Był pewien, że zwraca się do niego w sprawie awansu. W tych kwestiach był nad wyraz pryncypialny.

– Pani sytuacja robi się coraz trudniejsza – oznajmił.

Wziął szklanekę i butelkę wody, która kosztowała tyle, ile szampan w Aldim, i podsunął ją Bearze. Ta nałapała sobie połowę szklanki i oddała butelkę Gehringowi.

– Nie wiem, jak długo będę jeszcze mógł i chciał tuszować pani samowolne działania.

– Kiedy tam do nich zadzwoniłam, powiedziałam, że chodzi o urodziny dzieci z przedszkola i że potrzebuję dwóch klaunów, bo to liczna grupa. Powiedziano mi, że jednego muszę sama załatwić, bo oni zatrudniają tylko jednego. Odpowiedziałam, że ostatnio widziałam dwóch, ale oni upierali się przy swojej wersji. Usłyszałam, że jeden z klaunów pracuje dla ogrodu zoologicznego, a jeśli ktoś potrzebuje drugiego, musi zapłacić z własnej kieszeni.

Gehring napił się wody. Była lodowata. Od razu poczuł, jak przenika przez gardło do żołądka.

– A więc – kontynuowała Beara – klaun z taczką albo z czymś podobnym przebywał za wybiegiem dla

pekari, to znaczy w miejscu, w którym absolutnie nie powinno go być. Pędzi z taczka, wpada na dziewczynkę i znika. Kim mógł być ten człowiek?

Gehring odstawił pustą butelkę. Z oddali dobiegały radosne okrzyki widzów. Konie były coraz bliżej, stukot ich kopyt był coraz głośniejszy. Po chwili przemknęły koło nich w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów. Wiedział, że postawił właśnie na tę gonitwę, mimo to nie obejrzał jej, bo ta niewyrośnięta wbiła sobie do głowy, że zepsuje mu niedzielę.

– Załóżmy, że ten klaun rzeczywiście tam był – powiedział, ciężko oddychając. – Jeśli tak, to brał udział w imprezie dla dzieci i po prostu odszedł na bok, żeby się wysikać.

Beara popatrzyła na niego wymownie.

– Jest jeszcze druga możliwość i widzę, że też się pani nad nią zastanawia: tym klaunem była nasza zabójczyni, która w przebraniu i masce wróciła na miejsce zbrodni, żeby usunąć ostatnie ślady. To szalona teoria, ale mieliśmy już do czynienia z podobnymi. Jeśli tak, to Charlotte Rubin nadal jest podejrzana.

– Przeciwnie. Klaun miał twarz pokrytą makijażem. Makijaż mu się roztopił, przez co klaun – on czy ona, tego jeszcze nie wiemy – już nie wyglądał tak śmiesznie. Swoim wyglądem przestraszył dzieci. Krótco potem spotkałam Rubin. Nie miała na twarzy śladu makijażu. Była zajęta sprawami, które nie tak łatwo jest nagle przerwać, żeby do nich po jakimś czasie ot tak wrócić.

– Jakie sprawy ma pani na myśli?

– Była zajęta gazowaniem pięćdziesięciu szcurków.

Trzeszczący głos w głośnikach zmienił się nagle w falset. Oznaczało to, że konie dobiegają do mety.

– Rubin zajęta szcurkami i klaun koło wybiegu z pekari to dwie różne osoby.

Gehringowi coś zaczęło świtać i właśnie o to jej chodziło. Wiedział jednak, że za wszelką cenę nie powinien do tego dopuścić.

– Sugeruje pani, że było dwóch sprawców – powiedział.

– Właśnie – odparła Beara z uradowaną miną.

– Niech pani o tym zapomni.

Nagle w powietrze wzniósł się głośny okrzyk radości. Aplauz, krzyki... w końcu rozległ się głos w głośniku:

– Gonitwę wygrał Nocny Cień!

Gehring stał jak oniemiały.

– Ten zakład... płacą jeden do czterdziestu dwóch... To znaczy...

– Wypłacą dwa tysiące sto euro – dokończyła Beara.

– Pani właśnie...

– Zgadza się – przerwała mu i wsunęła dłonie do kieszeni dzinsów. Nie wyglądała wcale na zakłopotaną całą sytuacją. – Raz się wygrywa, raz się przegrywa. Fuks. Nigdy nie wolno ich lekceważyć.

Gehring długo jej się przyglądał. W końcu skinął głową.

– Od czego by pani zaczęła? – spytał. – Załóżmy, że ktoś na moim stanowisku byłby na tyle szalony, żeby o to spytać.

– Pojechałabym do Wendisch Bruch.

Gehring uniósł brwi. Jego mina wyrażała zainteresowanie i rozbawienie.

– To taka wioska za Jüterbogiem. Rubin się tam wychowywała. – Beara rozejrzała się ostrożnie i pochyliła głowę w jego stronę. – Rubin nie ma żadnych przyjaciół. Prowadziła wyciszone życie. Ale ten klaun ją znał. Myślę, że w przypadku tak egzystencjalnych spraw, jak być albo nie być, pozostaje tylko rodzina.

– Jej siostra?

Gehring pochylił się do jej ucha. Był tak blisko, że poczuł zapach jej perfum. A może to żel do kąpieli? Przypominał mieszankę lodów, orzechów kokosowych i gruszek.

– Przyleciała na krótko samolotem z Monachium, żeby popełnić zbrodnię? – spytał.

– Dlaczego nie? Czy ktoś sprawdził jej alibi?

Boże, daj mi cierpliwość!

– Oczywiście. To należy do naszych zadań.

– W takim razie to musiał być ktoś inny.

Gehring wyjął z kieszeni zakład, powoli podarł go na strzępy i wrzucił do popielniczki.

– Do czego pani właściwie zmierza?

– Tego jeszcze nie wiem. Chcę pojechać do Wendisch Bruch. Może tam znajdziemy naszego klauna.

– My?

Gehring zauważył, że w chwili gdy wypowiedział to słowo, Beara zacisnęła wargi. Domyślał się, co działo się w jej duszy. Była ambitna, ale samotna. Rozmawiał o niej z jej przełożonym. Uważał, że byłby z niej znakomity komisarz policji kryminalnej – pod warunkiem że zapanuje nad swoimi zapędami. Jej szef był tego samego zdania. Jej szanse ocenił na pół na pół.

– Chcę, żebyśmy się zrozumieli – powiedział Gehring i zamówił drugą butelkę wody mineralnej. –

Uważam, że pani zaangażowanie w tę sprawę jest godne pochwały. Nie jest ono jednak podbudowane ani pani wykształceniem, ani kruchymi faktami, które mi pani przedstawiła. Oznacza to, że stoi pani na chwiejnym gruncie, który jak najszybciej powinna pani opuścić. – Chciał jeszcze dodać, że powinna się cieszyć, że przyszła do niego, bo jej szef skróciłby ją o głowę, a jej szanse na awans zmalałyby do zera, ale zachował te uwagi dla siebie.

Beara była tak rozczarowana, że kopnęła ze złości w piasek.

– Jak pani to sobie wyobraża? – spytał Gehring. – Przecież nie ma pani kompetencji do tego, żeby prowadzić śledztwo!

– No to niech pan chociaż porozmawia z tamtymi dziećmi.

Gehring jęknął głośno. Kiedy młoda kobieta za kontuarem podała mu nową butelkę wody, zaczął szukać drobnych. Co za drożyzna! Tymczasem Beara wygrała na gonitwie dwa tysiące sto euro. Tak po prostu. Postawiła na fuksa. À propos: czy istnieje jakiś policyjny przepis, który takie sprawy reguluje?

– Niech pan porozmawia z dziećmi, zanim zrobi to prawnik Rubin – powiedziała Beara, odwracając wzrok w inną stronę.

Gehringowi butelka prawie wypadła z ręki.

– Co takiego?

Na twarzy Beary pojawił się pełen politowania uśmiech. Był równie fałszywy jak wysiłek, który włożyła w swoje słowa.

– Jestem tylko zwykłą policjantką, której udało się zajrzeć na krótką chwilę do akt. Wiem jednak, że adwokaci Rubin nie robią nic innego, jak tylko próbują wydobyć swoją klientkę z kłopotów. Jeśli się dowiedzą, że istnieje drugi klaun...

– Nie istnieje żaden drugi klaun! – przerwał jej Gehring, stukając butelką o blat stolika.

Wcisnął dwadzieścia euro w rękę sprzedawczyni, która przeszła na drugi koniec budki, żeby obsłużyć kolejnych klientów opuszczających właśnie trybuny.

– ...albo że zeznania dzieci nie zostały włączone do śledztwa...

Gehring napił się prosto z butelki. Już nigdy więcej nie poczęstuje jej wodą. Dysząc ciężko, odstawił butelkę na stół i spytał:

– Czy pani mi grozi?

– Ależ skąd! – zawołał Beara i dopiero teraz poczuła strach. – Źle mnie pan rozumiał. Wiadomo

jednak, że Marquardt i jego ludzie znani są z tego, że potrafią aktywować bombę nawet w trakcie procesu. Co się stanie, jeśli to oni pierwsi trafią do dzieci? Co będzie, jeśli przekonają prokuratora, że w grę na pewno wchodzi jakaś inna osoba? Albo że Rubin była jedynie współniczką zabójcy? A policja zaniedbała swoje obowiązki i nie zbadała tego tropu?

Gehring już miał na końcu języka, że nie będzie podstaw do takich obaw, jeśli tylko Beara będzie trzymać swój zbyt ostry język za zębami. Na szczęście w tym samym momencie uświadomił sobie, co przed chwilą pomyślał: chciał zasugerować, aby policjantka wbrew własnej ocenie zachowała milczenie. Byłoby to nie w porządku. Ale to, co uczyniła, też nie było.

– No dobrze. Potraktuję pani wątpliwości poważnie, w taki sam sposób, jak czynię to w odniesieniu do każdego innego obywatela tego kraju. Wyślę kogoś do tych dzieci. To, czy poinformuję o sprawie prokuratora, będzie zależało od wyniku rozmowy. Czy takie rozwiązanie pani odpowiada? – Od razu zauważył po jej minie, że nie bardzo. – Muszę poprosić, aby trzymała się pani od tej sprawy z dala. Tym razem to ja ostrzegam. Posuwa się pani za daleko. Proszę wykonywać to, co wchodzi w zakres pani obowiązków. I przygotować się na przesłuchanie oraz do egzaminów dopuszczających. Proszę ode mnie pozdrowić w sposób szczególnie miły swojego przełożonego. Niech pani nie wychodzi przed szereg. Jasne? Czy pani to zrozumiała? Aha, i jeszcze coś.

– Tak?

– Proszę nikomu nie opowiadać, że pani uprawia hazard. Zwłaszcza o tym, że pani wygrywa.

Gehring nie dostał reszty za wodę. Uznał, że zapisze to w pozycji „strata”.

Następnego dnia, w którym od samego rana zapowiadała się piękna letnia pogoda, Gehring zadzwonił do biura profesora Hausсмanna i umówił się z nim za pośrednictwem jego sekretarki na rozmowę telefoniczną między szesnastą piętnaście a szesnastą trzydzieści. Humor po weekendzie miał nie najlepszy i nawet perspektywa tej rozmowy nic w tym względzie nie zmieniła. Zastanawiał się, jak zareagowałiby jego koledzy z policji, gdyby z nimi też zaczął się umawiać na spotkania przez telefon. Na dodatek nie miał własnej sekretarki.

Na pół godziny przed rozmową postanowił jeszcze raz przejrzeć protokół z obdukcji zwłok przygotowany przez Hausсмanna. Kiedy dotarł do miejsca, w którym Hausсмann opisał, jak Leyendecker połknął przed śmiercią własną krew, pominął je i od razu przeszedł do fragmentu dotyczącego próbek pobranych ze śladów krwi. Opis obejmował ślady krwi na paśnikach dla zwierząt i krwawe zacieki na tacy Rubin. Była w nim też mowa o mulczu pokrywającym wybieg, którego ślady znaleziono na podszwach butów. Na jednym z drobnych okruchów zabezpieczono resztki DNA Leyendeckera. Do tego doszły ślady na ubraniu i w łazience. To właśnie na tych dowodach i na przyznaniu się przez Rubin do winy opierało się całe oskarżenie. Zbrodnia prawie doskonała. Jej najbrudniejszą część wykonały pekari.

We krwi Leyendeckera znaleziono specyfik o nazwie gwajafenezyna. Jego poziom dwa i pół razy przekraczał dawkę, jaką podaje się koniom. To środek zwiotczający, który w medycynie zwierząt łączy się zazwyczaj w tak zwany *triple drip* razem z xylazyną i ketaminą. Taka mieszanka stosowana jest w narkozie. Osoba, której ten specyfik zostanie podany w takiej dawce, przez prawie pół godziny będzie jak sparaliżowana. Dawka podwójna albo wielokrotniona prowadzi do zatrzymania oddechu i w efekcie do śmierci. Dowodzi to, że sprawca znał się na tych sprawach.

Gehring przerzucił kilka kartek i zatrzymał się przy fotografiach. Mieszkanie Rubin za budynkami gospodarczymi w ogrodzie zoologicznym. Parterowy bungalow pośród krzaków, zwałów ziemi i rumowisk, które pochodzą być może jeszcze z czasów drugiej wojny. To najdalej wysunięta część ogrodu. Budynek został wzniesiony w latach sześćdziesiątych i składał się z kuchni, łazienki, pokoju dziennego i sypialni. W środku stały kanapa, telewizor i regał na książki, na ścianach wisiały obrazki

przedstawiające zwierzęta z zoo. Rubin sama je namalowała.

Zeznania jej kolegów z pracy. Mało kontaktowa. Prawie nikogo nie odwiedza. Życiorys. Czy jako opiekunka zwierząt zna się na lekarstwach i ich zastosowaniu? Mogła wziąć gwajafenezynę z szafy weterynarza zatrudnionego w zoo. Dostęp miała ułatwiony, bo posiadała klucz uniwersalny.

W tym momencie zadzwonił telefon. Sekretarka Hausсмanna połączyła go ze swoim szefem, który był w dobrym nastroju. Miał już za sobą trzy sekcje i niewiele czasu na rozmowę.

– Chodzi o Wenera Leyendeckera – zaczął Gehring. – To ten mężczyzna z ogrodu zoologicznego.

– Aha, ten – odparł Hausсмann suchym tonem. Telefony z policji kryminalnej zawsze oznaczały dla niego dużo pracy. – To jedna z najdziwniejszych sekcji, jakie kiedykolwiek przeprowadziłem, przy czym słowo „sekcja” może wprowadzić w błąd w kontekście tego, co naprawdę znaczy. Najpierw musieliśmy zebrać wszystko to, co z niego zostało.

Kiedy Gehring zapoznawał się z protokołem, pominął fragment mówiący o tym, że resztki ofiary znajdowały się w żołądkach pekari.

– W następnym semestrze przedstawię ten przypadek moim studentom – kontynuował Hausсмann. – Na pewno ich to ucieszy. Czy pojawiły się jakieś nowe zeznania? Z tego co wiem, proces zacznie się we wrześniu i będzie trwał pięć dni. Wydaje mi się, że to za krótko.

Gehring nic nie wiedział, gdyż policjanci nie zostali o tym poinformowani. Oprócz nich sąd wezwał wszystkich innych świadków. Hausсмann natomiast znał oczywiście prezesa sądu okręgowego. W takich chwilach Gehring czuł się odcięty od tej części świata zewnętrznego, która była naprawdę ważna – zachodniego Berlina.

– Charlotte Rubin przyznała się do winy. Łańcuch dowodowy został zamknięty. Mnie interesuje DNA sprawcy. Czy na zwłokach znaleziono jego ślady?

– Nie. Ale o wszystkim dowie się pan z mojego raportu. Nie mieliśmy niestety do dyspozycji ubrania ofiary.

To słaby punkt. Zawsze i wszędzie istnieje jakiś słaby punkt. W tej konkretnej sprawie jest nim zaginione ubranie ofiary. Spodnie, koszula z krótkimi rękawami (jasna, bo tak ją zapamiętała obsługa sali restauracyjnej w hotelu) i sweter z dzianiny. To na wypadek, gdyby się ochłodziło. Nie znaleziono także czapki Leyendeckera. Gehring przypuszczał, że Rubin pozbyła się tych rzeczy nocą.

– A gdyby w popełnieniu tej zbrodni brały udział dwie osoby? Czy coś na to wskazuje?

– Ma pan na myśli wysiłek fizyczny potrzebny do jej dokonania? Rubin miała taczkę.

– A ćwiartowanie tułowia? Czy ktoś mógł jej w tym pomóc?

Hausсмann się zawahał.

– To tylko pewna teoria – dodał Gehring, wiedząc, że tym samym pogрузzył się w oczach najlepszego lekarza medycyny sądowej w Niemczech. Nikt nie dzwoni do takiego eksperta tylko dlatego, że ma „pewną teorię”.

– Już to wyjaśniałem tej młodej damie – odparł profesor.

Gehring dostał gęsiej skórki. Nie chciał przyjąć do wiadomości słów, które przed chwilą usłyszał. Dlatego kolejne pytanie wypowiedział bardzo powoli:

– O jakiej damie pan mówi?

– O tej posterunkowej, która była wtedy na miejscu zbrodni. To bardzo inteligentna osoba o trzeźwym spojrzeniu na sprawę. Chorwatka. Czy to nie ona znalazła miejsce, w którym składowane są odpady po zwierzętach?

– Tak – potwierdził Gehring, zaciskając zęby. – Co jej pan powiedział?

– Niech się pan tym nie kłopotuje. Tacy starsi panowie jak ja cieszą się, gdy czekają na nich piękne kobiety, choćby tylko po to, żeby odbyć z nimi fachową rozmowę.

Słysząc było, że sytuacja go bawi. Gehring wolał nie pytać o przebieg jego rozmowy z Bearą.

– Pani Beara nie była do tego upoważniona – oznajmił.

– Przepraszam bardzo, ale to, co ona i ja robimy w wolnym czasie, nie powinno nikogo obchodzić.

Mam rację? Pani Beara jest osobiście zainteresowana tą sprawą, bo sprawczyni prawie odcięła jej głowę. Wydaje mi się, że nadal ma problemy z ramieniem.

Gehring pomyślał, że podczas rozmowy w Hoppegarten w ogóle tego nie zauważył. Powinien ją przynajmniej o to spytać.

– Co pan jej powiedział?

– To faktycznie niezwykle, gdy ktoś taszczy ciężkiego mężczyznę na wybieg dla zwierząt, a potem wraca, żeby pozbierać to, co z niego zostało. Okazało się, że nie do końca został poszatkowany. Pekari rzuciły się najpierw na jego kończyny. To, że odgryzły także głowę, było prawdopodobnie spowodowane tym, że z anatomicznego punktu widzenia szyja jest najsłabszą częścią ciała. Kiedy zwierzęta przegryzły mu gardło, Leyendecker po prostu się wykrwawił. Wcześniej odgryzły mu dłonie i jedno podudzie. Pozostała część korpusu ważyła prawie pięćdziesiąt kilogramów. Przywiezienie tak dużego ciężaru i odcięcie ud...

W tym momencie Gehring postanowił mu przerwać, bo Haussmann zaczął mu opisywać szczegóły, które podczas lektury protokołu celowo pominął.

– Czy Rubin mogła to zrobić bez niczyjej pomocy?

– Rubin to silna kobieta, więc myślę, że tak. Na ciele ofiary nie znaleźliśmy obcych śladów DNA. Oznacza to, że używała rękawic. Jeśli było więcej sprawców, to zachowywali się bardzo ostrożnie. Opisałem to zresztą w moim protokole. Dlaczego się pan z nim nie zapozna?

– Bo pani Beara poza godzinami pracy starała się nawiązać kontakt również ze mną.

– Aha! W Barolo? A może w Pauly Saal?

Pauly Saal to jeden z najbardziej popularnych lokali w Berlinie, mający siedzibę w dawnej żydowskiej szkole dla dziewcząt. Gehring jeszcze w nim nie był.

– Nie. Aż tak wiele mnie z nią nie łączy.

– Mnie też nie – roześmiał się Haussmann. – Żartowałem. Byłem tam w zeszłym tygodniu. Szykowne miejsce, jak mawiają berlińczycy. Czy mogę panu jeszcze w czymś pomóc?

Gehring postanowił ponownie spytać o wyniki badań laboratoryjnych.

– W Centralnym Zakładzie Kryminalistycznym nie znaleziono na zwłokach żadnych odcisków palców – zaczął. Leżał przed nim raport w tej sprawie. Na resztkach, które pozostały po Leyendeckerze, znaleziono strzępy pościeli hotelowej i fragmenty jego zaginionego ubrania. Żadnych obcych śladów. Gehring nie wiedział, jak ruszyć z miejsca. – Sprawdzamy oczywiście każdy trop, który może obalić tezę, według której Rubin działała sama.

– Ja muszę się trzymać faktów – odparł Haussmann. – Z mojej perspektywy nie mam żadnych punktów zaczepienia, na podstawie których mógłbym stwierdzić, że ofiarę przywiozła na wybieg, a potem zebrała to, co z niej zostało, jedna albo dwie osoby. O tym też wspominałem pana współpracownicze.

– Ona nie jest moją współpracowniczką.

– W takim razie proszę o to zapytać kogoś z ekipy, która zabezpieczała ślady. Na pewno się ucieszą. Życzę miłego dnia.

Po tej rozmowie Gehring ponownie zagłębił się w lekturze protokołu przygotowanego przez ekipę dochodzeniową. Wybieg dla pekari, aleja prowadząca do zabudowań gospodarczych, hodowla zwierząt przeznaczonych na karmę dla innych zwierząt, odpady pooperacyjne, mieszkanie Rubin – wszystko to zostało dokładnie przebadane i opisane. Nic nie wskazywało na to, że ktoś jej pomagał. Tyle że tą kwestią nikt się nie zajmował.

Gehring jęknął, oparł się o krzesło i zerknął na zegarek. Bardzo dobrze znał ludzi z Centralnego Zakładu Kryminalistycznego. Na czele tej instytucji stoi dokładny, skrupulatny profesjonalista, który powoli zbliża się do wieku emerytalnego, mimo to słynie z fachowości. Gehring zastanawiał się, czy powinien z nim porozmawiać o samowoli Beary. Ostatecznie postanowił, że decyzję w tej sprawie podejmie później. Żadnych wątpliwości nie miał. Całą tą sprawą był najwyżej trochę poirytowany.

Rozdział 17

Beara zapłaciła za kawę i zauważyła, że w witrynie chłodniczej jest jeszcze duży zapas lodów smerfków. Wzięła papierowy kubek i ruszyła bez konkretnego celu przez rozległy teren ogrodu zoologicznego. Zatrzymała się przed wybiegiem dla pekari i zaczęła obserwować zwierzęta, które skryły się przed upałem w cieniu drewnianego pomieszczenia i leżały z bezmyślnymi minami. Czyżby się myliła? Wydawało jej się, że stado się zmniejszyło. Z tego co pamiętała, do kliniki trafiło przynajmniej kilkanaście sztuk. Teraz miała przed sobą nie więcej niż sześć osobników. Kto wie, co Hausmann z nimi zrobił, żeby się dowiedzieć, co pożarły.

Wyglądają całkiem sympatycznie, jak krzyżówka dzika z tapirem. Wąskie głowy, długie pyski, ciemnoszara albo czarna zmierzwiona sierść. Najbardziej niebezpieczne są ich kły: krótsze niż u świń, ale za to ostre jak brzytwa. Z tablicy informacyjnej stojącej przed wybiegiem dowiedziała się, że pekari pokonują w lasach duże odległości, potrafią zmusić do ucieczki jaguary i pumy, a nawet zabić człowieka, jeśli wejdzie im w drogę.

Czyją nienawiść ściągnął na siebie Leyendecker? Co zrobił, że stał się ofiarą takiej zbrodni? Czyżby zginął przez przypadek? Beara szła powoli w stronę Alfred-Brehm-Haus, mijając wybiegi dla wilków, hipopotamów, zebra i słoni. W końcu wypatrzyła lekką konstrukcję tropikalnej hali, w której trzymano egzotyczne ptaki i rośliny. Za tym budynkiem zieleń była bardziej bujna, krzewy i kwiaty rozrastały się niepowstrzymanie, tworząc naturalną ścianę, która stanowiła równie naturalną zaporę dla gości ogrodu zoologicznego. To tam kończyła się strefa dostępna dla zwiedzających. Wąska aleja zagrodzona czerwono-białą barierką ze sztucznego tworzywa prowadziła w stronę zabudowań gospodarczych.

Beara przypominała sobie, że jechała tą drogą elektrycznym pojazdem prowadzonym przez pracownika ogrodu. Wieźli wtedy skrzynkę, w której znajdowała się głowa Leyendeckera. Beara rozejrzała się szybko. Nikt za nią nie szedł. Na lewo od siebie miała pingwiny, gepardy i pieski preriowe. Rubin zeznała, że to właśnie za tymi stanowiskami, w niewidocznym miejscu zostawiła na dwanaście godzin związanego, zakneblowanego i odurzonego Leyendeckera. Potem tylko czekała, aż zrobi się ciemno.

Beara przeszła nad bramką i ruszyła w lewo, w stronę krzaków. Ekipa zabezpieczająca ślady już zbadała ten teren, dlatego sama nie bardzo wiedziała, czego tu szuka. Przede wszystkim chciała wyrobić sobie jakiś ogólny obraz. Być może uda jej się zestawić skąpe zdania, w których Rubin opisała swój czyn, ze szkicem tego terenu. Nie wystarczy tylko ich przeczytać. Trzeba to miejsce obejrzeć na własne oczy.

Ruszyła ledwo widoczną ścieżką. Marsz utrudniały jej młode, dziko rosnące drzewa. Po dwudziestu metrach dotarła do celu. Połamane gałęzie, rękawiczka porzucona przez kogoś z ekipy zabezpieczającej ślady, prawdopodobnie podczas pakowania sprzętu. Dalej poruszała się na kolanach. Bolały ją ramiona. Wcześniej nie wspomniała o tym lekarzowi.

Uznała, że właśnie to miejsce mogło posłużyć za kryjówkę na ciało. Nikt by go tutaj nie zauważył. Z oddali dobiegały ją dźwięki typowe dla ogrodu zoologicznego – śmiech, ludzkie głosy, pokrzykiwanie małp, ryk drapieżnych zwierząt. Czas karmienia. W koronach drzew śpiewały ptaki. Przypomniało jej się, że tamten majowy dzień – ostatni dzień w życiu Leyendeckera – był ciepły. Zapowiadał kolejne jeszcze

piękniejsze i cieplejsze dni, które zapoczątkowały długotrwałą suszę. Z jej powodu cierpiało teraz całe miasto. Wtedy wyglądało to jak obudzenie z zimowego snu, zapowiedź lata. Teraz lato trwało w najlepsze i wszyscy się na nie skarżyli.

Podniosła się i rozsunęła gałęzie. Jej oczom ukazał się Alfred-Brehm-Haus. Nawet gdyby Leyendecker jęczał i wołał o pomoc, nikt by go stąd nie usłyszał. To miejsce stanowiło dowód na prawdziwość tezy, że sprawca – albo sprawcy – znali okolicę nie tylko z mapy.

Wróciła na alejkę i ruszyła dalej. Wśród drzew zauważyła niskie szare baraki. Wybiegi dla zwierząt, obok których przechodziła, były puste. Doszła do wniosku, że przebywają w nich zwierzęta poddane kwarantannie albo przeznaczone do hodowli. Ze względu na upał przebywały w chłodnych pomieszczeniach. Beara wiedziała, że z przodu znajdują się zabudowania gospodarcze, a na prawo od niej budynek, w którym hodowano zwierzęta przeznaczone na karmę dla innych zwierząt. W pewnym momencie ujrzała dumnego pawia. Słyszając nadjeżdżający samochód, ukryła się w krzakach, czekając. Woląa, żeby nikt jej tu nie widział. Po co ma się narażać na nowe kłopoty?

Bez dalszych przeszkód dotarła na podwórze. Po drugiej stronie znajdowała się klinika dla zwierząt. Przez chwilę stała za pnem prastarego klonu, żeby się upewnić, czy ktoś nie wychodzi z budynku administracji. Przemknęła przez podwórze i znalazła się przed składem odpadów pooperacyjnych. Smród, jaki się stamtąd rozchodził, był nie do wytrzymania.

Wracając na to miejsce, nie czuła się najlepiej. Wiedziała, że ten, kto ją uderzył, chciał ją po prostu zabić. Jeśli jedynym sprawcą rzeczywiście była Rubin – chociaż coraz bardziej wątpiła w tę tezę – to co się działo przez ten krótki czas, gdy zostawiła ją samą? Co wywołało w kobiecie aż taką furję? A może to wcale nie Rubin ją uderzyła?

Wyjęła z kieszeni spodni kartkę ze szkicem terenu i porównała ją ze stanem rzeczywistym. Ustaliła, że stoi twarzą w kierunku północy. Na plecach czuła uspokajające ciepło bijące od ceglanej ściany. Przed sobą widziała baraki mieszkalne. Były ukryte pośród drzew i celowo zasadzonych krzewów. Ze szkicu wynikało, że budynków jest pięć. W tym najbliższym mieszkała Rubin. Beara zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać. Sytuacja była pod kontrolą. Rubin siedzi w areszcie. Jeśli istnieje drugi sprawca, na pewno od dawna ukrywa się w bezpiecznym miejscu. Nie ma więc powodu, żeby się denerwować. Musi tylko pamiętać, żeby nikt jej tutaj nie nakrył.

Ponownie ogarnęły ją wątpliwości. Wniosek o przyjęcie do wyższej szkoły i niechętna, prawie agresywna postawa Gehringa, dobre rady Hausmanna... Wprawdzie zachowywał się wobec niej przyjaźnie, bo rozpoznał w niej policjantkę, która przywiozła mu głowę Leyendeckera, ale od razu jej poradził, żeby przestała się mieszać w tę sprawę. To wszystko powinno ją skłonić do rezygnacji z dalszego zajmowania się zbrodnią. Dlaczego więc stała teraz koło wysypiska odpadów i zamierzała wejść do mieszkania Rubin?

Z prostej przyczyny: bo coś się w tej historii nie zgadzało. Sama dodawała sobie otuchy. Pomyślała, że albo jest dobrą policjantką, albo będzie grzecznie wykonywać polecenia innych, żeby nie przeszkadzać im w pracy.

Rubin pogodziła się z rolą, jaką wyznaczyło jej życie, bez względu na to, czy była to rola hodowczyni szczurów, czy zabójczyni. W życiu Beary też był taki dzień, że aby przeżyć, musiała zrobić coś podobnego.

Ty tego nie widziałaś. Jeśli komuś powiesz, jesteś martwa.

Być może nadeszła chwila, gdy będzie mogła w końcu wymazać tamten dzień z pamięci.

Po tym, jak Centralne Laboratorium Kryminalistyczne przeszukało barak Rubin, nikt inny w nim nie był. Beara zerwała policyjną taśmę, a do usunięcia plomby użyła ostrej końcówki kluczyka od samochodu.

Zatrząsk zamka wniosła za pomocą karty kredytowej. Rubin nie bała się włamywaczy, pewnie nie miała powodu. Ochroniarze i wysoki mur wokół terenu uniemożliwiały wtargnięcie ewentualnym intruzom. Gdyby jednak ktoś przeszedł przez mur albo poczekał w ogrodzie do zapadnięcia ciemności, jego jedynym łupem padłyby raczej drogie i rzadkie zwierzęta, bo w barakach nic cennego nie było.

Beara weszła w wąski korytarz. Po jego prawej stronie znajdowały się łazienka i kuchnia, po lewej – sypialnia i pokój dzienny. Na pierwszy rzut oka mieszkanie wyglądało na czyste, choć urządzone było dość oszczędnie. Beara nie zauważyła w nim zbyt wielu ozdób. W oknie wisiała biała firanka, która sięgała zaledwie do połowy kaloryfera. Na stoliku przed kanapą leżało kilka gazet i otwarta powieść miłosna Jane Austen. Na półce z orzechowego drewna stały książki, szklanki i dwie płyty CD. Muzyka klasyczna, Rilke, Hesse, Hustvedt, Coelho. No proszę. Okazuje się, że Rubin była czytana romantyczką. A wcale na taką nie wyglądała. Beara rozejrzała się i obok kanapy zauważyła nowoczesny odtwarzacz. Wśród płyt CD dostrzegła *The Celtic Viol* Jordiego Savalla. Średniowieczna muzyka irlandzka. Jak widać, gusty Rubin kryły niejedną tajemnicę.

Telewizor lampowy, dwa fotele ze sztucznej skóry, połatany dywan na starym linoleum, które imitowało prawdziwy parkiet. Wszystko lśniło czystością, nawet okna. Wygląda na to, że Rubin lubiła swoje małe królestwo. Na ścianach wisiały akwarele, które przedstawiały zebry, antylopy, słonie. Całkiem ładne, widać było, że miała talent malarski. Beara zauważyła, że każdy z obrazów był podpisany sygnaturą CR. Wprawdzie po przeszukaniu przeprowadzonym przez ekipę od zabezpieczania śladów w mieszkaniu panował pewien nieporządek, ale jedną rzecz można było stwierdzić z całą stanowczością: Charlie starała się urządzić tu swoją małą ojczyznę, a jednocześnie ukryć ją przed oczami obcych.

Łazienka nadawała się do tego, żeby ją wpisać do rejestru zabytków. Był tam stary, ale pedantycznie czysty sedes ze starym mechanizmem do spuszczenia wody, żółte kafelki na ścianach i porysowana wanna. Pachniało lekko cytrusami i środkami do dezynfekcji. Na umywalce stał kubek do mycia zębów, a w szafce z lustrem trochę kosmetyków i lekarstw dostępnych bez recepty. Jednoosobowe łóżko było rozkopane, szafa na ubranie – na wpół otwarta. Rubin mieszkała sama, widać to było na pierwszy rzut oka. Ubrania miała praktyczne i skromne, na nocnej szafce stał budzik nastawiony na godzinę czwartą piętnaście. Rubin wstała tuż przed świtem, żeby usunąć z wybiegu dla pekari to, co pozostało z Leyendeckera, a potem punktualnie o ósmej stawiała się w pracy, jak gdyby nic się nie stało.

Klaun wrócił przed południem. Dlaczego? Ubrania Leyendeckera nie udało się odnaleźć, podobnie jak portfela, telefonu komórkowego i zegarka – jeśli w ogóle go nosił. Beara podejrzewała, że wszystko to leży gdzieś na wybiegu dla białych niedźwiedzi albo u słoni. Jeśli był drugi sprawca, na pewno spędził tę noc w mieszkaniu Rubin.

Przeszła do pokoju dziennego i zajęła się kanapą. Odsunęła ją na bok, zajrzała do środka i pod spód, pod poduszki, w każdy zakamarek obicia, ale nic nie znalazła. Ta sama procedura zastosowana wobec foteli przyniosła podobny efekt. Cicho zaklęła i rzuciła poduszkę na miejsce. Za wszelką cenę musi znaleźć jakiś ślad. Dwaj sprawcy siedzieli tutaj po dokonaniu zbrodni. Zachowywali czujność. Rubin położyła się spać, a ten drugi został tutaj. O czwartej piętnaście zadzwonił budzik – jeśli w ogóle obydwójce spali. Wstali i poszli na wybieg, gdzie jedno odpędzało pekari, a drugie zbierało szczątki ofiary. Potem wszystko wyrzucili na wysypisko. Zapomnieli o dłoni i głowie. A może ich po prostu nie znaleźli albo zwierzęta nie pozwoliły im zbyt blisko podejść? Po drodze coś zgubili, wiedzieli, że któreś z nich musi po to wrócić. Czekali. Czy tak właśnie było? A może zapędziła się w swoich przypuszczeniach za daleko? Najwidoczniej tworzyli zgrany zespół, bo to nie mogło być zabójstwo spontaniczne. Potem musieli się pozbyć zwłok, żeby nikt ich nie znalazł. Czy wcześniej już coś takiego robili? Czy istnieją równie zagadkowe nierozwiązane sprawy, w których ludzie rozplłynęli się jak we mgle? Albo takie, w których ludzie padali ofiarą okrutnego rytuału przypominającego szlachtowanie?

Zabójstwa w afekcie dokonywane są z użyciem broni, która jest pod ręką, a nie za pomocą lekarstw, taczek i w przebraniu klauna. Beara wsunęła dłonie do kieszeni spodni i powoli się obróciła. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ogląda sztukę, która po kilku przedstawieniach schodzi z afisza, a potem nagle znowu trafia do repertuaru. Tyle że to nie Rubin grała w niej najważniejszą rolę. W roli głównego bohatera wystąpił ktoś inny, kto był jednocześnie i aktorem, i reżyserem.

Poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Stwardniała kiełbasa, kostka masła, dwa jogurty i nieprzyjemny zapach wydobywający się z pojemnika na mleko. Zamknęła drzwi i przeszła do ekspresu do kawy. Na dnie szklanego dzbanka odłożyła się gruba warstwa fusów. Filtr był do połowy pełny, jego zawartość sucha. Gładka powierzchnia kawowego proszku, jak również brązowe brzegi torebki filtra wskazywały na to, że właśnie z tego dzbanka Rubin piła po raz ostatni w swoim domu. Beara uniosła dzbanek i w zamyśleniu zaczęła wachać zaschnięte resztki. W tym momencie zadzwonił jej telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer centrali komendy.

– Słucham?

– Do jasnej cholery, gdzie pani jest?

Gehring znowu posłużył się wobec niej tonem, którego powinien się oduczyć.

– Jestem w domu i leżę w łóżku – odparła. – Nie czułam się rano zbyt dobrze. Trochę świętowałam.

– Dzwonię, żeby panią poinformować, że po głębokim namyśle postanowiłem wysłać na rozmowę z dziećmi jedną z naszych policjantek. Chcę jednak, żebyśmy się dobrze zrozumieli: robię to wyłącznie ze względów czysto formalnych. W tej sytuacji byłoby dobrze, gdyby wprowadziła pani w sprawę naszą koleżankę, panią Schwab.

Schwab. Wspaniale. Zlecenie jej czegoś na potrzeby śledztwa przypominało koszenie stokrotek kombajnem zbożowym.

– A co mam jej powiedzieć? – spytała Beara, odstawiając ostrożnie dzbanek na miejsce. Gehring jęknął niecierpliwie.

– Na przykład z którymi dziećmi pani rozmawiała i czego się od nich dowiedziała.

– To nie było przesłuchanie, tylko pierwsza pomoc. Dzieci były w szoku. Ktoś musiał się nimi zająć do przyścia rodziców.

– I akurat padło na panią?

– Ja zawsze jestem na miejscu, w którym postawi mnie Nasz Pan.

Podczas rozmowy z Gehringiem Beara otwierała kolejne szafki nad zlewozmywakiem. Ryż, mąka, cukier, herbata, makaron. Gehring znowu jęknął.

– Kiedy wraca pani na służbę?

– Jutro. A te dzieci miały na imię Dilshad i Luise. Ich wychowawczynie pierwsza wezwała pomoc.

– Okej. Przekażę to wszystko pani Schwab.

– Dzieci widziały drugiego klauna. Dał Luise balon.

– Balon? – powtórzył Gehring takim tonem, jak gdyby zamierzał to zanotować. – Co jeszcze powiedziały?

Beara otworzyła szafkę pod zlewozmywakiem. Pokrywa wiaderka na śmieci otworzyła się automatycznie. W środku znalazła resztki zeschniętego chleba, zgnieciony karton po mleku i zużyte torebki po herbacie.

– Hm... muszę się zastanowić – odparła.

Opuściła telefon i otworzyła szufladę ze sztućcami. Wyjęła widelec i wyłowila nim z wiadra torebkę po herbacie.

– Gdzie pani jest? – spytał Gehring.

– Szczerze mówiąc, jestem w mieszkaniu Rubin na terenie ogrodu zoologicznego.

W słuchawce zapadła cisza, co Beara uznała za zły znak. Ostrożnie położyła torebkę na blacie.

– Co pani tam robi? – spytał Gehring.

– W sensie psychologicznym pozbywam się mojej traumy. Chciałam ponownie odwiedzić miejsce, w którym zostałam zaatakowana. Lekarz powiedział, że to dla mnie ważne.

– Jaki lekarz?

– Mój. Twierdzi, że powinnam wrócić na miejsce zdarzenia. Dlatego tu przyszedłam.

– Niech mi pani tylko nie mówi, że to jest włamanie.

– Proszę posłuchać, ja...

– Nie! To pani niech mnie posłucha! Takie zachowanie będzie miało swoje konsekwencje! Mam tego dosyć! Do tej pory traktowałam panią na wpół poważnie, ale to już koniec. Proszę natychmiast opuścić teren ogrodu. Czy zdaje pani sobie sprawę, jakie to będzie miało konsekwencje dla kolegów, którzy prowadzą śledztwo, i dla samego śledztwa?

– Pije pan kawę, prawda?

– Proszę skończyć z tymi żartami! Powtarza się pani.

– Charlotte Rubin pije herbatę. Wyłącznie herbatę. Mimo to trzyma w domu kawę dla gości.

– I co z tego?! – wrzasnął Gehring.

– W noc, gdy doszło do zbrodni, gotowała wodę nie tylko na herbatę dla siebie, ale także na kawę dla kogoś. Resztki proszku są nadal w ekspresie. Powinien pan jeszcze raz wysłać tutaj ekipę od zabezpieczania śladów. W tym domu ktoś z nią był. Może znajdą jeszcze jakieś odciski palców na dzbanku do kawy albo na kubkach.

– Ja tego nie pojmuję.

– Jej gość spał na kanapie. Razem spędzili w tym domu przynajmniej kilka godzin. Nie są parą. Rubin spała w swoim łóżku, jeśli w ogóle zmrużyła oko.

– Niech pani stamtąd wyjdzie.

– Ta druga osoba pomagała Rubin. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że była siłą napędową zbrodni.

Wspominałam, że rozmawiałam z Rubin. Pamięta pan?

– Niech pani natychmiast opuści ten budynek!

– Chciała kogoś chronić. Ten ktoś jest jej bliski. W tym domu mieszka kobieta, która nie przyjmowała gości. I tylko w tamtą noc, gdy doszło do zbrodni, nie była sama.

W słuchawce zapadła cisza.

– Halo?

Gehring się rozłączył. Beara wsunęła telefon do kieszeni i wyszła z budynku. Uznała, że szybciej będzie, jeśli opuści ten teren przez zabudowania gospodarcze, zamiast wracać przez cały park. Kiedy przechodziła obok budynku, w którym hodowano zwierzęta przeznaczone na karmę dla innych zwierząt, poczuła pokusę, żeby tam zajrzeć i sprawdzić, kto zastępuje Rubin. Ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu. I tak już zaszkodziła śledztwu.

I co z tego? Gehring będzie musiał coś z tym zrobić. Nie może zignorować tej rozmowy. Ekipa, którą tu przyśle, znajdzie dowody na to, że tamtej nocy Rubin nie była sama. Kogo osłaniała? W czyim imieniu wzięła na siebie całą odpowiedzialność? Za to, co zrobiła, spędzi za kratami przynajmniej piętnaście lat. Wystarczy jeden proces, jedna ekspertyza i zapadnie wyrok skazujący.

Dlatego Beara postanowiła, że na chorobowym zostanie jeszcze jeden dzień.

Rozdział 18

Jeremy poinformował Brocka wyłącznie o oficjalnej części swojej misji. Tę nieoficjalną Brock łatwo sobie dopowiedział. Doszło do zbliżenia, ale koniec nie był najszcześniejszy. Jeremy miał pewne wyrzuty sumienia, lecz dopóki Brock nie wie, co się wydarzyło, dopóty nie może mu pomóc. Jedno było jasne: Cara Spornitz nie zgodziła się na żadną współpracę. Jej odmowa wydawała się nieodwołalna. W przeciwieństwie jednak do niej Brock był przekonany, że samobójcze próby Rubin należy brać poważnie.

Przeczuwał, że może do nich dojść, i bał się tego. Rubin znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Musiała się wytłumaczyć ze swojego czynu, więc robiła wszystko, żeby do tego nie dopuścić. W najgorszym razie sama zmusiłaby się do milczenia.

Brock nie wierzył też w hipotezę, że Rubin wybrała swoją ofiarę przypadkowo. Uważał, że coś ją z Leyendeckerem łączyło. Niekoniecznie musieli się znać osobiście. Wyglądało na to, że Leyendecker uruchomił pewne procesy, które w ostateczności doprowadziły do jego okropnej śmierci.

Brock intensywnie o nim myślał. Był rozwiedziony, miał dwoje dzieci, które mieszkały gdzieś w Niemczech i nie za bardzo przejęły się śmiercią ojca. Były oczywiście zszokowane sposobem, w jaki zszedł z tego świata, ale stosunki z nim określały jako niezbyt bliskie. Również jego były żony prowadziły po rozwodzie o wiele bardziej udane życie niż wcześniej u jego boku. Leyendecker raz albo dwa razy do roku szukał szczęścia w wielkim mieście, ale nie wiodło mu się zbyt dobrze. Kiedy Brock zaczął analizować jego ostatnie dwie doby życia, obiecał sobie, że raczej rzuci się w przepaść z jakiejś samotnej góry na Wyspach Eolskich, niż będzie wymagał od życia owego bezbarwnego odbicia pozornego blasku, o który bez zbytniego przekonania walczył Leyendecker.

Werner Leyendecker, lat sześćdziesiąt cztery. Urodzony w miejscowości Schönwerda w Saksonii. Szkoła podstawowa. Służba wojskowa w Armii Ludowej NRD. W Berlinie z karabinem u boku bronił „antyfaszystowskiego muru” i światowego pokoju. Później pracował jako tokarz, a następnie został przedstawicielem handlowym. Od połowy lat dziewięćdziesiątych bezrobotny. W końcu przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Niekarany, nikomu nie rzucał się w oczy. Policja kryminalna zebrała na jego temat wszelkie dostępne informacje. Leyendecker był wycofany, jak wielu starszych samotnych mężczyzn, którzy wcześniej całe życie towarzyskie pozostawili w rękach swoich żon. Sąsiedzi prawie go nie znali, ale to nie była ich wina. Leyendecker bowiem nie chciał przyjmować pod ich nieobecność przesyłek pocztowych. Często stał przy oknie i obserwował życie na ulicy, ale rzadko pozdrawiał sąsiadów.

Nagle Brock usłyszał gong u drzwi wejściowych. Spojrzał na zegar stojący na biurku. Dochodziła piąta. Rozległo się pukanie. Jeremy wsunął głowę przez szparę w drzwiach.

– A, to pan.

– Tak. Zaraz do pana przyjdę.

Brock włożył akta z powrotem do segregatora. Nie może sobie pozwolić na kolejny błąd.

Jeremy wyszedł na klatkę schodową. Zdziwił się, że po tym, jak rozległ się dzwonek do drzwi, usłyszał na schodach kroki tylko jednej osoby. Lekkie, wysportowane, taneczne. Jeszcze zanim ta osoba doszła do

ostatniego półpiętra, wiedział, kogo za chwilę ujrzy. Był naprawdę zaskoczony.

– Cześć, Jeremy.

Cara Spornitz była w białych dżinsach, białej bluzce i białych półbutach na niskim obcasie, mimo to nie przypominała pielęgniarce, bo ubiór leżał na niej jak ulał. W talii była tak wąska, jak gdyby zaraz miała się przełamać. Podwinięte nogawki kończyły się nad opalonymi kostkami. Uśmiech miała czarujący, a zapach, który wokół siebie rozciągała, zamienił klatkę schodową w świeżą łąkę. Wyglądała wprost uwodzicielsko. Jeremy natychmiast uległ jej nieodpartemu czarowi.

– Cara?

Spornitz podbiegła do niego i pocałowała go w usta.

– Jestem trochę... zaskoczony – wyjąkał.

Serce biło mu z radości i podniecenia. A więc zmieniła zdanie i przyjechała... Na pewno z powodu siostry. A może również...?

– Chcę cię przeprosić. Zachowałam się okropnie. Zazwyczaj tak nie postępuję.

– Nie ma sprawy – odparł.

Jej nagła obecność sparaliżowała go, przestał trzeźwo myśleć. Na chwilę zapomniał, jakimi słowami się z nim rozstała.

Spornitz minęła go i weszła do środka.

– Czy ona już tu jest?

Jeremy od razu otrzeźwiał.

– Nie, ale zaraz przyjdzie. To jednak niemożliwe.

– Co?

– Nie wiem, czy to dozwolone. Powinnaś się zwrócić do sądu o zgodę na widzenie z siostrą.

– Tak długo się nie widziałyśmy, a ty chcesz, żebym ją odwiedziła w areszcie? Kiedy wspomniałeś, że dzisiaj przyjdzie na kolejną sesję, potraktowałam to jak zaproszenie.

Jeremy zaczął sobie uświadamiać swój błąd i jego konsekwencje. Usłyszał skrzypienie parkietu pod stopami Brocka i zauważył, że kiedy Cara go ujrzała, twarz jeszcze bardziej jej się rozpromieniła. Nie był pewien, jak profesor zareaguje na jej widok. Nie zauważył u niego pociągu do młodych kobiet.

– Dzień dobry. Nazywam się Cara Spornitz i jestem siostrą Charlotte Rubin.

Brock uniósł brwi. Carla wyciągnęła do niego niepewnie rękę. Mało brakowało, a by się ukloniła.

– Bardzo mi miło – mruknął.

– Widzę, że chyba przyszedłam nie w porę. Bardzo przepraszam. Jeremy... to znaczy pan Saaler wspomniał, że dzisiaj jest ostatni dzień, w którym będzie można porozmawiać z Charlie. Nie chciałam jej odwiedzać w więzieniu. Chyba pan rozumie?

Spornitz spojrzała na Jeremy'ego, jak gdyby chciała go poprosić o pomoc, i nawet położyła mu dłoń na ramieniu. Jeremy przeżywał prawdziwe męczarnie. Przecież Brock mógł odnieść wrażenie, że cała ta sytuacja była wcześniej zaplanowana.

– To prawda, pani siostra rzeczywiście zaraz tu przyjdzie. Uważam jednak, że to niedobry moment na taką rozmowę. Chętnie z panią porozmawiam, ale może umówimy się na jutro?

– Chcę się spotkać z Charlie – odparła Spornitz. – I to w normalnych warunkach, nie w więzieniu.

– Nie jestem pewien, czy gabinet psychiatryczny ma coś wspólnego z normalnymi warunkami. Nie zajmujemy się organizowaniem rodzinnych spotkań.

– Panie profesorze, proszę! Wzięłam wolne w pracy, załatwiłam kogoś na moje miejsce i przyjechałam tu z Dessau. Od lat nie miałyśmy ze sobą kontaktu. I nagle zjawia się policja, twierdząc, że Charlie jest podejrzana o morderstwo. To był dla mnie prawdziwy szok. Bez względu na to, co się wydarzyło, stanę u jej boku.

– Czy zwróciła się pani do sądu o zgodę na spotkanie?

– Jeszcze nie – odparła Cara, spuszczać wzrok. Być może dopiero teraz sobie uświadomiła, że to nie zabawa, bo istnieją zasady, których musi przestrzegać, nawet jeśli chodzi o jej siostrę. – Czasem zachowuję się dość spontanicznie. Czy nie może pan zrobić dla mnie wyjątku?

– Przykro mi, ale nie.

– Moja siostra została oskarżona o zabójstwo. Na pewno jest w strasznym stanie. Jeremy... to znaczy, pan Saaler... wyjaśnił mi, że rozmowa z nią może być ważna. Będę do pana całkowitej dyspozycji i odpowiem na wszelkie pytania, ale proszę nam dać dziesięć minut. Może pan być przy tej rozmowie...

Brock uniósł rękę, żeby zaprotestować. Najwidoczniej Spornitz nie miała pojęcia, że jej siostra nie może zostać bez nadzoru nawet przez jedną sekundę. Sytuacja, w której Jeremy zaniedbał swoje obowiązki, o mało nie doprowadziła do tragedii.

– Wiem, że musi pan być obecny przy takiej rozmowie. Proszę, Charlotte Rubin też jest człowiekiem.

– Proszę pani, istnieją przepisy.

– A sytuacje wyjątkowe? Wiem, czego od pana żądam. A jeśli poczekam na nią na dole, pod drzwiami, i potem miniemy się na ulicy, to tak będzie lepiej? Chyba nie. Pan Saaler powiedział mi, że warto byłoby sprawdzić, jak Charlie zareaguje na mój widok.

Brock zrozumiał, jak bardzo Spornitz owinęła sobie Jeremy'ego wokół palca i że spotkania obu kobiet przy drzwiach wejściowych nie da się uniknąć. Dlatego westchnął i odstąpił od drzwi.

– Dziękuję!

Spornitz weszła do biura i zaczęła się rozglądać. Profesor dał Jeremy'emu znak, żeby poszedł za nim.

– Do tej sytuacji nie powinno było dojść. Rozumie pan?

– Tak jest!

Na ustach profesora pojawił się słaby uśmiech, który natychmiast zniknął. Trwał jednak na tyle długo, że Jeremy zdążył go zauważyć.

– Dyktafon?

– Zaraz przyniosę.

Jeremy minął Spornitz w przedpokoju i poszedł do swojego gabinetu. Kiedy wysuwał szufladę biurka, zauważył, że ręce mu lekko drżą. Uświadomił sobie, że za chwilę wspólnie z Brockiem złamią prawo.

W tym samym momencie znowu rozległ się gong u drzwi. Jeremy się wzdrygnął. Przyjechała Rubin. Chwycił dyktafon, włączył go, wsunął do kieszeni marynarki i pobiegł do przedpokoju, żeby ta wielka chwila go nie ominęła.

Brock nadal stał na klatce schodowej. Jeremy słyszał, jak uspokajającym tonem mówi coś do Rubin. Nie rozumiał słów, bo serce zbyt mocno mu biło. Wmawiał sobie, że to nie przez Carę, tylko dlatego, że za chwilę dojdzie do spotkania dwóch ważnych osób.

Cara stała w przedpokoju jak zaczarowana. Wyglądała jak osoba oskarżona o popełnienie przestępstwa, która czeka na wyrok. Na pewno była bardzo zdenerwowana. Jeremy podszedł do niej, spodziewając się, że natychmiast go ugryzie. Ale kobieta nie zareagowała na niego nawet wtedy, gdy położył jej dłoń na ramieniu. Wpatrywała się w drzwi, które Brock za sobą przymknął, jak gdyby czekała na wejście Sądu Najwyższego.

W końcu drzwi się otworzyły. Pierwszy z policjantów próbował zagrozić Rubin drogę. Bezskutecznie, bo odepchnęła go na bok. Na jej twarzy malowała się wściekłość.

– Ty tutaj? Nie wierzę własnym oczom. Skąd się tu wzięłaś?

Jeremy poczuł, jak Cara w jednej chwili zeszywniała.

– Czego tu chcesz?

W tym momencie zjawił się Brock. Nie spuszczał Rubin z oczu. Miesdrośny zajął pozycję obok niej.

– Charlie – szepnęła Cara. – Charlie...

– Co to jest, zgromadzenie rodzinne? Ukryliście tu gdzieś kamery? Złożę na pana skargę, panie profesorze. Chcę natychmiast wracać. To jakaś dziecinada.

– Charlie...

– Nic do mnie nie mów! Wynoś się stąd! – prychnęła Rubin i odwróciła się do profesora. – Czy ja mam jeszcze jakieś prawa? Czy muszę robić to, co wam się spodoba? Nie chcę jej ani widzieć, ani z nią rozmawiać!

Cara chciała podejść do siostry, ale Jeremy ją powstrzymał.

– Nie poznaję cię – powiedziała i niechętnym ruchem odepchnęła jego rękę. – Przyjechałam tu z Dessau tylko z twojego powodu.

– W takim razie możesz też z mojego powodu od razu wrócić. Czy możemy? – spytała obu policjantów, którzy spoglądali na Brocka bezradnym wzrokiem.

Profesor stanął między obiema siostrami.

– Proszę się najpierw uspokoić. Proponuję, żebyśmy zaczęli naszą sesję kilka minut później, a pani porozmawia przez chwilę z siostrą. Jesteśmy zaskoczeni jej wizytą tak samo jak pani.

– Ja nie chcę z nią rozmawiać! Czy nikt mnie nie słucha?

– Charlie!

Cara podbiegła do siostry i objęła ją. Rubin, która była silną kobietą, przez moment nie protestowała, ale zaraz potem odepchnęła ją od siebie, jak gdyby chciała się obronić przed jakimś napastnikiem. Cara zatoczyła się, lecz Jeremy zdążył ją złapać. Obaj policjanci przyglądali się niepewnie całej sytuacji, a Brock po prostu czekał, jak to się skończy.

– Odwal się ode mnie! Kiedy to do ciebie w końcu dotrze? Nie chcę cię więcej znać!

– Ale dlaczego? – spytała płaczącym tonem Cara. – Przecież masz tylko mnie. Jestem całą twoją rodziną.

– Rodziną. Na pewno. Wiesz, co ci powiem? Jest całkiem odwrotnie. To ja jestem twoją rodziną. I nie zachowuj się tak, jakbyś nie wiedziała, co to znaczy. Bardzo długo musiałaś mnie cierpieć. Wracaj do domu, do swoich ukochanych zwierząt, i przestań udawać bohaterkę. Bohaterowie nie mają tu czego szukać.

Cara przycisnęła dłoń Rubin do ust. Przez chwilę wydawało się, że straciła panowanie nad sobą, ale zaraz się opanowała.

– Zrobiłaś to?

Rubin rozejrzała się wokół siebie. Wszystkie oczy były zwrócone na nią. Jeremy trzymał w ręce dyktafon. Zastanawiał się, jak Brock oceni całą tę sytuację.

– Tak.

– Powiedz, że to nieprawda. Nie kłam. Ty zawsze kłamałaś!

– Niby dlaczego miałabym kłamać? Po co tu wszyscy jesteśmy? Chcą się dowiedzieć, czy mam po kolei w głowie. Wiesz, co ci powiem? Rzadko się czułam bardziej normalnie niż teraz.

Cara szukała wzrokiem Jeremy'ego. Prawie niedostrzegalnym ruchem skinął jej głową w nadziei, że zrozumie sygnał, jaki jej wysyła, i że się uspokoi. Rubin sama zaczęła mówić o swoim czynie. Wydawało się, że przełom jest w zasięgu ręki.

– Dlaczego z nimi nie porozmawiasz? Co się naprawdę stało?

– Nie powinno cię to obchodzić. Oni i tak chcą mnie wszyscy załatwić.

– Nikt nie chce cię załatwić! Pan Saaler specjalnie do mnie przyjechał, żeby o tobie porozmawiać.

– I co? – spytała Rubin niebezpiecznie słodkim tonem. – Dowiedział się czegoś?

– Zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Rozumiesz? Wszystko. Oni muszą się dowiedzieć, co ci jest. Ja tego

nie wiem, ale na pewno nie jesteś morderczynią.

Rubin zapomniała na chwilę o agresji. Zaczęła mówić spokojniejszym głosem. Widać było, że jest bardziej rozluźniona. Wskazała na czterech stojących wokół niej mężczyzn, którzy obserwowali ją czujnym wzrokiem.

– Nie jesteś ode mnie wcale lepsza. Być może mam nie po kolei w głowie... ale wiesz, co mnie naprawdę rozczarowuje? Myślałam, że obie jesteśmy silniejsze. Niestety, zostałyśmy pokonane.

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że nie powinniśmy dopuszczać do takich sytuacji – powiedział pierwszy z policjantów.

Jeremy myślał, że go na miejscu zabije.

– Zamknij się pan! – zawołała Rubin.

Policjant się wzdrygnął.

– W porządku – wtrącił Brock. – Potraktujmy to jako element naszej sesji.

– Naprawdę? – prychnęła Rubin takim samym tonem jak poprzednio. – To teraz jesteśmy oglądane jak w jakimś akwarium? Wracaj do domu, Caro. Ty już nie możesz mi pomóc. To nie ma sensu.

– Nie dopuszczę do tego!

– Nic na to nie poradzisz. Zrozum to w końcu.

– Nie! – rozpląkała się Cara.

Chciała znowu podejść do Rubin, ale Brock ją powstrzymał.

– Niech się pani uspokoi! – zawołał.

Zdenerwowany Jeremy zerknął na obu policjantów. Stali w gotowości i obserwowali całą scenę z ponurymi minami.

– Jestem twoją siostrą!

– Ja już nie mam żadnych sióstr – odparła Rubin i odwróciła się do Brocka. – Czy my dzisiaj w końcu zaczniemy?

Profesor spojrział na obu policjantów.

– Możecie nas już panowie zostawić.

– Nie jestem tego taki pewien – mruknął Miesdrosny, podciągając spodnie. Widać było zarówno po nim, jak i po drugim policjancie, co sądzą o tym widowisku.

Spornitz znowu podeszła do Rubin. Pierwszy z funkcjonariuszy błyskawicznie zareagował i odciągnął ją od niej.

– Proszę już stąd iść. Nie wolno mi dopuścić, aby ktokolwiek miał kontakt z oskarżoną. Jeśli pani wyjdzie stąd teraz, uznam całą tę sytuację za przypadkowy incydent. I dobrze radzę: proszę nie wystawiać naszej cierpliwości na próbę.

Spornitz skinęła głową z ciężkim sercem. Wykonała ruch, jak gdyby chciała skierować się w stronę drzwi, ale w ostatnim momencie odwróciła się, ruszyła w stronę Rubin i zarzuciła jej ręce na szyję. Rubin przewyższała ją o pół głowy. Miesdrosny ruszył, żeby je rozdzielić. Ale i Rubin wykonywała rozpaczliwe ruchy, żeby się uwolnić. W końcu policjantowi udało się odsunąć obie kobiety od siebie.

– Charlie – szlochała Cara.

– Zostaw go w spokoju – odparła Rubin. – On tylko spełnia swój obowiązek. Przecież musi to robić. Niech dalej robi swoje.

– O czym ty mówisz? – spytała Cara, rozglądając się wokół siebie poirytowanym wzrokiem. – Mam tak po prostu stać i się przyglądać?

– Przecież to nigdy nie zależało od nas. Zawsze robili z nami to, co chcieli.

– Ale my się broniłyśmy! Zawsze! Nie możesz tak po prostu odpuścić. Charlie!

Rubin strząsnęła ze złością dłoń policjanta. Opatrunek, który miała na szyi, obluzował się, rana pękła

i krew polała się na kołnierzyk bluzki. Rubin przycisnęła opatrunek z powrotem do rany. Palce miała poplamione krwią.

– Ach, Caro – powiedziała i rozejrzała się wokół siebie, jak gdyby stała na scenie. – „Jużem tak głęboko w krwi zagrzaź, że wstecz iść niepodobieństwo. Trzeba więc dalej brnąć”⁵.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Wszyscy milczeli. Jeremy wstrzymał oddech. Poczuł na plecach chłodny dreszcz. Charlotte Rubin jest morderczynią, a Cara właśnie się dowiedziała, że ma siostrę, której w ogóle nie zna.

W całe to zamieszanie włączył się w końcu Miesdrosny, który ujął Rubin za rękę i ją wyprowadził. Kobieta nie stawiała oporu. Jeremy odniósł przez chwilę wrażenie, że obserwuje wielką tragedię.

– Charlie! – krzyknęła Cara, jak gdyby ktoś wydzierał jej żywcem serce z piersi.

Drugi policjant chwycił ją za ramię i odciągnął w stronę klatki schodowej.

– Nie! To nie ona jest winna! Co wy z nią robicie? To nie ona!

– Proszę ją puścić! – powiedział do policjantów Jeremy, ale ci nie zareagowali na jego słowa. – Poczekaj na dole! – zawołał, widząc, jak Rubin podchodzi chwiejnym krokiem do krzesła i siada na nim.

– Przyniosę plaster.

Brock skinął głową i zajął się Rubin. Kiedy Jeremy wrócił do pokoju, obaj policjanci już tam byli.

– Musimy to zgłosić – stwierdził z ponurą miną pierwszy z nich.

Brock był zajęty udzielaniem pomocy Rubin.

– A co pan chce zgłosić? My tu prowadzimy praktykę lekarską, to nie jest więzienie. Każdemu wolno tu przyjść.

– Ale to nie był przypadek! Skąd ta kobieta wiedziała, o której się tu zjawimy? – Mówiąc to, wskazał oskarżającym ruchem na Rubin, która siedziała w milczeniu na krześle, patrząc przed siebie nieruchomym szklistym wzrokiem.

– Prasa bardzo dokładnie opisała, że przygotowuję opinię na temat pani Rubin. Chciałem też porozmawiać z panią Spornitz.

Rubin uniosła głowę.

– To nie ma sensu. Chcę już wracać. A może chcecie mnie tu zatrzymać wbrew mojej woli?

– Nie – odparł Brock łagodnym tonem. – Oczywiście, że nie. Ale proszę nas zrozumieć. Jesteśmy zobowiązani sporządzić dokładny profil pani osobowości.

Rubin zacisnęła zęby. Widać było, co myśli o sposobie, w jaki Brock przygotowuje tę opinię.

– O co chodziło z tymi psami z Wendisch Bruch?

I znowu zapadła cisza. Jeremy uświadomił sobie, że jest świadkiem jednego z najważniejszych momentów w całej tej historii.

– Czy psy wyrządziły pani jakąś krzywdę?

– Mam tego dosyć – szepnęła Rubin. Pochyliła się i zakryła twarz dłońmi. Ramiona jej się trzęsły. Ta silna kobieta straciła właśnie grunt pod nogami. – Niech pan przestanie.

– Kiedy te psy ujadły, zdarzyło się coś, czego się pani przestraszyła. I to bardzo. Co to było?

– Nie, proszę...

– Czy to miało coś wspólnego z panią? Z domem, w którym pani mieszkała? Z rodziną? Z zabójstwem?

– Nie! – krzyknęła Rubin. Gwałtownie zerwała się z krzesła i odepchnęła od siebie Brocka. Wszyscy obecni w pokoju aż się wzdrygnęli. – Może mnie pan pytać tysiąc razy, a ja i tak tego nie wiem! Niech pan mnie stąd wypuści! Chcę już stąd iść!

– Tylko spokojnie – powiedział Brock, wykonując uspokajający gest w stronę obu policjantów, którzy mieli takie miny, jak gdyby znowu chcieli się rzucić na swoją podopieczną. – Wszystko w porządku. My tylko chcemy porozmawiać z kimś, kto być może coś pamięta.

– Ale nie z Carą! Ona była wtedy zbyt mała.

– Zbyt mała na co?

Rubin przesunęła dłonią po włosach. Przypominała zaszczute zwierzę, które znalazło się w sytuacji bez wyjścia.

– Ona nic nie wie. Niech pan jej do tego nie miesza.

– A czy jest w Wendisch Bruch ktokolwiek, kto mógłby nam pomóc?

– Nie, nikogo takiego nie ma – odparła Rubin i oczy jej rozblęły.

– Jest pani pewna?

– Nikogo takiego pan tam nie znajdzie. Chcę już wracać. Pozwoli pan? Zabierzcie mnie stąd do celi – poprosiła, zwracając się do obu policjantów.

Wzięli ją między siebie i opuścili gabinet.

Brock wyciągnął rękę do Jeremy'ego.

– Dyktafon.

– Oczywiście – odparł Jeremy, podając mu urządzenie. – Czy mogę zejść na dół, żeby się z nią pożegnać?

– Z Rubin? – spytał zdumiony Brock. Dopiero po chwili uświadomił sobie swój błąd. – Rozumiem. Czy mogę pana o coś spytać?

– Proszę.

– Czy coś pana łączy z panią Spornitz?

– Tak – przyznał Jeremy, bo nie było sensu zaprzeczać. Czasem odnosił wrażenie, że profesor patrzy na życie innych osób, jak gdyby oglądał film, w tym sceny, które te osoby chciałyby przed wszystkimi ukryć. – Jakoś tak wyszło. Potrafię jednak oddzielić sferę prywatną od zawodowej.

– To ciekawe. W takim razie proszę, aby pan zachował taką postawę także w przyszłości. A jeśli jeszcze raz przekaze pan osobom postronnym poufne informacje – a do takich osób zaliczam też panią Spornitz, która zachowała się tutaj w tak emocjonalny sposób – będę musiał zakończyć z panem współpracę.

– Obiecuję, że...

– Niech pan mi niczego nie obiecuje. Proszę jedynie, żeby zachowywał się pan rozsądnie i świadomie. Czy zdaje pan sobie sprawę, ile trudu zadał sobie pański ojciec, żeby mógł pan tu ze mną pracować?

Znowu to samo. Tak, wiem, odparł w myślach Jeremy. Za każdym razem mi o tym przypomina.

– Niech pan więc nie zmarnuje tej szansy. A jeśli moje ostrzeżenie brzmi dla pana zbyt dosadnie, to proszę spytać panią Katz, ile każdego miesiąca wpływa do naszego biura wniosków z prośbą o zatrudnienie. Przyjąłem jednak pana, bo nadal jestem przekonany, że może pan dokonać w życiu wiele wspaniałych rzeczy. I nie zrobiłem tego po to, żeby sprawić przyjemność pańskiemu ojcu, jeśli tak pan to postrzega. Trafił pan do mnie nie z powodu jego pośrednictwa, tylko wbrew niemu.

– To się już nigdy nie powtórzy.

– Muszę poprosić, aby swoje prywatne sprawy odłożył pan na później, do czasu gdy wystawię opinię o pani Rubin. Poza tym uważam, że postąpi pan rozsądnie, czekając z tym do zakończenia procesu sądowego. Będzie pan musiał zaakceptować to, o co proszę, albo się rozstaniemy.

– Akceptuję.

– Świetnie. W takim razie proszę teraz iść i pożegnać się z tą młodą damą.

– A pan nie chce z nią porozmawiać?

– Niekoniecznie – odparł Brock, wchodząc do gabinetu. – Proszę zadzwonić do pani Katz i powiedzieć jej, że pani Rubin już sobie poszła. Niech uzgodni termin spotkania z panią Spornitz. Jak najszybciej. Najlepiej na jutro rano. Czy ona zostanie w mieście?

– Tego nie wiem, ale mogę ją o to spytać.

Jeremy poszedł przodem i otworzył Brockowi drzwi do jego gabinetu. Profesor zignorował to i zatrzymał się przed progiem.

– Czy jest pan w stanie zachować kontrolę nad swoim postępowaniem?

– Tak. A czy mogę pana jeszcze o coś zapytać?

– Oczywiście – odparł profesor.

Podszedł do biurka i włączył dyktafon, chociaż nie wyglądało na to, że zamierza przesłuchać nagranie.

– Czy spotkanie obu sióstr cokolwiek nam powie? – spytał Jeremy.

– Dobrze pytanie – odparł Brock, który wyglądał na rozbawionego. Przez chwilę bawił się przyciskami dyktafonu. – Powiedziałbym, że było wielce pouczające. Rzadko się zdarza, żeby w ciągu trzech minut ktoś aż tak bardzo nakłamał.

– Naprawdę?

Brock włączył dyktafon i zaczął szukać ołówka. Kiedy się w końcu zorientował, że pani Katz nie przygotowała mu nowych, wyjął z szuflady długopis.

– Zacznę się powoli szykować do sporządzenia opinii – wyjaśnił.

– A do jakiego wniosku pan doszedł?

– Charlotte Rubin jest tak samo normalna jak pan i ja.

Rozdział 19

Cara Spornitz siedziała na ławce na przystanku autobusowym niecałe dwadzieścia metrów od budynku. Na bluzce miała krew, którą nerwowo wycierała. Kiedy ujrzała Jeremy'ego, pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach.

– Spaprałam to – powiedziała. – Wszystko spaprałam.

Jeremy usiadł obok niej.

– Nikt nie mógł przewidzieć, że to się stanie.

– Mógł! – odparła, patrząc na niego ze złością. – Ja mogłam przewidzieć, jak Charlie zareaguje. Zarzucają jej, że popełniła tę szaloną zbrodnię, siedzi zamknięta za kratami i nagle pojawia się ja, bo mi się ubzdurało, że wszystko będzie dobrze. Nic nie będzie dobrze! To jakiś horror!

– Nie powinienem był ci mówić, że mamy się z nią spotkać. Brock prawie mnie za to wylał.

– No tak, widzę, że mnie nikt tak naprawdę nie współczuje i nie ma mnie kto wylać, choć może nie byłoby to najgorsze rozwiązanie. Pani Spornitz, zwalniam panią. Teraz wszyscy będą o tym mówić. Tylko niech robią to uczciwie. Jako siostra – porażka. Jako żona – porażka. Jako... – tu zawahała się i spojrzała z boku na Jeremy'ego – zabawka na jedną noc – porażka.

– Nie jesteś dla mnie zabawką! Dobrze o tym wiesz. Oboje mieliśmy zbyt duże oczekiwania.

Zaskoczyłem cię, wszystko stało się tak nagle i sytuacja nas przerosła.

– Można to tak określić – odparła Spornitz, patrząc w bok. – Przepraszam cię za to, co ci niedawno powiedziałam. Wszystko stało się tak nagle. Najpierw szok z powodu Charlie, potem ta druga sprawa z...

– Z czym? Z szokiem?

– No cóż, przystojni inteligenci nieczęsto trafiają na naszą prowincję.

Jeremy stwierdził, że jej słowa wywarły na nim duże wrażenie. Jej ciągłe wahania nastroju stale go zaskakiwały. Teraz na szczęście traktowała go z sympatią. Chętnie powiedziałaby jej jakiś komplement, ale byłoby to igranie z ogniem. Lepiej się stanie, jeśli stopniowo będzie dorzucał do paleniska. Nadal miał w uszach pouczający głos Brocka. Wydawało mu się, że w jednym z okien jego gabinetu na drugim piętrze poruszyły się firanki. Czyżby ich obserwował?

Spornitz zaczesła włosy za uszy. Widać było, że jest zakłopotana.

– Okej. Jeśli chcesz wiedzieć, to było mi z tobą super. To dobry znak, jeśli potem czuję głód.

– Rozumiem więc, że niezbyt często trafia ci się spontaniczny seks? Jesteś taka szczupła...

Spornitz odrzuciła głowę i roześmiała się cicho.

– Jak długo tu zostaniesz?

– A dlaczego pytasz? – spytała kokieteryjnym tonem.

– Profesor chce z tobą jeszcze raz porozmawiać. Na spokojnie.

– Tak właśnie podejrzewałam. Powinnam?

– Jeśli chcesz pomóc Charlie...

– Tak czy inaczej, decyzja zapadła. Brock z miejsca by mnie wyrzucił, gdyby miał choć odrobinę wątpliwości. Domyślam się, że według jego opinii Charlie jest poczytalna i może odpowiadać za swoje

czyny?

Jeremy nie był pewien, czy skinienie głową można uznać za złamanie obietnicy milczenia. Stwierdził jednak, że w sytuacji wątpliwej powinien to tak potraktować.

– Charlie trafi za kraty przynajmniej na piętnaście lat i nic jej nie pomoże. Nie przyszłam tutaj dlatego, że aż tak bardzo cię lubię.

Jeremy zacisnął zęby i spuścił wzrok. Na poplamionym chodniku leżały rozdeptane gumy do żucia i niedopałki papierosów.

– Jestem tutaj, bo chcę ją jakoś z tego wyciągnąć. Rozumiesz? Moja starsza siostra jest niewinna. Nie pozwolę, żeby poszła za kogoś do więzienia. A tak w ogóle to cię lubię. – Mówiąc to, dała mu kuksańca w bok.

Jeremy nie zareagował.

– To nieważne, do jakiego wniosku dojdzie profesor. To bez znaczenia, zarówno dla mnie, jak i dla niej – dodała Cara.

– Odniosłem wrażenie, że nie miałyście sobie zbyt dużo do powiedzenia.

– To złudzenie. W rzeczywistości wyglądało to tak – odparła Spornitz, zaciskając dłonie w pięści.

– Co masz na myśli, mówiąc, że chcesz ją z tego wyciągnąć?

– Jak to co? – odparła, podsuwając mu pięść pod nos tak szybko, że aż się wzdrygnął. Spornitz się roześmiała. – Żartuję.

– Żartujesz? To nie są żarty. Twoja siostra jest oskarżona o zbrodnię. Rozumiem, że chcesz wierzyć w jej niewinność, ale poszlaki wskazują jednoznacznie na nią.

– Poszlaki! To kłamstwo! Jakie poszlaki?

– Czy kontaktowałaś się z jej adwokatem?

– Nie. Po co miałabym to robić?

– Bo gdyby twoja siostra się zgodziła, mógłby ci umożliwić wgląd w jej akta. A jeśli chcesz się dowiedzieć więcej niż to, o czym piszą gazety, powinnaś pójść na policję. Musisz postępować metodycznie.

Spornitz westchnęła w zamyśleniu.

– Charlie przyznała się do winy. Przykro mi. Naprawdę. Poza tym podczas naszych sesji nie okazała chęci do współpracy.

– Co to znaczy?

– Nie chce mówić o tym, co zrobiła.

– Bo to nie ona zabiła!

– Próbowała odebrać sobie życie.

Cara westchnęła.

– Już o tym słyszałam. Denerwuje mnie to!

Jeremy spojrział na nią zdumiony. Już wcześniej zauważył, że łatwo przechodzi z jednego nastroju w drugi. Raz jest smutna, a zaraz potem nagle wpada w euforię. Ale bezczelność, z jaką podchodziła do tej tragedii, irytowała go. Kiedy był w Dessau, jej zachowanie tłumaczył sobie bezradnością. Nie chciał widzieć, że to ta cecha jej charakteru, z którą nie potrafił się pogodzić.

– Charlie nic sobie nie robiła. Prawdopodobnie miała zły dzień i pewnie chciała szybciej wrócić do celi.

– Trafiła na oddział intensywnej terapii. Straciła wiele krwi. Miała jednak patronkę, która ją ochroniła przed śmiercią.

Spornitz spojrziała na niego ze zdziwieniem.

– Mówię o świętej Katarzynie. Ktoś jej przyniósł medalik z wizerunkiem świętej.

– Kto to zrobił? – spytała Spornitz z szeroko otwartymi oczami.

– Duchowny.

– Jesteś pewien?

– Nie było mnie przy tym. Co cię tak w tym drażni?

Cara zacisnęła wargi i odwróciła głowę, jak gdyby chciała sprawdzić, czy nie nadjeżdża autobus.

– O co chodzi? – spytał Jeremy.

– O nic – odparła, wstając z ławki. – To tylko wspomnienie z dzieciństwa. Przypadek. Dostałyśmy podobne wisioriki na Pierwszą Komunię, jeszcze zanim przeprowadziliśmy się do Wendisch Bruch. Takie rzeczy rozdawano wtedy jak cukierki w karnawale. Czy to ten? – spytała, wskazując na nadjeżdżający autobus.

Pojazd się zatrzymał. Kierowca otworzył drzwi, ale Jeremy pokręcił głową i autobus odjechał. Firanki w oknie gabinetu Brocka przestały się poruszać. Jeremy wstał z ławki.

– Muszę wrócić do biura – powiedział. – Zostaniesz tu jeszcze?

– Tutaj? – spytała Spornitz, rozglądając się dokoła z rozbawieniem. – Jeśli przyniesiesz mi wieczorem kilka gazet do przykrycia...

– Chodziło mi o to, czy zostaniesz w Berlinie.

– Muszę się zastanowić. Czy mogłabym zatrzymać się u ciebie?

– To niemożliwe – odparł Jeremy szybko. – Obiecałem profesorowi, że nie będę utrzymywał z tobą prywatnych kontaktów.

– Co takiego?

– Że będę kontaktował się z tobą wyłącznie na gruncie zawodowym.

– Kontaktował się?

Spornitz czepiała się każdego słowa. Jeremy nie wiedział, jak sobie z tym poradzić.

– Widzę, że robisz to, co ci każe pan profesor. Rozumiem.

Jeremy dopiero teraz zauważył, że Spornitz nie ma ze sobą żadnej torby podróżnej ani walizki. Możliwe, że weterynarze odzwyczaili się od tego luksusu.

– Załatwię ci pokój w hotelu.

– Nie chcę żadnego hotelu! Znam tutaj tylko ciebie.

Spornitz próbowała wyjąć z kieszeni spodni kluczyk od samochodu i w końcu jej się to udało.

– A gdybym chciała z tobą tylko porozmawiać? Albo coś więcej? – spytała, zbliżając się do Jeremy'ego. Jej wzrok przypominał sieć, w której Jeremy się zaplątał. – Przecież profesor nie musi się o tym dowiedzieć.

– To wykluczone – odparł Jeremy. Dopiero teraz do niego dotarło, że w grę wchodzi jego kariera zawodowa. – Mam inną propozycję: zawiozę cię do hotelu, a wieczorem zaproszę na kolację. Wtedy o wszystkim porozmawiamy.

– O wszystkim? – spytała Cara cicho.

Jeremy wziął ją za rękę. Było mu obojętne, co powie Brock. Jeśli profesor podejrzewa, że nie poradzi sobie z tą sytuacją, to trudno, nic nie robi. Spornitz uniosła głowę, żeby go pocałować, ale Jeremy odsunął się lekko, a jej wargi musnęły jego skroń. Poczuł, że jej ciało jest naprężone, jakby gotowe do ucieczki.

– Uspokój się – szepnął. – Sytuacja jest trudna dla nas obojga. Nie tylko tobie jest ciężko.

– Tak jest, panie doktorze. Czy mogę spytać, jak daleko sięga pana troska?

Jeremy pocałował ją delikatnie w skroń.

– Do tego miejsca i ani centymetra dalej.

– Cholera! – zawołała Spornitz i wyrwała mu się z objęć. – Niech będzie, jak chcesz. Spotkajmy się

wieczorem i wtedy porozmawiamy. O wszystkim?

– O wszystkim. Nie tylko o Charlie.

Rozdział 20

Widać było, że ktoś wjechał w tablicę z nazwą miejscowości, a potem próbował ją wyprostować.

– Wendisch Bruch – mruknęła Beara, podjeżdżając do chodnika.

Nawigacja podpowiadała jej, że powinna jechać dalej, ale w miejscowości, która składała się z kilkunastu domów, nie była jej już do niczego potrzebna.

Na dworze panował morderczy upał. Z widocznego w oddali wzniesienia zjeżdżał traktor, wzniesając za sobą tumany żółtego pyłu. Wokół ciągnęły się łąny zbóż. Zanim dojrzeją, Charlie Rubin zostanie uznana za winną zbrodni.

Beara wysiadła z samochodu. Koszula lepiała jej się do ciała, więc uniosła jej brzeg, żeby choć trochę ochłodzić brzuch. Rozglądała się wokół siebie, starając się zapamiętać układ domów. Po lewej stronie ciągnął się szereg budynków przypominających kolonię. Główny był zaniedbany, pokryty szarym tynkiem. Dobudowany był do niego ciąg baraków. Beara, która doszła do wniosku, że właściciel prowadzi hodowlę zwierząt, miała nadzieję, że klimatyzacja w środku działa jak należy. W miejscach, gdzie beton był popękany, bujnie krzewiły się chwasty. Ale okna domu pokrywała tak gruba warstwa brudu, że nic nie było przez nie widać. Wszędzie panowała zupełna cisza. Beara domyśliła się, że posiadłość od dawna stoi opuszczona.

W prawo odchodziła wąska ścieżka prowadząca na pola. Wzdłuż ulicy, już za tablicą z nazwą miejscowości, stało kilka domów. Beara uznała, że jej samochód na berlińskich numerach i tak będzie się rzucał w oczy bez względu na to, gdzie go zaparkuje: przed czy za tablicą. Wsiadła więc do niego, zamknęła drzwi i ruszyła.

Powoli sunęła wąską ulicą, zadając sobie pytanie, czy to, co robi, warte jest ryzyka, na jakie się naraża. Jeśli Gehring się dowie, gdzie teraz jest, utnie jej głowę. Ale przecież w wolnym od pracy czasie może robić, co chce. Określenie „czas wolny od pracy” jest oczywiście bardzo rozciągliwe. Na przykład z powodu bólu w ramieniu mogłaby wziąć zwolnienie lekarskie. Nie musiałyby nawet kłamać, bo ból utrzymywał się od dłuższego czasu, a ona przesadziła trochę z rehabilitacją. Nagły przypływ wyrzutów sumienia zagłuszyła stwierdzeniem, że bez względu na to, jak potraktuje ten dzień, posłuży on jej wyzdrowieniu. Świeże wiejskie powietrze pomaga prawie każdemu.

Wioska wyglądała na wymarłą. Niektóre domy sprawiały wrażenie niezamieszkanymi. Straszły rozwalone płoty, zaniedbane żywopłoty, zarośnięte wejścia. Przy skrzyżowaniu w środku wsi stało kiedyś kilka sklepów. Na szarych ścianach, od których odpadły wielkie płaty tynku, widać było wyblakłe litery. Kiedyś tworzyły napisy „Sklep mięsny” i „Piekarnia”. Działała tu nawet gospoda Pod Lipą, chociaż mogłaby przysiąc, że drzewa rosnące przed wejściem to kasztanowce.

Zatrzymała samochód i wyłączyła silnik. Najpierw postanowiła znaleźć tych, którzy przeżyli tę cichą katastrofę, która się tu kiedyś wydarzyła. Bo to prawda: w Wendisch Bruch coś się wydarzyło. Być może było to związane ze zmianami, do jakich doszło na tych terenach po 1989 roku – brak pracy dla młodych ludzi, emigracja, upadek całych obszarów wiejskich. To jedna z wielu wsi, które trzeba było bardzo kochać, żeby w nich zostać. W tylnym lusterku zauważyła kobietę o lasce, która około pięćdziesięciu metrów za samochodem przechodziła przez ulicę. W połowie drogi zatrzymała się i uniosła dłoń do oczu,

żeby przyjrzeć mu się dokładniej. Zanim Beara zdecydowała się wysiąść, żeby z nią porozmawiać, kobieta poszła dalej.

Beara westchnęła, wysiadła z auta i podeszła do zamkniętych na klucz drzwi dawnej gospody. Zapukała, ale odpowiedziała jej cisza.

– Jest tam kto?! – zawołała.

Odwróciła się, lecz kobieta jak gdyby zapadła się pod ziemię. Panująca we wsi martwota sprawiała niesamowite wrażenie. Beara cofnęła się o kilka kroków i spojrzała na górną część fasady. Kiedyś, dawno temu, musiał to być ładny budynek. Wzniesiono go w latach trzydziestych dwudziestego wieku w stylu przypominającym letni domek. Drewniane parapety, ładny, nisko opadający dach. Po lewej stronie działki ktoś urządził przed laty piwny ogródek. Pokryte gęstym listowiem korony drzew rzuciły szeroki cień, z piasku wyrastały chwasty. O ścianę budynku stały oparte pordzewiałe krzesła ogrodowe. Beara nie spodziewała się więc, że kogoś tu zastanie. Postanowiła obejść zabudowania. Trochę dalej, za szopą i pustym, wyblakłym od słońca basenikiem dla dzieci z taniego tworzywa sztucznego, wisiała linka na pranie. Wśród prześcieradeł ktoś się poruszał.

– Dzień dobry – powiedziała Beara. – Przepraszam, że przeszkadzam...

Pies, który rzucił się na nią bez ostrzeżenia, był wielkości cielaka. Skakał wokół niej z wyszczerzonymi zębami i głośno ujadał. Zachowywał się tak, jak gdyby od dawna czekał na taką okazję. Musiał być bardzo stary, bo wargi miał szare, a oczy żółte. Za to zęby jeszcze wszystkie.

– Spokojnie – powiedziała Beara niepewnym głosem. – Tylko spokojnie.

Psom nie wolno patrzeć prosto w oczy, bo stają się agresywne. Odwróciła więc wzrok, ale psa to nie uspokoiło. Obiecała sobie tylko, że jeśli wyjdzie z tej sytuacji cało, natychmiast wyjedzie ze wsi.

– Jest tu ktoś? – spytała drżącym głosem.

Pies wyglądał na mieszańca labradora i doga, miał sierść w szarobrązowe plamy. Po drugiej stronie ulicy odezwał się inny pies zaalarmowany przez tego potwora. Wściekle ujadał, jak gdyby szykował się do ataku. W jednej chwili odezwały się inne czworonogi. Wydawało się, że wieś nagle ożyła i że zamieszkują ją wyłącznie psy.

– Bruno! Spokój!

Powłoczki na pościel rozsunęły się i wyszła zza nich kobieta o ponurym wyglądzie. Mogła mieć mniej więcej sześćdziesiąt lat. Na jej twarzy malowała się nieufność połączona z ciekawością. Uważnym spojrzeniem obrzuciła nieproszonego gościa. Miała na sobie wyblakły od częstego prania bawełniany fartuch. Jej okrągła twarz była zaczerwieniona od upału, ale nie opalona. Pewnie całe dni spędza w domu, pomyślała Beara. Włosy kobiety wyglądały tak, jak gdyby sama je sobie przycinała – rzadkie, jasnobrązowe, poprzecinane siwymi kosmykami, zlepione potem, przyklejone do czoła i skroni. Kiedyś musiała być ładną kobietą, która przyjaźnie przyjąłaby obcego gościa. W jej małych oczach czaiła się ledwo skrywana ciekawość.

– Słucham? – spytała.

– Mój samochód... chyba chłodnica wysiadła. Czy jest tu gdzieś w pobliżu jakiś warsztat naprawczy?

– Nie – odparła kobieta, kręcąc głową. – Od dawna już nie.

– W takim razie będę musiała go odholować. Czy zna pani kogoś, kto się tym zajmuje?

– Nie, od dawna już nie.

Beara uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Rozumiem. Wioska jest trochę wyludniona, prawda?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko skrzyżowała ramiona, jak gdyby chciała pokazać, że nie ma nic przeciwko temu, żeby rozmowa skończyła się już w tym momencie. Pies rozciągnął się na całą długość, jakby tylko czekał na rozkaz, by ponownie zamienić się w bestię.

– Czy może mi pani dać coś do picia? Jest tak gorąco.

– Nie, od dawna już nie.

Kobieta odwróciła się od niej, jak gdyby na powrót chciała się zająć praniem.

– Mogę zapłacić – kontynuowała Beara. Chciała podejść bliżej, ale powstrzymało ją warczenie psa. –

Przepraszam, że przeszkadzam, ale to wyjątkowa sytuacja. Przecież prowadziła pani kiedyś zajazd czy coś w tym stylu.

– Nie, od dawna już nie.

– Rozumiem, ale zanim zjawi się tu pomoc drogowa, upłyną przynajmniej dwie godziny. Przez ten czas umrę z pragnienia.

– Niech pani nie przesadza.

– Proszę tylko o szklankę wody. Potem pomogę pani z praniem.

Kobieta pokręciła ze złością głową i ruszyła dziwnym chwiejnym krokiem w stronę tylnego wejścia do budynku.

– Niech pani wejdzie – rzuciła przez ramię.

Pies nadal stał w tym samym miejscu.

– Słyszałeś – syknęła Beara. – Masz mnie przepuścić.

Pies spuścił głowę i powłókł się w stronę prania.

W środku było ciemno, chłodno i czuć było wilgoć. Niewielka sień wyłożona popękkanymi kafelkami prowadziła bezpośrednio do kuchni, która wyglądała tak, jak gdyby od zamknięcia zajazdu nigdy jej nie remontowano. Proste skromne szafki ścienne w kolorze pastelowego błękitu i duży stół ze stojącą na nim brudną miednicą, przy którym kiedyś toczyło się ożywione życie, sprawiły, że Beara poczuła się całkiem swojsko. Kobieta odsunęła na bok okulary, ziemniaki, stos rachunków, ulotki reklamowe z supermarketu i centrum ogrodniczego i wyciągnęła dla Beary krzesło.

– Dziękuję – powiedziała policjantka, siadając. – Czy pani mieszka tu sama?

– A po co pani pyta?

Dawna właścicielka zajazdu nie spuszczała jej z oczu. Ze ściennej szafki wyjęła szklankę i nalała do niej wody.

– Wieś wygląda na wymarłą – odparła Beara.

– Niedługo tak się stanie. Zostało nas tu tylko osiem osób.

Kobieta postawiła szklankę przed Bearą.

– Chce pani powiedzieć, że mieszka tu tylko osiem osób?

– Tak.

– To straszne.

Najpierw pomyśl, potem powiedz, pomyślała Beara, bo zauważyła, że po jej ostatnich słowach twarz kobiety znowu się skurczyła.

– Chodzi mi na przykład o robienie zakupów – tłumaczyła Beara. – Dlaczego we wsi zostało tylko osiem osób?

– Proszę się rozejrzeć. Kto przyjeżdża do takiej zabitej dziury?

– Ja.

– Bo auto się zepsuło. Co jakiś czas przejeżdżają tędy rowerzyści, którzy nie potrafią czytać mapy. To jedna z tych wsi, które przed dwoma laty znikły z powierzchni ziemi.

– Ale przecież nie zawsze tak było. W gospodzie, którą pani prowadziła, jadali i pili ludzie, we wsi działała też piekarnia i sklep mięsny...

– Sklep spożywczy, szkoła podstawowa, stacja paliw i tak dalej. Wyjeżdżając z Wendisch Bruch, zobaczy pani kościół z polnych kamieni. Niestety, nasz ostatni proboszcz przeszedł dwa lata temu na

emeryturę, a dla ośmiu owieczek żaden nowy się tu nie osiedli, chociaż Pismo Święte mówi o tym coś innego.

– A co było przyczyną tak masowej emigracji ze wsi?

Kobieta podeszła do okna i wyjrzała do ogrodu, gdzie wisało pranie. Pościel poruszana lekkimi podmuchami wiatru przypominała żagle.

– Brak dzieci – odparła.

– Szkoda – stwierdziła Beara.

Wypiła już połowę wody ze szklanki i zaczęła się zastanawiać, jak długo będzie piła resztę, zanim gospodyni wyrzuci ją na dwór.

– Szkoda, bo to ładny dom. Podoba mi się.

– Może go pani kupi?

– A jest na sprzedaż?

Kobieta odwróciła się, podeszła do stołu i usiadła przy nim z lekkim westchnieniem.

– Nie ma pani samochodu? – spytała Beara.

– Nie, już od dawna.

Pod żyrandolem latało kilka much. W kuchni zapadła cisza. Beara wypila resztę wody, wstała i podeszła do zlewozmywaka.

– Pozwoli pani? – spytała.

Kobieta skinęła głową.

– Nazywam się Sanela Beara.

Spodziewała się, że na dźwięk jej imienia i nazwiska kobieta jakoś zareaguje, bo tak właśnie czyni większość ludzi, ale gospodyni tylko wzruszyła ramionami.

– Moja matka dała mi na imię Walburga. Nic na to nie poradzę.

– To prawda.

– Potem wyszłam za mąż. Mój wybrany nazywał się Erich Wahl. Przez samo h, które jest nieme. Walburga Wal. Brzmiało to równie głupio jak Sanela – nazwa margaryny. Kto jednak zwraca na to uwagę, gdy jest młody i zakochany?

Beara napełniła szklankę wodą, ale nie odeszła od zlewu.

– Co się z nim stało? – spytała.

– On... odszedł – odparła kobieta, ocierając szybko oczy dłonią. – To było dawno temu, upłynęło prawie dwadzieścia lat. Próbowałam ciągnąć ten interes, ale jakoś nie potrafiłam. Trzeba wiedzieć, kiedy skończyć.

– Tak mi przykro.

– Nie ma powodu, to przecież mój problem. Może chciałaby pani zadzwonić do pomocy drogowej?

– Oczywiście – odparła Beara.

Sięgnęła do kieszeni, wyjęła telefon i wyszła do sieni. Udając, że z kimś rozmawia, opisała, dokąd trafiła i co jej zdaniem stało się z jej starą jettą. Kiedy uznała, że kobieta usłyszała wystarczająco dużo, wróciła do kuchni.

– Jest dokładnie tak, jak się spodziewałam. Zjawia się tutaj nie wcześniej niż za dwie godziny. Czy sprawi to pani kłopot, jeśli poczekam na nich tutaj?

– Ależ skąd – odparła kobieta i nawet się uśmiechnęła. – Czuję się tak, jakbym znowu obsługiwała gościa w moim zajeździe.

Beara domyśliła się, że rozmawia z gospodynią w odpowiednim tonie. Pani Wahl musi się czuć bardzo samotna w tej prawie wymarłej wsi. Beara gratulowała sobie w myślach pomysłu z zepsutym samochodem. Dzięki temu pani Wahl zyskała okazję ku temu, żeby potraktować ją jako gościa, nie

narażając się przy tym na niebezpieczeństwo, że się jej nie pozbędzie.

Razem zdjęły pranie ze sznurków i razem je poskładały. Potem usiadły w ogrodzie, żeby napić się wody z sokiem z owocu bzu. Walburga oznajmiła, że na ten dzień kończy z praniem, reszta będzie musiała poczekać.

– Przecież mam gościa! – powiedziała.

Uśmiechnęła się przy tym tak chytrze, że Beara zaczęła wachać napój w szklance. Woda i sok, nic więcej. Widocznie już sam jej przyjazd sprawił, że Walburga trochę się rozochociła. Po dwóch godzinach Beara udała, że znowu dzwoni do pomocy drogowej, po czym poinformowała Walburgę, że będzie musiała poczekać dłużej, bo na autostradzie A13 w kierunku Drezna zdarzył się wypadek.

– A gdzie dokładnie? – spytała zaciekawiona Walburga.

Beara odparła, że nie ma pojęcia.

– Pewnie gdzieś w stronę granicy czeskiej – zasugerowała Walburga. – Tam ciągle dochodzi do wypadków.

Beara sięgnęła po dzbanek i dolała sobie napoju.

– W takim razie będę musiała przenocować w aucie – powiedziała. – W okolicy nie ma przecież żadnego zajazdu. Nie tak wyobrażałam sobie mój urlop.

– Jest pani na urlopie?

– Tak. Ostatnio miałam stresujący okres, a na wyjazd na Majorkę mnie nie stać. Dlatego zdecydowałam się na rower i piesze wędrówki.

Beara wymieniła akurat ten rodzaj rozrywek, które w jej hierarchii zajmowały dwa ostatnie miejsca.

– Osiem kilometrów stąd, w Jüterbogu... może tam pani coś znajdzie. Wydaje mi się, że można tam też wynająć rower.

– W takim razie zamówię taksówkę. Czy jest tu gdzieś firma taksówkowa?

– Nie, i to od dawna.

Beara postanowiła, że nigdzie nie zadzwoni, tylko poczeka. I rzeczywiście, już po dwóch minutach Walburga przerwała milczenie i wypowiedziała zdanie, które w jej uszach zabrzmiało jak zbawienie:

– Niech pani przenocuje tutaj.

– Tutaj? Nie mówi pani poważnie.

– Kiedyś działał tutaj zajazd. Na pewno znajdzie się jakiś pokój. Proszę mi tylko pomóc powlec pościel. Nie jestem już tak sprawna jak kiedyś.

– Oczywiście. Za nocleg zapłacę.

– Nie ma takiej potrzeby.

– W takim razie przynajmniej coś ugotuję. Zgodzi się pani?

W odpowiedzi Beara usłyszała niezbyt przekonujące mruknięcie. Dyskretnie rozglądała się po gospodarstwie. Patrzyła na rozwieszzone pranie i bujną roślinność porastającą łąkę, która stopniowo przechodziła w dziko rosnące krzewy ostreżyny. Domyśliła się, że za nimi ciągną się pola. Bruno położył się u stóp Walburgi i obślinał jej pantofle.

– Kiedy tu wjeżdżałam, zauważyłam traktor. To znaczy, że ktoś jeszcze uprawia ziemię?

– To w sąsiedniej wsi. Tutaj od dawna nic się nie dzieje. Przestało się opłacać. Bruksela płaci przecież za to, że rolnicy wylewają mleko, a rzepak przerabiają na benzynę. To grzech, jeśli chce pani znać moją opinię.

Beara wcale tak nie uważała, ale przyznała kobiecie rację.

– Widzę, że ma pani szczypiorek – powiedziała. – Pięknie kwitnie i ładnie wygląda. Czy uprawia pani jakieś warzywa i owoce?

– Znajdzie tam pani wszystko.

Beara zerwała się z krzesła i pobiegła do ogródka. Okrągłe fiołki na soczyście zielonych łodyżkach szły w zawody o urodę z innymi roślinami, które w tych warunkach i tak świetnie sobie radziły, chociaż były pozbawione fachowej opieki ogrodnika. Rabarbar, cukinia, sałata i zielony, jeszcze niezbyt dojrzały agrest.

– Ogórecznik! – zawołała. – I koper!

Pobiegła dalej przez osty i kłującą ostrężynę, a gdy dobiegła na sam koniec ogrodu, zatrzymała się i wydała z siebie okrzyk zachwyty:

– Jabłonie!

U stóp niezbyt wysokiego wzgórza rósł stary sad. Z sięgającej prawie do bioder trawy wyrastały poskręcane, krzywe, sękaty pnie drzew, które przypominały jej lata dzieciństwa. Czereśnie, brzoskwinie, pomarańcze... lato było wtedy świętem. Czasem Sanela odnosiła wrażenie, że nadal czuje tamten zapach. Kiedy Sven przyniósł kiedyś do radiowozu torebkę z truskawkami, ich sztuczny aromat uderzył ją w nozdrza. Był odurzający, przemożny i zbyt rzeczywisty, żeby był prawdziwy. Ale tak właśnie pachniały truskawki w kuchni jej matki, gdy robiła z nich dzemy i kompoty. Do dzisiaj nie potrafi zrozumieć, dlaczego owoce w supermarketach kwaśno pachną i smakują wełną drzewną, a kolorowe słodczyce mają smak prawdziwych truskawek, które trzeba było zjeść od razu po zebraniu, bo inaczej robiła się z nich krwista, słodka jak cukier masa.

Na końcu łąki rosły śliwy obsypane dojrzałymi owocami, których nikt nie zrywał. Spadały więc na ziemię, stając się pożywieniem dla os i ptaków. Beara zebrała garść przejrzałych, ciemnofioletowych śliwek i weszła na szczyt wzniesienia. Usiadła w trawie i ugryzła pierwszy owoc. Był słodki i ciepły od słońca. Musi spytać Walburgi, czy pozwoli jej zabrać trochę śliwek do domu. W innych wsiach ludzie wystawiają przed domy kosze z owocami i warzywami i każdy może się obsłużyć sam: wziąć, ile chce, i zapłacić według uznania, wrzucając pieniądze do skarbonki. W Wendisch Bruch owoce gniły na drzewach. Pewnie zaglądało tu niewielu ludzi.

Przysłoniła oczy dłonią i zaczęła szukać wzrokiem traktora. Żółty pył zdążył opaść, ale pojazdu nie było już widać. Pola przypominały wielkie kolorowe kobierce: len, rzepak, kukurydza, pszenica. Gdzieś w niebo strzelały kępy drzew. Piękny widok! Łagodne, przytłumione kolory. Wprawdzie nie były aż tak efektowne, jak w Alpach albo nad Morzem Północnym, ale za to wzruszały. Beara poczuła się trochę samotna, ale przecież mieszcuchy lubią takie klimaty. Jedna rzecz nie dawała jej spokoju: dlaczego Wendisch Bruch znalazło się w takim położeniu?

Stojąc na wzgórzu, miała przed oczami całą wieś. Stan niektórych dachów wskazywał na to, że właściciele domów dawno się z nich wyprowadzili. W sumie doliczyła się trzydziestu budynków mieszkalnych. Zastanawiała się, w którym z nich dorastała Charlotte Rubin. Może w tym małym, który jest cały porośnięty bluszczem? Albo w którymś z trzech nowych stojących przy wyjeździe ze wsi? W kolonii, gdzie mieszkali przesiedleńcy? Najbrzydszym domu w całej miejscowości?

Wyjęła palcami pestkę z ostatniej śliwki i rzuciła ją wronie złodziejce, dla której ogród Walburgi musiał być prawdziwym rajem. Schodząc ze wzgórza, zebrała tyle owoców, ile mogła udźwignąć. Walburgi nie było już w ogrodzie, ubrana w fartuch czekała w kuchni. Na piecu stał duży garnek z wodą, w zlewozmywaku leżały ziemniaki. Beara puściła wodę, wrzuciła śliwki i umyła je.

– To będzie nasz deser – powiedziała. – Chorwackie buchy ze śliwkami. Czy ma pani jajka, mąkę i drożdże?

Walburga wskazała na drzwiczki obok pieca prowadzące do spiżarni. Beara znalazła w niej wszystko, czego potrzebowała. Zagniotła ciasto i na żelaznej patelni zaczęła karmelizować w cukrze pozbawione pestek śliwki. Okna i drzwi na parterze były otwarte, więc do środka zaczęło wpadać ciepłe powietrze,

które wypierało z pomieszczeń to zimne. Walburga przyniosła z piwnicy połówkę zamrożonego królika.

– Czy tu ktoś poluje? – spytała Beara.

Spodziewała się odpowiedzi w stylu „od dawna już nie”, ale Walburga, która najpierw włożyła królika do mikrofal, żeby go rozmrozić, a potem zaczęła układać w rondelku ziemniaki i przyprawy z ogródka, mruknęła:

– Oczywiście.

Beara poruszyła patelnię. Pilnowała, żeby ani cukier, ani śliwki się nie przypaliły.

– Jak pani tu żyje? Musi być chyba ciężko, skoro mieszkańców ciągle ubywa?

Walburga podeszła do lodówki, wyjęła z niej otwartą butelkę białego wina i napełniła dwa kieliszki. Jeden z nich podała swojemu niespodziewanemu gościowi.

– Można się nim łatwo upić – ostrzegła.

– Naprawdę?

Beara spróbowała napitku. Lekkie, świeże wino stołowe, nadające się doskonale na porę, gdy dzień przechodzi powoli w wieczór.

– Nie, już od dawna.

Była to standardowa odpowiedź Walburgi.

– Kiedy siedziałam na wzgórzu, wpadło mi do głowy, że w każdej wsi mieszkają wielopokoleniowe rodziny. Rozumiem, że wyjeżdżają młodzi ludzie, ale starsi?

– Oni zostali.

– Przecież pani ma najwyżej pięćdziesiąt lat. Mam rację? – spytała Beara, próbując ukryć swoją zuchwałość pod maską nieśmiałego uśmiechu.

– Niech pani doda jeszcze dziesięć.

– Naprawdę? Jeśli wszyscy wyglądają tu tak młodo jak pani, chętnie się tu przeprowadzę.

Walburga pokręciła głową i wyjęła z lodówki tacę.

– Lepiej nie. Za kilka lat zostałaby pani tutaj zupełnie sama. Mężczyźni już się wyprowadzili, a pani jest jeszcze młoda i chyba nawet nie zaczęła jeszcze planować założenia rodziny?

– Nie mam czasu.

– Kim pani jest z zawodu?

– Pracuję w chorwackiej restauracji w Berlinie. Prowadzi ją mój przyjaciel. Czasem jestem kelnerką, czasem robię coś w kuchni.

– Hm... – mruknęła Walburga i spojrzała na ciasto, które leżało w półmisku na stole. Nic nie wskazywało na to, że rośnie.

– Czy dodała pani drożdży?

– Oj, zapomniałam.

Beara zdjęła z pieca patelnię, ale coś jej przy tym prysło na koszulkę.

– Trzeba to od razu zaprać, bo inaczej zostanie plama.

Beara uśmiechnęła się zakłopotana.

– Nie mam nic na zmianę – odparła i od razu ugryzła się w język. No bo kto jedzie na urlop bez bagażu? Wyglądało jednak na to, że Walburga nie zauważyła drobnej wpadki. Wyszła z kuchni, a po pewnym czasie wróciła z podkoszulkiem w ręce.

– Proszę mi ją dać – powiedziała, wskazując na poplamiony T-shirt z napisem „Forty Licks”. – Od razu to zapiorę.

– Dziękuję.

Beara włożyła czystą koszulkę, nie wychodząc z kuchni, tylko na chwilę odwróciła się do gościnniej gospodyni plecami. Uznała, że nie musi przesadzać. Walburga wzięła od niej T-shirt, wyniosła go i zaraz

wróciła. Beara czuła się tak, jak gdyby niosła na plecach worek ziemniaków. Na szczęście koszulka była czysta i miała normalny zapach. Domyśliła się, że Walburga używa łagodnego proszku i suszy rzeczy na świeżym powietrzu. Wzięła jeden z fartuchów wiszących na haku przy drzwiach i opasała się nim.

Walburga jeszcze raz weszła do spiżarni i wróciła z paczką drożdży.

– Powinny pomóc – powiedziała.

– Dziękuję.

W czasie gdy Beara była zajęta drożdżami, Walburga zabrała się za królika.

– Oglądałam niedawno pewien program w telewizji – zaczęła Beara. Zrobiła to jakby mimochodem, robiąc z ciasta kulki tej samej wielkości. – Mówili w nim o jakiejś kobiecie z tych okolic. Podobno było tu pełno dziennikarzy. To prawda?

Beara postanowiła, że poruszy ten temat bardzo ostrożnie. Chciała zobaczyć, jak Walburga zareaguje na jej słowa. Ale gospodyni zachowała się tak, jak gdyby w ogóle jej nie usłyszała.

– Kiedy tędy przejeżdżałam, wydawało mi się, że skądś znam tę wieś, ale w końcu zrozumiałam, że nigdy wcześniej tu nie byłam. To chyba przez ten program. Najpierw pomyślałam, że to dobre miejsce na wycieczkę, ale potem... Mówię o tej zabójczyni z ogrodu zoologicznego w Berlinie. Nazywała się Charlotte Rubin. Znała ją pani?

– Czy to z jej powodu pani do nas przyjechała? – spytała Walburga, wstawiając rondel z powrotem do pieca. – Jeśli tak, to tam są drzwi.

– Oczywiście, że nie. Spytałam, bo media tygodniami trąbiły o tej sprawie i na pewno każdy o niej słyszał. Byłoby dziwne, gdybym będąc w tej wsi, w ogóle o to nie spytała.

– Czy pani jest dziennikarką?

Beara dotknęła złotego krzyżyka, który nosiła na szyi i zdejmowała tylko wtedy, gdy była na służbie.

– Przysięgam na Matkę Boską, że nie jestem dziennikarką.

– Katoliczka?

– Tak.

– No to niech pani traktuje swoje słowa poważnie.

– Tak właśnie robię – odparła Beara. Tylko nie pytaj, czy pracuję w policji, dodała w myślach. Miałabym wtedy prawdziwym problem ze świętym Donatem.

– W porządku. Jestem trochę podejrzliwa. Jeśli ktoś wchodzi do ogródka i nawet nie prosi o zgodę... To było dwa tygodnie temu. Szybko sobie poszli, gdy ich przekonałam, że nie mają tu nic do szukania.

– Mimo to na pewno doszło do sporego zamieszania. Gdyby to się zdarzyło w mojej wsi...

– Tutaj nic się nie wydarzyło.

– Oczywiście, że nie. Ale przecież ta kobieta stąd pochodziła?

– Zależy, jak na to spojrzeć. Rubinowie nie byli stąd, oni się tu kiedyś przeprowadzili. Nigdy nie należeli do naszej społeczności. Kiedyś to była zupełnie inna wieś. Mieszkali tu ludzie wysokiego szczebla z LPG, funkcjonariusze. Widzi pani, my prowadziliśmy nasz zajazd od pokoleń, chociaż w czasach NRD podlegał instytucji o nazwie Handelsorganisation i nazywał się Zajazd Buschwiesen. Niestety po zmianach wszystko się rozpadło, a na prowincji zaroilo się od takich ludzi jak Rubinowie. Mieszkali na osiedlu dla przesiedleńców. Pewnie je pani widziała, wjeżdżając do wsi?

– Koło przekrzywionej tablicy z nazwą wsi?

– Tak. Nie utrzymywaliśmy z nimi bliskich kontaktów. Oni z nami też nie.

Musiało to być dość trudne jak na tak małą wieś, pomyślała Beara. Przecież ludzie mijają się tu codziennie.

– Może właśnie to było głównym powodem – zastanawiała się głośno Beara, nadziewając kulki z ciasta pieczonymi śliwkami. – Obcym zawsze jest trudniej.

– Tu nie chodziło o nas. Tutaj od zawsze istniało coś, co można nazwać funkcjonującą wspólnotą. W domu kultury działała nawet kręgielnia. Niech mi pani wierzy, ludzie w takich małych społecznościach zawsze się cieszą, gdy zjawia się ktoś nowy. Ktoś taki musi się naprawdę mocno napracować, żeby inni go odtrącili. W każdym razie ci Rubinowie byli jacyś dziwni, chociaż nie w stosunku do mnie albo do innych kobiet.

To chyba punkt zwrotny, pomyślała Beara.

– A wobec mężczyzn?

Walburga napiła się trochę wody.

– Krążyły różne pogłoski, ale nie będę ich przytaczać. Istnieją dwa wyjścia: albo robić to, co wszyscy, albo nic. Dla mnie wszystko było tu po prostu zbyt męczące.

– Czy to znaczy, że pani też jest we wsi kimś obcym?

– Nie, a właściwie już nie. Pod warunkiem że liczba mieszkańców utrzymuje się poniżej dziesięciu.

Beara uśmiechnęła się do siebie. Spodobał jej się typ humoru Walburgi. Do kuchni wszedł Bruno. Jego pani postawiła mu na podłodze miskę z wodą. Pies trochę wypił, resztę wychlapał na deski i zaczął się otrząsać. Beara była zadowolona, że mimo upału włożyła długie spodnie.

– Przygotuję pani pokój.

Beara ułożyła ostatnie buchty w foremce i umyła ręce.

– Pomogę pani.

– Nie trzeba. Przecież powiedziałam, że czuję się prawie tak, jak gdybym znowu prowadziła zajazd i obsługiwała klienta.

Proszę bardzo, pomyślała Beara. Zdjęła fartuch i wyszła do pogrążonego w cieniu ogrodu. Upał trochę zelżał. Bruno powłókł się za nią. Może też był zadowolony, że w końcu dzieje się coś nowego? Zbyt wiele roboty i tak tu nie było. Usiadła na starej drewnianej ławce przy ścianie domu. Pies ziewnął szeroko i ułożył się na ziemi.

Beara słyszała, jak Walburga krząta się po pomieszczeniach. Przez chwilę poczuła pokusę, żeby zadzwonić do Gehringa, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Co mu powie? Przecież nawet nie wie, czy poważnie potraktował jej sugestie o udziale drugiej osoby w zabójstwie Leyendeckera. Wiedziała jednak, że wchodząc do domu Rubin, przekroczyła pewną granicę. Tak samo było z jej przyjazdem do Wendisch Bruch – dziury zabitej dechami. Nikt po niej nie wyleje ani jednej łzy.

Z oddali dobiegało bicie dzwonów. Już szósta. Była pewna, że dźwięk nie dochodził z miejscowego kościoła. Nasunęło jej to pewną myśl.

– Bruno? Czy miałbyś ochotę na mały spacer?

Wiejski kościół zbudowano z polnego kamienia. Była to skromna budowla pełna protestanckiej surowości. Na lewo i prawo od głównej nawy stało po sześć rzędów drewnianych ławek. Na jej końcu wznosił się kamienny ołtarz, na którym nie leżał nawet zwykły obrus. Nie było ambony, organów i chóru. Jediną ozdobę wnętrza stanowił wielki krzyż z figurą cierpiącego Chrystusa. Podłoga była wyłożona starymi popękkanymi kaflami. Niektóre z nich ruszały się pod stopami.

Bruno został na zewnątrz. Węszył za czymś, dotykając nosem chłodnych ścian świątyni. Beara przeżegnała się, klękła na stopniach przed ołtarzem i zmówiła szeptem *Ojcze nasz*. W chwili gdy kończyła, w wejściu do kościoła pojawił się cień. Widocznie ktoś wpadł na ten sam pomysł co ona. Wstała, otarła kurz z kolan i się odwróciła.

Przy drzwiach stała stara, wsparta na lasce kobieta. Beara jednak nie była pewna, czy to ta sama staruszka, którą wcześniej widziała w lusterku samochodu.

– Dobry wieczór – powiedziała.

Starala się zachowywać skromnie i pobożnie, aby wyrzeć właściwe wrażenie. Kobieta skinęła głową

i zmierzyła ją od stóp do głów uważnym wzrokiem. Beara zdawała sobie sprawę, że podkoszulek, który dała jej Walburga, jest na nią za duży. Dlatego pod baczным spojrzeniem staruszki poczuła się jak frywolna turystka, która nie zachowuje się w świętym miejscu z należytyм szacunkiem.

– Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku – odparła kobieta.

Głos miała ostry, surowy, suchy. Brzmiał tak, jak gdyby ktoś pocierał papierem ściernym o drewno.

Wykonała kilka ostrożnych kroków w stronę ostatniej ławki. Beara chciała jej pomóc, ale tylko machnęła ręką i usiadła. Stare drewno zaskrzypiało pod jej ciężarem.

– Przyjechałam z wizytą do pani Wahl – wyjaśniła Beara. – Pewnie zauważyła pani mój samochód?

– Z Berlina, prawda? To dość daleko od nas. Nie wiedziałam, że Walburga zna kogoś w stolicy.

– Tak – potwierdziła rozwlekłym głosem Beara, bo żadne inne wyjaśnienie nie wpadło jej do głowy. –

Nie będę pani przeszkadzać.

– Jest pani cudzoziemką? Nie modliła się pani po niemiecku.

– To *Ojczy nasz*. Ta modlitwa istnieje na całym świecie.

Kobieta zmrużyła podejrzliwie oczy. Beara oceniła jej wiek na mniej więcej siedemdziesiąt lat. Pomyślała, że to jedna z owych przekwitłych, postarzałych od ciężkiej pracy i przeciwności losu istot, które z braku zajęć przez cały dzień zajmują się obserwowaniem tego, co robią sąsiedzi. Włosy miała siwiuteńkie, związane na karku w prosty węzeł. Łaska i powykręcane dłonie wskazywały, że cierpi na artretyzm.

– Po co pani tu przyszła? – spytała kobieta.

– Pomodlić się. Mamy piękny wieczór.

Po tych słowach Beara ruszyła w stronę drzwi. Na jej widok Bruno zerwał się z ziemi i zaczął machać ogonem.

– Przyjechała tu pani z powodu Charlotte – kontynuowała staruszka.

Beara zatrzymała się w miejscu.

– Czy pani ją znała? – spytała.

– Wszyscy tu znali tę wariatkę.

Surowa twarz kobiety przybrała jeszcze twardszy wyraz. Mimo to Beara wyczuła, że uda jej się nakłonić ją do rozmowy. Nie wiedziała tylko, jak to zrobić. Odwróciła się i ruszyła powoli w stronę ławki.

– O waszej wsi rozpisywały się wszystkie gazety – zaczęła. – Zdarzały się takie nagłówki jak: „Z tej wsi pochodził potwór”. Trudno z czymś takim żyć.

– Dobrze, że trafiła za kraty.

– A więc pani uważa, że Charlotte jest winna?

– Oczywiście – mruknęła kobieta. Oczy miała jasne i wodniste. – Udowodniono jej winę.

Beara usiadła na ławce. Myślała, że kobieta zaprotestuje, ale nic takiego się nie stało.

– Czytałam w gazetach, że Rubin wyjechała stąd jako młoda dziewczyna. Miała wtedy piętnaście albo szesnaście lat. Jak to możliwe, że w tak młodym wieku spaliła za sobą wszystkie mosty?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Taka to już była rodzina. Alkoholicy, dziwki, ludzie aspołeczni. Pamiętam, że za każdym razem, kiedy ją widziałam, myślałam sobie, że nic z niej nie wyrośnie. Mimo to mężczyźni się za nią oglądali. W wieku dwunastu lat wyglądała jak dwudziestolatka.

W ustach kobiety zabrzmiało to jak oskarżenie.

– A później? Znalazła sobie jakiegoś przyjaciela?

Kolejny błąd! Najpierw pomyśl, potem pytaj, upominała się w myślach Beara. Była tu obca i dlatego nie powinna okazywać aż takiego zainteresowania. Mimo to kobieta nie wyglądała na zdegustowaną.

– Nie. A przynajmniej żaden z nich się do tego nie przyznał. Nikt nie chciał mieć z nimi do czynienia, a na pewno nikt z nas.

– „Z nas” to znaczy...?

– Mam na myśli uczciwych ludzi.

Charlotte na pewno nie była ładną nastolatką. A może w takiej dziurze mieli o tym inne wyobrażenie? Była o głowę wyższa od innych kobiet i poruszała się dość niezgrabnie. Jeśli tak, to co sprawiło, że porządni mężczyźni w Wendisch Bruch wariowali na jej punkcie?

– Nie jest zbyt ładna – stwierdziła Beara.

– Żadna z nich nie była. No, może z wyjątkiem tej małej, która pojawiła się później. Ona była inna. Opiekowała się starym aż do jego śmierci, ale potem też stąd uciekła. Nic jej tu nie trzymało. Gospodarstwo chyliło się ku upadkowi, bo stary wszystko przepił. Było w nich coś podejrzanego. W każdym z osobna. Nawet w tej małej. Czasem, jak się na kogoś spojrzała... – Kobieta aż się trzęsła, wypowiadając te słowa.

– Gospodarstwa nikt nie chciał kupić?

– Było w złym stanie.

W tym momencie Bruno zaskowyczał żałośnie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Beara zerknęła na zegarek. Okazało się, że dochodziła siódma. Walburga na pewno się o nią nie martwi.

– Szczerze mówiąc, jechałam przez tyle wsi, ale żadna nie wyglądała na tak wymarłą jak ta. Pani Wahl wspominała, że tu w ogóle nie ma dzieci. Dlaczego?

Kobieta sięgnęła lewą dłonią po laskę, a prawą chwyciła za oparcie ławki. Beara zerwała się i pomogła jej wstać. Pod cienkim ubraniem wyczuła kości i przestraszyła się, że może jej coś złamać. W końcu staruszka dźwignęła się. Trochę się chwiała, ale stanowczym ruchem dała do zrozumienia, że chce iść sama.

– Dlaczego tu nie ma dzieci? – spytała Beara ponownie.

W odpowiedzi usłyszała krótki przyjazny śmiech. Kobieta dowlokła się w końcu do wyjścia, gdzie powitał ją Bruno. Pies obwąchał ją ostrożnie, jak gdyby wiedział, że powaliłby ją na ziemię jednym machnięciem ogona. Beara poszła za kobietą. W kościele panował chłód, więc kiedy wyszła na dwór, od razu poczuła kontrast. Powietrze było wilgotne i gorące.

– Bo tu nie ma mężczyzn – wyjaśniła staruszka i nie żegnając się z nią, ruszyła w swoją stronę.

– Dlaczego w Wendisch Bruch nie ma mężczyzn? – spytała Beara.

Walburga, która właśnie sięgała po drugą buchtę, zastygła w pół ruchu. Obie siedziały przy kuchennym stole, na którym stały brudne talerze. Po głównym daniu przyszła kolej na przygotowany przez Bearę deser.

– A kto tak twierdzi? Boże, jakie to smaczne.

– Starsza kobieta. Spotkałam ją w kościele.

– Chuda jak patyk?

Beara tylko skinęła głową, bo usta miała pełne jedzenia. Niestety, buchtę nie za bardzo jej się udały. Nie były tak delikatne i słodkie jak te, które pamiętała z rodzinnego domu. To pewnie z powodu trochę innych dodatków i innego pieca. Mimo to jej smakowały. Były jedynym daniem, które przypominało jej o dawnej ojczyźnie. Piekła je, od kiedy sięgała pamięcią. Mogłaby je przyrządzać z zamkniętymi oczami.

– To była Esther. Nie miała lekko w życiu. Jej mąż był piekarzem w naszej wsi.

Beara spodziewała się innego wyjaśnienia.

– Można o nim powiedzieć, że ze swoimi wypiekami obchodził się lepiej niż z własną żoną.

– I dlatego któregoś dnia wepchnęła go do pieca?

Walburga popatrzyła na nią dziwnie.

– Nie do końca... To przykra historia. Wydarzyła się dawno temu i nikt nie chce o niej rozmawiać.

Beara poczuła, jak serce zaczyna jej gwałtownie bić. Jeździła palcem po talerzu pokrytym cukrem pudrem i starała się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Dlaczego ta historia była przykra?

– Ona... właściwie nie wiem, czy powinnam o tym mówić.

No dalej, pomyślała zniecierpliwiona Beara. Przecież nie możesz przerwać w najciekawszym miejscu.

– Może jeszcze trochę wina?

Walburga nalała sobie bez słowa.

– Co takiego zrobiła Esther? – spytała Beara. Odstawiła talerz, przysunęła się bliżej Walburgi i zaczęła mówić ściszym głosem, jak gdyby się bała, że pozostałych siedem kobiet ze wsi stoi pod oknem i podsłuchuje ich rozmowę. – Co się stało z jej mężem?

Wydawało się, że przestraszyła Walburgę swoim tonem. Kobieta spojrzała przerażonym wzrokiem przez okno do ciemnego ogrodu.

– Znaleziono go w korycie.

– W korycie na paszę dla zwierząt?

– Nie, to właściwie była dzieża. Dawniej robiono je z drewna, teraz ze stali nierdzewnej. Piekarze zarabiają w nich ciasto do wypieku pieczywa. Ciasto rośnie przez noc, a nad ranem wygniata się z niego chleb i piecze.

Walburga odłożyła na talerz buchtę, którą trzymała w ręce. Twarz miała obsypaną cukrem pudrem.

– Co się stało z mężem Esther?

– Wpadł do dzieży i się udusił. Pewnie był pijany i chciał jeszcze raz sprawdzić stan ciasta. I wtedy się to stało. Szczegóły są nieznane, bo nikogo przy tym nie było.

– Jak można się udusić w takiej dzieży?

– Tego nie wiem. Ludzie umierają na różne sposoby. Lekarz stwierdził, że mąż Esther się udusił. Przyjechała policja, przeprowadziła śledztwo, ale i ona doszła do wniosku, że to był nieszczęśliwy wypadek. Tamta dzieża była mniej więcej taka duża – wyjaśniła Walburga, unosząc ręce mniej więcej na metr od ziemi. – Była wypełniona ciastem do połowy. Mąż Esther był w nim zanurzony do pasa.

– Jezus Maria – zawołała Beara, wypijając resztę wina ze szklanki. – Żeby słuchać takich historii, trzeba mieć alkohol pod ręką.

– Ja też tak uważam.

– A Esther?

– Przez rok chodziła w żałobie, a potem żyła, jak gdyby nic się nie stało.

– Kiedy to się wydarzyło?

– Boże, musiałabym się nad tym zastanowić. Na początku lat dziewięćdziesiątych? Esther jeszcze przez jakiś czas prowadziła tę piekarnię, ale nie wiodło jej się już tak dobrze. Nic dziwnego. Kto chciałby kupować chleb w piekarni, w której dawny właściciel... wie pani, co chcę powiedzieć. Od tamtego wypadku ludzie stali się podejrzliwi, zaczęli się zastanawiać, co tam jeszcze mogło wpaść do dzieży. Esther kupiła nową, ale i to nie pomogło. Po dwóch latach zamknęła interes i od tamtej pory całe dnie wysiaduje przy oknie.

Beara wstała z krzesła i wzięła szklankę, którą Walburga napełniła przed chwilą winem. Podeszła do okna, wychyliła się i zaczerpnęła powietrza. W Wendisch Bruch rzeczywiście mieszkały zadziwiające kobiety.

– A pozostali mężczyźni? – spytała, odwracając się tyłem do okna.

Walburga wstała od stołu, żeby zebrać naczynia i włożyć je do zlewozmywaka.

– Gdzie oni wszyscy są?

Nie pij tyle, pomyślała, biorąc duży łyk.

– Myślę, że na dzisiaj już i tak opowiedziałam wystarczająco dużo – odparła Walburga. – Na tym skończę, bo inaczej pani nie zaśnie. Chce pani obejrzeć swój pokój?

Beara zrozumiała, że tego wieczoru nic ciekawego już z Walburgi nie wyciągnie, i dlatego od razu zgodziła się na jej propozycję. Pokój znajdował się na pierwszym piętrze. Był mały, pachniał kulkami przeciw molom i wybielaczem do bielizny. Znajdowały się w nim dwa dwuosobowe łóżka i szafa, która przy otwieraniu drzwi przeraźliwie skrzypiała. Przy ścianie stała miednica. Na świeżo powleczonej pościeli zobaczyła dwa ręczniki i wyblakłą od prania bawełnianą nocną koszulę w kwiaty. Walburga kilka razy usprawiedliwiała się przed Bearą za tak skromne warunki. Tłumaczyła to tym, że od lat nikt u niej nie nocował. Potem życzyła jej spokojnej nocy i wyszła.

Beara usiadła na łóżku, które ugięło się pod jej ciężarem. Mogłaby po nim skakać jak na trampolinie. Kiedy kroki Walburgi ucichły, wyjęła z kieszeni telefon komórkowy. Pokusa, aby zadzwonić do Gehringa, stała się nie do odparcia. Ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu, bo wiedziała, że jej rozmowa i tak zostałaby przekierowana na jedną z automatycznych sekretarek na komendzie.

Zresztą czym mogłaby go zainteresować? Niczym. Być może w tym, że we wsi pozostały same kobiety, nie ma nic niezwykłego. Musi się jednak dowiedzieć, dlaczego do tego doszło. Jeśli się okaże, że wszyscy mężowie tych kobiet zeszli z tego świata w tak nietypowy sposób jak mąż Esther, to na początek będzie już coś miała.

Położyła się i zamknęła oczy. Dopiero teraz poczuła śmiertelne zmęczenie. Poza tym nadal bolało ją ramię. Chciała się jeszcze podnieść, żeby wyjąć z torebki tabletkę przeciwbólową, ale już jej się to nie udało.

Rozdział 21

Jeremy zerknął na zegarek Cary. Dochodziła dziesiąta wieczorem, a oni ani razu nie poruszyli w rozmowie tematów związanych z Charlie Rubin. Było to możliwe dzięki temu, że Cara opowiadała mu przez cały czas zabawne historie ze swojej praktyki weterynaryjnej, a on odwzajemniał jej się wyznaniem na temat swojego dotychczasowego życia. Problemy związane z ojcem przemilczał. Piękne chwile i pełnia szczęścia trwały do momentu, gdy poprosił o rachunek. Potem nadeszła chwila, której obawiali się najbardziej.

Obserwowali życie toczące się na Simon-Dach-Strasse i milczeli. Tętniąca życiem ulica, ciągnąca się przez Friedrichshain nie wydawała mu się aż tak pospolita jak to, co można zaobserwować na Kurfürstendamm albo Schönhauser Allee. W ogródkach przed kawiarniami i restauracjami brakowało wolnych miejsc. Ulicą przewalał się tłum ludzi. Mimo dość późnej godziny Jeremy zauważył wózki z dziećmi.

– To dobrze, że zgodziłaś się porozmawiać z profesorem – powiedział takim tonem, jak gdyby chciał pokazać, że wspomina o tej sprawie jakby mimochodem. Policzył resztę, którą dostał od kelnera, i zostawił na stole suty napiwek.

– Przecież umówiliśmy się, że nie będziemy rozmawiać o Charlie.

– Nie ma obawy – odparł z uśmiechem Jeremy. – Chciałem tylko powiedzieć, że jesteśmy ci wdzięczni.

– Hm... To nie wdzięczności od ciebie oczekuję.

– Tak? – podchwycił temat Jeremy. Od razu poczuł, jak rośnie w nim pożądanie. – A czego?

Spornitz zaczęła się bawić z niewinną miną górnym guzikiem bluzki. Robiła to w taki sposób, że każdy bystry obserwator od razu by się domyślił, co jej chodzi po głowie. A przecież Jeremy uważał się za bardzo uważnego obserwatora.

– Może zaprosisz mnie na jeszcze jednego drinka? Skoro już jestem w wielkim mieście...

– Jest już późno.

Pani Katz umówiła Spornitz z profesorem na ósmą trzydzieści, więc Jeremy nie chciał stwarzać Brockowi okazji do kolejnych słów krytyki.

– Skończyłeś już osiemnaście lat, ja zresztą też – odparła Spornitz. Chciała się podnieść z krzesła, ale Jeremy ją powstrzymał.

– Caro, zawarliśmy umowę.

– Wiem. Ani słowa o Charlie.

– To niemożliwe. Przynajmniej nie teraz.

– Co takiego? – spytała Spornitz, patrząc na niego ze zdziwieniem. – Boisz się, że zaciągnę cię do łóżka?

– Tak.

Jego szczerość rozbroiła ją. Oparła się o krzesło, a jakaś para, która właśnie się szykowała, żeby zająć zwolniony przez nich stolik, odeszła z rozczarowanymi minami. Mężczyzna niósł na plecach śpiącego niemowlaka.

– Wiedziałam... Za każdym razem kiedy przedtem jestem głodna, zwiastuje to coś niedobrego. Dostanę

choć deser?

Jeremy podał jej z uśmiechem menu. W innych okolicznościach nie miałby nic przeciwko temu, żeby kontynuować to spotkanie. A propos, Cara powinna się zastanowić nad sposobem, w jaki się z nim rozstała. Nadal brzmiały mu w uszach jej okropne słowa wypowiedziane w Wörlitz. Domyślał się, że uczyniła to jakby w samoobronie, ale sposób, w jaki ludzie reagują na rozczarowanie albo stres, wiele o nich mówi. Cara zachowywała się jak rozpieszczona jedynaczka, chociaż wychowywała się w wiejskim gospodarstwie, to znaczy w środowisku, które zostawia niewiele miejsca na prywatność.

Spornitz opuściła menu i zaczęła się zachowywać tak, jak gdyby chciała spojrzeć na niego ukradkiem.

– Karaluch czy bakteria coli? – spytała.

– Na deser? – zdziwił się Jeremy.

Spornitz złożyła menu i rzuciła je na stolik.

– Na deser zamawiam ciepłe ciastko czekoladowe z lodami waniliowymi. Chciałam tylko sprawdzić, co ci chodzi po głowie, bo tak dziwnie na mnie patrzyłeś.

– Nic takiego – uśmiechnął się Jeremy. – Myślę już o tym, co będzie jutro i jak potraktuje cię Brock. Przykro mi. Ta sprawa zajmuje mnie bardziej, niż chciałem.

– Czy masz jakieś rodzeństwo?

– Nie. A tak przy okazji: partnerka mojego ojca jest w moim wieku. Działa mi na nerwy tak bardzo, jak gdyby była moją siostrą.

W ich stronę przeciskał się przez tłum podenerwowany kelner, który prawdopodobnie był studentem i dorabiał sobie wieczorami w restauracji. Widać było po nim, że chyba stracił kontrolę nad tym, co się dzieje w lokalu. Spornitz zamówiła swój deser, a Jeremy dwie kawy espresso. Para, która chciała zająć po nich stolik, nadal szukała wolnych miejsc. Niemowle obudziło się ze snu.

– Jakich pytań mogę się jutro spodziewać?

– Myślę, że profesor będzie pytał głównie o wasze dzieciństwo na wsi. Twoja siostra niewiele nam o tym opowiedziała.

– Nie bardzo wiem, czy będę mogła wam pomóc. Charlie wyprowadziła się, gdy miałam jedenaście lat. Zachowałam niewiele wspomnień z tamtego okresu. Brud, deszcz, chłód. Ciągłe było mi zimno. Zimą nasz dom był rzadko opalany.

Jeremy położył dłoń na jej ręce. Ucieszył się, że jej nie cofnęła.

– Nie teraz. Jutro.

Dziecko zaczęło marudzić. Ojciec próbował je uspokoić, kołysząc się na obie strony, ale niewiele to pomogło.

– Okej. Powinieneś wiedzieć, że tak naprawdę to my się z Charlie bardzo kochamy.

– Chociaż od wielu lat się nie widziałyście?

– Każda z nas ma własne życie.

Dziecko rozplakało się na dobre. Spornitz rozejrzała się niezadowolona, ale była jedyną osobą w lokalu, której to przeszkadzało. Głośna muzyka i głośne rozmowy zagłuszały płacz malucha.

– Ale mieszkacie trochę więcej niż sto kilometrów od siebie. Kiedy zaczęłyście tracić kontakt?

– Takie rzeczy się zdarzają – odparła Spornitz.

Jeremy czuł, że w miarę narastania płaczu dziecka uścisk jej dłoni stawał się coraz mocniejszy.

– A kiedy ty widziałeś się ostatni raz z twoją matką?

– W Boże Narodzenie.

– Z obowiązku czy z własnej woli?

– Z obowiązku, jeśli mam być szczery.

– Sam widzisz. Charlie i ja...

Spornitz przerwała i zerknęła nerwowo w stronę ojca płaczącego malucha, który stał w tłumie ludzi zajęty rozpinaniem szelek. Mało brakowało, a zepchnąłby na podłogę jedzenie stojące na czteroosobowym stoliku. Siedzący przy nim goście roześmiali się i podali płaczące dziecko matce, która na pewno wyobrażała sobie ten wieczór całkiem inaczej.

Kelner przyniósł im w końcu zamówioną kawę. Część zawartości rozlała się na spodeczki. Cara wysunęła dłoń spod ręki Jeremy'ego i sięgnęła po cukier.

– Co to ja chciałam powiedzieć... Aha! Nasze stosunki z rodziną tak nie wyglądały.

Zamieszała kawę. Jej ruchy stały się nagle gwałtowne. Mało brakowało, a wyrzuciłaby filiżankę, rozlewając resztę kawy.

Kobieta wzięła dziecko na ręce i chciała je uspokoić, ale było to skazane na niepowodzenie. Maluch darł się na cały głos. Spornitz siedziała coraz bardziej sztywna. Drżącym ruchem uniosła filiżankę do ust i chciała się napić, ale w tym samym momencie dziecko podjęło wysiłek, aby nadludzką mocą wyrwać się z objęć matki. Spornitz trzasnęła filiżanką o blat stolika.

– Niech pani je uspokoi! – krzyknęła w stronę zdumionej jej zachowaniem kobiety. – Niech pani wyniesie stąd to dziecko!

Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. Rozmowy na sali ucichły jak nożem uciął, a jednocześnie krzyk dziecka osiągnął takie wyżyny, że na pewno był słyszalny dla wszystkich w promieniu stu metrów. Spornitz zerwała się z krzesła i zatkała sobie uszy.

– To nie do zniesienia! Zabierzcie stąd tego bachora! Słyszysz pani, co mówię, czy jest pani głucha?

W sali rozległy się pojedyncze niechętnie komentarze. Niestety, były one skierowane nie przeciwko matce z dzieckiem, tylko Spornitz. Jeremy zerknął na rachunek i rzucił na stolik dwadzieścia euro.

– Niech pani się sama stąd zabierze – odgryzła się kobieta, przyciskając do piersi płaczące niemowlę. – Dziecko płacze przez takich jak pani.

– Niech ono w końcu przestanie! – krzyknęła Spornitz.

Jeremy podbiegł do niej i chwycił ją za rękę. Żegnani mało pochlebnyymi komentarzami precyzyjnie się na chodnik. Kiedy Jeremy obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy czegoś nie zapomniał, zauważył, że matka dziecka zdążyła już zająć miejsce Cary. Po chwili uniosła bluzkę i zaczęła karmić malucha.

Spornitz opuściła ręce. W oczach miała łzy. Jeremy pociągnął ją za sobą, dwie ulice dalej stał jego samochód. Dopiero gdy oparła się o dach wozu, ale nie wykazywała ochoty, żeby do niego wsiąść, Jeremy zauważył, że cała drży.

– Już po wszystkim – powiedział. Chciał ją wziąć za rękę, ale odtrąciła go.

– Daj mi spokój.

– Czy zawsze tak się zachowujesz, słysząc płaczące dzieci? – spytał.

Uniosła dłoń do oczu i skinęła głową.

– Dlatego zawsze wkładam stopery. Najgorzej jest w kolejce miejskiej i w samolocie. Przeszkadzają mi, kiedy idę coś zjeść. – Odwróciła się do niego z bojaźliwym uśmiechem na twarzy. Nadal drżała. – Po prostu nie jestem w stanie tego znieść. Niektórzy ludzie nie znoszą dźwięku pisania kredą po tablicy, a ja tak reaguję na płacz dziecka. Alergicznie.

Jeremy nie wiedział, jak się zachować wobec tak dziwnego stwierdzenia. Nigdy nie zastanawiał się poważnie nad dzieckiem w kontekście swoich związków z kobietami. A jeśli nawet, to z góry wiedział, że to kwestia odległej przyszłości. Nigdy jednak nie spotkał kobiety, która takiej wizji sprzeciwiałaby się aż tak gwałtownie. Zwłaszcza z takiego powodu.

– Czy to alergia na małe dzieci? – spytał.

Spornitz wzruszyła bezradnie ramionami.

– Myślę, że to chyba zupełnie nowy rodzaj choroby. Może właśnie o niej powinienam porozmawiać

z twoim profesorem? Ja lubię dzieci, naprawdę. Nie mam nic przeciwko temu, kiedy krzyczą, biegają, wrzeszczą albo kopią puste butelki. Niemowlęta są takie słodkie i milusie, gdy gaworzą albo śpią. Ale gdy zaczynają się drzeć, marzę tylko o tym, żeby zatkać uszy i uciec jak najdalej. Jesteś rozczarowany?

Jeremy otworzył drzwi od strony pasażera.

– Nie. Uważam jednak, że ich zachowanie było naprawdę uciążliwe. Ludziom brakuje odwagi, żeby przeciwko czemuś takiemu zaprotestować. Ale nie musiałaś na nią aż tak krzyczeć.

– Ona i tak była głucha. Nie zauważyłaś?

Spornitz zachichotała, przeszła koło niego i wsiadła do samochodu. Jeremy zamknął za nią drzwi. To była ta sama Cara, co przedtem. Humor znowu jej wrócił. W jednej sekundzie przeżywa prawdziwą tragedię, a już w następnej tryska radością. Zachowuje się tak, jak gdyby świat był areną cyrkową, życie orkiestrą, która w jednej chwili zmienia tonację molową na durową, a ona klaunem.

Uśmiechnęła się do niego przez szybę samochodu, ale Jeremy wiedział, że jej serce płacze.

Rozdział 22

Pani Katz przygotowała kawę. Okazało się też, że w przypływie niezwyklej życzliwości kupiła pudełko ciastek. Nie bacząc na jej karcący wzrok, Jeremy sięgnął po swoje ulubione czekoladowe wafelki. Pierwszy rozpuścił mu się na języku, gdy zajął miejsce w poczekalni, czekając na przyjście Cary.

Nie zaproponował, że po nią przyjedzie, ale ona też go o to nie poprosiła. Po tym, jak poprzedniego wieczoru odwiózł ją do niewielkiego pensjonatu na ulicy Fasanenstrasse i serdecznie, choć niezbyt czule się z nią pożegnał, przez cały czas rozmyślał o napadzie złości, który u niej zaobserwował. A gdy w domu okazało się, że jego ojciec jeszcze nie śpi, tylko siedzi przed kominkiem i czyta, nie podszedł do niego, żeby się jak zwykle krótko przywitać, tylko opadł na skórzaną angielską kanapę. Henny nie było w domu, bo nie gustowała w tego typu rozrywkach; wolała się umówić z przyjaciółkami w jednym z barów.

Jason Saaler opuścił zbiór esejów Francisa Bacona, a kiedy się domyślił, że Jeremy chce z nim porozmawiać, odłożył książkę na stos innych dzieł słynnych autorów, takich jak Alain Badiou, Platon, Donald Davidson czy Richard Rorty. Były to lektury, które często polecał swojemu synowi. Niestety Jeremy wzgardził nimi na rzecz takich autorów jak Safranski czy Sloterdijk, którzy wśród prawdziwych znawców filozofii wywoływali pełen wyższości uśmiech. Byli to współcześni harcownicy salonowi, którzy proces myślenia dostosowywali do wymagań nocnych programów uwielbianych przez nadawców publicznych. Tak przynajmniej uważał Jason Saaler.

– Nie przeszkadzam? – spytał Jeremy.

Saaler zdjął okulary. Szacowny półmrok jego biblioteki, błyszczące grzbiety książek na półkach, ledwo napoczęta szklaneczka whisky na stoliku przy kanapie – wszystko to tworzyło ramy i tło obrazu, który Saaler prezentował chętnie w nielicznych wolnych chwilach. Patriarcha wieczorową porą... Byłaby to prawdziwa ocena, gdyby nie głębokie bruzdy na twarzy i zmęczone oczy. Na taki wygląd pozwalał sobie tylko wtedy, gdy jego syna nie było w pobliżu.

– Nie. Jak leci na praktyce u Gabriela?

– Dobrze – odparł Jeremy, który wcale nie zamierzał opowiadać ojcu o swoich ostatnich kłopotach. – Chciałbym cię spytać, czy słyszałeś kiedykolwiek o czymś takim jak fobia na dzieci i o tym, co ją może wywołać.

– Masz na myśli strach przed ciążą? – spytał Saaler.

Sięgnął po szklanekę, napił się trochę whisky, a potem ruchem głowy wskazał Jeremy'emu dobrze zaopatrzone barek. Jeremy uniósł ręce w obronnym geście.

– Nie – odparł. – Mam na myśli niemowlęta, a ściślej mówiąc, ich płacz.

– O, tak – stwierdził z ulgą Saaler i się uśmiechnął. W pierwszej chwili pomyślał, że jego syn chce go w ten sposób poinformować o niechcianej ciąży. – Myślę, że nie ma ani jednego człowieka, który byłby w stanie wytrzymać to na dłuższą metę. Oczywiście z wyjątkiem matki dziecka. A dlaczego pytasz? Czyżby w twoich planach życiowych pojawiły się jakieś dziedziny, które zgłębiłeś bez mojej wiedzy?

Jeremy pokręcił głową.

– Chodzi o moją znajomą. Dziś wieczorem po raz pierwszy w życiu widziałem, jak ktoś stracił nad

sobą panowanie z powodu płaczu dziecka.

– Jaka szkoda, że wspomnienia z twojej przeszłości zaczynają się do ciebie przebijać dopiero teraz. Gdyby nie to, od dawna byś wiedział, że od twojego głosu pękały buteleczki z perfumami Lalique stojące w szafie twojej prababki.

Jeremy roześmiał się wbrew swojej woli. Od dawna mu się to nie zdarzyło w obecności ojca. Już samo to pokazywało, jak rzadkie bywają w tym domu zachowania oparte na uczuciach. Śmiech, złość, niecierpliwość, potrzeba impulsywnego zakomunikowania czegoś – czy to wszystko kiedykolwiek tu się zdarzało? A może po prostu już o tym nie pamiętał?

– Byłem aż tak nieznośny?

– Żywe wcielenie diabła. Przez wiele miesięcy bałem się wracać do domu przed dziesiątą wieczorem. Wprawdzie bardzo mi to pomogło w zrobieniu kariery, ale jeśli kiedykolwiek myślałem, że uniknę twoich wybuchów złości, bardzo się myliłem.

– Nie wiedziałem o tym.

– Twoja matka wzięła większość z nich na siebie. Spadło na nią wiele obowiązków. Ale nie o tym chciałeś ze mną rozmawiać. Wspomniałeś o fobii na krzyk niemowlęcia. Jak się ta fobia uzewnętrznia?

– Złe samopoczucie, nerwowość, drżenie, panika.

– Hałas wpędza w szaleństwo coraz więcej ludzi. Pewnie słyszałeś o przypadkach, gdy jeden sąsiad zastrzelił drugiego, bo ten postanowił skosić trawę o zbyt wczesnej godzinie?

– Całkiem możliwe – odparł Jeremy. Zauważył, że rozmowa z ojcem sprawia mu przyjemność. – Ale to dość selektywne spostrzeżenie. Głośno było przez cały wieczór. Śmiechy, ludzkie głosy, trąbienie klaksonów, muzyka – nic z tego nie stwarzało żadnych problemów. Kłopot pojawił się dopiero wtedy, gdy tamto dziecko zaczęło płakać.

– A kim jest ta młoda dama?

Siostra kobiety oskarżonej o sadystyczne morderstwo?

– Moja znajoma.

– Coś poważnego? Czy wyraziła chęć posiadania dziecka?

– Na pewno nie ona.

Saaler położył rękę na oparciu kanapy. Nad czymś się zastanawiał.

– Czy ma rodzeństwo? – spytał w końcu.

– Tak, siostrę. Ale po tym, co zdarzyło się tego wieczoru, nie jestem już tak pewien, czy chcę pogłębić tę znajomość.

– Nie podchodź do tego z taką powagą – stwierdził Saaler.

Jeremy zdziwił się, słysząc taką odpowiedź, bo mu się wydawało, że wszystko, co odbiega od norm rzeczywistych albo urojonych, należy odrzucić.

– Może miała okres? Albo migrenę? Czy ona ma dzieci?

– Nie – odparł zaskoczony tym pytaniem Jeremy. O to jej jeszcze nie pytał.

– Jesteś pewien? Przecież to twoja... jak ją nazwałeś... znajoma. Może na tym tak delikatnym etapie wstępnej znajomości nie wypada się jeszcze zwierzać z całej sytuacji rodzinnej?

– Gdyby miała dzieci, nie zareagowałyby w tak dziwny sposób.

Saaler długo mu się przyglądał.

– A może miała dziecko i je straciła?

Jeremy dopiero po kilku sekundach zrozumiał sens pytania.

– Nie – odparł, wstając z kanapy. – Nie sądzę. Masz na myśli adopcję albo poronienie? Trudno mi to sobie w jej wypadku wyobrazić.

– Jeremy, czy muszę ci stale przypominać, że ludziom nie powinno się w zasadzie zaglądać

w przeszłość?

– Wykluczone.

– Może nie donosiła ciąży i widok małych dzieci wprawia ją w zły humor? Czy zachowywała się agresywnie?

– Oczywiście. Nawet nakrzyczała na matkę dziecka.

– Czy jest sympatyczna?

– Bałem się, że dostanie jakiegoś napadu. Cała się trzęsała i gdybym nie zareagował, mogłaby się nawet porwać na tę kobietę, a potem na jej towarzysza w sportowych sandałach, który się głupkowato uśmiechał.

– Mój drogi, ja nie mam nic przeciwko sandałom. Mimo to... Z tego, w jaki sposób przedstawiłeś mi tę sprawę, wynika, że twoja znajoma ma najwyraźniej problem z płaczącymi dziećmi. W dzisiejszym świecie, gdzie wszystko nastawione jest na maksymalne zaspokojenie własnych potrzeb, należy to uznać za rzecz normalną. Nie martw się tym. Domyślam się, że to niezwykła młoda dama, która trzyma się z dala od popularnych norm. Nigdy wcześniej nie rozmawiałeś ze mną o twoich przyjaciółkach.

Jeremy zdusił przekleństwo.

– Ona nie jest moją przyjaciółką, tylko znajomą. Nikim więcej.

– Mimo to zaprosz ją do nas.

– Żebyś mógł przeprowadzić na niej jedną z twoich analiz?

– Żebyśmy przynajmniej co jakiś czas zachowywali się tak, jak gdybyśmy byli zwykłą rodziną.

– Wszystko w porządku? – spytała pani Katz.

Podala Jeremy'emu talerzyk, żeby mógł na nim położyć wykradzione ciastka czekoladowe. Połowa polewy stopniała mu w dłoni, wyszedł więc szybko do łazienki, żeby zmyć ją z palców, i w tym samym momencie usłyszał gong do drzwi.

A więc jednak! Cara zjawiała się punktualnie. Miał nadzieję, że dziwaczne rozważania jego ojca nie dokonały spustoszenia w jego głowie. Adopcja. Buzia dziecka. Aborcja. Wzdragał się na samą myśl o takich sprawach. Kiedy witał się z Carą, robił wszystko, żeby ukryć przed nią ponure myśli.

Spornitz zjawiała się ubrana na biało. Jeremy nie wiedział, czy w nocy zdążyła wyprać ciuchy ręcznie i wyprasować je, czy też w bagażniku trzyma walizkę z idealnie czystym zestawem bluzek i spodni. W każdym razie wyglądała olśniewająco i tak niewinnie, że nawet pani Katz, która miewała zazwyczaj niesprawiedliwe i łatwe do przewidzenia opinie, uśmiechnęła się do niej na powitanie.

– Nie przyszłam za wcześnie? Albo za późno? – spytała Spornitz, lekko dysząc. Zerknęła przy tym na zegarek.

– Przyszła pani punktualnie. Pan profesor już czeka – odparła pani Katz. Przy okazji podsunęła Jeremy'emu talerzyk z ciastkami, żeby go zabrał do gabinetu profesora.

– Pójdę z tobą – powiedział.

Tym razem pani Katz nie zdążyła już unieść brwi ze zdziwienia, słysząc, jak Jeremy zwraca się do klientki per ty, bo w tej samej chwili zadzwonił telefon. Pani Katz rzuciła jak zwykle kilka frazesów na powitanie. Jeremy chciał już wejść z Carą do gabinetu, ale Katz uniosła rękę, dając im znak, żeby poczekali.

– Tak, jest tutaj – powiedziała do słuchawki. – Chwileczkę, już łączę.

Wcisnęła wewnętrzny numer Brocka i odłożyła słuchawkę.

– Muszę panią poprosić, aby pani przeszła na chwilę do poczekalni.

Spornitz spojrzała pytającym wzrokiem na Jeremy'ego, ale on też nie wiedział, o co chodzi, i dlatego tylko skinął głową. Poszedł za nią do przedpokoju, przytrzymał drzwi i wcisnął jej do ręki talerzyk

z ciastkami. Ze względu na swoją śnieżnobiałą bluzkę Spornitz trzymała go jak najdalej od siebie.

– Zaraz wracam – powiedział Jeremy. – O nic się nie martw. To nie boli.

Mówiąc to, uśmiechnął się uspokajająco. Później przypomniał sobie te słowa, ale w kontekście tego, co z początku wydawało mu się jasne i przewidywalne, a co zakończyło się katastrofą, zabrzmiały jak „Mane, tekell, fares”. Potem wrócił do pani Katz, która z zatroskaną miną zaczęła układać resztę ciastek według wielkości.

– Dzwoni prokurator – powiedziała cichym głosem. – W sprawie tej Rubin.

Rozmowa nie trwała dłużej niż trzy minuty, ale Jeremy’emu wydawało się, że upłynęła cała wieczność. W końcu usłyszał, jak Brock otwiera drzwi gabinetu i zamienia z Carą kilka słów.

– Mogę pana poprosić?

Profesor skierował te słowa do Jeremy’ego, który widząc jego poważną minę, zrozumiał, że wydarzyło się coś złego. Wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi, żeby Cara nie usłyszała ich rozmowy. Domyślił się, co się stało.

– Charlotte Rubin nie żyje – powiedział cicho Brock. – Dzisiaj w nocy popełniła samobójstwo.

Rozdział 23

W pokoju było ciemno, ale ptaki już się obudziły i śpiewały tak głośno, że Beara w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje. Powietrze, którym oddychała, było świeże, soczyste i pachniało wilgocią. Leżała w staromodnym łóżku jak w hamaku. Z trudem zsunęła z siebie ciężką kołdrę i usiadła.

Czyżby miała kaca? Ledwo trzymała się na nogach. Powlokła się wzdłuż ściany do okna i rozsunęła firanki, ale oślepiona światłem dnia natychmiast zasłoniła oczy dłońmi. Słońce już wstało, ale ranek był jeszcze wczesny i wszędzie panowała zupełna cisza. Jej oczom ukazały się łagodne wzgórza i uprawne pola. Nad doliną unosiły się opary mgły, z lasu wysunęło się stado saren, które ostrożnie weszły na łąki ciągnące się za Wendisch Bruch aż po widoczne w oddali uprawy kukurydzy i rzepaku. Niewinność i piękno, pomyślała Beara. Nic nas tak nie porusza jak widok rajy przed upadkiem człowieka. Z okna dostrzegła jabłonie, a gdy się wychyliła, po prawej stronie ujrzała kościół. Która to właściwie godzina?

Z trudem dowlekła się do miednicy, nalała lodowatej wody i zaczęła opłukiwać twarz. Po omacku sięgnęła po ręcznik, żeby się wytrzeć. Dopiero potem rozejrzała się dokładnie po pokoju.

Zasnęła w ubraniu, ale zdążyła przynajmniej zdjąć buty, które teraz stały obok łóżka. Nie potrafiła sobie przypomnieć, jak się tutaj znalazła. Wkładając buty, czuła się tak, jakby miała dziewięćdziesiąt lat. Drżące palce, niepewny chwyt. Co się, do cholery, dzieje? Co to wszystko znaczy?

W tym momencie usłyszała dźwięki muzyki. *Grane smo na vjetru*, utwór, który ochrypłym głosem śpiewa Darko Rundek. To sygnał dzwonka w jej telefonie. Gorączkowo zaczęła szukać torebki. Uniosła kołdrę, rzuciła się na podłogę, żeby sprawdzić pod łóżkiem, ale znalazła tam tylko grubą warstwę kurzu i paprochów. Wyprostowała się, lecz od razu oparła się o krzesło, bo zakręciło jej się w głowie. Podeszła do drzwi. Czy człowiek może się tak głupio zachowywać? W końcu uznała, że zostawiła telefon na dole. Z całej siły zaczęła szarpać klamkę, aż w końcu drzwi ustąpiły. Z impetem uderzyły o ścianę, a ona zbiegła schodami na dół.

W kuchni nikogo nie było. Na stole stał słoik marmolady i koszyczek z chlebem, obok leżała kartka o treści „Smacznego”. Jej torebka leżała obok zlewozmywaka. Beara rzuciła się w jej stronę i wyjęła telefon w ostatniej chwili, zanim włączyła się automatyczna sekretarka. Gehring. Niech to szlag! Zrozpaczonym gestem przejechała dłonią po włosach. Nie chciała odebrać tej rozmowy, ale automatycznie to zrobiła.

– Słucham.

– Pani Beara?

Nie było sensu kłamać.

– Tak.

– Wiem, że jest pani na zwolnieniu lekarskim, mimo to postanowiłem zadzwonić, żeby poinformować...

Czy czuje się pani dobrze?

– Tak sobie – odparła i jakby na potwierdzenie zakaszła lekko do słuchawki.

– Rozumiem. Charlotte Rubin popełniła dziś w nocy samobójstwo w areszcie śledczym.

Z początku Beara pomyślała, że to żart. Potem, że się chyba przesłyszała.

– Co takiego? Co pan powiedział?

– Przykro mi.

Beara usiadła na krześle. Jej zwoje mózgowie najwidoczniej nie pracowały jeszcze pełną parą. Od czasu do czasu coś się w nich zacinało. Rubin nie żyje?

– Odebrała sobie życie, a ponieważ jej sprawa tak bardzo leżała pani na sercu, postanowiłem przekazać tę wiadomość osobiście.

Beara przecierała oczy, jak gdyby chciała przyspieszyć w ten sposób proces myślenia.

– Bardzo mi przykro – powtórzył Gehring cicho.

– Powiedział pan: w areszcie śledczym? Jakim sposobem?

– Za pomocą spinacza do papieru. Policja w Reinickendorfie prowadzi śledztwo w tej sprawie. Całkiem możliwe, że skradła go w biurze biegłego.

– Spinacz do papieru? – powtórzyła Beara. Może go jakimś sposobem wygięła i połknęła? Ale przecież nawet gdyby doznała obrażeń wewnętrznych, lekarze powinni próbować ją ratować.

– Wiem tylko tyle, ile przekazał mi prokurator. To był dość duży spinacz. Końcówki są ostre i właśnie jedną z nich Rubin rozerwała sobie tętnicę udową. Chwila i było po wszystkim.

– O Boże!

Gehring nie odpowiedział. Beara zauważyła dzbanek stojący obok lodówki. Podniosła się z krzesła.

– Dziękuję, że pan do mnie zadzwonił – powiedziała. – Nie musiał pan. Wiem, co pan teraz zamierza zrobić, ale uważam, że popełni pan błąd. – Podniosła dzbanek. Okazało się, że jest pełny. – Chce pan umorzyć to śledztwo. Podejrzana nie żyje, proces się nie odbędzie. Za dwa tygodnie nikt nie będzie nawet pamiętał nazwiska Rubin. Mam rację?

– Jestem pani przełożonym. Proszę o tym nie zapominać.

– Właśnie dlatego chcę pana ustrzec przed popełnieniem błędu.

W słuchawce rozległy się jakieś nieokreślone dźwięki. Beara nie potrafiła określić, czy Gehring jest zły, czy rozbawiony.

– A co słyhać w sprawie drugiego sprawcy? – spytała. – Czy laboratorium kryminalistyczne znalazło coś w domu Rubin?

Nalała sobie kawy do grubego ceramicznego kubka. Znajdował się na nim nadruk, który zachęcał do odwiedzenia giełdy budowlanej w Jüterbogu. Beara otworzyła lodówkę w poszukiwaniu mleczka i znalazła napoczęty karton.

– Nie. Oni zajmują się sprawami, które mają naprawdę duże znaczenie.

Ze złością zatrasnęła drzwi lodówki.

– Ale to jest właśnie jedna z takich spraw! Przecież panu mówiłam...

– Niech mnie pani dobrze posłucha! Proszę mi nie mówić, jak mamy prowadzić nasze śledztwa. Słyszysz mnie pani? Proszę to przyjąć do wiadomości. Sprawa na tym etapie wygląda na zakończoną.

Beara poczuła, że tym razem naprawdę rozżłościła Gehringa. Przycisnęła telefon prawym ramieniem do ucha i otworzyła karton z mlekiem. Połowę zawartości od razu wypila. Było świeże i chłodne. To jakieś szaleństwo. Tymczasem Gehring wyładowywał na niej całą złość. Chyba nigdy nie słyszał o czymś takim jak łagodzenie sporu.

– Charlotte Rubin przyznała się do winy i odebrała sobie życie w areszcie – kontynuował podniesionym głosem. – To fatalnie. Wolałbym, żeby została skazana prawomocnym wyrokiem. Niestety zrobiła nas wszystkich w konia. Śledztwo jest zamknięte, łańcuch poszlakowy ma mocne podstawy. Pani zastrzeżenia to czysta fantazja.

– A piekarz, który udusił się we własnej dzieży, też?

– Słucham? – spytał Gehring. Beara całkowicie zbiła go z tropu.

– Jestem teraz w Wendisch Bruch – wyjaśniła. Doszła do wniosku, że Gehring i tak by się o tym

w końcu dowiedział. Lepiej więc, jeśli powie mu o tym teraz. Ostrożnym krokiem wyszła na korytarz i zerknęła w stronę wyjścia. Wszystko wskazywało na to, że jest sama. – To wieś, z której pochodziła Rubin. Nie ma tu ani jednego mężczyzny. Od dawna. Interesuje mnie, czy Leyendecker kiedykolwiek tu był. Kim on był z zawodu?

Odpowiedziało jej milczenie. Beara pomyślała, że Gehring się rozłączył.

– Halo? Jest pan tam jeszcze?

W odpowiedzi usłyszała szelest papieru.

– Nie wiem, jak mam to wyrazić – odparł Gehring po chwili. – Najwyraźniej moje upomnienia nie robią na pani wrażenia. Będę musiał złożyć na panią skargę o przekroczenie uprawnień służbowych, chyba że...

– Nie! Nie! Niech mnie pan chociaż wysłucha.

– Skąd pani w ogóle przyszło do głowy, żeby pojechać do tej dziury? Straciła pani rozum?

– Ten drugi sprawca istnieje! Był w domu Rubin w ogrodzie zoologicznym. Pomógł jej w popełnieniu tej zbrodni. Rubin chciała go chronić, nawet gdyby musiała odebrać sobie życie. Co się wydarzyło u tego biegłego?

– Nic.

– To niemożliwe. Czy Rubin groziła wcześniej, że odbierze sobie życie?

– Z tego powodu spędziła ostatni tydzień w szpitalu. Wbiła sobie ołówek w tętnicę szyjną. Proszę posłuchać...

– I nikt jej potem nie pilnował? Dlaczego ja o tym nie wiem? Gdzie to się stało? W areszcie? Jeśli tak, tobym o tym wiedziała.

Ogarnęło ją uczucie, które w najlepszym razie mogła nazwać rozczarowaniem: Gehringiem i niezdarnie prowadzonym śledztwem, sposobem, w jaki ją traktował. Czasem wyglądało to tak, jak gdyby sobie z niej żartował. Była też rozczarowana tym, co zrobiła Rubin, która po prostu postanowiła odejść z tego świata, bo wszystko było jej najzupełniej obojętne, nawet dowody wskazujące na jej niewinność. Tak, to właśnie Rubin rozczarowała ją najbardziej.

– Z dotychczasowych ustaleń wynika, że tamten spinacz zabrała z gabinetu psychologa, który miał przygotować opinię na jej temat.

– To niewiarygodne. Co ten człowiek z nią zrobił?

– Profesor Brock to uznany ekspert.

– I tacy dyletanci zajmują się tą sprawą! Gdzie byli policjanci, którzy jej pilnowali? Stali i wszystkiemu się przyglądali?

– Proszę uważać na słowa!

– To nie może być przypadek! Musi pan porozmawiać z tym profesorem. Pewnie poruszył jakąś czułą strunę w jej życiu i nadal o tym nie wie. Rubin spędziła w areszcie trzy miesiące, w każdej chwili mogła tam sobie założyć sznur na szyję. Wszyscy o tym wiemy! Dlaczego nikt mi nie powiedział, że podjęła wcześniej próbę samobójczą?

– Bo pani nie uczestniczy w śledztwie!

– Okej, to prawda! Zrozumiałam – rzuciła Beara do słuchawki i wlała do kubka resztę mleka, przez co kawa prawie się z niego przelała. Musi się opanować. Tylko Gehring może jej pomóc, chociaż najchętniej by ją odsunął na bok. – Rozumiem, że ma pan powód do złości, ale...

– Bardzo w to wątpię! Czy pani zdaje sobie sprawę, że kryjąc panią, wpędzam się w poważne problemy?

– W takim razie niech pan kontynuuje śledztwo. Istnieją przecież wskazówki, których nie da się pominąć.

– A jak mam to uzasadnić przed prokuratorem? Że Charlotte Rubin odwiedził ktoś, kogo przy tej okazji poczęstowała kawą? A w Brandenburgii istnieją wsie, które powoli wymierają?

– To był mężczyzna, prawda? Odwiedził ją mężczyzna.

Gehring walnął dłonią w biurko. Beara aż się wzdrygnęła na ten dźwięk. Domyśliła się, że Gehring musi być naprawdę wkurzony.

– Tak – rzucił do słuchawki. – Ponownie wysłałem tam naszych ludzi. Znaleźli odciski palców nienależące do Rubin. W odpływie kanalizacyjnym były resztki pianki do golenia i włosy. Haussmann sprawdza właśnie DNA. Twierdzi, że to włosy z męskiej brody. Według ostatnich ustaleń ten mężczyzna nie pojawił się do tej pory w aktach śledztwa. I co podpowiada pani kobiecy instynkt?

– Może to jeden z tych, którzy też zaginęli?

– Mówi pani niejasno. Czy ktoś już zwracał pani na to uwagę?

Beara uniosła ostrożnie kubek i wypila łyk kawy.

– Wendisch Bruch to wyludniona wieś. Doszło tu do prawdziwego exodusu. Nie ma tu ani mężczyzn, ani dzieci. Mieszka w niej tylko osiem kobiet. To na razie początek moich ustaleń. Uważam jednak, że wszystko zaczęło się przed laty od tamtego piekarza. Wpadł do dzieży na ciasto i się udusił. Dwadzieścia lat później kolejny mężczyzna ginie pożarty koło paśnika przez pekari. To musi mieć coś wspólnego z jedzeniem. Wiem, że to brzmi dość perwersyjnie, ale w naszym zawodzie musimy co jakiś czas myśleć w ten sposób.

– Powiedziała pani: do dzieży na ciasto? Brzmi to obrzydliwie.

A jednak mnie słucha, pomyślała Beara. Dociera do niego, co mówię.

– Jeśli Leyendecker chociaż raz był w Wendisch Bruch, to być może istnieje jakiś związek z tamtym zmarłym i... – Beara przerwała. Usłyszała, że ktoś otwiera drzwi. – Muszę już kończyć. Czy mógłby pan dla mnie coś zrobić? Proszę sprawdzić, czy Leyendecker już tu kiedyś był.

– Chwileczkę.

– Ktoś idzie – szepnęła do słuchawki. – Nikt tutaj nie wie, kim jestem.

Rozłączyła się i odwróciła. Do kuchni weszła Walburga z młotkiem w ręku.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Dzień dobry – odparła Beara, wsuwając telefon do kieszeni. Zauważyła, że jej legitymacja służbowa wystaje z torebki. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś ją wyjął i szybko wsunął z powrotem.

– Mam nadzieję, że dobrze pani spała – powiedziała Walburga. Nie była już taka miła jak wczoraj. Głos miała lodowaty, przepełniony złością.

– Dziękuję. A pani?

– Też dobrze. Człowiek śpi spokojniej, gdy wie, że w domu jest policja.

Gehring rzucił słuchawkę na widełki i potarł skronie. Dlaczego ciągle się złościł na tę Chorwatkę? W przypadku każdej innej osoby wystarczyłby jeden telefon do bezpośredniego przełożonego, żeby położyć kres takiej samowoli. Może powstrzymywało go to, że w jej samowolnym działaniu jest jednak coś, co można określić mianem systematyczności? Rozłożył przed sobą akta sprawy Rubin, a w nich życiorys Leyendeckera. Przedstawiciel handlowy firmy sprzedającej maszyny rolnicze. Zaczął szukać czegoś więcej na ten temat w internecie, bo pojęcie „maszyny rolnicze” kojarzyło mu się wyłącznie z traktorami. Dozowniki paszy, urządzenia do transportu poziomego, siewniki, kombajny... Ręka mu drgnęła, żeby sięgnąć po słuchawkę telefonu. Nie mógł się zdecydować, czy nie powinien zadzwonić do Weimaru, gdzie Leyendecker się urodził. Jeśli to zrobi, będzie to oznaczać, że uwierzył Bearze. Ale na to nie był jeszcze gotów. Dlatego wysłał tylko esemesa do Krajowej Policji Śledczej w Schwerinie z prośbą, aby skontaktowali się z byłym szefem Leyendeckera.

Potem wziął kurtkę i wyszedł z pokoju.

Rozdział 24

Lekarz podał Spornitz zastrzyk na uspokojenie. Leżała na szezlongu w gabinecie Brocka, z zamkniętymi oczami i głową odwróconą na bok. Jeremy obserwował, jak pod jej jasną skórą pulsuje tętnica szyjna.

Spinacz. Do Brocka przyszli dwaj policjanci z wydziału kryminalnego, żeby przeszukać biurko pani Katz. Przy okazji zabezpieczyli kilka egzemplarzy tej śmiertelnie groźnej broni. Jeremy pomyślał o Miesdrosnym i drugim policjancie. Obaj zostaną ukarani, bo dali się podejść Rubin. Całe jej zachowanie, udawana złość na widok siostry – wszystko to było zwykłą farsą, manewrem, który miał ich zmylić i służyć temu, żeby zwędzić zszywacz, ukryć go pod ubraniem i przemyścić do aresztu. Czy Spornitz brała w tym udział?

Jeremy nie wiedział, czy Cara śpi. Po tym, jak udzielono jej pomocy lekarskiej, Brock szybko wyszedł na rozmowę z prokuratorem. Jeremy miał z nią zostać do czasu, aż zapadnie decyzja, co dalej. Na razie nikt nie wiedział, czy Spornitz może wrócić do Dessau, czy raczej powinna się położyć w szpitalu na obserwację. Doznała prawdziwego szoku. Być może była to jedyna prawdziwa rzecz, jaką widzieli tu obaj z Brockiem przez ostatnie dni. Krzyki, które przechodziły w bełkot, i bezradne jęki, łzy i błagania kierowane do Rubin, żądania, aby pozwolono jej zobaczyć ciało siostry, agresja, jaką okazywała na widok Brocka i Jeremy'ego – wszystko to było wyrazem szczerzej, prawdziwej rozpacz.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i w progu stanęła pani Katz. Oczy miała podpuchnięte i zaczerwienione. Jeremy wstał z krzesła i podszedł do niej.

– Niech pani idzie do domu – powiedział, wchodząc do poczekalni. Zamknął za sobą drzwi, żeby nie przeszkadzać Spornitz. – Czy odwołała pani wszystkie umówione spotkania pana profesora?

Katz skinęła głową. Niewysoka, lekko otyła kobieta, dla której Rubin nadal była potworem, robiła sobie gorzkie wyrzuty. Ale Jeremy podejrzewał, że mniej chodziło jej o prawdziwe współczucie dla ofiary, a bardziej o bliskie szaleństwa cierpienie Cary. To, co się stało, wstrząsnęło całą ich trójką.

– Aż trudno w to uwierzyć – powiedziała, potrząsając głową. – Na dodatek przyszedł tutaj jakiś policjant z wydziału kryminalnego, a ja nie mogę się dodzwonić do pana profesora. Co mam zrobić?

Nie trzeba było otwierać drzwi, pomyślał Jeremy w odruchu złości. Przecież zapewniano ich, że policja nie ma na razie więcej pytań i że zostaną poinformowani, jeśli w dalszej fazie śledztwa ich pomoc okaże się konieczna.

– Policja kryminalna? W sprawie samobójstwa?

– Ja też tego nie rozumiem. Ten policjant chce rozmawiać z profesorem. Albo z panem, jeśli inaczej się nie da. Czeka u mnie.

– Dobrze, zajmę się tym – odparł Jeremy, spoglądając na Katz pocieszającym wzrokiem. – Proszę go przyprowadzić do mojego pokoju. Zaraz tam przyjdę.

Wrócił do Cary i zobaczył, że leży dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej ją zostawił. Wydawało się, że śpi. To dobrze. Sen nie złagodzi bólu, ale przynajmniej stawi mu czoło wypoczęta. Przez chwilę odczuwał pokusę, żeby pogłaskać ją po głowie. Opuścił dłoń do jej włosów, ale się rozmyślił.

Na ich kruchym związku pojawiła się kolejna rysa. Będą musieli wymyślić inną formułę spotkań, jeśli w ogóle do nich jeszcze dojdzie. Samobójstwo Rubin zniszczyło jego pomysł na to, że być może któregoś

dnia, gdy proces sądowy dobiegnie końca i życie znowu zacznie się toczyć zwykłym trybem, pozna ją lepiej. Nie wiedział, z jaką Carą będzie miał do czynienia, gdy się obudzi. Z pacjentką, świadkiem, współniczką siostry? Na pewno nie będzie to już ta sama kobieta, która wzbudziła w nim gorące uczucia i prawie bolesną tęsknotę. Czuł kłucie w klatce piersiowej. Cara wyglądała tak delikatnie i krucho, że postanowił ją chronić. Niestety ów pradawny, atawistyczny odruch stał w całkowitej sprzeczności z tym, co zawsze powtarzał mu Brock: że należy zachować dystans. Na nikim nie wolno polegać ani wtedy, gdy jest dobrze, ani wtedy, gdy jest źle. Sam nie wiedział, na co się zdecydować.

Spornitz poruszyła powiekami. Jej wzrok powędrował w stronę zasłoniętych firan, potem spoczął na stojącej lampie, a w końcu zatrzymał się na Jeremym. Na jej ustach pojawił się uśmiech, który natychmiast zgasł. Jeremy widział na jej twarzy, jak wspomnienia torują sobie drogę przez jej odurzony tragedią umysł.

– Charlie – szepnęła.

Przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej. Spornitz chwyciła go za rękę. Jej dotknięcie przyprawiło o szybsze bicie nie tylko jego serce, ale także rozpaliło całe jego ciało.

– Gdzie ona jest?

– W Zakładzie Medycyny Sądowej. Próbują ustalić przyczynę śmierci. Przyjmij wyrazy współczucia.

– Współczucia... – powtórzyła Spornitz, puszcżając jego rękę. – Możesz mi oszczędzić swojego współczucia.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– To najlepiej się zamknij. Ona zawsze chciała to zrobić. To dlatego byłam na nią taka wściekła. Teraz znowu jestem. Chciałabym nią potrząsnąć, kopnąć w tyłek, nakrzyczeć na nią. Tym, co zrobiła, zniszczyła mi życie. Od kiedy sięgam pamięcią, zawsze się bałam, że kiedyś znowu spróbuje to zrobić. Współczucie! Współczucie! – Zaśmiała się sucho.

– A czy nie... – zaczął Jeremy, ale przerwał, żeby odchrząknąć, bo zaschło mu w gardle. – Czy nie myślałyście nigdy o tym, żeby poszukać pomocy?

– Pomocy? A niby gdzie? U kogo? Kiedy Charlie wyjechała, poczułam prawie ulgę. Pomyślałam sobie: „Niech inni się teraz o nią martwią”. Pewnego razu ścigałam ją z dachu. Miałam wtedy dziesięć lat. Dziesięć! Wcześniej próbowała się zabić za pomocą brzytwy i plastikowej torby. Kiedy ją znalazłam, pomyślałam, że udaje. Byłam jeszcze dzieckiem, rozumiesz? Dzieckiem! – Zaciśnęła wargi i odwróciła głowę. Nie chciała, żeby Jeremy widział jej twarz. – Mówisz: pomoc. A co ja wiedziałam o pomocy? Brałam tornister, wkładałam nową sukienkę i szłam do szkoły, a tam mi mówią, że śmierdę. Chciałam się bawić, a oni mnie bili. Jakbyśmy były trędowate. Kiedyś Charlie o mało się nie wykrwawiła. Ja wcześniej umiałam bandażować rany, niż czytać. Najbliższy lekarz przyjmował w Jüterbogu. Co by sobie ludzie pomyśleli, gdyby nocą przed nasz dom zajechała karetka pogotowia? Że Charlie jedzie do wariatkowa? Nie chciałam tego, dlatego zawsze to ukrywałam. Na sekundę nie spuszczałam jej z oczu. Kiedy wstawiała w nocy i szła do kuchni, ja też się budziłam. Jeśli zbyt długo zostawała przy owcach, szukałam jej. Byłam... – Zaczęła szlochać. – Nie miałam nawet dwunastu lat, kiedy się wyprowadziła. Tak, byłam z tego powodu szczęśliwa. Czy ty to rozumiesz? Szczęśliwa, że kiedy robi to ponownie, znajdzie ją ktoś inny, nie ja. Że jej krew będą zmywać obcy ludzie. Że nie będę musiała oglądać jej sinej, napuchniętej twarzy. Tak, byłam szczęśliwa. A teraz się tego wstydzę.

Rozplakała się na dobre. Jeremy dotknął delikatnie jej ramienia.

– To całkiem normalne zachowanie. Byłaś dzieckiem i sytuacja cię przerosła. A gdzie byli wtedy wasi rodzice?

– Ja... nie wiem. Pewnie pracowali albo siedzieli i pili. Oni też nie mogli niczego zrobić. Zostałam zupełnie sama.

– Sama? Ze wszystkim?

– Ze wszystkim. A jak myślisz, jakim sposobem nauczyłam się tak fantastycznie gotować i obchodzić ze zwierzętami? No tak, ty nic nie wiesz. Szkoda.

– Tak, szkoda – odparł Jeremy, zmuszając się do uśmiechu. – Czy tu, w Berlinie, twoja siostra też próbowała popełnić samobójstwo? Jeszcze zanim doszło do tego zdarzenia w ogrodzie zoologicznym?

– Nie sądzę. Po jej wyjeździe już się tak często nie spotykałyśmy. A jeśli już, to sprawiała wrażenie szczęśliwej. Zresztą co to znaczy być szczęśliwym? Miała pracę, mieszkała samotnie i niczego więcej nie potrzebowała. Zero kontaktów z innymi ludźmi, chyba że było to konieczne. Bywała niegrzeczna, jeśli chciała, żeby zostawić ją w spokoju. Także wobec mnie.

– Nie miała mężczyzny?

– Ona?

Cara pokręciła ze zdziwieniem głową.

– A dlaczego była taka agresywna? Skąd takie zachowanie wobec ciebie, gdy spotkałyście się u Brocka? Dlaczego cię odrzuciła?

Cara usiadła na szezlongu i podciągnęła nogi. Objęła je ramionami, jak gdyby chciała wydać się mniejsza. Nie patrzyła na Jeremy’ego.

– Bo się domyśliłam – szepnęła. – W chwili gdy ją tam wtedy ujrzałam, wiedziałam, że znowu to robi.

– A skąd mogłaś o tym wiedzieć?

– Po jej spojrzeniu. Nie patrzyła mi w oczy. Robiła to tylko wtedy, gdy była na mnie zła. W przeciwnym razie odwracała wzrok. Tak jak wtedy, gdy zaczęła się zachowywać coraz spokojniej i nie chciała z nikim rozmawiać. Biada temu, kto się do niej wtedy odezwał. Potem jej to przechodziło. W takim stanie nie była od dawna. Znam ją lepiej niż ktokolwiek inny, jeśli w ogóle można było ją znać. Dlatego od razu wyczułam, że to się znowu w niej zaczyna.

– Dlaczego nic nam nie powiedziałaś?

– Bo byłam idiotką i uwierzyłam, że w areszcie będzie bezpieczna? Bo nie chciałam nikomu opowiadać tak strasznej historii? Na przykład wam. Gdybym to zrobiła, od razu uznalibyście ją za wariatkę.

– Nie doceniasz profesora...

– Nie tylko jego. Byłam głupia, bo uwierzyłam, że jeśli ktoś siedzi w areszcie, nie może odebrać sobie życia. Jak to się mogło stać? Użyła spinacza? U was go zwinęła. W waszym gabinecie. Tak, jednej rzeczy nie przewidziałam: że tak lekkomyślnie traktujecie swoich pacjentów. Szkoda, że nie daliście jej od razu pistoletu do ręki. Byłoby szybciej i mniej by bolało.

Spornitz opadła na poduszkę i zaczęła się gapić w sufit. Jeremy poczuł, jak jej złość i smutek przenoszą się także na niego. Zachowaj dystans, pomyślał. Ale wtedy musiałby zostawić Carę własnemu losowi, a tego nie chciał. Wolał stanąć u jej boku, żeby nie została ze swoim smutkiem i tragicznymi przeżyciami sama. Jeśli jednak miał jej pomóc, powinien się zachowywać jak psycholog, nie kochanek.

– Zaraz wracam – powiedział cicho.

Spornitz skinęła głową i odwróciła się do ściany.

Człowiek, który wszedł do pokoju Jeremy’ego, miał trzydzieści kilka lat i wyglądał na kogoś, kto gołymi rękami potrafi rozgniać orzechy. Miał wąską twarz i blisko osadzone oczy, które tylko dlatego nie wyglądały na chytre, że mężczyzna uśmiechał się, a jego zachowanie cechowała duża pewność siebie. Był mniej więcej równego wzrostu i podobnej budowy ciała co Jeremy, ale widać było, że regularnie uprawia jakąś dyscyplinę sportu, a opowiadanie o uzyskiwanych wynikach sprawia mu przyjemność. Jeremy nie mógł się pochwalić taką muskulaturą. Poza tym hołdował przekonaniu o związku między wielkością tricepsa, długością penisa i objętością mózgu. Ale ten pół-Adonis z bożej łaski, ubrany

w wąskie spodnie z fałdami w kroku, chyba nic sobie z tego nie robił.

– Komisarz policji kryminalnej Lutz Gehring, Wydział Zabójstw – przedstawił się nieznajomy.

Przyjazny głos, właściwa wymowa, czujny wzrok, słaby uśmiech. Oto człowiek, który nie marnuje własnego czasu ani czasu tych, z którymi się spotyka.

– Proszę wejść – odparł Jeremy.

Obszedł biurko i usiadł naprzeciwko Gehringa. Pomieszczenie, w którym przebywali, było pokojem roboczym i dlatego brakowało w nim wygodnych foteli i stolika, przy którym można wypić kawę. Przy ścianach stały regały mieszczące część wspaniałej biblioteki Brocka, encyklopedie i fachową literaturę Jeremy'ego. Jego biurko mogłoby być trochę większe, ale nie przejmował się tym. Ciekaw był, co przywiodło tutaj tego Ironmana z policji kryminalnej w Berlinie.

– Powiedziano mi, że profesor Brock jest nieobecny i że do końca dnia będzie nieosiągalny – zaczął Gehring.

– Z panem na pewno porozmawia. Zaraz dam jego numer telefonu. A może ja mogę w czymś pomóc?

Gehring przesunął wzrokiem po biurku. Zauważył dyktafon i akta z nagłówkiem „Charlotte Rubin”.

– Czy uczestniczył pan w przygotowaniu opinii na temat pani Rubin?

– Tak. Ale najpierw o coś spytam... Czy wie pan, że obowiązek zachowania tajemnicy informacji na temat pacjenta obowiązuje też po jego śmierci?

– Taki obowiązek nie obejmuje policyjnego śledztwa.

Jeremy dopiero po dłuższej chwili zrozumiał sens tych słów.

– Charlotte Rubin popełniła samobójstwo, więc nie bardzo rozumiem... Śledztwo tak czy inaczej zostało chyba zakończone? A samobójstwo pani Rubin nie powinno chyba interesować Wydziału Zabójstw? Co pana do nas sprowadza?

– To ja prowadziłem... a właściwie prowadzę śledztwo w sprawie tego, co wydarzyło się w ogrodzie zoologicznym.

Jeremy otworzył segregator, odszukał w nim raporty z dochodzenia i przeszedł do ostatniej strony z podpisem urzędnika, który je sporządził.

– Zgadza się. To pan się pod tym podpisał i dlatego nazwisko wydało mi się znajome. Tak, uczestniczyłem w sesjach z panią Rubin. Nie jestem jednak w stanie odpowiedzieć na pytania dotyczące jej poczytalności, jeśli to w ogóle ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

– Nie o to mi chodzi.

Jeremy zamknął segregator.

– No to o co? – spytał. – Jakie dochodzenie jeszcze pan prowadzi?

Przez cały czas myślał o Carze, która leżała w pokoju obok. Zaczął się niecierpliwić. W tym samym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju weszła pani Katz. Przyniosła tacę z dzbankiem kawy, filiżanki, cukier, mleczko i ciasteczka.

– Dziękuję – powiedział Jeremy.

Pani Katz postawiła tacę na stoliku.

– Chciałabym już wyjść do domu. Czy będzie pan mnie jeszcze potrzebował?

– Nie. Do jutra.

Pani Katz skinęła Gehringowi głową i wyszła z pokoju. Jeremy nalał do obu filiżanek świeżo zaparzoną kawę. Motyw widoczny na tacy przypominał mu o ostatnich przyjemnych chwilach, jakie spędził z Carą, jeszcze zanim dotarła do nich wiadomość o śmierci Rubin. Gehring dolał do kawy mleczka, zmieszał ją i wypił łyk.

– Interesuje mnie, czy podczas sesji uwagę panów zwróciło jakieś niezwykle zachowanie Rubin – wyjaśnił.

Jeremy odchylił się na krzesło i uniósł brwi. W chwili gdy chciał złożyć dłonie w taki sposób, że łączyłyby się czubkami palców, uświadomił sobie, że naśladuje ojca, przyjmuje postawę, jakby chciał pokazać: „Oto ja, ważny docent”. Chrząknął i odsunął segregator, żeby odstawić tacę na biurko.

– Niezwykle zachowanie... W pewnym sensie takie zachowania są tutaj czymś zwykłym.

– Wyobrażam sobie. Chodzi mi raczej o to, czy wydarzyło się wtedy coś, czego panowie nie przewidzieli. Rubin już raz próbowała odebrać sobie życie w waszym gabinecie. Czy takie zachowanie zostało czymś sprowokowane?

– Nie. My... a właściwie ja zostawiłem ją na jedną krótką chwilę bez dozoru w gabinecie profesora Brocka. Rubin skorzystała z okazji. Nie chciałbym się usprawiedliwiać, bo cała odpowiedzialność spada na mnie, ale powiem panu coś w cztery oczy: moim zdaniem ona nie potrzebowała żadnego pretekstu, tylko szukała okazji.

– Ale przecież nikt nie decyduje się na samobójstwo spontanicznie.

– To prawda. Taką decyzję podejmuje się o wiele wcześniej.

– Na ile wcześniej?

Jeremy doszedł do wniosku, że pytania, jakie zadaje mu komisarz, bardzo mu się podobają. Gehring chciał się dowiedzieć czegoś o Rubin, a nie tylko rozmawiać o spinaczu. Kusiło go, żeby zdradzić, co na temat Rubin wyznała mu Cara – o niekończącym się łańcuchu nieudanych prób samobójczych, z których w ostatniej chwili ratowała ją siostra, i o tym, że gdy już najwyraźniej pokonała tę depresję z okresu młodości, po zamordowaniu Leyendeckera doszło do nawrotu. A my tego nie zauważyliśmy, dodał w myślach. Może właśnie dlatego wolał się wstrzymać od komentarzy?

– Powinien pan porozmawiać z profesorem Brockiem. Całkiem możliwe, że mieliśmy do czynienia z przypadkiem ciężkiej depresji. Charlotte Rubin nic nam nie opowiedziała – ani o samym zabójstwie, ani o mentalnym, ciągłym wracaniu pamięcią do pewnych zdarzeń. Wydaje mi się, że wykazywała symptomy neurozy i paramnezji.

– Paramnezji?

– Paramnezja to zaburzenie w odtwarzaniu pamięci. Polega na przyjmowaniu nowych sytuacji i zjawisk jako znanych lub na pojawianiu się fałszywych wspomnień, w których zdarzenia prawdziwe mieszają się ze zmyślonymi. To taki mechanizm ochronny. Wyparcie.

– Czy domyśla się pan, co Rubin mogła chcieć wyprzeć z pamięci?

– Niestety nie. Przykro mi, ale wolałbym nie snuć spekulacji, co do których mogę się mylić. Pan profesor lepiej się na tym zna. To on wpadł na pomysł, żeby ściągnąć tu jej siostrę.

– To Rubin miała siostrę?

– Nazywa się Cara Spornitz, jest weterynarzem i mieszka w Dessau.

Gehring zmarszczył czoło. Jeremy ponownie otworzył segregator, tym razem na stronie, którą pani Katz zaznaczyła mu grubą zakładką. Była tam informacja o alibi Cary.

– W czasie gdy doszło do zabójstwa Leyendeckera, przebywała na kongresie w Monachium – powiedział, przesuwając wzrokiem po kartce.

Dopiero teraz Gehring coś sobie przypomniał. Wyjął notes i coś zapisał.

– Obie siostry przez lata nie utrzymywały ze sobą kontaktów – kontynuował Jeremy. – Spotkały się po raz pierwszy od długiego czasu.

– Czy mogło to wywołać aż taką reakcję Rubin, że postanowiła się zabić?

– Nie – odparł Jeremy, zamykając segregator. – My dopiero po tamtej próbie samobójczej w naszym gabinecie wpadliśmy na pomysł, żeby skontaktować się z panią Spornitz.

Gehring zerknął na swoje notatki.

– Ta paramnezja... O co tu chodzi?

O Rilkego, odparł w myślach Jeremy. O niespokojną panterę, która krąży za kratami wybiegu. Właściwie to niezłe porównanie z Rubin. Klatka, z której jedyna droga do wolności zaprowadziła ją do śmierci. „Jestem panterą”.

– O psy – powiedział zamiast tego. – Wiejskie burki. Kiedy jeden zaczyna szczekać, w ślad za nim idą pozostałe.

– Coś mi to przypomina. – Na twarzy Gehringa pojawił się krótki uśmiech. Mogło to znaczyć, że to, o czym mówił Jeremy, zna nie tylko ze świata zwierząt. – Czy udało się panu ustalić, jaki był powód jej paramnezji?

– Nie. Ona jest... Na razie nie udało się tego określić.

– Czy pana zdaniem te psy mogły mieć coś wspólnego z Wendisch Bruch?

– Z czym?

– To wieś, w której dorastała Rubin.

– Tego nie wiem. Psy to wspomnienie z lat dzieciństwa. Z geograficznego punktu widzenia można je powiązać z każdym miejscem. Nie znaczy to jednak, że ta paramnezja rzeczywiście miała coś wspólnego ze wsią.

– Ale nie można tego wykluczyć?

– Oczywiście, że nie. Lecz podążając tą drogą, trafimy do krainy spekulacji. Pani Rubin już nie odpowie na żadne pytanie. A po co panu taka wiedza?

– Jestem policjantem od wielu lat, ale z taką sprawą nie miałem jeszcze do czynienia.

– Ja też nie. Chcielibyśmy to zrozumieć, ale nie zawsze nam się to udaje. Niech pan sobie zbyt długo nie zaprzęta tym głowy. Jeśli stanowi to dla pana jakieś obciążenie, proszę o tym porozmawiać z którymś z psychologów policyjnych.

– Dziękuję. Świetnie sobie radzę – odparł Gehring.

Wsunął notes do kieszeni i wstał. Większość mężczyzn reaguje w taki sam sposób: terapia to rzecz dla mięczaków.

– Czy to ona go zabiła?

Jeremy spoglądał na Gehringa takim wzrokiem, jak gdyby nie rozumiał pytania.

– A może było dwóch sprawców?

I o to pyta komisarz policji, który ułożył łańcuch poszlakowy w taki sposób, że do rozpoczęcia procesu brakowało już tylko opinii Brocka.

– Nie bardzo pana rozumiem...

– No trudno... Gdzie mogę znaleźć panią Spornitz?

– Tutaj. Wiadomość o śmierci siostry bardzo ją przygnębiła.

– Czy mógłbym z nią porozmawiać?

Jeremy też wstał z krzesła.

– Proszę poczekać, spytam ją o to.

Po tych słowach wyszedł z pokoju. W korytarzu zauważył, że drzwi do gabinetu Brocka są na wprost otwarte. Od razu zrozumiał, co się stało, jeszcze zanim tam wszedł.

Cara znikła.

Wrócił szybko do poczekalni, ale pani Katz też już nie było. Otworzył więc drzwi na klatkę schodową i zaczął nasłuchiwać. Kiedy Cara zdołała się wyslizgnąć? Czy słyszała jego rozmowę z Gehringiem? A jeśli tak, to które fragmenty do niej dotarły?

– Nie ma jej, prawda?

Gehring poszedł do przedpokoju i podał Jeremy'emu rękę na pożegnanie.

– Jeśli będę miał jeszcze jakieś pytania, zwrócę się do profesora.

– Proszę bardzo – odparł Jeremy roztargnionym głosem.

– Gdzie ona może być?

– Nie wiem. Naprawdę. Może postanowiła wrócić do Dessau?

Gehring skinął głową i ruszył schodami w dół. Jeremy zamknął drzwi na klucz. Oparł się plecami o ścianę i głęboko oddychał. Nie pomogło, bo przez cały czas czuł silny ucisk w klatce piersiowej.

Cary nie ma. Rubin nie żyje. Policja kontynuuje śledztwo. Poczł się bezradny, jak gdyby włączył się do gry, której nie rozumiał. Przez długą chwilę zazdrościł Gehringowi, człowiekowi, który jest absolutnie pewien, że ze wszystkim sobie poradzi.

Rozdział 25

Walburga uderzyła tak mocno, że czerwona ciecz rozprysnęła się na blacie zlewozmywaka. W końcu odłożyła młotek i jakimś narzędziem o staroświeckim wyglądzie próbowała otworzyć puszkę.

– Może ja to zrobię – zaproponowała Beara.

W piecu skwierczała pieczeń wołowa. Poszatkowane pomidory miały być składnikiem sosu. Beara spróbowała otworzyć puszkę, ale jej też się nie udało. W końcu zrobiła w pokrywie na tyle dużą szczelinę, że udało jej się wydobyć zawartość i wrzucić ją do rondla.

– Dziękuję – powiedziała Walburga, zamykając klapę pieca. – Za godzinę jedzenie będzie gotowe.

Beara przestała mieć wyrzuty sumienia. Ta silnie zbudowana kobieta z brązowymi, przyprószonymi siwizną włosami wzięła jej za złe jedynie to, że ukryła przed nią swój zawód.

– Czy wtedy by mnie pani przyjęła? – spytała Beara.

Walburga nie odpowiedziała. Beara spojrzała na staromodny zegar wiszący na ścianie, który wskazywał wpół do jedenastej. Wcześniej tu jadają, pomyślała. Postanowiła, że głód musi poczekać, i opuściła spokojne gospodarstwo, w którym dzięki zapachowi pieczeni zapanowała zupełnie inna, bardziej przyjazna atmosfera.

Jej samochód nadal stał tam, gdzie go zaparkowała. Uniosła maskę i zajrzała do środka. Nie wiedziała, czy ktoś ją obserwuje, ale na wszelki wypadek postanowiła urządzić małe przedstawienie, żeby jakoś uzasadnić swoją obecność we wsi. Po pewnym czasie zatrzasnęła maskę, otarła dłonie o spodnie i rozejrzała się wokół siebie.

Ulica była pusta. Zaniedbane domy odbierały resztkę godności tym, które nadal były zamieszkane. Wyglądało to tak, jak gdyby w Wendisch Bruch szalała kiedyś tajemnicza epidemia, a ludzie tylko się bezradnie przyglądali, jak choroba zbiera swoje żniwo. Nikt nie pielęgnował ogrodów, nikt nie przycinał drzew. Betonowe ściany przystanku autobusowego były upstrzone graffiti. Słup, na którym kiedyś wisiał rozkład jazdy, kruszył się ze starości. Rdza zżarła wyblakłą blachę tabliczki.

Beara wysłała do ojca esemesa z informacją, żeby się o nią nie martwił, bo komisarz Gehring zlecił jej w ramach śledztwa ważne zadanie. Potem, sama nie wiedząc dlaczego, ruszyła w stronę miejsca, gdzie kończyły się zabudowania. Kiedy doszła do przekrzywionego słupa z nazwą miejscowości, była absolutnie pewna, że wieś już nigdy się nie odrodzi. Co się stanie, gdy ostatni mieszkańcy wymrą albo wyjadą? W dużych miastach zaczęto wyburzać opuszczone budynki, aby w ten sposób rewitalizować całe dzielnice. Czy tutaj też zjawią się planiści z buldożerami? Czy mineryz wysadzą w powietrze i zrównają z ziemią resztki cywilizacji? Czy oddadzą te tereny naturze, która powoli odzyska to, co kiedyś do niej należało? Ile to potrwa? Dwadzieścia lat? Pięćdziesiąt?

Beara zatrzymała się na środku drogi. Można by na niej urządzić piknik. Poczta dociera tu pewnie raz na tydzień, raz na jakiś czas zjawia się też jakiś elektryk, żeby naprawić zerwane kable, a potem jak najszybciej się stąd wynosi.

Brama gospodarstwa przesiedleńców była uchylona. Beara nie mogła sobie przypomnieć, czy poprzedniego dnia też stała otworem. Wyjęła komórkę, żeby zadzwonić do Gehringa, ale nie odebrał. Pewnie miał ciekawsze zajęcia niż zajmowanie się jej wydumanymi teoriami. Dzień był piękny

i słoneczny, zanosilo się na upał. Z prognozy pogody wynikało, że po południu można się spodziewać burzy.

Beara doszła do wniosku, że Wendisch Bruch oglądane za dnia nie wydaje się takie straszne, zwłaszcza jeśli uwzględnić zapach wołowej pieczeni. Jest tylko biedne i zaniedbane. Jediną rzeczą, która pociągała ją w tej wsi, było urzekające piękno przyrody. Zaraz za gospodarstwem zaczynało się pole rzepaku, który pięknie wyrósł i rozkwitł. Nieużytki ciągnęły się aż do lekkiego wzniesienia, na którym wśród lekkich porywów wiatru kołysały się łany żyta, a kukurydza wystrzeliła w górę jak trzcina.

Chodnik, który kończył się tuż przed wjazdem na teren gospodarstwa, był wzmocniony byle jak wylanym betonem. Beara weszła na teren posiadłości. Oceniała, że ma ona około pięćdziesięciu metrów długości i około trzydziestu metrów szerokości. Cały teren otaczał prosty nieotynkowany mur z białego kamienia z częściowo wykruszoną betonową zaprawą. Po lewej stronie stała stodoła, po prawej – niski budynek mieszkalny, który ostatni raz był remontowany chyba w latach sześćdziesiątych.

Postanowiła, że najpierw obejrzy stodołę. Do środka weszła przez drzwi zawieszane krzywo na zawiasach. Przez szpary w dachu do pustego wnętrza wpadało światło. W promieniach słońca, które krzyżowały się na tle wysokich krzywych otworów okiennych, tańczyły drobinki kurzu. W powietrzu unosił się słodkawy zapach, który przypominał jej chlewy z okresu, gdy sama była dzieckiem. W nich też tak śmierdziało. W stodole, która była dość długa, unosił się smród obornika, gnijącej słomy i sfermentowanej karmy. Na samym środku rdzewiały stalowe kotwy, na których kiedyś wisiały wahadłowe drzwi. Posadzka była wylana z betonu. Na wpół wyrwane z podłoża szyny musiały kiedyś służyć za podstawę żeliwnych płyt, które pewnie już dawno temu trafiły na złomowisko. Na końcu znajdowało się kilka przegród z drewnianą podłogą. Ich widok bardzo ją zdziwił. Chwilę później stwierdziła, że i w tym przypadku metalowe szkielety zostały przeniesione, a potem ostatecznie usunięte. Kiedyś musiały tu stać boksy, w których prosiły się świnię. Drewno było spękane, w powietrzu unosił się okropny smród. Obora pochodziła chyba z okresu, w którym maciory karmiły swoje warchlaki na słomie. Później ktoś zainwestował tu niewielkie pieniądze, żeby zwiększyć dochodowość interesu. Intensyfikacja hodowli. Supertuczniaki. Śliskie metalowe podłoże, na którym zwierzęta z trudem utrzymywały równowagę, a gdy upadały, wzajemnie się przygniatały. Zimne stalowe przegrody opinały świnię jak klamry, zmuszając je do stania w bezruchu. Zwierzęta cierpiały męki, ale dla ludzi było to równie naturalne jak kilogram wieprzowej pieczeni za trzy euro. Mimo to hodowla okazała się nierentowna.

W złączach ścian wisiały czarne pajęczyny, które przypominały woalki. Każdy, nawet najmniejszy wyłom w ścianach wypełniał brud. Były nim zalepione pęknięcia i kontury, przez co niedoskonałość tego miejsca jeszcze bardziej rzucała się w oczy. I tylko zapach przypominał o tym, że ktoś zainwestował tu kiedyś trochę pieniędzy i poniósł porażkę.

Beara wyszła ze stodoły i natychmiast zaczęła marzyć o prysznicu.

– Jest tu kto?! – zawołała.

Nad bujnym krwawnikiem buczały trzmielce. Lecący wysoko nad horyzontem samolot ciągnął za sobą białą smugę. Pewnie wystartował z lotniska Schönefeld. Słychać było jeszcze słaby dźwięk silników. A może to szum samochodów na autostradzie? Albo warkot traktora na niewidocznym polu? Poza tym wszędzie panowała martwa cisza.

Beara spojrzała na budynek mieszkalny. Szary, pozbawiony urody sześcian. Okna były czarne od brudu i kurzu. W tym, które powinno znajdować się w dziennym pokoju, wisiała podarta firanka. Stan tynków dowodził lekceważącego stosunku właściciela do wyglądu zabudowań albo braków występujących w gospodarce końcowej fazy byłej NRD. Do wejścia prowadziły dwa schodki wyłożone żółtymi kafkami. Beara nigdzie nie zauważyła dzwonka.

Odcinek leżący między domem a ulicą wykorzystywano prawdopodobnie jako podjazd dla pojazdów

użytkowych, takich jak traktor czy samochód właściciela. Obecny jednak stan gospodarstwa nasuwał podejrzenia, że nie ma ono żadnego właściciela. I to od dawna, pomyślała Beara. Stała niezdecydowana, nie wiedząc, co dalej zrobić. Ciągłe brzmiało jej w głowie ostrzeżenie Gehringa. Przyjechała tutaj, chociaż nie bierze udziału w śledztwie. Jest na zwolnieniu lekarskim, kręci się bez zezwolenia w miejscu, gdzie wychowywała się Rubin, a na dodatek zadaje ludziom pytania. Pewnie już cała wieś wie, po co tu się zjawiała.

Tylko ona nie wie.

Co ją podkusiło, żeby ryzykować dalszą karierę zawodową? Dlaczego po śmierci Rubin nie pogodziła się z tym, że śledztwo zostanie zakończone? Promienie słońca padały na zwietrzałe betonowe płyty. Przez szczeliny między nimi przebiły się chwasty. Beara zamknęła oczy. Wydawało jej się, że czuje zapach, który od czasu do czasu, gdy nawiedzają ją koszmary, przebija się do jej podświadomości. Pył. Krew. Ekskrementy. Coś słyszy. Tylko co? Odgłosy zbliżającej się burzy czy huk silników w czołgach Ludowej Armii Jugosławii? Salwy oddawane z karabinów maszynowych, krzyki. Ktoś ją odciąga, prowadzi za zgliszcza jakiegoś domu. Mężczyzna w podartym, poplamionym krwią mundurze. Pochyliła się nad nią.

Bądź cicho. Ani słowa, bo cię zabiję.

Otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że nadal znajduje się na terenie opuszczonego gospodarstwa. Nad horyzontem gromadziły się blade chmury. Niebo zmieniało zabarwienie, błękit przechodził stopniowo w szarość. Przeniesione nagłym podmuchem wiatru w inne miejsce suche liście zaczęły tańczyć dokoła.

Beara przesunęła dłonią po szyi. Czowała, jak pot spływa jej cienkim strumyczkiem między łopatkami. Zerknęła na zegarek i doszła do wniosku, że według rachuby czasu stosowanej przez Walburgę jest już południe i pieczeń czeka na stole. Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia. Kątem oka zauważyła ruch, jak gdyby w jednym z okien poruszyła się firanka. Spojrzała w tamtą stronę, ale okazało się, że w oknie nie ma szyby. To podmuch wiatru wprowadził zasłonę w ruch.

– Na pewno nikt tam nie mieszka? – spytała Beara.

Walburga podsunęła jej półmisek z ziemniakami. Beara nałożyła sobie trochę na talerz.

– Nikt. Nawet bezdomni się tam nie pokazują, chociaż kiedyś ktoś wpadł na pomysł, żeby rozdać ludziom w podarunku i ziemię, i zabudowania. Stary Fritz zasiedlił w ten sposób całą marchię brandenburską. Nie rozumiem, dlaczego ludzie wolą się zapijać na śmierć w swoich dwupokojowych mieszkaniach, niż zacząć życie od nowa gdzie indziej.

– Być może wiąże się z tym zbyt wiele pracy.

Beara rozdrobniła swoje danie na mniejsze porcje, żeby je łatwiej włożyć do ust. Potem odłożyła nóż i jadła samym widelcem. Walburga zrobiła to samo.

– Z czego pani właściwie żyje? – spytała Beara.

– Z emerytury. Oprócz tego oddałam ziemię w dzierżawę. Niewiele tego, ale przeżyć można.

– A reszta mieszkańców wsi?

– Tak samo. Emerytura, zasiłki... jakoś wiążą koniec z końcem. Inaczej się nie da.

Walburga nie była już wobec niej tak szczera. Zachowywała się bardziej powściągliwie. Na pytania Beary odpowiadała tak, jak gdyby jej zawód nie miał dla niej żadnego znaczenia, ale pewne informacje wolała zachować dla siebie.

– Byłam w gospodarstwie przesiedleńców. Kiedy się stamtąd wyprowadzili?

– Dokładnie nie wiem. Nie utrzymywaliśmy z nimi bliskich stosunków. Wygląda na to, że wynieśli się ukradkiem. Stary przepił całą ziemię. Kiedy umarł, ta mała została tam do momentu, aż znalazła coś innego.

– Mała?

– Najmłodsza z nich. Miała na imię Cara. Kiedy umarł jej ojciec, miała czternaście albo piętnaście lat.

– Czy Urząd do spraw Dzieci w ogóle się nią nie zainteresował?

Walburga uniosła krzaczaste brwi.

– Jaki urząd? To było trzy, cztery lata po przełomie. Wszyscy ci urzędnicy siedzieli wtedy jeszcze w więzieniach.

Beara mruknęła coś pod nosem na znak, że zgadza się z jej tokiem rozumowania. Nie chciała już na samym początku zerwać zawiązywanej nici porozumienia uwagą, która na pewno zabrzmiałaby w stylu: „Jak rzadko ludzie w takich wioskach zwracają uwagę na innych”.

– To jest naprawdę pyszne.

Walburga rozpromieniła się ze szczęścia.

– Mięso kupiłam u rzeźnika z Jüterbogu. Przyjeżdża tu co tydzień swoim samochodem i objeżdża całą okolicę.

– A co się stało z miejscowym rzeźnikiem? I ze sklepem mięsnym?

Twarz Walburgi od razu się skurczyła.

– Już ich nie ma.

– To znaczy?

Kobieta jadła w milczeniu. Beara odłożyła widelec na stół.

– Proszę pani, nie przyjechałam tutaj, żeby prowadzić śledztwo. Chcę tylko zrozumieć, co się stało. Charlotte Rubin wyprowadziła się stąd we wczesnej młodości, tak jak jej siostra. To dość nietypowe zachowanie jak na tutejsze zwyczaje. Potem zaczęli stąd znikać mężczyźni. Co się stało z rzeźnikiem?

– Nic. A co się miało stać? Zamknął interes i wyjechał z żoną na Costa Blanca.

– Kiedy?

Walburga zmrużyła powieki.

– Dawno temu. Może przed dwudziestu laty? Mój Boże, ależ ten czas płynie.

– Czy potem się jeszcze odezwali?

– Nie. Tak! Przesłali mi kartkę. Znad morza.

– I tylko tyle?

Walburga pokręciła głową.

– A inni?

– Jacy inni?

– Inni mężczyźni. Co się z nimi stało?

Kobieta spuściła głowę i zaczęła skubać frędzle obrusa.

– Proszę mi powiedzieć, co się stało z pani mężem.

Na początku Beara prawie jej współczuła. Teraz jednak, gdy przypomniła sobie los piekarza, współczucie minęło. Walburga zaczęła szukać w kieszeni fartucha chusteczki higienicznej, żeby otrzeć oczy i nos.

– Nie ma go – odparła w końcu.

– Jak to: nie ma?

– Po prostu. Zniknął. Powiedział, że wyjeżdża na kilka dni do Berlina, i już nie wrócił.

– Co potem? Poszła pani na policję?

– Nie. To znaczy tak.

– I co?

– Usłyszałam, że w większości przypadków takie zaginione osoby odnajdują się same. Mniej więcej po trzech dniach. Powiedzieli, że jeśli nie wróci, mam złożyć zawiadomienie.

– Czy pani to zrobiła?

Walburga nie odpowiedziała. Beara czekała przez chwilę na jej reakcję. Nie bardzo wiedziała, jak poprowadzić dalej tę rozmowę. Wprawdzie studiowała kiedyś technikę prowadzenia przesłuchań, ale w tym wypadku nie wiedziała, z kim ma do czynienia: ze świadkiem czy podejrzaną? Czy to jest jeszcze swobodna wymiana zdań, czy też przekroczyły już granicę, poza którą taka rozmowa nabiera konkretnego kształtu? W jakiej fazie rozmowy się obecnie znajdują: nawiązywania kontaktu, opowiadania czy zadawania pytań? A właściwie skąd te wątpliwości, skoro jest to zwykła rozmowa dwóch kobiet, które jedzą wspólnie obiad? Niestety Walburga uważała inaczej.

– Już i tak opowiedziałam pani za dużo – odparła.

Odsunęła talerz z niedokończonym jedzeniem i napiła się soku z bzu. Beara zrozumiała, że od tego momentu powinna starannie dobierać słowa.

– Domyślam się, że pani mąż nie wrócił? Który to był rok?

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty.

– No właśnie, osiemnaście lat temu wyszedł na papierosa i do tej pory nie wrócił?

Walburga wzruszyła ramionami.

– I nie zgłosiła pani jego zaginięcia na policji?

– Policja nie chciała przyjąć zgłoszenia.

– Ale przecież miała się pani zgłosić ponownie, jeśli nie wróci.

Beara wstała i podeszła do okna. Czowała, że jeśli zostanie przy stole sekundę dłużej, wybuchnie. Oparła się rękami o parapet i uniosła na palcach. Ćwiczenie dobrze jej zrobiło. Powoli opadła na podłogę i odwróciła się do Walburgi.

– Będę musiała to zgłosić.

Walburga wzruszyła ramionami.

– Czy oprócz pani nikt inny nie odczuwał braku jego obecności?

– A kto twierdzi, że ja go odczuwałam? Byliśmy małżeństwem przez dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat harówki, od świtu do nocy. Co jakiś czas mnie bił, bo gdy sobie wypił, nie znosił sprzeciwu. W takich sytuacjach „zamykałam oczy i myślałam o Anglii”, jak mawiano za moich czasów. Naszemu synowi też dość wcześnie pokazał, gdzie raki zimują. Zanim powstał mur berliński, jego krewni mieszkali na całym świecie. Na każde Boże Narodzenie dostawali od nas kartki świąteczne. Nikt za nim nie tęskni.

– Od nas?

– Ode mnie. Z życzeniami od nas wszystkich. Mąż nie był w tym zbyt dobry.

– A miejscowi?

– On nie był pierwszy.

Beara przeniosła krzesło na drugą stronę stołu i postawiła je przed Walburgą.

– Co pani ma na myśli?

– Przed nim wynieśli się stąd dwaj inni. Nasz rzeźnik z żoną i Harald Schmidt. Nie ten sławny Harald Schmidt, tylko inny.

– I dokąd wyjechali?

– Walter i Gisela na Costa Blanca. Już o tym mówiłam. Dostał tam jakąś robotę związaną z prenumeratą czasopism. Nikt nie wie, gdzie przebywa teraz. Ale dobrze mu się wiedzie. Co jakiś czas dzwoni do mojego syna, są przyjaciółmi.

– A pani mąż? Czy później jeszcze się odezwał?

– Nie. Ale nie byliśmy sobie zbyt bliscy.

Beara przetarła oczy. Nigdy wcześniej nie słyszała tak niezwykłej historii, chociaż każdy policjant potwierdzi, że słyszał ich wiele.

– Byliście małżeństwem, więc w pewien sposób byliście sobie bliscy...

– On mnie bił! Czy pani tego nie rozumiała? Czy pani w ogóle słucha, co mówię?

– Oczywiście, że tak.

– Bił mnie i ciągnął za włosy do łóżka. Wyładowywał na mnie całą swoją frustrację. Obrażał mnie, kopał... Wolno mu było. To nie są czyny karalne.

Od 2004 roku gwałt w małżeństwie traktowany jest jako przestępstwo. W latach dziewięćdziesiątych był to na pewno temat tabu, zwłaszcza w tak małej wiosce. Beara chciała położyć dłoń na ramieniu ciężko przez los doświadczonej kobiety, ale się nie odważyła.

– Przykro mi. Naprawdę. Mimo to uważam, że powinna pani była oficjalnie zgłosić jego zaginięcie.

– Oczywiście. Ma pani rację. Ale im dłużej go nie było, tym bardziej absurdalna wydawała mi się ta cała sytuacja. A teraz? Co mam odpowiedzieć, jeśli policja mnie spyta, kiedy zaginął Erich Wahl z Wendisch Bruch?

– Nie wiem – odparła Beara, kręcąc głową. O tak absurdalnym małżeństwie w życiu nie słyszała. – Można powiedzieć, że dopiero teraz pani to zauważyła.

Walburga wybuchła śmiechem. Był to typowy objaw bezradności, który jednak rozładował atmosferę. Odrzuciła głowę i śmiała się tak głośno, że łzy popłynęły jej po policzkach. Beara była zaskoczona takim zachowaniem, ale śmiech kobiety był tak zaraźliwy, że i ona nie potrafiła się opanować. Chwilę później też trzęsa się od śmiechu. Za każdym razem kiedy chciała przestać, Walburga znowu zaczynała. Przez chwilę panowała cisza, po czym obie na siebie spojrzały i znowu wybuchnęły śmiechem.

Co ja robię, pomyślała Beara, ocierając łzy z oczu. Gdyby któryś z jej kolegów z posterunku zobaczył, w jaki sposób podchodzi do sprawy zaginięcia człowieka... W końcu się opanowała.

– Dopiero teraz zauważyłam... – powtórzyła Walburga, ocierając oczy z łez. Co jakiś czas wstrząsały nią jeszcze krótkie paroksyzmy śmiechu.

– Pojadę z panią, może to pomoże – zaoferowała się Beara. – W każdym razie musimy to zgłosić. Zamierzam też zaproponować, żeby policja zaczęła szukać wszystkich mężczyzn z tej wioski.

Walburga natychmiast spoważniała.

– A po co? Mnie na tym nie zależy. Opowiedziałam pani całą tę historię w zaufaniu. Nie chcę, żeby ludzie pomyśleli, że plotkuję na ich temat.

– A o czym? Ja tylko pytałam, co się stało z piekarzem, rzeźnikiem, jego żoną, panem Schmidtem i pozostałymi.

– Właśnie to miałam na myśli. Nie będziemy już o tym rozmawiać.

Walburga wstała od stołu i zaczęła zbierać naczynia. Resztki jedzenia wrzuciła do szarego emaliowego wiadra, sztućce włożyła do zlewozmywaka.

– Chcę pani pomóc – wyjaśniła Beara.

Porzucona przez męża kobieta, która już dawno pogodziła się ze swoim losem, wlała do wody płynu do zmywania naczyń.

– Nie potrzeba. Sama sobie poradzę. Niech się pani lepiej zajmie swoim samochodem.

– Przecież pani chce, żebyśmy zaczęli go szukać.

– Bardzo się pani myli – odparła Walburga i zrobiła taką minę, jak gdyby Beara opowiedziała właśnie świetny dowcip.

Beara usiadła za kierownicą, włożyła kluczyk do stacyjki i przekręciła go. Na tablicy rozdzielczej zaświeciły się lampki kontrolne. W radiu zapowiadano długotrwałą suszę, puszczone wypowiedzi zmartwionych rolników. Na wzgórzu pojawił się traktor, który ciągnął za sobą bronę. Chmura kurzu, która się za nim wzbijała, była tak samo czerwona jak wyschnięta ziemia. Nad świeżo spulchnioną glebą latały jaskółki. Upał był nie do zniesienia, powietrze duszne i parne. Wszyscy czekali na deszcz. Beara

wyłączyła radio.

Ogarnęła ją nieodparta chęć, żeby uruchomić silnik i po prostu stąd wyjechać. Oparła głowę o zagłówek, zamknęła oczy i zaczęła sobie masować ramię. Nadal czuła ból, który pulsował w rytm uderzeń serca. Pomyślała, że coś jest nie w porządku, powinna iść z tym do lekarza. Samochód był gorący jak piec. Opuściła szybę i obserwowała w tylnym lusterku pustą ulicę. *W samo południe* w Wendisch Bruch. Brakuje tylko fruujących po ulicy krzaków i można by kręcić western. W oddali rozległo się wycie psa. Po chwili przyłączył się do niego drugi, a później usłyszała przeciągłe wycie trzeciego.

Wyjęła komórkę, wybrała numer Gehringa, ale znowu zgłosiła się automatyczna sekretarka. Doszła do wniosku, że jego głos nagrany na taśmę nie brzmi zbyt przyjemnie: „Lutz Gehring. Proszę zostawić wiadomość po sygnale, oddzwonię”.

– Mówi Beara... – zaczęła. Wiedziała, że jeśli użyje zbyt natarczywego tonu, doprowadzi go do białej gorączki. Dlatego starała się mówić spokojnie. – Chciałabym prosić, aby wszczął pan poszukiwanie byłych mieszkańców Wendisch Bruch: Haralda Schmidta – nie tego Schmidta, tylko innego, który rzekomo podróżuje z grupą pracowników wydawnictwa – Ericha Wahla, Giseli i Waltera, nazwisko nieznane. Był kiedyś rzeźnikiem w Wendisch Bruch. Cała czwórka zaginęła ponad piętnaście lat temu, więc...

Przerwała na chwilę, żeby przesunąć boczne lusterko trochę w prawo. Wydawało jej się, że w gospodarstwie przesiedleńców coś się poruszyło. A może to tylko drżące powietrze nad gorącym asfaltem wywołuje zjawisko fatamorgany?

– ...więc może mógłby pan sprawdzić, co się stało ze wszystkimi tymi ludźmi, którzy się stąd wyprowadzili. I spytać, dlaczego to zrobili. Czy mieli jakiś powód. I czy miało to coś wspólnego z Charlotte Rubin.

Beara opuściła telefon. Wrażenie, że ktoś ją obserwuje, stało się tak silne, że dłużej nie mogła go ignorować.

– Albo z gospodarstwem przesiedleńców.

Rozłączyła się i zaczerpnęła powietrza. To coś jest tutaj i chce, żeby je znaleźć.

Podmuch wiatru wdarł się przez otwarte okno do wnętrza samochodu, chłodząc jej spocony kark. Przeszedł ją dreszcz. Już nie była taka pewna, czy rzeczywiście chce to coś znaleźć. Wzięła do ręki kluczyk, włożyła do stacyjki, ale kiedy chciała go przekręcić, poczuła wątpliwości. Powinna wrzucić jedynekę i ruszyć przed siebie. Za godzinę byłaby w Berlinie.

W końcu wyciągnęła kluczyk ze stacyjki i wysiadła z wozu. Kusiło ją, żeby iść do Walburgi i powiedzieć jej, co zamierza, ale się rozmyśliła. Odwróciła się i ruszyła przed siebie ulicą.

Rozdział 26

Profesor Brock wrócił od prokuratora w południe. Puste biurko pani Katz skomentował krytycznym mruknięciem, przy czym nie chodziło mu o jej nieobecność w pracy, tylko raczej o to, że sam będzie musiał sobie przygotować herbatę. Jeremy, który od pewnego czasu już na niego niecierpliwie czekał, zaproponował, że on to zrobi. Krótco potem wszedł do gabinetu Brocka z filiżanką w ręce.

Profesor studiował właśnie dokumentację Charlotte Rubin. Za herbatę podziękował skinieniem głowy.

– I co? – spytał Jeremy. – Co powiedział Rütter?

– Wszystko wskazuje na to, że nie postawi nam zarzutu. To dobra wiadomość. Mimo to mam do siebie pretensje. Powinienem był wcześniej zauważyć, że sytuacja robi się niebezpieczna. Gdzie jest pani Spornitz?

– Nie wiem. Wyszła i prawdopodobnie jest w drodze powrotnej do Dessau.

– Powinien był pan ją zatrzymać.

– Nie mogłem. Był tu ktoś z policji kryminalnej...

– Kryminalnej?

Jeremy opowiedział w kilku zdaniach o rozmowie z Gehringiem. Brock słuchał go z uwagą.

– Czy to znaczy, że śledztwo w sprawie tego zagadkowego zabójstwa w ogrodzie zoologicznym nie zostało jeszcze zakończone? Jestem zdumiony. Naprawdę, chociaż coś mi podpowiadało, że mimo przyznania się przez Rubin do winy czegoś jeszcze brakuje. Ten policjant nie powiedział czego?

Jeremy wzruszył ramionami.

– Ma się z panem skontaktować.

Brock skinął głową, zdjął okulary i zaczął nimi przesuwając po biurku.

– Od wyjazdu Rubin ze wsi do nawrotu psychozy upłynęło dwadzieścia lat. To nie my mamy wyjaśnić zagadkę tego zabójstwa, ale przecież musiał być jakiś czynnik, który wywołał tę nagłą zmianę w jej zachowaniu. Myślę, że jest to związane z jej dzieciństwem. Musimy się skontaktować z jej siostrą. Tylko ona może... – Brock przerwał na chwilę. – Rubin nie żyje, co oznacza, że możemy uznać jej sprawę za zakończoną, prawda?

Jeremy spojrzął na profesora i doszedł do odmiennego wniosku.

– W swojej opinii zamierzał pan napisać, że Rubin miała zdolność do rozpoznawania swoich czynów. Zostałaby więc uznana za winną tej zbrodni.

Brock wsunął zauszniak okularów do ust i zaczął go ssać.

– Czy pan naprawdę wierzy, że to ona go zabiła? – spytał Jeremy.

– Mogę tylko powtórzyć to, co już raz powiedziałem: ustalenie prawdy nie należy do nas. My otrzymaliśmy bardzo konkretne zadanie. Nie jest nim analiza dowodów. Mamy się zająć osobą.

– Myślę, że komisarz ma jakieś wątpliwości.

– Tak właśnie przypuszczałem. A jakie?

Jeremy szukał przez chwilę właściwych słów.

– Nie potrafię tego jasno wytłumaczyć. Chodzi mi o sposób, w jaki zadawał pytania. Odnoszę wrażenie, że dla niego ta sprawa nie jest jeszcze zakończona. Musi być coś, co wydaje mu się niejasne.

Udział Charlotte Rubin w zabójstwie został jednoznacznie udowodniony. Okoliczności wyjaśnione. Może miała pomocnika?

Brock mruknął coś, co tylko przy dużej dozie dobrej woli można było uznać za przytaknięcie.

– Czegoś mi tu brakuje – odparł. – Jak skontaktować się ze Spornitz? Chętnie bym z nią jeszcze raz porozmawiał. Mam kilka kwestii do wyjaśnienia.

– Nie odbiera telefonu – stwierdził Jeremy. Zauważył, że na samą myśl o Carze serce zaczyna mu szybciej bić. – Obciąża nas częścią winy za śmierć swojej siostry.

Brock spojrział na niego poważnie.

– Niech pan nigdy nie obciąża tą sprawą swojego sumienia. Samobójstwo Rubin to spóźniony skutek strasznych przeżyć, z którymi my nie mamy nic wspólnego.

– Co pan ma na myśli?

– Cechy maniakalno-depresyjne, paramezja, pragnienie śmierci... Rubin powinna być leczona, to dla mnie oczywiste. Ale nie wykazywała aż tak poważnej deformacji umysłowej, żeby uznać ją za nieporozumiałą. Cara Spornitz wychowywała się w tym samym domu co ona?

– Co pan ma na myśli? – powtórzył Jeremy. Nagle poczuł, że zaschło mu w gardle.

– Że została zraniona w podobny sposób jak jej siostra. Jest od niej młodsza, więc całkiem możliwe, że w przeciwieństwie do niej w ogóle się nie orientuje, co się tam wtedy wydarzyło. Mimo to też przeszła przez tę samą traumę. Przeżyła to samo, co Rubin, ale z innego punktu widzenia – z punktu widzenia dziecka. Uważam, że obie już dawno temu powinny były udać się na terapię.

– Jaki mógł być powód?

Brock poprawił się na krześle.

– Coś tak strasznego, że Rubin nie pozostało nic innego, jak tylko zatrzeć pamięć o sobie. I właśnie to mnie martwi: fakt, że to przeoczyłem.

– A Cara? Czy jej też grożą skłonności samobójcze? Czy nie obawia się pan, że dokonał się w niej ten sam proces, co w jej siostrze?

– Tego nie wiem. Ona jest inna, bardziej ofensywna, zwrócona do życia. Atakuje. To jedna z tych osób, która woli oddać, niż dać się upokorzyć.

Jeremy ujrzał oczami wyobraźni Carę: żółta sukienka, lekki chód, czerwone roześmiane usta. Jednocześnie przypomniał sobie jej nagłe ataki złości i chłodną pogardę, gdy za bardzo się do niej zbliżył.

– A może Cara w ogóle nie wiedziała, co przydarzyło się jej siostrze?

Brock przyjrzał mu się spod zmrużonych powiek.

– Co pan sugeruje?

– Kazirodstwo. Gwałt. Codziennie czytamy o strasznych historiach, ale jestem przekonany, że Cara była wtedy zbyt mała, żeby to zauważyć, a tym bardziej zrozumieć. Strach o siostrę przekuła w – jak uważam – zdrową złość, z której powodu teraz nachodzą ją wyrzuty sumienia. Na świecie jest mnóstwo ludzi żyjących w o wiele większym stresie niż ona, chociaż nie doświadczyli aż tylu strasznych rzeczy.

– Prawdopodobnie ma pan rację.

Brock zamknął segregator z dokumentacją i podrapał się palcem po nosie w miejscu, gdzie miał nałożone okulary.

– Mimo to chętnie bym z nią porozmawiał.

– Nie będzie chciała. Już jako dziecko musiała samotnie dźwigać na swych barkach brzemień odpowiedzialności. Próby samobójcze jej siostry pozostawiły w niej trwałe ślady. Kiedyś ściągnęła ją z dachu domu. Kocha ją, ale jednocześnie jej nienawidzi, właśnie za to, że Rubin jej to zrobiła. Nie chcę wiedzieć, co się w niej działo, gdy dowiedziała się o zbrodni w zoo. Trudno sobie z czymś takim

poradzić, gdy to własna siostra dokonuje tak makabrycznej zbrodni.

Brock przyglądał mu się uważnie.

– Charlie Rubin nie była sprawczynią, tylko ofiarą. Przez całe swoje życie. Aż do samego końca.

– Co... co pan ma na myśli?

– Jej próby samobójcze były ostatnim sposobem na to, żeby wyjść z sytuacji bez wyjścia, w jakiej się znalazła. Zastosowała autoagresję, wybrała radykalną metodę: wieszła się, chciała skoczyć z dachu, dźgnęła się w szyję i tak dalej. Nie chciała, żeby ją ktoś znalazł i uratował, bo inaczej wybrałaby tak zwaną miękką metodę, na przykład tabletki nasenne. Uznała, że konflikt, w jaki popadła, może rozwiązać tylko w jeden sposób: poprzez samoeliminację. Żyła w depresji i przez całe życie się izolowała, zarówno w sensie przestrzennym, jak i duchowym. I właśnie dlatego chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o jej sytuacji życiowej. Być może dzięki temu udałoby nam się jej pomóc. Niestety była od nas szybsza. Wszystkich nas przechytrzyła.

– To znaczy, że stała się ofiarą samej siebie?

– Ofiarą okoliczności, przez które do tego doszło.

– I dlatego to nie ona zamordowała tamtego mężczyznę?

Brock pokręcił lekko głową. Ponownie włożył okulary i przyciągnął segregator.

– To nie ona popełniła tę straszną zbrodnię w ogrodzie zoologicznym. Za to wiedziała, kto to zrobił.

Rozdział 27

Z powodów rodzinnych gabinet nieczynny. W nagłych przypadkach proszę się zwrócić do gminnego ośrodka pomocy dla zwierząt w Dessau-Rosslau, numer telefonu...” – po tej zapowiedzi zabrakło miejsca na automatycznej sekretarce, więc Jeremy nie miał jak zostawić Carze wiadomości. Nie wiedział, gdzie przebywa i opłakuje swój ból. Minęła szósta, tego dnia postanowił wyjść z biura wcześniej. Krótkie spojrzenie, jakim przy pożegnaniu obrzucił go Brock, zdawało się wyrażać zgodę na jego plan: „Tak, pojedź do Dessau i odszukaj ją. Czujemy się przecież odpowiedzialni”.

Jeremy wysiadł z samochodu i zaczął się przyglądać skromnemu budynkowi wzniesionemu w stylu Bauhaus. Dom stał przy jednej ze spokojnych bocznych ulic koło parku Sieben-Säulen. Biała sześcienne bryła otoczona trawnikiem. Przy alejce prowadzącej do wejścia rosło kilka ozdobnych krzewów, które zasłaniały widok na tylną, prywatną część posesji. Bliska odległość od tak zwanego Meisterhäuser przy Gropiusallee sugerowała, że również ta posiadłość została zaprojektowana w latach dwudziestych XX wieku. Jeremy był zdziwiony tym, że kompleks budynków nadal sprawiał wrażenie nowoczesnego, chociaż każdy z nich miał prawie sto lat.

Przeszedł na drugą stronę ulicy. Żaluzje na parterze były opuszczone. Uniósł rękę do oczu i próbował zajrzeć do środka przez hartowane szkło. Niestety bezskutecznie. Zauważył jednak cień za drzwiami i dlatego od razu nacisnął dzwonek.

Przez długi czas nic się nie działo. Dopiero po trzecim dzwonku usłyszał kroki. Znowu pojawił się cień, który przybrał kobiecego kształt. Kiedy drzwi się otworzyły, Jeremy nie mógł ukryć rozczarowania.

Ile mogła mieć lat? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Była szczupła, prawie chuda. Miała czujne szare oczy, okrągłą twarz i sieć zmarszczek wokół ust. Twarz zdominował duży nos. Brązowe włosy przyprószone pierwszą siwizną były upięte w luźny kok. Kilka kosmyków, które się spod niego wymknęły, opadało na czoło i nad uszami.

– Gabinet jest nieczynny – powiedziała.

Jeremy skinął głową.

– Nazywam się Jeremy Saaler i jestem przyjacielem pani Spornitz. Chciałbym z nią porozmawiać.

Lekkie drgnienie powiek. Jeremy przypomniał sobie, że prawie całkowicie przepisał wykłady z psychologii zachowania. Szkoda, bo jakiś koryfeusz w tej dziedzinie mógłby na podstawie wyrazu twarzy wyciągnąć odpowiednie wnioski.

– Nie ma jej tutaj.

– Ale tutaj mieszka?

Jasne, zdecydowane spojrzenie. Kobieta odzyskała kontrolę, lecz nie dała tego po sobie poznać.

– Może pan zostawić wiadomość. Przekażę jej.

– Dobrze – zgodził się Jeremy i zaczął szukać długopisu i kawałka papieru. W końcu znalazł jedynie paragon za tankowanie paliwa.

Kobieta obserwowała go przez chwilę, a potem ustąpiła, robiąc mu przejście.

– Proszę wejść.

Odczekała, aż Jeremy wszedł do ciemnego przedpokoju, a potem zamknęła za nim drzwi. Tabliczka na

ścianie informowała, że poczekalnia jest po prawej stronie. Stały w niej krzesła z bukowego drewna i stolik, na którym leżał stos czasopism. Podłoga była wyłożona kaflami, w samym środku pokoju znajdował się otwór odpływowy. W powietrzu unosił się zapach środków dezynfekcyjnych i wilgotnej sierści zwierząt.

– Tędy, proszę.

Jeremy ruszył za kobietą, która szła tak, jak gdyby czuła się obserwowana. Zaprowadziła go do małego czystego biura. Niewysoki regał przed biurkiem służył jako lada dla klientów. Leżał na nim długopis, broszury i blok z nazwą firmy, numerami telefonów i godzinami otwarcia na okładce. Jeremy wziął kartkę, napisał: „Odezwij się, Jeremy” – i złożył ją na pół.

– Czy to z panią rozmawiałem dwa dni temu przez telefon? – spytał.

– Przez telefon? – odparła kobieta. Podeszła do biurka, wzięła teczkę z dokumentacją jakiegoś zwierzęcia – podopiecznego kliniki – i wstawiła do szafy stojącej przy ścianie. Na biurku leżało kilka spinaczy.

– Jestem psychologiem i odbywam praktykę w gabinecie, któremu zlecono przygotowanie opinii o Charlotte Rubin.

– Charlie.

– Zna ją pani?

– Nie. Ale pracuję tu od dwóch lat i chcąc nie chcąc, to i owo słyszałam.

Usiadła na krześle i zaczęła porządkować biurko. Wykonywała typowe czynności, które miały pokazać, że rozmowa dobiegła końca albo że jej kontynuowanie jest stratą czasu. Jeremy podał jej kartkę papieru.

– Proszę jej przekazać, że to pilna sprawa.

– Oczywiście.

Kobieta położyła kartkę przed sobą w taki sposób, że bez trudności mogła przeczytać, co napisał Jeremy.

– Muszę się teraz zająć rachunkami – powiedziała. – Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

– Nie, dziękuję.

Wyszedł, wszedł do samochodu i postanowił poczekać. Późnym wieczorem wydało mu się, że ktoś podszedł do okna na pierwszym piętrze i wyjrzał na ulicę przez zaciągnięte żaluzje. A może się mylił? O jedenastej sekretarka Cary wyszła z budynku, zamknęła starannie drzwi na klucz, sztywnym krokiem przeszła krótki odcinek chodnikiem, wsiadła do samochodu i odjechała.

Jeremy pozostał w aucie. Jeśli Cara jest w domu, na pewno zobaczy jego wóz i będzie się musiała przygotować na „oblężenie”. Rozsiadł się więc na tyle wygodnie, na ile to było możliwe. Krótco potem zasnął.

W pewnym momencie ktoś zastukał w szybę wozu. Przerażony Jeremy podskoczył w fotelu. Była już druga w nocy. Tuż obok stała Spornitz ubrana w poplamiony T-shirt. Kiedy się pochyliła w jego stronę, poczuł, że śmierdzi oborą.

– Niewygodnie ci tutaj.

– Gdzie byłaś? – spytał, próbując się do końca rozbudzić.

– Pracowałam. A niby gdzie miałam być? Zamierzasz tu nocować?

Otworzyła drzwi wozu i wyciągnęła go na ulicę. Jeremy chciał ją objąć, ale szybko się od niego odsunęła.

– Muszę wziąć prysznic – powiedziała. – Daj mi dziesięć minut, drzwi zostawię otwarte.

– Zgoda – odparł.

Jej zachowanie go zaskoczyło. Miała na sobie dzinsy i gumowce oblepione po kostki zaschniętym błotem.

– Na razie.

Jeremy pomyślał, że jemu też przydałby się prysznic. W schowku na dokumenty miał opakowanie gum do żucia. Wyjął jedną i wsunął do ust. Po dziesięciu minutach wypluł gumę i przeszedł przez ulicę. Drzwi były zamknięte, więc kilka razy nacisnął dzwonek. Jego dźwięk wypełnił puste pomieszczenia i ucichł w okolicach ogródka.

W domu nadal było ciemno. W chwili gdy sięgał do kieszeni po telefon, w domofonie rozległ się charakterystyczny dźwięk. Jeremy pchnął drzwi i wszedł do przedpokoju. W środku było ciemno, ale na samym końcu, w miejscu, gdzie znajdowały się schody prowadzące na górę, zauważył słabą wiązkę światła. Doszedł do wniosku, że albo Cara włączyła je przed chwilą, albo nie zauważył go z ulicy. Zdziwiło go to, bo wcześniej odniósł wrażenie, że dom ma prosty rozkład.

Ruszył schodami na górę. Kiedy pokonał półpiętro i zakręt, stwierdził, że źródłem światła jest świeca. Stała na ostatnim stopniu, rozświetlając ciepłym blaskiem wielkie, prawie puste pomieszczenie.

Podłoga była zrobiona z gładkiego woskowanego betonu, który odbijał światło. Na końcu pokoju stał komplet wypoczynkowy we włoskim stylu. Na kanapie leżała kobieta, która na jego widok powoli się uniosła.

– Chodź do mnie – powiedziała cicho.

Jeremy zatrzymał się obok świecy i czekał.

– To ty do mnie chodź – odparł.

Cisza, która zapadła po tych słowach, trwała wieczność. W końcu kobieta podniosła się i ruszyła w jego stronę. Szła lekko chwiejnym krokiem, z na wespół rozłożonymi ramionami śmiertelnie znużonej ekwilibrystki, która znajduje się na dużej wysokości i próbuje utrzymać równowagę. Jeremy poczuł pokusę, żeby do niej podbiec i jej pomóc, ale ostatecznie uznał, że to ona powinna wykonać te kilka kroków w jego stronę.

Spornitz miała na sobie luźną koszulę nocną z cienkiego, prawie przezroczystego jedwabiu. Wilgotne włosy opadały jej na ramiona. Jej pierwsze kroki były jakby niepewne, ostrożne. Potem szybciej ruszyła w jego stronę. W połowie drogi zaczęła nawet biec i z pełnym impetem wpadła w jego rozpostarte ramiona. Uderzenie było tak silne, że oboje o mało nie spadli ze schodów. Jeremy przycisnął ją mocno do siebie, a gdy poczuł jej ciało, fala pożądania przeszła go jak rozżarzona strzała.

Kochali się w całym pokoju. Później, gdy Jeremy leżał nagi na kanapie i czekał na jej powrót, z przyjemnością przyglądał się kolejnym „ślodom” znaczącym szlak do kanapy: krawat i koszula leżały na schodach, spodnie i jej nocna koszula pięć metrów dalej, pończochy i bielizna tuż przy kanapie. Podniósł swoje slipy i założył je. Po chwili Spornitz weszła do pokoju z dwoma kieliszkami, w których pienił się szampan. Jeremy opróżnił swój jednym haustem.

Z westchnieniem, które było efektem przeżytej rozkoszy, odrzucił głowę. Pot na jego skórze zdążył już wyschnąć. Cara usiadła obok i wsunęła dłoń w jego slipy. Jeremy znowu poczuł rosnące podniecenie. Do diabła z Brockiem. Do diabła z zachowaniem dystansu. Jest młody, wokół niego toczy się życie.

Cara popijała szampana niewielkimi łykami, ostatnią porcję trunku zatrzymała w ustach i pocałowała Jeremy'ego. Pił chciwie, a ostatnie krople zlizła z jej warg. Położyła się z głową na jego piersiach. Jeremy uniósł rękę, przesunął wargami po jej włosach i pocałował ją w głowę. Kusiło go, żeby spytać, czy ich drugi raz też sprawił jej przyjemność, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Poczuł, że mógłby tym pytaniem popsuć nastrój.

– Jak się czujesz? – spytał wprost.

Spornitz objęła jego uda nogą.

– Dobrze. To trochę jak sport, nie sądzisz? Kiedy jest już po wszystkim, czujemy się lepiej. A jak ty się czujesz?

– Sport... Nigdy tego tak nie postrzegalem.

– A jak?

Jeremy nie wiedzial, jak na to odpowiedziec, bo nie chcial, zeby Cara wiazala jego slowa z uczuciami.

– Moze jako pierwsza pomoc? – zasugerowala. Uniosla glowe i spojrzala na niego. – Chcialabym wiedziec, co mowi teraz o mnie twoja natura psychologa.

– Nic takiego, co mogloby toba wstrzasnac.

– Moja siostra nie zyje, a ja leze w lozku z jej terapeutą.

Cara opuscila glowe i zaczela pieścić jego pierś. Jeremy z trudem się powstrzymywal, zeby się na nią nie rzucic.

– Przynajmniej nie jestem twoim terapeutą. To bylby fatalny układ.

– Terapeuta i jego pacjentka? Przeciez to nic nowego.

– To zabronione. – W tym momencie cos mu przyszlo do glowy. – Czy przechodzilas kiedykolwiek jakas terapie?

Chwycila zebami jedna z jego brodawek. Jeremy poczul przeszywajacy bol. Jeknal, a wtedy ona zwolnila ucisk.

– Co ty...

– Bol – szepnela Spornitz. – Lubisz bol?

– Tylko gdy ustepuje.

Odsunela sie od niego i wstala z kanapy. Jeremy obserwowal, jak podchodzi do schodow i siega po swiece. Z powrotem szla powoli, ze spuszczone wzrokiem, wpatrzona w drzacy plomien. Zatrzymala sie tuż przed nim.

– Poloz sie na brzuchu – powiedziala.

– Co chcesz zrobic?

Powoli, zeby nie wylac kropli wosku, Spornitz odstawila swiece. Potem pochylila sie nad nim i czule go pocalowala.

– Wszyscy musimy sie nauczyc kochac bol, bo inaczej nas zabije – szepnela.

Po tych slowach zgasila palcami plomien swiecy.

Jeremy obudzil sie wczesnie rano. Wsluchiwal sie w spiew pierwszych ptakow, ktore o tej porze dnia zdawaly sie wladac miastem, swiatem i cala kulą ziemską. Wpatrywal sie w twarz Cary, jak gdyby byl malarzem, ktory ma tylko te jedna chwile, zeby utrwalic w pamieci jej wizerunek. Zastanawial sie, czy uczucie, ktore go nawiedzilo, mozna nazwac szczesciem. A moze to tylko daleki krewny szczescia – zadowolenie?

Ostroznie, zeby jej nie obudzic, wstal i poszedl do lazienki. Usiadl na desce i jak najciszej sie wysikal. Przygladal sie wykończeniom z marmuru, szkła, metalu i nierdzewnej stali. Na podlodze lezal ręcznik z włoskiej bawełny, lekki jak pareo. Siegnal po niego i nagle naszla go pokusa, zeby go ze soba zabrac. Chcial miec cos, co bedzie mu przypominalo Care. Cos namacalnego, zeby byl pewien, ze naprawde tu byl.

Umyl rece i wytarl je w ręcznik. W pewnej chwili zauwazył na wpół otwartą szufladę. Nie mógł się powstrzymac od uśmiechu. Cara nie byla zadnym nadczlowiekiem. W lazience miala kremy jak inne kobiety, szczotki, blyszczyki, pomadki, waciki... Powinna je tylko lepiej chowac.

– Jeremy?

Szybko zasunal szuflade i poczul sie tak, jak gdyby ktos przyłapal go na kradziezy. Serce mocno mu bilo. To w koncu nie jego sprawa, co Cara ma w lazience. To najbardziej intymne pomieszczenie w mieszkaniu, a tymczasem on juz przy pierwszej okazji grzebie w jej rzeczach.

Wrócił do sypialni. Cara leżała na poduszkach. Przeciągnęła się jak kotka i uśmiechnęła do niego.

– Lubisz tak wcześnie wstawać? – spytała.

– Nie.

– To śpij dalej. A jak nie wiesz jak, to śpij ze mną.

Jeremy wziął ją w ramiona i pocałował. Po prostu nie miał innego wyjścia.

Rozdział 28

Komisarz Gehring rozpoczął swój poranny trening od pięciokilometrowego biegu, w czasie którego słuchał *Living Things* zespołu Linkin Park. Potem wziął prysznic, poszedł do kuchni i przy wielkim dębowym stole kuchennym z miejscami dla sześciu osób, przy którym od dawna nie siedział, wypił na stojąco szybkie espresso. Przy okazji przejrzał artykuł w gazecie, którą zapnumerowała jeszcze jego żona. Tytuł brzmiał: „Potwór z ogrodu zoologicznego: samobójstwo w areszcie śledczym”.

Czasem się zastanawiał, kto wymyśla takie nagłówki w gazetach. Kiedyś słyszał, że robią to redaktorzy, którzy wprawdzie nie znają treści artykułów, ale potrafią coś wymyślić na poczekaniu. W tym przypadku fakty się zgadzały, lecz poczuł się zniesmaczony prostackim językiem.

Pod względem treści nie mógł autorowi niczego zarzucić: Charlotte R., która była oskarżona o dokonanie brutalnej zbrodni (już wcześniej pisaliśmy o tej sprawie, ale uzupełnimy ją jeszcze o kilka szczegółów), w oczekiwaniu na rozprawę sądową odebrała sobie życie w areszcie śledczym. Rzecznik policji potwierdził, że uczyniła to za pomocą ostrego przedmiotu – spinacza (na zdjęciu: spinacz oryginalnych rozmiarów, aby czytelnik miał wyobrażenie, o czym piszemy i że to wcale nie taka mała rzecz), który ukradła podczas wizyty w gabinecie swojego terapeuty (tak, Rubin przebywała poza aresztem! Proszę sobie wyobrazić, że czuła się tam jak w Grand Hotelu: kawa, eleganckie fotele, pogawędki). Poprosiliśmy o komentarz profesora Gabriela Brocka, ale był nieosiągalny. Prokurator zamierza zamknąć śledztwo. Tym samym osoba, która popełniła jedną z najbardziej okrutnych zbrodni, jakie kiedykolwiek wstrząsnęły naszym miastem, i wywołała traumę u niewinnych dzieci, uniknie kary.

Uwagę Gehringa zwróciło zdjęcie zrobione w dniu zabójstwa przy wybiegu dla pekari. Gapie, prasa, dzieci.

Do swojego biura na trzecim piętrze przy Sedanstrasse dotarł biegiem, schodami. Najpierw wyrzucił do kosza na śmieci ścienny kalendarz reklamujący zawody w Hoppegarten, a potem kolejny raz próbował się dodzwonić na komórkę Beary. Znowu bezskutecznie. Przysiągł sobie, że to już naprawdę ostatnia próba, po której usunie z pamięci telefonu jej zagadkowe nagranie sprzed południa, w którym mówiła o Walterze, Giseli, Erichu i Haraldzie Schmidcie, bez względu na to, kogo miała na myśli. Uznał, że się tylko ośmiesza. Cztery nieodebrane połączenia od Gehringa – teraz pewnie śmieje się z niego ze swoimi przyjaciółkami.

W skrzynce pocztowej znalazł informację, aby skontaktował się z niejakim Heinerem Vieritzem z firmy Vieritz Maschinen-Vetrieb GmbH z miejscowości Kleefeld koło Schwerinu. Nadawca e-maila – policjantka z Krajowej Policji Śledczej w Meklemburgii – napisała, że to w sprawie Leyendeckera. Gehring spojrzął na zegarek. Dopiero minęła ósma. Mimo to postanowił spróbować.

– Słucham, Vieritz. – Głośny, grzmiący głos. W tle hałas silnika.

– Mówi Gehring, komisarz policji kryminalnej w Berlinie. Czy znajdzie pan dla mnie chwilę? Chodzi o pana o byłego pracownika Wernera Leyendeckera.

– Momencik.

Gehring usłyszał kroki, a potem otwieranie i zamykanie drzwi. Ostrożność. To pewnie nie pierwszy

kontakt z policją. Hałas maszyn w słuchawce był teraz bardziej przytłumiony.

– Już. A więc chodzi o Leyendeckera? Czytaliśmy o tej sprawie. Straszna rzecz. Taki dobry człowiek. To on zdobył dla nas kiedyś cały Wschód. Ludzie potrzebowali maszyn, bo dawne spółdzielnie rolnicze i przedsiębiorstwa państwowe miały na stanie sam złom. Co mogę dla pana zrobić?

Gehring chciał odpowiedzieć, że dał się nabrać pewnej wariatce i dlatego serdecznie przeprosza, że go niepokoi, ale skoro już rozmawiali, a policja w Schwerinie zadała sobie tyle trudu, by ich skontaktować, nie pozostało mu nic innego, jak tylko kontynuować:

– Chciałbym się dowiedzieć, czy pan Leyendecker był kiedykolwiek na pana zlecenie w miejscowości Wendisch Bruch. To w pobliżu Jüterbogu, w południowej Brandenburgii.

– Jüterbog, pamiętam. Tamte tereny znajdowały się w naszym zasięgu. Ale... proszę powtórzyć, jak nazywała się tamta dziura?

– Wendisch Bruch.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Leyendecker przeszedł dwa lata temu na emeryturę. A pracownik, z którym na początku wyjeżdżał w teren, nie żyje.

Gehring, który prowadził tę rozmowę tylko po to, żeby po powrocie Beary pokazać jej, jak absurdalne były jej podejrzenia, sięgnął odruchowo po papier i długopis.

– Powiedział pan, że nie żyje?

– Miał wypadek. Ale to było dawno temu.

No tak, pomyślał Gehring i odłożył długopis.

– Wypadek samochodowy?

– Tak. Zjechał z szosy, bo jakiś baran rozlał na drogę cały ładunek gnojówki.

– Gnojówki?

– Tak, nawozu, który rozrzuca się na polach. To się stało zimą, był wtedy przymrozek. Gnojówka zamarzała i asfalt zrobił się gładki jak lód. Zaraz za tym miejscem był zakręt. Facet nie miał szans.

– Kto to zrobił?

Vieritz sapnął, wkładając w wydmuchiwane powietrze całą pogardę, do jakiej był zdolny.

– Nigdy tego nie ustalono. Sprawca nie zgłosił się dobrowolnie.

– A jak się nazywał ten pracownik, który towarzyszył Leyendeckerowi?

– Maximilian Göhler. To się stało zimą z dziewięćdziesiątego piątego na dziewięćdziesiąty szósty rok.

Gehring zapisał nazwisko.

– Przejrzę jeszcze raz akta tej sprawy – powiedział – ale o wiele bardziej interesuje mnie trasa, którą jego partner poruszał się przed śmiercią. Czy istnieje jakaś dokumentacja z tamtego okresu? Rachunki za noclegi albo za wyżywienie? Karty drogowe?

– Musiałbym spytać o to Sonję. Jest jedyną osobą, która pracuje u nas tak długo. Prowadzi nam księgowość.

Gehring poprosił Vieritza, żeby to zrobił, i się rozłączył.

Gnojówka. Świnie. Dzieża. Göhler, Leyendecker i piekarz z Wendisch Bruch. Trzej mężczyźni, którzy ponieśli śmierć w nietypowych okolicznościach. Gehring bawił się długopisem, przesuując końcówką po papierze. Ogarnął go niepokój. A działało się tak za każdym razem, gdy pojawiał się w nim choćby cień podejrzenia. Próbował sobie przypomnieć coś, co pomogłoby mu w dokonaniu właściwej oceny, ukazało sprawę w jasnym świetle, ułatwiło wyciągnięcie wniosku... Zerknął na zegarek. Kwadrans po ósmej. Odprawa zaczyna się o dziewiątej.

Wstał i wyjął z szafy segregator z aktami Charlotte Rubin. Lekturę rozpoczął od sporządzonego przez siebie protokołu. Pomiął protokół z obdukcji i skupił się na zeznaniach świadków.

Dzieci.

Beara rozmawiała z dziećmi, ale w swoim raporcie poczyniła na ten temat tylko krótką wzmiankę. Dopiero na samym końcu natknął się na zdanie, którego szukał. Oparł głowę o fotel i popatrzył w sufit.

Prawda była taka, że wolał nie zastanawiać się nad jego sensem, bo postawiłoby to pod znakiem zapytania całą pracę, jaką wykonał w trakcie śledztwa. Wnioski wynikające z tego zdania mogłyby oznaczać konieczność włączenia w dochodzenie Federalnej Policji Kryminalnej, Interpolu i komend głównych w każdym z szesnastu landów, jego szefa i prokuratora. Przede wszystkim jednak stanowiłyby dowód na to, że cała jego ekipa – łącznie z nim – spisała się nie najlepiej: od najważniejszych policjantów aż po zwykłych krawężników. Żeby tak się stało, musiałyby jednak potraktować to zdanie poważnie.

„...oznajmiła mi, że zajęła się hodowlą szczurów, ponieważ jej rodzina wywodzi się ze wsi, a tam zabija się metodą chłopską”.

Gnojówka. Świnie. Dzieża. Zabijanie. „Metoda chłopska”.

W końcu postanowił, że wyświadczy przysługę zarówno sobie, jak i Bearze i odbędzie dwie rozmowy. Od ich przebiegu uzależni kontynuowanie śledztwa. Sięgnął po telefon.

Prahm był nie takim młodym już dzielnicowym z dzielnicy Teltow. Zapytanie Gehringa uznał za tak dziwne, że kilka razy się upewniał, czy dobrze go zrozumiał.

– Wendisch Bruch? Sprawa sprzed prawie dwudziestu laty?

– Tak. Harald Schmidt, Erich Wahl, Gisela i Walter...

– Weberowie?

– Znał ich pan?

– „Znał” to za wiele powiedziane. Weber miał rzeźnię, często kupowaliśmy u niego kiełbasę krakowską. Umiał robić prawdziwe wędliny.

Weberowie. Gehring zapisał to nazwisko przy obu imionach.

– Co się z nimi stało?

– Chyba się wyprowadzili. To było dawno temu. W połowie lat dziewięćdziesiątych w naszym regionie zaczęły się problemy. Wiele osób wtedy wyjechało, żeby gdzie indziej zacząć od nowa. Cóż... – Prahm wypowiedział to ostatnie słowo w taki sposób, jakby miało posłużyć za cały komentarz.

– A Harald Schmidt i Erich Wahl?

– Nic mi te nazwiska nie mówią. Zupełnie.

Gehring wyjął z kosza na śmieci pomiętą kartkę papieru, na której w kilku punktach zapisał ostatnią wiadomość od Beary, dziękując w myślach swoim przełożonym za to, że ze względów oszczędnościowych kosze opróżniane są tylko dwa razy w tygodniu.

– Czy mógłby pan ustalić, kto się stamtąd wyprowadził i dokąd wyjechał? I jak wyglądają obecne stosunki własnościowe posiadłości przesiedleńców?

– Takimi sprawami zajmują się urząd meldunkowy i wydział katastralny. Na pana miejscu nie robiłbym sobie zbyt dużych nadziei. W tamtych czasach pracowaliśmy w systemie ISVB, który później został zastąpiony przez POLIKS. Jeśli istnieją jakieś dawne zapisy, to będzie je można znaleźć w archiwum w Luckenwalde.

Gehring stłumił niecierpliwe westchnienie. Dawny policyjny system gromadzenia danych został przed kilku laty zastąpiony przez nowy, bardziej nowoczesny. Uświadomił sobie, że dalszy postęp w śledztwie może mu utrudnić zwykły dzielnicowy z Brandenburgii.

– Nie chcę panu zwać na głowę dodatkowej roboty – wyjaśnił Gehring – ale może któryś z pana ludzi pamięta jakieś niewyjaśnione zdarzenia, do których doszło w Wendisch Bruch?

– Ja tu jestem najstarszy.

– Na przykład sprawę tego piekarza, który udusił się w dzieży. Właśnie takie sprawy mam na myśli.

– Nic o tym nie słyszałem – odparł zaskoczony Prahm po krótkim milczeniu.

– Czy dałoby się ustalić jego tożsamość i nazwisko osoby, która wystawiła świadectwo zgonu?

– Zajmę się tym, ale to może potrwać. Jesteśmy niewielkim posterunkiem. Jeśli sprawa jest pilna, proszę się zwrócić o dodatkową pomoc do Luckenwalde.

A wtedy mój wniosek trafi do kosza, pomyślał Gehring.

Drugą rozmowę przeprowadził z komisarz Gerlinde Schwab, która zajmowała się głównie prowadzeniem i analizą akt. Niedoszły talent, niespełniona nadzieja. Karierę rozpoczynała z doskonałymi świadectwami, ale w miarę upływu czasu coraz bardziej się cofała. Omijały ją awanse, zmniejszano jej zakres obowiązków. Miała prawie czterdzieści lat i zdążyła pogrzebać wszystkie swoje ambicje – z wyjątkiem jednej: aby jak najszybciej uzyskać zaświadczenie o złym stanie zdrowia, co będzie ją kwalifikować do wcześniejszego przejścia na emeryturę. O osiągnięciu tego celu starała się niezwykle gorliwie. Liczba jej nieobecności nieznacznie przewyższała liczbę dni, kiedy była w pracy, a pełen cierpienia wyraz twarzy, do którego wszystkich przyzwyczała, zachęcał do zadawania jej pytań o stan zdrowia. Każdy jednak, kto to zrobił, szczerze tego później żałował, bo Schwab zaczynała od razu opowiadać o objawach półpaśca. Dodzwonienie się do niej o tej porze dnia graniczyło z cudem, a nakłonienie jej do tego, żeby pofatygowała się na trzecie piętro, było ukoronowaniem jej dobrej woli.

– Chodzi mi o dzieci – zaczął bez owijania w bawełnę Gehring, gdy tylko Schwab weszła do jego pokoju.

Zerknął na zegarek. Do odprawy zostało jeszcze dziesięć minut. Wiedział, że Schwab tylko czyha na okazję, żeby zacząć się rozwodzić nad uciążliwościami służby pełnionej przy biurku. Postanowił, że tym razem nie da jej ku temu okazji.

Zamknęła za sobą drzwi. W ciągu kilku ostatnich lat sporo przytyła, przez co musiała nosić coraz luźniejsze ubrania. Miała okrągłą twarz i nosiła charakterystyczne okulary, lenonki. Włosy, które farbowała henną, kleiły się jej do głowy. Wysilek związany z pokonaniem dwóch pięter sprawił, że jej twarz nabrała intensywnego pąsowego koloru. Gehring zauważył, że Schwab ma spuchnięte kostki. Może jest chora?

– Dzieci? – sapnęła, siadając na krześle przed biurkiem. Z rękawa bluzki wyjęła papierowy ręcznik i otarła nim z czoła drobne krople potu.

– Dwa dni temu prosiłem, aby w związku ze śledztwem dotyczącym zabójstwa w ogrodzie zoologicznym porozmawiała pani z Luise Hoffmann i Dilshad Said. To one pierwsze zauważyły ludzką dłoń na wybiegu pekari i być może dokonały też innych spostrzeżeń. Czy pani się tym zajęła?

– Tak, oczywiście.

– To dlaczego nic o tym nie wiem?

– Bo za każdym razem kiedy się za to zabierałam, coś mi stawało na przeszkodzie. Natychmiast się tym zajmę.

Jej twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, jeśli to w ogóle było możliwe.

– Dzieci twierdziły, jakoby w miejscu, gdzie znaleziono zwłoki, widziały klauna. Podobno ten klaun pchał taczkę. Czy dziewczynki potwierdziły tę wersję?

Schwab zmięła papierowy ręcznik.

– Właściwie to nie.

– Czy może to pani doprecyzować?

– Rodzice nie chcieli, żeby ktokolwiek rozmawiał z ich dziećmi. Mają przecież tylko sześć lat. Być może należałoby zaprosić na taką rozmowę psychologa dziecięcego. Chciałam z panem o tym porozmawiać.

Gehring pominął fakt, ile dni upłynęło od wydania polecenia. Postanowił, że tym razem nie będzie się

złościł, tylko rozżołości swoją podwładną:

– Czy mógłbym zlecić pani inne zadanie?

– Sama nie wiem... Mam dzisiaj umówioną wizytę u lekarza.

– Jeśli sprawa nie jest pilna, to może uda się pani do niego po godzinach pracy?

Ale pani Schwab znała swoje prawa.

– To jest pilna sprawa, a ja nie jestem zobowiązana informować pana o szczegółach. Poza tym w piątki wychodzę zawsze o pierwszej.

– Dobrze – odparł Gehring, po czym podniósł segregator na taką wysokość, żeby Schwab mogła zobaczyć napis na grzbiecie. – W tym segregatorze znajduje się raport w sprawie śledztwa dotyczącego zabójstwa Wernera Leyendeckera. To ten mężczyzna zamordowany w ogrodzie zoologicznym.

Twarz Schwab zaczęła przybierać trochę mniej intensywnej barwę. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że zbladła.

– Oskarżona odebrała sobie życie wczoraj w nocy – stwierdziła.

– Tak – potwierdził Gehring. Odczekał chwilę, żeby się upewnić, czy Schwab potrafi kojarzyć pewne fakty. Niestety, rozczarował się. Ponownie zerknął na zegarek. Odprawa zacznie się bez niego. – Wszyscy moi ludzie są teraz zajęci innymi sprawami. Ja też. Dlatego chciałbym poprosić, aby pani na pewien czas przerwała prace związane z aktami. Czy to możliwe?

– Nie wiem...

– Zadzwoń do pani, bo wiem, że jest pani osobą godną zaufania. Dlatego chcę powiedzieć, że chociaż Charlotte Rubin nie żyje, czynności śledcze nie zostały jeszcze zakończone.

– Nie? A ja myślałam...

– Szukam informacji na temat zaginięcia mieszkańców pewnej małej wioski w powiecie Teltow-Fläming. Być może wiążą się one ze śmiercią Leyendeckera. Niewykluczone, że wyślę panią do Luckenwalde. Teraz jednak proszę, aby nikogo nie informowała pani o naszej rozmowie, bez względu na to, czy pani przyjmie to zlecenie, czy nie.

– Luckenwalde? – spytała Schwab z taką miną, jak gdyby od razu postanowiła, że tam nie pojedzie. – Nie bardzo rozumiem, w czym to panu może pomóc.

W tym momencie Gehring zaczął wątpić, czy pomysł ze zwróceniem się o pomoc do Schwab był słuszny. Najwidoczniej należała do tych funkcjonariuszy policji, których kiedyś odsunięto, przydzielono im miejsca przy biurkach i od czasu do czasu zlecano im jakieś zadanie, a potem tylko sprawdzano, czy zostało wykonane. Schwab tak właśnie pracowała, chociaż z powodu zwolnień lekarskich miała opóźnienia i nikt jej dokładnie nie kontrolował. Doskonale by się nadawała do dyskretnego zdobywania informacji.

– Luckenwalde – powtórzyła, kręcąc głową. Z włosów na skroniach skapnęła jej kropla potu. Energicznie ją wytarła. – Do południa na pewno się z tym nie wyrobie.

– No trudno. Nie będę pani dodatkowo obciążała.

Schwab przyglądała mu się podejrzliwie spod nabrzmiętych powiek. Być może czekała, że Gehring doda coś jeszcze swoim protekcyjnym tonem, ale on zmusił się tylko do uśmiechu.

– To był tylko taki luźny pomysł. Przypomniało mi się, że śledztwa były kiedyś pani silną stroną.

Schwab popatrzyła na mokry od potu papierowy ręcznik, który trzymała w ręce.

– Kiedyś mogłam też chodzić. Niestety, kiedy człowiek zaczyna źle funkcjonować, staje się towarem wybrakowanym.

– Co pani robi, jeśli lekarz stwierdzi, że dłużej się tak nie da? Przecież przeniesienie pani na obecne stanowisko było uzasadnione stanem zdrowia.

– Wszystkim się wydaje, że symuluję. Niechby tak pocierpieli chociaż jedną noc z takim bólem, jaki

odczuwam w nogach. Co pan chce dokładnie wiedzieć?

Mówiąc to, Schwab wskazała ręką na akta. Gehring zauważył, że obrączka werżnęła się jej głęboko w palec. Zaczął się zastanawiać, czy powinien kontynuować tę rozmowę. Był pewien, że na sam koniec i tak spotka się z odmową. W końcu postanowił, że opowie jej o podejrzaniach Beary i zobaczy, jak Schwab na nie zareaguje.

– Charlotte Rubin pochodzi z Wendisch Bruch. Wyjechała stamtąd w dziewięćdziesiątym trzecim roku, w wieku piętnastu lat. Mniej więcej w tym samym czasie doszło do prawdziwego exodusu mężczyzn mieszkających we wsi i całej serii zagadkowych zgonów. Obecnie próbuję ustalić, czy Werner Leyendecker był tam na początku lat dziewięćdziesiątych. Jeśli tak...

– Jeśli tak – dokończyła ku jego zdumieniu Schwab – to byłby to pierwszy dowód na to, że sprawca i ofiara się znali.

– Czytała pani raport ze śledztwa?

– Na tym polega moja praca.

– Dobra robota. Już dawno chciałem pani o tym powiedzieć.

Schwab zmrużyła małe oczka, jak gdyby każda pochwała zawierała w sobie ukryty policzek.

– Co jeszcze? – spytała. – Czy ci zaginieni mężczyźni to potencjalne ofiary Rubin? A Leyendecker był jej ostatnią ofiarą?

Gehring skinął głową, zaskoczony jej nagłym zainteresowaniem i inteligentnym wywodem, który kontrastował z jej lenistwem.

– Leyendecker pracował jako przedstawiciel handlowy firmy sprzedającej maszyny rolnicze – kontynuował. – Na początku lat dziewięćdziesiątych na pewno był w Jüterbogu. To tylko dziesięć kilometrów od Wendisch Bruch. Jego partner, z którym podróżował służbowo po kraju, zginął kilka lat później w wypadku samochodowym. Zamierzam wrócić do tej sprawy. Miejscowy piekarz udusił się w dzieży na ciasto, a rzeźnik zginął bez śladu. Chciałbym ustalić, ilu mężczyzn, którzy wyjechali z Wendisch Bruch, jeszcze żyje.

– A nie interesuje pana bardziej to, ilu z nich nie żyje?

– Właśnie tak.

Schwab wstała z westchnieniem z krzesła. Ruchy miała ciężkie i niepewne.

– Na co pani właściwie cierpi? – spytał Gehring.

– Na reumatyzm.

– Powinna pani zmierzyć sobie ciśnienie.

– Właśnie zamierzałam to dziś zrobić. Ale może umówię się z lekarzem na poniedziałek?

Do Luckenwalde będę mogła pojechać – jeśli w ogóle się tam wybiorę – w następnym tygodniu.

– Bardzo pani dziękuję – odparł Gehring. Wstał zza biurka i otworzył jej drzwi.

Odczekał, aż Schwab wyjdzie z pokoju, a potem wziął z biurka akta sprawy i odstawił je do szafy. Zrobił, co mógł.

Rozdział 29

Jeremy zdawał sobie sprawę, że zachowuje się nie tak jak powinien. W środku dnia leżał w łóżku, ostatniej nocy kochał się sześć razy i w ogóle nie chciało mu się myśleć ani o Brocku, ani o jego gabinecie, ani o powodach, które skłoniły go do przyjazdu do Dessau. Kiedy o tym wszystkim zapominał, życie wydawało mu się łatwe, lekkie i zrozumiałe.

Wyciągnął rękę, żeby sięgnąć po zegarek, który – jak przypuszczał – leżał na podłodze, i o mało nie przewrócił pustej butelki po winie. W ostatniej chwili zdążył ją złapać i ustawić na swoim miejscu.

Zegarek wskazywał wpół do drugiej. W skroniach czuł przytłumiony ból, który tłumaczył sobie kacem. Ostrożnie uniósł się w łóżku z nadzieją, że za stosem poduszek ujrzy Carę. Niestety łóżko było puste. Cary nie było też w innych pokojach na piętrze. Pozbierał więc swoje rzeczy, wziął prysznic, ubrał się i zadzwonił pod numer telefonu pani Katz. Tonem usprawiedliwienia nagrał na automatyczną sekretarkę kilka zdań i poczuł ulgę, że ma to już za sobą. Potem zszedł do gabinetu, w którym przyjmowała Spornitz.

Z powodu opuszczonych żaluzji cały korytarz i poczekalnia tonęły w mroku. Jeremy zawołał Carę po imieniu, ale odpowiedziała mu cisza. Poczuł rozczarowanie. Mogła mu przynajmniej zostawić kartkę z wiadomością.

Zajrzał do biura, ale na kontuarze też nic nie znalazł. Postanowił więc, że sam napisze do niej kilka zdań. Uniósł deskę kontuaru, stanął za biurkiem i wyjął z drukarki kartkę papieru. Na wysokości oczu stała szafka z lekami. Drzwiczki były lekko uchylone. Jeremy otworzył je szerzej, chociaż sam nie wiedział dlaczego. Może kierowała nim ciekawość? Albo zaskoczyło go, że szafka nie jest zamknięta na klucz? W środku znalazł jednorazowe strzykawki, brązowe butelki z ręcznie wypisanymi naklejkami i opakowania z lekarstwami. Ogólnie rzecz biorąc, zawartość szafki odbiegała od jego wyobrażeń o tym, co powinien mieć pod ręką lekarz weterynarz. Zamknął ją i na stojąco zaczął pisać list.

„Kochana Caro...” Zbyt staromodnie. Zmiał kartkę i wyjął następną. „Nie było cię tutaj...” Nie, też nie tak. Już w pierwszym zdaniu zwraca się do niej z wyrzutem. Sięgnął po trzecią kartkę. „Aniołku...” Nie, przecież nie jest macho. „Tęsknię za tobą...” Zbyt płaczkliwie. Po szóstej próbie poddał się i wyjął z kosza na śmieci wszystkie zmarnowane kartki. Nie chciał, żeby sekretarka zobaczyła, z jakim trudem starał się dobrać słowa. W koszu znalazł jeszcze dwa puste opakowania po doptrominie i ketaprofolu... Nie znał tych leków, ale ich skład chemiczny wiele mu wyjaśnił. To silnie działające środki odurzające i zwiotczające mięśnie. Oba należy podawać pod nadzorem anestezjologa. Jeremy zaczął się zastanawiać, czy kiedy Cara kastruje byki, pomaga jej w tym jakiś fachowiec. Położył swoje niedokończone listy miłosne na biurku i wyjął opakowania po lekach z kosza. Wyglądały na nowe i pospiesznie rozdarte. Każde z nich zawierało po dziesięć ampulek. Wystarczy, żeby uspić całe zoo. A może właśnie tyle zużywa ich weterynarz na prowincji?

Usłyszał, jak otworzyły się drzwi wejściowe do budynku. Wrzucił opakowania z powrotem do kosza i się wyprostował. Cara prawie minęła drzwi pokoju, ale na jego widok zatrzymała się i popatrzyła na niego poirytowanym wzrokiem. Kiedy weszła do środka, Jeremy zauważył, że jest w gumiakach, T-shircie i zabrudzonych dżinsach.

– Jeszcze tu jesteś? – spytała.

Zauważyła zmięte kartki papieru. Odstawiła torbę na podłogę.

– Co to znaczy? – spytała.

– Nic.

Jeremy czuł się jak sześciolatek, którego przyłapano na kradzieży cukierków. Spornitz sięgnęła po kartki i rozwinęła je.

– „Tęsknię za tobą”... „Gdzie jesteś?”... Jeremy, przecież ja pracuję, moi pacjenci nie stosują się do oficjalnych godzin przyjęć.

Podeszła do niego, żeby go pocałować, ale Jeremy odsunął się od niej.

– Jesteś na mnie zły? – spytała, wrzucając kartki do kosza. Zauważyła opakowania po lekach, ale nie dała po sobie nic poznać. – Miałam nagły przypadek. Trudności przy porodzie źrebaka. Muszę wziąć prysznic. Vivi nie ma dziś w pracy, dałam jej wolne. Pójdiesz ze mną?

– Dokąd? – spytał Jeremy poirytowanym tonem.

– Na górę.

Spornitz przyciągnęła go do siebie. Jeremy poczuł zapach obory i błota, gnojówki i krwi. Przede wszystkim jednak powiew miłości.

Później spotkali się w kuchni. Spornitz związała włosy w koński ogon, włożyła letnią sukienkę. Myszkowała po szafkach, hałasując garnkami i patelniami.

– Myślisz o śniadaniu? – spytał Jeremy.

– Jestem głodna – odparła, pokazując mu niedawno kupioną teflonową patelnię. – Jajecznicą?

Jeremy wziął ją w ramiona i pocałował.

– Jeśli tak, to wyjmij kilka jajek z lodówki.

W czasie gdy rozbijał jajka i rozpuszczał na patelni kawałek masła, patrzył na całą tę zwykłą codzienną scenę, jakby to było ujęcie filmowe: nieziemsko piękna kobieta i rozbity po nocy nieogolony facet w rzadko wykorzystywanej kuchni.

Śniadanie postanowili zjeść przy szklanym stoliku, na którym stała pusta waza na owoce.

– Dlaczego tu jeszcze jesteś? – spytała Spornitz.

– A dlaczego nie? – odparł na jej bezczelne pytanie, wbijając zęby w tost.

– Żeby na mnie uważać?

– Też.

– To nie jest konieczne.

– Gdzie byłaś?

Spornitz odstawiła filiżankę.

– W stadninie kucyków w miejscowości An der Mulde. O co ci chodzi? Chcesz mnie kontrolować? Czy dlatego tu przyjechałeś? Czy twój profesor powiedział ci, że potrzebuję opiekuna?

– Nie. Jestem tutaj, bo chciałem cię zobaczyć i martwię się o ciebie. Nie chcę cię zostawić samej w tej sytuacji. Twoja siostra nie żyje od dwóch dni, a ty...

– Co ja? Chodzi ci o to, że nie obchodzę żałoby tak jak wszyscy? Mam się twoim zdaniem ubierać na czarno? I pozwolić zwierzętom zdychać?

Spornitz wyjęła tost z opiekacza i z wściekłością zaczęła go smarować masłem. Robiła to z taką siłą, że kromka pękła jej w ręce. Rzuciła nóż na talerz. Jeremy chciał podnieść rękę w obronnym geście, ale Spornitz zmieniła ton.

– No dobrze, powiedz mi po prostu, o co ci chodzi. Pieprzysz mnie w ramach terapii?

Gdyby Jeremy nie był przygotowany na takie pytanie, po prostu by wstał i wyszedł. Zdażył się jednak przyzwyczać, że Cara nie radzi sobie z emocjami. Wszystko, co przekraczało pewien poziom emocji, wytrącało ją z równowagi. Nie potrafiła zareagować inaczej, jak tylko przechodząc do kontrataku, bez

względu na to, komu się dostanie.

– Dlaczego się tak uśmiechasz? – spytała. – Czy powiedziałam coś śmiesznego?

– Ilu facetów wyprowadziłaś już takimi słowami z równowagi?

Spornitz wzruszyła ramionami.

– To chyba nieważne. Ze mną i tak żaden nie wytrzyma. Po co miałabym się starać? To strata czasu.

Długo będziesz jeszcze jadł? – spytała, wskazując głową na jego talerz.

– Tak – odparł Jeremy. – Próbuję jeść w tym samym tempie, co ty.

Spornitz zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

– Po co? Nie chcę cię tutaj. Ciebie, twojej pieprzonej praktyki zawodowej i tego dobrotliwego półboga w drucianych okularach, który wygląda jak karykatura Freuda. Jeśli tego nie rozumiesz, to raczej ty zapisz się na sesję na kanapie. Moja siostra próbowała mnie w przyпадку szaleństwa zaatakować. Jest... była zabójczynią. Może wiesz, jak po kimś takim obchodzić żałobę? Jeśli tak, to chętnie posłucham. Tylko mi nie mów, co mi wolno, a czego nie wolno! Będziesz jeszcze coś jadł? Jak nie, to mogę ci to zapakować przed wyjściem. – Wskazała na nadgryziony tost i zimną jajecznicę.

– Charlie nie była zabójczynią – odparł.

Spornitz długo mu się przyglądała. Potem bez słowa zabrała talerz, resztki jedzenia wrzuciła do kosza i z trzaskiem wstawiła naczynia do zlewozmywaka.

– Śledztwo jeszcze trwa, a właściwie zostało wznowione. Wczoraj był u nas policjant z Wydziału Zabójstw. Ma chyba wątpliwości, czy to rzeczywiście ona dokonała tego morderstwa.

Jeremy wstał z krzesła i podszedł do niej. Spornitz wypłukała naczynia w zimnej wodzie i umyła ręce. Położył dłonie na jej ramionach. Nie protestowała. Po długiej jak wieczność chwili odwróciła się do niego i spytała zdławionym głosem:

– O czym ty mówisz? Dlaczego dopiero teraz? Dlaczego dopiero po jej śmierci?

– Tego nie wiem.

– W takim razie kto był zabójcą? Przecież się przyznała!

– Nie wiem – powtórzył Jeremy.

– Dlaczego?! – krzyknęła Cara. – Dlaczego?! Dlaczego?! Dlaczego?!

Zarzuciła mu ręce na szyję. Jeremy przytulił ją i delikatnie głaskał po drżących ramionach. Spornitz płakała jak niepokieszone dziecko.

– Nie wiem – szepnął, powtarzając te słowa jak mantrę.

W końcu Cara się uspokoiła. Jeremy zaprowadził ją na krzesło i przystawił drugie dla siebie. Siedziała z opuszczonymi rękami i wpatrywała się przed siebie.

– Caro, potrzebujemy twojej pomocy, nawet jeśli to dla ciebie trudne i nie panujesz nad uczuciami. Charlie nie żyje. Przyznała się do winy, ale jeśli pojawią się wątpliwości, czy to ona była sprawczynią, to nie wyklucza możliwości, że prawdziwy zabójca jest nadal na wolności.

Otarła łzy wierzchem dłoni, ale nie odpowiedziała.

– Ja nawet myślę, że Charlie go znała. A jeśli ona go znała... – Jeremy nie miał odwagi dokończyć myśli. Nie chciał jej straszyć. Ale Cara i tak zrozumiała, co chciał powiedzieć.

– ...to i ja mogę go znać?

– Profesor Brock przypuszcza, że zabójstwo Leyendeckera nie było przypadkowe. Jego zdaniem Charlie cierpiała na psychozę. Podejmowane przez nią próby samobójcze świadczą o tym, że w dzieciństwie musiała przeżyć coś strasznego. Dopiero po wyjeździe ze wsi jej stan się poprawił. I nagle kilka miesięcy temu nastąpiło gwałtowne pogorszenie, na skutek czego podjęła kolejną próbę samobójczą. Nie uczyniła tego z poczucia winy, tylko ze strachu. Charlie nigdy wcześniej nie stosowała przemocy wobec innych ludzi, zawsze tylko przeciwko sobie. Wybiera więc ostatnią drogę ucieczki, jaka

jej pozostała.

– Naprawdę chciała uciec? Stąd, z tego życia?

– Tak. Naprawdę tego chciała. I gdybyś tak dobrze jej nie pilnowała, zrobiłaby to znacznie wcześniej.

Spornitz jęknęła i wbiła wzrok w sufit. Oczy miała pełne łez, na skórze pojawiły się czerwone plamy.

Jeremy wiedział, że jego słowa dopiero w tym momencie do niej dotarły.

– Żeby ustalić, co wywołało w niej aż taką panikę, potrzebujemy twojej pomocy, twoich wspomnień.

Dopiero wtedy się dowiemy, kto jest prawdziwym sprawcą jej i twojej tragedii.

– Mojej tragedii? – spytała Spornitz, a na jej ustach pojawił się szyderczy uśmiech.

– Tak.

Spoważniała i wyprostowała się.

– A więc ty naprawdę uważasz, że wszystko zaczęło się w Wendisch Bruch?

– Tak.

– Niezbyt dobrze pamiętam tamte czasy. W mojej pamięci zachował się tylko ciągły strach o Charlie, wściekłość i nienawiść, jakie wobec niej odczuwałam. To nadal we mnie tkwi. Reszta... pamiętam, jak wyglądał mój pokój i że na wiosnę, gdy rolnicy rozrzucali gnój na polach, bardzo w nim śmierdziało. Zapamiętałam piekarza i rzeźnika. Pamiętam czasy, gdy znikły stamtąd ostatnie owce i jak kiedyś zarznięliśmy kurę. W kuchni wisiały lepy na muchy, takie kleiste taśmy, do których te muchy się przyklejały. Jadaliśmy pod nimi posiłki. Niektóre z tych much poruszały jeszcze skrzydłami. Czy to o czymś takim chcesz usłyszeć?

– O tym i o wielu innych rzeczach.

– Ale ja już nic więcej nie pamiętam! – zawołała.

Zerwała się z krzesła i zaczęła krążyć niespokojnie między zlewozmywakiem a stołem. Po chwili wzięła szklanę, nalała do niej wody i chciwie wypła.

– W takim razie pozostaje nam tylko jedno rozwiązanie.

Cara odstawiła szklanę, a w jej oczach pojawił się strach.

– Daj mi trochę czasu. Muszę się z tym przespać. Może porozmawiamy jutro?

– O każdej porze dnia i nocy.

Podszedł bliżej i pocałował ją. Zgodziła się na to z wahaniem, jak pies, który był zbyt często bity.

– A co będziemy robić do tego czasu? – szepnęła.

Jeremy nie odpowiedział. Uznał, że są lepsze sposoby, aby jej to wyjaśnić.

Rozdział 30

Gabriel Brock i jego żona Mechthild, która pracowała na Oddziale Traumatologii Chirurgii Dziecięcej Kliniki Uniwersyteckiej Charité, weszli na taras Klubu Tenisowego Czerwono-Biali w Dahlem. Brock od razu ruszył w stronę wolnego stolika. Na podobny pomysł wpadła też inna para – Jason Saaler i jego młoda partnerka. Brock przypomniał sobie, że ma chyba na imię Henriette.

– To wasz stół – powiedział Brock, witając się z Henny w taki sam sposób, jak robił to z każdą nową partnerką swojego kolegi z pracy.

Mechthild zachowywała się bardziej powściągliwie, bo kiedyś była zaprzyjaźniona z żoną Saalera.

– Nie, stół należy do państwa – odparł Saaler, odstępując o krok.

– A czemu nie mielibyśmy usiąść razem? – spytała z czarującą naiwnością Henny.

Może dlatego, że moja żona, która ma ponad pięćdziesiąt lat, nie tylko nie ma wspólnych tematów do rozmów ze studentką, ale także wcale jej się ta sytuacja nie podoba – odpowiedział jej w myślach Brock. Może moja żona się zastanawia, jak to możliwe, że Saaler zadaje się z kobietą, która mogłaby być jego wnuczką?

Brock zauważył, jak Mechthild zaczyna nerwowo skubać bluzkę i przesuwa dłonią po włosach, które nadal miały cudowny orzechowy połysk, chociaż pojawiły się wśród nich pierwsze srebrne nitki. Uwielbiał obserwować, jak jego żona się starzeje. Odnosił wrażenie, że z wiekiem przybywa jej coraz więcej godności i urody. Miał nadzieję, że ona też patrzy na niego przez pryzmat miłości. W końcu nie ma już dwudziestu lat.

– Wspaniały pomysł – powiedział Saaler, całując Henny w policzek.

Jego towarzyszka uśmiechnęła się i przytuliła do niego.

Brock bardziej się domyślił, niż usłyszał, zrezygnowanego westchnienia swojej żony. Ostatni tydzień był dla niej naprawdę trudny. Z kolei on nadal rozpamiętywał śmierć Charlotte Rubin i zastanawiał się nad trudną do rozwikłania zagadką, jaką pozostawiła po sobie ta silna, a zarazem poraniona przez życie kobieta. Tego wieczoru chciał porozmawiać z Mechthild właśnie na ten temat. Robił to w wyjątkowych sytuacjach, bo zazwyczaj starali się oddzielać sferę zawodową od prywatnej. Ale ten przypadek był inny.

Dwie siostry, które różniły się nie tylko wyglądem zewnętrznym, ale także – a może nawet przede wszystkim – osobowościami. Charlie – dumna i wyniosła w swojej odmienności – żyła wycofana, nie rzucała się w oczy, a gdy dochodziło do konfliktów, sama się raniła. Cara – żywy promyk słońca, *everybody's darling*, uwielbiana przez wszystkich. Ale obie siostry łączyło to, że ich wrogiem był świat. Jedna się przed nim barykadowała, zachowywała stałą czujność i za każdym razem kiedy to było możliwe, próbowała się od niego odsunąć. Druga chciała tego wroga podejść, oszukać, prześlizgnąć mu się między palcami jak salamandra. Obie strategie miały to samo źródło, ale Brockowi nie udało się go do końca zdefiniować. Dlatego śmierć Rubin uznał za swoją wielką osobistą porażkę.

Dzisiaj chciał po prostu spędzić z Mechthild ciepły letni wieczór, nacieszyć się atmosferą, zamówić coś do jedzenia, trochę ze sobą porozmawiać, a przy okazji znaleźć u niej jakieś pocieszenie. Siedzenie przy jednym stoliku z Saalerem i jego młodą wybranką uznał za wyzwanie. Razem z Mechthild mieli wypracowane dyskretne, acz nie mniej serdeczne sposoby na to, aby okazać sobie wzajemnie uczucie.

Pracowali nad nimi przez kilkadziesiąt lat. Teraz, po tak długim czasie, nadal prowadziły ich we właściwym kierunku.

Ale to niespodziewane spotkanie z Saalerem sprawiło, że Brock skapitulował. I tak się wcześniej zastanawiał, czy nie powinien do niego zadzwonić. Przypadek sprawił, że się spotkali. Tak było nawet lepiej.

– Chcielibyśmy coś przekazać – powiedział, ściskając Mechthild dyskretnie za rękę. Oznaczało to: „Jestem ci winien kolejną przysługę”.

Mechthild cofnęła dłoń. Oznaczało to: „Nie jestem w stanie zliczyć przysług, które ci wyświadczyłam”.

Zajęli miejsca przy stoliku. Brock i Mechthild tyłem do kortu, z widokiem na grill, przy którym ustawiała się kolejka; Saaler i Henny naprzeciwko nich. Dla dzieci, które przyszły z gośćmi, dyrekcja lokalu przygotowała specjalny kącik. Jakiś „czarodziej” pokazywał sztuczki, które wywoływały ich głośny aplauz.

Do stolika podszedł czujny kelner. Brock zamówił dla siebie piwo, a dla Mechthild kieliszek szampana. Oznaczało to: „Zostaw mnie z nim na pięć minut”. W odpowiedzi na zapytanie kelnera Mechthild zamówiła *Roederer Cristal*. Oznaczało to: „Zgoda, mój drogi, pięć minut, ale ani sekundy dłużej”. Przy okazji obdarzyła Henny tak czarującym uśmiechem, jak gdyby właśnie przed chwilą zmieniła jej pieluchy na placu zabaw.

Saaler i Henny zamówili butelkę *Meursault*.

– Może sprawdzicie, czy mają tu dzisiaj langusty? – zaproponował Brock.

Henny i Mechthild od razu zrozumiały aluzję i uznały propozycję Brocka za dobry pomysł. Wstały z krzesel, Henny wzięła Mechthild pod rękę. Razem wyglądały jak matka i córka.

– Sprawa Rubin – zaczął Brock bez żadnego wstępu.

Saaler skinął głową.

– Słyszałem o tym. Brzydka sprawa. To się stało w areszcie śledczym, prawda? Nie wiadomo, co się dzieje w takich miejscach. Narkotyki, telefony komórkowe, broń... Jak to w ogóle możliwe?

– Użyła spinacza. Prawdopodobnie naszego.

– O! – powiedział pełnym współczucia tonem Saaler. – To oznacza dla was kłopoty.

– Akurat to nie jest ważne.

– No to co cię trapi? A może chodzi o Jeremy’ego? – Kiedy Saaler wymawiał imię syna, jego głos stał się podświadomie surowy.

Brock pokręcił głową.

– Nie, nie o niego, chociaż uważam, że zadurzył się w pewnej młodej kobiecie.

– W tej, która ma alergię na dzieci?

– Co takiego?

– Opowiadał mi o niej – wyjaśnił Saaler, ale jego głos nie stał się ani odrobinę cieplejszy. – Dziwna babka. Kiedy słyszy płaczące dziecko, dostaje ataku hysterii. Jeremy mnie pytał, co to może znaczyć.

W tym momencie kelner przyniósł zamówione napoje. Saaler spróbował wina, skinął głową i obserwował, jak kelner nalewa trunek do kieliszka. Brock stuknął się z nim szklanką z piwem. Obaj wypili w milczeniu kilka łyków i odstawili naczynia na stół. Mechthild i Henny ustawiły się na końcu kolejki, co oznaczało, że mają na rozmowę więcej niż pięć minut.

– I co to znaczy?

– Myślę, że może tu chodzić o aborcję. Sytuacje, w których młode, dobrze wykształcone kobiety dobrowolnie oddają swoje dzieci do adopcji albo zostawiają je w oknie życia, są rzadkie. Obracają się w środowisku, które od razu zauważy, że któraś z nich jest w ciąży, i dlatego nie da się tego tak łatwo ukryć. Awersja na płacz, nienawiść wobec dziecka – na przeciwnym biegunie nie jest miłość, tylko

egoizm.

– Jakiej płci było to niemowlę?

– Freud? – spytał Saaler. Uniósł kieliszek z winem i zaczął się przyglądać jego zawartości. – Nie. To narcyzm. Płacz dziecka jest jak policzek. Obraza, która za każdym razem przypomina o własnym niepowodzeniu.

– W takim razie takie niepowodzenie musiało zostać za takowe uznane. Narcyz doskonały nigdy nie zauważa własnych błędów. Widzi je za to u innych.

Saaler odstawił kieliszek.

– Gdyby nas tak ktoś teraz usłyszał...

Brock skinął głową. W czasie rozmowy rzucali teoriami jak z rękawa. Informacje, które usłyszał na temat Spornitz, były alarmujące. Uznał jednak, że dla dobra Jeremy'ego nie będzie okazywał zaniepokojenia w rozmowie z jego ojcem.

– Alergia na dzieci... coś takiego – powiedział i odstawił szklanekę na bok, bo przy ich stoliku zjawił się kelner ze sztućcami, koszykiem chleba i talerzykiem z bretońskim masłem. Czekał, aż kelner się oddali, a jednocześnie obserwował, jak czarodziej wyciągnął małej dziewczynce monetę z ucha.

– Płacz dziecka... – powiedział Saaler. – Zwyczajny płacz. Jeśli tak, to należy uznać, że zachowuje się jak zwykła histeryczka. Jeśli zdarzy się coś poważnego, będę wiedział, kto wstaje w nocy do dziecka, żeby podać mu butelkę.

Brock był zdumiony, że Saaler zna się na takich sprawach. Wziął kromkę chleba i posmarował ją masłem.

– Jeśli w ogóle pojawią się dzieci – kontynuował Saaler.

Jego twarz o ostrych rysach straciła nagle przyjazny wyraz. Zawsze gdy się nie uśmiechał, miał taką minę, jak gdyby jako cesarz skazał przed chwilą na śmierć na arenie całą kohortę niewolników.

– Nie życzyłbym sobie mieć w moim bliskim otoczeniu kogoś, kto pochwała aborcję albo nawet sam... nie, to wykluczone.

– Zanim zagłębisz się w ten temat, pomówmy o czymś innym. Nie do końca jest jasne, co doprowadziło do powstania takiej fobii. W odniesieniu do tej młodej damy mam zupełnie inną teorię.

– Znasz ją?

– To siostra Rubin.

– Co takiego?

Brock wiedział, że to złamanie tajemnicy lekarskiej, ale w porównaniu z poczuciem winy, które męczyło go od śmierci Rubin, takie przewinienie uznał za najdelikatniejsze z możliwych.

– Jeremy poznał ją u mnie w gabinecie.

– A ty... nie zaprotestowałaś?

– Jest już dorosły i wie, co robi.

Saaler jednak uważał inaczej.

– Mój syn spotyka się z siostrą psychopatki? Tego potwora, który wysłał człowieka na pożarcie żywcem? Mój Boże!

Brock wykonał uspokajający gest. Mechthild i Henny doszły już prawie do stanowiska z grillem. Zrozumiał, że nie pozostało mu zbyt wiele czasu. Za to Saaler nie mógł się pogodzić z myślą, że jego syn zadaje się prawdopodobnie z wariatką.

– Jeśli dwoje ludzi przeżywa to samo, to jak wysokie jest prawdopodobieństwo, że te przeżycia będą miały na nich taki sam wpływ? Jedna zabiła człowieka w ogrodzie zoologicznym, druga nienawidzi małych dzieci. Taki wniosek pozwala snuć najbardziej makabryczne wizje.

– Jesteś lekarzem, nie fantastą – odparł Brock.

Saaler wziął łyk wina. Mechthild i Henny torowały sobie drogę z powrotem do ich stolika.

– Jakie paramnezje masz na myśli? – mruknął Saaler.

– Ujadające psy wiejskie, a także – jak się przed chwilą dowiedziałem – płacz dziecka.

– W takim razie zapytaj neurologa.

– Pytam ciebie.

Saaler wysunął dolną szczękę. Wyglądał jak pitbull, który szykuje się do ataku.

– Bliski kontakt ze śmiercią. Szaleństwo. Narkotyki. Ekstaza religijna. Epilepsja. Uszkodzenie kory mózgowej. Zator żylny. Na Boga, Brock!

– Nie potrzebuję diagnozy. Chcę interpretacji.

– W takim razie zrób jakieś odniesienie! Ja nie jestem szamanem!

Henny dotarła do stolika pierwsza. Ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy.

– Rozmawiacie o szamanizmie? Dwaj dostojni naukowcy?

Postawiła przed Saalerem talerz z pieczonymi langustami. Sama zdecydowała się na sałatkę. Mechthild przyniosła dla siebie i dla Brocka po steku.

Saaler mruknął coś pod nosem i zmiażdżył pierwszy pancierz. Brock domyślił się, że jest myślami gdzie indziej: przy swoim synu i jego kontrowersyjnej partnerce.

Reszta wieczoru zeszła im na luźnych rozmowach. Inicjatywę przejęły w nich obie panie, które zabawiały swoich panów ploteczkami i komentarzami na temat innych gości. Zanim się spostrzegli, minęły dwie godziny. Mechthild siedziała rozbawiona nad kieliszkiem szampana, a po pierwszej butelce *Meursault* na stole pojawiła się następna. W końcu poprosili o rachunek, przez chwilę droczyli się, kto ma zapłacić – ostatecznie stanęło na tym, że Saaler – i zaczęli się szykować do wyjścia. Brock i Saaler podali sobie na pożegnanie ręce, panie ucałowały się serdecznie w policzek. Był to mylący widok, o czym Brock przekonał się w drodze powrotnej do domu.

– Zupełnie tego nie rozumiem – powiedziała Mechthild, trzymając go pod rękę. Rosnące wzdłuż alei lipy rozsiewały odurzający zapach. – Jest młoda, inteligentna, dowcipna. Po co trzyma się z takim starym facetem?

Brock przystanął i pocałował ją w usta.

– Ja i Saaler jesteśmy prawie w tym samym wieku. A dlaczego ty trzymasz się ze mną?

– Bo cię kocham? – spytała Mechthild.

Brock poczuł, że robi mu się ciepło na sercu jak przed trzydziestu laty. Mechthild nadal była czarująca.

– To prawdziwe czary – mruknął i wziął ją za rękę.

Mechthild przytuliła się do niego.

– Co masz na myśli?

– Pomyślałem właśnie o sztuczkach kuglarskich.

– Jesteś wobec niej niesprawiedliwy.

– Wobec kogo? – spytał Brock zmieszany.

– Myślałam, że mówisz o Henny.

– Nie – odparł zbity z tropu. – Nie. Nie mogę przestać myśleć o tym, co wydarzyło się w moim gabinecie. Wybacz.

Mechthild pocałowała go w usta. Oznaczało to: „Pragnę cię”. Brock oddał jej pocałunek na ulicy, w świetle latarni. Przypominali młodą parę, która nie wstydzi się okazać wszystkim swojego szczęścia. Oznaczało to: „Ja też cię pragnę. Z każdym kolejnym dniem bardziej”.

Rozdział 31

Gehring postanowił, że w piątkowy wieczór nie pójdzie jak zwykle do siłowni, tylko rozpocznie weekend w pobliskim sportowym barze. Nie potrafił się jednak skupić na transmisji z meczu piłkarskiego. Po trzecim piwie był już tak zły, że wyjął telefon. Beara nadal się nie zgłosiła.

Czy powinien zadzwonić do niej piąty raz? To absurd. Co jej, do cholery, przeszkadza, żeby choć raz zerknąć na wyświetlacz? Tak, to ona go tak rozzłościła, bo domagała się, żeby jeszcze raz prześwietlić sprawę Rubin. Może w końcu uznała, że jej teorie sięgają zbyt daleko, i teraz nie potrafi się przyznać do błędu? A on zrobił z siebie idiotę przed tą Schwab.

W myślach wysyłał wściekłe e-maile. Ostrzegał w nich wszystkie wyższe uczelnie, żeby nie dopuszczały Saneli Beary nawet do głównego wejścia.

Wsunął telefon z powrotem do kieszeni spodni i w tym samym momencie komórka zadzwoniła. Gehring chciał jak najszybciej odebrać i dlatego nawet nie spojrzął na numer na wyświetlaczu.

– Tak?! – wrzasnął do słuchawki, bo wiedział, że gdy ktoś już trochę wypił, głośne pojedyncze słowa są najlepsze.

– Mówi Vieritz. Czy rozmawiam z panem komisarzem Gehringiem?

– Tak – odparł Gehring, zastanawiając się, skąd zna to nazwisko. – Pan Vieritz! W czym mogę pomóc?

Proszę chwilę poczekać...

Gehring wstał od stolika i wyszedł na ulicę przed bar. Piwo zabrał z sobą. Jeden ze stolików na chodniku był wolny. Gehring usiadł przy nim.

– Teraz możemy porozmawiać – powiedział. – Dowiedział się pan czegoś?

– Tak. Przepraszam, że przeszkadzam, w końcu mamy weekend. Nasza Sonja pracuje u nas od dawna, zatrudniał ją jeszcze mój ojciec. Zawsze była dokładna i precyzyjna. Bez niej nasza firma przestałaby funkcjonować.

Gehring popijał piwo, podczas gdy Vieritz rozwijał opowieść o jasnych stronach Sonji. Według niego była prawdziwym skarbem w dziedzinie księgowości: skrupulatnie przestrzegała wszystkich przepisów podatkowych, strzegła kart drogowych kierowców i wiedziała, jaki znaczek nakleić na przesyłki.

– Do dzisiaj przechowuje pudła ze starą dokumentacją. Nawet bym o tym nie pomyślał. Nie miałem pojęcia, co w nich jest. Ponieważ jednak rozmawiał pan ze mną tak poważnym tonem, a my zawsze chętnie pomagamy policji, Sonja przyszła do pracy dzisiejszego popołudnia.

Gehring był ciekaw, o co go Vieritz poprosi w zamian za wyświadczoną przysługę.

– I co? – spytał. – Udało jej się coś znaleźć?

– Tak. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku Leyendecker i Göhler pojechali do Wendisch Bruch. Mieszkali w hotelu Pod Lipą. Czy mieliśmy już wtedy w obrocie zachodnie marki?

Gehring był zaskoczony tym pytaniem. Vieritz sam na nie odpowiedział:

– Tak, mieliśmy. Dwadzieścia osiem marek za pokój jednoosobowy. Ceny były wtedy tak niskie, że nikt się nimi nie przejmował. Mogę panu wysłać kopię rachunku. Obaj zjedli też posiłek w zajeździe. Zamówili soljankę i pieczeń wieprzową z czerwoną kapustą. Czy te informacje się panu przydadzą?

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku? – spytał Gehring i zapisał tę datę na

podkładce pod piwo. Zaczął się też zastanawiać, ile lat mogła mieć wtedy Rubin. Dwanaście? Trzydzieści? Jakoś mu to nie pasowało do układanki. – Nie myli się pan?

– Mam to czarno na białym.

– A kiedy pan Göhler miał wypadek?

– Zimą z dziewięćdziesiątego piątego na dziewięćdziesiąty szósty.

Rubin musiała mieć w tym czasie siedemnaście lat i od dawna nie mieszkała w Wendisch Bruch. Rozpoczęła naukę, wynajęła pierwsze mieszkanie... Czy można zabić przedstawiciela handlowego sprzedającego maszyny rolnicze, używając do tego gnojówki rozlanej na zakręcie drogi?

– To cztery lata później – zauważył. – Co się wydarzyło w ciągu tego okresu?

– Co pan ma na myśli? – spytał Vieritz.

– Dziękuję, że pan zadzwonił – odparł Gehring. – Bardzo nam pan pomógł. Czy mógłby pan przekazać te rachunki do Krajowej Policji Śledczej w Schwerinie? A może nie sprawi to kłopotu i wyśle je pan bezpośrednio do mnie?

– Nie, mistrzu. To żaden kłopot. Natychmiast się tym zajmę. Mam jeszcze do pana pewne pytanie...

Gehring stłumił westchnienie i przygotował się na odparcie ataku.

– Słucham.

– Chodzi o moje punkty karne. Mam ich już dziewięć. Sam pan wie najlepiej, że bez prawa jazdy nie będę mógł pracować...

– To kosztuje.

– Aha, rozumiem. Czy to panu powinienem złożyć propozycję?

– Nie mnie, tylko sędziemu, gdy będzie pana następnym razem skazywał. Niech mu pan udowodni, że pańska egzystencja, a tym samym istnienie miejsc pracy, zostaną wystawione na szwank. Może zamieni panu punkty na grzywnę.

– To możliwe?

– Oczywiście. Niech pan do mnie zadzwoni, gdy przyjdzie czas.

Vieritz pożegnał się wylewnie i z wdzięcznością. Pewnie mu się wydawało, że władza Gehringa sięga aż po Flensburg.

Komisarz wstał i wrócił do baru. Zamówił kolejne piwo i znowu wyszedł na dwór. Powietrze było tu o wiele lepsze niż w lokalu. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Vieritza. Leyendecker i Göhler rzeczywiście byli w Wendisch Bruch, rodzinnej wiosce Charlie Rubin. Miała wtedy trzydzieści lat. Cztery lata później ginie jeden z nich, dwadzieścia lat później – drugi. W tym czasie znikają też mężczyźni mieszkający w Wendisch Bruch.

Dopiero gdy wracał do sali, uświadomił sobie dwie rzeczy: że to nie przypadek i że Beara od dawna powinna oddzwonić bez względu na to, co się stało.

Rozdział 32

Kompletna ciemność. To na pewno noc, bo ciemności są kompletne i ponure. Beara czuła się tak, jak gdyby ciało miała z betonu: ciężkie, chłodne, nieruchome. Kończyny jak z marmuru, serce jak z żelaza. I tylko drżenie brzucha podpowiadało jej, że nadal żyje.

Nie mogła otworzyć oczu. Na szczęście oddychała, płytko i spokojnie, prawie niezauważalnie. Umysł znowu zaczął normalnie funkcjonować. Może była martwa? Albo całkiem sparaliżowana, a do tego ślepa? Poczowała, jak ogarnia ją chłodny strach. Może podano jej do wypicia cykutę albo jakąś inną truciznę? To teraz nieistotne. Najważniejsze, żeby nie wpadła w panikę. Nagle poczuła się tak, jak gdyby jej umysł oddzielił się od ciała, uniósł w powietrze i rozciągnął nad nią jak jakaś płachta. Duch i ciało się rozdzieliły. Czy to zły znak? A może dobry? Drżenie w brzuchu osłabło. A więc jednak to zły znak. Próbowwała się poruszyć, przynajmniej powiekami, ale nie mogła. Rozkazała swojemu umysłowi, żeby bronił się przed paniką. Panika może pomóc tylko wtedy, jeśli człowiek jest w stanie się poruszać.

Drżenie całkowicie ustało. Przestała oddychać. To już koniec. Za chwilę będzie martwa. Ale zanim jej duch opuści ją na dobre, rozkazała mu, żeby jeszcze raz wygenerował obraz jej ojca. I rzeczywiście, chwilę później ujrzała jego twarz. Był o wiele młodszy niż w rzeczywistości i wyższy od niej. O wiele wyższy. Płakał. Przyciskał ją do siebie, bełkotał coś o miłości i szczęściu i szlochał. W końcu odsunął ją na długość ramion, objął jej twarz swoimi potężnymi dłońmi i spojrzał jej w oczy.

– Nigdy nie wolno ci o tym mówić. Zrozumiałaś?

Skinęła głową. Wtedy jeszcze wierzyła, że można zmusić demony do milczenia. Na zawsze.

Rozdział 33

Jeremy zostawił na automatycznej sekretarce drugą wiadomość. Rano, zanim pani Katz zjawi się w biurze, zdąży ją wykasować. Jej treść była krótka: podczas weekendu wybiera się z Carą Spornitz do Wendisch Bruch. Potem wróci do Berlina.

Rozłączył się i zerknął na Spornitz, która siedziała w ciemnych okularach za kierownicą swojego samochodu. Od śmierci Rubin upłynęło niewiele czasu. Żałoba i ból otworzyły wrota, które kiedyś zamknie upływający czas.

Od pół godziny jechali autostradą A9. Spornitz prowadziła szybko i bezpiecznie. Kiedy zobaczyli tablicę z nazwą zjazdu Treuenbrietzen, Spornitz zwolniła i włączyła kierunkowskaz. Na wstecznym lusterku była naklejona nalepka przedstawiająca starszego mężczyznę z dzieciątkiem Jezus.

– Czy to święty Krzysztof? – spytał Jeremy.

Spornitz skinęła głową. Była skoncentrowana na drodze, bo właśnie zjeżdżała z autostrady.

– Taka ze mnie katoliczka jak z nieochrzczonego poganina. Odziedziczyłam to po poprzednim właścicielu.

– Aha. A ja myślałem...

– Co? Jesteś religijny?

– Tak – odparł Jeremy po chwili zastanowienia.

– A ja nie. W moim zawodzie pierwiastek boski traci na atrakcyjności. Codziennie widzę, jak natura coś produkuje albo rodzi. To tyle w tym temacie. Ewolucja to też nic innego jak tylko wygładzanie kamieni przez wodę.

– A święta Katarzyna?

– Masz na myśli czternastu świętych wspomóżycieli? – zapytała z ironią. – Zgadzam się. Oni zawsze są na miejscu, gdy pojawiają się kłopoty. Słyszałam o nich. Ich szefową jest święta Maria, która kieruje nasze prośby do właściwego adresata. Do władz. Niebo to taki zbiurokratyzowany urząd, którego szef jest na urlopie.

– Jak to się stało, że Charlie zainteresowała się akurat tą świętą?

Spornitz przejechała przez czerwone światło. Obyło się bez konsekwencji, bo w pobliżu nie było żadnego innego samochodu. Mimo to zwolniła.

– Przecież sam powiedziałaś, że tamten medalion dostała od księdza. Oni nie zaniebają żadnej okazji.

– To nie mógł być przypadek. Skąd wiedział, że Charlie wybrała sobie na patronkę świętą Katarzynę?

– Miał ich do wyboru czternastu, więc może po prostu dobrze jej doradził?

Jeremy wzruszył ramionami. Taka odpowiedź wcale go nie zadowoliła, ale wiedział, że lepszej nie usłyszy.

– Modlisz się czasem? – spytał.

– Tak – potwierdziła Spornitz. W oddali pojawiło się kolejne skrzyżowanie ze światłami. Spornitz zredukowała bieg. – Myślę, że wszyscy się modlimy. Kiedy wpadamy w kłopoty i nie mamy u boku nikogo do pomocy, dochodzimy do wniosku, że potrzebujemy kogoś, komu będziemy mogli zwalić na głowę nasze nieszczęście. Nie odprawiam jednak egzorcyzmów z różańcem, jeśli o to pytasz. Jestem

elastyczna. Modłę się, przeklinam, krzyczę... Mój Bóg nie ma ze mną łatwo. – Spornitz zahamowała, a potem zatrzymała samochód i obdarzyła Jeremy’ego czułym uśmiechem. – Podobnie jak ty – dodała.

Całowali się tak długo, aż zapaliło się zielone światło. Było ciepłe letnie przedpołudnie i wydawało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Jechali przez Fläming – rozległą płaską krainę porośniętą sosnowymi i mieszanymi lasami. Na horyzoncie wznosiły się wieże kościołów. Na skraju drogi stały kryte ceglaną dachówką budynki i domy z muru pruskiego. Kiedy przejeżdżali przez Jüterbog, Jeremy zachwycił się architekturą miejscowego klasztoru i średniowiecznym, tysiącletnim centrum miasta. Wszędzie było też widać ślady zaniedbań i ucieczki ludności wiejskiej do miast. Miejscowości, przez które przejeżdżali, wyglądały jak wymarłe. Spornitz zwolniła. Pewnie rozpoznawała niektóre miejsca z dawnych lat. Na skrzyżowaniu, na którym rozchodziły się drogi prowadzące do Baruth, Urstromtal i Luckenwalder Heide, zatrzymała samochód. Nie było to niebezpieczne, bo w zasięgu wzroku nie było widać żadnego innego pojazdu.

– Moja szkoła – oświadczyła, wskazując na rozpadający się typowy budynek administracyjny z epoki cesarza Wilhelma. Otwory okienne ziały pustką, w niektórych widać było resztki potrzaskanych szyb. Tynk odchodził płatami znad frontowych drzwi, które ktoś zeszpecił żółtą farbą.

– Ładna – skomentował ten widok Jeremy.

– Powiedzmy.

Dodała gazu i pojechali dalej. Przez następne kilometry nic się nie działo. Na łagodnych wzniesieniach ciągnęły się uprawne pola, które przypominały kolorowe płachty. Gdzieś tam pasły się krowy. Wysoko na niebie krążyło stado jaskółek. W oddaleniu widać było obracające się wirniki wiatraków. W pewnym momencie przejechali przez wyschłe koryto strumienia.

– Wende – powiedziała Cara. – Witamy w epoce kamienia łupanego.

Po tych słowach roześmiała się, ale widać było, że jest podenerwowana. Miała taką minę, jak gdyby widok wyschniętej rzeczki ją onieśmielał.

– Wende? – powtórzył Jeremy.

– Tak. To nazwa strumienia, który jest dopływem rzeki Nuthe. Przynajmniej wtedy, gdy płynie w nim woda. Stąd nazwa wioski – Wendisch Bruch. Słowo „Wendisch” nie ma nic wspólnego z Wenedami, którzy mieszkali kiedyś nad Łabą. Z kolei słowo „Bruch” pochodzi od słowa wziętego z jednego z niemieckich dialektów, średnio-wysoko-niemieckiego, i oznacza „bagnisko”, „trzęsawisko”. Ale jak wiesz, słowo „Wende” ma też inne znaczenie – „zmiana”. Dlatego po zmianach, jakie dokonały się w Niemczech w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, zaczęliśmy mówić, że wszystko, co jest po naszej stronie, jest przed Zmianą, a wszystko, co leży po drugiej stronie, w kierunku na Jüterbog, jest po Zmianie. Innymi słowy: przed epoką kamienia łupanego i po niej. Rozumiesz?

– Tak – odparł Jeremy. No cóż, w końcu byli w Brandenburgii. Ludzie mają tutaj specyficzne poczucie humoru. – Piękna okolica – dodał, żeby w ogóle cokolwiek powiedzieć. W otoczeniu takiej zieleni i pustki wolał nie mówić zbyt wiele, żeby nie popsuć nastroju.

– No cóż.

W końcu pojawiła się tablica z nazwą miejscowości. Ktoś w nią chyba wjechał, bo była przekrzywiona. Na zgięciach pokazała się rdza. Zanim do niej dotarli, Spornitz zjechała na pobocze i wysiadła. Wyszła na środek drogi i położyła dłonie na biodrach. Jeremy poszedł za nią.

Po lewej stronie, za rozwalonym murem, znajdowały się szare zabudowania dawnego gospodarstwa przesiedleńców. Droga prowadziła dalej do centrum wsi. Wzdłuż pofałdowanego chodnika z kostki brukowej rosły stare poskręcane drzewa. Jeremy oglądał budynki, które były w kiepskim stanie. A więc to tutaj, wśród moczarów i bagien nad strumieniem Wende Cara spędziła swoje dzieciństwo.

– Jak się czujesz? – spytał. – Tylko nie odpowiadaj znowu „no cóż”.

– No cóż.

Spornitz zdjęła okulary przeciwsłoneczne i założyła je na włosy. Patrząc na nią, Jeremy doszedł do wniosku, że przypomina mu z postawy i wyglądu młodą Jackie Onassis. Kobieta, która nawet ubrana w zwykłe dżinsy i zapiętą pod szyję bluzkę emanowała erotyzmem.

– To było nasze gospodarstwo – wyjaśniła, wskazując na niskie zabudowania.

– Co się z nim stało?

– Krótco po śmierci ojca wystawiono je na aukcję, ale chętnych na kupno nie było.

– To znaczy, że wszystko należy do ciebie?

– Nie. A jeśli nawet, to byłoby na Charlie... Nieważne. Nie chcę mieć z tym miejscem nic wspólnego. Boże, to już tyle lat. Nie chcę tego oglądać. Wracajmy.

– Nie teraz. Jesteśmy już prawie na miejscu.

– Ludzie mnie tu znają i wiedzą, o co oskarżono Charlie. Media nazwały Wendisch Bruch wioską morderców. Nie sądzę, żeby mnie tu powitano z otwartymi ramionami.

– Wcale nie o to chodzi. Pójdziemy na spacer, rozejrzemy się po okolicy, a jeśli coś sobie przypomnisz, będę przy tobie. Resztę zobaczymy w Berlinie, po twojej rozmowie z profesorem Brockiem.

– Czy to naprawdę konieczne?

Widać było, że opuściła ją odwaga. W Dessau zachowywała się normalnie, bo był to swego rodzaju eksperyment, który mogli przerwać w każdej chwili. Teraz wszystko było już na poważnie.

– Poradzisz sobie.

– Oczywiście, że tak. Nie wiem tylko, jaki jest cel tej wizyty.

Jeremy patrzył na cichą, opustoszałą wioskę.

– Ja też nie wiem. Jeszcze nie. Zobaczymy, co się wydarzy. I pamiętaj, że jestem przy tobie.

– Hm.

– Wprawdzie nie jestem profesorem, ale na pewno zauważę, gdy będziesz miała dosyć. Wtedy od razu to przerwiemy.

Wsiedli do samochodu i pojechali dalej. Kiedy przejeżdżali obok gospodarstwa przesiedleńców, Jeremy spodziewał się, że Spornitz zatrzyma samochód. Zrobiła to jednak dopiero koło skrzyżowania w środku wsi, przy którym stało kilka domów. Jeremy zauważył, że co drugi wygląda na opuszczony.

– Exodus – mruknął.

Cara wyłączyła silnik i zaciągnęła ręczny hamulec.

– Jak widać, nie byliśmy jedynymi mieszkańcami tej wsi, którzy zdecydowali się stąd wyprowadzić. Mój Boże! Czy tu w ogóle ktoś jeszcze mieszka? Zawsze podejrzewałam, że ta dziura nie ma przyszłości, ale teraz wygląda tu tak, jak gdyby na wieś spadła bomba neutronowa. – Oparła plecy o fotel i zamknęła oczy. – Czujesz ten zapach? – spytała po chwili. – Pytałeś mnie o wspomnienia. Oto one: skoszona trawa, siano, kurz podczas żniw, sucha ziemia, samotne lato.

– Nic więcej?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie.

Wysiedli z samochodu. Cara rozejrzała się i wskazała na niski dom, który prawie całkowicie był zarośnięty bluszczem.

– Tam mieszkał piekarz, a tam rzeźnik – powiedziała, wskazując dwa domy. – A tam...

Odwróciła się do Jeremy'ego, a na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech. Dom był trochę większy od innych i w dawnych czasach pełnił funkcję miejscowej karczmy. Na ścianie widać było jeszcze wypłowiały napis „Pod Lipą”. Jeremy podziwiał wysokie dęby sięgające ponad dach budynku.

– Czasem dostawałam tu lody owocowe w kubkach od Walburgi. Sprawdźmy, może jeszcze żyje.

Jeremy chciał właśnie spytać, czy lody owocowe w kubkach i Walburga to coś, co istniało w dawnej NRD, ale w tym samym momencie z budynku wyszła korpulentna sześćdziesięcioletnia kobieta. Miała potargane siwe włosy, a ubrana była w roboczy fartuch i rozklepane szpitalne obuwie. Pod pachą niosła plastikowy kosz na pranie, w którym leżały ręczniki i zmięte ubrania. Na ich widok zatrzymała się. Zaskoczonym wzrokiem obserwowała dwoje obcych, którzy zmierzali w jej stronę. Odstawiła kosz i zrobiła dwa ostrożne kroki w ich stronę. Po chwili na jej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania.

– To nie może być prawda... Caro, to ty?

Kobieta uniosła dłoń do oczu. Jej twarz zakrył cień, więc trudno było określić, czy jej zdumienie zamieniło się w radość, czy niechęć. Cara chwyciła Jeremy'ego za rękę. Musiała być bardzo przejęta, bo miał wrażenie, że przeszył go prąd elektryczny.

– Walburga... Wal-Wahl-burga...

Kobieta opuściła rękę.

– I ciągle taka bezczelna!

Na jej twarzy pojawił się niepewny uśmiech. Jeremy widział go wcześniej na obrazach Davida Teniersa albo Jana Breughla przedstawiających chłopów. Widać w nim było twarde, bezlitosne życie na wsi i wiek, w którym częściej odczuwa się zmęczenie niż wewnętrzny spokój. Kobieta poruszała się niezwykle ostrożnie, nogi miała spuchnięte. Stan fartucha świadczył o tym, że rzadko go zmienia. Miała mięsiste nagie ręce i obwisły biust. Zużyty biustonosz o trudnym do określenia kolorze bardziej go zasłaniał, niż chronił. Włosy miała siwe, źle obcięte, cienkie i gładkie jak szczypiołek. Kiedy podeszła bliżej, żeby przyjrzeć się Carze i Jeremy'emu, poczuli bijący od niej zapach potu i cebuli.

– Walburga Wahl przez h, jeśli można prosić. Dziewczyno, co ty tu robisz?

Wzrok miała czujny, przenosiła go na zmianę to na Spornitz, to na Jeremy'ego.

– To pan Jeremy Saaler. Jest moim psychologiem. Raz na miesiąc dają mi wolne popołudnie pod warunkiem, że on mi towarzyszy.

Walburga zmrużyła oczy, a potem pokręciła głową i się roześmiała. Cara też wybuchnęła śmiechem. Obie śmiały się głośno, jak gdyby Cara opowiedziała najlepszy w świecie żart, którego tylko Jeremy nie rozumiał.

– Napijesz się soku? – spytała Walburga, ocierając łzę z oka. – A pan, panie Saaler? Może szklaneczkę wina owocowego?

Kuchnia urządzona była w staromodny sposób i sprawiała tak samo przykre wrażenie, jak właścicielka domu. Zresztą cały budynek, który swoje najlepsze lata miał już za sobą, wyglądał na pierwszy rzut oka podobnie. Cerata na stole przykleiła się Jeremy'emu do palców, gdy nieopatrznie dotknął jej ręką. W czworokątnym ceramicznym zlewozmywaku leżał stos brudnych talerzy. Walburga ruszyła zadziwiająco żwawym krokiem do spizarni i wróciła z dwiema butelkami. Na szczęście nie były jeszcze otwarte.

W tym samym czasie Spornitz umyła trzy szklanki i postawiła je na stole. Walburga napełniła dwie z nich do połowy sokiem, przyniosła z lodówki dzbanek wody i uzupełniła naczynia do pełna.

– Sok jest zbyt słodki – wyjaśniła. – To z naszych śliwek. Pana wino jest z czereśni. Sama je robię.

– Sady, w których Walburga zbiera swoje owoce, to prawdziwy raj – wyjaśniła Cara.

Usiadła przy stole i opróżniła szklankę do połowy. Jeremy upił ostrożnie ciemnoczerwonego płynu, żeby go najpierw spróbować. Poczul słodki smak dojrzałych czereśni i alkohol. Napój przypominał w smaku likier.

– Bardzo dobre – pochwalił. – Ale chyba powinienem go trochę rozcieńczyć.

– Bardzo proszę – odparła Walburga i podsunęła mu dzbanek z wodą, który stał bezpośrednio

pod lepem na muchy.

– Prowadzisz jeszcze zajazd? – spytała Spornitz.

Walburga pokręciła głową.

– Od dawna już nie. Ale, ale, opowiedz mi, co cię tu sprowadza. Od razu zdradzę, że słyszałam o tej historii z twoją siostrą.

– Nie dało się tego ukryć.

– Przykro mi. Ale to, co zrobiła...

– Ona tego nie zrobiła – przerwała jej Spornitz. Wypiła ze szklanki resztę soku i patrząc na Walburgę, skrzyżowała ramiona na piersi. – To zwykłe kłamstwa. Zmyślone. Charlie nie jest zabójczynią.

– Ach, tak. No cóż...

Jeremy dolał wody do wina. Miał nadzieję, że do dzbanka nie wpadła jakaś mucha. Chociaż lep je odstraszał, nad zlewozmywakiem nadal było słychać ich brzęczenie.

– W każdym razie to przykra historia – kontynuowała Walburga. – Tak wiele na ciebie spadło. Co z gospodarstwem?

– A co ma z nim być?

– Powoli podupada. Niedawno był tu ktoś z urzędu, żeby sprawdzić, czy nie trzeba tam czegoś zabezpieczyć.

– Naprawdę? Z jakiego urzędu?

– Nie wiem. Ale pamiętaj, jak dojdzie do nieszczęścia, będzie na ciebie.

Jeremy przysłuchiwał się rozmowie, ale nie komentował jej.

– Nie mam z tym miejscem nic wspólnego.

– Po śmierci Charlie przeszło na ciebie. Myślałam, że właśnie dlatego tu przyjechałaś.

Spornitz popatrzyła zdziwionym wzrokiem na Jeremy'ego.

– Nie wiedziałam. Myślałam, że już dawno je straciłyśmy.

– Straciłyście? – zachichotała Walburga. – Czegoś takiego nie można stracić. Coś takiego przykleja się jak błoto do butów. Zresztą nieważne. A więc przyjechałaś tu z innego powodu?

– Nie bądź taka ciekawa. Masz jeszcze lody?

– Od dawna już nie – westchnęła kobieta, rozglądając się po kuchni. – Wszystko zeszło na psy.

– Na psy...

Spornitz zamknęła oczy i po chwili znowu je otworzyła.

– Akra... co się z nim stało?

– Twój ojciec go uśpił.

– A Bruno? Żyje jeszcze?

– Od dawna już nie. Jego wnuk wałęsa się gdzieś po okolicy. Też się wabi Bruno. Każdemu z nich dawałam na imię Bruno. Tak było prościej. Wszystkie były do siebie podobne. Brzydkie, ale z duszą. Lubiły wszystko, co było małe i potrzebowało pomocy. Któregoś dnia Bruno przeniósł koty od Böhneho na drugą stronę ulicy. Poza tym każdy z tych psów pilnował dzieci.

Walburga zamilkła. Cisza, która zapadła w kuchni, była jak nieproszony gość. Spornitz postanowiła ją przerwać:

– Gdzie jest Erich?

Walburga, która przed chwilą usiadła na krześle, wyprostowała się.

– Nie ma go.

Jeremy zauważył, jak w jednej chwili przyjaźnie do nich nastawiona kobieta prawie niepostrzeżenie przyjęła postawę obronną. Zaczęła pocierać rękę, jak gdyby było jej zimno, a na jej policzkach wykwitły czerwone plamy. Zgodnie z tym, czego Jeremy nauczył się na studiach, jej reakcja sygnalizowała strach

wywołany podejrzliwością albo poczuciem winy. Doszedł do wniosku, że przyczyną jest to drugie. Nurtowała go ciekawość, co to ma wspólnego z psem.

– Jak to nie ma? – zdziwiła się Spornitz.

– Zdarza się.

– Uciekł? – wtrącił Jeremy.

Spornitz i Walburga wybuchły śmiechem.

– Erich jest mężem Walburgi – wyjaśniła Spornitz poważnym tonem. – Chyba żyje ci się teraz lepiej?

– Hm... taaak – odparła Walburga wymijającym tonem. Plamy na jej policzkach przybrały jeszcze bardziej intensywnej barwę. – Od tamtej pory muszę się sama przebijać przez życie. Dostaję po nim emeryturę i jakoś wiązę koniec z końcem.

– Aha.

– A dlaczego zakładasz, że pani Walburdze żyje się teraz lepiej? – spytał Jeremy Carę. Wypił trochę wina, które przed chwilą rozcieńczył wodą, i uznał, że teraz smakuje mu lepiej.

– Bo Erich był brutalnym gnojkiem – wyjaśniła Spornitz. – Kiedyś rzucił kamieniem w Kerla.

– Ale to był tylko pies! Zawsze irytowały mnie imiona, które nadawano tutaj psom.

– Tak. Szczerze mówiąc, pił na umór. Mówię oczywiście o Erichu, nie o psie. Bez względu na to, ile dochodu przynosił zajazd, Erich wszystko przepijał.

– To prawda – potwierdziła Walburga.

Znowu znalazła się na bezpiecznym terenie, bo Spornitz w przeciwieństwie do Jeremy'ego uwierzyła w jej słowa. Za to jemu coś się nie zgadzało w historii z Erichem. Przecież żaden pijak nie zrzeka się dobrowolnie emerytury na rzecz swojej rodziny.

– A pan? – spytała Walburga. – Co pana sprowadza do takiej dziury jak Wendisch Bruch?

– Miejscowy kościół zbudowany z kamienia polnego. Czytałem o nim w internecie i postanowiłem go zobaczyć.

Walburga skinęła sceptycznie głową.

– Tak, czasem wpadają tutaj rowerzyści jadący do Baruth. Kościół jest przez cały czas otwarty. Nie ma tam przecież co ukraść. Najwyżej naszą Esther.

– To ona jeszcze żyje?! – zdziwiła się Spornitz. – Pewnie ma już ponad osiemdziesiąt lat.

– Zgadza się. I ciągle jest tak samo złośliwa jak dawniej. Niewiele się tutaj zmieniło przez te wszystkie lata. Jest tylko jeszcze bardziej pusto i beznadziejnie.

– Dlaczego jest tu tyle pustych domów? Wioska wygląda jak wymarła.

– Kiedy raz się zaczęło, nie ma temu końca – odparła Walburga, uderzając lekko dłonią o blat stołu. – No dobrze, muszę rozwiesić resztę prania, bo inaczej nigdy nie skończę.

– A ja pójdę na łąkę. Mogę? – spytała Spornitz, zrywając się z krzesła. – Sama. Ty idź w tym czasie do kościoła. Potem się spotkamy.

Spornitz wybiegła z domu, jeszcze zanim Jeremy zdążył wstać z krzesła. Walburga włożyła szklanki i kieliszek do przepelnionego naczyniami zlewozmywaka i wyszła przez te same drzwi, którymi wybiegła Spornitz.

Zaniedbane ogrody zrobiły duże wrażenie na Jeremym. Kiedyś na pewno ktoś o nie dbał. Właściciele zajazdu Pod Lipą musieli być dawno temu bogatymi, dumnymi ludźmi. Wzniesiony z muru pruskiego budynek na pewno wyglądał wtedy o wiele lepiej. Przy stolikach stojących pod zielonym dachem z gałęzi drzew siedziało pewnie mnóstwo gości. Jeremy ujrzał oczami wyobraźni piramidy beczek z winem leżące w szopie, która teraz groziła zawaleniem. Częściowo wyschnięty trawnik był pokryty plamami. Na samym środku, między drzewem a zardzewiałym słupkiem, wisiała linka na pranie. Jeremy wziął plastikowy kosz i poszedł za Walburgą. Po drodze minął rozłożyste pokrzywy.

– To dość dziwna sprawa, młody człowieku – powiedziała Walburga.

Zdjęła ze słupka wypłowiały bawełniany worek i zawiesiła go sobie na szyi. Kazała Jeremy’emu podać wielkie majtki, które potem rozwiesiła bez wahania na linie. Wyjęła z worka garść klamerki i przypięła nimi dziurawą bieliznę.

– A teraz niech pan to z siebie wydusi – powiedziała. – Po co ona tu przyjechała?

Mówiąc to, skinęła głową w stronę działki, która na samym końcu przechodziła w zdziczały ogród, za którym rósł sad. W tym samym momencie Spornitz odwróciła się do nich i pomachała im ręką. Jeremy też jej pomachał.

– Wspomnienia z dzieciństwa – odparł zgodnie z prawdą.

Walburga zmrużyła oczy. Nie po to jednak, żeby skomentować wygląd kolejnej sztuki prania – bufiastych spodni dżinsowych – tylko dlatego że najwidoczniej mu nie uwierzyła.

– Tu nie ma zbyt wielu wspomnień.

– Naprawdę? Kiedy słuchałem, jak opowiadała o Wendisch Bruch, brzmiało to całkiem przyjemnie.

– Przyjemnie? A co panu opowiadała?

– O tym, jak wyglądało lato, i o zapachu skoszonego zboża – wyjaśnił Jeremy. Zrobił krótką przerwę i postanowił poruszyć najważniejszy temat. – I o psach.

– O psach?

W momencie gdy Walburga chciała przypiąć spodnie do linki, klamerka pękła jej w ręce. Sięgnęła więc do bawełnianego worka i ze zmarszczonym czołem zaczęła w nim szukać nowej. Po chwili wyjęła ją. Dopiero wtedy udało jej się zawiesić spodnie.

– A dlaczego akurat zapamiętała psy?

– Ja też zadaję sobie to pytanie. Co tu się wydarzyło?

– Nic. I na tym polega problem.

– Pani mnie nie zrozumiała. Uważam, że to, co przydarzyło się Charlie, nie było przypadkiem.

– Charlie? To pan ją znał?

– Oczywiście. Była siostrą Cary.

Walburga dała mu znak, żeby podał jej sweter w prążki.

– Co jej tak nagle zależy na rodzinie? Dostyc późno. Oby jej się udało. Jesteście parą, prawda?

Jeremy uśmiechnął się. Walburga okazała się o wiele sprytniejsza, niż sądził.

– W pewnym sensie. I właśnie dlatego chciałbym się o niej jak najwięcej dowiedzieć.

– No to najlepiej niech pan ją o to spyta.

– Nie wszystko pamięta.

Walburga opuściła sweter i pociągnęła lekko nosem. Plamy na jej policzkach nabrały jeszcze intensywniejszej barwy. Jeremy doszedł do wniosku, że tym razem z powodu wysiłku.

– Może to nawet lepiej? Nie miała tu łatwego życia. Matka wcześniej je obumarła, ojciec pił. Prymitywny cham, któremu pół wsi schodziło z drogi. A jeśli chodzi o Charlie, to chyba brakowało jej piątej klepki.

– A psy?

– Co pan ciągle z tymi psami? – spytała Walburga lekko podenerwowanym tonem. Znowu zajęła się swetrem. – Mieli dwa psy. Jeden wabił się Akra, drugi Kerl. Jeden był owczarkiem, drugi mieszańcem mastifa. To najbardziej niebezpieczna rasa. Oba biegały swobodnie po gospodarstwie, więc nikt do nich nie przychodził, bo każdy się bał.

– Ale coś się za tym kryło, prawda?

Walburga odsunęła sweter i pochyliła się, żeby przejść na drugą stronę linki.

– Wszyscy mieli tu przynajmniej po jednym psie. Nawet Esther trzymała jednego do zeszłego roku, ale

i na niego przyszła w końcu pora. Zajmuje się pan zawodowo psami czy jak?

– Ależ skąd – zaprotestował Jeremy. Pochylił się, żeby rozwinąć kilka splątanych pończoch i podał je parami Walburdze. – A co to była za historia z dziećmi?

Jeremy znalazł w koszu dwie bawełniane skarpety zrobione na drutach. Chciał je podać Walburdze, ale ta stała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w jakiś odległy punkt. Nie odpowiedziała też na jego pytanie.

– Czy coś się stało? Źle się pani poczuła? Może pani usiadzie?

– Nie... nie, dziękuję – odparła. Odebrała od niego skarpetki i powiesiła je na lince. – Nie wiem, o czym pan mówi. Przepraszam, ale muszę teraz wziąć moje tabletki. Pranie rozwieszę później. Do widzenia.

Walburga przeszła obok Jeremy'ego i zniknęła w domu. Spojrzał bezradnie na to, co pozostało w koszu. Kobieta zabrała worek z klamerkami, a bez nich nie mógł rozwiesić reszty prania. Wyszedł więc na drogę, żeby się zorientować w ich położeniu. Przyjechali z Jüterbogu, co oznacza, że droga przez wieś prowadzi w kierunku miejscowości Baruth. Po stu metrach doszedł do kościoła stojącego na niewielkim wzniesieniu. Na chwilę się przed nim zatrzymał, a potem wszedł do środka.

W kościele było mroczno i chłodno. Walburga miała rację: nie byłoby w nim co ukraść. Nad ołtarzem wisiał drewniany krzyż z Chrystusem przymocowany do ściany za pomocą wykutego z żelaza uchwytu. Przez chwilę zrobiło mu się wstyd, że w kościele myśli o kradzieży. Usiadł w ławce i czekał. Po kwadransie zaczął się niepokoić. Wyszedł z kościoła, obszedł go od wschodniej strony, spojrzał w stronę sadu i dawnego zajazdu Pod Lipą. Cary nigdzie nie zauważył. Próbował się dodzwonić na jej komórkę, ale po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka.

Przy jednym z drzew stała ławka. Jeremy usiadł na niej. Zauważył, że przed laty ktoś wyrył na niej dwie litery: C i M. Nawet mi o tym nie wspomniała, pomyślał w nagłym przypływie zazdrości. A więc w jej życiu ktoś jeszcze był. Ktoś miejscowy. Wyobraził sobie dwójkę nastolatków, którzy siedzą na ławce i trzymają się za ręce. Doszedł do wniosku, że to chyba najładniejsze miejsce w całej wsi.

Kiedy minął kolejny kwadrans, a jedyny ruch, jaki zauważył, powodowały wiszące na lince majtki Walburgi, zaczął się niepokoić. Może Cara zapomniała, że miała się z nim spotkać? Znowu spróbował się do niej dodzwonić, a ponieważ nie odebrała, wysłał jej krótkiego esemesa z prośbą, żeby oddzwoniła.

Potem wrócił na drogę. Samochód Cary nadal stał przed domem Walburgi, ale dom był zamknięty na klucz. Zapukał, a ponieważ nikt mu nie otworzył, postanowił wejść do środka przez drzwi od podwórza. Ale i one były zamknięte. Szarpał za klamkę, wołał, lecz nikt mu nie odpowiedział. Za to w oddali zaczął szczekać pies, a po chwili drugi. Stopniowo przyłączały się do nich kolejne zwierzęta, a ich szczekanie zamieniło się w przeciągłe wycie. Brzmiało to tak, jak gdyby stado wilków wyło do księżyca. Straszne. Jeremy aż się wzdrygnął. Psy w Wendisch Bruch obudziły się do życia.

Rozdział 34

Telefon zadzwonił w samo południe. Gehring wyrzucił właśnie śmieci do kubła stojącego przed domem. Okazało się, że z komendy dzwoni policjant o niemożliwym do wymówienia podwójnym nazwisku. Od razu przeszedł do rzeczy:

– Jest tu niejaki Tomislav Beara, ojciec jednej z naszych policjantek. Twierdzi, że jego córki od dwóch dni nie ma w domu. Wczoraj dostał od niej ostatniego esemesa. U nas jest tylko jej zaświadczenie o zwolnieniu lekarskim.

Gehring opuścił pokrywę kubła.

– Co jeszcze? – spytał zaniepokojonym tonem.

– Powiedział, że... – Policjant przerwał na chwilę, żeby znaleźć odpowiednie słowa.

– Co powiedział?

– Że ona często o panu wspominała. Chciał się dowiedzieć, jak może się z nią skontaktować i czy...

– Czy co?

– ...czy nie ma jej u pana w domu.

– Powiedz mu, że u mnie jej nie ma. Zaraz tam będę, najpóźniej za dwadzieścia minut.

Gehring nie wrócił już do mieszkania, tylko od razu wsiadł do samochodu i dzięki temu, że w weekend ruch na ulicach był mniejszy, dotarł na komendę w niecałe dwadzieścia minut. Zaparkował na dziedzińcu, do budynku wszedł tylnym wejściem i od razu skierował się do strefy dostępnej tylko dla policjantów. Na korytarzu spotkał funkcjonariusza w średnim wieku, który przywołał go skinieniem ręki. Jego twarz wyrażała wielkie cierpienie i przypominała pysk foki.

– Szybko pan dojechał. Tamten człowiek czeka na zewnątrz.

Określenie „na zewnątrz” oznaczało miejsce, w którym ze względu na brak funduszy w budżecie miasta urządzono coś w rodzaju poczekalni. Między automatem do kawy a kilkoma stojakami z propagandowymi ulotkami o treści „Policja zaleca, aby...” ustawiono kilka rzędów niewygodnych krzeseł. Na parapetach stały brzydkie więdzące kwiaty. Co jakiś czas ktoś wylewał do wyschniętej ziemi w doniczkach resztki kawy, co tylko przedłużało ich cierpienia na tym świecie.

Tomislav Beara miał niewiele ponad sześćdziesiąt lat. Jak na człowieka starej daty przystało do urzędu państwowego przyszedł w obowiązkowym garniturze, koszuli i krawacie. Ubranie było źle dopasowane, ale czyste. Przywitał się z Gehringiem mocnym uściskiem dłoni. Miał kanciastą głowę i twarz pooraną głębokimi bruzdami, szczerze, czujne brązowe oczy i przyjazny, a zarazem ostrożny uśmiech.

– Komisarz Lutz Gehring. Czy to pan jest ojcem pani Beary?

– Tak – odparł mężczyzna i zręcznym ruchem dłoni wsunął do kieszeni spodni prosty drewniany różaniec. – Chcę się dowiedzieć, gdzie jest moja córka.

Gehring domyślił się, że pan Beara wysnuł własne wnioski na podstawie tego, o czym musiała mu powiedzieć jego córka. Poczł się nieswojo, bo wyglądało na to, że Beara zaraziła swoimi podejrzeniami inne osoby. Bez względu na to, czy dotyczyły one zbrodni w Brandenburgii, czy też wykraczającej poza stosunki służbowe znajomości z komisarzem policji, jej ojciec patrzył teraz na niego w taki sposób, jak gdyby Gehring pozbawił jego córkę czci, a potem zostawił ją własnemu losowi na

środku ulicy.

– Nie wiemy, gdzie przebywa. Nie mamy też z nią żadnego kontaktu.

– Nie szukacie jej? Nie zauważyliście jej nieobecności?

– Ależ oczywiście. Pańska córka ma zwolnienie lekarskie.

– Ona nie jest chora. Pracuje na pana zlecenie w tej samej sprawie. Tak mi powiedziała.

Gehring odwrócił się i popatrzył na policjanta o podwójnym nazwisku, który nadal stał w drzwiach oddzielających część recepcyjną komendy od służbowej.

– Przejdźmy do mojego pokoju – zaproponował Gehring.

Beara ruszył za nim przez dziedziniec. Wbrew swoim zwyczajom Gehring przytrzymał mu nawet drzwi od windy, którą wjechali na trzecie piętro. Korytarze, codziennie tętniące życiem, dzisiaj stały puste. Gehring wiedział o tym. Często przychodził tu w weekendy, żeby spokojnie popracować.

Kiedy weszli do pokoju, poprosił swojego gościa, aby zajął miejsce. Pan Beara uczynił to z pewną ostrożnością. Podciągnął wysoko nogawki spodni i usiadł.

– Gdzie jest moja córka? – spytał.

– A kiedy odezwała się do pana ostatni raz?

– Już powiedziałem. Wczoraj. Dostałem od niej esemesa.

Mówiąc to, podał Gehringowi starą nokię, jeden z pierwszych modeli, zwany przez użytkowników „cegłą”. Aparat był już tak stary, że ledwie działał w nim wyświetlacz. Gehring dziwił się, że takie telefony są jeszcze w użyciu. Treść esemesa brzmiała następująco: „Nie martw się o mnie. Muszę jeszcze coś załatwić dla komisarza Gehringa. Potem wracam do domu”.

– Córka mówi po chorwacku, ale z pisaniem jest gorzej. Woli niemiecki. Człowiek nie może mieć dwóch ojczyzn. Mam rację?

Gehring oddał mu telefon.

– A który kraj uważa pan za swoją ojczyznę? – spytał.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Mimo zaawansowanego wieku i naznaczonego pracą ciała miał młodsze i płynne ruchy, typowe dla mieszkańców południowej Europy.

– Chcę, żeby zaczął jej pan szukać. Martwię się o nią.

– Z tego co wiem, pana córka pojechała do Wendisch Bruch. Wyślę tam radiowóz. My też zaczynamy się o nią martwić. Powinien jednak pan wiedzieć, że córka pojechała tam samowolnie. Może po prostu wyładowała jej się bateria w telefonie?

Beara spuścił wzrok. Poruszał dolną szczęką, jak gdyby miał coś w ustach. W końcu, nie patrząc na Gehringa, spytał:

– Co jej się stało?

– Jak to?

– Powiedział pan: samowolnie. Czy to znaczy, że wodzi pana za nos?

– Tak – potwierdził Gehring. – W pewnym sensie to właśnie robi.

– Jesteście parą? – spytał mężczyzna.

– Nie! Broń Boże! – zawołał Gehring, unosząc ręce w obronnym geście. – Czy ona tak twierdzi?

Jeśli tak, to jest jeszcze bardziej pokręcona, niż mu się wydawało.

– Jako jej ojciec czuję to. Sanela nie ma żadnych przyjaciół. Czy jest pan żonaty?

– Nie i nie chcę być. Nie mam nic przeciwko pańskiej córce. Jest ładną, młodą, ambitną kobietą. I na pewno znajdzie kiedyś odpowiedniego mężczyznę. Ale mnie z nią nic nie łączy.

– No to dlaczego wymieniła pańskie nazwisko? I dlaczego, kiedy opowiada o pracy, oczy jej się świecą? Nigdy się tak nie zachowywała. Do chwili aż pan się tu zjawił, nie mówiła zbyt dobrze ani o pracy, ani o kolegach.

– Bo zajmuje się sprawą, w której prowadzę śledztwo – odparł Gehring. – Więcej nie wolno mi panu zdradzić. No, może tylko to, że robi to z własnej inicjatywy. Ja jej tam nie wysyłałem ani niczego jej nie zlecałem. Swoim uporem i samowolnym postępowaniem zrujnuje sobie karierę.

– Ona ma obojętny stosunek do kariery.

– Naprawdę?

– Ona chce czegoś innego. Wygrywać, zawsze i wszędzie. Nie może przegrać. Co to za sprawa?

– Tego nie wolno mi zdradzić.

– Chodzi o zabójstwo w ogrodzie zoologicznym, prawda? Prawie ją tam zabito. Czy za swoją postawę dostała od was jakiś list z podziękowaniami za dobrą służbę? Order? Nagrodę? Pieniądze?

Gehring przypomniał sobie bukiet kwiatów, ale wolał nie denerwować swojego rozmówcy.

– Niestety nie – kontynuował Beara. – Wygląda na to, że dała sobie rozbić głowę za nic.

– To był nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

– Ona robi wszystko, żeby wygrać. Nie ma tego po mnie. To wynika z jej charakteru, to jej życie. Tak je sobie ułożyła.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

– Chwila! – zawołał Gehring i ponownie zwrócił się do swojego gościa: – Proszę pana, my naprawdę robimy wszystko, żeby pomóc pana córce. Przyjmujemy pańskie zgłoszenie o jej zaginięciu, a ja osobiście poinformuję o tej sprawie komendę policji w Jüterbogu. Podzielam pańską troskę i osobiście zajmę się tą sprawą. Obiecuję.

Pan Beara skinął głową i wstał z krzesła. Gehring towarzyszył mu do samych drzwi.

– Co pan miał na myśli, mówiąc, że córka zawsze chce wygrywać? – spytał.

Beara chwycił go za rękę i uściśnął ją.

– Naprawdę się pan tym zajmie?

– Tak.

– Ona już kiedyś raz przegrała. Była wtedy jeszcze dzieckiem. Dlatego uważa, że życie to rzecz pożyczona i że o wszystko musi walczyć, żeby nigdy nie przegrać. Nie ma wzorca, nie może się poddać. To mnie napawa strachem.

– Bóg dał każdemu życie w formie pożyczki.

– Tak, ale ona go od Niego nie pożyczyła.

Gehring otworzył drzwi. Mężczyzna przemknął koło niego tak szybko, że Gehring nie zdążył go nawet zapytać, kto oprócz Wszechmogącego może jeszcze pożyczyć życie i czy może go odprowadzić do wyjścia. Ale na korytarzu ujrzał panią Schwab. Stała zdyszana z zaczerwienioną twarzą. Był tak zdumiony jej widokiem, że nawet nie pożegnał się ze swoim gościem.

– Przyszła pani do mnie?

Schwab skinęła głową. Beara był już na klatce schodowej, na pewno sam znajdzie drogę. Gehring zaprosił ją do środka.

– Co się stało? – spytał.

Fakt, że przyszła do biura poza godzinami pracy, był tak niezwykły, że nawet jej nie spytał o powody. Schwab pokazała mu notes pełen zapisków.

– Wczoraj aż do wieczora siedziałam przy telefonie. Właściwie chciałam panu o tym opowiedzieć dopiero w poniedziałek, ale kiedy przyszłam tu dziś rano, pomyślałam sobie... że muszę to wszystko jeszcze raz przejrzeć, zanim... no i... i wtedy zobaczyłam pana na dziedzińcu. Pomyślałam więc, że to nie może czekać.

– Co takiego? – spytał Gehring.

Schwab nie było tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Dlatego jej podenerwowanie było dla niego

równie niezwykle, jak nagła gorliwość do pracy.

– Co nie może czekać?

– Musi pan przeprowadzić akcję w Wendisch Bruch.

Rozdział 35

Kiedy obudziła się drugi raz, mogła już poruszać powiekami. Nadal jednak nic nie widziała. Ciemność była całkowita i nieprzenikniona bez względu na to, czy oczy miała otwarte, czy zamknięte. Spróbowała zgiąć i wyprostować palec i udało się. Paraliż powoli ustępował. Nabrała głęboko powietrza i natychmiast sobie uświadomiła, że był to błąd.

W pomieszczeniu śmierdziało odchodami. Podłoga była wilgotna i zbutwiała, prawdopodobnie pokryta ubitą ziemią albo błotem, które deszcz naniósł przez szpary. Beara spróbowała się wyprostować, ale uderzyła o coś głową. Od razu pomyślała, że leży w trumnie, a jednocześnie jej ciało przeszył tak silny ból, jakiego nigdy wcześniej nie doznała. Albo ma złamany kręgosłup, albo ktoś wbił jej w plecy rozżarzoną igłę. Wciągnęła powietrze przez zęby, żeby nie krzyknąć. Jesteś martwa, pomyślała. Martwa, chociaż nadal możesz się poruszać i oddychać. Leżysz w trumnie we własnych szczynach. Pogrzebali cię żywcem.

Ogarnęła ją panika. Czowała się jak schwytany do klatki ptak, który próbuje rozpostrzeć skrzydła.

Oddychać. Oddychać i liczyć, potem jakoś pójdzie.

Rozłożyła ramiona i ze zdziwieniem stwierdziła, że jej się to udało. A więc nie leżała w trumnie. Odczekała, aż minie kolejna fala bólu, i czubkami palców zaczęła badać wilgotne podłoże. W jakim pomieszczeniu sufit znajduje się metr nad ziemią? Odwróciła się z trudem na bok i dotknęła tylnej części głowy. Do palców przykleiła jej się jakaś ciepła kleista ciecz. Krew. Skulona, bardzo ostrożnie, żeby znowu nie uderzyć się w głowę, zaczęła pełznąć po brudnym podłożu, aż dotarła do ściany. Panujący w środku smród był wprost nie do wytrzymania. Amoniak. Zaczęły jej łzawić oczy i pojawił się duszący kaszel, którego nie mogła opanować. Podciągnęła wysoko koszulę i przycisnęła ją do nosa, ale w niczym jej to nie pomogło. Wydawało jej się, że za chwilę pęknie jej głowa. Musi jakoś stłumić kaszel.

Z trudem chwytając powietrze. Zgięła się i przyłożyła czoło do podłoża. Oddychać i liczyć. Oddychać i liczyć. Cyferki na cyferblacie zegarka nadal błyszczały w ciemnościach. Dziesięć po drugiej. Po południu czy w nocy? Próbowała sobie przypomnieć, co się wydarzyło, ale ostatni obraz, jaki przesłał jej mózg, składał się z czerwonego sosu pomidorowego, który wytrysnął z puszki. Sądząc po obrażeniach, ktoś ją chyba uderzył. Tym razem ci się udało, Charlie. Tym razem naprawdę mnie dopadłaś.

– Jest tam kto?! – zawołała.

Odpowiedziało jej głuche echo.

– Jest tam kto?! Na pomoc!

Ale nikt jej nie słyszał. Cisza panująca we wnętrzu pomieszczenia była tak głęboka, jak ciemności. A przecież powietrze jakoś tu docierało, bo inaczej już dawno by się udusiła.

Pełzała z jednego miejsca w drugie i badała palcami niski strop. Składał się z bali. Prosta robota. Zbadała każdy centymetr kwadratowy, ale nie znalazła ani szczelin, ani wyjścia, ani drzwi zapadowych. Po prostu niczego. A przecież jakoś się tu dostała. Z miejsca, w którym się znajdowała – betonowej wnęki z dziesięciocentymetrową warstwą błota i ograniczonej ścianami pokrytymi gładkim tynkiem – mogło być tylko jedno wyjście: w górę.

Z trudem, starając się opanować ataki kaszlu, oceniła przybliżoną długość i szerokość pomieszczenia.

Wyszło jej na to, że przebywa w czworokącie o powierzchni około dwóch metrów na cztery. W błocie co chwilę natykała się na kamienie i gałęzie. Niewykluczone, że były tu od samego początku, od dnia, gdy to pomieszczenie zbudowano. Do czego miało służyć? To nie pokój, tylko jakaś pułapka, podziemny loch, wychodek albo jakieś stare szambo. W końcu przewróciła się na bok i podciągnęła nogi. Myślała, że już dawno oduczyła się płakać, a tu proszę. Przyszło jej to bez kłopotu.

Po kilku minutach opanowała się, bo doszła do wniosku, że płacz doprowadzi do utraty energii i odwodnienia organizmu. Ogarnęło ją znużenie, a może nawet rozpacz i strach przed śmiercią. W końcu postanowiła wziąć się w garść. Powinna odzyskać siły i poszukać drogi ucieczki. Jeśli tutaj weszła, musi też istnieć jakieś wyjście.

Głowę ułożyła na zaokrąglonym kamieniu z wgłębieniem po jednej stronie. Kiedy się przesunął, poprawiła go, żeby znowu oprzeć o niego głowę. W kamieniu były otwory zapchane wilgotną ziemią, do których można coś włożyć. Na przykład palce. Może to uszkodzona kula do kręgli? Przedmiot był dosyć ciężki. Wydłubała ziemię z otworów, usunęła zewnętrzne osady i inne, trudne do określenia błotniste złoże i zaczęła dotykać palcami zagłębień i wybrzuszeń. Po chwili wiedziała, co trzyma w ręce, chociaż prawda dotarła do niej z trudem. Okazało się, że to żuchwa. Krzyknęła przerażona, cofnęła dłoń, odrzuciła od siebie szczękę i ogarnięta paniką popęzła na drugi koniec wnęki. Czołgając się, wyczuła pod brzuchem ludzkie szkielety, które początkowo wzięła za gałęzie. Wzdrygnęła się i drżąc ze strachu, przedostała się na drugi koniec. Okazało się, że kamień to ludzka czaszka, a gałęzie to kości. Zrozumiała, że nie jest tu pierwszą osobą. Za to jedyną, która w tym pomieszczeniu żyła.

Rozdział 36

Caro?! – wołał Jeremy. Z początku biegł powoli, żeby nie upaść, ale gdy przebiegł przez skrzyżowanie, przyspieszył. – Caro!

Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Cara poszła do gospodarstwa przesiedleńców. A przecież nie powinna iść tam sama. Powinien jej towarzyszyć, bo miała się tam zmierzyć ze swoimi wspomnieniami.

Serce biło mu jak oszalałe.

– Caro!

W jednym z ogrodów zauważył jakiś ruch i przystanął. Rozległy złotokap, odurzająco pachnący krwawnik, poskręcana i porośnięta mchem jabłoń. Uchylona brama strzegła dostępu do wykładanej polnymi kamieniami alejki.

– Caro! Jesteś tam?!

Podszedł do bramy, pchnął ją i się zatrzymał. Przez chwilę wydawało mu się, że stara kobieta siedząca na kamiennej ławce przed domem to jakaś kamienna rzeźba, bo jej postać idealnie zlewała się z bluszczem, a jej szara, wyblakła twarz przypominała barwę tynk pokrywający ściany domu. Musiała być chyba bardzo stara. Kobieta się nie poruszała.

– Przepraszam – wymamrotał Jeremy. – Nie chciałem pani... Czy ktoś tędy niedawno przechodził?

Ostrożnie podszedł bliżej. Co go tak zafrapowało w tej kobiecie? Dlaczego się nie porusza? Mimo upału ubrana była w długą bawełnianą sukienkę i zbyt luźne pończochy, na których miała dodatkowo naciągnięte skarpety. Obok niej na ławce leżała laska.

– Wszystko w porządku? – spytał Jeremy.

W tym momencie kobieta zamrugała i popatrzyła na niego takim wzrokiem, że aż ciarki go przeszły. Miała mętne, wodniste, prawie wyblakłe oczy i była na pół ślepa. Mierzyła go beznamiętnym wzrokiem od stóp do głów.

– Czy ma pani na imię Esther? – spytał Jeremy, bo akurat to imię przyszło mu w tym momencie do głowy. Pomyślał, że do nikogo innego by tak dobrze nie pasowało. – Czuje się pani dobrze?

Kobieta zamknęła oczy i z westchnieniem oparła głowę o ścianę domu. Rozchylone usta, spiczasty nos i mała broda sprawiały, że przypominała ptaka, który wypadł z gniazda. Wzbudzała niepokój, a zarazem współczucie.

– Szukam Cary Spornitz. Czy przechodziła tędy?

Kobieta sięgnęła kościstymi palcami po laskę. Gdy ją znalazła, pochyliła się i wsparła na niej pomarszczonymi dłońmi.

– To ona ma tak teraz na nazwisko? – spytała. Głos miała ostry jak tarka, co mogło oznaczać, że albo przez długi czas paliła cygara, albo litrami piła whisky. Skóra na jej chudej twarzy była ściągnięta jak u mumii. – Kiedyś była jedną z nich.

Jeremy, który już chciał odejść, nadstawił uszu.

– Kiedyś? – spytał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie usiąść obok kobiety na ławce. – A kiedy to było?

– Kiedy mogłam jeszcze chodzić, młody człowieku – odparła, obejmując dłonią łaskę. – Chodzić, słyszeć i widzieć. Dzisiaj wszystko jest martwe. Wszystko umarło.

– Pozwoli pani? – spytał Jeremy, ale kobieta nie odpowiedziała. Usiadł więc i zerknął na zegarek. Jeśli Cara przyjdzie do kościoła, i tak będzie musiała tędy przejść. Na pewno ją zauważy. – Wszystko tu tak pięknie kwitnie – rzucił, wskazując na jabłoń. Jej gałęzie uginały się od niedojrzałych jeszcze owoców. Zbiory będą obfite. – Pani rododendron jest wspaniały.

– To hortensja, młody człowieku. Nie ma pan pojęcia o kwiatach. O innych sprawach też nie?

– Hm – chrząknął Jeremy ze zdziwieniem. Nie był przyzwyczajony do tego, żeby już na samym początku niewinnej rozmowy zabrakło mu słów. – Co pani ma na myśli?

– Że nagle się tu wszystkich nazjeżdżało. Obcy, którzy zadają pytania. No to proszę, niech pan pyta. Jesteśmy wioską morderców. Lubimy, gdy inni nas opluwają. Pan jest pewnie z prasy?

Kobieta bawiła się łaską, przebierając po niej palcami raz szybciej, raz wolniej.

– Nie. Przyjechałem tutaj z Carą.

– To jedna spośród tamtych – stwierdziła kobieta i na potwierdzenie swoich słów wbiła łaskę w ziemię. Teren tuż przy domu wyłożony był zmurszałymi balami. Pod spodem znajdowało się prawdopodobnie wejście do piwnicy. – Z gospodarstwa przesiedleńców. Czego ona tu chce? Niech się stąd wynosi.

– Dlaczego wszyscy są tutaj przeciwko niej? Przecież była jeszcze dzieckiem, gdy się stąd wyprowadziła.

Kobieta znowu popatrzyła na niego swoimi wodnistymi oczami.

– A dzieci są niewinne, co? Pan też w to wierzy, prawda? Oczywiście. Każdy w to wierzy, gdy dzieci się uśmiechają i gaworzą matce przy piersi. Ale z czasem przybywa im lat i stają się gorsze od zwierząt. Okrutne. Zwierzęta takie nie są.

Kobieta się rozgadała. Z mową musiało u niej być tak samo jak ze sztywnymi kończynami: na początku mówienie przychodziło jej z trudem, ale już po kilku zdaniach gadała jak najęta.

– Czy widział pan kiedyś, jak małe dzieci przybijają gwoździemi kotki do drzwi obory? Jak depczą ptaki, które wypadły z gniazda? Jak wrywają żabom nóżki, a dżdżownice tną na tyle części, że w końcu nie ma co ciąć? Czy widział pan, jak traktują inne dzieci? Próbują je topić podczas wspólnej kąpieli, zrzucają ze stogu siana, kłują grabiami do gnoju albo wrzucają do szamba? Tak właśnie zachowują się dzieci.

– Jak słyszę, wiele tu się działo – stwierdził Jeremy, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

Ale Esther pokręciła głową.

– Tu się nic nie działo. Zupełnie nic. Nudy na pudy. A jak na dodatek dzieje się coś okrutnego...

– Czy wszystkie dzieci takie były?

Kobieta znowu wbiła kij w ziemię. Rozległ się głuchy, przytłumiony dźwięk.

– Wszystkie. Bez wyjątku. Ona też, młody człowieku. Niech pan się nie zachowuje tak, jak gdyby pan siedział obok mumii.

Jeremy poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni. Wyjął go i z bijącym sercem zerknął na wyświetlacz. Brock.

– Dziękuję – odparł, wstając z ławki. – Będę szukał dalej.

Kobieta zmierzyła go od stóp do głów swoimi ptasimi oczami.

– Nie znajdzie jej pan. One przychodzą i odchodzą. Są jak psy nocną porą. Trzeba w nie rzucić kamieniem, dopiero wtedy sobie pójdą.

– Rozumiem, kamieniem. Oczywiście.

Jeremy wyszedł szybkim krokiem na drogę i przywitał się z Brockiem.

– Dzień dobry, panie profesorze.

– Witam! – usłyszał w słuchawce. Z powodu słabego zasięgu głos profesora był zniekształcony. – Gdzie pan jest, do cholery? Odsłuchałem właśnie wiadomość i nie mogę uwierzyć, co zamierza pan zrobić. Chce pan pojechać z Carą Spornitz do Wendisch Bruch?

– Tak – odparł Jeremy. Po tym, jak Esther kazała mu rzucać kamieniami w Carę, nadal nie mógł się uspokoić. Na dodatek jego słowa wracały w słuchawce. Słyszał je, jak gdyby odbijały się od ścian wielkiej hali. Bardzo go to denerwowało. – Właściwie to my już tu jesteśmy. Ściślej mówiąc, Cara poszła do swojego dawnego gospodarstwa. Zaraz do niej dołączę.

– Poszła tam sama?

– Nie, nie! Ja...

Jeremy wyszedł na środek pustej drogi. Brama prowadząca do gospodarstwa przesiedleńców znajdowała się sto metrów od niego. Powoli ruszył w tamtym kierunku.

– Musi pan uzgadniać ze mną takie działania. To brak odpowiedzialności. Spornitz nadal jest w szoku po śmierci siostry. Niech pan ją lepiej przywiezie do Berlina, zamiast po tych wszystkich strasznych wydarzeniach zabierać ją do miejsc, w których spędziła dzieciństwo. Nie teraz, rozumie pan?

– Wiem – odparł Jeremy. W głosie profesora wyczuł ton zniecierpliwienia i złość. Poczł się jak student pierwszego semestru. Przecież wie, co robi. Znajdzie Carę, zawiezie ją w jednym kawałku do Berlina. – Długo tu nie zostaniemy. Ona nie przypomina sobie niczego z lat dzieciństwa. Może wizyta w tym miejscu pomoże jej...

– W niczym jej nie pomoże. Niech pan natychmiast wraca!

Zasięg był coraz słabszy. Jeremy prawie w ogóle nie rozumiał, co mówi Brock.

– Zaraz stąd wyjedziemy. To tylko krótka wizyta, niech mi pan uwierzy. Cara jest w dobrych rękach.

– ...coś znalazłem... w aktach... przeoczyć...

– Panie profesorze?

Jeremy odwrócił się i spojrzał na dom Esther. Starsza kobieta potraktowała go lepiej niż Brock.

– Panie profesorze!

– ...czarodziej...

– Słucham? Nie rozumiem!

Niestety połączenie zostało przerwane. Jeremy poczuł się nieswojo. Wsunął telefon z powrotem do kieszeni. Nigdy wcześniej nie widział, żeby Brock był aż tak podenerwowany. Niewykluczone, że powinien odnaleźć Carę i jak najszybciej wyjechać z nią z Wendisch Bruch.

Przyspieszył kroku i zdyszany dotarł do bramy prowadzącej do gospodarstwa. Otworzył ją ostrożnie, bo był pewien, że zaskrzypi, gdyż zawiasy były całkowicie przerdzewiałe. Na szczęście żadne skrzypienie się nie rozległo. Prawdopodobnie zawiasy były naoliwione. Jego oczom ukazało się wielkie puste, wymarłe gospodarstwo.

– Caro?

Powoli przeszedł przez bramę i się rozejrzał.

– Jesteś tutaj?

Żadnej odpowiedzi. Zrobił kilka kroków w kierunku budynku, w którym kiedyś mieszkali ludzie. Szyby w oknach były powybijane. Pewnie ktoś je rozbił kamieniami, uznał i aż się wzdrygnął na myśl o starej kobiecie w zdiczałym ogrodzie, która broniła się kamieniami przed dziećmi.

Jeremy zdawał sobie sprawę, że wchodzenie na cudzy teren jest zabronione. Być może właśnie dlatego zachowywał się tak ostrożnie i co jakiś czas się rozglądał. Dopiero po pewnym czasie skierował się w stronę drzwi wejściowych do budynku. Słyszał, jak pod jego stopami chrzęszczą beton i piasek. Z daleka dobiegały go też szum wiatru, szelest drzew i zeschniętych liści, które gromadziły się w rogu

podwórza. Za to nigdzie nie słyszał ludzkich głosów.

Drzwi były zrobione z taniej sklejki. W niektórych miejscach porobiły się pod nią bańki powietrzne. Skrzydło wisiało luźno na zawiasach. Jeremy nie musiał nawet naciskać klamki, żeby je otworzyć. Jeszcze raz się rozejrzał i nagle poczuł się strasznie samotny. Ściągnęła go tutaj, w to opuszczone miejsce, a sama pewnie już od dawna czeka na niego w kościele, opycha się jabłkami albo leży w trawie w ogrodzie Walburgi i wypatruje na ołowianym niebie chmur, które mogą zwiastować deszcz.

Komórka traciła zasięg, z pięciu kresek zostały mu jeszcze tylko dwie. Wykręcił numer Cary i czekał, aż odbierze. Chwilę potem usłyszał w słuchawce dudniącą muzykę. Kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, muzyka ucichła. Jeremy rozłączył się i ponownie wybrał ten sam numer. W słuchawce znowu rozległy się ogłuszające dźwięki muzyki, które po dwudziestu sekundach ucichły. Jeremy opuścił zalany słońcem dziedziniec i wszedł do ciemnej sieni śmierdzącej stęchlizną.

Dom był większy, niż mu się wydawało z zewnątrz. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, ujrzał podłogę wyłożoną kafłami. Część tapet odkleiła się od ściany, część była porozrywana. Zwisały przed nim jak kurtyna na scenie. Odsunął jedną z nich i na końcu korytarza ujrzał szerokie drewniane schody prowadzące na górną kondygnację. Drzwi do pomieszczeń na parterze – z jednym wyjątkiem – znajdowały się w głębi korytarza. O mało się nie potknął o resztki linoleum, które odkleiło się od podłogi.

Dom nadawał się do rozbiórki albo na dziką noclegownię dla bezdomnych. Jeremy szedł w stronę schodów i po drodze zaglądał przelotnie do mijanych pomieszczeń. Jedno z większych było kiedyś pokojem dziennym, drugie – prawdopodobnie pokojem rodziców. Na środku leżał rozdarto materac pokryty plamami niewiadomego pochodzenia. W oknie wisiała dziurawa kołdra. Na podłodze poniewierały się śmieci, zużyte opakowania i inne przedmioty – stare ubrania, firanki. Porzucone, pozostawione własnemu losowi.

Jeremy zatrzymał się przy schodach i jeszcze raz zawołał na cały głos, ale znowu nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Poczuł się nieswojo w tym opuszczonym domu. Po pierwsze dlatego, że był zaniedbany, po drugie, bo odnosił wrażenie, że jego ostatni mieszkańcy nie zaliczali się do grona ludzi cywilizowanych. Był intruzem z innego świata, który nie pasował do tego otoczenia.

Zaczął się zachowywać ciszej i ostrożniej. Wyjął telefon i wcisnął klawisz ponawiający połączenie z ostatnio wybranym numerem. I znowu usłyszał muzykę – ale tym razem inną. Wydawało mu się, że dźwięki dobiegają gdzieś ze strychu. Po trzech taktach się rozłączył. Chciał zawołać Carę po imieniu, pobiec do niej, ale zachował spokój. Cara nie odebrała, jej komórka była gdzieś w pobliżu. Od razu znalazł kilka wyjaśnień, dlaczego tak się stało, ale żadne nie przekonywało go.

Ostrożnie wspinał się po schodach, masywnej konstrukcji z grubo heblowanych desek. Zastanawiał się, w którym roku dom został zbudowany, i doszedł do wniosku, że w latach pięćdziesiątych. Był funkcjonalny i solidny, pozbawiony ozdób, które wychodziłyby poza zwykłe funkcje mieszkalne. Drewniana poręcz schodów była przymocowana do ściany czarnymi kątownikami. Jeremy minął kolejną płachtę tapety zerwaną ze ściany i doszedł do wniosku, że na pierwszym piętrze ślady wandalizmu są mniej widoczne. Schody kończyły się kolejnym korytarzem, trochę węższym od tego na dole. Jeremy doliczył się czworga szeroko otwartych drzwi. Ruch powietrza wyparł stąd zapach stęchlizny, było tu też bardziej jasno i sucho, ale wcale nie zrobiło się od tego przyjemniej.

Jak najostrożniej poruszał się wśród okruchów szkła i płatów tynku, które odpadły od ściany. Zaglądał do każdego pokoju. Pchnął jedno z drzwi, które przeraźliwie zaskrzypiały. Hałas wydał mu się tak głośny, że Jeremy drgnął i zatrzymał się w miejscu. Na szczęście nic się nie wydarzyło. Pokoje wyłożone staromodną, słabo przyklejoną tapetą stały puste. Mieszkańcy domu zajmowali prawdopodobnie tylko parter.

– Caro! – zawołał cicho Jeremy, idąc w stronę wejścia na strych.

Schody zaskrzypiały, co mogło zdradzić jego obecność. Nie miał przy sobie broni, tylko telefon. Może powinien zadzwonić do Brocka albo na policję? Od razu zrezygnował z tego pomysłu. Na niewiele by się to zdało. Brock i tak urwie mu głowę, więc poczeka z tym do powrotu do Berlina.

Ostatnie stopnie były popstrzone ciemnymi kroplami. Z początku pomyślał, że ktoś robił remont i rozlała mu się w tym miejscu farba. Potem te pojedyncze plamy zamieniły się w krwistoczerwone, na wpół zaschnięte kałuże. Ślad po szorowaniu ciągnął się po wyłożonej linoleum podłodze, która na samej górze, na piętrze pod dachem, musiała być kiedyś koloru beżowego albo jasnobrązowego. Jeremy stał na czymś w rodzaju niewielkiej galerii, na której znajdowały się pojedyncze, zamknięte na klucz drzwi. Doszedł do wniosku, że znajduje się za nimi jakieś ciało – ciężkie, duże i obficie krwawiące. Wychylił się przez poręcz i spojrział w dół. Nikt za nim nie szedł. Czuł, że puls mu przyspiesza, bo nie wiedział, co znajdzie za drzwiami. Kolejny raz wybrał w telefonie numer Cary.

Pierwsze takty muzyki zabrzmiały tak blisko, że aż się wzdrygnął. Zauważył, że i te drzwi są przekrzywione i dlatego nie można ich było do końca zamknąć. Pchnął je, wszedł do środka i ujrzał Carę. Siedziała w rogu pokoju z podciągniętymi nogami i twarzą zakrytą rękami. W drugim rogu leżały zwłoki dużego psa. Śmierdziało od niego jak na targu rybnym.

– Caro!

Jeremy zbliżył się ostrożnie. Wyciągnął do niej rękę, ale Spornitz odtrąciła ją i jeszcze bardziej się skuliła. Nad nimi latało stado much. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby Jeremy wszystkiego się domyślił: ktoś poderżnął psu gardło i zwierzę wykrwawiło się na śmierć. Poczł w gardle tak silne dławienie, że musiał podejść do okna, otworzyć je i zaczerpnąć głęboko powietrza. Kilka tłustych much skorzystało z okazji i wyleciało na dwór.

– Caro, co się stało?

Spornitz zauważyła, że Jeremy stoi przy niej, i trochę się rozluźniła. Martwy pies musiał ją naprawdę wyprowadzić z równowagi, a nawet przerazić.

– To Bruno – szepnęła bezdźwięcznie. Oczywiście miała wilgotne od łez, usta zaciśnięte, ciało zdrętwiałe z przerażenia. – Nie żyje.

– To naprawdę on? – spytał Jeremy. Pytanie było zbędne, ale chciał w ten sposób zmusić ją do mówienia. Wiedział, że Spornitz musi jakoś zareagować, przemówić. Powinna się wyzwolić z tej pułapki szoku i okrucieństwa. – To ja. Jestem z tobą. Wstań. To okropne miejsce. Musimy stąd wyjść.

Spornitz pokręciła głową. Spojrzała na martwego psa i przeszedł ją dreszcz, po którym jeszcze bardziej wcisnęła się w kąt pokoju. Jeremy poczuł, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli. Zwykła wycieczka na wieś zamieniła się w prawdziwy horror. Podeszedł powoli do Spornitz, żeby jeszcze bardziej jej nie przestraszyć, i pochylił się nad nią.

– Kto to zrobił? – szlochała Spornitz. – Bruno był już bardzo stary, do niczego niezdolny. Podobno psy żyją dłużej niż ludzie.

– To nie jest ten sam Bruno, którego kiedyś znałaś, tylko inny.

– I tylko dlatego cała ta sprawa przestaje być straszna?

Odgarnęła sobie włosy z twarzy i zrobiła taką minę, jak gdyby przed chwilą obudziła się z koszmaru.

– Mieszkałam w tym pokoju, kiedy byłam dzieckiem. Mój Boże! Bruno leży w miejscu, gdzie stało łóżko Charlie. Tam dalej stał chwiejący się regał na książki, a na nim leżały płyty z walcami. Bruno przychodził tu czasem do nas i kładł się na połatany dywan.

Zdeptana podłoga z desek i tapety w typowe dla lat siedemdziesiątych wzory. Czas się tu zatrzymał, powstała całkiem nowa mozaika. Jeremy był osobą postronną i nic z tego nie rozumiał. Zastanawiał się, gdzie Cara przebywa myślami. Może przy pierwszym psie o imieniu Bruno, który bronił dzieci

w Wendisch Bruch? A może wróciła do terażniejszości, która tym bardziej go przerażała, im więcej dowiadywał się o niej od Cary?

– To tutaj się wychowywałam. Razem z Charlie i Brunonem.

– Dlaczego nie miałaś własnego pokoju?

– Nie chciałam. Charlie... ona pilnowała mnie, a ja jej. Taka była umowa. Ale teraz... nie było mnie, kiedy to zrobiła. Nie mogłam jej już pomóc. Jemu też nie. Co tu się stało? Co tu się w ogóle dzieje? Niech to wszystko szlag trafi!

Spornitz wróciła do rzeczywistości. Wściekła podobała się Jeremy'emu o wiele bardziej niż zrozpaczona. Podała mu rękę. Chwytał ją i podciągnął Carę z podłogi. Przez moment stała tak blisko niego, że tylko z trudem się opanował, żeby nie wziąć jej w ramiona. Wydawało mu się, że jej życie przypomina kalejdoskop złożony z drobnych okruchów. Naprawdę wiele dokonała. Miała na tyle odwagi, żeby wyrwać się z rozpaczliwej sytuacji i ponownie stawić czoło koszmarom.

– Powiedz mi, przed czym Charlie i Bruno mieli cię bronić? Co się stało, kiedy Charlie się stąd wyprowadziła? Kto ci wtedy pomagał?

– Nikt. Ale wtedy to się skończyło.

– Co się skończyło?

Dolna warga Spornitz zaczęła drżeć. Wydawało się, że z twarzy odpłynęła jej cała krew. Przypominała teraz Jeremy'emu wenecką maskę: stężałe z przerażenia rysy, głęboko zapadnięte oczy.

– Nie wiem – szepnęła Spornitz. – Ten pokój jest o wiele mniejszy, niż mi się kiedyś wydawało. Wtedy wydawał mi się ogromny, zwłaszcza nocą, gdy ożywały cienie. Bałam się, bardzo się bałam. Za każdym razem kiedy był z nami Bruno, wiedziałam, że...

– A dlaczego Bruno był z wami?

– Bo wyczuwał mój strach.

– Jaki strach? Przed innymi psami?

Spornitz unikała jego wzroku. Jeremy stanął na wprost niej i tym samym zmusił ją, żeby na niego spojrzała.

– Nie, nie chodziło o inne psy – odparła niepewnym głosem. – Ja kocham psy.

– No to może przed dziećmi? Innymi dziećmi? Małymi?

Spornitz odwróciła się od Jeremy'ego i podeszła do okna. Jeremy poszedł za nią.

– Powiedz mi prawdę.

– Ja sama sobie nie wierzę. Jeśli ci to powiem, uznasz mnie za wariatkę. Ale ja się tak właśnie czuję. Ostatnio miałam to zaćmienie umysłowe. A przecież mi się wydawało, że wszystko mam pod kontrolą. Nie chodzę ani do restauracji, ani do kina, ani do parku. Kiedy przejeżdżam koło jakiejś szkoły, zamykam okna w samochodzie. Kiedy nadchodzą, zmieniam pas na ulicy.

– Kto taki, Caro? Kto nadchodzi?

– Kobiety z wózkami, kobiety z dziećmi – odparła Spornitz, a jej oczy znowu wypełniły się łzami. –

Przecież to nienormalne, prawda? Powiedz mi to prosto w oczy! Jesteś psychologiem i znasz się na takich wariactwach. Kiedy dzieci płaczą, wydaje mi się, że umrę. Duszę się, puls mi przyspiesza. Wszystko we mnie chce umrzeć.

– To ataki paniki. Czy zaczęły się właśnie tutaj?

– Całkiem możliwe. Zdążyłam o nich zapomnieć, wyprzeć je z mojej pamięci. Teraz już wiem, że miałam dziwne sny. O... o dzieciach. Przychodziły nocą do mojego pokoju, jak mi się zdaje. Słyszałam je. Były tutaj. – Jęknęła głośno. – Uważasz, że jestem nienormalna, prawda?

– Nie.

– Nie kłam!

– Caro, gdybyś była nienormalna, tobyś je widziała. Albo rozmawiała z nimi. A ty po prostu odczuwasz tylko strach.

– Tylko strach – powtórzyła z lekkim uśmiechem. – Czasem odnoszę wrażenie, że wy, psychologowie, macie równie słabe pojęcie o ludzkiej psychice jak ja o wieprzach, które kastruję.

– Mów dalej – powiedział zmienionym głosem Jeremy. Być może nawdychał się w Wendisch Bruch zbyt dużo pyłu. Być może, bo wolałby prowadzić tę rozmowę w gabinecie w Berlinie. Być może, bo po raz pierwszy w całej swojej karierze poczuł, że ponosi odpowiedzialność za drugiego człowieka. – Opowiedz mi o tych dzieciach.

– A nie wyśmiejesz mnie?

– Nie – odparł, obejmując ją ostrożnie ramieniem.

Nie zaprotestowała. Zamknęła oczy i poczuła się tak, jak gdyby wjazd do tunelu nagle zniknął.

– Trudno to ująć w słowa, słabo to pamiętam. Byłam wtedy dzieckiem. To się działo nocą. I właśnie nocą, kiedy wszystko wokół spało, słyszałam je. Były głodne i płakały. Cicho, bardzo daleko ode mnie. Chcę obudzić Charlie, ale ona nie śpi. Śmieszne... Charlie... jest mokra... Siedzimy razem na jej łóżku i mocno się obejmujemy. Charlie płacze. Nie wiem dlaczego, ale płacze. Nagle wstaje i wychodzi.

– Dokąd?

– Chyba na dół. Do piwnicy. Albo na zewnątrz. Kiedy wraca, pachnie inaczej. Oborą i kartoflami, wełną i ziemią, i...

– I czym?

– Krwią. Myje się, a ja udaję, że śpię. Ona kładzie się do łóżka. Wszystko jest znowu dobrze.

– Co jest dobrze?

Spornitz otwarła oczy i spojrzała na niego.

– Wszystko. Panuje spokój, nawet psy przestały ujadać. Przez całą noc zachowywały się tak, jak gdyby chciały przekazać jakąś wiadomość. A kiedy Charlie wracała, było już po wszystkim.

Spornitz się uśmiechnęła. Jeremy czuł, że serce mu zaraz pęknie.

– A gdzie był Bruno?

– Bruno? – powtórzyła Cara zmieszonym głosem. – Już go wtedy nie było. A może się mylę? Sama nie wiem... Może coś pomyliłam..

– Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, co to może oznaczać?

– Uznałam, że to był sen.

– Jak często cię nawiedzał?

– Tak naprawdę? Dwa, może trzy razy. Miałam też inne koszmary. Pojawiły się wtedy, gdy Charlie zaczęła robić te swoje głupstwa. Były okropne, bo za każdym razem widziałam ją w nich martwą.

– Ile miałyście lat, gdy te koszmary się zaczęły?

Spornitz wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ja osiem, może dziewięć, Charlie dwanaście albo trzynaście. Wiem, o czym teraz myślisz, ale wyprowadzę cię z błędu. Nie zostałam nigdy zgwałcona ani molestowana. Być może byłam na jakiejś gwiazdzie i nie wszystko do mnie dotarło. Nasze uświadamianie seksualne polegało na tym, że kiedy doprowadzano byka do krowy, stałyśmy obok i przyglądałyśmy się temu. Kiedy wychodziłam za mąż, nadal byłam dziewicą. A Charlie... kiedyś miała jakiegoś wielbiciela, ale nic z tego nie wyszło.

Jeremy przypomniał sobie serce na ławce. A więc to nie Cara tam siedziała, tylko Charlie. Marzyła o czymś, co można nazwać życiem.

– Dlaczego nie?

Wzruszyła niepewnie ramionami.

– To przez ojca. Pewnie go zniechęcił i chłopak dał sobie spokój. Po tym zdarzeniu Charlie zaczęła

uciekać z domu. Czasem na jedną noc, czasem na dłużej. W wieku piętnastu lat, gdy zmarła nasza matka, była już na tyle silna, że zaczęła mu się stawiać. Od tej pory przestał jej czegokolwiek zabraniać. Ale sam powiedz, jaki chłopak chciałby zamieszkać w takim domu?

– A co było z nim nie w porządku?

Cara skrzyżowała ręce i spuściła wzrok.

– Sama nie wiem. Jestem tu teraz i po raz pierwszy od wielu lat zastanawiam się nad moim dzieciństwem. Odłożyłam je w osobne miejsce, tak jak odkłada się parę skarpetek do szuflady. Od momentu kiedy dzisiaj przekroczyłam próg tego domu, serce mi drży. Do tego te gołe ściany. Coś się w nich wydarzyło. Moi rodzice to prawdziwy horror. Nadal słyszę, jak na siebie wrzeszczą, jak ojciec bije matkę. Wieczne kłótnie, trzaskanie drzwiami, godzenie się, krzyki, jęki, wycie, bicie, mężczyźni...

– Jacy mężczyźni? – przerwał jej Jeremy. – Przecież przed chwilą powiedziałaś, że...

Cara uwolniła się delikatnie z jego objęć i chciała podejść do psa, ale Jeremy ją powstrzymał.

– Mężczyźni? Wspomniałam coś o nich?

– Tak, przed chwilą.

– To jest gospodarstwo rolne, nie klasztor. Prawdopodobnie zachodzili tu od czasu do czasu jacyś faceci. Czy to jakaś aluzja?

– Absolutnie. Przed chwilą powiedziałaś, że wasz ojciec gonił stąd każdego chłopaka, który za bardzo się do was zbliżył. A potem sama wspomniałaś o mężczyznach.

Teraz Cara wyrwała mu się, podeszła do psa i delikatnym ruchem ręki dotknęła jego czaszki.

– On zawsze tu był, a teraz nie żyje. Kogo chciał chronić? Leży tak przynajmniej od wczoraj. Coś się tu wydarzyło. Tu, w tym domu.

– Powinnaś stąd wyjechać. Musimy wrócić do Berlina.

– Sprawiam ci zbyt duży kłopot, prawda? – spytała, nie patrząc na niego. Przez cały czas głąaskała martwego psa po głowie.

– Nie. Chcę tylko stąd wyjechać. Jak najszybciej.

– Ale to ty mnie tu przywiozłaś. To ty chciałaś, żebym sobie o wszystkim przypomniała. A teraz, gdy ledwo uchyliłam moją puszkę Pandory, zaczynasz się bać?

– No dobrze, porozmawiamy o tym w drodze do Berlina. Muszę się skonsultować z Brockiem. Obawiam się, że ta sprawa mnie przerasta. Tego psa ktoś zabił, poderżnął mu gardło. Wolałbym nie spotkać się z tym człowiekiem.

Spornitz w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Przez cały czas patrzyła na ostatniego strażnika z lat jej dzieciństwa.

– Ciekawe, kogo miał chronić. Musimy go pogrzebać.

Jeremy, który był już myślami w drodze do Berlina i szykował się do wyjścia z pokoju, zatrzymał się w pół kroku.

– To wykluczone – powiedział.

– Nie zostawię go tutaj. Zaniesiemy go do Walburgi i pogrzebiemy w jej ogrodzie, pod jabłonią. Tak samo robiliśmy z innymi.

– Z jakimi innymi?

– Z psami. Były naszymi przyjaciółmi i strzegły nas. A my robimy to nie dla nich, tylko dla nas.

Wyprostowała się i wytarła ręce w spodnie. Zdenerwował ją głupi wyraz twarzy Jeremy'ego.

– Jeśli coś ma dla nas znaczenie, to potem, gdy już tego nie potrzebujemy, nie wyrzucamy tego ot tak do śmieci – wyjaśniła. – Przeciwnie: urządzamy pożegnanie i dbamy, aby przebiegało ono według pewnego rytuału. Odprawiamy ofiarę i grzebiemy zwłoki w grobie. Do środka wkładamy czasem kwiaty, jakąś zabawkę albo piłkę, którą zmarły lubił się bawić. Nie robimy tego powodowani wiarą, że te przedmioty

będą mu do czegoś potrzebne, tylko dlatego że właśnie tym różnimy się od zwierząt. Robimy rzeczy, które w przyrodzie są do niczego niepotrzebne. Za to w ludzkim życiu jak najbardziej. Domyślam się, że nie byłeś na zbyt wielu pogrzebach?

– Nie.

Jeremy podszedł do niej i wziął w dłonie jej brudną, zalaną łzami twarz.

– Pogrzebiemy go, obiecuję ci to. Pójdziemy do Walburgi i opowiemy jej o tym w delikatny sposób. Potrzebny jest nam koc, lepiej, żeby nie oglądała psa w takim stanie. Ja zajmę się resztą. Żądam jednak, żebyś stąd wyjechała, bo we wsi jest ktoś, kto jest zdolny podrzynać gardła starym psom. Nie podoba mi się to.

– Zgoda.

Cara uśmiechnęła się. Był to słaby, bezradny uśmiech, który był tak daleki od prawdziwej radości jak Bruno od swojej piłki. Uśmiech osoby, która potrzebuje pomocy i nie bardzo wie, czy jej prośba nie zostanie odrzucona.

Jeremy pocałował ją w usta, które miały smak soli. Bał się tego, co będzie musiał zrobić. Wiedział za to, że ma po swojej stronie Brocka. Był też pewien, że chociaż Cara jest pełna sprzeczności, dość łatwo ją zranić i ma negatywne nastawienie do wszystkiego, co mogłoby ją dotknąć, to podejmie tę walkę razem z nią. Nigdy nie zostawi jej własnemu losowi.

– Idziesz? – spytał.

Skinęła głową i podała mu rękę.

W tym samym momencie zaskrzypiała brama wejściowa. Oboje odskoczyli od siebie przerażeni. Jeremy podszedł do okna, które wychodziło na stare zabudowania od południowej strony. Z miejsca, w którym stał, nikogo nie zauważył. Za to usłyszał czyjeś ciężkie kroki.

Spornitz stała jak sparaliżowana. Wpatrywała się w Jeremy'ego przerażonym wzrokiem.

– Ktoś wszedł na podwórze.

– Na moje podwórze?

– Powinniśmy zejść i sprawdzić, kto to jest.

– Zgoda. Sprawdźmy, kto się tu skrada.

Oboje zeszli z poddasza i ostrożnie ruszyli schodami na parter. Już na pierwszym piętrze usłyszeli, że ktoś krząta się po kuchni. Słysząc było trzaskanie garnków i patelni, szum wody i skwierczenie tłuszczu.

Ostatnie stopnie prowadzące na parter pokonywali bardzo powoli. Jedyne drzwi, które wcześniej były zamknięte na klucz, teraz stały uchylone. Jeremy zobaczył w środku puste półki, stary gazowy piecyk, dwa krzesła i stolik kempingowy, na którym piętrzyły się talerze, szklanki i inne naczynia. Przy piecu stał jakiś człowiek. Po jego zachowaniu widać było, że czuje się w kuchni jak u siebie w domu. Zajęty był mieszaniem jajek w półmisku. Był szczupły, średniego wzrostu, miał ciemne krótkie włosy i wysportowane ciało. Ubrany był w stare brudne dżinsy i sprany T-shirt. Kiedy Spornitz weszła do kuchni, powoli się odwrócił.

– Kto... Marten? To ty? – spytała.

Mężczyzna odstawił półmisek na stół i zmniejszył gaz w kuchence. Na patelni skwierczała słonina. W pomieszczeniu unosił się zapach, który przyprawiał Jeremy'ego o odruch wymiotny. Mężczyzna otarł ręce w ściereczkę do naczyń przewieszoną przez krzesło. Widać było, że kuleje. Gdyby nie złamany nos, można by powiedzieć, że jest przystojny. Nos był płaski, na wpół skrzywiony i tak brzydki, że Jeremy nie mógł zrozumieć, dlaczego mężczyzna nie zdecydował się go wyprostować. Za to głos miał zadziwiająco łagodny.

– Cara. Dawno cię nie widziałem. Co cię do nas tak nagle sprowadza?

Spornitz odwróciła się do Jeremy'ego. Widać było, że jest przerażona. Jeremy położył uspokajającym

gestem dłoni na jej ramieniu.

– Czy mogę spytać, kim pan jest? – spytał oschłym tonem.

– Oczywiście, ale ja nie muszę panu odpowiadać – odparł mężczyzna. Jego głos nadal brzmiał łagodnie. Być może właśnie dlatego Jeremy poczuł, jak dostaje gęsiej skórki. – Przyjechałaś tu z powodu Charlie? Słyszałem o tej sprawie w radiu. Smutna historia. Przykro mi. Teraz oprócz mnie już nikt nie został, prawda?

– Muszę cię poprosić, żebyś opuścił to miejsce. Nie masz prawa tu przebywać i zachowywać się jak u siebie w domu.

– Ja to widzę inaczej. Po co tu przyjechałaś? – spytał, mierząc wzrokiem to ją, to Jeremy'ego. – Na dodatek w towarzystwie.

– Nie powinno cię to obchodzić.

– Zamierzasz się tu wprowadzić?

– Wolałabym puścić to miejsce z dymem. Jestem tutaj, bo chcę się dowiedzieć czegoś o swojej przeszłości.

– I nagle spotykasz mnie.

– Czy mogę spytać, kim pan jest? – powtórzył Jeremy.

Mężczyzna wrzucił ściereczkę do zlewozmywaka.

– Powiedz swojemu kochasiowi, żeby poczekał na zewnątrz.

– Ani mi się śni – oznajmił Jeremy, ustawiając się demonstracyjnie przed Carą. – Niech pan natychmiast opuści ten dom.

Mężczyzna cofnął się o krok. Zrobił to tak zręcznie, że trudno było się zorientować, że kuleje.

– Dlaczego zabiłeś Brunona? – spytała Cara, odsuwając Jeremy'ego na bok.

Bardzo mu się to nie spodobało. Ciągle nie bardzo wiedział, jak ta sytuacja się rozwinie.

– Dlaczego?

– Bo był już stary – odparł mężczyzna. Wyjął ze zlewozmywaka nóż, obejrzał go i odłożył na miejsce. – To było konieczne.

– Ale nie w taki sposób! – krzyknęła Spornitz. Chciała się na niego rzucić, ale Jeremy ją powstrzymał.

– Było dokładnie tak samo jak z innymi, prawda? – spytała. Zmrużyła przy tym oczy i zacisnęła dłonie w pięści. – Przybiegł tutaj, bo czuł, że dzieje się coś złego. Kogo chciał chronić? Co ty zrobiłeś?

– Opowiadasz jakieś bzdury.

Jeremy nadal trzymał Spornitz mocno za rękę.

– Chodźmy stąd – powiedział do niej cicho.

– Nie! – odparła Spornitz. Odepchnęła go od siebie ze złością i podniosła dłoń do oczu. – Pamiętam, że Bruno... przychodził na górę za każdym razem, gdy...

– Gdy co? – przerwał jej mężczyzna. Oczy groźnie mu błyszczały. – Zrób to, co on przed chwilą powiedział. Dam ci dobrą radę: wyjedź i nigdy nie wracaj.

– Ale ja muszę sobie przypomnieć!

– I co potem?

– Zgłoszę się na policję i opowiem, co tu się naprawdę działo.

Tylko nie policja, chciał zawołać Jeremy, ale było już za późno.

– Caro – powiedział mężczyzna. Obszedł stół i ruszył w jej stronę z przepaszającym uśmiechem. – Jeśli tak, to chętnie ci pomogę te wspomnienia odzyskać. I to tu, na miejscu.

Jeremy zbyt późno się zorientował w jego zamiarach. Mężczyzna zaatakował go tak nagle, że dopiero w ostatniej chwili poczuł, jak jego pięść trafia go w twarz.

Rozdział 37

Gehring pędził z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę i próbował umieścić na dachu samochodu lampę emitującą charakterystyczne niebieskie pulsujące światło. Starał się skupić na ruchu ulicznym, ale tak naprawdę jego umysł zaprzętały informacje, które dotarły do niego na początku dnia. Poza tym miał spore wątpliwości, czy to, co robi, jest słuszne i czy jego działanie nie wynika z pochopnie podjętej decyzji. Wewnętrzny hamulec włączył się dopiero teraz. Przecież nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się działać w nadmiernym pośpiechu.

Starał się zebrać myśli i podsumować wszystko, co jeszcze nie tak dawno, gdy był w swoim pokoju na komendzie, wydawało mu się jasne i jednoznaczne. Oto dwie godziny temu zdecydował się w końcu na coś, na co nikt – łącznie z Bearą – nie mógł nawet liczyć: postanowił zacząć działać. I to jak najprędzej. Ścisłej mówiąc, na miejscu, w Wendisch Bruch. I to bez zgody swojego bezpośredniego przełożonego albo prokuratora. O to zatroszczy się Schwab. Dalsza zwłoka mogła się okazać groźna, nie takie rzeczy widział już w swojej pracy. Bardziej niż kiedykolwiek zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Nic więc dziwnego, że w takim tempie pędził miejską wielopasmówką na południe.

Wszystko zaczęło się od rozmowy z Tomislavem Bearą, a skończyło na chaotycznym przeglądaniu notatek, wydruków komputerowych i protokołów z rozmów telefonicznych. Dzięki wytężonej pracy pani Schwab wszystkie podejrzenia zamieniły się w poszlaki. W tym momencie przestał udawać, że niczego nie dostrzega, chociaż nie był pewien, czy inni będą mieli na ten temat takie samo zdanie jak on. Może popełnia błąd? Może wystawia się w ten sposób na pośmiewisko całej komendy?

Stop! Nie może dłużej działać na krótką metę. Na takie ruchy był czas do momentu, gdy w śledztwie nie pojawił się wątek związany z Wendisch Bruch. Kolejny raz sięgnął po komórkę, żeby za pomocą Bluetootha połączyć się z Bearą. Bez skutku.

– Niech ja cię tylko dopadnę... – mruknął, wykonując kolejny ryzykowny manewr wyprzedzania.

Beara nie oddzwoniła. Zagineła i nikt nie wiedział, co się z nią dzieje. Powoli zaczął na nią patrzeć innym wzrokiem. Kiedyś była dla niego niesympatyczną karierowiczką, opętaną manią zwracania uwagi na każdy szczegół. Teraz była kimś, o kogo się martwił, bo postanowiła mu zaufać.

Nie wiedział, co robi, gdy dostanie ją w swoje ręce. Ale akurat z tym może poczekać. Najpierw musi ją odnaleźć, podobnie jak wszystkie pozostałe osoby, które padły ofiarą przestępstw popełnionych na oczach mieszkańców wsi i urzędników, którzy zawiedli na całej linii.

Po rozmowie z Tomislavem Bearą zadzwonił na komendę w Jüterbogu i kazał im wysłać do Wendisch Bruch radiowóz. Ojciec Beary podał policjantom markę i numer rejestracyjny jej samochodu, ale na razie żaden meldunek w tej sprawie nie wpłynął. Może już opuściła wieś i wyruszyła w drogę powrotną? Nie, to raczej nie w jej stylu. Beara jest jak terier: mały, szybki jak błyskawica, stale niedoceniany. Takie są najbardziej zawzięte.

Na pewno jeszcze tam tkwi. Był o tym przekonany. Gdyby było inaczej, już zasypałaby go swoimi kolejnymi teoriami. Dziękował opatrności, że natchnęła go pomysłem, aby wziąć do pomocy Schwab. Wykonała dobrą, a nawet świetną robotę. Lista mieszkańców Wendisch Bruch, którzy się stamtąd wyprowadzili albo zmarli, była długa.

– Kiedy następnym razem będę w mieście, powinienam mu przywieźć ciasto z kruszonką – skomentowała wyniki swojej pracy.

Gehring był dumny, że przynajmniej częściowo udało mu się uwolnić jej ukryte talenty. Niestety to, co zobaczył potem, napełniło go niepokojem i prawdziwą troską.

– To jest lista tych, którzy się przez te wszystkie lata stamtąd wyprowadzili – powiedziała Schwab, podając mu przez biurko kartkę papieru.

Zawierała nazwiska pojedynczych ludzi albo całych rodzin. Gehring doliczył się ponad pięćdziesięciu osób. Prawdziwy exodus. Śmierć zbierała w tej niewielkiej wiosce bogate żniwo, i to w ciągu niewielu lat.

– Uzasadnienie: brak pracy. Nie zdążyłam jeszcze sprawdzić każdego przypadku, ale w większości z nich uzasadnienie było słuszne. Wielu z tych ludzi przeprowadziło się do Berlina. Inni przenieśli się do zachodnich landów, do Szwajcarii albo do Austrii. Podejmowali pracę głównie w branży hotelarskiej, która nie wymaga zbyt dużych kwalifikacji. Tam można zacząć praktycznie od zaraz. Do niektórych z tych osób udało mi się dotrzeć. Zgodnie potwierdziły, że wyprowadziły się z Wendisch Bruch ze względów ekonomicznych. Ale dwie powiedziały coś innego. Zrobiły to w różny sposób, ale sens ich wypowiedzi był ten sam: to przez chemię.

– Chemię? – spytał Gehring, unosząc głowę znad kartki.

Na liście brakowało nazwisk Ericha Wahla i Haralda Schmidta.

– Mieli na myśli niezdrową atmosferę. Jedna z tych osób powiedziała, że wyglądało to tak, jak gdyby kolorowe zdjęcie nagle straciło swoje barwy. Innymi słowy, im więcej mieszkańców się stamtąd wyprowadzało, tym bardziej duszna robiła się atmosfera.

– Rozumiem – powiedział Gehring, odkładając kartkę na biurko. – W miastach opuszczone domy są jak wrzód, który nie może się zagoić. Nikt nie chce się do nich wprowadzić, budynki tracą na wartości, a w końcu całkowicie podupadają. Zakłęty krąg.

– W tym przypadku ów zakłęty krąg mogło zapoczątkować coś zupełnie innego, tak jak pan wcześniej przypuszczał – powiedziała Schwab, podsuwając mu kolejną kartkę.

Zawierała pięć nazwisk: Vennloh, Schmidt, Weber, Weber i Sachs.

– Wszystkie te osoby wyjechały w nieznanym kierunku. Miejsce ich obecnego pobytu też jest nieznanne. Nie są nigdzie zameldowane, jakby się rozplynęły we mgle.

Gehring zmarszczył czoło i spojrzał na nazwiska. Pięcioro ludzi. Ten dzień dobrze się zaczął i niech dalej taki będzie.

– Niech pan spojrzy na dół, tam, gdzie postawiłam dwa krzyżyki. Weber i Vennloh. Pan Kannegiesser stwierdził, że przy obu tych nazwiskach znajdowała się uwaga, że albo wyjechali za granicę, albo mieli taki zamiar.

– To dlaczego żaden z nich nie trafił na pierwszą listę? – spytał Gehring i wziął do ręki kartkę, którą wcześniej odłożył na biurko. Długie, ciężkie spojrzenie małych oczek pani Schwab skłoniło go do odłożenia kartki na poprzednie miejsce. – No dobrze, w takim razie co sądzi o tym ten pan...

– Kannegiesser.

– Kto to właściwie jest? – spytał Gehring, bo nie mógł sobie przypomnieć żadnego policjanta o tym nazwisku. Być może było zmyślane, a Schwab wykorzystała do swych poszukiwań jakiegoś kandydata do pracy w policji.

– Luckenwalde. Urząd Meldunkowy. Ciasto z kruszonką – wyjaśniła Schwab.

Gehring zaczął podejrzewać, że nagłe podwyższenie ciśnienia było efektem jakiegoś sympatycznego flirtu pani Schwab przez telefon.

– Chcę oczywiście powiedzieć, że ciasto dostanie ode mnie pan Kannegiesser z Urzędu Meldunkowego

w Luckenwalde... – Schwab zaczęła się płatać, przez chwilę nad czymś się zastanawiała, a potem pochyliła nad swoimi notatkami. – Weberowie i Vennloh. Gisela i Walter Weberowie chcieli wyjechać na Costa Blanca. Gerd Vennloh ubiegał się o amerykańską zieloną kartę i otrzymał zgodę na pobyt w Oklahomie. Nigdy tam nie dotarł.

Schwab umilkła. Gehring nie lubił takich sztucznych pauz. Jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, niech mówi. W sytuacji gdy policja ma do czynienia z pięcioma mieszkańcami tej samej wsi, którzy zaginęli bez śladu, należy od razu przejść do rzeczy.

– Co to znaczy? – spytał, wykonując gest zniecierpliwienia.

– Vennloh nigdy nie wyjechał z Niemiec. Niestety, więcej nie udało mi się ustalić. Trzeba się zwrócić w jego sprawie do Interpolu. Wprawdzie był w urzędzie, żeby się wymeldować, ale jego nazwisko nie zniknęło z bazy danych.

– W takim razie o żadnej Oklahomie nie może być mowy?

– On nigdy nie wjechał na terytorium Stanów Zjednoczonych. Jego nazwiska nie ma w bazie Urzędu Imigracyjnego. Vennloh wymeldował się dwudziestego drugiego marca dziewięćdziesiątego piątego roku i od tamtej pory wszelki ślad po nim zaginął.

– Co jeszcze? – spytał Gehring. Nie omówili nawet połowy nazwisk.

– Proszę spojrzeć na sam dół. Gisela i Walter Weberowie. Chcieli wyjechać na Costa Blanca. Nigdy tam nie dotarli i nikt ich nie szukał. À propos... – Schwab zerknęła do własnych notatek, pokręciła głową i gwałtownym ruchem przerzuciła kilka kartek – ...dwa tygodnie później znaleziono zwłoki mężczyzny i kobiety, mniej więcej w wieku Weberów. Tożsamości nie ustalono.

– Gdzie?

– Zwłoki mężczyzny znaleziono w pustym wagonie towarowym, który stał na boczniczy w pobliżu Hanau. Nie udało się go zidentyfikować, podobnie jak kobiety, której zwłoki znaleziono kilka tygodni później w lesie przy autostradzie koło Konstanz. Ponieważ jednak policja nie miała zgłoszeń o zaginięciu, a obu tych spraw nie było jak powiązać, do dzisiaj pozostają niewyjaśnione.

– Ale przecież w tak małej wsi ktoś musiał to zauważyć?

– Nie, jeśli ktoś się wyprowadził na zawsze. Powinniśmy ustalić DNA obu ofiar na podstawie śladów znalezionych w ich dawnym domu. Myślę, że w ten sposób moglibyśmy udowodnić, że akurat w obu tych przypadkach doszło do morderstwa.

Gehring zeszywniał.

– Zostają nam jeszcze Sachs i Schmidt.

– Rozmawiałam z Federalną Policją Kryminalną. Po tym, jak obaj wymeldowali się z miejsca zamieszkania, nie znaleziono niezidentyfikowanych zwłok w ich wieku.

– To może żyją?

– Możliwe – zgodziła się Schwab, chociaż zabrzmiało to tak, jak gdyby miała na ten temat odmienne zdanie.

– W najgorszym razie oboje są już martwi, a zwłok nie znaleziono – stwierdził Gehring. Widząc w ręku Schwab trzecią kartkę, domyślił się, że ma dla niego kolejne złe wieści: – Nie wierzę! – Podenerwowany rzucił kartki na biurko. – Pół tuzina ludzi znikło bez śladu i nikt tego nie zauważył? Wydawało mi się, że gdzie jak gdzie, ale na wsi nadal panuje porządek. Przecież wszyscy się tam znają. Jak to możliwe, że z takiej dziury zabitej dechami znikają ludzie i nikt się tym nie przejmuje? Nikt nie zgłasza przypadków zaginięcia, nie interesuje się tym żadna władza? Jak to, do diabła, możliwe?

Schwab wzruszyła ramionami.

– To się działo w długim okresie. Większość z tych ludzi żyła samotnie. Mężczyźni w średnim wieku albo starsi, rozwiedzeni, w separacji...

– Co na to wszystko pani mąż?

– Na co?

– Że pracuje pani w weekend?

Schwab popatrzyła na obrączkę, a potem na Gehringa.

– Jestem rozwiedziona, i to od dawna, a obrączki po prostu nie mogę zdjąć. Jest zbędna, bo nie mieszkamy razem od ośmiu lat...

Schwab znowu się zarumieniła. Gehring nie chciał stawiać jej w niezręcznej sytuacji.

– Przepraszam, ale myślałem...

Schwab zaczęła skubać białą obszerną spódnicę, a potem chrząknęła i powiedziała:

– Wendisch Bruch to nie jest wieś w tradycyjnym znaczeniu tego słowa.

Gehring był wdzięczny, że tak zręcznie zmieniła temat rozmowy. Popatrzył na mapę Berlina wiszącą na ścianie, chociaż nie obejmowała ona swym zasięgiem Fläming.

– Gdzie to właściwie jest?

– Pozwoli pan?

Schwab wstała z krzesła. Jęknęła przy tym i zachwiała się jak marynarz na pokładzie okrętu w czasie sztormu. Gehring ustąpił jej miejsca na swoim krześle przed komputerem. Uczynił to bardziej odruchowo niż z grzeczności. Schwab błyskawicznie otworzyła na ekranie monitora mapę południowej Brandenburgii, na której zaznaczono powiat Teltow-Fläming.

– Przecież to... – zaczął Gehring.

– No właśnie – odparła Schwab, siadając z trudem na swoim krześle. – Niecałą godzinę od Berlina, w połowie drogi do Dessau.

– Dessau – powtórzył Gehring. Ta nazwa też pojawia się w aktach śledztwa. Później to sprawdzi. – Co jest aż tak szczególnego w tej wsi?

– W NRD cała ziemia była w posiadaniu spółdzielni rolniczych. Tradycyjnych rolników nie było, odebrano im ziemię, a prawo własności istniało tylko na papierze. Wendisch Bruch wchodziło w skład spółdzielni o nazwie Sztandar Przyjaźni między Narodami, jednej z największych w ówczesnej NRD. A tam, gdzie żyje wielu Indian, musi też być wielu wodzów: prezesów, przewodniczących, dyrektorów. Prawie wszyscy mieszkali w Wendisch Bruch.

– Wspomniała pani o cieście z kruszonką?

– To dla pana Kannegiessera, który pochodzi z Fläming. Tam się wychowywał. Rozmawiałam z nim naprawdę bardzo długo.

– Wierzę. A co opowiedział o wsi, w której wszyscy ci ważniacy mieszkali?

– Że nie było w niej zbyt wielu mieszkańców. Po zmianie systemu w osiemdziesiątym dziewiątym roku cała tamtejsza społeczność praktycznie przestała istnieć. Państwo zaczęło zwracać ziemię, ale wielu miejscowych wolało zacząć nowe życie gdzie indziej. Na miejscu pozostali właściwie tylko ci, którzy nie mieli wyboru. Mówiąc między nami: sami nieudacznicy. Wendisch Bruch przypomina rozpadające się osiedla z wielkiej płyty. Domy, w których pozostali jedynie ci, którzy nie potrafią się przebić. W takich warunkach wspólnota przestaje istnieć, ludzie przestają zwracać uwagę na innych, najwyżej nimi pogardzają, bo radzą sobie tak samo kiepsko jak oni.

– To tylko przypuszczenia – mruknął Gehring zagniewanym tonem. Kto wie, co ten miłośnik ciasta z kruszonką Luckenwalde wcisnął jeszcze swojej rozmówczyni.

– Mamy tylko jedno zgłoszenie o zaginięciu – kontynuowała Schwab z triumfalnym uśmiechem na twarzy. Pochyliła się i wskazała palcem gwiazdkę przy jednym z nazwisk. – Klaus Sachs. Jego ojciec mieszkał w Chemnitz, ale utrzymywali dość luźne kontakty i dlatego zaginięcie syna zauważył dopiero po kilku miesiącach. Ojciec już nie żyje, ale urzędnicy w Jüterbogu przyjęli jego zgłoszenie i nadali mu bieg.

Sachs miał długi, jego dom był obciążony hipoteką. Policja wszczęła poszukiwania po licznych skargach ojca, ale robiła to bez szczególnego zapału. Wszyscy podejrzewali, że Sachs po prostu uciekł z powodu długów.

Gehring chciał już zapisać w swoim notesie coś w rodzaju „Jüterbog–policjant–skrócić o głowę”, ale dał sobie spokój. Wygląda na to, że Schwab potrafi załatwić więcej własnymi sposobami. Niewykluczone, że w poniedziałek zleci jej jakieś czynności śledcze w sprawie śmierci piekarza i rzeźnika.

– Co jeszcze mamy? – spytał z westchnieniem.

Schwab z wyraźnym wahaniem podała mu ostatnią kartkę zawierającą nazwiska: Karl Schenk – stolarz; Jörg Berger – piekarz, Georg Kordes – elektryk. Gehring czekał na kolejne złe wiadomości.

– Cała trójka nie żyje. Zginęli w nieszczęśliwych wypadkach między dziewięćdziesiątym trzecim a dziewięćdziesiątym szóstym rokiem. Jeśli chodzi o przyczyny śmierci, będę musiała porozmawiać z pewnym policjantem w Jüterbogu. Obiecał mi, że sprawdzi szczegóły.

– Dziękuję – odparł Gehring. – Dobra robota. Niech pani trzyma rękę na pulsie, może w dawnych archiwach pojawi się nazwisko któregoś z zaginionych?

Schwab podniosła się z grymasem bólu z krzesła.

– A jak pan uważa? Czy Charlie Rubin może mieć na sumieniu pół wsi?

Gehring spojrział na trzy kartki. Ze wsi wyprowadziło się ponad pięćdziesiąt osób. Pięć zaginęło, w tym osoby planujące wyjazd za granicę. Przynajmniej trzy wypadki śmiertelne, a wszystko to w odstępnie kilku lat. Rubin musiałaby rozpocząć krwawe żniwa w dość młodym wieku. Dwa kolejne przypadki śmiertelne to Leyendecker i jego partner. Jeśli dodać do tego zaginionego Ericha Wahla, wychodzi na to, że niewyjaśnionych jest aż jedenaście spraw. Za dużo jak na taką małą wioskę. Zaczął się obawiać, że to już nie jest sprawa dla zwykłej policji kryminalnej. Będzie ją musiała przejąć Policja Federalna.

W tym momencie zadzwonił jego telefon.

– Słucham?

– Nazywam się Brock. Przygotowywałem opinię na temat Charlie Rubin. Przepraszam, że panu przeszkadzam, wiem, że jest weekend, ale powiedziano mi, że jest pan jeszcze w pracy, a ja muszę porozmawiać z kimś, kto zajmował się śledztwem w jej sprawie.

– Słucham pana – odparł Gehring ostrożnie.

Wiedział, że jego zdolność do przyjmowania kolejnych wiadomości jest na wyczerpaniu. Jak przez mgłę przypominał sobie rozmowę ze współpracownikiem profesora, młodym mężczyzną, który zrobił na nim pozytywne wrażenie.

– Muszę z panem porozmawiać – kontynuował Brock. – Jeremy Saaler, z którym pan rozmawiał...

– Pamiętam.

– Straciłem z nim kontakt i zaczynam się poważnie martwić.

Pani Schwab podniosła się z krzesła i stała wyczekująco przy drzwiach. Gehring dał jej znak, żeby jeszcze nie wychodziła.

– Dlaczego? – spytał.

– Jeszcze raz przejrzałem moje notatki i nagrania z naszego dyktafonu. Zaczynam podejrzewać, że pani Spornitz – siostra Rubin – wie coś o czynach swojej siostry. I to nawet sporo.

– Jakich czynach? – spytał Gehring, czując, jak oblewa się zimnym potem. W jednej chwili wyobraził sobie, że cały świat już wie, iż zabójstwo dokonane w ogrodzie zoologicznym jest ukoronowaniem całej serii wcześniejszych zbrodni. Cały świat z wyjątkiem policji. No, może z jednym wyjątkiem: zaginionej policjantki.

– Wiem, że nie ma pan czasu, mimo to proszę mnie choć przez chwilę posłuchać. Postanowiłem zmienić

moją opinię o Charlie Rubin. Sam się dziwię, jak mogłem nie zauważyć tak wielkiego błędu. Uważam, że była w pełni poczytalna i zdolna do popełnienia większej liczby zabójstw. Z początku zinterpretowałem jej przyznanie się do winy jako coś, co wynikało z przemożnej chęci osłaniania kogoś.

– Kogo?

Cisza, jaka zapadła w słuchawce, dała Gehringowi okazję do znalezienia własnej odpowiedzi na to pytanie.

– Swojej siostry? – spytał.

– Wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że obie są zamieszane w śmierć Leyendeckera.

– Panie profesorze, bardzo mi się spieszy. Z tego co pamiętam, Cara Spornitz miała alibi na czas popełnienia tej zbrodni.

Pani Schwab zmarszczyła czoło i zaczęła coś sprawdzać w swoich notatkach.

– Właśnie sprawdzam, czy oprócz Leyendeckera istnieją też jakieś inne niewyjaśnione przypadki zaginięcia albo śmierci osób, które należały do bliskiego kręgu znajomych obu sióstr. Czy mógłby mi pan jeszcze dziś przesłać skróconą wersję swojej opinii?

W słuchawce zapadła cisza. Czyżby zbił profesora z tropu?

– Jest jeszcze coś – powiedział po chwili Brock.

– Co takiego?

– Mój współpracownik pojechał z tą Spornitz do Wendisch Bruch.

Gehring poczuł się nagle tak, jak gdyby trafił go piorun, który postawił w stan wibracji wszystkie jego końcówki nerwowe.

– Słucham? A co on tam, do diabła, robi?

– Myślę, że Spornitz po prostu ukrywa pewne wspomnienia, które Jeremy chciałby wyciągnąć na światło dzienne. I dlatego ją tam zabrał.

– Niech pan do niego natychmiast zadzwoni!

– Próbuję, ale bez skutku. Po prostu nie odbiera. To do niego niepodobne. Zaczynam się naprawdę niepokoić.

I słusznie, pomyślał Gehring, ale nie powiedział tego głośno. Powinni go byli poinformować. Psychologowie i te ich przypuszczenia, domysły, teorie i błędzenie jak we mgle... Jedyne, co tego Brocka usprawiedliwia, to troska o młodego współpracownika.

– Właśnie wyjeżdżam do Wendisch Bruch. Chcę się tam trochę rozejrzeć.

– Bardzo panu dziękuję i proszę mnie na bieżąco informować. Jestem przez cały czas do dyspozycji.

Gehring odłożył słuchawkę. Zebrał z biurka kartki, które dostał od Schwab, podszedł do niej i podał jej jej.

– Czy zna pani Rüttera?

– Prokuratora Rüttera? Tylko z nazwiska.

– Proszę to wziąć i iść z tym prosto do niego. Ale tylko do niego. Niech pani nie pozwoli się spławić. Oficer dyżurny poda pani jego numer. Proszę się powołać na mnie. Niech go pani ode mnie pozdrowi i przekona, że być może mamy do czynienia z największą serią zabójstw w historii naszego kraju, bez względu na to, jak absurdalnie to może zabrzmieć. Zależy mi na jego zaangażowaniu. Będą mi potrzebne posiłki z Poczdamu, jednostka specjalna i strzelcy wyborowi. Oprócz ludzi, którzy w Wendisch Bruch żyją na co dzień, są tam też pewna policjantka, psycholog i nieobliczalna psychopatka.

Pani Schwab zaczerpnęła powietrza. Jeśli choć słowem wspomni teraz o weekendzie...

– A jeśli prokurator mi nie uwierzy?

Gehring podszedł do biurka i wyjął z szuflady służbową broń. Na jej widok Schwab wydała z siebie cichy okrzyk przerażenia.

– Panie komisarzu, co pan zamierza? Co się stanie, jeśli prokurator naprawdę mi nie uwierzy i uzna wszystko za wytwór mojej chorej wyobraźni?

Gehring wsunął pistolet do kabury i sięgnął po marynarkę wiszącą na oparciu krzesła.

– W takiej sytuacji wrócę dziś wieczorem.

Był już przy drzwiach, gdy usłyszał słowa wypowiedziane przez Schwab:

– Sprawa tego alibi...

– Słucham?

– Spornitz odwołała swój udział w tamtym kongresie.

Gehring dotarł do granic miasta. Samochody wyjeżdżające ze stolicy utworzyły korek. Postanowił przejechać na czerwonym świetle. *Periculum in mora*. Ludzkie życie jest w niebezpieczeństwie.

Rozdział 38

Brock wstał z krzesła i wyszedł z gabinetu. Nie był w stanie dłużej wytrzymać takiej beczynności. Po rozmowie z komisarzem policji postanowił porozmawiać z Jasonem Saalerem. Czuł, że musi mu powiedzieć, w jakie kłopoty wpędził jego syna. Umówił się z nim w Charité, gdzie Saaler prowadził zajęcia ze swoją grupą.

Na widok wychodzącego z windy Saalera przełknął ślinę. Saaler trzymał się prosto i dumnie, prawie jak żołnierz. Brock wstał z fotela i ruszył w jego stronę z wyciągniętą do powitania ręką.

– Cóż to za pilna sprawa? – spytał Saaler.

Brock rozejrzył się uważnie.

– Wolałbym porozmawiać o tym w innym miejscu.

– W takim razie chodźmy do Włocha, jeszcze dziś nic nie jadłem.

Brock znał tę restaurację przy Linienstrasse. Stołowali się tam głównie doktoranci i lekarze. Większości studentów nie było na to stać.

– W porządku.

Przez kilka minut szli wąską ruchliwą ulicą biegnącą przez ogromny kompleks szpitalny. Rozmawiali o pogodzie, starając się ominąć przechodniów. Weszli do restauracji i zajęli stolik przy oknie. Było to możliwe, bo większość turystów, którzy zjawiali się tu w południe, już wyszła, a miłośnicy pobliskiego teatru mieli się zjawić dopiero wieczorem.

– No to wyrzuc wreszcie z siebie, co cię gryzie – powiedział Saaler i nalał Brockowi wody z karafki, którą przyniosła do stolika młoda uśmiechnięta kelnerka. – Domyślam się, że chodzi o Jeremy’ego – dodał, odstawiając ostrożnie karafkę na stół. – Przykro mi, bo to mój syn. Zdaję sobie sprawę, jakie to było dla ciebie obciążenie.

Brock przerwał mu niecierpliwym, prawie niegrzecznym ruchem ręki.

– Nie o to chodzi. Twój syn jest w porządku. Powiem więcej: jeśli któregoś dnia uda mu się wyjść z cienia, będzie świetny. A uda mu się, jeśli...

Brock nie wiedział, co powiedzieć i jak się przyznać do własnego błędu. Wziął widelec i zaczął kreślić na stoliku niewidoczne linie. Po chwili zdał sobie sprawę, że przypomina to scenę z filmu Hitchcocka *Urzeczona*, i odłożył go z powrotem na stolik. Saaler przyglądał mu się uważnie.

– Jeremy pojechał z tamtą kobietą na wieś. Straciłem z nim kontakt.

– Słucham? O czym ty mówisz?

Saaler w jednej chwili przestał się martwić o to, że jego syn może stracić pracę u Brocka. W miejsce tego pojawiła się złość, że nie można się z nim skontaktować.

– Mnie też się to nie podoba – kontynuował Brock. – Ona na pewno nie jest tylko zwykłą ekscentryczną kobietą, za którą Jeremy ją uważa. Moim zdaniem to także świetna aktorka.

– Oczywiście. Sam wiesz najlepiej, co o niej myślę.

– Naszym najważniejszym organem zmysłowym jest pamięć – powiedział Brock, podając Saalerowi koszyczek z ciabattą.

– Jasne – zgodził się z nim Saaler. Sięgnął po pieczywo, ale nie zjadł go, tylko przełamał na dwie

części.

– Mózg nieustannie fałszuje naszą pamięć. Upiększa różne rzeczy, bo się ich spodziewamy. To taka gra w trzy kubki. Ci, którzy ją uprawiają, są jak uliczni magicy. Wykonują ruchy, które mają nas zmylić, skierować naszą uwagę w inną stronę. Nasze oczy bezwiednie śledzą ich ruchy, a w tym samym czasie kulka gdzieś nagle znika.

Do stolika podeszła młoda kelnerka, żeby przyjąć zamówienia. Brock, który stracił apetyt, zdecydował się na carpaccio. Saaler zamówił *saltimbocca alla romana*. Ledwo kelnerka odeszła od stołu, Brock wrócił do przerwanej rozmowy:

– Podobne rzeczy dzieją się w stanie paramnezji. Chciałem koniecznie z tą kobietą porozmawiać. Nie wiedziałem, dlaczego nie daje mi to spokoju, do czasu aż w klubie tenisowym zobaczyłem tamtego czarodzieja.

– Czarodzieja? Proszę cię, mój czas jest zbyt cenny, żebym tego wysłuchiwał.

– Poczekaj chwilę. Ten czarodziej odwracał uwagę dzieci, żeby stworzyć wrażenie iluzji. Pokazuje nam to, co chcemy i co powinniśmy zobaczyć, i w ten sposób przechytrza nasz umysł. Obie siostry, Cara i Charlie, zrobiły dokładnie to samo.

– Posłużyły się czarodziejskimi sztuczkami?

– Nie. W ich przypadku mieliśmy raczej do czynienia z przedstawieniem teatralnym, z inscenizacją wścieklej kłótni między dwiema siostrami. Mam nagranie dźwiękowe z tej sceny, które na okrągło odsłuchuję. Padliśmy ofiarą efektu McGurka, tak zwanego słyszenia oczami. Daliśmy się wodzić za nos.

– Chcesz powiedzieć, że obie panie zastosowały w twoim gabinecie manewr mylący?

– Tak, chociaż niekoniecznie zdawały sobie z tego sprawę. Udowodniono – o czym wiesz równie dobrze jak ja – że nasz mózg odbiera przede wszystkim sygnały optyczne, a dopiero potem akustyczne. Emocje, zwłaszcza te silne, jeszcze bardziej wzmacniają ten efekt. Byliśmy zaangażowani emocjonalnie. Jeremy próbował je rozdzielić, a ich złość i rozpacz obu nas poruszyły. I właśnie dokładnie to utrwaliło się w naszych głowach: gwałtowny spór między siostrami, który ostatecznie doprowadził do samobójstwa. Zapamiętaliśmy jednak tylko spór. Gorzkie zarzuty, silne emocje. Słyszeliśmy też kłótnię. Nasz mózg dopasował to, co zostało powiedziane, do tego, co widzieliśmy i czego się spodziewaliśmy.

– A co takiego zostało nam powiedziane?

– Po wielokrotnym odsłuchaniu nagrań, gdy nadal nie potrafiłem oddzielić tego, co powiedziano, od uczuć, poprosiłem panią Katz, aby mi wszystko przepisała na maszynie, czarno na białym, opuszczając tak silne emocje, jak złość, wściekłość czy ból. Sama lektura tekstu też była poruszająca. I właśnie te fragmenty wykreśliłem. Zarzuty, oskarżenia, słowa rozpacz – wszystko to pominąłem. Tak długo ten tekst cyzelowałem, aż dotarłem do samego jądra, to znaczy do esencji tego, co łączy obie siostry.

– A co je łączy?

– Zbrodnia.

Saaler pokręcił głową.

– Zbrodnia – powtórzył Brock. Z aktówki, którą zawsze z sobą zabierał, wyjął jakiś papier. – Być może obie nawet nie wiedzą, o czym mówią. Ale ich podświadomości nie da się przechytrzyć. Przeczytam ci coś w taki sposób, jakby to był tekst sztuki teatralnej. Zgadzasz się?

Saaler skinął głową.

– W takim razie posłuchaj:

Charlie: Trzymaj się z daleka. Bohaterowie nie mają tu czego szukać. Rzadko się czułam bardziej normalnie niż teraz.

Cara: Zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Wszystko, rozumiesz?

Charlie: Wiesz, co mnie naprawdę rozczarowuje? Myślałam, że obie jesteśmy silniejsze. Niestety, zostałyśmy pokonane. Ja już nie mam sióstr.

Brock zrobił krótką przerwę. Widząc, że Saaler słucha go uważnie, kontynuował wątek:

– W tym momencie przechodzą z płaszczyzny treści na płaszczyznę stosunków, jakie między nimi panują. Na krótką chwilę otwierają okno, które dla obu jest widoczne. Charlie stoi po jednej, Cara po drugiej stronie.

Cara: Mam tak po prostu stać i się przyglądać?

Charlie: Jużem tak głęboko w krwi zagrzazł, że wstecz iść niepodobieństwo. Trzeba więc dalej brnąć.

– To *Makbet*, akt trzeci, scena czwarta. Znam Szekspira. Widać, że ta Charlie jest odczytana. To ta sama kobieta, która podrzuciła pekari swoją ofiarę? Ciekawe.

– Pomyliłem się. Myliłem się we wszystkim, co mówiłem. Uważam, że Charlotte Rubin zabiła więcej ludzi. Ale nie sama – ktoś jej w tym pomagał.

– Jej pokręcona siostrzyczka?

Brock przyglądał się kartce z tekstem. Czuł się jak archeolog na terenie wykopalisk. Usunął już całą górną warstwę i znalazł coś zdumiewającego: przyznanie się Rubin do winy i rolę, jaką odegrała Cara: o wszystkim wiedziała, a może nawet współuczestniczyła w zbrodni. Ale pod pierwszą warstwę znajdowała się kolejna. Brock zrozumiał to, gdy przeczytał Saalerowi swoje streszczenie. Ogarnął go niepokój.

– Obie siostry... – zaczął, lecz przerwał, zobaczywszy wyraz twarzy Saalera, który siedział jak skamieniały. Jego błyszczące oczy nagle się zwęziły i pociemniały.

– Brock, odpowiedz mi tylko na jedno pytanie: gdzie jest mój syn?

Rozdział 39

Beara nie wiedziała, czy spała, czy raczej jej ciało przeszło stopniowo w stan śpiączki, aby oszczędzić resztki sił. Nie była głodna, ale pragnienie było nie do wytrzymania. Na samą myśl o kilku kroplach wody ogarniało ją szaleństwo.

Stopniowo, centymetr po centymetrze, przeszukała niskie ciemne szambo. Czubki palców, kolana i plecy miała poobcierane, mięśnie napięte od nietypowej zgiętej pozycji, w której mogła się jedynie czołgać.

Była ślepa jak kret, dlatego coraz słabszy blask bijący od wskazówek zegarka wydawał jej się niezwykle cenny. Kiedy zgasną, całkowicie straci orientację. W więzieniu, do którego trafiła, mogła posługiwać się jedynie zmysłem dotyku i mózgiem, który nadal jakoś funkcjonował. W końcu się przemogła i zaczęła badać resztki kości, które z początku wzięła za gałęzie. Mostek. Dość mały. Kiedy wcześniej grzebała rękami w zalegającym wszędzie błocie, znalazła mniejsze kości. W końcu postanowiła przeanalizować tę sprawę gruntownie. Wszystkie ludzkie szczątki, które znalazła, zgromadziła w miejscu, które roboczo nazwała „prawym kątem”. Po pewnym czasie doszła do wniosku, że ma do czynienia ze szkieletem małego dziecka albo niemowlaka. W trakcie dalszych poszukiwań trafiła na mały, twardy i gładki przedmiot. Kiedy wyciągnęła go z błota i zbadała palcami, miała ochotę krzyknąć z radości. Zapalniczka!

Niestety, szybko się rozczarowała. Mechanizm był zardzewiały i nie można go było uruchomić. Próbowwała kilka razy, lecz bezskutecznie. W końcu wsunęła zapalniczkę za biustonosz, żeby jej nie zgubić. Wprawdzie nie miała z niej żadnego pożytku, ale znalezisko podniosło ją na duchu. Kolejną rzeczą, którą znalazła, był najprawdopodobniej strzęp materiału. Widocznie szambo służyło też za śmietnik. Zaczęła szukać dalej i natknęła się na gładki, twardy przedmiot. Laska? Kij od miotły? Musiała się naprawdę natrudzić, żeby wyciągnąć go z błota i w miarę możliwości oczyścić z osadu.

Bolały ją plecy, czuła się jak połamana. Wyprostowała nogi, położyła się na brzuchu, a potem odwróciła na bok. Nagle coś spadło jej na czoło. Kropla wody. Chciała się wyprostować i o mało nie uderzyła głową o sufit. Ostrożnie wyciągnęła rękę, aż dotknęła bali. Faktycznie, gdzieś tam zbierała się wilgoć. Na palcu poczuła drugą kroplę. Chciwie włożyła go do ust i oblizwała. Tym, czy to, co kapie do środka, nadaje się do picia, nie zaprzętała sobie na razie głowy. Ułożyła się tak, żeby krople wpadały jej prosto do ust, i leżała bez ruchu.

Niestety do następnego momentu, gdy z góry spadła kolejna kropla, upłynęła cała wieczność. Beara jednak miała na tyle dużo czasu, że mogła się zastanowić nad swoją sytuacją. Obok niej leżał „kij”. Wzięła go do ręki i przeciągnęła po nim dłonią na całej długości. Na samym końcu wyczuła zgrubienie, które przypominało uchwyt. Przypomniała sobie, że kiedyś widziała coś podobnego w Charité, w zbiorach przedstawiających historię kryminalistyki. Domyśliła się, że to kość udowa dorosłego człowieka, a „uchwyt” to nic innego jak łącznik biodra.

W usta wpadła jej kolejna kropla, a ona nadal leżała bez ruchu. Czuła, że zaczyna inaczej oddychać, że krew gotuje jej się w żyłach i powoli ogarnia ją panika; bała się, że w końcu jej ulegnie.

Tylko spokojnie, upominała się w myślach. Wydostaniesz się stąd. Zawsze wychodziłaś z takich

sytuacji, nawet gdy wydawało ci się, że to koniec. Przypomnij sobie tamtą piwnicę. To prawda, próbowałaś wyprzeć tamto zdarzenie z pamięci i zapomnieć. Ale teraz musisz je sobie przypomnieć. Poczuj strach. Wejź w jądro ciemności. Podobno z samego dna można iść już tylko w górę...

Wtedy w piwnicy czuła na gardle ostrze noża, a na twarzy ostry oddech tamtego mężczyzny. Słyszała uderzenia butów o bruk, nawoływania, krzyki, strzały. Widziała cienie migające za oknem, z oddali dobiegał grzechot karabinów maszynowych. Dłoń mężczyzny drżała, nóż był ostry. Naciął jej skórę na szyi.

– Proszę! – szeptała. – Nie rób tego.

– Cicho! – odparł mężczyzna, a ona poczuła, że już nie trzyma jej za włosy tak mocno jak przed chwilą.

– Ani słowa, zrozumiałaś?

Próbowała skinać głową, ale z trudem jej to przyszło. Ucisk ostrza na szyi zelżał.

– Ile masz lat?

– Siedem.

– Moja córka ma pięć lat. Znasz ją. Razem się bawiliście. Ma na imię Maria. Pamiętasz?

– Tak – szepnęła.

– Puszczę cię, kiedy oni stąd pójda.

Łomot kroków. Ostre krzyki. Ktoś wyważył drzwi. Oślepiło ją światło, prawdziwa eksplozja barw. Potem jego dłoń ześlizgnęła się po jej włosach, spadła na ramię, zsunęła się stamtąd i w ostatnim delikatnym dotyku musnęła jej rękę.

Nigdy więcej nie bawiła się z Marią. Już jej nie ma. Zaginęła jak wiele innych osób, jej matka zresztą też. Wtedy jej się wydawało, że tamten mężczyzna naprawdę obiecał jej wolność i życie i że dotrzyma słowa. Dzisiaj wie, że gdyby sytuacja rozwinęła się inaczej, nie dotrzymałby.

Czego nas to uczy? Że na zadane pytanie odpowiedzi udziela czasem ktoś trzeci. Że panika jest naturalną reakcją, pojawia się pod wpływem stresu, który powinien nas zmobilizować i skłonić do ucieczki. Ale stąd nie da się uciec. To grób. Jak zagospodarować resztę sił? I kiedy zjawi się ten trzeci?

Na usta spadła jej kolejna kropla. Zlizła ją i zauważyła, że znowu oddycha spokojniej. Kolejny raz jednak nie uda jej się zapanować nad paniką. Zacznie krzyczeć, rozbije sobie głowę do krwi, będzie zjadać błoto albo oszaleje. A może powinna się czymś zająć? Na przykład zacznie sobie wrywać pojedynczo włosy z głowy. Albo spróbuje ustalić, co się tak naprawdę wydarzyło w tym ciemnym, smrodliwym więzieniu pełnym zatęchłego brudu. Można tu znaleźć wszystko. Kości zdradzą jej prawdę, musi je tylko znaleźć i zebrać w jednym miejscu.

Ponownie przewróciła się na brzuch i poczołgała w prawy róg, żeby położyć tam kość udową. Dziecko i osoba dorosła – to już dwie ofiary. Przypomniała sobie, że w innym rogu pomieszczenia leży następny szkielet. Doszła do wniosku, że porzucono tu zwłoki kolejnego dziecka, chyba noworodka. Są takie matki, które grzebią swoje dzieci w skrzynkach na kwiaty stojących na balkonie albo wkładają małe ciała do zamrażarek. Zrozumiała, że jest na tropie strasznej tajemnicy skrywanej przez mieszkańców Wendisch Bruch. Być może to ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. Całkiem możliwe, że przy tym oszaleje. Ale kiedyś, gdy znajdą w tym błocie jej skurczone zwłoki, nikt nie powie, że posterunkowa Sanela Beara zaniedbała swoje obowiązki. Wygląda na to, że niewiele pozostało jej z życia, które los dał jej wtedy w tamtej piwnicy. To nie był nawet depozyt, tylko najwyżej wydłużenie terminu spłaty.

Rozdział 40

Gehring dotarł do Wendisch Bruch już po czterdziestu pięciu minutach jazdy. Policja w Jüterbogu poinformowała go przez telefon, że nie udało się odnaleźć samochodu Beary i że czeka na dalsze instrukcje.

Zatrzymał auto na jedynym godnym uwagi skrzyżowaniu. Pomyślał, że nie jest to miejsce, w którym chciałby zamieszkać. Zaczął się zastanawiać, w którym domu mogła przebywać Beara tuż przed ostatnią, tak gwałtownie przerwana rozmową telefoniczną. Doszedł do wniosku, że być może poszła do dużego budynku ze słabo widocznymi literami „Pod Lipą” na frontowej ścianie. Dawny zajazd. Odczytał niewyraźny napis. Wysokie drzewa rzucały cień. Klony? To dlaczego zajazd nazywa się „Pod Lipą”?

Za domem zauważył linki z wywieszonym na nich praniem. To znaczy, że dom jest zamieszkały. Podjechał dwa metry dalej i na bocznej ścianie budynku ujrzał na wprost otwarte drzwi. Pomyślał, że to właśnie tam znajduje się główne wejście. Wyglądało tak, jak gdyby od kilkadziesiąt lat nikt przez nie nie wchodził. Obok dużego domu stały inne zabudowania: szopy na narzędzia i chyba jakiś garaż. Gehring wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi i chciał zadzwonić, ale nie znalazł nigdzie dzwonka.

– Jest tu kto?! – zawołał i zapukał ostrożnie do drzwi, które otworzyły się lekko, wydając przy tym dziwny dźwięk przypominający ziewanie. – Jest tu kto?! – powtórzył.

Miał przed sobą ciemną sień. Z pomieszczenia po lewej stronie dobiegły go odgłosy skrzypienia.

– Policja! Jest tu kto?! Wchodzę do budynku!

Gehring wszedł do sieni, położył dłoń na broni i wyjrzał ostrożnie za róg. Przy stole siedziała kobieta. Była stara, spocona i gruba. Wyobraził sobie, że któregoś dnia tak właśnie będzie wyglądać pani Schwab, jeśli o siebie nie zadba. Opuścił rękę.

– Komisarz policji Lutz Gehring, Wydział Zabójstw.

Jeśli się spodziewał, że na dźwięk tych słów kobieta straci pewność siebie – tak jak wiele innych osób przed nią – to musiał się rozczarować. Uniosła głowę i spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem.

– Zrozumiała pani? Wydział Zabójstw. Policja. Berlin. Czy mogę wejść?

– A po co pan w ogóle pyta?

Kobieta przyglądała mu się spokojnym wzrokiem. Głos też miała spokojny. Gehring wszedł do prostej, wiejskiej, skromnie urządzonej kuchni. Była na tyle wysprzątana, aby nie można było powiedzieć, że panuje w niej bałagan.

– Szukam policjantki. Nazywa się Sanela Beara. Czy była u pani?

– Może pan powtórzyć nazwisko?

– Beara.

– Nie znam. Przykro mi. Na pewno bym zapamiętała. Nie przyjeżdża tu do nas zbyt wielu ludzi. Od dawna już nie.

– Kim pani jest?

– A muszę odpowiadać? Niech mi pan pokaże swoją legitymację służbową.

Gehring podał jej dokument. Kobieta studiowała go z takim samym zainteresowaniem, z jakim robią to analfabeci, którzy nie odróżniają jednej litery od drugiej. W końcu mu go oddała.

– Walburga Wahl.

Gehring odsunął krzesło od stołu i usiadł na nim.

– Gdzie jest pani mąż?

– Wyszedł po papierosy.

Gehring wyprostował się i nabrał głęboko powietrza. Skoro ta kobieta chce z nim pogrywać, to proszę bardzo...

– Jak dawno temu?

– Nie patrzyłam na zegarek. Coś zbroił?

– Chciałbym z nim porozmawiać.

– Powiem mu o tym.

Gehring pochylił się w jej stronę.

– Proszę pani, nie przyjechałem z Berlina do tej miłej wioski po to, żeby mi pani opowiadała bajki.

Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa.

– Chodzi o Rubin? Teraz to pan opowiada bajki. Charlie popełniła samobójstwo. Sprawa jest zakończona.

– Nie dla mnie i nie dla policjantki Beary. Dla wielu innych ludzi z tej wioski ta sprawa też nie jest bez znaczenia. Zapytam więc jeszcze raz: gdzie jest pani mąż?

Kobieta skrzyżowała nagie ręce przed swoim rozłożystym biustem.

– Ja nie pilnuję mojego męża. Niech go pan sam poszuka.

– Okej – odparł Gehring, wstając z krzesła. – Na pewno to zrobię.

Wściekły wypadł z domu. Próbował dodzwonić się do Schwab, ale miała wyłączoną komórkę. Nie odbierała też telefonu stacjonarnego. Wysłał jej więc esemesa o treści: „Sprawdzić dane Ericha i Walburgi Wahlów”. Zatrzymał się przed samochodem i jeszcze raz się za siebie obejrzał. Wydawało mu się, że ktoś go obserwuje, prawie czuł czyjś wzrok na karku. Jeszcze raz uważnie przyjrzał się domowi, fasadzie, ogrodowi i lince z praniem. I nagle ujrzał coś, co od razu przykuło jego uwagę: T-shirt z napisem „Forty Licks”.

Rozdział 41

Brock zadzwonił do pani Katz i kazał jej przyjść do biura. Do gabinetu wszedł w chwili, gdy chciała już wracać do domu. Katz mieszkała za rogiem, ale i tak miał wyrzuty sumienia, że każe jej przychodzić do pracy w weekend i na dodatek na siebie czekać. Ale Katz w ogóle nie zwracała uwagi na jego przeprosiny.

– Co się stało, panie profesorze?

Postawiła torebkę na stoliku i zdjęła z szyi aksamitny szal.

– Gdzie jest protokół, który spisała pani z dyktafonu?

– W komputerze.

– Jest mi potrzebny, cały. Czy byłaby pani tak miła i zechciała go wydrukować?

– Ależ oczywiście. Potrwa to nie dłużej niż minutę.

Brock wszedł do gabinetu. Chwilę później Katz przyniosła mu wydrukowany egzemplarz protokołu i mocną herbatę darjeeling.

– Czy ma pani jeszcze chwilę? – spytał, gdy Katz odstawiła tacę i mógł wziąć z niej swoją herbatę.

– Tak.

– Czy może pani teraz usiąść i nie przeszkadzać mi przez jakiś czas?

– Tak, oczywiście.

Katz przyniosła z poczekalni kolorowy magazyn, usiadła na fotelu obok okna i zaczęła czytać. Mniej więcej po kwadransie Brock wydał z siebie okrzyk zdumienia. Katz uniosła na chwilę głowę, ale domyśliła się, że trochę to jeszcze potrwa, i ponownie zagłębiła się w lekturze.

– Siostry – powiedział po chwili Brock.

Katz opuściła gazetę.

– Ja już nie mam sióstr – dodał Brock.

Pani Katz się nie odzywała. Wiedziała, że każdy jej komentarz może zakłócić tok myślenia profesora. W końcu Brock wstał, obszedł biurko i oparł się o przedni kant.

– Co to znaczy?

Katz zamknęła gazetę.

– Ja już nie mam sióstr? – spytała.

Brock skinął głową.

– Że kiedyś je miałam?

– Cara i Charlie – powiedział Brock. Odchylił się lekko, żeby z koszyczka na dokumenty wziąć akta sprawy. Otworzył je i wskazał palcem na jedną ze stron. – Dwie dziewczyny. Jeśli jedna siostra wypiera się drugiej, to co powinna w tym przypadku stwierdzić?

– Ja już nie mam siostry?

– No właśnie. Liczba pojedyncza, nie mnoga.

– Kto to powiedział?

– Charlotte Rubin do Cary Spornitz. Siostry. Liczba mnoga. Co to może znaczyć?

– Może miały jeszcze jakieś inne rodzeństwo?

– W aktach nie ma na ten temat ani słowa. Cara i Charlie były jedynymi dziećmi Margot Rubin.

– Czy ktoś zwrócił się o wyciąg do urzędu stanu cywilnego?

Brock dalej przerzucał kartki.

– Zakładam, że tak. Sugeruje pani, że Margot Rubin mogła oddać dzieci do adopcji?

– A może to Charlie i Cara były adoptowane?

– Nie – mruknął Brock. – Gdyby tak było, znaleźlibyśmy odpowiedni wyciąg aktu urodzenia. Obie były na pewno jej jedynymi dziećmi.

– No to już nie wiem. Rodzeństwo nie znika tak po prostu, prawda?

Brock zamknął segregator i długo jej się przyglądał.

– W zasadzie nie.

– A nie uważa pan, że powinna się tym zająć policja? Jeśli obie te kobiety miały więcej krewnych – braci, siostry, którzy już nie żyją... to ich ma pan na myśli?

– A może mamy do czynienia z aborcją?

– Nie. Przecież nie znałyby płci. Może zostały porzucone? Takie rzeczy zawsze się zdarzały. Rodzice i matki, od których zbyt wiele wymagano, które wypierały ze świadomości, że są w ciąży. Mogę to sobie łatwo wyobrazić. Tyle że większość matek ukrywa to przed swoimi dziećmi.

– Oczywiście. Większość.

Brock puścił w końcu panią Katz do domu i ponownie próbował dodzwonić się do Gehringa. W odpowiedzi usłyszał, że komisarz jest poza biurem, ale można zostawić mu wiadomość.

– Podrzutki – powiedział Brock do policjanta.

Funkcjonariusz nie bardzo wiedział, jak to rozumieć.

– Tylko tyle?

– Pan komisarz powinien sprawdzić, czy na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych policja nie odnotowała przypadków porzucenia dzieci w okolicy miejscowości Wendisch Bruch. Chodzi o noworodki. Na pewno takie przypadki są odnotowane w jakiejś bazie.

– Na pewno. Czy może mi pan podać bliższe informacje na temat tej sprawy?

Brock podrapał się w głowę.

– Niestety nie. A właściwie tak, ale tylko jedną. Niech pan dopisze jeszcze jedno zdanie: „Ja już nie mam żadnych sióstr”.

– Bardzo mi przykro. Czy chciałby pan zgłosić zaginięcie osoby?

– Nie. Proszę tylko napisać, że Charlotte Rubin powiedziała: „Ja już nie mam żadnych sióstr”. To wystarczy.

Po tych słowach Brock odłożył słuchawkę. Czy aby na pewno to wystarczy? Czy Gehring go zrozumie? Jeśli brać słowa Rubin poważnie – a on traktował je bardzo poważnie, aż do bólu – oznaczałoby to, że w ich rodzinie urodziło się więcej dzieci niż tylko te, które zostały zarejestrowane w urzędzie stanu cywilnego.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Zły, że ktoś mu przeszkadza, krzyknął:

– Kto tam?!

W progu stanęła pani Katz z torebką w ręce i porządnie zawiązanym szalem.

– Przepraszam, panie profesorze, ale jest coś, co nie daje mi spokoju – zaczęła, wchodząc niepewnie do gabinetu. – To rodzeństwo... Automatycznie przychodzi panu na myśl matka obu pań?

– Tak – odparł Brock roztargnionym tonem.

– A co z ojcem? Przecież są takie dzieci, które nie są rejestrowane pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Dzieje się tak w przypadku, gdy zostały komuś podzucone, jak kukułcze jaja. Mam na myśli

dzieci nieślubne.

– To całkiem możliwe. Dziękuję pani. Przekażę tę sugestię komisarzowi.

– Albo dzieci przybrane, które ktoś wniósł do związku małżeńskiego. Nowe dzieci w nowej rodzinie.

Tak jak w rodzinach patchworkowych...

Sekretarka skinęła mu na pożegnanie głową i wyszła. Brocka ogarnęła rozpacz. Już mu się wydawało, że rozwiązanie zagadki jest w zasięgu ręki i że go tylko nie dostrzega, a tutaj sugestie pani Katz bardziej mu zamieszały w głowie, niż pomogły. Zagłębił się ponownie w lekturze protokołu. Brakowało mu kogoś takiego jak Saaler, kto swoimi celnymi sarkastycznymi uwagami zmusiłby go do bardziej precyzyjnego formułowania myśli, żeby były jasne i wygładzone. Wziął jeden z nowych ołówków, które kupiła mu pani Katz, ale gdy sobie przypomniał o Charlotte Rubin, odłożył go z powrotem na biurko.

Zostaw go w spokoju. On tylko spełnia swój obowiązek. Przecież musi to robić. Niech dalej robi swoje. Mam tak po prostu stać i się przyglądać? Przecież to nigdy nie zależało od nas. Zawsze robili z nami to, co chcieli.

Brock przypomniał sobie tamtą scenę. Dwaj konwojenci próbowali rozdzielić siostry. Charlotte Rubin odkleił się plaster z opatrunkiem, zaczęła krwawić, atmosfera zrobiła się napięta. A my widzieliśmy tylko kłótnię i policjanta, pomyślał. Wydawało nam się, że obie siostry mówiły o nim, podczas gdy miały na myśli kogoś zupełnie innego.

Zostaw go w spokoju. Niech dalej robi swoje.

O kim, na miłość boską, mówiła Rubin? Brock zauważył, że zaczyna gubić trop. Czuł się winny, bo nie mógł się posunąć ani o krok dalej. Próbował dodzwonić się do Jeremy'ego, ale w słuchawce znowu usłyszał tylko sygnał. Po chwili włączyła się automatyczna sekretarka.

– Niech pan oddzwoni, to pilne – powiedział. – I niech pan natychmiast opuści Wendisch Bruch.

Rozdział 42

Gehring wypił łyk syropu z kwiatu bzu wymieszanego z wodą. Na kuchennym stole leżał T-shirt należący do Beary. Walburga siedziała na krześle jak przygwożdżona i pewnie tak się czuła. Wszystko się na niej kleiło – koszula, dłonie, podeszwy butów do podłogi. Przez cały czas plątała się w kłamstwach.

– Nie wiem, gdzie ona jest.

– Zaraz będzie tu policja z Jüterbogu. Przewrócą pani dom do góry nogami, jeśli to będzie konieczne.

Pytam ponownie: gdzie ona jest?

W końcu Walburga zgodziła się pokazać, gdzie jest samochód zaginionej policjantki. Okazało się, że stoi w szopie oddzielającej ogród od stojącego po sąsiedzku zrujnowanego budynku. Ale za każdym razem gdy Gehring pytał ją o koszulkę, odpowiedź brzmiała podobnie: „Nie wiem”. Torba Beary z żeglarskiego płótna z paskiem na ramię nadal leżała na przednim siedzeniu wozu. Gehring wyrzucił jej zawartość na szafkę obok zlewozmywaka. Okazało się, że Beara nie zabrała ani telefonu komórkowego, ani służbowej broni. Wszystko wskazywało więc na to, że do jej zaginięcia doszło nagle i nie było ono z góry zaplanowane.

– Ona gdzieś poszła i już nie wróciła – powiedziała Walburga.

Gehring podsunął jej pod nos służbową legitymację Beary z policyjnym logo i zdjęciem.

– Poszła bez swojej legitymacji służbowej?

– Kiedy ja wychodzę do ogrodu, też nie zabieram z sobą dokumentów.

– Ale w ogrodzie jej przecież nie ma! – wrzasnął Gehring.

Czas kończyć z żartami. Za każdym razem kiedy podejrzani zaczęli kłamać albo kręcić, traktował to jako osobistą obrazę, afront mogący świadczyć o tym, że ktoś go nie docenia. Chciałby mieć równego sobie przeciwnika, którego mógłby zmiażdżyć siłą prawdy, żeby później ogłosić się zwycięzcą. Przecież o to w końcu chodzi – o zwycięstwo. Jedni wierzą w dobro, inni w zwycięstwo. Dobro nigdy nie zwycięża. Jest częścią tego świata, tak jak zło. Patrzył przez okno na wyschniętą trawę i zeszłoroczne suche liście leżące pod drzewami. Świat jest jak ogród, a przecież każdy dobry ogrodnik wie, że walka z chwastami nigdy się nie kończy. Oderwał wzrok od prania wiszącego na linie i ponownie zwrócił się do Walburgi:

– Sanela Beara zaginęła trzydzieści sześć godzin temu.

– Na pewno się odnajdzie – odparła Walburga i popatrzyła na dłonie, którymi niespokojnie skubała papierowy ręcznik.

– Tak jak pani mąż?

Walburga uniosła głowę.

– A co to ma wspólnego z nim?

Gehring ciągle czekał na telefon od pani Schwab. To, że się nie zgłaszała, źle wróżyło. Prokurator kazał jej pewnie najpierw czekać dwie godziny, aż wróci z golfa, potem zażądał, aby ze szczegółami opowiedziała mu o mało prawdopodobnej serii zabójstw, i na końcu odesłał ją do domu. No tak, ale mogłaby chociaż do niego zadzwonić. Był całkiem sam we wsi, w której zaginęła policjantka i doszło do serii niewyjaśnionych zdarzeń. Denerwował go lep na muchy zwisający z sufitu. Do ich zwalczania wolał

używać złożonej wpół gazety.

– Pani mąż odszedł jeszcze wtedy, gdy paczka papierosów kosztowała dwie marki – wyjaśnił. –

Właśnie tego dowiedziałem się od policjantki Beary. Opowiadała mi też o innych rzeczach.

– O jakich?

– Chętnie bym się tego od pani dowiedział. Współpraca z policją może pani pomóc przed sądem.

Walburga zaczęła gwałtownie oddychać. Jej wielki biust intensywnie falował.

– Nie zrobiłam nic złego. Przeciwnie, przygotowałam jej nawet łóżko do spania. Razem gotowałyśmy i razem jadłyśmy. To bardzo sympatyczna kobieta.

Tylko mi tu nie kłam, pomyślał Gehring. Słowo „sympatyczna” byłoby ostatnim przymiotnikiem w odniesieniu do kogoś takiego jak Sanela Beara.

– Co było potem?

– Niech pan spyta Esther. Z nią też rozmawiała, w kuchni.

– Kim jest Esther?

– Najstarsza kobieta we wsi. Mieszka po drugiej stronie ulicy.

– Czy ona też nie ma męża?

– Mój Boże! – zawołała Walburga i zrobiła taki ruch ręką, jak gdyby chciała z całej siły walnąć w stół, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. – Czy ja mam się teraz tłumaczyć z tego, w jaki sposób żyje Esther?

– Nie, pod warunkiem że jej życie nie odbywa się kosztem innych.

W tym momencie przyszedł esemes. Gehring zerwał się z krzesła i wyszedł do sieni, żeby odczytać wiadomość. Od Schwab:

Rütter chce dowodów. Info o rodzinie Wahl: Walburga, żona Ericha od 1975. Jeden syn, Marten, ur. 1977. Telefon od prof. Brocka. Temat: Ja już nie mam sióstr. Prosi o pilny telefon.

Gehring zamknął klapkę telefonu. Postanowił, że na razie nie będzie rozmawiał z Brockiem. Ważny był Marten Wahl. Jego nazwiska nie ma ani na liście osób zaginionych, ani tych, które wyprowadziły się ze wsi. Wrócił do kuchni. Walburga popatrzyła na niego małymi oczkami z taką nadzieją, że prawie wzbudziła w nim litość.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie jest pani syn.

Rozdział 43

Jeremy?

Szept cichy jak szelest bibułki.

– Słyszysz mnie?

Jeremy nie rozumiał, co Spornitz do niego mówi. Czuł tylko chłód na czole. Leżał na kamiennej podłodze niezdolny do ruchu. Nie był nawet w stanie otworzyć oczu. Pierwszym zmysłem, który zaczął u niego funkcjonować, był dotyk. Chłód, ciemność. To już noc? Potem wrócił mu zmysł węchu. Poczł smażoną słoninę. W końcu zaczął też słyszeć.

– Jeśli mnie słyszysz, daj znak. Proszę, zrób to!

Ale on nie był w stanie się poruszyć. Usłyszał tylko, jak ktoś się nad nim pochyła, i poczuł na twarzy ciepły oddech.

– Wstawaj!

Cara. Świadomość, że to ona, przeszła go jak strzała. Poczł przyspieszone bicie serca.

– Niech to szlag trafi!

Jej słowa znowu dobiegły go z pewnej odległości. Chciał powiedzieć w myślach: „Tylko nie odchodź”, ale zdołał wypowiedzieć tylko pierwsze słowo. Pozostałe czuł zmysłami: zostań... stój... nie opuszczaj... co się... co się stało?

– On chyba wraca! – powiedziała Cara.

Jeremy usłyszał dźwięk przypominający przesuwanie krzesła i pocieranie pilnika o materiał.

– Nie mogę pozbyć się więzów!

Jeremy jęknął. Język ciążył mu w ustach jak jakiś gruby, pokryty gęstymi włoskami spuchnięty robak.

– Wylałabym ci na twarz wiadro wody – syknęła Cara – ale mam związane ręce. Wytrzymaj!

Jeremy próbował się zmusić, żeby zebrać resztę sił. Niestety, ledwo zdołał zamrugać. Stracił czucie w rękach, były jak martwe.

– On wyszedł. Nie wiem dokąd. Ale myślę, że zaraz wróci. Rozumiesz, co mówię?

– Tak – jęknął Jeremy. Dwa zęby mu się chwiały, pluł krwią. – Co się stało?

– Znokautował cię. Potem nas związał i zostawił.

Jeremy odwrócił się z trudem na bok. Głowę nadal miał na podłodze. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, było przewrócone krzesło. Uniósł wzrok wyżej. Cara czyniła rozpaczliwe próby, aby rozerwać więzy o oparcie krzesła. Ręce miała unieruchomione stalowym drutem za plecami.

– Kim jest ten facet? – spytał Jeremy.

– Bawiliśmy się razem jako dzieci. Był zakochany w Charlie, miał fioła na jej punkcie. Nazywa się Marten Wahl i jest synem Walburgi. Widocznie miał jakiś wypadek, bo kuleje. Zmienił się nie do poznania. Odkąd wyszedł, próbuję przeciąć więzy o połamaną nogę krzesła. Niestety, nic z tego nie wychodzi. Tak się po prostu nie da!

Jeremy usłyszał w jej głosie prawdziwą rozpacz.

– Tak mi przykro, Jeremy. Naprawdę.

Spornitz połknęła łzy. W tym samym momencie ktoś otworzył drzwi wejściowe. Jeremy rozpoznał

charakterystyczne skrzywienie.

– Nie wiem, czy to przetrzymam – powiedziała Spornitz. – Jeśli nie... Twój profesor miał rację we wszystkim. Obiecuję, że jak będzie po wszystkim, na pewno do niego pójde. Najważniejsze jednak jest to, żeby się stąd wydostać. To Marten zabił Brunona. Nie wiem, co jeszcze zrobił, bo inaczej by nas tu nie trzymał. To on! Cholera!

W sieni rozległy się ciężkie nierówne kroki.

Jeremy nadal leżał na podłodze, bo nie udało mu się wyprostować. A ponieważ potwornie bolała go tylna część głowy, domyślił się, że po ciosie zadany mu pięścią w twarz uderzył się o ścianę i upadł na podłogę. W tym momencie otworzyły się drzwi i ujrzał przed sobą nogi mężczyzny.

– Na pomoc! – krzyknęła Spornitz zmienionym głosem. – Na pomoc!

– Nikt was tu nie usłyszy – oświadczył Marten. – Już ci mówiłem, że masz siedzieć i czekać na mnie.

Z trudem podniósł ją z krzesłem i postawił je na podłodze.

– Gównu mnie obchodzi, co mówiłeś! – fuknęła Spornitz.

Jeremy doszedł do wniosku, że to niezbyt mądre zachowanie w jej sytuacji.

– Wypuść mnie! Zabierz ode mnie te swoje łapy!

Marten nie zwracał uwagi na jej krzyki. Podeszedł do Jeremy'ego i sprawdził mu więzy. Dwa górne guziki miał rozpięte, przez co Jeremy dostrzegł na jego szyi srebrny łańcuch. Zanim jednak zdążył mu się dokładniej przyjrzeć, Marten wyprostował się zadowolony z tego, co zobaczył.

– To boli! Rozwiąż mnie!

– Sama jesteś sobie winna. Nie trzeba było tu przyjeżdżać.

– Nie mów mi, co mam robić! Czy tobie już kompletnie odbiło?

Jeremy usłyszał dwa szybkie kroki i zduszony jęk. Domyślił się, że Marten zadał jej ból albo ścisnął ją za gardło.

– Puść ją! – zawołał, chociaż sam nie wiedział, jak mu się to udało.

Zebrał się w sobie i w końcu zdołał się wyprostować. Marten rzeczywiście trzymał Spornitz za szyję. Odwrócił się zdumiony w jego stronę.

– Nie wtrącaj się, bo jeszcze raz ci przyłożę – zagroził.

– Czego pan od nas chce?

Marten przyciągnął do siebie krzesło. Dźwięk szurania metalu po kamiennej posadzce wwiercił się w głowę Jeremy'ego jak wiertło.

– Jestem przyjacielem Charlie. Jestem nim nawet po jej śmierci.

Spornitz prychnęła pogardliwie.

– Przyjacielem Charlie? Możesz dalej marzyć. Wiedziabym o tym.

Marten zeszywniał. Wyglądało to tak, jak gdyby znowu zamierzał chwycić Spornitz za gardło.

– Ty nic nie wiesz – rzucił w odpowiedzi. – Nie masz zielonego pojęcia o tym, jaka była twoja siostra. Nigdy cię nie interesowało, co się z nią dzieje. Jesteś egoistyczną dziwką i zawsze myślałaś tylko o sobie.

– O czym ty znowu majaczysz?

Marten pochylił się nad nią i chwycił dłonią jej twarz w żelazny uścisk.

– Nie mów tak do mnie – powiedział łagodniejszym głosem, w którym jednak nadal przebijały groźne tony. – Jeśli jest ktoś, kto wie, przez co Charlie musiała przejść, to tylko ja. Ty dostawałaś wyłącznie od czasu do czasu w twarz albo kazali ci pozmywać brudne naczynia. Charlie trzymała cię z dala od wszystkiego. Od wszystkiego.

– Czyli od czego?

– Nie jesteś za grosz lepsza od innych ludzi z Wendisch Bruch. Nic nie widziałaś, nic nie słyszałaś,

myślałaś tylko o sobie. Tak to właśnie tutaj funkcjonuje.

– Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz!

– Naprawdę?!!! – wrzasnął Marten.

Widać było, że kipi ze złości. Jeremy aż się wzdrygnął na dźwięk jego głosu. Za to na Spornitz nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Nie mogę tego dłużej słuchać. „Nie wiedziałam!”, „Nikt mi o tym nie mówił!”. Ale prawda jest inna. Kto ma oczy, ten widzi. Kto ma uszy, ten słyszy. Kto ma serce, ten czuje.

– Ja mam serce, ale nie pokazuję go każdemu łachmycie! – odparła Spornitz.

Marten uderzył ją w policzek, jak gdyby tylko czekał na tę okazję. Głowa Cary odskoczyła, kobieta jęknęła, ale stłumiła okrzyk bólu.

– Dziękuję – powiedziała cicho. – Dziękuję, że mi przypomniałeś, jakiego języka się tu używa.

Marten pocierał dłoń, którą ją uderzył. Nie miał zbyt pewnej miny. Najchętniej by ją przeprosił, ale wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Odgrywał przecież rolę mściciela, a ktoś taki przed nikim się nie usprawiedliwia. Jeremy nie wiedział tylko, za co Marten się mści i jaką rolę wyznaczył jemu i Carze.

– Skończ wreszcie z tym żalonym przedstawieniem – powiedział ze złością Marten. – Swoimi sztuczkami możesz mieć takich palantów jak on, ale nie mnie.

– Nie ujdzie to panu na sucho – odparł Jeremy.

Marten odwrócił się gwałtownie w jego stronę. Jeremy dobrze wiedział, jak wielką przewagę ma nad nim. Ale zależało mu tylko na jednym: żeby nie zachowywał się tak agresywnie wobec Cary.

– Niby co mi nie ujdzie? – spytał Marten niebezpiecznie spokojnym tonem. – Charlie nie żyje. Winni jej śmierci są nie tylko ci, którzy się do niej przyczynili, ale także ci, którzy udawali, że nie widzą, co się rozgrywa na ich oczach. Spornitz była jedną z nich.

– Cara przyjechała tutaj, żeby odświeżyć wspomnienia.

– Naprawdę?

– Jeśli ma pan nam coś do powiedzenia, proszę to zrobić – powiedział Jeremy. Mimo związanych rąk udało mu się usiąść w wyprostowanej pozycji. – Niech pan pomoże jej, a przy okazji sobie. Widzę, że jest pan na granicy wytrzymałości. Jeśli rozum panu podpowiada, żeby więzić i straszyć dwoje ludzi, to zbyt daleko pan w swej mądrości nie zaszedł.

– Jeśli rozum mi podpowiada... – powtórzył Marten, odwracając się z uznaniem do Spornitz. – Widzę, że przywiozłaś z sobą naukowca, któremu się wydaje, że tu chodzi o straszenie. Jak gdyby kiedyś chodziło tylko o to.

Marten wstał z krzesła i podszedł do Jeremy'ego, który się ucieszył, że w końcu udało mu się ściągnąć na siebie całą jego uwagę. Spornitz nadal mocowała się z więzami.

– Tutaj chodzi o czyny – odparł Marten, wbijając czubek buta w jego bok. – O konkretne fakty. Ja nigdy nikogo nie straszylem, bo daleko bym na tym nie zaszedł. Wiesz, co ci powiem? – Kucnął przy Jeremym, który na jego zeszpeconej twarzy z krzywym nosem dostrzegł bliznę. Ciągnęła się przez cały prawy policzek aż do ust. – Chciałem, żeby wiedzieli, że przyszła na nich ostatnia chwila. Leyendecker – facet z ogrodu zoologicznego – też o tym wiedział. Zwierzaki pożarły go żywcem. Pewnie was ciekawi, kto to wymyślił. Pewnie jakiś zбочony umysł. Może Charlie? Albo jej słodka siostrunia? Albo ja? A może wszyscy ci, którzy teraz gniją razem w ziemi?

– Tobie się chyba w głowie pomieszało! – krzyknęła Spornitz.

Marten odwrócił się do niej błyskawicznym ruchem, ale zrobił to o ułamek sekundy za późno. Spornitz chwilę wcześniej przestała szarpać więzy, dzięki czemu niczego nie zauważył.

– Jeszcze do ciebie wrócę – powiedział, po czym ku zdumieniu Jeremy'ego chwycił go za ramię i podniósł z podłogi.

Marten był od niego o pół głowy wyższy. Dłonie miał pokryte egzemą, chwyt mocny, ale nie bolesny. Nie zamierzał sprawić mu bólu – jeszcze nie. Chciał po prostu usunąć jak najszybciej to, co stało mu na drodze.

– Naprawdę chcesz się o wszystkim dowiedzieć? – spytał.

– Tak – wysapał Jeremy w żelaznym uścisku.

– Z powodu tej małej zdiury?

Spornitz przestała się na chwilę mocować z więzami. Spojrzała przerażonym wzrokiem na Jeremy'ego, jakby jego odpowiedź oznaczała dla niej wyrok.

– Z powodu pana i wszystkich innych, przed którymi trzeba chronić ludzi na tym świecie.

Uchwyt trochę zelżał. Marten studiował wzrokiem twarz Jeremy'ego, aż w końcu spojrzał mu prosto w oczy.

– A jeśli jest już za późno?

– Nigdy nie jest za późno. Nie godzę się na to.

Marten go puścił. Jeremy, który ciężko dyszał, poleciał do przodu, ale zdołał zachować równowagę. Ból w głowie promieniował gwałtownie na całe ciało. Marten chwycił go za ramiona i pociągnął w stronę kuchennych drzwi.

– W takim razie o wszystkim się dowiesz – powiedział.

Rozdział 44

Marten był zawsze kochanym dzieckiem – powiedziała Walburga, strzepując z tłustej ceraty na stole drobny okruszek.

Gehring, który trzymał swój notes na kolanach, bo nie chciał położyć skórzanej okładki bezpośrednio na stole, z trudem stłumił westchnienie. Kiedy w końcu zjawi się tu radiowóz, o który prosił?

– Nie było nam tu łatwo – kontynuowała Walburga. – Z powodu bezrobocia coraz więcej ludzi się stąd wyprowadzało. Marten nie miał nawet gdzie zdobyć zawodu. Jest niepełnosprawny.

– A co mu się stało?

– Kiedy był chłopcem, wpadł pod traktor. Biodro źle się zrosło i teraz trochę kuleje. Niektórzy uważają go przez to za idiotę – wyjaśniła Walburga, wzruszając ramionami. – Nikt nie brał go na poważnie i dlatego zazwyczaj był sam. Trzymał się tylko z bachorami od przesiedleńców. Jeśli ktoś dorasta w takim miejscu jak to, musi potem walczyć o swoje. Jakoś się tego nauczył. Ale on ma naprawdę dobre serce. Dawniej jeździł do Jüterbogu w przebraniu klauna i zabawiał dzieci w szpitalu.

– Klauna? – powtórzył Gehring. Poczł, że za chwilę osunie się w przepaść. – Czy dalej to robi?

– A skąd ja mam wiedzieć? On mieszka w Berlinie. To straszne miasto. Ogromne i głośnie! Za żadne skarby nikt by mnie tam...

– Zna pani jego adres?

– Weichselring 75c.

Gehring zapisał go w telefonie komórkowym i wysłał do pani Schwab esemesa z prośbą, aby to jak najszybciej sprawdziła. Walburga obserwowała go z coraz większą niechęcią.

– Czego pan właściwie ode mnie chce?

– Chcę ustalić, gdzie się podziało pięciu mężczyzn i jedna kobieta i dlaczego kolejnych pięć osób – słyszy pani? pięć! – musiało umrzeć. Jeśli naszej policjantce spadł tu choć jeden włos z głowy, to obiecuję, że każdego mieszkańca tej wioski – słyszy pani? każdego! – pociągnę do odpowiedzialności. To niemożliwe, żeby nikt nic nie wiedział. Dopóty będę to badał, dopóki nie ustalę, co tu się stało. Zbadam każdy nieszczęśliwy wypadek, każdy przypadek śmierci, każde zabójstwo. Zacznę w pani domu. Gdzie jest policjantka Beara?

Podbródek Walburgi zaczął drżeć. Ponownie strzepnęła z obrusu jakiś niewidzialny okruszek.

– Ja nic nie wiem. Ja w ogóle nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Pani mąż zaginął bez śladu osiemnaście lat temu. Niektórzy mieszkańcy, którzy wyjechali z Wendisch Bruch, nigdy nie dotarli do miejsca zaplanowanego pobytu. Nie żyją. Wśród nich są Gisela i Walter Weberowie, a także – Gehring przerwał na chwilę, żeby rozłożyć kartki, które dała mu Schwab – Gerd Vennloh. Żadna z tych osób nie widziała na oczy ani Costa Blanki, ani Ameryki.

– Na pewno się pan myli – zaprotestowała Walburga.

Wstała z krzesła i podeszła do kredensu. Wysunęła szufladę, pogrzebała w niej przez chwilę i wyjęła z niej widokówkę. Przedstawiała czerwone niebo i zachód słońca nad morzem. Drżącymi rękami podała ją komisarzowi.

– U Weberów wszystko w porządku. Przysłali nam tę kartkę.

Gehring odwrócił poplamioną tłuszczem widokówkę na drugą stronę. Był na niej naklejony hiszpański znaczek z wydrukowaną ceną w pesetach i niemożliwym do odczytania stemplem pocztowym. Treść kartki brzmiała następująco: „Dojechaliśmy szczęśliwie, serdecznie pozdrawiamy, Gisela i Walter”. Gehring włożył kartkę do notesu. Później zajmą się nią grafolodzy i technicy laboratoryjni.

– Przetrzymuje pani tak długo całą prywatną pocztę? – spytał.

– Nie dostaję zbyt wielu przesyłek. Ta kartka wisiała obok pieca. Czemu pan pyta?

Walburga usiadła na krześle i wyzywająco popatrzyła na Gehringa. Znowu była pewna siebie, wcześniejszy strach się ulotnił.

– To zadziwiające – odparł. – Oddam ją do analizy. Byłby to pierwszy prawdziwy dowód na życie po śmierci. Przyjęliśmy bowiem tezę, że Weberowie zostali zamordowani.

– Zamordowani? – szepnęła Walburga. Przez chwilę kręciła głową. – To niemożliwe. Nie wierzę.

– A co się stało z innymi? Z Sachsem, Vennlohem, Schmidtem?

– A co się miało stać? Wyprowadzili się, jak wiele innych rodzin. Gdybym miała opłakiwać każdego, komu się tu nie podoba, czasu by mi nie starczyło.

– Z wyjątkiem Giseli Weber wszystkie te osoby były mężczyznami.

– No i?

– Czy może to pani jakoś wyjaśnić? Co tych ludzi łączyło? Komu mogło zależeć na tym, żeby się na nich zemścić? I za co?

– Bardzo się pan myli, naprawdę. Ja ich prawie nie znałam.

– Przecież to byli pani sąsiedzi. Razem z nimi obserwowała pani, jak Wendisch Bruch zamienia się powoli w wymarłe miejsce. Przecież musiała pani coś słyszeć! Plotki, głupie komentarze. Cokolwiek!

– Nie!

– No dobrze, w takim razie kto wstawił samochód do garażu?

– Ja.

– Proszę mi pokazać prawo jazdy.

Walburga dalej siedziała nieruchomo, jak gdyby nie usłyszała pytania.

– Proszę mi pokazać swoje prawo jazdy – powtórzył Gehring.

– Nie mam – szepnęła Walburga. – Ale jeździć umiem. Naprawdę.

Gehring wstał, podszedł do drzwi, odwrócił się i spojrzał na nią zdecydowanie.

– Proszę pójść za mną.

Walburga ruszyła za nim jak na ścięcie.

Rozdział 45

Po pobycie w chłodnym pomieszczeniu upał panujący na dworze był prawie nie do zniesienia. Gehring lepił się od potu. Drzwi garażu nadal były uchylone, tak jak wtedy, gdy Walburga pokazywała mu samochód Beary.

Komisarz podszedł do szopy. Odwrócił się do Walburgi plecami, ale był pewien, że kobieta nie zrobi mu krzywdy. Była też zbyt stara i ciężka, żeby podjąć próbę ucieczki. Jediną bronią, jakiej mogłaby wobec niego użyć, był nóż do obierania ziemniaków. Gehring czuł, jak stopniowo ogarnia go złość. Na uratowanie Beary pozostało mu niewiele czasu. Na domiar złego Schwab dalej się nie odzywała, a radiowóz z Jüterbogu jeszcze nie przybył. Najchętniej poucinałby im wszystkim głowy. W Berlinie, w całej Brandenburgii i wszędzie tam, gdzie jego rozmówcy reagowali na jego zapytania niechętnie albo w ogóle nie udzielali mu żadnej odpowiedzi.

Drzwi szopy – podobnie jak cała szopa – zrobione były z grubych spróchniałych desek. Dziury i szpary umożliwiały zajrzenie do środka. Pomieszczenie było dość małe. Co za idioci, pomyślał Gehring. Zaginęła policjantka, a wam się wydaje, że ujdzie wam to płazem? Przez dwadzieścia lat nikt o niczym nie wiedział, ale teraz szczęście się od was odwróciło. Wiem, że popełnicie kolejne błędy. Każdy z nich wam udowodnię.

Odwrócił się i zobaczył, że Walburga zatrzymała się w pół drogi. Prześcieradło wiszące na linie falowało w ciepłym wietrze. Zakryło ją i przez kilka sekund Gehring widział tylko jej nogi. Wiedziała, że nie uda jej się uciec.

– Proszę tu podejść – powiedział, starając się mówić grzecznym tonem. Zabójcy też mają prawo, żeby zwracać się do nich po ludzku. Przynajmniej do momentu gdy przyznają się do winy.

Walburga odsunęła prześcieradło i podeszła bliżej. Gehring otworzył jej prawe skrzydło drzwi, które trzymały się na zawiasach tak słabo, że o mało nie spadły na ziemię. Walburga spojrzała na niego zrezygnowanym wzrokiem i weszła do środka. Gehring poszedł za nią. Przez szczeliny wpadało do szopy skąpe światło. Samochód Beary był pokryty warstwą kurzu. Ktoś otworzył skrzynkę z bezpiecznikami pod kierownicą, wyciągnął stamtąd kable i połączył je ze sobą w taki sposób, żeby doprowadzić do spięcia i uruchomić silnik. Kluczyki? W torebce Beary ich nie było, co oznacza, że nadal ma je przy sobie. Sprawca zauważył to dopiero po wszystkim. Ale ich jej nie zabrał. Gehring uznał to za zły znak.

Klęknął i uważnie przyjrzał się oponom. Kurz i zaschnięte źdźbła słomy. Obejrzał też przedni zderzak. Po chwili między tablicą rejestracyjną a blachą znalazł trochę trawy. Najwidoczniej ktoś jechał po łące, bo podczas jazdy ulicą, nawet przy prędkości trzydziestu kilometrów na godzinę, źdźbła by spadły.

– Jestem naprawdę ciekaw, jak pani uruchomiła ten samochód – powiedział. – Proszę usiąść za kierownicą.

Gehring otworzył drzwi od strony kierowcy. Fotel ustawiony był bardzo blisko kierownicy. Tak niska osoba jak Beara ledwo dosięgała czubkami butów do pedałów. Walburga też miałaby z tym problem. Gehring jednak był przekonany, że to nie ona uruchomiła wóz za pomocą kabli.

– O co panu chodzi? – spytała zmęczonym głosem Walburga.

Wiedziała, że tępartię przegrała, dlatego wolnym krokiem podeszła do pniaka w rogu szopy z wbitym

w niego siekierą. Wyrwała ją, rzuciła na ziemię i usiadła na pniaku, dysząc z nadmiernego wysiłku. Gehring pochylił się, podniósł siekierę i wsunął ją pod samochód. Walburga obserwowała go nieufnym wzrokiem.

– Boi się pan, że go uderzę? – spytała.

– A czy kiedyś to pani zrobiła? – odparł Gehring i wsiadł bokiem do samochodu w taki sposób, że nogi spoczywały na ziemi. Dzięki takiej pozycji mógł w każdej chwili wstać. Technicy będą się krzywić, ale w szopie nie było innego miejsca do siedzenia, a on był już zmęczony.

– Nie.

– W takim razie kto to zrobił? Pani syn?

– Proszę go nie mieszać do tej sprawy. On nie ma z nią nic wspólnego. Prawdopodobnie jest jedyną niewinną osobą.

– Coś takiego! W takim razie proszę mi opowiedzieć o tych winnych.

Walburga nabrała powietrza, chociaż nic nie wskazywało na to, że szykuje się do dłuższej wypowiedzi. Przypominało to raczej głębokie westchnienie.

– To stara historia, z początku lat dziewięćdziesiątych. Rodzina Rubin przejęła gospodarstwo. Stary był wcześniej zwykłym robotnikiem rolnym. Pewnie mu się wydawało, że się marnuje i powinien zostać rolnikiem. Matka w ogóle nie myślała. Ta kobieta miała pusto w głowie. Rozumu wystarczyło jej tylko do tego, żeby toczyć wojny z dziećmi, ale na nic więcej. W krótkim czasie gospodarstwo zaczęło podupadać. Najpierw stracili świnie, potem owce, a na końcu padły im krowy. Ziemię oddali, bo i tak nic na niej nie uprawiali. Mimo to jakoś żyli. Dzieci chodziły w starych ubraniach, stary pił razem ze swoją kobietą, ale dalej tam mieszkali. Na ich temat stale krążyły jakieś plotki. Często zajeżdżały do nich samochody na rejestracji z Jüterbogu i Baruth. Niektórzy podobno widzieli jakichś facetów, którzy wymykali się stamtąd wczesnym rankiem z rozpiętym rozporkiem. Z czasem zaczęto nazywać ich gospodarstwo burdelem. Podobno każdy, kto miał ochotę, mógł tam dostać to, czego chciał. Wielu rzeczywiście chciał.

– Na przykład kto?

– Niech pan tylko spojrzy na swoją listę. Znajdzie pan na niej wszystkich. Oczywiście z wyjątkiem Giseli. Ona naprawdę kochała swojego męża i wszystko mu wybaczała. To dlatego z nim wyjechała.

– I pewnie dlatego nie żyje.

Walburga zakryła twarz dłońmi.

– To nie może być prawdą!

– Pozostali też nie żyją. Gospodarstwo Rubinów było burdelem?

– Nie.

– To dlaczego tak je nazywano?

Walburga otarła twarz przedramieniem. Jej gest przypominał Gehringowi matkę, gdy kroїła cebulę i trzymała nóż w ręce. Walburga miała spoconą twarz, jej głośny, zdyszany oddech przypominał rżenie, świst pary wyrzucanej przez komin lokomotywy. Gehring obawiał się, że Walburga może nie wytrzymać jego pytań. Postanowił jednak nie przerywać przesłuchania, dopóki nie zjawi się jakiś lekarz i Walburga nie trafi do pokoju przesłuchań. Druga taka okazja może się nie powtórzyć. Kobieta zamierzała mu właśnie opowiedzieć o pewnej dobrze strzeżonej tajemnicy, która ostatecznie doprowadziła wieś do upadku.

– Może chce się pani napić wody? – spytał.

– Nie, dziękuję, zaraz mi przejdzie. Nazywaliśmy ich gospodarstwo burdelem, bo chodzili tam wszyscy, którzy mieli na to ochotę. Stary sprzedawał swoją żonę każdemu, kto tam przyszedł. Za dwie flaszki wódki musiała rozkładać nogi. Pół wsi u niej było.

Gehring czekał na dalszy ciąg, ale Walburga umilkła.

– To wszystko? – spytał w końcu. Spodziewał się, że mu opowie o młodych dziewczętach, stręczycielach i narkotykach, a tymczasem skończyło się na jednej dorosłej kobiecie. – Powiedziała pani, że to nie był burdel, tylko... chwileczkę... że była tam tylko jedna kobieta dla wszystkich chętnych?

Walburga wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

– Czy pani mąż też do niej chodził?

– Nie rozmawiał o tym ze mną, jeśli pan o to pyta. Myślę, że tak. Jak już jeden coś zaczął, to inni szli w jego ślady. To było jak zakaźna choroba.

– Jak długo to trwało?

– Dwa, trzy lata. Potem ona nagle zmarła. Spadła ze stogu siana, uderzyła się i wykrwawiła na śmierć.

Gehring zanotował w pamięci to zdarzenie. Kolejny śmiertelny wypadek, którego okoliczności powinny zostać zbadane.

– I wtedy kobiety postanowiły się zemścić na swoich mężach, którzy je tak poniżyli. Zrobiły to w dość szczególnym momencie. – Walburga ciężko oddychała, przypominało to świst. W szopie było bardziej gorąco niż w ogrodzie.

– Pierwszy był piekarz – powiedział Gehring, patrząc na listę z nazwiskami. Znał ją już prawie na pamięć. – Potem rzeźnik. Znikali, ale ich zaginięcia nikt nie zgłaszał. Tak jak pani męża Ericha Wahla. Czy pani go zabiła tą siekierą? Gdzie go pani pogrzebała?

Kobieta jakby zapadła się w siebie.

– Czy pani syn pomagał przy tym?

– Marten nie ma z tym nic wspólnego.

– To on ukrył ten samochód, żeby sprawa nie wyszła na jaw.

– To nie my to zrobiliśmy!

Gehring wstał niechętnie z fotela i zatrzasnął drzwi samochodu. Zrobił to głośniej, niż powinien.

– Zabiorę panią na najbliższy posterunek policji. Wszystko, co tu usłyszałem, zezna pani do protokołu. Zapewniam też, że odnajdziemy nie tylko pani syna, ale i męża. Bez względu na stan, w jakim się znajduje.

– Czy pan nie słuchał tego, co powiedziałam? To nie my! Żadne z nas, powtarzam: żadne z nas. Oni wszyscy zaginęli! Co do jednego. Jeden po drugim!

Ale Gehring miał już tego dosyć. Wyjął komórkę i wybrał numer Schwab. Odebrała po pierwszym sygnale.

– Potrzebny mi będzie nakaz aresztowania na nazwisko Walburga Wahl, zamieszkała w Wendisch Bruch, i na wszystkich mieszkańców tej wsi – powiedział. – Podejrzewam, że te kobiety zamordowały swoich mężów.

– Nie – jęknęła Walburga.

– Gdzie są posiłki z Jüterbogu? Potrzebuję techników do zabezpieczenia śladów. Musimy przewrócić całą wieś do góry nogami. Obawiam się, że zwłoki ofiar zostały pogrzebane gdzieś w pobliżu.

– O Boże – jęknęła Schwab. – Zaraz się tym zajmę.

Gehring rozłączył się i popatrzył na Walburgę, która siedziała skurczona na krześle. Przez chwilę obawiał się, że kobieta zaraz zemdleje i spadnie na ziemię. Podeszedł do niej i dotknął jej ramienia.

– Przysięgam na wszystko, co jest mi święte: to nie my – wyjąkała.

– O tym zadecyduje sędzia śledczy. Proszę iść ze mną. Będzie pani musiała zabrać kilka rzeczy osobistych.

Walburga z wielkim trudem podniosła się z pniaka, jak gdyby w jednej chwili postarzała się o wiele lat. Gehring pomógł jej dojść do drzwi. Zatrzymała się, żeby nabrać powietrza.

– Możecie mnie zamknąć i skazać, może będzie to nawet słuszne, bo cieszyłam się, że go już ze mną nie

ma. Nasze małżeństwo przypominało piekło na ziemi. Ostatnie osiemnaście lat, które bez niego przeżyłam, były najszczęśliwszym okresem w moim życiu. To dlatego nie zgłosiłam jego zaginięcia. Nie chciałam, żeby go ktoś szukał. Przecież policja mogła go znaleźć. Ale ja go nie zabiłam.

– W takim razie kto to zrobił?

– Nie wiem. Rzadko o tym rozmawialiśmy, bo to był temat tabu. Poza tym w miarę upływu czasu, gdy nikt się sprawą nie interesował, pomyślałyśmy, że wszystko się jakoś ułoży. I tak się właśnie stało. Nikt nie zadawał pytań, nikomu nie przyszło też do głowy, żeby szukać kogoś, na kim nikomu nie zależało. Niektóre z nas dostały nawet zasiłki, które potem zamieniono na emerytury. Wszystko odbyło się drogą korespondencyjną. Czasem zamawialiśmy na ich nazwiska coś z katalogu. Żyliśmy w spokoju. Może nie było to zgodne z prawem, ale jakoś dało się wytrzymać. I to całkiem dobrze.

– O wszystkim opowie pani sędziemu. Myślę, że spojrzy na tę sprawę zupełnie inaczej.

– To ona to zrobiła.

– Charlotte Rubin? Chce pani powiedzieć, że jako nastolatka zamordowała pół tuzina mężczyzn? Niech się pani nie ośmiesza.

Gehring chciał otworzyć drzwi, ale Walburga zatrzasnęła je nagle tak szybkim ruchem, jakiego by się po niej nie spodziewał. Chwyliła go za ramię i wpiła się w nie kurczowo palcami.

– Ale przecież ktoś zabrał nam naszych mężów! To nie my!

– To dlaczego nie poszłyście na policję?

– Żeby wszystko się wydało?

– I tak by się wydało, wcześniej czy później.

Walburga zagryzła wargi. Z oczu spływały jej prawie nienaturalnej wielkości łzy. Nie udawała. Widać było, że zмага się z sobą. Na jego oczach rozgrywała się w niej walka.

– Pan mnie nie rozumie.

Powłokła się z powrotem do pniaka i usiadła na nim, zanim nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Z kieszeni fartucha wyjęła zmięty papierowy ręcznik i wytarła nim oczy. Gehring poszedł za nią, ale najchętniej wybiegłby stąd, byle tylko wyrwać się z tej szopy, jak najdalej od kobiety, która najwidoczniej uważała wszystkich za głupców.

– Myślę, że musiały się tam rozgrywać straszne rzeczy – powiedziała, a jej słowom towarzyszyły jęki, które jeżyły włosy na głowie. Gehring nie wiedział, czy kobieta udaje, czy rzeczywiście czuje się aż tak źle. – Nie wiemy tego dokładnie. Wydaje mi się, że ona nie do końca godziła się na to, co z nią wyprawiali.

– Mówi pani o Margot Rubin?

– Tak.

– Była gwałcona?

– Tego nie wiem. Nie było mnie przy tym. O tych sprawach się nie mówiło. Kiedy przychodziła do wsi, obserwowaliśmy ją. Nie była nawet ładna. Nie wiem, co mężczyźni w niej widzieli.

– Była po prostu pod ręką – zasugerował Gehring.

– Być może. Margot była gruba i zaniedbana. Niezbyt towarzyska. Niektórzy próbowali coś zrobić, zwracali się do Urzędu do spraw Młodzieży i do urzędu miejskiego, ale władze nie miały się do niej jak doczepić.

– Do niej? Obwinia pani tę nieszczęsną istotę o to, że przez lata za wiedzą swojego męża była wykorzystywana? I to przez całą wieś? Bo była pod ręką? Za dwie butelki alkoholu?

Walburga zacharczała, skurczyła się i pochyliła do przodu, a potem z hukiem zwała się na podłogę. Gehring podbiegł do niej, uderzył kilka razy po policzkach i sprawdził puls. Był słaby, nieregularny, ale wyczuwalny. Wybrał numer telefonu pogotowia ratunkowego i zamówił karetkę. Dyspozytorka, która

przyjęła zgłoszenie, zapewniła go, że ekipa przybędzie najpóźniej za pół godziny. To dobrze, przynajmniej to funkcjonuje.

– Pani Wahl?

Kobieta poszukała jego ręki i przyciągnęła go do siebie.

– Nie jestem wcale taka zła – szepnęła. – Ja tylko czekałam, aż ktoś opowie o wszystkim pierwszy.

Gehring wyprostował się i wyszedł z szopy.

Rozdział 46

Kiedy Beara ponownie odzyskała przytomność, przez szczeliny w deskach wdzierają się światła. Nie było go wiele, właściwie tylko drobne przebłyski, więc nie potrafiła określić swojego położenia. Cyferki na tarczy zegarka przestały świecić, dlatego podpełzła bezpośrednio pod szparę. Z wielkim trudem udało jej się odczytać godzinę: wpół do szóstej. Powietrze było bardziej suche niż wcześniej, a smród stęchlizny, pleśni i gnojówki nie był aż tak odurzający.

Co się stało? Czyżby ktoś rozłożył na podłodze plastikową folię i wyciągnął ją stamtąd, gdy była nieprzytomna? Wygląda na to, że przespała całą noc. Centymetr po centymetrze przekopała całą warstwę błota pokrywającego podłogę i ciągle natrafiała na jakieś kości i fragmenty ubrań. Znalazła też pęk kluczy, aktówkę i jeden z pierwszych modeli telefonów komórkowych – nieporęczny, ciężki i oczywiście zepsuty. Wygrzebała cztery pary obuwia sportowego, półbuty i ciężkie buciory, a także kilka przedmiotów, których nie potrafiła nazwać, bo prawie się rozpadły na kawałki. Może to jakieś zabawki? Nie znalazła za to żadnych pieluch ani ubranek dziecięcych, tylko zwykłe szmaty – stary koc albo ręcznik.

Ustaliła, że to cztery trupy dorosłych i trójki dzieci. Resztki zwłok osób dorosłych okrywały strzępy ubrań, dzieci były nagie.

Podczołgała się bliżej szpary, żeby wciągnąć trochę świeżego powietrza. To cud, że jeszcze się tu nie udusiła. To cud, że w ogóle jeszcze żyje. Całkiem możliwe, że któregoś dnia ktoś znajdzie tu szczątki pięciu dorosłych osób, a jedną z nich będzie ona. Nie wiedziała tylko, kiedy się to stanie. Gehring powinien być od dawna w drodze. Wszystkie fakty podała mu jak na tacy.

Kolejnym etapem powinna być rozpacz, ale wiedziała, że pod tym względem nikt jej nie pomoże. Zwłaszcza w tej sytuacji. Dlatego musi wytrwać.

W środku było za mało powietrza. Znowu ogarnęła ją słabość. Zaczęła się bać, że ponownie straci przytomność i że już nigdy jej nie odzyska.

W tym momencie usłyszała śpiew ptaka.

Daleko, bardzo daleko od tego miejsca.

Rozdział 47

Brama wejściowa prowadząca do gospodarstwa przesiedleńców stała lekko uchylona. Na niebie słychać było śpiew skowronka, który najpierw poszybował w górę, a teraz zwinnie spadał ku ziemi. Wyglądało to tak, jak gdyby razem z nim z cichej wsi uchodziła resztką życia.

Gehring wyjął broń i zaczerpnął powietrza. Wiedział, że nie ma czasu do stracenia, bo Beara pokonała przed nim tę samą drogę. Przypomniała mu się jej twarz: migdałowe duże ciemne oczy i wąskie, ironicznie uniesione brwi. Zawsze doskonała, jak gładko wypolerowane szkło. Niewielkie usta, na których rzadko gościł uśmiech. I ta jej nadgorliwość, i bezczelne zachowanie, gdy wiedziała, że oprócz niego nikt ich nie słyszy. Poczucie humoru, którym czasem brylowała, a które on – powołując się na powagę pełnionej przez siebie funkcji – odrzucał. Bezgraniczne rozczarowanie, gdy nie chciał wierzyć w jej teorie. Na samą myśl o tym wszystkim serce mu się ścisnęło. Żeby tylko nic jej się nie stało...

Przyjechała tu sama, do Wendisch Bruch, na koniec świata, a on jej nie posłuchał, po prostu zostawił ją na lodzie. Teraz, gdy było już prawie za późno, wreszcie jej uwierzył, i to równie mocno, jak ona wierzyła w swoje podejrzenia, które stopniowo zamieniały się w pewność popełnionego czynu i motywu. Stała się zwierzyną łowną, ktoś się na niej zemścił. Ten sam sprawca zabijał wcześniej jednego mężczyznę po drugim, a na końcu pozbawił życia Leyendeckera, przedstawiciela handlowego firmy rolniczej, który przejeżdżając przez Wendisch Bruch, korzystał z nadarzającej się okazji. Czyżby gwałcił tę kobietę razem ze swoim kompanem z firmy? Nazywał się Göhler i jakiś czas później zginął w wypadku drogowym: jego samochód wpadł w poślizg na gnojówce. Jakby cichy mściciel Margot Rubin nie miał innego pomysłu i dlatego zabił „po chłopku”.

Nie, pomyślał Gehring. To niesprawiedliwe mówić tak o rolnikach. Ten człowiek zabija w sposób, który ma coś wspólnego z przestępstwami dokonywanymi na Margot Rubin. Zwierzęta. Musieli być jak zwierzęta... Beara weszła mu w drogę i dlatego została... Gehring szybko oddychał. Odbezpieczył pistolet i zmusił się, żeby o tym nie myśleć. Powinien zachować chłodny umysł i zdrowy rozsądek. I to rozsądek mu podpowiadał, że należy poczekać na obiecane posiłki. Ale sam rozum tu nie pomoże. Musi jej poszukać, bo inaczej nigdy sobie nie wybaczy.

Ostrożnie pchnął bramę i wycelował broń w puste podwórze. Tak jak się spodziewał, nikogo nie zobaczył. To przecież dziura zabita dechami i jeśli dalej będzie pozostawiona własnemu losowi, w końcu pochłonie ją ziemia. Ujrzał ogromne betonowe płyty poprzetykane chwastami, które zdołały się przebić do światła, rozpadające się piwnice i zabudowania gospodarcze, budynek mieszkalny tak zaniedbany, że na samą myśl o tym, iż trzeba tam będzie wejść, zrobiło mu się niedobrze.

Trzymał się prawej strony. Szedł w cieniu spękanego muru. Po pewnym czasie, gdy dotarł do podziemnej piwniczki, chwilę odczekał, żeby sprawdzić, czy ktoś zauważył jego obecność, ale usłyszał tylko swoje sapanie. Zmusił się, żeby zachowywać się ciszej, i przywarł do ściany domu. Kiedy dotarł do ściany bez okien, na moment się zatrzymał, a potem skręcił za róg. W trzech susach dotarł do wejścia, przycisnął się i znowu poczekał. Nad gospodarstwem zalegała ciężka jak ołów cisza. W oddali słychać było odgłosy burzy. Przelotne spojrzenie na blade niebo upewniło go, że wkrótce dojdzie do zmiany pogody. Po plecach ściekały mu strużki potu, koszula kleiła się do grzbietu. Wiedział, że przyczyną nie

jest sam upał.

Wyciągnął przed siebie rękę, dotknął taniej aluminiowej klamki, nacisnął ją i się przyczaił. Pistolet trzymał w prawej ręce. Trzy, dwa, jeden – teraz! Pchnął drzwi i wszedł do sieni. Lewa strona, prawa strona. Bezpiecznie. Jeden krok, drugi. Może powinien zawołać? Uprzedzić o swoim przyjściu? Zwrócić na siebie uwagę? Serce biło mu tak szybko, że prawie odczuwał ból w klatce piersiowej. Zobaczył, że drzwi do jednego z pomieszczeń są otwarte, więc wszedł do środka z bronią gotową do strzału.

Kuchnia. Stół, dwa staromodne pokrzywione krzesła aluminiowe z drewnianym oparciem. Patelnia na piecu, brudne naczynia w zlewozmywaku. W powietrzu nadal unosił się zapach smażonej słoniny. Wziął do ręki patelnię, zwracając uwagę na to, żeby nie stać tyłem do drzwi, i zaczął ją oglądać. Tłuszcz był jeszcze roztopiony. Ostrożnie, żeby nie hałasować, odstawił patelnię na miejsce i zaczął przeszukiwać pomieszczenia na parterze.

Wszystkie były puste. Gehring znalazł w nich tylko resztki pozostawione przez nieproszonych gości, którzy często szukają schronienia w takich domach jak ten. Odsunął stopą poplamiony śpiwór pełen wypalonych dziur i podniósł pustą puszkę po konserwie. Resztki jej zawartości zamieniły się w twardą skorupę. Wyjrzał na podwórze przez rozbite okno i zatrzymał wzrok na stodole.

Na pierwszym piętrze było zupełnie pusto. Gehring poruszał się teraz szybciej i swobodniej, bo doszedł do przekonania, że jest tutaj sam. Na schodach prowadzących na strych zauważył krew. Poczł zapach zgnilizny, w jednym z pomieszczeń znalazł martwego psa.

Zabezpieczył pistolet, włożył go do kabury i klęknął, aby obejrzeć zakrwawione gardło zwierzęcia. Wyliczył, że pies nie żyje od przynajmniej dwudziestu czterech godzin. Wyprostował się i zaczął się ostrożnie wycofywać. Kiedy wychodził z domu, usłyszał syrenę karetki pogotowia. Miał nadzieję, że nie przyjechała za późno. Jeszcze nie skończył z Walburgą, dobrą kobietą, która czekała tylko na to, aż ktoś ją wyręczy i opowie całą prawdę.

Zacisnął zęby, żeby nie zakląć. Stodoła była jeszcze bardziej zaniedbana niż dom mieszkalny. Drzwi wiszące na zardzewiałych zawiasach głośno zaskrzypiały. W środku, w rogu stodoły, wisiały czarne rozłożyste pajęczyny. Pokryte brudem szyby raczej utrudniały światłu dostęp, niż go ułatwiały. Ponownie wyjął pistolet, chociaż czuł, że nie ma tu nikogo, kto mógłby mu zagrozić.

– Jest tu kto?! – zawołał.

Jego słowa odbiły się echem od niedbale otynkowanych ścian. Brud osiadał na nich od dobrych kilkudziesięciu lat. W środku śmierdziało starą karmą, sianem i jakąś obrzydliwą stęchlizną, której pochodzenia nie potrafił jednoznacznie określić.

Odszukał włącznik światła, ale jeszcze zanim go przekręcił, wiedział, że nie działa. Doszedł do połowy długiego pomieszczenia, dwa razy się okręcił wokół własnej osi i zatrzymał zrezygnowany. Był rozczarowany, jak gdyby ktoś zrobił z niego błazna albo świadomie skierował go na fałszywy trop. Jest aż tak naiwny? A może się spodziewał, że ktoś mu poda Bearę na talerzu – zakneblowaną i związaną? Był tak zły, że w żaden sposób nie mógł się opanować. A czas płynął. Jeśli Beara jeszcze żyje, to na pewno przebywa w miejscu, w którym od dwudziestu lat nikt nie był, w gospodarstwie, które dla każdego stoi otworem. Na pewno jest tu gdzieś jakaś kryjówka, ale tak dobrze zamaskowana, że do tej pory nikt jej nie znalazł.

Gdzie ty jesteś, do cholery? Gdzie? Byłaś tutaj, czuję to.

– Gdzie pani jest?! – zawołał.

Osobiście przeszuka całe Wendisch Bruch, przewróci je do góry nogami, ale na razie musi poczekać na posiłki. Wycie syreny stawało się coraz głośniejsze, karetka z Jüterbogu była już prawdopodobnie we wsi. Wyjął telefon, żeby zadzwonić do Schwab i obciążyć ją winą za wszystko, co poszło nie tak, gdy nagle przyszło mu coś do głowy. Podłogę w tylnej części budynku było lekko zapadnięte. Klepiska nie

zalano tutaj betonem, tylko głęboko osadzono drewniane bale. Przeszedł w to miejsce i nacisnął stopą jedną z belek. Wydawało mu się, że pod spodem jest pusta przestrzeń.

– Jest tam kto?! – zawołał.

W tym samym momencie na podwórzu rozległ się dźwięk silnika. Kierowca gwałtownie zahamował, koła wyrzuciły w górę okruchy kamieni. Przez szeroko otwartą bramę Gehring zobaczył już tylko tumany kurzu. Uniósł broń, przycisnął się do ocienionej ściany i czekał. Na skruszałym betonie rozległo się szuranie czyichś butów. Dostrzegł niebieskie pulsujące światło i opuścił powoli broń.

– Jest tam kto?! – usłyszał czyjś głos. – Policja!

Gehring włożył broń do kabury i wyszedł na podwórze. Przed stodołą stali dwaj umundurowani policjanci. Na wyłogach mundurów mieli symbol czerwonego orła. Gehring zwrócił się do tego, który miał trzy gwiazdki na pagonach i był wyższy rangą.

– Gehring, policja kryminalna w Berlinie – powiedział, pokazując odznakę policyjną.

– Prahm, posterunek w Jüterbogu. Pani Schwab zdążyła nas poinformować. Zaginięcie osoby, zagrożenie życia?

Prahm był mężczyzną średniego wzrostu. Miał jasną brodę, która jego lekko wydłużonej twarzy nadawała bardziej sympatyczny wyraz. Drugi z policjantów był znacznie młodszy. Z dystynkcji na czapce wynikało, że jest funkcjonariuszem niższej rangi. Miał miękki uścisk dłoni i okrągłą twarz z głęboko osadzonymi ciemnymi oczami, które nadal patrzyły na świat ze zdziwieniem. Gehring jednak wiedział, że po tej akcji młody policjant już nigdy nie będzie taki sam. Nieznacznie skinął obu mężczyznom głową i odszedł na bok, żeby nie zasłaniać im widoku na stodołę.

– Chodzi o policjantkę z Berlina. Potrzebuję pomocy i sprzętu. Musimy podważyć belki podłogowe.

– Zrobi się.

Prahm dał młodemu policjantowi znak, żeby ten natychmiast zajął się sprawą. Gehring spodziewał się, że przyjedzie ekipa od zabezpieczenia śladów albo jednostka specjalna, a tymczasem zjawili się dwaj wiejscy policjanci. Mimo to starał się nie okazywać rozczarowania.

– Kiedy dotrze tu reszta ekipy? – spytał.

– Jaka reszta? – zdziwił się młody policjant, wyciągając łom z bagażnika.

Gehring postanowił zignorować pytanie.

– Weźcie z sobą latarkę.

Poszedł przodem, a obaj mężczyźni podążyli za nim. Kiedy weszli do stodoły i stanęli w jej tylnej części, Gehring wskazał na drewniane belki.

– To stara chlewnia – zauważył Prahm, rozglądając się z ciekawością dokoła. Po chwili zaświecił latarką w stronę, którą wskazał mu Gehring. – Co tam ma być?

– Pod spodem jest jakaś pusta przestrzeń – wyjaśnił z nietypową dla siebie cierpliwością Gehring i postawił nogę na jednej z belek. – Możliwe, że ona tam jest.

– W takim razie muszę pana rozczarować, mistrzu. Znam te stodoły. Wychowywałem się na wsi. To miejsce to stara prosiarnia. Widzi pan te otwory? Tutaj tkwiły słupki.

– A co jest pod deskami?

– Zbiornik na gnojówkę. Zazwyczaj pokrywa kratownicy zrobiona jest z perforowanej blachy, żeby wszystko mogło łatwiej ściekać. Dlatego dziwię się, że tutaj zrobiono ją z drewna. Nie widzę też otworu włazowego. Pewnie gospodarował tu jakiś biedak, który nie miał pojęcia o pracy na roli.

– Musimy te belki usunąć.

– Ale... Oczywiście.

Młody policjant wsunął łom między belki, a Gehring i Prahm pomagali mu unieść pierwszą. W pewnym momencie spróchniałe drewno pękło pod naciskiem łomu. Wśród przekleństw i z wielkim trudem udało

im się unieść belkę na długości pół metra. Gehring wziął szybko latarkę i oświetlił nią ciemny loch.

Całe pomieszczenie było głębokie najwyżej na długość ręki. Smród, który wydobywał się ze środka, prawie pozbawił ich oddechu. Gehring skierował strumień światła na drewnianą konstrukcję i ocenił, że od momentu jej zainstalowania nic się w niej nie zmieniło. Mimo to dał obu policjantom znak, żeby nie przerywali pracy.

Po kwadransie udało im się uzyskać otwór o powierzchni metra. Gehring zaczął grzebać łomem w zaschniętych ekskrementach, wiedząc, że w oczach obu policjantów, którzy – jak stwierdził Prahm – „z powodu pani Schwab musieli zrezygnować z wolnego weekendu” – właśnie stracił cały autorytet.

– Ona musi tu gdzieś być! – powiedział.

– Panie komisarzu, tu niczego nie ma – odparł Prahm, ocierając pot z czoła. – Tu jest zbyt płytko. Nikomu by się nie udało ukryć człowieka w takim wąskim odpływie.

– A gdzie ta cała gnojówka spływa?

Prahm wygrzebał z kieszeni koszuli pomietą paczkę papierosów i zapalił jednego.

– Tutaj jest zagłębienie do płukania – wyjaśnił, uderzając zapalniczką o wydłużoną rynnę, która była wpuszczona w betonową posadzkę i dochodziła do zbiornika na gnojówkę. – Można więc przyjąć, że odpływ jest tam w rogu.

– A dokąd to spływa?

– Prawdopodobnie za stodołę jest jakieś szambo.

Gehring wstał i otrzepał ręce z brudu.

– Niech mi pan to pokaże.

Obaj policjanci ruszyli za nim w milczeniu. Jego uwagi nie uszło wymowne spojrzenie, jakie między sobą wymienili. Wyszli ze stodoły, Prahm szedł pierwszy. Najpierw skierował się w lewo, a potem skręcił za róg budynku. Między jego tylną ścianą a murem otaczającym całe gospodarstwo ciągnął się pas ugoru o szerokości dwóch metrów.

– Tu nie ma żadnego dołu – powiedział rozczarowanym tonem Gehring.

Jego wzrok wędrował po bujnych chwastach, resztkach plastikowych reklamówek i zabłoconych zwojów tapet zwisających z cienkich gałęzi.

– Szambo musi być gdzieś tutaj – powiedział Prahm, drapiąc się po głowie. Czapkę zdjął jeszcze w stodole. – Prawdopodobnie wykorzystywali je jako śmietnik i potem zasypali.

Gehring szedł po żwirze i kawałkach tynku, który odpadł od ściany, i starał się zachować równowagę. Kierował się w stronę miejsca, które wskazał mu Prahm. Tam kucnął, nabrał w dłoń garść wyschniętej ziemi i przepuścił ją powoli między palcami. Potem sięgnął głębiej, ale znalazł tylko kamienie i okruchy potłuczonych butelek po piwie.

– Czego pan właściwie szuka? – spytał Prahm.

Gehring wyprostował się. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Miał wrażenie, że wszystkie jego starania idą na marne.

– Już mówiłem, szukam naszej policjantki – odparł.

Odwrócił się i ruszył w stronę radiowozu, starając się nie patrzeć obu policjantom w oczy. Nie chciał, żeby widzieli, jak bardzo jest rozczarowany. Wiedział, że z tego, o czym opowiedziała mu Walburga, niewiele będzie można wykorzystać. Kto mu uwierzy, jeśli w obronie syna wycofa się z tego, co powiedziała? Czekala ich żmudna, drobiazgowa praca, która być może doprowadzi do wyjaśnienia każdego przypadku zaginięcia. Tylko jak spojrzy w oczy ojcu Beary, jeśli będzie musiał się przed nim tłumaczyć, dlaczego nie znalazł jego córki na czas?

Młody policjant otworzył bagażnik i włożył łom do środka. Prahm rzucił niedopałek papierosa na ziemię i rozdeptał go.

– Czy sprawdzał pan już w owczarni? – spytał.

Gehring spojrzął na rozpadający się budynek.

– Owczarni?

– Tak. Oni tu mieli trochę owiec. Nie zauważył pan wełny?

Gehring zastanawiał się, czy policjant z niego nie żartuje, ale Prahm, nadal z zapalniczką w ręku, wskazał w kierunku, z którego przed chwilą przyszli.

– Widział pan te białe strzępki w chwastach? Pewnie wiatr je nawiał. Leżą tu od pewnego czasu, ale dam sobie rękę uciąć, że właściciel trzymał tu kiedyś owce.

– Przecież owce pasą się na łące.

– To prawda. W gospodarstwie tylko gromadzono wełnę i stąd ją wywożono. To dlatego zostały tu tamte resztki. Ale owce mają dwie zagrody: letnią i zimową. Zagroda zimowa znajduje się zazwyczaj gdzieś w pobliżu budynku mieszkalnego, żeby właściciel miał do niej blisko.

Gehring wyszedł na drogę. Wendisch Bruch to wieś leżąca wśród pól i łąk, ale nigdzie nie zauważył ani owiec, ani zagród dla nich. Daleko na horyzoncie ujrzął trzy ludzkie sylwetki, które chwilę potem znikły mu z oczu. Prahm podszedł do niego i razem zaczęli się rozglądać po okolicy. Bez rezultatu.

– Jochen?! – zawołał nagle młody policjant, który został przy radiowozie.

Prahm odwrócił się do niego.

– Tu coś leży.

Prahm i Gehring ruszyli w jego stronę. W szerokim na dwa palce pęknięciu w betonie coś błyszczało. Gehring, który nadal pamiętał, że działa na terenie innego landu, pozwolił na zabezpieczenie przedmiotu Prahmowi.

– Kluczyki do samochodu – powiedział Prahm, pokazując je Gehringowi. – Czy coś to panu mówi?

Gehring zacisnął wargi i skinął głową. Od razu się domyślił, że należały do Beary.

– Ona tu była. Jej samochód stoi w szopie koło dawnego zajazdu Pod Lipą.

– Tam, gdzie przyjmował lekarz pogotowia ratunkowego?

– A co, już nie przyjmuje?

Prahm skinął głową. Gehring poczuł, jak ogarnia go coraz większa rozpacz.

– Podejrzewam, że dawna właścicielka zajazdu albo sama przyczyniła się do zaginięcia Beary, albo o tym wiedziała. Wiedziała też o innych przypadkach. Jej mąż był jednym z wielu zaginionych mieszkańców wsi.

– Rozumiem. Rozmawialiśmy już o tym przez telefon.

– To z panem rozmawiałem? – spytał Gehring tonem pozbawionym pozytywnych uczuć.

– Czy doszedł pan już do jakichś ustaleń? – odparł Prahm.

– Jeśli ma pan na myśli to, że do listy zaginionych dopisałem naszą policjantkę, to moja odpowiedź brzmi: tak.

– Wygląda na to, że będziemy mieć nadgodziny.

– Tak – potwierdził Gehring ze złością. – Możecie sobie obaj dopisać cały weekend.

Prahm przesunął kilka razy dłonią po rzadkich włosach, włożył czapkę i powiedział do młodego policjanta:

– Torsten, wszczynamy poszukiwania. Natychmiast. Niech przyślą do Wendisch Bruch wszystkie dostępne jednostki. Poinformuj ekipę od zabezpieczania śladów w Luckenwalde. Zamów psy. Ściągnij posiłki z Postdam Mittelmark i z Havellandu. Stu, a najlepiej dwustu ludzi. Wezwij helikopter. Od tej pory zaczynamy naprawdę działać.

Młody policjant o imieniu Torsten pobiegł do radiowozu, a Prahm odwrócił się do Gehringa, który dopiero teraz zaczął odnosić wrażenie, że sprawy toczą się właściwym trybem.

– A my wykorzystamy ten czas na rozmowy z mieszkańcami. Owcześnie na wsi mają tajemniczą moc przyciągania zakochanych par, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. A my chcemy odnaleźć pańską policjantkę całą i zdrową.

Prahm dał znak Torstenowi, żeby jechał za nimi radiowozem.

– Tak – odparł Gehring, który stracił już wszelką nadzieję na zakochane pary. Powoli jednak zmieniał swoją opinię o policji z Brandenburgii.

Rozdział 48

Spornitz i Jeremy szli przodem i co chwilę się potykali. Marten szedł za nimi. Za każdym razem kiedy Spornitz zwalniała kroku, popychał ją, żeby szła dalej. Wobec Jeremy'ego zachowywał się bardziej powściągliwie. Jeremy zastanawiał się, jaką Marten żywi wobec niej urazę i dlaczego traktuje ją bardziej brutalnie niż jego.

Kilkaset metrów za ostatnim domem zeszli z drogi prowadzącej na Baruth i ruszyli polną drogą w stronę wzgórza. Z dużej odległości wyglądali jak trzej zwykli wędrowcy. Gdyby jednak popatrzeć z bliska, okazałoby się, że dwoje z nich ma ręce związane na plecach, a trzecia osoba trzyma w dłoni kij. Nikogo innego w pobliżu nie było. Kiedy dotarli na szczyt wzgórza i zeszli na drugą stronę, ich oczom ukazały się rozległe pola, łąki i lasy. Jeremy'emu wydawało się, że kilka kilometrów dalej widzi kościelną wieżę.

W pewnym momencie droga się skończyła i Marten popędził ich przez bruzdy wyrzeźbione na polach przez traktory. Teraz ziemia była wysuszona. Kiedy po niej szli, kruszyła im się pod stopami. Zapadł wczesny wieczór, ale na dworze nadal panował upał nie do zniesienia. Na horyzoncie zaczęły się gromadzić ciemne chmury. W pewnej chwili Spornitz potknęła się o korzeń, a ponieważ ręce miała związane na plecach, nie zdołała zachować równowagi i przewróciła się na ziemię.

– Ja już tak dalej nie mogę – jęknęła. Po twarzy spływały jej łzy.

Marten odepchnął Jeremy'ego i chwycił ją brutalnie za ramię.

– Zaraz będziemy na miejscu.

– A dokąd my idziemy? Przecież tu nigdzie nic nie ma. Zostaw nas tutaj i spadaj. Jeśli naprawdę byłeś przyjacielem Charlie, to obiecuję, że nikomu o tym nie powiem.

Marten uderzył ją w plecy z taką siłą, że mało brakowało, a znowu by się przewróciła.

– Niech pan przestanie! – zaprotestował Jeremy.

Ale Marten w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Zachowywał się tak, jak gdyby tylko czekał na okazję, żeby jeszcze bardziej podręczyć Spornitz.

– Nie interesuje mnie, co zamierzasz, a czego nie zamierzasz robić – powiedział do Spornitz. – To dla mnie nieważne, tak samo jak ty. Czy ty nadal nic nie rozumiesz? Naprawdę?

Po tych słowach uderzył ją w tył głowy. Spornitz się rozplakała. Jeremy wziął zamach i z całej siły kopnął Martena w plecy. Ten poleciał do przodu i potknął się o nogi Cary, która krzyknęła z bólu. Ale Jeremy nie poprzestał na jednym kopniaku. Reagował instynktownie, nie zastanawiając się nad tym, że ma związane ręce i żadnych szans. Lecz może właśnie to dodało mu sił. Marten, który znalazł się na czworakach, chciał się wyprostować, ale Jeremy znowu go kopnął w bok. Marten jęknął i upadł na ziemię. Spornitz kopała jak oszalała, żeby się uwolnić. Jeremy chciał się rzucić na Martena, lecz nagle poczuł piekący ból w kolanie. Upadając, zdążył jeszcze zauważyć, jak Marten bierze ponowny zamach kijem i poczuł ból w plecach.

– Nie! – krzyknęła Spornitz. – Przestań! Zabijesz go! Co on ci zrobił?

Marten stanął w końcu na nogach, ciężko oddychając.

– Wstawajcie. Oboje. I nie próbujcie tych sztuczek drugi raz.

Jeremy odnosił wrażenie, że jego staw kolanowy zamienił się w papkę. Jęcząc z bólu, wił się za ziemi.

– Ja... nie mogę wstać – jęknął.

Marten uniósł Spornitz.

– W takim razie dalej pójdę tylko z nią. A ty nigdy się nie dowiesz, co zrobiłem z nią i z innymi.

– Z jakimi innymi? – spytał Jeremy, czując kolejną falę bólu.

– Mówię o tych, których z powodu Charlie wysłałem do piekła.

– Ja... nie rozumiem, o czym ty mówisz.

Jeremy wypluł krew i kilka małych kamyków. Były bielsze niż kurz, w którym leżał. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą tkwił przedni ząb, wyczuł puste miejsce.

– Wcale tego od ciebie nie oczekuję. Może pozwolę ci tu zostać i zdechnąć. Ale Cara pójdzie ze mną.

Musi w końcu przestać udawać Kopciuszka i zachowywać się jak przemądrzała panienska. Powinna w końcu zrozumieć, co się stało. Tak jak wszyscy inni. Zrozumieć i wyrazić skruchę.

– Ależ Marten! – zawołała Spornitz. – Ja nie mam pojęcia, o czym ty mówisz! Co się z tobą stało?

Przecież nigdy nie wyrządziłam ci krzywdy.

– Tak, niewinny z ciebie aniołek! Z tobą zawsze tak było. Kciuki w buzi i wielkie oczy. W tym byłaś dobra.

Jeremy z trudem próbował się wyprostować. Wiedział, że przeciwko Martenowi nie ma szans, ale postanowił, że nie pozwoli mu zabrać Cary.

– Co pan jej właściwie zarzuca? – spytał. Mimo szpary po zębie starał się mówić jak najwyraźniej. –

Jako dziecko straciła matkę, a gdy była nastolatką, umarł jej ojciec. A teraz jeszcze ta historia z Charlie. Domyślam się, co się działo w ich gospodarstwie, ale Cara była zbyt mała, żeby to zrozumieć.

– Cara?! – zawołał Marten, wskazując palcem na Spornitz. – Ona zawsze była za mała. Charlie mogła się jakoś uratować, ale ona została na wsi. Mieszkała tu do czasu, aż jej siostra była na tyle dorosła, że nie musiała wracać do domu. Charlie znosiła to wszystko tylko dlatego, że chciała ją chronić. Robiła to nawet wtedy, gdy już nie mogła tego wszystkiego wytrzymać i za każdym razem gdy do tego dochodziło, szła do stodoły, żeby się powiesić. A co robiła wtedy nasza słodka Cara?

Marten podszedł i zamachnął się na nią. Spornitz skuliła się, ale nie uderzył jej, tylko spokojnie opuścił rękę.

– Nienawidziła swojej siostry.

– To nieprawda!

– Owszem, prawda. Ani razu jej nie odwiedziłaś. Nawet gdy siedziała w areszcie. Zerwałaś z nią wszelkie kontakty. Nie chciałaś jej więcej widzieć.

– To ja ratowałam jej życie! Za każdym razem!

– A potem ją za to nienawidziłaś?

– To nie była nienawiść – odparła Spornitz, kręcąc głową. Łzy spływały jej po brudnych policzkach, pozostawiając ciemne smugi na pokrytej kurzem twarzy. – To był rodzaj ochrony. Przecież miałam tylko ją. Byłam naprawdę wściekła, że znowu próbowała się zabić. Robiła to tyle razy. To było trudne do wytrzymania, a ona ani razu ze mną nie rozmawiała.

Jeremy'emu udało się w końcu stanąć na nogi. Starał się zapanować nad bólem w kolanach i żebrach i głęboko oddychał, ale szybko zauważył, że od tego jeszcze bardziej kręci mu się w głowie.

– Pan się myli – powiedział.

– Nie wtrącaj się! – wrzasnął Marten.

– Właśnie, że będę się wtrącał. Musi pan w końcu zrozumieć, że nigdy nie znał pan Charlie na tyle dobrze, jak się to panu wydaje. Jest wiele rzeczy, które połączyły obie siostry. Co więcej, Cara wyparła przeszłość ze swojej pamięci, a Charlie tego nie zrobiła. Ale jeśli Charlie chciała chronić swoją młodszą

siostrę, to kim pan jest, żeby kwestionować jej decyzję?

– Być może jestem jedyną osobą, która naprawdę wie, o co w tym wszystkim chodzi. Co więcej, jedyną, która cokolwiek w tej sprawie zrobiła!

– Czy Charlie o tym wiedziała?

Marten, który nadal zachowywał się tak, jakby spodziewał się ataku z każdej strony, uniósł kij.

– Tak.

– Co?! – zawołała Spornitz. – O czym ona wiedziała?

– To się zaczęło krótko przed twoimi piętnastymi urodzinami. Pamiętasz? Charlie przyniosła mi to i wyjaśniła, jaką dawkę należy stosować. Nie wiedziała, do czego jest mi to potrzebne. Potrafiła jednak kojarzyć fakty, bo miała oczy szeroko otwarte. Zauważyła, że znikają kolejne osoby, jedna po drugiej. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Ale ona wiedziała.

– O czym wiedziała? Co to znaczy „jedna po drugiej”?

– Mówię o facetach, którzy przychodzili nocą do waszego gospodarstwa. Najpierw obsługiwała ich wasza matka, potem, gdy prawie zamęczyli ją na śmierć, miała ją zastąpić Charlie.

Dolna warga Spornitz zaczęła drżeć, podobnie jak całe jej ciało.

– I ty o tym wiedziałeś? – spytała zdławionym głosem.

– Wszyscy o tym wiedzieli – odparł Marten, wbijając ze złością kilka razy czubek kija w ziemię. – Wszyscy brali w tym udział. Mój ojciec też. A kiedy matka nie mogła tego dłużej znieść, pobił ją tak, że trafiła do szpitala. Tak to właśnie było w Wendisch Bruch. I dalej by się to tak toczyło, gdybyśmy nie wzięli sprawy w swoje ręce.

Jeremy w końcu stanął obok Spornitz.

– A na czym ta pańska metoda polegała? – spytał Jeremy. – Na tym, żeby ich jednego po drugim wykończyć?

– Tak – potwierdził Marten.

Jeremy usłyszał w końcu jednoznaczną odpowiedź.

– Powinien pan iść z tym na policję, zgłosić, co się dzieje.

– Tak właśnie zrobiłem. Kilka razy, anonimowo. Policjanci obiecali, że przyjadą. I rzeczywiście: obejrzeliby całe gospodarstwo, wyszorowane do czysta dziewczyny, milczącą matkę, wściekłego z powodu podejrzeń ojca i odjechali.

– Ale po co uciekł się pan aż do tak skrajnej metody? – spytał Jeremy. – Rozumiem, że chciał pan chronić Charlie przed tymi mężczyznami, ale czy nie mogliście stamtąd po prostu wyjechać? Zamiast brać na siebie tak ciężką winę?

– Ja tak chciałem! – krzyknął Marten. Błyskawicznie podbiegł do Spornitz, chwycił ją za gardło i pokazał jej twarz Jeremy’emu, jak gdyby to było jakieś trofeum. – Ale ona... ta tutaj... nie mogła tam przecież zostać sama! Przecież była jeszcze taka mała! Charlie nie chciała wyjechać. Z jej powodu! Z powodu tej... tej...

Marten pchnął Spornitz tak mocno, że poleciała kilka kroków do przodu, potknęła się i tylko z trudem odzyskała równowagę.

– Strasznie mi przykro – jęknęła. – Marten, ja...

– Przestań mi tu beczeć! – zawołał Marten. Podniósł kij i zaczął ich nim popędzać, jak stado owiec.

– Mimo to nie rozumiem pańskiego zachowania – kontynuował Jeremy, odwracając się w trakcie marszu do Martena. Domyślił się, że ich prześladowca postanowił w końcu wszystko z siebie wyrzucić. Chyba nigdy wcześniej tego nie zrobił. Może przy okazji wyrzuci też z siebie całą swoją złość i nienawiść? Może właśnie o to mu chodziło: żeby ktoś się wreszcie dowiedział o przestępstwach, do których doszło dawno temu w jego wsi? – Przecież Charlie nie została zgwałcona? A może się mylę?

Marten znowu go popchnął. I chociaż wcześniej brutalnie go pobił, wyglądało na to, że zamierza go potraktować łagodniej niż Carę.

– Za kogo albo za co się pan tak mścił? Za jej matkę? Z całym szacunkiem, ale przecież nie była panu aż tak bliska.

– Szybciej. Chcę tam dotrzeć, zanim zrobi się ciemno.

Spornitz milczała. Szła z opuszczoną głową i wyglądała na całkowicie pogodzoną z losem.

– Dokąd idziemy? – spytał Jeremy.

Marten wskazał na zagajnik rosnący u stóp wzgórza sąsiadującego z polem kukurydzy. Gałęzie drzew falowały na wietrze, który po ich wyjściu z kotliny znowu się wzmógł. W pewnym momencie Jeremy poczuł nadzieję. Uczucie to pojawiło się po raz pierwszy od momentu, w którym spotkał Martena. Dotknął Spornitz ramieniem. Spojrzała na niego ukradkiem, a on wskazał jej oczami pole.

– Do lasu?

– Do chaty – odparł Marten.

Między polem kukurydzy a zagajnikiem stało coś, co kiedyś pełniło funkcję zagrody albo stodoły. Teraz budynek był zniszczony i opuszczony, dach całkowicie się zapadł.

Spornitz spojrzała w tamtym kierunku. Zeszli już ze śladów pozostawionych przez traktor i szli pustym polem, z którego zebrano już ziemniaki. Graniczyło ono z polem kukurydzy.

– Teraz!

Jeremy rzucił się z całym impetem na Martena, który wydał z siebie wściekły okrzyk i upadł na ziemię. Spornitz rzuciła się do ucieczki. Przeskakiwała przez skiby, upadała, zrywała się z ziemi i biegła dalej.

– Stój! – wrzasnął Marten. – Zatrzymaj się! Natychmiast!

Zerwał się z ziemi i ruszył za nią w pogoń. Jeremy, który nadal miał ręce związane na plecach, stał w miejscu i obserwował, jak Cara dobiega do pierwszych rzędów upraw. Chwilę potem znikła mu z oczu. Kierunek, w którym zmierzała, zdradzały jedynie ruchy kolb kukurydzy.

Marten dobiegł w końcu w to samo miejsce.

– Wyłaź! – wrzasnął. – Dostanę cię!

Na szczęście stał zbyt blisko i nie widział całego pola. Klął tylko i chodził w tę i z powrotem. W końcu postanowił ruszyć jej śladem. Szukał podeptanych łodyg i połamanych liści. Po chwili zniknął między roślinami.

Jeremy z zapartym tchem obserwował to, co się dzieje na polu. Spornitz poruszała się szybko i odległość dzieląca ją od Martena stale się powiększała. Marten tracił czas, bo musiał uważać, żeby się nie zgubić i nie stracić z oczu jej śladów. W końcu stanął. Czyżby zrezygnował z dalszego pościgu? Jeremy oderwał na chwilę wzrok od pola kukurydzy i zaczął szukać jakiegoś przedmiotu, żeby uwolnić się z więzów. Na skraju kartofliska leżał stos kamieni, stara opona od traktora i inne rupiecie. Nagle wydał z siebie okrzyk triumfu, bo ujrzał potłuczoną butelkę po piwie. Odwrócił się i znowu spojrzał na pole kukurydzy.

Marten zatrzymał się, ale Jeremy nie był w stanie określić, w którym jest miejscu. Tymczasem Spornitz zakreśliła ogromne koło i zupełnie się pogubiła. Wcześniej czy później groziło jej, że wpadnie w ręce Martenowi. Jeremy podbiegł do stosu kamieni, opadł na ziemię i próbował podnieść potłuczoną butelkę po piwie, która kilka razy wyslizgnęła mu się z rąk i potoczyła na bok. W końcu udało mu się ją chwycić pewnie w dłoń. Nie zważał na to, że ostra krawędź wrzyna mu się w ciało. Pot ściekał mu z czoła i szczypał w oczy. Jeremy otarł twarz ramieniem i dalej mocował się z więzami. W ostatniej chwili, zanim siły do końca go opuściły, udało mu się przeciąć pierwszy sznur. Po dalszych rozpaczliwych staraniach przeciął drugi. Teraz więzy były już na tyle luźne, że mógł je zsunąć z nadgarstków.

Jęcząc, masował napuchnięte miejsca. Zerwał się z ziemi, ale w tym samym momencie skamieniał

z przerażenia. Ujrzał bowiem, jak Marten wywleka Carę spośród łanów kukurydzy. Spornitz wlokła się za nim bezwolnie. Co kilka kroków potykała się o kamień albo gałąź.

– Ty palancie! – zawołał na jego widok Marten. – Ty też chcesz mi uciec?

Jeremy spodziewał się, że Marten wróci do niego razem z Carą. Tymczasem szalenciec pociągnął ją w stronę opuszczonego budynku.

– Jest mi obojętne, co się z tobą stanie – powiedział Marten. – Ale dla niej wybiła ostatnia godzina. Do ciebie należy wybór, czy zostawisz ją samą, czy nie.

I znowu brutalnie popchnął Spornitz.

– Niech pan przestanie! – zawołał Jeremy. – Ona i tak ma już dosyć. Niedługo zjawi się tu policja. To wszystko nie ma sensu.

– Na razie nie wpadli na mój trop – odparł Marten. Był tak wściekły, że o mało się nie przewrócił. – Mieli na to dwadzieścia lat. I co? Czy coś mi się stało? Nic! Mógłbym załatwić całą wieś i nikt by tego nie zauważył! A twój kochaś – powiedział, zwracając się do Spornitz – zaraz sobie stąd pójdzie. Ten tchórzliwy pies ucieknie z podkulonym ogonem. Zostawi cię tu, żebyś zdechła. Wszystkiego dobrego, palancie! Nigdy więcej jej nie zobaczysz!

Jeremy ocenił, że gdyby chciał wrócić do wsi, musiałby pokonać mniej więcej kilometr. Tymczasem od stodoły dzieliło go niecałe sto metrów. Bez względu na to, co Marten zamierzał robić tam z Carą, nie miał szans, żeby wrócić na czas. W stodole jednak czekała go pewna śmierć, za wzgórzem – życie. Marten dał mu szansę, żeby się ratował. Jeśli to zrobił, będzie podobny do mieszkańców tej zapuszczonej wsi, którzy przymykali na wszystko oczy i myśleli tylko o sobie.

Dlatego ruszył powoli przed siebie, chociaż nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Nie chciało mu się wierzyć, że podjął taką decyzję. Dobrowolnie poszedł za mordercą, który był opętany jakąś szaleńczą wizją. Cara – jedyna niewinna osoba w całej wsi – miała odpokutować za to, co Charlie musiała znosić przez lata. Jeremy już wiedział, że Marten cierpi na zaburzenia umysłowe, a sytuacja jest beznadziejna. Mimo to uznał, że będzie w stanie go dopaść, że właśnie na tym polega jego jedyna szansa. Każde szaleństwo jest wewnętrznie spójne i logiczne. Trzeba tylko tę logikę rozpoznać.

Marten i Cara dotarli do stodoły tuż przed nim. Weszli do środka i zniknęli mu z oczu. Jeremy przyspieszył kroku i do szopy wpadł tuż za nimi. Prawie nic nie widział, mimo to rozejrzał się dokoła.

Marten przygotowywał strzykawkę do zrobienia zastrzyku. Czynił to w sposób, który przywodził na myśl doświadczonego pielęgniarsza. Spornitz siedziała na ziemi. Jedną nogę miała podwiniętą, drugą wyprostowaną. Popatrzyła na niego beznamiętnym wzrokiem.

– Co pan wyrabia? – sapnął Jeremy.

Marten odwrócił się i skinął z uznaniem głową.

– No proszę, jak ładnie. Widzisz, Caro, jeszcze jest miłość na tym świecie. Coś ty mu zrobiła, że przyszedł za tobą aż do piekła?

– Odejdź – szepnęła Spornitz. Z warg sączyła jej się krew, bo kiedy biegła przez kukurydżę, pocięła się ostrymi krawędziami liści. Czoło i policzki miała naznaczone drobnymi czerwonymi kreskami. – To sprawa tylko między mną a Martenem.

– Nie – zaprotestował Jeremy. – Ona dotyczy także mnie.

Jej spojrzenie wierciło mu dziurę w duszy. Strasznie cierpiał. Nigdy wcześniej jednak nie czuł się bardziej żywy niż teraz.

Marten wyrzucił ampułkę i usunął ze strzykawki bąbelki powietrza. Potem wycisnął z niej trochę cieczy.

– On jest dla mnie prawie jak rodzina – powiedziała Spornitz matowym głosem. – To przewrotne dopełnienie naszego wspólnego losu.

– Bzdury! – odparł Marten. Usiadł obok Spornitz i rozwiązał jej więzy. – Skończ wreszcie z tymi bredniami. Nie jesteśmy spokrewnieni – powiedział, zwracając się do Jeremy’ego. – À propos, co za głupawe imię.

– To zdrobnienie od Jeremiasza. Znaczy mniej więcej: „Jahwe, podnieś z upadku” lub „Jahwe podnosi, wywyższa”.

– Naprawdę? Jakoś mi na takiego nie wyglądasz... Posłuchaj mnie dobrze. Zrobisz teraz to, co ci każę, a wszystko skończy się dla ciebie szybko i bezboleśnie. Tam dalej jest w podłodze wnęka. Otwórz ją.

Marten sięgnął do kieszeni dzinsów, wyjął z niej klucz oznaczony numerem pięć i rzucił Jeremy’emu. Ten chciał go chwycić, ale rękę miał tak zdrętwiałą, że nie zdążył go objąć palcami i klucz spadł na ziemię.

– No tak, widzę, że potrzebujesz trochę motywacji – powiedział Marten. Pochylił się nad Spornitz, przechylił jej głowę i przystawił do szyi igłę strzykawki. – Bierz się do roboty, bo jak nie, to ją zabiję, zanim zdążysz mrugnąć okiem. Pozwolę wam nacieszyć się sobą w środku jeszcze przez dwie minuty. Wiem, jaką trzeba zastosować dawkę. Mam za sobą wieloletnią praktykę. A teraz się decyduj.

Jeremy podniósł klucz z ziemi.

– Co mam z nim zrobić?

– Idź w tamten róg.

Jeremy przeszedł w głąb stodoły, gdzie na ziemi leżało trochę słomy. Po kilku krokach usłyszał, że dźwięk wydobywający się spod butów jest inny niż w miejscu, gdzie stał Marten. Pochylił się i odsunął słomę na bok.

– Deski? – spytał.

– Są przykręcone po prawej i po lewej stronie. Bierz się do roboty.

Bale były zablokowane przez dwie kantówki przymocowane do drewnianej ściany za pomocą kątowników. Jeremy po prostu je odkręcił. Kiedy skończył, Marten uniósł Spornitz i pchnął ją przed siebie.

– A teraz sprawdzimy, co jest na dole – powiedział.

– Marten, nie rób tego – jęknęła Spornitz. – Proszę!

– Coś takiego! Nagle sobie przypomniałaś, jak to jest? Teraz już wiesz, jakie to uczucie, gdy ktoś się przygląda.

Twarz Spornitz wykrzywiła się w grymasie przerażenia.

– Nie chcę, puść mnie, zostaw mnie w spokoju. Charlie na pewno by się to nie spodobało.

– Otwieraj – rozkazał Marten Jeremy’emu.

Jeremy pochylił się i uniósł pierwszą belkę. W nozdrza uderzył go okropny smród.

– Nie! – krzyknęła Spornitz tak głośno, że Jeremy instynktownie puścił belkę.

Spornitz rzuciła się w stronę drzwi, ale Marten zdążył ją dopaść, zanim wybiegła ze stodoły. Chwycił ją za włosy i pociągnął w swoją stronę. Potem popchnął ją w głąb stodoły. Igła strzykawki znajdowała się zaledwie kilka milimetrów od jej szyi. Spornitz znieruchomiała.

– No dalej – warknął Marten.

Jeremy znowu uniósł belkę. Była potwornie ciężka, ale to, co Marten zrobił przed chwilą Carze, dodało Jeremy’emu nadludzkiej siły. Ciągłe nie wiedział, jak odwrócić uwagę mężczyzny, i dlatego postanowił udawać, że jego rozkazy wykonuje z pełnym zaangażowaniem.

– Bardzo dobrze. Widać tam już coś?

Jeremy zerknął w głąb dołu wypełnionego czarną mazią.

– Pełno tu gówna – odparł.

– No to do roboty!

Jeremy poluzował drugą belkę.

– Co to ma być? – spytał. – Nasz wspólny grób?

– Ja już wiem – zaszlochała Spornitz. – Przypomniało mi się. Mój Boże, pomóż mi! Dlaczego mi to robisz? Powiedz?

Na twarzy Martena pojawił się dziwny uśmiech.

– To tylko niewielki ułamek tego, przez co musiała przejść Charlie – odparł. – Przyglądaj się. A ty nie przestawaj – zwrócił się do Jeremy'ego. – Bóg cię wywyższył, żebyś mógł służyć prawdzie. Doprowadźmy więc dzieło do końca. Najpierw Cara, potem Jeremiasz, na końcu ja. Wtedy będzie można powiedzieć, że się dokonało.

Jeremy uniósł następną belkę. Pod spodem leżało brudne, powalane błotem kobiece ciało w mokrym ubraniu.

Rozdział 49

Czy tu naprawdę nikt więcej nie mieszka?

Gehring z wściekłością zatrzasnął za sobą furtkę do ogrodu i wyszedł na drogę. Prahm, który był już na następnej posesji, odwrócił się do niego i pokręcił głową.

– Z tego co wiem, zamieszkałych jest jeszcze osiem domów – powiedział Gehring.

Od kwadransa przeczesywał z dwoma policjantami z Jüterbogu całą wieś, ale na razie nie znaleźli w niej żywej duszy. Wydawało mu się, że przynajmniej w niektórych budynkach ktoś mieszka. Niestety, nikt im nie otworzył i nikt do nich nie wyszedł. Okiennice były pozamykane, żaluzje zwisały smętnie na pordzewiałych szynach, stopnie schodów kruszyły się pod stopami.

– Jak się tylko dowiem, kto nas nie chce wpuścić...

– Tam – przerwał mu Prahm, wskazując na niski, zarośnięty budynek. – Hortensje. Jeszcze kwitną, co znaczy, że ktoś je podlewa.

Gehring przestał się już dziwić jego wiedzy na temat fauny i flory. To, co mówił mu Prahm, przyjmował po prostu do wiadomości.

Bramka prowadząca do ogrodu głośno zaskrzypiała. Szli pośród bujnych krzewów w stronę drzwi do budynku. Na dzwonku widniało nazwisko Berger wypisane wyblakłym długopisem. Gehring przypomniał sobie, że widział je chyba na jednej z list przygotowanych przez Schwab. Tylko na której? Wejście do domu było dość szerokie, ganek większy niż zazwyczaj. Kiedyś były tu sklep i piekarnia. Piekarz, który to prowadził, udusił się we własnej dzieży... Gehring nacisnął dzwonek, ale odpowiedziała mu cisza. Zapukał więc do drzwi.

– Otwierać, policja!

Prahm pokręcił głową i stanął obok niego.

– Jest tam kto? – spytał.

Zszedł po schodkach, zadarł głowę i spojrzał na fasadę domu.

– Czego tu chcecie? – rozległ się ostry, niemiły głos.

Gehring i Prahm popatrzyli po sobie. Prahm wziął do ręki policyjną pałkę i odsunął ją na bok gałęzie krzewów. Na ławce siedziała bardzo stara kobieta. Kościstymi palcami bębniła po gałce laski, jak gdyby opanowywała zapis nutowy z poźółkłej partytury. Jej twarz przypominała Gehringowi twarze squaw. Pomarszczona, ogorzała od słońca i wiatru, nakrapiana starczymi plamami. Wąski i ostry nos jeszcze bardziej podkreślał jej zaawansowany wiek. Esther. Najstarsza mieszkanka wsi.

– Dzień dobry – powiedział Prahm i stanął przed nią, kołysząc się na palcach. – Jesteśmy z policji, z posterunku w Jüterbogu. Szukamy zaginionej kobiety, wiek dwadzieścia kilka lat, ostatnio widziano ją w Wendisch Bruch.

Esther mrugnęła, patrząc na niego.

– Ja jej nie widziałam. Jestem prawie ślepa.

– W takim razie proszę nam powiedzieć, gdzie jest owczarnia należąca do gospodarstwa przesiedleńców.

– To dla mnie zbyt trudne pytanie, młody człowieku.

– Szanowna pani – powiedział Prahm jowialnym tonem – chyba nie chce pani w tak zaawansowanym wieku pojechać na wycieczkę do naszego pięknego miasta Jüterbog? Jeśli tak, to możemy tam panią zaraz zawieźć. Zapytam więc jeszcze raz o tę owczarnię. Gdzie ona jest? To chyba niezbyt trudne pytanie?

Staruszka wzruszyła chudymi ramionami.

– Pewnie już dawno się zawaliła. Powinniście sprawdzić w starych planach zabudowy.

– Gdzie ta owczarnia stała? – wtrącił się do rozmowy Gehring. Prahm wziął na siebie rolę złego policjanta, więc on postanowił udawać tego dobrego. Nie chciał stracić jedyne go informatora znalezione go przez nich we wsi. – Czy może nam pani wskazać przybliżony kierunek?

Ale Esther milczała. Gehring odsunął gałęzie na bok i dał znak Prahmowi, żeby poszedł za nim.

– Ile czasu potrzebuje pierwsza ekipa poszukiwawcza? – spytał, gdy się upewnił, że kobieta go nie słyszy.

– Dwadzieścia do trzydziestu minut.

– Niech pan weźmie Torstena i pojeździ trochę po okolicy. Owczarnia na pewno gdzieś tu jest. Jak coś znajdziecie, niech pan do mnie zadzwoni. Natychmiast do was dołączę. Jeśli nie, za kwadrans spotkamy się w gospodarstwie przesiedleńców. A ja w tym czasie spróbuję coś z niej wydobyć. I nie róbcie niczego, dopóki nie zjawią się tu ludzie z jednostki specjalnej – dodał, przypominając sobie martwego psa.

Prahm skinął głową. Nie podobało mu się, że Gehring odgrywa wobec niego rolę szefa. Z ledwo skrywanym obrzydzeniem wziął podaną mu przez Gehringa wizytówkę.

– I pamiętajcie: szukamy nie tylko naszej koleżanki policjantki, ale także zwłok zaginionych mieszkańców tej wsi i mordercy, który gdzieś tu krąży.

Prahm pogłaskał się po brodzie, ale nie skomentował tych słów.

– Nie zapominajcie o tym – dodał Gehring. – Zachowajcie ostrożność, nie szarżujcie.

Prahm skinął głową i wyszedł na drogę.

Esther nadal siedziała na ławce jak skamieniała. Gehring usiadł obok niej i obserwował, jak jej pokurczone palce wygrywają głuchy rytm na lasce.

– Chciałbym zapytać o Walburge – zaczął.

Na dźwięk jego głosu Esther przestała „grać”.

– Walburga Wahl opowiadała mi o gospodarstwie przesiedleńców. Pani mąż był piekarzem, pierwszą osobą, która zginęła. Jak to się stało, że policja nie wszczęła w tej sprawie śledztwa?

– A powinna?

– Patrząc na to z perspektywy czasu – tak. Wtedy wyglądało to na zwykły nieszczęśliwy wypadek. Kiedy do pani dotarło, że to był początek całej serii?

– Jakiej serii?

– Kolejną ofiarą był stolarz.

– Utopił się. Zdarza się, jeśli ktoś jest pijany i wpada do rzeki.

– Potem zaginęli Weberowie. Podejrzewamy, że zostali zamordowani w jednym z zachodnich landów, a ich zwłoki sprawca porzucił w różnych miejscach. Zależało mu, żeby nikt nie mógł zidentyfikować ofiar ani powiązać ich z żadną inną sprawą.

– Weberowie mieszkają na Costa Blanca.

– To nieprawda. Oboje nie żyją.

Kobieta zaczęła bębnić palcami trochę szybciej. Brzmiało to tak, jak gdyby chciała zagrać na fortepianie jakiś ostry dysonans.

– A Vennloh? – dopytywał się Gehring. – Gdzie mogę go znaleźć?

– Mieszka w Ameryce.

– Nigdy tam nie dotarli. Mam tu listę z nazwiskami mężczyzn, którzy nigdy do Wendisch Bruch nie wrócili. Na przykład Erich Wahl.

– Czy pan uważa, że ja jestem strażniczką moich sąsiadów?

– Jest pani najstarszą mieszkanką wsi. Widziała pani, co tu się dzieje: jak pustoszeją kolejne domy i znikają mężowie pani sąsiadek, a one żyją w śmiertelnym strachu. Spotykała się pani z nimi i rozmawiała o tym wszystkim. Może szeptały w tajemnicy: „Mój mąż zginął. Twój też?”.

– Plotki mnie nie interesują.

– Myślę, że te wszystkie osoby nie żyją. Jakie jest pani zdanie?

Largo. Mrocznie, głęboko, żałobnie.

– Wszystkich tych mężczyzn łączyło jedno: każdy z nich zgwałcił Margot Rubin. I to nie raz. Trwało to latami i z czasem stało się czymś tak powszednim, jak oglądanie meczu albo wypicie piwa po pracy. Co pani robiła, kiedy mąż do niej chodził? Grała na pianinie?

Ester wciągnęła wargi za bezzębne dziąsła i milczała.

– Niech mi pani powie, czy tych mężczyzn zamordowały ich żony? Gdzie są ich ciała? W owczarni? W odpływach kanalizacyjnych? W suszarni?

Adagio. Spokojnie i cicho.

– My tego nie zrobiliśmy.

– Jasne – odparł Gehring kwaśnym tonem. – Wierzę pani na słowo.

– Byłabym rozczarowana, gdyby podejrzewał pan zemstę. Nie byliśmy w stanie wykrzesać z siebie takiego uczucia. Nie zrobiliśmy tego.

– W takim razie kto?

– Na tym polega zagadka Wendisch Bruch. Będzie pan bohaterem, jeśli ją pan rozwiąże.

Andante. Jak widać, starsza pani czuje się pewnie. Gehring zerknął na zegarek. Zostało mu już tylko dziesięć minut, a on nadal nic z niej nie wyciągnął. Najwyżej tyle, że kobiety z tej wsi były twardsze od granitu.

– Czy Cara i Charlotte też były gwałcone? – spytał.

– Mnie przy tym nie było.

Zimna jak lód. Gehring wstał, bo czuł bijący od niej chłód. Przypomnił sobie o Brocku. Ta wieś byłaby prawdziwym rajem dla każdego psychoanalityka. W tej samej chwili przyszedł mu na myśl ostatni eśemes od Schwab i jej tajemnicze słowa.

– A siostry Charlie? – spytał. – Inne dzieci Margot Rubin?

Esther uniosła powoli głowę i popatrzyła na niego na wpół niewidzącymi oczami. Przypominała kapłankę, która za chwilę ogłosi straszną wyrocznię.

– Nie żyją.

Gehring zaczerpnął powietrza, starając się ukryć zaskoczenie.

– Jak te dzieci zmarły?

– One nigdy nie żyły.

– Skąd pani wie?

– Od Brunona.

Gehring zaczął gorączkowo szukać w pamięci mężczyzny o imieniu Bruno, ale nikogo takiego nie znalazł.

– Brunona?

– To pies Walburgi.

Widocznie wszyscy są tu stuknięci, pomyślał Gehring. Okazuje się, że jest w to zamieszany także jakiś pies.

– Czy ten pies umie mówić? Jak mam rozumieć pani słowa?

– To się stało dwa albo trzy razy. Zanim wszyscy zaginęli. Bruno lubił obie dziewczyny, żadne inne dziecko nie chciało się z nimi bawić. O wiele lepiej szło im ze zwierzętami. Bruno zostawał czasem u nich w gospodarstwie na noc. Walburga nie umiała temu zapobiec. Pies wymykał się od niej przez sad, nie pozwalał się zamknąć. Nocą wszyscy go słyszeliśmy.

Kobieta spuściła głowę. Jej palce poruszały się coraz wolniej. *Larghissimo*. Bębniły w gałkę laski, głaskały zgięcie.

– Bruno był straszny. Okrutny. Był prawie jak wilk. Inne psy we wsi zachowywały czujność, przyłączały się do niego i tak jak on wyły do księżyca. Nikt nie mógł wtedy zmrużyć oka.

– Jak pani sądzi, co to mogło znaczyć?

– Nikt nie mówił o tym otwarcie, ale wszyscy się domyślali. Tygodniami jej nie widywałyśmy. Rzekomo z powodu choroby. Rok później to samo. W następnym roku znowu. Najpierw była gruba, a po jakimś czasie już nie. Raz gruba, raz chuda.

– A co to ma wspólnego z psem?

– Potem już nigdy tak nie wył.

Bruno, strażnik dzieci, zawiódł.

– Dlaczego nikt nie zgłosił tego na policję?

Esther pociągnęła pogardliwie nosem, a jej palce zaczęły wystukiwać na lasce szybkie złowrogie *allegro*.

– A co mieliśmy zgłaszać? Że połowa wsi regularnie gwałci upośledzoną umysłowo kobietę, która zachodzi w ciążę, a potem zabija swoje dzieci?

– Czy mówi coś pani nazwisko Werner Leyendecker?

Kobieta przekrzywiła lekko głowę, jakby próbowała sobie coś przypomnieć. Widać było, że kosztuje ją to sporo wysiłku.

– Nie. To nikt stąd. Kto to był?

– Przedstawiciel handlowy firmy sprzedającej maszyny rolnicze. Wiele lat temu nocował w zajezdzie Pod Lipą.

– A, tak – potwierdziła Esther skinieniem głowy. Jej dolna szczęka zaczęła się szybko poruszać. – Tacy jak on też często zaglądali do tamtego gospodarstwa.

W tym momencie zadzwoniła komórka Gehringa. Przedarł się przez krzaki, wyszedł na drogę i dopiero wtedy odebrał.

– Słucham?

– Mówi Prahm. Znaleźliśmy tę owczarnię. Niech pan pojedzie drogą na Baruth. Czy jest pan uzbrojony?

– Tak. Czemu pan pyta?

– Obserwujemy to miejsce. Ze wzgórza trudno coś zobaczyć, ale myślę, że w środku przebywają trzy osoby – dwaj mężczyźni i kobieta. Co mamy robić?

– Czekać – odparł Gehring i pobiegł do samochodu.

Rozdział 50

Jeremy patrzył bezradnie na ciało zanurzone do połowy w błocie. Było ubrane w czarne, wilgotne, przyklejone do skóry ubranie. Zbyt duży podkoszulek, dzinsy, sportowe obuwie. Kobieta musiała być jeszcze młoda, wszystko wskazywało na to, że spoczywa tu krócej od innych. Obok niej leżały szczątki kilku szkieletów.

– Co to jest? – wydusił z siebie. – Masowy grób?

Spornitz, która wisiała Martenowi na ramieniu jak lalka, przyglądała się znalezisku szeroko otwartymi oczami. Marten ponownie wyjął strzykawkę, ale trzymał ją w większej odległości od jej szyi niż przedtem.

– To jest zemsta Charlie – wyjaśnił.

Spornitz pokręciła głową, ale nie była już w stanie czegokolwiek powiedzieć.

– Zabiliście aż tylu ludzi? – spytał Jeremy, licząc ofiary w myślach.

– Nie Charlie, ty durniu. To jest zemsta za jej los! Twoja matka, Caro, urodziła po tobie jeszcze trójkę dzieci. Pamiętasz?

– Nie – odparła Spornitz bezdźwięcznym głosem.

– Tak właśnie myślałem i dlatego cię tu przyprowadziłem, żebyś to sobie obejrzała. Te dzieci ciągle tu leżą. To twoje trzy siostry. Słodkie, miłutkie dziewczynki. Tak jak ty. Często zadawałem sobie pytanie, dlaczego wam pozwolono żyć, a im nie. Może dlatego, że gdy ten horror się zaczął, byliście już zbyt duże?

– Siostry? – spytała Spornitz głosem, który przypominał charczenie.

Jeremy próbował zrozumieć straszliwy dramat, jaki rozgrywał się na jego oczach.

– Charlie też się nad tym zastanawiała – kontynuował Marten. – Jestem tego pewien, chociaż była to jedyna rzecz, o której nigdy ze mną nie rozmawiała. Dlaczego jedni idą do piachu, a inni żyją?

– Ja... ja nie wiem.

Po tych słowach Spornitz osunęła się na ziemię. Była już tak osłabiona, że nie potrafiła utrzymać się na nogach. Marten uniósł ją jednym ruchem ręki. Jeremy nie był w stanie tego wszystkiego ogarnąć. Trzy szkielety dziecięce, cztery szkielety dorosłych ludzi, świeże zwłoki kobiety i facet, który jest sprawcą tych wszystkich zbrodni, a teraz na dodatek zamierza jeszcze zabić Carę.

– Kto zabił te dzieci? – spytał.

– Charlie.

– Nie! – krzyknęła Spornitz głosem, który przypominał rozpaczliwe wycie.

Jeremy poczuł, że jej krzyk przenika go do szpiku kości.

– Nie! Nie! Nie! Kłamiesz!

– No dobrze, kłamię – odparł Marten, uśmiechając się szeroko.

Jeremy od razu się domyślił, że kryje się za tym czysta rozpacz, a Marten cierpi w rzeczywistości z powodu tego, co się stało i co ma się jeszcze wydarzyć. Mimo to wcale mu nie współczuł. Ten człowiek był mordercą bez względu na to, z jakich powodów zabijał.

– To pan zabił te dzieci? – spytał.

– Nie.

– A kto? – zaszlochała Spornitz. – Wyrzuc to wreszcie z siebie, ty pieprzony gnojku!

– Już powiedziałem: twoja matka, Cara *mia*. Po każdym porodzie Charlie musiała jej przynosić wiadro wody. Żeby jeszcze wasza matka sama je zabijała, żeby robiła to za zamkniętymi drzwiami, podczas gdy wasz ojciec leżał pijany... Ale nie, ona musiała zapraszać do pomocy Charlie. Dużą, silną Charlie. Tak, to Charlie przyjęła na świat trójkę dzieci. Trzy razy miała na rękach swoje maleńkie siostry.

Marten poluzował trochę uchwyt i Spornitz od razu osunęła się na ziemię. Mężczyzna kucnął przy niej i przycisnął ją do siebie. Strzykawkę trzymał gotową do użycia. Nagle Jeremy zauważył, że Marten zaczął mrugać, jakby wpadło mu do oczu kilka kropel potu.

– Dwójka z tych dzieci jeszcze żyła. Oddychały, krzyczały, były głodne. Czy pamiętasz pierwszy płacz? To był pierwszy płacz twoich małych siostrzyczek.

– Tak – szepnęła Spornitz.

– Zdrowe, małe różowe dziewczynki. Wasza matka kazała Charlie przynieść wiadro wody. Charlie myślała, że to do umycia tyłka, bo wasza matka urodziła, siedząc na sedesie. Kiedy wróciła, dziecko leżało na podłodze. Tylko raz było w ramionach matki. Czy chciała je pocałować? Nie. Wsadziła je do wiadra głową w dół.

Spornitz skuliła się i ukryła twarz w dłoniach. Marten odepchnął ją niechętnym gestem.

– Utopiła je tak, jak się topi kocięta. Potem dała wiadro Charlie i kazała jej wyjść. Charlie szła nocą przez Wendisch Bruch ze swoją martwą siostrą i tylko psy to wyczuwały. Tylko one!

Marten uniósł głowę Cary i znowu przyłożył jej igłę do szyi. Jeremy chwycił za belkę. Niestety, była zbyt duża i ciężka, żeby posłużyć się nią jako bronią. Mimo to postanowił spróbować.

– Daj spokój – powiedział Marten znużonym głosem. – Cara zginie, zanim zdążysz to podnieść.

Jeremy opuścił ręce.

– A gdzie ty wtedy byłeś? – zaszlochała Spornitz. – Marten, starszy brat, mściciel niewinnych... Gdzie byłeś?

W tym momencie Marten wbił jej igłę w szyję. Spornitz krzyknęła i spojrzała na Jeremy'ego szeroko otwartymi oczami.

– A gdzie ty byłaś, Caro?

– Przecież ona była jeszcze dzieckiem! – zawołał Jeremy. – Co tu się dzieje? Chcesz sądzić jedyną niewinną osobę w tej wsi?

– Mogła coś zrobić! Ona, właśnie ona! Ale udawała, że nic nie widzi, tak jak inni.

– Bo nie mogła nic zrobić. Jestem psychologiem, mogę ci to wyjaśnić.

Marten wyciągnął igłę z szyi Cary. Jeremy uznał to za swój mały sukces.

– Bardzo proszę, wyjaśnij mi, jak mogło do tego dojść. Wszyscy wiedzieli, co się tam dzieje, i wszyscy milczeli.

– Bo każdy czekał, aż zareaguje ktoś inny – odparł Jeremy. – Ale teraz ktoś musi w końcu zacząć mówić. Na przykład pan.

– Nie.

Dopiero w tym momencie Jeremy się zorientował, że to, co widzi w oczach Martena, to nie krople potu, tylko łzy. Spornitz dotknęła ostrożnie rany na szyi.

– Nie wolno ci tak dłużej zabijać – szepnęła. – Przestań. Błagam cię.

Marten otarł oczy ręką. Widać było, że jest na siebie zły, iż przez chwilę okazał słabość. Jego głos znowu był zimny, pełen wyższości.

– Widzę, że ty dalej nic nie rozumiesz. Co się musi stać, żeby w końcu do ciebie dotarło, co się przydarzyło Charlie? Twoja matka zabijała swoje dzieci zaraz po ich urodzeniu, a potem dawała swojej

córcę wiadro z martwym płodem. Jak to oceniasz?

– Ja... ja nie wiem.

– Charlie nie tylko musiała się przyglądać, jak jej nowo narodzone siostry są zabijane, ale także odgrywała rolę grabarza. A dokąd szła ciemną nocą przez wieś z wiadrem, w którym leżały zwłoki niemowlaka? Co miała z nimi zrobić? Pochować gdzieś? A może wrzucić do rzeki? Charlie przyszła do mnie, a ja zdjąłem z niej ten ciężar. Potem zrobiłem to jeszcze dwa razy.

Dopiero w tym momencie Jeremy zrozumiał całą logikę tego szaleństwa – sens zabicia ostatniej niewinnej osoby. Cara to dziecko szczęścia, Charlie – kobieta z cienia. Jest też Marten, który nie potrafił tych cieni rozpędzić i dlatego postanowił zabrać wszystko do krainy ciemności.

– Tamtej nocy Charlie przestała być sobą. Przestała być dziewczyną, którą znałem wcześniej, która podarowała mi swój talizman, dla której wyciąłem scyzorykiem na ławce serce i napis „C i M, na zawsze”.

Marten chwycił nieświadomie za srebrny łańcuszek na szyi, ale od razu opuścił rękę. Jeremy wiedział, że kiedyś wisiął na nim medalion.

– Święta Katarzyna? – spytał. – Teraz już rozumiem. To pan przyniósł Charlie medalion, gdy tak bardzo go potrzebowała. To pan był jej opiekunem duchowym. Jak pan się wślizgnął do niej na oddział?

– Ludzie widzą zawsze to, czego się spodziewają: duchownego, klauna, nieudacznika. Tylko Charlie widziała we mnie kogoś innego. Ale po tamtej nocy coś się skończyło. Wszystko zaczęło wywoływać w niej obrzydzenie, ja też. Nie chciała dalej żyć. To wtedy chciała się pierwszy raz powiesić. Ale ty o tym nie wiesz, prawda?

Spornitz skinęła głową. Jeremy bał się ruszyć palcem. Rozmiary tragedii, jaka rozegrała się w tej małej wiosce, sprawiły, że siedział jak sparaliżowany.

– Potem nastąpiła chwilowa poprawa. Następnego lata wydawało mi się, że to wszystko było jakimś koszmarem. Niestety faceci ciągle tam przychodzili, a twoja matka znowu zaszła w ciążę. Przyszła noc, gdy Charlie znowu szła z wiadrem przez wieś. Przechodziła obok domów, w których za czystymi firankami w czystych łóżkach leżeli ci sami faceci, a milczące kobiety poprawiały im poduszki pod głowami. Jak się wtedy czuła? Nie wiem. Brakuje mi wyobraźni, żeby sobie na to pytanie odpowiedzieć. To prawdziwy cud, że od tego nie zwariowała.

– Przestań! Przestań wreszcie!

– Nie! Nie przestanę, bo to jeszcze nie koniec. Kto był ojcem tego dziecka? Piekarz, który zachodził tam w niedzielny wieczór w drodze do pracy? Elektryk, który lubił robić to na ostro? Rzeźnik, który za każdym razem przynosił z sobą psią obrożę? Goście, którzy nocowali w zajeździe Pod Lipą i przy okazji brali twoją matkę parami? Dlaczego nie odeszła? Dlaczego nie chroniła przynajmniej swoich dwóch córek, które pozostawiła przy życiu?

– Przestań! – krzyknęła Spornitz. – Nie chcę tego dłużej słuchać? Nie chcę!

– Przeciwnie, musisz mnie wysłuchać do końca. Tak jak Charlie. Ona wiele słyszała i o wiele więcej przeszła. W tym samym czasie ty leżałaś w swoim łóżeczku i udawałaś, że wszystko jest w porządku. Którejś nocy Charlie kolejny raz przyszła z wiadrem do naszego ogrodu. Nie powiedziała ani słowa, tylko je postawiła, odwróciła się i odeszła, a ja zrobiłem to, co musiałem.

Jeremy zerknął do dołu. Na widok małych poczerwiałych szkieletów oczy zaszczyły mu łzami. Próbował nad sobą zapanować. Tylko nie tu, pomyślał, nie na oczach Cary. Mimo to łzy i tak spływały mu po twarzy.

– To pan pogrzebał te wszystkie dzieci? – spytał.

Marten skinął głową i wciągnął nogę, żeby zająć bardziej wygodną pozycję.

– Po tym, co się stało, Charlie jak gdyby rozpląnęła się we mgle. Niestety, następnego roku historia

znowu się powtórzyła, a ja już wiedziałem, że to się nigdy nie skończy, że będzie trwało dopóty, dopóki tamci mężczyźni będą przychodzić do twojej matki i dopóki ona będzie żyć. Twoja matka znowu zaszła w ciążę i urodziła.

Spornitz zacharczała. Leżała Martenowi na ramieniu jak ofiara drapieżnika.

– Tamtej nocy sam poszedłem do waszego gospodarstwa. Bruno mnie obudził. Razem z Charlie chcieliśmy uratować przynajmniej to jedno dziecko. Zamierzaliśmy je gdzieś podrzucić, jak najdalej stąd. Niestety, zjawiliśmy się za późno. Dziecko urodziło się martwe i tak oto kolejne zwłoki trafiły do tego dołu. – Marten spojrzał na Jeremy’ego, który stał jak skamieniały. – Potem przysłała kolej na Charlie. Po tym porodzie twoja matka długo wracała do zdrowia, bo straciła dużo krwi. Ale twój ojciec potrzebował wódki, więc interes musiał się kręcić dalej. Przez jakiś czas się nad tym zastanawiał, aż w końcu przypomniał sobie, że ma starszą córkę. Miała wtedy czternaście lat, ale wyglądała jak dojrzała kobieta. Jej dziewictwo wystawił na coś w rodzaju aukcji. Najwyższą cenę zaoferował mój ojciec. Dopiero później się o tym dowiedziałem. Już wtedy chciałem go zabić, ale byłem na to zbyt młody. W ostatnim momencie stchórzyłem. Nikt nie miażdży własnemu ojcu gardła łopata ot tak. Darowałem mu i zostawiłem go w spokoju. On nie miał takich skrupułów. – Mówiąc to, Marten wskazał na nos i bliźnę na twarzy.

– Boże! – szlochała Spornitz. – Tak strasznie mi przykro.

– Sama wyrządzasz sobie przykrość, bo musisz tego wysłuchać. Czy teraz przynajmniej żałujesz?

– Tak! Tak! – krzyknęła Cara śmiertelnie przerażona.

– Kiedy wyszedłem ze szpitala, wiedziałem, że nikt nie kiwnie palcem, żeby ten proceder zatrzymać. Dosłownie nikt. Uznałem więc, że jedynym rozwiązaniem będzie usunięcie z tego świata tych, którzy byli odpowiedzialni za to całe nieszczęście. Którejś nocy wszedłem do piekarni tylnymi drzwiami. On stał akurat przy dzieży, żeby wyciągnąć z niej ciasto. Na pewno się nie spodziewał, że taki młody chłopak może być dla niego groźny. Wyśmiał mnie i powiedział, że baby we wsi potrafią tylko spółkować i że każdy powinien robić to, na czym się zna najlepiej. Prawda? – Spojrzał na Jeremy’ego. – Prawda? – powtórzył.

Jeremy nie odpowiedział. Zastanawiał się, jak obezwładnić Martena, nie sprowadzając tym samym niebezpieczeństwa na Carę. Niestety nie miał żadnego pomysłu. Granica okrucieństwa została przekroczona. Przypomniał sobie słowa, które Charlie wypowiedziała w gabinecie Brocka: „Jużem tak głęboko w krwi zagrzązł”...

– Najpierw zapchałem mu gębę tym jego ciastem, a potem wziąłem kij od miotły, żeby mu pokazać, jakie to uczucie. Chciałem, żeby przynajmniej w przybliżeniu wiedział, o czym mówię. Żeby zrozumiał. Właśnie o to mi chodziło. Rozumiesz?

Spornitz skinęła pospiesznie głową.

– Mój ojciec poszedł pewnego dnia kupić papierosy. Dotarł tylko do tego budynku.

Jeremy zauważył z przerażeniem czarny szpadel leżący obok jednego ze szkieletów. Był na wpół zanurzony w błocie, oblepiony brudem i odchodami.

– Kiedy tu wszedł i zobaczył trzy dziecięce szkielety, od razu zrozumiał. Położyłem go na samym dole.

– Na samym... – Jeremy nie dokończył, bo zabrakło mu słów.

– Tak. Żył jeszcze cztery dni.

– To był pański ojciec!

– Był zabójcą Charlie. On i wielu innych.

– Teraz już rozumiem – szepnęła Spornitz. – Pozwól nam stąd odejść.

– Stolarzowi przydarzył się wypadek w czasie kąpieli w rzece. Ktoś musiał wejść na dach, żeby naprawić antenę telewizyjną, i spadł na ziemię. Wypadków było coraz więcej, pojawiły się plotki, że

wszyscy, którzy przychodzili do twojej matki, umrą gwałtowną śmiercią. Zaczęli się więc pakować, żeby stąd wyjechać. Dwóch dopadłem w drodze za granicę. Jeden z nich wybierał się do Ameryki. Teraz też tu leży. A Charlie przychodziła co jakiś czas do suszarni, żeby się powiesić. Wiedziałem, że to się skończy dopiero, gdy wyjedzie z Wendisch Bruch. Nie chciała. Dlaczego? Z twojego powodu. To przez ciebie została w tym piekle. Przez ciebie nie mogła zapomnieć. Czuła się winna. Była milczącą współniczką zabójczynie dzieci i została zgwałcona. Mężczyźni z Wendisch Bruch zabawiali się najpierw z jej matką, a potem chcieli się przesiąść na Charlie. To dlatego obie siostry musiały stąd wyjechać.

– A ten człowiek z ogrodu zoologicznego? On też był jednym z nich?

Marten spuścił wzrok i niechętnym ruchem przetarł oczy.

– Potem przez długi czas nie wiedzieliśmy się z Charlie, chociaż mieszkaliśmy w tym samym mieście. Byliśmy, ale jednocześnie nie byliśmy razem. Tak też było dobrze. Niespodziewanie zadzwoniła do mnie w maju. Powiedziała, że w ogrodzie zoologicznym spotkała jednego z tamtych facetów z Wendisch Bruch. Spytała, co ma zrobić: porozmawiać z nim, czy iść na policję.

– Była na właściwej drodze – przerwał mu Jeremy. – Tamten rozdział miała już za sobą. Chciała żyć, a pan to wszystko zniszczył.

– To nieprawda! Odpowiedziałem jej wtedy: „Obserwuj go, nie spuszczaaj z oczu, za godzinę tam będę”. Związałem go, zakneblowałem i czekałem, aż się ściemni. Długo u niej siedziałem. Niewiele rozmawialiśmy, ale nawet jej nie dotknąłem. Chciałem się tylko dowiedzieć, co jest potrzebne, żeby ktoś zachował świadomość, ale nie mógł się bronić. Charlie mi to wyjaśniła i dała mi pewien środek. Nie wiedziała, co zamierzam. Nawet nie spytała.

Spornitz opadła na ziemię, ale tym razem Marten jej nie podniósł. Kiedy jednak chciała się przysunąć do Jeremy’ego, chwycił ją za łydkę i przytrzymał. Nie było to trudne. Po prostu przyciągnął ją do siebie jak lalkę. Spornitz płakała. Marten objął ją i przycisnął do siebie.

– Zrobiłbym wszystko, żeby jej pomóc, ale była szybsza. Odpokutowała za moje winy. Charlie była aniołem, którego ktoś splugawił, odarł z godności, wdeptał w ziemię.

– To nieprawda – zaprotestowała Spornitz. – Ty tylko pogorszyłeś całą sytuację. Wszystko wróciło! Charlie zabiła się z twojej winy.

– Widzę, że nadal jesteś ślepa i głucha, drogi Kopciuszk. Czy nadal wpadasz w złość, kiedy pobudzisz swoją białą sukieneczkę? Zaraz wszystko zrozumiesz.

Jeremy rozglądał się rozpaczliwie po całej owczarni w poszukiwaniu jakiegokolwiek przedmiotu, którego mógłby użyć jako broni. Czas na zwierzenia minął i zaczęło się odliczanie, bo Marten rozumiał, że jego czyny wcale nie były aż tak honorowe, jak sobie wcześniej wyobrażał.

Mężczyzna puścił nogę Cary i wstał z ziemi.

– Podejdź do niego i wejdźcie do dołu. Oboje.

– Nikomu o niczym nie powiem. Naprawdę. Przysięgam.

– A on?

Spornitz spojrzała na Jeremy’ego.

– On też nie. Prawda, że o niczym nie powiesz? Dlaczego milczysz? Powiedz coś!

Jeremy wpatrywał się w dół, a to, co tam ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach.

– Połóżcie się obok siebie.

Jeremy oderwał oczy od kobiety leżącej w dole i skupił wzrok na swoich stopach. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiego koszmaru. Czyżby nadeszła jedna z tych chwil, kiedy człowieka ogarnia szaleństwo? Pomyślał o Brocku. Szkoda, panie profesorze, że nie będę mógł panu o tym opowiedzieć. Zszedł do zagłębienia i o mało się przy tym nie potknął. Błoto sięgało mu do kostek.

– Kłąć się!

– Ale tu już ktoś leży.

Marten podszedł bliżej i zerknął w dół.

– Faktycznie, widzę, że robi się tu ciasno. Przykro mi. Pan pierwszy, Jeremiaszu.

Ale Jeremy nie ruszył się z miejsca. Marten uniósł Carę z ziemi i popchnął ją w taki sposób, żeby wpadła w ramiona Jeremy'ego. Krzyknęła i rzuciła się w bok.

– Nie! Nie!

– Kładź się!

– Chodź, Caro – powiedział Jeremy, przyciągając ją do siebie. Pocałował ją w czoło, odsunął od siebie i położył się w błocie wypełniającym dół.

– Jeremy! – krzyknęła Spornitz. – My tu umrzemy!

Marten pochylił się, żeby wbić jej w szyję igłę strzykawki, ale nagle stało się coś, czego żadne z nich się nie spodziewało. Oto kobieta leżąca w dole – rzekomo martwa – otworzyła oczy. Jej białka zajaśniały w ciemnościach, ale twarz nadal była sztywna jak maska. Uderzyła Martina kantem dłoni w taki sposób, że ten poleciał bezwładnie w dół, prosto na nią.

Spornitz odeszła na bok i zwymiotowała.

– Czy moglibyście... – zaczęła kobieta zdyszczym głosem, jak gdyby zabrakło jej powietrza. – Czy moglibyście mi pomóc?

Jeremy zrzucił z niej Martena, a potem wygramolił się z dołu i wyciągnął kobietę na środek owczarni. Była zbyt słaba, żeby samodzielnie stać, dlatego położyła się na ziemi. Jeremy zajął się Carą. Spornitz drżała i sapała, ale kiedy pomógł jej wstać, dzielnie trzymała się na nogach. Teraz Jeremy wziął garść słomy i zaczął nią wycierać twarz kobiety. Wargi jej drżały.

– Zabierzemy panią stąd – powiedział. – Już po wszystkim.

Oboje z Carą pochylili się nad nią. Jeremy usiadł obok i dotknął jej ramienia. Kobieta otworzyła oczy. Jeremy cały czas pilnował, żeby jego dłonie dotykały jej ciała – ramion, dłoni. Chciał, żeby czuła obecność żywego człowieka.

– Wszystko będzie dobrze. Czy pani mnie słyszy?

Kobieta skinęła głową. Spornitz podbiegła do wejścia i wyjrzała na zewnątrz.

– Policja! Radiowóz! – krzyknęła. – Tam, na wzgórzu! Ludzie i psy! Policja już tu jest! Jeremy!

Spornitz podbiegła do niego i pocałowała go. Szlochała, płakała i obejmowała nieznaną kobietę, która nadal leżała nieruchomo na ziemi, a Jeremy'ego ścisnęła tak mocno, że prawie nie mógł oddychać. Jeremy był uszczęśliwiony. Żyją. Udało im się.

Wynieśli kobietę z szopy i ostrożnie położyli ją na ziemi. Ze wzgórza zbiegało mnóstwo ludzi. Po chwili znaleźli się przed szopą. Jeden z mężczyzn, ubrany po cywilnemu, skierował się w ich stronę.

– Gehring! – wrzasnął, jeszcze zanim do nich dobiegł. – Znalazł ją pan?

Jeremy przycisnął do siebie Spornitz, która nadal chwiała się na nogach. Chciał coś powiedzieć, ale Gehring rzucił się na ziemię, żeby zająć się kobietą, która bardziej przypominała topielca niż żywego człowieka.

– Beara! – krzyknął. – Niech się pani obudzi! Zaraz nadejdzie pomoc!

Pogłaskał ją po twarzy i wyjął jej z włosów dwa źdźbła słomy. Miał bezradną minę i nie wiedział, co robić. Jeremy pomyślał, że komisarz zachowuje się całkiem naturalnie. W życiu człowieka są czasem takie chwile, gdy zaczyna się nad sobą zastanawiać. Robi wtedy rzeczy, które nakazuje mu sytuacja, bo kolejna okazja może się już nie nadarzyć.

– Wszystko w porządku? – pytał Gehring, klepiąc Bearę po twarzy.

Kobieta pokręciła słabo głową. Przecież nie mogła kłamać.

– Mało brakowało, a byłoby za późno. Setka ludzi przeczesuje wieś. Co jest w tej szopie? Gdzie się

pani podziwiała przez cały ten czas? Słyszysz mnie pani?

Jeremy doszedł do wniosku, że Gehringowi brakuje piątej klepki.

– Niech pani jeszcze trochę wytrzyma! – wołał Gehring. – Wszystko będzie dobrze.

W pewnej chwili Gehring pochylił się nad kobietą, wziął ją w ramiona i przycisnął do siebie. Kołysał ją, mocno obejmował i mruczał po cichu jakieś słowa, których Jeremy nie słyszał i nie chciał słyszeć. Uznał jednak, że kobieta jest w dobrych rękach.

Dwaj policjanci towarzyszyli Spornitz i Jeremy'emu aż na wzgórze. Tymczasem przyjechały już karetki i kolejne radiowozy. Wendisch Bruch zapełniła armia ludzi, którzy rozeszli się po domach i ogródkach. Na horyzoncie, gdzieś za burzowymi chmurami, zachodziło słońce.

Jeremy odwrócił się, żeby ostatni raz spojrzeć na owczarnię. Marten, który leżał przypięty pasami do noszy, odzyskał przytomność. Gehring stał przy Bearze. Lekarze podłączyli jej kroplówkę i włożyli na twarz maskę tlenową.

– Myślałem, że ona nie żyje – powiedział Jeremy.

– Ja też – przyznała Spornitz, która nadal drżała.

Jeremy objął ją, żeby ją ogrzać.

– Nagle otworzyła oczy i położyła palec na ustach. Od razu przypomniały mi się horrory – groteskowe, przerażające, niepojęte. Zrozumiałem jednak, że jeśli ktoś w tym dole przeżył, to na pewno ma jakiś plan.

– Ja nie mam żadnego planu – szepnęła Spornitz. – Czuję się jak ofiara katastrofy. Wszystko się zawaliło, nic z tego nie rozumiem. Marten wymordował połowę wsi, żeby zemścić się za Charlie, a ona mu na to pozwalała...

– Myślę, że Charlie nic o tym nie wiedziała. Możliwe, że się tylko domyślała. Ale kiedy został zamordowany Leyendecker, musiała sobie w końcu uświadomić, co Marten dla niej zrobił – całą tę przerażającą prawdę.

– Ale przecież wzięła winę na siebie! Chroniła go!

– Wcale tak nie było. Charlie chroniła tylko siebie. Przez całe życie. Jesteś jedyną osobą, która wychodzi z tej sprawy bez szwanku. Dlaczego? Bo żyłaś z głową w chmurach.

– To dlatego Marten mnie tak nienawidził. Charlie zresztą też.

– Nie wmawiaj sobie takich rzeczy. Być może Charlie przestała sobie radzić w życiu, ale chciała cię chronić. Nie tylko przed Martenem, ale także przed wspomnieniami. Wyobrażała sobie, że jest jakimś archaniołem. Żałuję, że nie zdążyliśmy z nią porozmawiać. I nie chodzi mi tylko o wyrobienie opinii. Możliwe, że moglibyśmy jej pomóc.

Spornitz pokręciła głową.

– Wątpię, bo przecież nadal był Marten. Wiedział, że jeśli sobie o wszystkim przypomnę, będzie to oznaczało jego koniec.

– Marten zrozumiał to w chwili, gdy wrócił Bruno. Myślę, że pies wiedział, co się stało z tą kobietą – powiedział Jeremy. Oboje z Carą obserwowali, jak sanitariusze niosą Bearę na noszach. – I nagle zjawiasz się ty. W tym momencie Marten zrozumiał, że jest już po sprawie. Nie było już ani jednej osoby, na której mógłby skupić swoją nienawiść. Zostałaś mu tylko ty i twoja niewinność. Postanowił pozbyć się was obu.

– Ja już chyba nigdy nie będę normalna.

Spornitz chciała się wyślizgnąć z jego ramion, ale Jeremy zbyt mocno ją trzymał. Zmusił ją w ten sposób, żeby spojrzała mu w oczy.

– Oby nie. Byłoby zbyt nudno.

Chciał ją pocałować, ale Spornitz odwróciła głowę.

– Jestem chora. Widziałam i byłam ślepa. Słyszałam i byłam głucha. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Owszem, zrobisz to. Pomogę ci, jeśli tylko się zgodzisz. Jesteś na najlepszej drodze, żeby pomóc samej sobie. Tak mi podpowiada mój instynkt psychologa.

– A ty? – spytała Spornitz, patrząc na niego nieufnym wzrokiem. – Co ty o tym sądzisz?

Jeremy na chwilę się zawahał, ale w końcu postanowił powiedzieć prawdę:

– Źródłem wszystkiego, co wydarzyło się w tej szopie, była miłość. Bez względu na to, jak bardzo nam się to wyda groteskowe i straszne. Kocham cię.

– Jak możesz akurat w takiej chwili...

– ...mówić o miłości? Mam być szczery? Uważam, że gdyby nie miłość, nie wytrzymałbym tego wszystkiego.

– Mogłeś odejść i uratować życie.

– To prawda.

– Ale zostałeś.

– Zostałem.

– Oboje przeżyliśmy.

– To dopiero początek.

– Ale ja nie wiem, jak z tym dalej żyć.

Jeremy odsunął jej z twarzy wilgotne zabrudzone włosy.

– Pomogę ci, jeśli będziesz chciała. Decyzja należy do ciebie.

Spornitz zamknęła oczy.

– Chcę – szepnęła. – Nawet nie wiesz jak bardzo.

Jeremy okrył ją kocem, objął i przytulił. Miał nadzieję, że będą mieli dla siebie jeszcze kilka chwil.

– Pan Saaler?

Jeden z policjantów podał mu komórkę.

– Dzwoni pański ojciec. Czy chciałby pan z nim porozmawiać?

Jeremy skinął głową i wysunął spod koca rękę, żeby wziąć telefon.

– To ty, tato? – spytał i w tej samej chwili uświadomił sobie, że po raz pierwszy od czasu gdy był dzieckiem, użył tego zdrobnienia.

W słuchawce zapadła cisza.

– Halo?

– Czy wszystko w porządku? – spytał Saaler.

– Tak – odparł Jeremy. – Nie ma powodu do obaw. Żyję. Wyświadczył mi przysługę i zadzwoń do Brocka. Powiedz mu, że miał rację. Koniecznie.

Jeremy czuł ciepło bijące od Cary. Zrozumiał, że każdy człowiek potrzebuje rodziny.

– Przyjadę do ciebie z pewną osobą – powiedział Jeremy.

– Czy to... ona?

Jak widać, Jason Saaler był o wszystkim dobrze poinformowany. Jeremy czekał tylko, aż usłyszy, że ojciec zamierza go wydziedziczyć.

– Tak – potwierdził.

W słuchawce zapadła cisza. W końcu Saaler powiedział:

– No cóż, w takim razie obejrzymy sobie tę młodą damę.

Jak widać, każdy człowiek potrzebuje rodziny. Nawet ktoś taki jak Jason Saaler.

Beara czuła, jak z każdą kroplą płynu, który sączył się z kroplówki, wraca jej życie. Leżała na noszach u stóp wzgórze. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, był pomarańczowoczerwony poblask bijący od burzowych chmur, które zakryły słońce i teraz świeciły odbitym od niego blaskiem. Słyszała wycie psów, karetki

pogotowia i syreny radiowozów, widziała krążące po okolicy umundurowane postacie i policjantkę, która odgradzała cały teren taśmą.

Komisarz Lutz Gehring, gruba ryba z komendy przy Sedanstrasse, pochylił się nad nią i pogłaskał ją po ręce, do której była podłączona kroplówka.

– Lepiej już? – spytał. – Poznaje mnie pani?

– Tak – jęknęła Beara, unosząc z twarzy maskę tlenową. – Niech pan zostawi moją rękę. To boli.

– O, bardzo przepraszam – odparł Gehring, przestępując niespokojnie z nogi na nogę. – Najważniejsze, żeby pani wróciła do zdrowia. Reszta może poczekać. Muszę przyznać, że miała pani nosa, naprawdę. Aż trudno uwierzyć, że wytrzymała pani w tym dole. Właśnie przed chwilą oglądałem to miejsce. Ekipa od zabezpieczania śladów zaraz tu będzie. Kto wie, co tam znajdą.

– Szkielety czterech dorosłych osób i trójki dzieci – szepnęła Beara. – Na dwóch są chyba ślady zewnętrznych obrażeń. W czaszkach są dziury.

Gehring spojrział na nią, a potem odwrócił się i otarł oczy. Prawdopodobnie wpadła mu do któregoś jedna z tych muszek, które czasem nieopatrznie połykamy.

– Ma pani u mnie kawę. Zaraz sprawdzę, czy da się coś zorganizować.

Odszedł, nie oglądając się za siebie. Beara próbowała unieść głowę, ale była na to za słaba. Wyglądało na to, że cios, który zadała Martenowi, odebrał jej resztki sił. To była ostatnia iskra, jaką z siebie wykrzesiała. Nagły impuls, jak przed laty w piwnicy, ostatni przejaw oporu, jak gdyby chciała powiedzieć: „Nie, nie zabierzesz mi życia. Należy do mnie, do ostatniego tchu”.

Zanim odjechała do szpitala, zjawił się Gehring z kawą. Miał zaczerwienione oczy. Pewnie wpadło mu do nich wiele muszek.

– Jest aż tak źle? – szepnęła na jego widok Beara.

Gehring pokiwał głową, co pewnie miało znaczyć „tak”.

– Skarga z powodu przekroczenia obowiązków służbowych? Trudno, ale nie musi pan z tego powodu płakać. Spróbuję znowu za rok.

Gehring chciał jej podać kawę, lecz Beara dała mu znak, że nie będzie pić. Nie mogłaby nawet utrzymać kubka w ręce.

– Jak już pani wyzdrowieje... – zaczął Gehring.

– Sporządzi pan odpowiedni protokół. Wiem.

– Nie. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy...

Nie dokończył. Rozejrzał się tylko, jak gdyby chciał sprawdzić, czy ktoś go nie obserwuje, i pogłaskał ją po włosach. Miał przy tym taką minę, jak gdyby stracił wątek. Coś takiego! Gehring zapomniał języka w gębie. Wydarzenie roku!

– ...pojechać do Hoppegarten, żeby obstawić gonitwę? – dokończyła Beara.

Skinął głową.

– Myślałam, że nie stawia pan na fuksy.

Wypił trochę kawy, nie patrząc na nią.

– Kiedyś będzie pani opowiadać o całej tej sprawie jako docent w szkole policyjnej – odparł.

Beara była zbyt zmęczona, żeby odpowiedzieć. Zresztą i tak zjawił się sanitariusz, który uniósł nosze, żeby wsunąć je do karetki.

– No to na razie – powiedział Gehring.

– Na razie – szepnęła Beara. – I niech pan nie zapomina: zawsze na fuksa.

– Już to zrozumiałem – odparł Gehring, ale ona go nie usłyszała, bo sanitariusz zamknął drzwi.

Dziękuję!

To już koniec książki. Zaczęłam ją pisać zimą w Berlinie, a skończyłam latem na południu Francji. Jej bohaterowie – Sanela i Gehring, Jeremy i Cara – towarzyszyli mi przez wiele nocy, dni, tygodni i miesięcy. Śledziłam ich losy i niezwykle przeżycia. Teraz wszystko się skończyło. Gabriel Brock, Jason Saaler, Gerlinde Schwab, a zwłaszcza Esther i Walburga Wahl to osoby, z którymi chętnie bym znowu usiadła pod jabłonią przy długim stole! Niestety, muszę was już opuścić, bo historia waszego życia dobiegła końca. Spędziłam z wami piękny czas! Muszę przyznać, że nigdy bym was tak dobrze nie poznała, gdyby nie grupa osób, które pomogły mi was zrozumieć.

Pierwszą z nich był profesor Norbert Nedopil, specjalista od psychiatrii medycyny sądowej na Uniwersytecie w Monachium, jeden z najbardziej renomowanych ekspertów w tej dziedzinie. Prawdziwy koryfeusz i wielce zapracowany człowiek, który mimo to z nieskrywaną radością zagłębił się w zawilości mojej powieści kryminalnej. To od niego dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy na temat sporządzania opinii eksperckich, traktowania sprawców i metod stosowanych przez psychologów. Niewykluczone, że niektóre cechy profesora Gabriela Brocka mają swoje źródło w istniejącym gdzieś w świecie realnym wzorcu... Jeśli tak, to był to wynik niezamierzony i proszę o wybaczenie. Przepraszam też za ewentualne błędy, które mogły umknąć mojej uwadze. Na ich widok specjaliści pokręcą głowami. Przepraszam! Możliwości, jakimi dysponuje autorka, są ograniczone, a kiedy pozyskujemy wiedzę w nieznanym nam dziedzinach, aby później wykorzystać ją według naszego własnego uznania, stajemy się tym samym amoralnymi ignorantami.

Profesor Michael Tsokos jest lekarzem medycyny sądowej w Berlinie, a zarazem jednym z najwybitniejszych ekspertów w swojej dziedzinie. Jest też autorem książek, mającym na swoim koncie wielkie sukcesy. Jego książki popularnonaukowe *Dem Tod auf der Spur* i *Der Totenleser* znalazły się na liście bestsellerów. Razem z prawdziwą gwiazdą literatury kryminalnej Sebastianem Fitzkiem napisał thriller pod tytułem *Abgeschnitten*. Jeśli chodzi o *Wioskę morderców*, profesor Tsokos sprawdził w niej fragmenty zawierające kwestie związane z medycyną sądową pod kątem ich zrozumienia przez czytelnika. Jego raport z tej obdukcji był ostry i bezlitosny, a nasza rozmowa na temat porównywalnych procesów trawiennych człowieka i świni – klasą samą w sobie. Dziękuję za trud, jaki włożył Pan w tę książkę! Dziękuję za zainteresowanie i pomoc!

Angela Rieck odpowiada w berlińskim ogrodzie zoologicznym za hodowlę zwierząt przeznaczonych na karmę. Jest niezwykle ciekawym człowiekiem. Spotkanie z nią bardzo mnie ubogaciło. Szacunek, jaki okazuje zwierzętom – zwłaszcza tym najmniejszym, które rodzą się z przeznaczeniem, iż staną się karmą dla innych zwierząt – wywarł na mnie duże wrażenie. Tak, Angela Rieck to taka Charlie Rubin. Oczywiście nie ta, która wychowywała się w Wendisch Bruch, tylko ta, którą poznajemy na samym początku książki. Pani Rieck poświęciła mi wiele czasu. Chodziłyśmy nocą po ogrodzie, rozmawiałyśmy o życiu i śmierci. Dostałam od niej w prezencie obrazek, bo się okazało, że maluje zwierzęta. To naprawdę piękne obrazy, a ten, który od niej dostałam, wisi teraz w moim gabinecie i stale mi przypomina o tej książce i o ludziach, którym towarzyszyłam na jej stronach.

Chciałabym też podziękować panu Bernhardowi Blaszkiewitzowi, dyrektorowi ogrodu zoologicznego

we Friedrichsfelde (i zoo w Charlottenburgu). Ta część ogrodu, w której hoduje się zwierzęta przeznaczone na karmę dla innych zwierząt, jest zamknięta dla zwiedzających. Dlatego bardzo się cieszę, że pan dyrektor udzielił mi zgody na wejście na ten teren i pozwolił na przeprowadzenie szczegółowych badań.

Stephanie Wossilus mieszka w Monachium i jest policjantką. Wysłałam jej do przejrzania niektóre fragmenty książki. Fakt, iż oprócz codziennych obowiązków zawodowych ma jeszcze męża (niesamowitego Gregora Wossilusa!), dwuletniego synka Jacoba-Paula, a na dodatek znajduje czas na studia, sprawia, że czas i praca, jakie mi poświęciła, stają się tym bardziej cenne. Dziękuję za liczne wskazówki, poprawki i za cierpliwość – zwłaszcza Tobie. Dziękuję też za piękne chwile spędzone u was w Monachium, za wygodne łóżko, które zawsze na mnie czeka, i za otwartość, z jaką przyjęliście mnie i moją powieść.

Anne Chaplet, która pisze stojące na mistrzowskim poziomie powieści kryminalne, już trzeci raz pozwoliła mi zamieszkać w jej posiadłości na południu Francji. Tym samym dała mi prezent w postaci lata, podczas którego mogłam nie tylko pracować, ale także leniuchować.

Anke Veil przeczytała gotowy rękopis, po czym wysłała mi listę pełną pochwał i krytycznych komentarzy, podkreślonych błędów i uwag o krętych drogach, którymi się poruszałam, czego niestety nie wyłapałam w trakcie pisania. Potrzeba nam prawdziwych przyjaciół, którzy potrafią wypowiedzieć szczerą opinię, którzy są u naszego boku, gdy ich potrzebujemy – na przykład gdy wylewamy siódme poty nad klawiaturą, a oni, nawet nieproszeni, idą do kuchni, żeby przygotować dla nas posiłek. Takim przyjacielem jest też Jaqueline Roussetty, prawdziwa lwica, która potrafiła zatrasnąć klapę mojego laptopa i zmyć mi głowę, gdy uznała, że przesadzam z pracą. Albo Renate Balke, na którą zawsze mogę liczyć. Nawet w tak trudnym dla niej okresie zawsze okazywała mi gotowość do pomocy.

Dziękuję też, co oczywiste, mojej córce Shirin, która zdążyła się przyzwyczaić do tego, że podczas wieczornego posiłku dogłębnie dyskutowałyśmy o możliwościach przeniesienia niektórych bohaterów mojej książki ze świata żywych do świata umarłych. Super!

Dziękuję wszystkim tym, którzy wspierali mnie radą i czynem. Zwłaszcza Katy i Thomasowi Hirschom. To dzięki Wam odkryłam takie miasta jak Dessau i Wörlitz. To także dzięki wam spędziłam cudowny wieczór w restauracji ratuszowej!

Dziękuję Saneli Halilovic za jej cudowne imię! Dziękuję mojemu wydawcy Georgowi Reuchleinowi i redaktorce Claudii Negele za to, że przyjęli moją książkę do druku.

Ale najbardziej dziękuję moim Czytelnikom, którzy ją przeczytali. Wprawdzie nie mam własnej strony internetowej, ale możecie Państwo znaleźć na Facebooku moje konto „Elisabeth Herrmann und ihre Bücher” i napisać, czy książka się podobała, czy nie. Jeśli nie, to proszę pamiętać: wprawdzie my, autorzy powieści kryminalnych, ukazujemy prawdziwe oblicze zbrodni, ale za to w prawdziwym życiu jesteśmy wrażliwymi ludźmi...

Serdecznie pozdrawiam,
Elisabeth Herrmann

Spis treści

[Wstęp](#)

[Dwadzieścia lat później](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Dziękuję!](#)